

# Uwięziona





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

MARCEL PROUST

# *Uwięziona*

TEŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# *Uwięziona*

# TOM PIERWSZY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY. WSPÓLNE ŻYCIE Z ALBERTYNĄ<sup>1</sup>.

Od rana, z głową jeszcze obróconą do ściany, zanim sprawdziłem nad portierami w oknach odcień smugi światła, wiedziałem już, jaka jest pogoda. Powiedziały mi o tym pierwsze odgłosy ulicy, wedle tego, czy dochodziły mnie stępione i spaczone przez wilgoć, czy też drgające jak strzały w dźwięcznej i pustej przestrzeni przestronnego, mroźnego i czystego ranka; z hałasu pierwszego tramwaju zgadywałem, czy markoci się w dżdżu, czy też pomyka w błękit. A nawet te odgłosy poprzedzał może jakiś szybszy i wnikliwszy fluid, który wślizgnąwszy się poprzez mój sen, sączył weń smutek zwiastujący śnieg lub też kazał jakiejś nieuchwytniej istotce intonować tak mnogie kantyczki na chwałę słońca, że w końcu budziłem się w fali oszalamiającej muzyki. Jeszcze na wpół uspioony, zaczynałem się uśmiechać, zamknięte moje powieki przygotowywały się na blask.

W tym okresie odbierałem wrażenia życia zewnętrznego przeważnie ze swego pokoju. Bloch opowiadał, że kiedy przychodził do mnie wieczór, słyszał jak gdyby szmer rozmowy; ponieważ matka była w Combray, on zaś nie zastawał nikogo w moim pokoju, wyciągnął stąd wniosek, że ja rozmawiam sam ze sobą. Kiedy o wiele później dowiedział się, że Albertyna mieszkała wówczas u mnie, zrozumiał, że ją chowałem przed wszystkimi, i oświadczył, że wreszcie pojmuje, czemu w owej epoce nie chciałem nigdzie bywać. Omylił się. Rzecz zresztą bardzo naturalna; mimo iż łańcuch faktów jest konieczny, nie da się go jednak dokładnie przewidzieć. Poznając jakiś ścisły szczegół z cudzego życia, ludzie wyciągają natychmiast fałszywe konsekwencje i świeżo odkrytym faktem wyjaśniają rzeczy, które właśnie nie mają z nim nic wspólnego.

Kiedy myślę teraz, że Albertyna po powrocie z Balbec zgodziła się zamieszkać ze mną w Paryżu pod jednym dachem, że się wyrzekła morskiej podróży, że sypialnia jej była o dwadzieścia kroków od mojej, na końcu korytarza, w gabinecie mojego ojca, obwieszonym dywanami; że co wieczór, bardzo późno, zanim mnie opuściła, wsuwała w moje usta język — jak chleb powszedni, jak posilny pokarm, mający niemal świętość wszelkiego ciała, któremu cierpienia doznane z jego powodu użyczają w końcu jakiejś duchowej słodyczy — odtwarzam sobie natychmiast, przez porównanie, nie ową noc, którą kapitan de Borodino pozwolił mi spędzić w koszarach (co ostatecznie uleczyło mnie jedynie z chwilowego ucisku serca), ale noc, w której ojciec pozwolił mamie spać obok mojego łóżeczka. Bo życie, jeżeli się decyduje jeszcze raz wyzwolić nas z cierpienia, które zdawało się nieuniknione, czyni to w odmiennych warunkach, czasem wręcz tak sprzecznych, że niemal świętokradztwem jest podkreślać analogie!

Mimo iż w pokoju przed rozsunięciem firanek było jeszcze ciemno, dowiedziawszy się od Franciszki, że nie śpię, Albertyna nie bała się robić nieco hałasu, kąpiąc się w swojej łazience. Wówczas zamiast czekać późniejszej godziny szedłem często do sąsiedniej łazienki, dość milej. Niedługo dyrektor teatru wydawał setki tysięcy, aby usiąć prawdziwymi szmaragdami tron, na którym gwiazda grała rolę cesarzowej. Balety rosyjskie przekonały nas, że prosta gra światła właściwie skierowana stwarza klejnoty równie wspaniałe, a rozmaitsze. Ale i ta dekoracja, choć bardziej odmaterializowana, nie jest tak uroczą, jak efekty słońca, oglądane o ósmej rano w miejsce tych, które przywykliśmy oglądać, wstając w południe. Aby nas ustrzec od niedyskretnych oczu, okna w obu łazienkach nie były gładkie, ale zmarszczone sztucznym i niemodnym szronem. I nagle słońce barwiło żółto ten szklany muślin, złociło go i odsłaniając pomału we mnie dawniejszego młodego człowieka, którego długo skrywało przyzwyczajenie, upijało mnie wspomnieniami, tak jakbym był gdzieś wśród drzew, w cieniu złojących się liści, w których nie brakło nawet ptaka. Bo słyszałem Albertynę gwiżdżącą bez przerwy:

Szaleństwem są, ach, cierpienia,

<sup>1</sup> *Uwięziona. Wspólne życie z Albertyną* — ten tom i następne aż do końca dzieła ukazały się po śmierci Prousta z pozostawionego przezeń rękopisu; tym samym brak jest tym częściom ostatniego dotknięcia ręki pisarza, który zwykł był dużo pracować na korektach. [przypis tłumacza]

Szaleńszy, kto słucha ich...<sup>2</sup>

Zbyt ją kochałem, aby się nie uśmiechać radośnie z jej złego smaku w muzyce. Piosenka ta zachwycała zresztą poprzedniego lata panią Bontemps; dowiedziawszy się niebawem, że to „tandeta”, przestała skłaniać Albertynę do zaśpiewania jej przy gościach, ale zastąpiła ją inną:

Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych...<sup>3</sup>

Ale z kolei i ta melodia stała się „starą katarynką Masseneta, którą ta smarkata kotłuje nam głowę”.

Przechodziła chmura, zaćmiewała słońce, wstydlive i gęste listowie szklane gasło i wsiąkało w szarość.

Za gotowalnię<sup>4</sup> służyła Albertynie łazienka, którą mama, mając drugą w innej części mieszkania, nigdy się nie posługiwała, aby nie hałasować w pobliżu mnie. Przepierzenie dzielące nasze gotowalnie było tak cienkie, że myjąc się, mogliśmy rozmawiać: rozmowę przerywał jedynie plusk wody. Takie współzycie częste bywa w hotelu z powodu szczupłości mieszkania i sąsiedztwa pokojów, ale w Paryżu jest raczej rzadkie.

Czasem leżałem dłużej, marząc sobie do woli, bo nie wolno było nikomu wchodzić do mojego pokoju, aż zadzwonię, co z powodu nieporęcznego umieszczenia dzwonka wymagało tyle czasu, że często, zmęczony daremnymi próbami, rad, że jestem sam, niemal zasypiałem na nowo. Nie znaczy to, aby poczucie obecności Albertyny było mi całkowicie obojętne. Oderwanie jej od przyjaciółek oszczędziło memu sercu nowych cierpień; utrzymywało to serce w spokoju, w bezwładzie, który miał mi pomóc do wyzdrowienia. Ale ten spokój, który mi dawała Albertyna, był raczej ukojeniem cierpień niż radością. Zapewne, pozwolił mi kosztować wielu radości, których nazbyt żywy ból wzbraniał mi wprzód; ale radości tych nie zawdzięczałem Albertynie. Już mi się prawie nie wydawała ładna, nudziłem się z nią, miałem wyraźną świadomość, że jej nie kocham. Czulem się natomiast szczęśliwy wówczas, gdy Albertyny nie było. Zwykle też nie kazałem jej wołać zaraz po przebudzeniu, zwłaszcza gdy ranek był piękny. Przez kilka chwil zostawałem sam na sam ze wspomnianą już wewnętrzną osobką, śpiewem pozdrawiającą słońce; wiedziałem, że mi da więcej szczęścia niż Albertyna. Z istot, które składają naszą osobowość, niekoniecznie te najjawniejsze są dla nas najważniejsze. I kiedy choroba powali je wreszcie kolejno, pozostanie ich we mnie jeszcze parę, o życiu twardszym od innych; zwłaszcza pewien filozof, szczęśliwy jedynie wtedy, kiedy odkryje jakąś wspólność między dwoma dziełami lub dwoma wrażeniami. Ale czasem zastanawiałem się, czy ostatnim ze wszystkich nie będzie mały człowieczek, bardzo podobny do tego, którego pamiętałem za szybą u optyka w Combray. Człowieczek ten oznajmiał pogodę i zdejmując kaptur, gdy świeciło słońce, nakładał go w deszcz. Znam egoizm tego człowieczka; mogę mieć astmę, którą uspokoiłby jedynie rzęsiasty deszcz, ale on nie troszczy się o to; za pierwszymi, tak niecierpliwie przeze mnie oczekiwanymi kroplami, traci humor, naciąga markotnie kaptur. Przypuszczam w zamian, że w chwili agonii, kiedy wszystkie inne moje „ja” będą martwe, jeżeli błysnie promień słońca, gdy będę wydawał ostatnie tchnienie, osobka z barometru będzie się czuła bardzo rada i zdejmie kaptur, śpiewając: „Och, nareszcie pogoda”.

Dzwoniłem na Franciszkę i sięgałem po „Figaro”<sup>5</sup>. Szukałem bezskutecznie artykułu (o ile można to tak nazwać), który posłałem do tego dziennika; była to opracowana nieco, a świeżo odnaleziona stronica, napisana niegdyś w powozie doktora Percepied pod wrażeniem wień w Martinville. Potem czytałem list od mamy. Mama uważała za dzikie, niewłaściwe, aby młoda panna mieszkała sama ze mną. Pierwszego dnia, w chwili wyjazdu z Balbec, kiedy mnie widziała tak nieszczęśliwym i martwiła się, że mnie zostawia

<sup>2</sup>Szaleństwem są, ach, cierpienia... — *Le binou*, francuska piosenka, której słowa napisał Hippolyte-Louis Guérin (1797–1861), a muzykę skomponował Émile Durand (1830–1903). [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych... — *Pensée d'automne* (Jesienna refleksja, 1887), pieśń na fortepian, której słowa napisał poeta Paul Armand Silvestre (1837–1901), a muzykę skomponował Jules Massenet (1842–1912). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>gotowalnia (daw.) — pokój do ubierania się lub stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

<sup>5</sup>„Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

samego, może była rada, dowiadując się, że Albertyna jedzie z nami, i patrząc, jak tuż obok naszych walizek (nad tymi walizkami spędziłem noc w Hôtel de Balbec, płacząc) pakują do wagonu wąskie i czarne walizki Albertyny. Wydawały mi się podobne do trumien, nie wiedziałem, czy wniosą w mój dom życie czy śmierć... Ale nie zadałem sobie nawet tego pytania w ów promienny poranek, po grozie pozostania w Balbec, szczęśliwy, że zabieram Albertynę. Matka nie była wtedy<sup>6</sup> zrazu wroga memu projektowi; odnosiła się mile do Albertyny, niby mamusia, której syn jest ciężko ranny i która wdzięczna jest jego młodej przyjaciółce pielęgnującej go z oddaniem. Usposobienie mamy zmieniło się od czasu, jak się ów projekt zrealizował zbyt dokładnie, w miarę jak pobyt młodej panny w naszym domu przeciągał się, i to w nieobecności moich rodziców. Ale nie mogę powiedzieć, aby matka zdradziła kiedyś przede mną tę wrogość. Jak niegdyś, kiedy nie śmiała mi już wyrzucać nerwowości, lenistwa, tak teraz — w danej chwili może to nie całkiem odgadłem lub nie chciałem odgadnąć — podnosząc pewne wątpliwości co do panny, którą, jak jej mówiłem, uważałem za swoją narzeczoną, bała się osmucić moje życie, podkopać mój późniejszy stosunek do żony, zaszczerpić mi może na później, kiedy matki już nie będzie, wyrzut, że ją zmartwił, żeniąc się z Albertyną. Nie mając nadziei odwrócić mnie od tego wyboru, mama wolała udawać, że go pochwała. Ale wszyscy, co ją widzieli w owej epoce, powiadali, że ból po stracie matki zaostrił się wyrazem nowej troski. Owo napięcie myśli, ciągła wewnętrzna rozterka, przyprawiały mamę o uderzenia krwi do głowy, tak że stale otwierała okna dla ochłody. Ale nie umiała powziąć decyzji z obawy, aby na mnie nie wpłynąć w ujemnym sensie i nie popsuć tego, co uważała za moje szczęście. Nie mogła się nawet zdobyć na protest przeciw pobytowi Albertyny. Nie chciała się okazać surowsza od pani Bontemps; to była przede wszystkim jej sprawa, ona zaś nie uważała tego za niestosowne, co bardzo dziwiło matkę. W każdym razie żałowała, że nas musi zostawić we dwoje, jadąc właśnie do Combray, gdzie mogła zostać (i w istocie została) długie miesiące, w ciągu których cioteczna babka potrzebowała jej dniem i nocą. W tych okolicznościach wiele dobroci i oddania okazał jej Legrandin, który nie uchylając się przed żadnym trudem, z tygodnia na tydzień odkładał powrót do Paryża, niewiele nawet znając moją ciotkę, po prostu dlatego że była niegdyś przyjaciółką jego matki i dlatego że czuł, iż chora, skazana na śmierć, lubi jego opiekę i nie może się obyć bez niego. Snobizm jest ciężką chorobą duszy, ale zlokalizowaną, tak iż nie psuje jej całej.

Ja, przeciwnie, byłem bardzo rad z pobytu mamy w Combray; inaczej bałbym się, aby matka nie odgadła przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, a nie mogłem powiedzieć Albertynie, żeby się z tym kryła. Stałoby się to w oczach matki absolutną przeszkodą, nie tylko do małżeństwa (o którym zresztą na jej prośbę nie miałem jeszcze stanowczo mówić z Albertyną i o którym myśl była mi coraz nieznośniejsza), ale nawet do pobytu Albertyny u nas. Poza tą tak poważną a nieznaną jej racją, mama, z jednej strony przez kult babki, uwielbiającej George Sand<sup>7</sup> i mieszczącej cnotę w szlachectwie serca, z drugiej strony zdeprawowana moim wpływem, była teraz pobłażliwa dla kobiet, których życie osądziłaby surowo niegdyś (lub nawet dziś, o ile by należały do jej znajomych i przyjaciółek z Paryża lub z Combray); kobiet, których wielką duszę chwaliłem przed mamą i którym wiele przebaczała, bo mnie kochały. Mimo wszystko, i nawet poza kwestią konwenansów, sądzę, że Albertyna byłaby niemożliwa dla mamy, przechowującej po Combray, po ciotce Leonii, po wszystkich swoich krewnych, nawyki porządku, o którym Albertyna nie miała najmniejszego pojęcia.

Albertyna nie zamknęłaby drzwi, a w zamian nie wahałaby się wejść, niby pies lub kot, kiedy drzwi były otwarte. Wdziękiem jej, nieco uciążliwym, było to, że grała u nas w domu rolę nie tyle młodej dziewczyny, ile zwierzęcia domowego, które wchodzi, wychodzi, płacze się to tu to tam, rzuca się na łóżko obok mnie — cóż za wypoczynek dla mnie! — robi sobie tam miejsce, z którego się już nie rusza, nie krępując mnie, w przeciwieństwie do ludzkiej osoby. Bądź co bądź, nagięła się w końcu do moich godzin snu, do tego, aby nie próbować nie tylko wchodzić, ale aby nie robić hałasu, nim zadzwonię. To Franciszka nałożyła jej te reguły.

<sup>6</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>George Sand, właśc. *Armandine Aurore Lucille Dudevant* (1804–1876) — francuska pisarka epoki romanizmu; autorka wielu powieści, przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

Franciszka była z owych służących w stylu Combray, znających wartość swego pana i mających poczucie, że minimum ich obowiązku to pilnować, aby mu oddano to, co mu się w ich przekonaniu należy. Kiedy obcy gość dawał napiwek Franciszce do podziału z posługaczką, gość jeszcze nie miał czasu wręczyć monety, kiedy Franciszka, z równą chyżością, jak dyskrecją i energią, zdążyła udzielić lekcji tej dziewczynie, aby podziękowała nie półsłówkiem, ale szczerze, głośno, tak jak ją nauczyła. Proboszcz z Combray nie był orzeł, ale też wiedział, co się należy. Pod jego kierunkiem córka kuzynów pani Sazerat, protestantów, przeszła na katolicyzm, przy czym rodzina była dla księdza niesłychanie czuła: chodziło o małżeństwo z młodym ziemianinem z okolic Méséglise. Zasięgając informacji, rodzice młodego człowieka napisali do księdza list dość impertynencki, w którym potraktowano z *partesu*<sup>8</sup> protestanckie pochodzenie panny. Proboszcz odpowiedział takim tonem, że szlachcic z Méséglise, ukorzywszy się całkowicie, napisał zgoła już inny list, w którym prosił jako o łaskę o to, aby mógł przyjąć do rodziny tę panienkę.

Franciszka nie miała w tym zasługi, że nauczyła Albertynę szanować mój sen. Była przepojona tradycją. Z milczenia jej lub ze stanowczej repliki na niewinną propozycję wejścia do mego pokoju lub pytania mnie o coś Albertyna pojęła ze zdumieniem, że się znalazła w dziwnym świecie o nieznanym zwyczajach wytyczonych przez niezłomne prawidła. Pierwsze przecucie tego miała już w Balbec, ale w Paryżu nie próbowała nawet się opierać: rano zachowywała ciszę, czekając cierpliwie dzwonka.

Wychowanie, jakiego jej udzieliła Franciszka, było zresztą zbawienne i dla niej samej, przez to, że uspokoiło nieco jęki, jakich od powrotu z Balbec nasza stara służąca nie przedstawiała wydawać. Chodziło o to, iż wsiadając do kolejki, spostrzegła, że zapomniała się pożegnać z „gubernantką” hotelu, wąsatą osobą, dozorującą korytarzy. Osoba ta zaledwie że знаła Franciszkę, ale była dla niej stosunkowo grzeczna. Franciszka chciała absolutnie zawrócić z drogi, wysiąść, wrócić, pożegnać się z „gubernantką” i wyjechać dopiero nazajutrz. Rozsądek, a zwłaszcza nagły wstręt do Balbec nie pozwoliły mi się zgodzić na to; stąd chorobliwe i nerwowe niezadowolenie Franciszki, którego nie zdołała w niej zatrzeć zmiana klimatu i które trwało jeszcze w Paryżu. Bo wedle kodeksu Franciszki, tego, który symbolizują płaskorzeźby w Saint-André-des-Champs, wolno pragnąć śmierci nieprzyjaciela, zadać mu ją nawet, ale straszne jest nie zrobić tego, „co się należy”, nie oddać grzeczności, nie pożegnać się przed wyjazdem — jak prawdziwa chamka! — z „gubernantką”. Przez całą podróż owo wciąż odnawiające się wspomnienie nietaktu okrywało policzki Franciszki niepokojącym pąsem. I jeżeli nie chciała nic jeść i pić aż do Paryża, to może nie tyle, aby nas ukarać, ale dlatego, że to wspomnienie „gnietło ją” dosłownie w „dolku”. Każda klasa ma swoją patologię.

Jedną z przyczyn sprawiających, że mama pisała do mnie co dzień (przy czym nigdy nie brakło cytatu z pani de Sévigné<sup>9</sup>), było wspomnienie babki. Mama pisała: „Pani Sazerat wyprawiła dla nas śniadanko, takie jak ona umie; jedno z tych, które — jakby powiedziała twoja biedna babka, cytując panią de Sévigné — »wyrrywają z samotności, nie przynosząc nam towarzystwa«”. W jednej z pierwszych odpowiedzi napisałem głupio: „Po tych cytatach, mammo, twoja matka poznałaby cię zaraz”. Na co w trzy dni później dostałem tę odpowiedź: „Drogie dziecko, jeżeli chciałeś mówić o *mojej matce*, bardzo nie w porę powołujesz się na panią de Sévigné. Odpowiedziałaby ci, jak odpowiedziała pani de Grignan: »Więc ona ci była niczym? Sądziłam, że to była twoja krewna«”.

Słyszałem kroki Albertyny wychodzącej ze swego pokoju lub wracającej. Dzwoniłem, bo to była pora, kiedy Anna miała przybyć po Albertynę z szoferem, przyjacielem Morela, narajonym przez Verdurinów. Wspominałem mglisto Albertynie o możliwości naszego małżeństwa, ale nigdy nie uczyniłem tego formalnie; ona sama, kiedyś powiedział: „Nie wiem, ale może byłoby to możliwe”, przez delikatność potrząsnęła z melancholijnym uśmiechem głową, mówiąc: „Ale nie, nie byłoby możliwe”, co znaczyło: „Jestem za biedna”. I wciąż mówiąc o przyszłości, że „to wszystko jest jeszcze bardzo niepewne”, na razie robiłem wszystko, aby ją rozerwać, umilić jej życie, starając się — może nieświadomie — zbudzić w niej tym ochotę wyjścia za mnie. Śmiała się sama z tego zbytku. „Ależ matka

<sup>8</sup>*partes* (daw.) — partytura, nuty; *traktować z partesu*: z góry, z wyższością. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*pani de Sévigné*, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

Anny zrobiłaby minę, widząc, że się wystrychnęła na damę bogatą jak ona, mającą — jak ona mówi — »konie, powozy, obrazy«. Jak to? Nigdy ci nie opowiadałam, że ona tak mówi? Och, to jest typ! Dziwi mnie tylko, że ona wynosi obrazy do godności koni i powozów”.

Ujrzymy później, że mimo głupiego słownictwa, jakie jej pozostało, Albertyna rozwinięła się zdumiewająco, co mi było zupełnie obojętne. Duchowe zalety towarzyski życia zawsze mało mnie interesowały; jeżeli je podkreślałem kiedykolwiek, to przez czystą grzeczność. Jedynie oryginalna umysłowość Franciszki bawiłaby mnie może. Mimo woli uśmiechałem się przez chwilę, kiedy na przykład, korzystając z tego, że Albertyny nie było w domu, zagadywała mnie tymi słowami: „Bóstwo niebiańskie<sup>10</sup> złożone na łóżku!”. Powiadałem: „Ależ, Franciszko, czemu bóstwo niebiańskie?”. — „Och, jeżeli pan myśli, że pan ma coś z ludzi pielgrzymujących na naszej brzydkiej ziemi, myli się pan bardzo”. — „Ale czemu »złożone« na łóżku, widzi Franciszka przecież, że leżę pod kołdrą”. — „Pan nigdy nie leży. Czy widział kto kiedy kogo, żeby tak leżał w łóżku? Pan przycupnął jak ptaszek. Ot, w tej chwili... ta piżama taka bieluśka, ta szyjka... istny gołąbek”.

Albertyna, nawet gdy chodziło o lada głupstwo, wyrażała się całkiem inaczej niż podlotek, jakim była jeszcze przed kilku laty w Balbec. Obecnie oświadczyła z powodu jakiegoś wydarzenia politycznego, które potępiała: „To doprawdy monstualne”. I nie wiem, czy nie w tej epoce, chcąc powiedzieć, że jakaś książka wydaje się jej źle napisana, nauczyła się mówić: „Zajmujące, ale doprawdy *pisane jak nogą*”.

Zakaz wchodzenia do mnie, nim zadzwonię, bawił Albertynę bardzo. Że zaś przejęła nasz rodzinny nawyk cytatów i czerpała je ze sztuk, które grywała w klasztorze, a które ja lubiłem, porównywała mnie zawsze z Asuerusem<sup>11</sup>:

Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy  
Śmiałek, co niewołany stanie mu przed oczy.  
Nic od tego wyroku srogięgo nie chroni,  
Płeć ni godność; na równi prawo wszystkim broni  
Przystępu, i ja sama...  
Prawu temu podlegam tak jak każda inna...  
I aby doń przemówić w jakiej bądź potrzebie,  
Muszę czekać, aż wezwać raczy mnie do siebie.<sup>12</sup>

Fizycznie Albertyna zmieniała się również. Długie niebieskie oczy — jeszcze bardziej wydłużone — zmieniły wygląd; zachowały ten sam kolor, ale przeszły jak gdyby w stan płynny. Tak że kiedy je zamykała, miało się wrażenie, że to firankami zasłania się widok morza. I ten zwłaszcza szczegół, jak sądzę, pamiętałem, rozstając się z nią co nocy. Bo na przykład, wręcz przeciwnie, przez długi czas jej falujące włosy sprawiały mi co rano niespodziankę, niby coś nowego, czego nigdy nie widziałem. A przecież cóż może być piękniejszego niż ten kędzierzawy wianek czarnych fiołków nad uśmiechniętym spojrzeniem młodej dziewczyny? Uśmiech ofiarowuje więcej przyjaźni, ale lśniąca haczyki rozkwitłych włosów, bardziej zrosnięte z ciałem, będąc niejako jego falistą transpozycją, snadniej<sup>13</sup> łowią pragnienie.

Ledwo wszedłszy, Albertyna wskakiwała na łóżko; czasem rozplywała się nad moją inteligencją, przysięgała w szczerym zapale, że wolałaby raczej umrzeć niż mnie opuścić; były to dni, w których ogoliłem się, zanim kazałem ją wezwać. Była z liczby kobiet nieumiejących rozróżnić źródeł tego, co odczuwają. Przyjemność, jaką im sprawia gładka

<sup>10</sup>*Bóstwo niebiańskie*... — ten kwiecisty styl tak odskakuje od zwykłego stylu Franciszki, że raczej należałoby go chyba przypisać znajomej z Balbec, Celeście Albaret. Obie, Franciszka i Celesta, robione były z prawdziwych modeli, służących u Prousta, i widocznie zwały się tu w jedno. [przypis tłumacza]

<sup>11</sup>*Assuérus* (fr.), pol. *Achaszuerosz* a. *Ahasuer* — perski król z biblijnej *Księgi Estery*: na skutek intrygi najwyższego urzędnika, Hamana, wydał rozkaz zabicia wszystkich Żydów w państwie. Żona króla, Żydówka Estera, ryzykując śmiercią, poprosiła męża o zmianę decyzji. Król przyjął ją łaskawie, Hamana powieszono, a Żydzi ocaleli. Historię tę upamiętnia żydowskie święto Purim. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy śmiałek*... — Racine, *Estera* (1689), akt I, scena 3 (Estera o królu Ahaswerze, w rozmowie ze swoim wujem i opiekunem Mordechajem). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*snadniej* (daw.) — łatwiej. [przypis edytorski]

cera, tłumaczą sobie duchowymi zaletami człowieka, który im wróży możliwości szczęścia, malejącego zresztą i mniej potrzebnego, w miarę jak broda odrasta.

Pytałem, dokąd się wybiera.

— Zdaje się, że Anna chce mnie zabrać do Buttes-Chaumont, których nie znam.

Oczywiście, niepodobna mi było rozpoznać wśród mnóstwa słów, czy pod tym kryje się kłamstwo. Ufałem zresztą Annie, że mi opowie dokładnie, gdzie była z Albertyną.

W Balbec, kiedyś się czułem nadto zmęczony Albertyną, marzyłem, że kiedyś powiem kłamliwie Annie: „Aniu złota, czemuż cię nie spotkałem wcześniej! Byłbym cię pokochał. Teraz serce moje należy do innej. Ale i tak możemy się często widywać, bo tamta moja miłość sprawia mi wiele zgryzot i ty mnie możesz pocieszyć”. Otóż te kłamliwe słowa stały się prawdą w ciągu trzech tygodni. Może Anna wierzyła w Paryżu, że to jest w istocie kłamstwo i że ją kocham, tak jak uwierzyłaby z pewnością w Balbec. Bo prawda tak się zmienia dla nas, że inni ledwo mogą się w niej wyznać. Ponieważ zaś wiedziałem, że Anna opowiedziałaby mi wszystko, prosiłem ją (i zgodziła się), aby wstępowała po Albertynę prawie co dzień. W ten sposób mógłbym bez troski zostawać w domu.

Fakt, że Anna jest jedną z „bandy” dziewcząt z Balbec, dawał mi wiarę, że uzyskalaby od Albertyny wszystko, czego bym zapragnął. Doprawdy, mógłbym jej teraz powiedzieć najszczerzej, że byłaby zdolna mnie uspokoić.

Z drugiej strony, wybór Anny (była teraz w Paryżu, poniechała zamierzonego powrotu do Balbec) na towarzyszkę, wynikał z tego, co mi Albertyna mówiła o czułości Anny dla mnie w Balbec, w pewnym momencie, gdy ja, przeciwnie, bałem się, że ją nudzę; gdybym był wówczas wiedział<sup>14</sup> o tym, byłbym może pokochał Annę.

— Jak to, nie wiedziałeś? — mówiła Albertyna. — Przecież wszystkie żartowałyśmy z tego. Zresztą, czyś nie zauważył, że ona zaczęła naśladować twój sposób mówienia, twój styl? Zwłaszcza kiedy świeżo się rozstała z tobą, to było uderzające. Nie potrzebowała mówić, że cię widziała. Kiedy przychodziła od ciebie, widać to było od pierwszej sekundy. Patrzyłyśmy po sobie i śmiałyśmy się. Była jak węglarz, który chciałby wmówić, że nie jest węglarzem, a jest cały czarny! Młynarz nie potrzebuje mówić, że jest młynarzem, jest na nim pełno mąki, ma jeszcze ślady worków, które nosił. Anna to samo; podnosiła brwi jak ty, a przy tym ta jej długa szyja, słowem, nie umiem ci powiedzieć co. Kiedy wezmę książkę, która była w twoim pokoju, mogę ją czytać na dworze, i tak wiadomo, że jest od ciebie, bo zachowuje zapach twoich paskudnych okadzań<sup>15</sup>. To niby nic, ale to *nic* jest w gruncie dosyć miłe. Ile razy ktoś mówił dobrze o tobie, kiedy ktoś robił wrażenie, że cię wysoko ceni, Anna była wniebowzięta.

Mimo wszystko, nie chcąc, aby coś mogły uplanować bez mojej wiedzy, poddałem, aby na ten dzień poniechały Buttes-Chaumont i aby się wybrały raczej do Saint-Cloud lub gdzie indziej.

To nie znaczyło (wiedziałem o tym), abym kochał bodaj trochę Albertynę. Miłość jest może jedynie rozchodzeniem się owych kręgów, które pod wpływem jakiegoś wzruszenia mącą duszę. Pewne kręgi poruszyły całego mnie, kiedy Albertyna powiedziała mi w Balbec o pannie Vinteuil, ale teraz się zatarły. Nie kochałem już Albertyny, bo nic już we mnie nie zostało z cierpienia — uleczonego obecnie — które odczułem w kolejce w Balbec, dowiadując się, jaka była młodość Albertyny, z możliwością wizyt w Montjouvain. O tym wszystkim myślałem zbyt długo, z tego byłem uleczony. Ale chwilami coś w sposobie mówienia Albertyny kazało mi przypuszczać — nie wiem czemu — że musiała w swoim jeszcze tak krótkim życiu słuchać wielu komplementów, oświadczeń, i słuchać ich z przyjemnością, można powiedzieć, zmysłową. Tak na przykład mówiła z byle jakiego powodu: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Gdyby powiedziała tak jak Odeta: „Szczerze mówisz to potworne kłamstwo?”, to by mnie z pewnością nie niepokoiło, bo śmieszność tego zwrotu tłumaczyłaby się miałością kobiecego mózgu. Ale jej pytający ton: „Naprawdę?” sprawiał z jednej strony dziwne wrażenie istoty, która nie może sobie sama zdać z czegoś sprawy, która apeluje do czyjegoś świadectwa, tak jakby nie posiadała tych samych sprawdzianów (kiedy jej ktoś na przykład mówił: „Będzie już godzina,

<sup>14</sup>gdym był wówczas wiedział — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdybym wówczas wiedział. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>okadzania — zabieg z przepisu lekarzy, stosowany przez samego Prousta przeciw astmie. [przypis tłumacza]



jakeśmy wyjechali” albo: „Deszcz pada”, pytała się: „Naprawdę?”). Na nieszczęście, z drugiej strony, niemożność ocenienia danego zjawiska nie musiała być prawdziwym źródłem owego: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Zdawałoby się raczej, że te słowa musiały być od wczesnej dojrzałości Albertyny odpowiedzią na: „Wie pani, nie widziałem osoby tak pięknej jak pani”; „Pani wie, ja panią bardzo kocham, pani na mnie straszliwie działa”. Twierdzenia, którym odpowiadały z zalotnie przychylną skromnością owe: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”, ze mną służące Albertynie już tylko dla odpowiadania pytaniem na słowa takie jak: „Drzemałaś więcej niż godzinę”. — „Naprawdę?”.

Nie czując się ani trochę zakochany w Albertynie, nie licząc do przyjemności chwil, gdy byliśmy razem, wciąż głowiłem się, jak ona spędza czas; to fakt, iż uciekłem z Balbec, aby być pewny, że nie będzie mogła już spotkać jakiejś osoby, z którą mogłaby czynić coś złego, śmiejąc się, może śmiejąc się ze mnie. Tak bardzo się tego bałem, że starałem się zrećźnie przeciąć swoim wyjazdem, za jednym zamachem, wszystkie jej podejrzane stosunki. I Albertyna miała tyle bierności, taką łatwość zapominania i poddawania się, że owe stosunki były naprawdę zerwane, a moja obsesja uleczona. Ale ta fobia może przybierać tyle form, ile ich ma niepochwytne zło będące jej przedmiotem. Dopóki zazdrość moja nie wcieliła się w nowe istoty, miałem po swoich minionych cierpieniach okres spokoju. Ale chronicznej chorobie lada pozór wystarczy do odnowienia się; podobnie narowom osoby będącej źródłem tej zazdrości lada sposobność wystarczy na to, aby je zaczęła uprawiać na nowo (po okresie wstrzemięźliwości) z innymi osobnikami. Mogłem oderwać Albertynę od jej współpracowników i przez to odczynić złe uroki; ale o ile można było zatrzeć w jej pamięci jakąś osobę, przerwać jej zapęły, żądza rozkoszy była u Albertyny również chroniczna i czekała może tylko okazji, aby sobie dać folgę<sup>16</sup>. Otóż Paryż dostarcza okazji tyleż co Balbec.

W jakim bądź mieście działoby się to zresztą, Albertyna nie potrzebowała szukać, bo zło było nie tylko w niej, ale w innych, dla których wszelka sposobność jest dobra. Spojrzenie jednej, natychmiast zrozumiane przez drugą, zbliża do siebie dwie wygłodniałe istoty. I jakże łatwo sprytniej kobiecie udać, że nic nie widzi, aby w pięć minut później podejść do osoby, która zrozumiałwszy, czekała na nią w przecznicy. W dwóch słowach umówią schadzkę. Kto się kiedy dowie? I aby to mogło trwać, Albertyna potrzebowała po prostu powiedzieć mi, że pragnie przejechać się znów w jakąś okolicę Paryża, która się jej spodobała. Toteż wystarczało, aby wróciła późno, aby zwłoka jej była dla mnie niezrozumiała (choć może bardzo łatwa do wytłumaczenia bez żadnej erotycznej hipotezy), żeby się odrodziło moje cierpienie. Kojarzyło się ono z obrazami niezwiązanymi już z Balbec, obrazami, które sililem się, jak owe poprzednie, zniweczyć: jak gdyby usunięcie przemijającej przyczyny mogło pokonać organiczną chorobę! Nie zdawałem sobie sprawy, że tymi zamachami, które wspomagała zmienność Albertyny, zdolność zapominania — prawie zniechęcenia — niedawnego przedmiotu miłości, mogłem zadać głęboki ból jakiejś nieznanej istocie, partnerce jej rozkoszy; i zadawałem ten ból daremnie, bo w miejsce tych porzuconych istot znalazłyby się inne; i równoległe z drogą znaczoną tyłoma tak lekko zrywanych kaprysami Albertyny ciągnęłaby się dla mnie inna nieubłagana droga, zaledwie przerywana krótkimi wytchnieniami; tak iż, biorąc logicznie, męka moja mogłaby się skończyć jedynie wraz z Albertyną lub ze mną.

W pierwszym okresie naszego pobytu w Paryżu relacje Anny i sfera tyżące spacerów Albertyny nie zaspokajały mnie; okolice Paryża były mi czymś nie mniej okrutnym niż okolice Balbec; zatem wyjechałem na kilka dni z Albertyną. Ale wszędzie towarzyszyła mi ta sama niepewność: możliwości złego równie liczne, dozór jeszcze trudniejszy, tak że wróciłem z nią do Paryża. Opuszczając Balbec, sądziłem, że opuszczam Gomorę, że wyrrywam z niej Albertynę; niestety, Gomora czała się po wszystkich kątach świata. I wół przez zazdrość, wół przez nieznaną tych uciech (wypadek nader rzadki) unormowałem bezwiednie tę ciuciubabkę, w której Albertyna miała mi się zawsze wymykać.

Pytałem zniechęca:

<sup>16</sup>*folga* (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie; *dać sobie folgę*: folgować sobie, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

— A! Słuchaj no, Albertyno, czy mi się coś marzy, czy też wspominałaś, żeś znała Gilbertę Swann?

— Tak, to znaczy ona odezwała się do mnie raz na kursach, bo miała kajety<sup>17</sup> historii francuskiej, była nawet bardzo miła, pożyczała mi tych kajetów i oddałam je za najbliższym widzeniem.

— Czy ona jest z rodzaju kobiet, których nie lubię?

— Och! Wcale nie, wręcz przeciwnie.

Ale najczęściej, zamiast się oddawać tego rodzaju śledztwu, obracałem na planowanie spacerów Albertyny energią, której nie zużywałem na to, aby jej towarzyszyć, i rozprawiłem o nich z zapalem typowym dla niewykonanych projektów. Wrażałem taką chęć obejrzenia witrażu w Sainte-Chapelle, taki żal, że nie mogę tego zrobić tylko z samą Albertyną, że w końcu mówiła czule: „Ależ, kochanie, skoro masz taką ochotę, przemóż się, pojedź z nami. Zaczekamy na ciebie tak długo, jak zechcesz. A jeżeli wolisz być ze mną sam, odeślę po prostu Annę, wybierze się kiedy indziej”. Ale właśnie te prośby, aby z nią jechać, pogłębiały spokój, który mi pozwalał poddać się chęci zostania w domu.

Nie zastanawiałem się, że apatia, z jaką powierzałem Albertynę Annie lub szoferowi, zdając na nich ukojenie moich lęków, porażała we mnie, ubezwładniała wszystkie owe pomysłowe drgnienia inteligencji, owe natchnienia woli pomagające odgadnąć i udaremnić postępy danej osoby; to pewne, iż przy moim charakterze świat możliwości był mi zawsze bardziej otwarty niż realny świat urzeczywistnień. To ułatwia ogólne poznanie duszy, ale nie chroni w poszczególnym wypadku. Zazdrość moja i jej męża rozdziły się z obrazów, a nie z przypuszczeń. Otóż w życiu ludzi i w życiu narodów mogą być chwile (i taka chwila miała przyjść w moim życiu), że człowiek potrzebowałby mieć w sobie prefekta policji, bystrego dyplomatę, tajnego agenta, który zamiast roić o bezkresnych możliwościach skupia się i powiada: „Jeżeli Niemcy oświadczają to a to, to znaczy, że chcą zrobić coś innego; nie coś innego w abstrakcji, ale ściśle to lub tamto, co może się już nawet zaczęło”. — „Jeżeli dana osoba uciekła, to nie w kierunku A, B, D, ale w kierunku C; miejscem tedy, gdzie trzeba skupić poszukiwania, jest C”. Niestety, tej zdolności, niezbyt we mnie rozwiniętej, pozwoliłem odrętwieć, osłabnąć, zaniknąć, nawykłszy pogrążyć się w spokoju, z chwilą gdy ktoś inny godził się czuwać za mnie.

Co się tyczy powodów owej chęci pozostania w domu, nierad byłbym wyznać je Albertynie. Powiadałem, że lekarz kazał mi leżeć. To nie była prawda. A gdyby nawet tak było, przepisy lekarza nie przeszkodziłyby mi towarzyszyć Albertynie. Wypraszałem się od jechania z nią i z Anną. Podam tylko jedną rację, wspierającą się na rozsądku. Kiedym towarzyszył Albertynie, czułem się niespokojny, skoro na chwilę została beze mnie; obrażałem sobie, że może z kimś rozmawiała lub bodaj spojrzała na kogoś. Jeżeli nie była w świetnym humorze, myślałem zaraz, że mój popsuł lub opóźnił jakiś jej projekt. Rzeczywistość jest zawsze tylko przynętą dla Nieznanego, którego śladem nie możemy zejść bardzo daleko. Lepiej nie wiedzieć, myśleć możliwie najmniej, nie dostarczać zazdrości żadnego konkretnego szczegółu. Niestety, w braku życia zewnętrznego życie wewnętrzne również nastęrcza okazje; i bez spacerów Albertyny przypadki napotykanie we własnych refleksjach dostarczały mi ułamków rzeczywistości, przyciągających do siebie niby magnes trochę owego Nieznanego, które z tą chwilą stają się bolesne. Choćbyśmy żyli jak pod pneumatycznym klozem, i tak skojarzenia, wspomnienia działają. Ale te wewnętrzne wstrząsy nie następowały zaraz; ledwie Albertyna wyszła, czułem się skrzepiony bodaj na kilka chwil ożywczym działaniem samotności.

Brałem udział w rozkoszach rodzącego się dnia; obudzone pragnienie — kapryśna i czysto moja zachcianka — kosztowania ich nie wystarczyłoby, aby je zbliżyć do mnie, gdyby swoista pogoda każdego dnia nie wywoływała we mnie minionych obrazów; co więcej, stwierdzała ona ową doraźną realność, bezpośrednio dostępną wszystkim tym, których przypadkowe i tym samym nieważne okoliczności nie zmuszały do zostania w domu. W pewne pogodne dni było tak zimno, odczuwało się tak szeroką styczność z ulicą, jak gdyby się rozwarły ściany domu: ilekroć przejeżdżał tramwaj, dzwonek jego rozbrzmiewał tak, jakby srebrny nóż uderzał w szklany dom. Ale zwłaszcza w sobie słyzałem z upojeniem nowy dźwięk, wydawany przez skrzypce duszy. Struny ich napina

<sup>17</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

lub zwalnia prosta różnica ulicznej temperatury, światła. W naszej istocie, instrumencie oniemionym przez jednostajność przyzwyczajenia, śpiew rodzi się z tych odstępów, z tych wariacji, źródła wszelkiej muzyki; aura pewnych dni przerzuca nas od razu z jednej nuty w drugą. Odnajdujemy zapomnianą melodię, której matematyczną konieczność moglibyśmy odgadnąć, a którą zrazu śpiewamy, nie znając jej. Jedynie te zmiany wewnętrzne, mimo że pochodzące spoza mnie, odnawiały dla mnie zewnętrzny świat. Jakieś od dawna zamurwane drzwi otwierały się w moim mózgu. Życie jakichś miast, wesołość jakichś spacerów odzyskiwały we mnie miejsce. Drząc cały dookoła wibrującej struny, oddałbym za ten tak niezwykły stan moje szare życie dawniejsze i moje przyszłe życie, wytarte gumą przyzwyczajenia.

Kiedy nie wybrałem się z Albertyną na dłuższy spacer, duch mój wałęsał się tym bardziej: wyrzekłszy się kosztowania zmysłami owego poranka, cieszyłem się w wyobraźni wszystkimi podobnymi rankami — minionymi lub możliwymi — ściślej mówiąc, pewnym typem poranków, którego wszystkie podobne ranki były jedynie przygodnym i rychło przeze mnie utożsamionym odbiciem; chłodne powietrze samo z siebie obracało właściwe stronicie: znajdowałem przed sobą ewangelię dnia, tak iż mogłem ją odczytać z łóżka. Ów idealny poranek wypełniał mój umysł trwałą rzeczywistością, tożsamą ze wszystkimi podobnymi rankami, i udzielał mi radości, której nie zmniejszała moja niemoc. Dobre samopoczucie rodzi się w nas nie tyle ze zdrowia, ile z niezużytej nadwyżki sił: możemy je osiągnąć zarówno przez wzmożenie sił, jak przez ograniczenie czynności. Energia, którą kipiałem i którą utrzymywałem w stanie potencjalnym, leżąc w łóżku, sprawiała, żem drgał i podskakiwał wewnątrz, niby machina, która nie mogąc zmienić miejsca, kręci się dookoła swej osi.

Franciszka przychodziła rozpalić ogień; iżby lepiej chwycił, rzucała kilka gałązek, których zapach, zapomniany przez całe lato, opisywał dokoła kominka magiczny krąg. Oglądałem w tym kręgu samego siebie czytającego to w Combray, to w Doncieres i, siedząc w swoim pokoju w Paryżu, czułem się równie radosny, co gdybym się właśnie wybierał na spacer w stronę Méséglise lub odnalazł Roberta i jego przyjaciół na ćwiczeniach w polu. Właściwa wszystkim ludziom przyjemność odnajdywania wspomnień zamagazynowanych przez pamięć najżywsza bywa u tych, których z jednej strony przemoc fizycznych cierpień oraz codzienna nadzieja wyzdrowienia pozbawiają szukania w naturze obrazów pokrewnych tym wspomnieniom, z drugiej zaś strony zostawiają nieco wiary, że zdolają to niebawem uczynić. Dzięki tej wierze zachowują w stosunku do owych obrazów uczucie pragnienia, apetytu, nie patrzą na nie jedynie jak na wspomnienia, jak na obrazy. Ale gdyby nawet obrazy te miały być dla mnie zawsze tylko obrazami i gdybym, przypominając je sobie, miał je tylko oglądać, i tak odtwarzały one nagle we mnie, z całego mnie, mocą identycznego wrażenia, dziecko, młodzieńca, którzy je widzieli. Zachodziła nie tylko zmiana pogody lub zapachu w pokoju, ale różnica wieku, substytucja osoby. Zapach gałązek w mroźnym powietrzu był niby kawał przeszłości; wylaniała się w moim pokoju niewidzialna ławica lodowa oderwana od dawnej zimy, często zresztą nasycona jakimś zapachem, oświetleniem, niby odmiennymi latami, w których, zanim je nawet uświadomiłem sobie, zanurzałem się ogarnięty weselem od dawna porzuconych nadziei. Słońce docierało do łóżka, przebywało przejrzystą ściankę mego wychudłego ciała, grzało mnie, rozpalało mnie jak kryształ. Wówczas, niby zgłodniały rekonwalescent, sycący się z góry wszystkimi zabronionymi jeszcze potrawami, zastanawiałem się, czy małżeństwo z Albertyną nie zepsułoby mojego życia, każąc mi podjąć zbyt ciężkie dla mnie brzemię poświęcenia się drugiej istocie, a zarazem zmuszając mnie do życia poza samym sobą wskutek ustawicznej obecności Albertyny i pozbawiając mnie na zawsze rozkoszy samotności.

I nie tylko tych rozkoszy. Nawet kiedy żądamy od dnia jedynie pragnień, istnieją pewne pragnienia — zrodzone już nie z rzeczy, ale z osób — których cechą jest to, że są indywidualne. Jeżeli wstając z łóżka, rozsuwałem na chwilę firanki, czyniłem to nie tylko — tak jak muzyk otwiera na chwilę fortepian — aby sprawdzić, czy na balkonie i na ulicy słońce ma ściśle tę samą tonację co w moim wspomnieniu; czyniłem to także po to, aby ujrzeć jakąś praczkę niosącą kosz z bielizną, piekarkę w błękitnym fartuchu, mleczarkę z białymi płóciennymi rękawami, przytrzymującą hak, na którym wiszą bańki

z mlekiem, jakąś hardą blondynkę w towarzystwie guwernantki, słowem, obraz, który różnice linii — ilościowo może nieznaczne — mogą uczynić tak odmiennym od wszelkiego innego obrazu, jak różnica dwóch nut zmienia muzyczną frazę; brak tego widoku pozbawiłby dzień celów, jakie mógł nastrećzać mojej żądzy szczęścia. Ale jeżeli nadwyżka radości, zrodzona z widoku kobiet niepodobnych do wyobrażenia sobie *a priori*<sup>18</sup>, czyniła mi ulicę, miasto, świat bardziej upragnionymi, godniejszymi zwiedzenia, budziła ona we mnie zarazem żądę wyzdrowienia, wychodzenia z domu, wolności — bez Albertyny. Ileż razy, w chwili gdy nieznaną kobietą, o której miałem marzyć, mijała dom, to pieszo, to całą chyżością auta, cierpiałem, że ciało moje nie może podążyć za spojrzeniem, które ją doganiało; że nie może, dosięgając jej niby wystrzelone z rusznicy przez okno, zatrzymać pierzchającej twarzy zwiastującej mi nadzieję szczęścia, którego, uwięziony jak teraz, nie zaznałbym nigdy.

Za to od Albertyny niczego się już nie mogłem spodziewać. Z każdym dniem wydawała mi się mniej ładna. Dodawało jej uroku jedynie pragnienie, jakie budziła w innych, kiedy dowiadując się o tym pragnieniu, zaczynałem na nowo cierpieć i chciałem im ją wydrzeć. Mogła mi sprawić ból; dać radości — nie. Jedynie samym cierpieniem trwało moje nudne przywiązanie. Gdy cierpienie ustępowało, a wraz z nim potrzeba ukojenia go, wiążąca całą moją uwagę niby okrutna rozrywka, czułem nicość, jaką Albertyna jest dla mnie, jaką ja muszę być dla niej. Byłem nieszczęśliwy, że ten stan trwa; chwilami pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś okropnego, czegoś, co by mogło nas poróżnić, co by nam się pozwoliło pogodzić i uczynić odmiennym i podatniejszym łańcuch, który nas łączył — aż do chwili mego uleczenia.

Na razie szukałem pomocy tysiąca okoliczności, tysiąca uciech, aby dostarczyły Albertynie złudy owego szczęścia ze mną, którego nie byłem zdolny jej dać. Byłbym chciał natychmiast po wyzdrowieniu pojechać do Wenecji; ale jak to zrobić, gdybym się ożenił z Albertyną? Już w Paryżu byłem o nią tak zazdrosny, że kiedyś się decydowałem ruszyć z domu, to tylko po to, aby jej towarzyszyć! Nawet kiedyś zostawałem całe popołudnie w domu, a ona jechała na spacer, myśl moja towarzyszyła jej, opisywała daleki siny widnokrąg, stwarzała dokoła mnie ruchomą i mglistą strefę niepewności. „Iluż mąk rozstania — powiadałem sobie — oszczędziłaby mi Albertyna, gdyby widząc, że już nie wspominam o małżeństwie, zdecydowała się kiedyś nie wrócić ze spaceru, gdyby pojechała na dobre do ciotki, tak abyśmy się nie musieli żegnać!” Serce moje, od czasu jak się jego rana zablizniała, nie było już zrośnięte z sercem Albertyny; mogłem ją w wyobraźni przesuwając, oddalać bez bólu. Gdyby nie wyszła za mnie, wyszłaby pewnie za innego, a gdyby została wolna, miałaby może owe miłostki, którymi się tak brzydziłem. Ale było tak ładnie, byłem tak pewny, że Albertyna wróci wieczorem, że nawet jeżeli ta myśl o jej możliwych wybrykach przychodziła mi do głowy, mogłem przez akt woli uwięzić Albertynę w partii mojego mózgu, gdzie by miała nie więcej znaczenia, niżby go dla mego realnego życia miały przywary urojonej osoby; poruszając uelastycznione zawiasy swojej myśli, z energią, jaką czułem w głowie — energią fizyczną i umysłową niby ruch mięśniowy i inicjatywę duchową — przezwyciężyłem obsesję, w której żyłem dotąd. Zaczynałem się poruszać w wolnym powietrzu, na wysokości, z której poświęcenie wszystkiego na to, aby zapobiec małżeństwu Albertyny z kimś innym i aby wznieść zaporę jej skłonności do kobiet, zdawało mi się czymś równie niedorzecznym, jak byłoby niedorzeczne w oczach człowieka, który by jej nie znał.

Zresztą zazdrość należy do owych napadowych chorób, których przyczyna jest kapryśna, despotyczna, zawsze identyczna u tego samego chorego, czasem zupełnie różna u innego. Jedni astmatycy uśmierzają atak, otwierając okna, wdychając silny wiatr, górskie powietrze; inni, chroniąc się w centrum miasta, w pokój pełen dymu. Nie ma prawie zazdrośników, których zazdrość nie dopuszczałaby jakiegoś ustępstwa. Jeden godzi się ze zdradą, byle mu ją kobieta wyznała; inny, byle mu ją ukryła; ostatecznie jedno warto jest drugiego, o ile bowiem jeden zazdrośnik bardziej jest oszukany przez to, że mu się kryje prawdę, drugi szuka w tej prawdzie pokarmu, spotęgowania, odnowy swoich cierpień.

Co więcej, te dwie odwrotne manie zazdrości wybiegają często poza słowa, czy to błagając o zwierzenia, czy też odtrącając je. Spotyka się mężczyzn zazdrosnych jedynie

<sup>18</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

o kobiety, z którymi ich kochanka ma stosunki z dala od nich, ale godzących się na to, aby się oddawała innemu mężczyźnie, byle z ich upoważnieniem, blisko nich i o ile zgoła nie w ich oczach, to bodaj pod ich dachem. Ten wypadek dość częsty jest u mężczyzn starszych, zakochanych w młodej kobiecie. Czują trudność podobania się, czasem niemożność zaspokojenia jej; w obawie zdrady wolą pozwolić odwiedzać ją u siebie w domu, w sąsiednim pokoju, komuś, kto — jak sądzą — niezdolny jest dawać jej złych rad, ale zdolny jest dać jej rozkosz. Inni wręcz przeciwnie: nie pozwalając kochance wyjść ani na minutę samej w mieście, które znają, trzymają ją w istnej niewoli; ale pozwalają jej jechać na miesiąc w strony, których nie znają, gdzie nie mogą sobie wyobrazić, co ona będzie robiła. Miałem w stosunku do Albertyny obie te kojące manie. Nie byłbym zazdrosny, gdyby zażywała rozkoszy uprawnionych przeze mnie, w moim pobliżu, całkowicie pod moim dozorem, przez co oszczędziłbym sobie obawy kłamstwa; i również nie byłbym może zazdrosny, gdyby pojechała w strony na tyle mi nieznanne i odległe, żebym sobie nie mógł wyobrazić jej sposobu życia, nie miał możliwości i pokusy poznania go. W obu wypadkach doskonała świadomość lub doskonała niewiedza usunęłyby wątplenie.

Zapadający zmierzch zanurzał mnie siłą wspomnienia w dawnej i ożywczej atmosferze: wdychałem ją z tą samą rozkoszą, z jaką Orfeusz<sup>19</sup> wdycha lekkie, nieznanne tej ziemi powietrze Pól Elizejskich<sup>20</sup>.

Ale już dzień się kończył, ogarniał mnie smutek wieczoru. Sprawdzając machinalnie na zegarze, ile jest godzin do powrotu Albertyny, widziałem, że mam jeszcze czas ubrać się i zejść, aby poprosić właścicielkę domu, panią de Guermites, o wskazówki dotyczące wykwintnych fatalaszków, którymi chciałem obdarzyć moją przyjaciółkę. Czasem spotykałem księżnę w dziedzińcu, wychodzącą pieszo — nawet kiedy było brzydko — w małym kapelusiku i w futrze. Wiedziałem, że dla wielu inteligentnych ludzi jest ona po prostu jakąś panią; nazwisko diuszesy de Guermites nie znaczy teraz nic, skoro diukostwa i księstwa nie istnieją; ale miałem inny punkt widzenia w swoim sposobie zażywania osób i krajów. Miałem wrażenie, że ta dama w futrze, urągająca niepokodzie, nosi z sobą wszystkie zamki dóbr, których jest diuszesa, princessą, wikontessą, tak jak osoby wyrzeźbione na oczepe<sup>21</sup> portalu trzymają w ręce katedrę, którą zbudowały, lub miasto, które obroniły. Ale jedynie oczy mojej duszy mogły widzieć owe zamki, owe lasy w lewej ręce damy w futrach, kuzynki króla. W dni, kiedy groził deszcz, oczy mojego ciała rozróżniały jedynie parasol, w który księżna nie lękała się uzbroić. „Nie można nigdy wiedzieć; zawsze to bezpieczniej, w razie gdybym się znalazła bardzo daleko, a fiakier<sup>22</sup> żądałby za drogę jak dla mnie”. Słowa „za drogę”, „przechodzące moje środki” powracały wciąż w rozmowie księżnej, zarówno jak: „Jestem za biedna”; przy czym nie wiadomo było, czy ją bawi mówić, że jest biedna, będąc tak bogatą, czy że uważa za wytworne, będąc tak wysoko urodzoną, a zarazem udając wieśniaczkę, nie przywiązując do bogactwa wagi, jaką przywiązują do niego ludzie jedynie bogaci i gardzący ubogimi. Może to był raczej nawyk z epoki, kiedy — już bogata, ale nie dość bogata w stosunku do kosztu utrzymania tylu posiadłości — czuła się nieco kuso z pieniędzmi i nie chciała robić wrażenia, że to ukrywa. Rzeczy, o których się mówi najczęściej, żartując, to są na ogół właśnie rzeczy, które sprawiają kłopoty; nie przyznajemy się do tych kłopotów, może z tajoną nadzieją, że właśnie osoba, z którą się rozmawia, słysząc, że sobie żartujemy z tego, pomyśli, że to nieprawda.

Wiedziałem, że o tej godzinie przeważnie zastanę księżnę w domu; byłem rad z tego, bo w ten sposób najłatwiej mogłem poprosić o obszerniejsze wskazówki, których pragnęła Albertyna. Szedłem tam, prawie nie myśląc, jakie to jest niesłychane, że idę do owej tajemnicznej pani de Guermites mego dzieciństwa, i jedynie po to, aby jej użyć po prostu, tak jak się używa telefonu, nadprzyrodzonego instrumentu, którego cud zdumie-

<sup>19</sup>Orfeusz (mit. gr.) — muzyk, poeta i pieśniarz, który śpiewem swoim poskramiał dzikie zwierzęta i ożywił martwe przedmioty. Zszedł do Hadesu po swą zmarłą żonę Eurydykę i oczarował swoim śpiewem władcę krainy zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Pola Elizejskie (mit. gr.) — kraina wiecznego spokoju i pośmiertnej szczęśliwości, stanowiąca część Hadesu; zmarli trafiali tam w nagrodę za dobre życie. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>oczepe — tu: nadproże, belka nad drzwiami lub oknem. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>fiakier — dorożkarz. [przypis edytorski]

wał nas niegdyś, a którym posługujemy się teraz automatycznie dla sprowadzenia krawca lub zamówienia lodów.

Fatałaszki sprawiały Albertynie wielką przyjemność. Nie umiałem się powstrzymać, aby jej co dnia nie ofiarować czegoś. I za każdym razem kiedy mówiła z zachwytem o jakiejś szarfie, etoli, parasolce, które przez okno lub mijając dziedziniec, oczami różniącymi tak szybko wszystkie odcienie elegancji, ujrzała na szyi, na ramionach lub w ręce pani de Guermantes, wiedząc, że trudnego z natury gustu Albertyny (wydelikaczonego jeszcze lekcjami elegancji, czerpanymi z nauk Elstira) nie zadowoliliby jakaś imitacja, nawet ładnej rzeczy, zastępująca ją w oczach pospólstwa, ale różniąca się od niej całkowicie, zachodziłem w sekrecie, aby wypytać księżnę, gdzie, jak, z jakiego modelu było sporządzone to, co się podobało Albertynie, dokąd należy się zwrócić, aby uzyskać ściśle to samo; na czym polega sekret krawca, elegancja (Albertyna nazywała to „szyk”, „styl”) wykonania, jak się dokładnie nazywa materia — piękność materiału miała tu swoje znaczenie — której należało żądać.

Kiedy po przyjeździe z Balbec powiedziałem Albertynie, że księżna de Guermantes mieszka na wprost nas, w tym samym pałacu, wówczas, słysząc ten wielki tytuł i wielkie nazwisko, przybrała minę bardziej niż obojętną, wrogą, wzgardliwą, u hardych i namiętych natur będącą znakiem bezsilnego pragnienia. Albertyna to była wprawdzie wspaniała natura, ale utajone jej przymioty mogły się rozwijać jedynie pośród tych zapór, jakimi są nasze upodobania lub żaloba po upodobaniach, z których trzeba nam było zrezygnować — jak dla Albertyny snobizm. Żaloba ta zowie się nienawiścią. Nienawiść Albertyny do „świata” zajmowała w niej zresztą bardzo mało miejsca i podobała mi się przez swoją stronę rewolucyjną — mam na myśli nieszczęśliwą miłość do szlachty — wypisaną w charakterze francuskim na odwrotnej stronie medalu, drugą stroną wyrażającego wielkopaństwo pani de Guermantes. O to wielkopaństwo, nie mogąc go osiągnąć, Albertyna nie troszczyłaby się może; że jednak przypominała sobie, iż Elstir mówił o księżnej de Guermantes jak o kobiecie najlepiej ubierającej się w Paryżu, republikańska wzgarda Albertyny ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu się elegantką. Wypytywała mnie często o panią de Guermantes i lubiła, żebym zasięgał dla niej u księżnej porad toaletowych. Bez wątpienia, mógłbym prosić o te rady panią Swann; raz nawet napisałem do niej w tym celu. Ale pani de Guermantes (miałem to wrażenie) jeszcze dalej doprowadziła sztukę ubierania się. Jeżeli zachodząc tam na chwilę (upewniwszy się, że nie wyszła, i kazawszy się uprzedzić, kiedy Albertyna wróci), zastawałem księżnę spowitą w mgłę szarej krepdeszynowej<sup>23</sup> sukni, pojmowałem, że ten strój jest wypadkową skomplikowanych przyczyn i że nic by się w nim nie dało zmienić; zanurzałem się w atmosferę, którą wydzielał, niby schyłek dni wyścielonych perłowszarą watą przez mgliste opary; jeżeli przeciwnie, szlafroczek był chiński w żółto-czerwone płomienie, patrzyłem nań jak na rozpalający się zachód słońca; owe toalety nie były przygodną dekoracją dającą się zmienić do woli, ale ścisłą i poetycką realnością, jak realność pogody w danym dniu lub światło właściwe pewnej godzinie.

Ze wszystkich sukien lub szlafroczków pani de Guermantes najbardziej zdawały się odpowiadać pewnej intencji, najwięcej specjalnej myśli posiadały suknie, które Fortuny stworzył wedle dawnych weneckich wzorów. Historyczny charakter tych sukien, a może fakt, że każda z nich jest jedyna, dają im coś tak odrębnego, że poza kobiety, która je nosi, czekając na nas, rozmawiając z nami, nabiera wyjątkowej ważności; rzekłbyś, że ten kostium jest owocem długiego namysłu i że ta rozmowa odcina się od potocznego życia niby scena romansu. W powieściach Balzaca heroiny kładą z umysłu pewną toaletę w dniu, kiedy oczekują pewnego gościa. Dzisiejsze toalety nie mają tyle charakteru — wyjąwszy suknie Fortuny’ego. Nic nie może pozostać mgliste w opisie powieściopisarza, skoro ta suknia istnieje rzeczywiście, skoro najdrobniejszy jej wzór utrwalony jest równie naturalnie jak linie dzieła sztuki. Przed włożeniem tej czy innej sukni kobieta musiała wybrać między dwiema, i to nie dwiema podobnymi do siebie, ale głęboko indywidualnymi, mogącymi nieomal nosić imiona.

<sup>23</sup>krepdeszynowy — wykonany z krepdeszyny: miękkiej, lekkiej tkaniny jedwabnej, stanowiącej rodzaj krepy. [przypis edytorski]

Ale suknia nie przeszkadzała mi myśleć o kobiecie. Pani de Guermites wydawała mi się nawet w tej epoce miłsza niż w czasie, gdy się w niej jeszcze kochałem. Mniej od niej oczekując (nie chodziłem już tam dla niej samej), słuchałem jej niemal ze spokojną bezceremonialnością, jaką się ma u siebie w domu, grzejąc się przy kominku; słuchałem jej tak, jakbym czytał książkę pisaną starym językiem. Miałem dość swobody ducha, aby w tym, co mówiła, smakować ów francuski i tak czysty wdzięk, którego się już dziś nie spotyka w mowie ani w książkach. Słuchałem jej rozmowy niby czysto i rozkosznie francuskiej ludowej piosenki; rozumiałem, że mogła sobie niegdyś żartować z Maeterlincka<sup>24</sup> (podziwiała go zresztą teraz przez płytkość kobiety wrażliwej na owe mody literackie, których promienie dochodzą późno), tak jak rozumiałem, że Mérimée drwił sobie z Baudelaire'a, Stendhal z Balzaca, Paul Louis Courier z Wiktora Hugo, Meilhac z Mallarmégo<sup>25</sup>. Rozumiałem, że żartowniś posiadał w porównaniu z tym, z kogo żartował, umysłowość bardzo ograniczoną, ale za to słownik czystszy. Słownik pani de Guermites — prawie w tym stopniu co język matki Roberta — był zachwycająco czysty. Nie w zimnych falsyfikatach dzisiejszych pisarzy, operujących archaizmami od siedmiu boleści, można odnaleźć stary język i prawdziwą wymowę, ale rozmawiając z panią de Guermites lub z Franciszką; mając pięć lat, nauczyłem się od Franciszki, że nie mówi się „le Tarn”, ale „le Tar”, nie „Béarn”, ale „Béar”. Co sprawiło, że w dwudziestym roku życia, kiedy zacząłem bywać w świecie, nie musiałem się uczyć, że nie trzeba mówić jak pani Bontemps: „Pani de Béarn”.

Skłamałbym, mówiąc, że księżna nie była świadoma tych wsiowych, omal chłopskich rysów, które w niej przetrwały, i że nie wkładała pewnej kokieterii w podkreślanie ich. Ale była to u niej nie tyle fałszywa prostota wielkiej damy udającej wieśniaczkę oraz dumna księżnej dającej nauczkę parweniuszkom gardzącym chłopami, których nie znają, ile artystyczny niemal smak kobiety znającej czar tego, co posiada, i niemyślącej psuć tego nowoczesną zaprawą. Podobnie wszyscy znali w Dives normandzkiego restauratora, właściciela „Wilhelma Zdobywcy”, który strzegł się pilnie — rzecz nader rzadka — stroić swojej gospody w nowoczesny zbytek hotelowy; będąc milionerem, zachował język i bluzę normandzkiego chłopca i pozwalał gościom zachodzić do kuchni, aby oglądać, wiejską modą, samego gospodarza przyrządzającego obiad, który był mimo to nieskończenie lepszy i jeszcze droższy niż w najwspanialszych *palace-hôtelach*.

Wszystkie rodzime soki znajdujące się w starych arystokratycznych rodach nie wystarczą; trzeba, żeby się zdarzyła istota na tyle inteligentna, aby nie gardzić tymi sokami, aby ich nie zatracić pod światowym pokostem. Pani de Guermites — na nieszczęście dowcipna paryżanka — zachowała, kiedy ją poznałem, jedynie akcent swoich stron. Ale przynajmniej kiedy wspominała dziewczęce lata, znajdowała w swoim języku coś pośredniego między naiwnym prowincjonalizmem a sztucznością literacką; kompromis, który tworzy wdzięk *La petite Fadette* George Sand lub pewnych legend wplecionych przez Chateaubrianda<sup>26</sup> w *Pamiętniki z za grobu*. Rozkosz moja to było słyszeć z jej ust opowiadania o chłopach. Stare nazwy, stare zwyczaje dawały tej symbiozie zamku i wsi coś nader soczystego. Zachowawszy styczność z ziemią, na której władza udzielnie, pewien typ arystokracji pozostaje regionalny, tak że najprostsze odezwania się rozwijają nam przed oczami historyczną i geograficzną mapę dawnej Francji.

Kiedy nie było w tym przesady, intencji fabrykowania własnego języka, wówczas wymowa ta stawała się istnym muzeum historii Francji. Wymowa: „Mój stryjeczny dziadek Fitt-Żam” nie dziwiła zgoła, bo wiadomo, że Fitz-James'owie uważają się za magnatów francuskich i nie chcą, aby ich wymawiać z angielska. Trzeba zresztą podziwiać wzruszającą uległość ludzi, którzy sądzili dotąd, że powinni wymawiać gramatycznie pewne nazwiska, a którzy usłyszawszy, że księżna de Guermites wymawia je inaczej, przerzucili się nagle w nieprzeczuwaną wrzód wymowę. I tak księżna, która miała pradziadka

<sup>24</sup>Maeterlinck, Maurice (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Mérimée, Baudelaire, Stendhal, Balzac, Paul Louis Courier, Wiktor Hugo, Meilhac, Mallarmé — francuscy pisarze XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

dworzanina hrabiego de Chambord, drocząc się z mężem, że się stał orleanistą<sup>27</sup>, lubiła mówić: „My, stara wiara z Frochedorf<sup>28</sup>”. Gość, który sądził dotąd, że się wymawia: „Frohsdorf”, skręcał co żywo kominka<sup>29</sup> i powtarzał wciąż: „Frochedorf”.

Pewnego razu spytałem pani de Guermantes, kim jest uroczy młody człowiek, którego mi przedstawiła jako swego siostrzeńca, a którego nazwiska nie dosłyszałem; ale niewiele mnie objaśniło, kiedy z głębin krtani księżna wyrzuciła bardzo głośno, ale nie artykułując: „*C'est l'... i Eon... l... b... frère à Robert*. Utrzymuje, że ma czaszkę kształtu dawnych Galów<sup>30</sup>”. Wówczas zrozumiałem, że powiedziała: „To Leonek, książę de Léon, szwagier (był nim w istocie) Roberta de Saint-Loup”. — „Nie wiem, czy ma czaszkę Galów — dodała — ale jego sposób ubierania się, bardzo elegancki zresztą, nie pochodzi od Galów. Pewnego dnia, kiedy z Josselin, gdzie byłam u Rohanów, wybraliśmy się na odpust, zeszli się tam chłopci bodajże z całej Bretanii. Jakiś dryblas, kmiotek z Léon, patrzył z osłupieniem na beżowe porteczki Robertowego szwagra. »Co ty tak się gapisz — rzekł Léon — założę się, że nie wiesz, kto ja jestem«. Chłop powiedział, że w istocie nie wie. »No więc, ja jestem twój książę«. — »A! — odpowiedział wieśniak, odkrywając głowę i przepaszając — wziąłem pana za Angielczyka«”.

A jeżeli korzystając z tego punktu wyjścia, wyciągnąłem panią de Guermantes na Rohanów (z którymi rodzina jej kojarzyła się często), rozmowa jej nasiąkała po trosze melancholijnym czarem Przebaczeń<sup>31</sup> i jakby powiedział ten szczerzy poeta, Pampille<sup>32</sup>, wydzielała „*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs*”<sup>33</sup>.

Opowiadała także o margrabim Lau (znany jest jego smutny koniec, kiedy, już głuchy, kazał się nosić do ociemniałej pani H...) z jego mniej tragicznych lat, kiedy po polowaniu w Guermantes siadał w papuciach do herbaty z królem angielskim, od którego nie uważał się za niższego i z którym, jak widzimy, nie robił sobie ceremonii. Opowiadała to tak malowniczo, że stroiła margrabiego jak gdyby w pióropusz hardych perygordzkich muszkieterów.

Zresztą nawet w zwykłej wzmiance o kimś uwydatnienie stron, z których pochodzi, dawało pani de Guermantes swoisty i bardzo własny urok, niedostępny rodowitej paryżance. Te proste nazwy: Anjou, Poitou, Périgord, zmieniały się w jej ustach w krajobrazy.

Aby wrócić do wymowy i słownika pani de Guermantes, stanowią one właśnie rys, w którym arystokracja okazuje się naprawdę konserwatywna, ze wszystkim, co to słowo zawiera wraz dziecinnego, niebezpiecznego po trosze, opornego ewolucji, ale i zabawnego dla artysty. Chciałem wiedzieć, jak się niegdyś pisało słowo „Jean”. Dowiedziałem się o tym z listu siostrzeńca pani de Villeparisis, podpisującego się — tak jak go ochrzczono, jak figuruje w *Gotajskim Almanachu*<sup>34</sup> — „Jehan de Villeparisis”, z tym samym pięknym „H”, bezużytecznym, heraldycznym, jakie podziwiamy iluminowane szkarłatem lub ultramaryną w książce do nabożeństwa lub na witrażu.

Niestety nie miałem czasu przedłużać w nieskończoność tych wizyt, pragnąc, o ile możliwe, być w domu przed Albertyną. Otóż jedynie po trochu mogłem wyciskać z pani de Guermantes informacje potrzebne mi do zamówienia dla Albertyny podobnych toalet, o tyle, o ile młoda panna mogła je nosić.

— Na przykład, proszę pani, w dniu, kiedy pani miała być na obiedzie u pani de Saint-Euverte przed rautem u księżnej Marii, miała pani suknię całą czerwoną i czerwone

<sup>27</sup>orleanista — monarchista francuski popierający pretensje Burbonów z linii orleańskiej do tronu; ostatnim monarchą Francji z dynastii Burbonów orleańskich był Ludwik Filip I, panujący w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Frochedorf — zamek w Austrii, rezydencja hrabiego de Chambord, potomka Burbonów i pretendenta do korony francuskiej, który obrał ten zamek za siedzibę swego wygnania. [przypis tłumacza]

<sup>29</sup>skręcić kominka (daw.) — zręcznie wycofać się z czegoś; kominek (daw., łow.): sus, odskok zajęcia dla zatarcia śladu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Galowie — rzymska nazwa celtyckiej ludności Galii, tj. terenów ob. Francji, Belgii, Szwajcarii i pñ.-zach. Włoch. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Przebaczenia — Bretania znana jest jako *Pays des Pardons*, kraina odpustów (darowania kar za grzechy, udzielanego podczas świąt patronów kościoła lub kaplicy). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs* (fr.) — ostry smak naleśników gryczanych smażonych na ogniu z janowca. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*Almanach Gotajski* — rocznik genealogiczny wydawany od 1763, zawierający informacje o europejskich rodach arystokratycznych. [przypis edytorski]



pantofelki; była pani bajeczna; wyglądała pani jak wielki kwiat we krwi, rubin w płomieniach, jak się to nazywało? Czy młoda panienska może to nosić?

Przywracając swojej zmęczonej twarzy promienny wyraz, jaki miewała niegdyś księżna des Laumes, kiedy Swann mówił jej komplementy, pani de Guermantes, śmiejąc się do łez, popatrzyła drwiącym, pytającym i zachwyconym wzrokiem na pana de Bréauté, zawsze obecnego u niej o tej godzinie i sączącego zza monokla uśmiech pobłażliwy dla bredni intelektualisty, w których widział erotyczne podniecenie młodego człowieka. Księżna miała minę taką, jakby mówiła: „Co jemu się dzieje, zwariował”. Potem, obracając się do mnie, rzekła przymilnie:

— Nie wiedziałam, że byłam podobna do rubinu w płomieniach albo do kwiatu we krwi, ale przypominam sobie w istocie, że miałam czerwoną suknię; noszono wtedy taki czerwony atlas. Tak, ostatecznie młoda panna może to nosić, ale mówił mi pan, że ta młoda osoba nie bywa na balach. To jest suknia na wielki wieczór, tego nie można kłaść na wizyty.

Nadzwyczajne jest, że pani de Guermantes przypominała sobie z owego wieczora (ostatecznie to nie było tak dawno) jedynie swoją toaletę, a zapomniała pewnej rzeczy, która, jak się okaże, powinna jednak była leżeć jej na sercu. Zdaje się, że u ludzi czynu (a ludzie światowi to są ludzie czynu — drobnicy, mikroskopijni, ale ostatecznie ludzie czynu) myśl, przemęczona oczekiwaniem tego, co się zdarzy za godzinę, bardzo mało rzeczy przekazuje pamięci. Często na przykład, pan de Norpois (nie dlatego, aby rzucić piaskiem w oczy i nie okazać, że się pomylił), kiedy mu ktoś przypominał jego zawodne prognostyki<sup>35</sup> sojuszu z Niemcami, który się wcale nie skleił, odpowiadał:

— Musiał się pan pomylić, wcale sobie tego nie przypominam, to niepodobne do mnie, bo w tego rodzaju rozmowach jestem zawsze bardzo lakoniczny; nie byłbym nigdy przepowiadał sukcesu jednego z owych *coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force*<sup>36</sup>. Niezaprzeczonym faktem jest, że w odległej przyszłości zbliżenie francusko-niemieckie mogłoby się ziścić i byłoby bardzo korzystne dla obu krajów, przy czym Francja, jak sądzę, nie zrobiłaby złego interesu; ale nigdy o tym nie mówiłem, bo owoc nie jest dojrzały. Jeżeli pan chce wiedzieć moje zdanie, sądzę iż, zapraszając naszych dawnych wrogów na gody weselne, narazilibyśmy się na szach i mat i łatwo moglibyśmy oberwać guza.

Mówiąc to, pan de Norpois nie kłamał; po prostu zapomniał. Zapomina się zresztą szybko tego, czego nie przemyślało się głęboko, tego, co nam podyktował przykład, atmosfera otaczających namiętności. Namiętności się zmieniają, a wraz z nimi przeobraża się nasze wspomnienie. Bardziej jeszcze od dyplomatów politycy nie pamiętają własnego punktu widzenia w danej chwili; wyparcie się samych siebie wynika u nich często nie tyle z nadmiaru ambicji, ile z braku pamięci. Co się tyczy światowców, ci w ogóle mało co sobie przypominają.

Pani de Guermantes twierdziła, że sobie nie przypomina, aby na wieczorze, gdzie miała czerwoną suknię, była obecna pani de Chaussepierre, że się z pewnością myłę. A przecież Bóg wie ile od tego czasu Chaussepierre'owie zaprzęтали księstwa Błażejów. Oto czemu. Kiedy prezes Jockey Clubu<sup>37</sup> umarł, pan de Guermantes był najstarszym wiceprezesem. Niektórzy członkowie klubu, pozbawieni stosunków i czerpiący jedyną przyjemność w dawaniu czarnych galek ludziom, u których nie bywają, podjęli kampanię przeciw księciu, który pewny wyboru i dość lekko traktujący tę prezesurę — drobiazg w stosunku do jego światowej sytuacji — nie rozwinął żadnych starań. Wyzyskano to, że księżna była dreyfusistką<sup>38</sup> (sprawa Dreyfusa była wprawdzie od dawna zakończona, ale w dwadzieścia lat potem jeszcze o niej mówiono, a dopiero upłynęły dwa), że przyjmuje

<sup>35</sup>prognostyk — przepowiednia. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force* — idiomatyczne wyrażenia francuskie ze słowem *coup*, oznaczającym cios, wybuch: *coups d'éclat*: wyczyny; *coups de tête*: spontaniczne decyzje, zachcianki; *coups de force*: zamachy stanu. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Jockey Club* (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*dreyfusistka* — obrończyni niewinności Alfreda Dreyfusa (1859–1935), francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazanego na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowanego w 1906; sprawa Dreyfusa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

Rotszyldów. Zarazem szeptano, że zanadto faworyzuje się od jakiegoś czasu potentatów międzynarodowych, jak książę de Guermantes, na wpół Niemiec. Kampania znalazła teren nader podatny; kluby są zawsze bardzo zawistne w stosunku do ludzi na świeczniku i nienawidzą wielkich fortun.

Majątek pana de Chaussepierre był okazały, ale nie mógł nikogo razić; on sam nie wydawał ani grosza, mieszkanie zajmowali skromne, żona chodziła w czarnej wełnianej sukni. Przepadając za muzyką, dawała małe zebranka, na które zapraszano o wiele więcej śpiewaczek niż u Guermantów. Ale nikt o tym nie mówił, wszystko odbywało się bez parady, często w nieobecności męża, w mrokach ulicy de la Chaise. W operze pani de Chaussepierre bywała niepostrzeżona, zawsze w towarzystwie osób, których nazwiska przypominały środowisko najbardziej „ultra”<sup>39</sup>, najbliższe Karola X<sup>40</sup>, ale osób żyjących na uboczu, mało światowych. W dniu wyboru, ku powszechnemu zdumieniu, mrok odniósł tryumf nad blaskiem: Chaussepierre, drugi wiceprezes, został prezesem Jockey Clubu, a książę de Guermantes został na lodzie, to znaczy pierwszym wiceprezesem jak dawniej. Z pewnością, być prezesem Jockey Clubu to niewielka rzecz dla magnata takiego jak Guermantes. Ale nie zostać nim w swojej kolei, być pobitym przez takiego Chaussepierre, którego żonie Oriana nie odklaniała się dwa lata wprzód, wręcz obrażona ukłonem nieznanego nietoperzycy, to było ciężkie dla księcia! Twierdził, że jest wyższy nad tę klęskę, zapewniając zresztą, że zawdzięcza ją dawnej przyjaźni ze Swannem. W rzeczywistości wściekał się.

Rzecz osobliwa, nigdy nie słyszało się, aby książę de Guermantes posługiwał się dosyć banalnym wyrażeniem: „zasadniczo”, ale od czasu wyborów w „Jockeyu”, ilekroć mówiono o sprawie Dreyfusa, zaraz zjawiało się „zasadniczo”: „Sprawa Dreyfusa, sprawa Dreyfusa, łatwo się tak mówi, ale ta nazwa jest niewłaściwa; to nie jest sprawa religii, ale zasadniczo sprawa polityczna”. Pięć lat mogło upłynąć, a nie słyszało się „zasadniczo”, o ile w ciągu tego czasu nie mówiło się o sprawie Dreyfusa; ale jeżeli po upływie pięciu lat nazwisko Dreyfusa wróciło w rozmowie, natychmiast wracało automatycznie „zasadniczo”. Książę nie znosił zresztą, aby mówiono o tej sprawie, „która spowodowała — powiadał — tyle nieszczęść”, mimo iż naprawdę czuły był tylko na jedno: na swoją przegraną w „Jockeyu”. Toteż owego popołudnia, kiedy przypominałem pani de Guermantes czerwoną suknię, którą miała wieczór u kuzynki, pan de Bréauté bardzo źle się wybrał, kiedy chcąc coś powiedzieć, przez niewytłumaczone i nieobjaśnione przez niego skojarzenie, manipulując językiem w zesnurowanych ustach, zaczął:

— A propos sprawy Dreyfusa...

Czemu „sprawy Dreyfusa”? Chodziło tylko o czerwoną suknię i z pewnością biedny Bréauté, który zawsze chciał tylko zrobić każdemu przyjemność, nie miał w tym cienia złej intencji. Ale samo nazwisko Dreyfusa sprawiło, że książę Błażej zmarszczył jowiszowe brwi.

— Powtarzano mi — rzekł Bréauté — dość ładne powiedzenie, dają słowo, bardzo subtelne, pocziwego Cartiera. — Uprzedźmy czytelnika, że ów Cartier, brat pani de Villefranche, nie miał cienia związku z jubilerem tegoż nazwiska. — Co mnie zresztą nie dziwi, bo on ma dowcipu tyle, że mógłby go odprzedać.

— Och — przerwała Oriana — nie ja bym go z pewnością kupiła. Nie umiem powiedzieć, jak mnie pański Cartier zawsze nudził, nigdy nie mogłam zrozumieć, co za niesłychane uroki Lolo de la Trémoille i jego żona znajdują w tym nudziarzu, którego zastają u nich za każdym razem, kiedy tam idę.

— Dłoga książęno — odparł Bréauté, który z trudnością wymawiał literę „r” — jest pani bardzo sułowa dla tego dobrego Cartier. Prawda, że on zanadto się zadowił u La Trémoille’ów, ale ostatecznie to jest dla Lola rodzaj, jakby to powiedzieć, wiernego Achata<sup>41</sup>, gatunek który stał się białym krukiem w obecnych czasach. W każdym razie, oto

<sup>39</sup>ultra (pot.) — skrócone: ultraroyalists, skrajnie reakcyjna część monarchistów francuskich. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Karol X Filip (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Achates (mit. rzym.) — jeden z bohaterów *Eneidy*, wierny przyjaciel Eneasza. [przypis edytorski]

powiedzenie, które mi powtórzono: Cartier miał rzec, że jeżeli pan Zola<sup>42</sup> starał się mieć proces i naraził się na skazanie, to aby doznać wrażeń, których jeszcze nie znał: człowieka siedzącego w więzieniu.

— I dlatego uciekł przed aresztowaniem! — przerwała Oriana. — To się nie trzyma kupy. Zresztą, nawet gdyby to było prawdopodobne, koncept wydaje mi się idiotyczny. Jeżeli to się panu wydaje dowcipne!

— Mój Boże, długa pani Oriano — odparł pan de Bréauté, który, zaatakowany, zaczął rejterować — dowcip nie jest mój, powtarzam go, jak słyszałem, trzeba go brać tak jak jest. W każdym razie był on przyczyną, że Cartier oberwał tęgą pucówkę<sup>43</sup> od pocziwego La Trémoille, który (bardzo słusznie) nie chce, aby w jego salonie mówiono o tym, co nazwałbym „bieżące sprawy”, zwłaszcza że była tam właśnie pani Alfonsowa Rotszyld. Cartier dostał od Lola de la Trémoillee pławdziwe wcielenie.

— Oczywiście — rzekł książę bardzo kwaśny. — Rotszyldowie, mimo że mają na tyle taktu, aby nigdy nie mówić o tej ohydnej sprawie, są w duszy za Dreyfusem, jak wszyscy Żydzi. To jest nawet argument *ad hominem*<sup>44</sup> (książę używał trochę na oślep wyrażenia: *ad hominem*), który nie dosyć się podkreśla, aby wykazać złą wiarę Żydów. Jeżeli Francuz kradnie, morduje, nie czuje się zobowiązany, dlatego że jest jak ja Francuzem, uważać go za niewinnego. Ale Żydzi nie uznają nigdy, aby któryś z ich rodaków był zdrajcą, mimo że wiedzą o tym doskonale, i mało dbają o straszliwe następstwa — książę myślał oczywiście o oburzającym wyborze pana de Chaussepierre — jakie zbrodnia jednego z nich może ściągnąć... Słuchaj Oriano, nie będziesz przecież twierdziła, aby fakt, że oni bronią zdrajcę, nie był miazdzący dla Żydów. Nie powiesz mi, że to nie z racji swego żydostwa.

— Mój Boże, owszem — odparła Oriana, odczuwając jakąś drażniącą chęć opierania się grzmiącemu Jowiszowi<sup>45</sup>, a także postawienia „inteligencji” ponad sprawę Dreyfusa. — Ale to może właśnie dlatego, że jako Żydzi, znając samych siebie, wiedzą, że można być Żydem, a niekoniecznie zdrajcą i wrogiem Francji, jak to twierdzi, zdaje się, pan Drumont<sup>46</sup>. Gdyby Dreyfus był chrześcijaninem, z pewnością Żydzi by się nim nie interesowali; ale to, co zrobili, zrobili dlatego, że czują, iż gdyby nie był Żydem, nie uwierzono by tak łatwo w jego zdradę *a priori*, jakby powiedział mój siostrzeniec Robert.

— Kobiety nie mają pojęcia o polityce! — wykrzyknął książę, wpijając wzrok w żonę. — Ta ohydna zbrodnia nie jest po prostu tylko sprawą żydowską; to zasadniczo olbrzymia sprawa narodowa, zdolna sprowadzić najstraszliwsze następstwa na Francję, skąd powinno by się wypędzić wszystkich Żydów, mimo że uznaję, iż sankcje dotychczasowe podjęto (w sposób niegodny, absolutnie wymagający rewizji) nie przeciw nim, ale przeciw ich najznamięnitszym przeciwnikom, ludziom pierwszorzędnej wartości, pominiętym z uszczerbkiem kraju.

Czułem, że sytuacja staje się groźna, i zacząłem czym prędzej mówić o sukniach.

— Przypomina sobie pani — rzekłem — pierwszy dzień, kiedy pani była miła dla mnie?

— Pierwszy dzień, kiedy byłam miła dla niego! — odparła księżna, patrząc ze śmiechem na pana de Bréauté, którego nos ścieńczał, uśmiech roztkliwił się przez grzeczność

---

<sup>42</sup>Zola, *Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L’Aurore” artykuł *J’Accuse!...* (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemitizm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>pucówka (daw., pot.) — ostre upomnienie; bura. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*ad hominem* (łac.) — dosł.: do człowieka; *argument ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania, skierowany do konkretnego człowieka i odwołujący się do jego poglądów w celu pokazania ich sprzeczności z przedstawioną przez niego tezą. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Jowisz (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Drumont, *Édouard* (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémite de France (Liga antysemitki Francji) w 1889 oraz antysemitki gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

dla pani de Guermentes, a głos, podobny do ostrzenia noża, wydał mętny i zardzewiały dźwięk.

— Miała pani żółtą suknię w wielkie czarne kwiaty.

— Ależ, dziecko, to jest to samo, to są wszystko suknie wieczorowe.

— A kapelus z bławatkami, który tak lubilem! Ale ostatecznie, wszystko to jest przeszłość. Chciałbym zamówić dla panienki, o której mówiłem, futrzany płaszcz, taki jak księżna miała wczoraj rano. Czy byłoby możliwe go zobaczyć?

— Nie, Hannibal musi za chwilę iść. Przyjdzie pan do mnie, garderobiana pokaże panu wszystko. Tylko, moje dziecko, ja panu chętnie pożyczę, co pan zechce, ale jeżeli rzeczy od Callota, od Douceta lub od Paquina da pan do roboty pokątnej krawcowej, to nie będzie nigdy to samo.

— Ależ ja wcale nie chcę krawcowej, znam doskonale różnicę, ale byłbym ciekaw zrozumieć, czemu to jest co innego.

— Ależ pan wie przecie, że ja nie umiem nic wytłumaczyć, ja jestem ciemna, gadam jak chłopka. To kwestia fasonu, kroju; co się tyczy futer, mogę panu dać słówko do mojego kuśnierza; w ten sposób nie okradnie choć pana. Ale pan wie, że i tak będzie to kosztowało osiem do dziewięciu tysięcy.

— A ten szlafroczek, który tak brzydko pachnie, ten, co księżna miała kiedyś wieczór, taki ciemny, puszysty, nakrapiany, przetykany złotem jak skrzydło motyla?

— A! To suknia Fortuny<sup>ego</sup>. Pańska znajoma może to świetnie nosić w domu. Mam tego dużo, pokażę panu, mogę panu nawet darować którą, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Ale chciałabym zwłaszcza, żeby pan zobaczył suknię mojej kuzynki Talleyrand. Muszę do niej napisać, żeby mi jej pożyczyła.

— Pani miała także śliczne pantofelki, czy to też Fortuny?

— Nie, już wiem co pan myśli, to złożone *chevreau*<sup>47</sup>, znaleźliśmy to w Londynie, robiąc sprawunki z Consuelo de Manchester. To nadzwyczajne. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest złożone; można by rzec złota skóra, nic więcej, i diamentek w środku. Biedna księżna de Manchester nie żyje, ale jeżeli to pana bawi, napiszę do pani de Warwick albo do pani Malborough, żeby mi znalazła podobne. Myślę nawet, czy ja nie mam jeszcze tej skóry. Dałoby się może zrobić to tutaj. Poszukam dziś wieczór, dam panu znać.

Ponieważ starałem się, o ile możliwe, wyjść od księżnej, zanim Albertyna wróci, często, wychodząc od pani de Guermentes, spotykałem w dziedzińcu pana de Charlus i Morela, którzy szli do Jupiena na herbatę — szczyt szczęścia dla barona. Nie zawsze ich spotykałem, ale bywali tam co dzień. Trzeba zresztą zauważyć, że stałość przyzwyczajęń pozostaje zazwyczaj w stosunku prostym do ich niedorzeczności. Rzeczy wspaniałe robi się zwykle jedynie wybuchowo. Natomiast egzystencje niedorzeczne, w których maniak pozbawia się sam wszystkich przyjemności i nakłada sobie największe udręki, te egzystencje zmieniają się najmniej. Co dziesięć lat, gdyby ktoś był ciekaw, odnalazłby nieszczęśnika śpiącego w porze, gdy mógłby żyć, wychodzącego w godzinach, w których można być tylko zamordowanym na ulicy, pijącego lodowate napoje, kiedy mu jest gorąco, wciąż leczącego się z kataru. Wystarczyłoby drgnienia energii jednego dnia, aby to zmienić raz na zawsze. Ale właśnie te egzystencje są losem istot niezdolnych do energii. Przywary ich są drugą fizjonomią tych monottonnych istnień, których nędzę mogłaby złagodzić odrobina woli. Te dwie fizjonomie można by na równi brać pod uwagę, mówiąc o codziennych wizytach pana de Charlus z Morelem u Jupiena. Raz tylko burza wstrząsnęła tym codziennym zwyczajem. Siostrzenica eks-krawca rzekła raz do Morela: „Owszem, niech pan przyjdzie jutro, postawię panu herbatę”. Baron słusznie uznał to wyrażenie za nazbyt pospolite jak na osobę, którą zamierzał uczynić niemal swoją synową; ale ponieważ lubił dręczyć i upajał się własnym gniewem, przeto zamiast poprosić po prostu Morela, aby dał narzeczonej lekcję dobrych manier, przez całą powrotną drogę robił mu gwałtowne sceny. Najbrutalniejszym, aroganckim tonem wykrzykiwał:

— „Dotyk”, który, jak widzę, nie idzie ręka w rękę z „takterem”, zahamował u ciebie normalny rozwój powonienia, skoro zniosłeś, aby ten cuchnący zwrot: „postawić herbatę” — za piętnaście centymów, jak sądzę — ośmielił się obrazić swoim kloacznym zapachem moje królewskie nozdrza! Kiedyś skończył solo skrzypcowe, czyś widział kiedy

<sup>47</sup>*chevreau* (fr.) — kozia skóra. [przypis edytorski]

u mnie, aby cię nagradzano przyknięciem zamiast frenetycznego<sup>48</sup> oklasku lub milczenia, wymowniejszego jeszcze, bo wyrażającego niemożność powstrzymania, nie tego, czym cię darzy twoja narzeczona, ale łez któreś wycisnął?

Kiedy urzędnik ściągnie na siebie takie wymówki szefa, wylatuje nazajutrz. Ale odprawić Morela byłoby dla pana de Charlus katastrofą; obawiając się nawet, że się posunął za daleko, zaczął obsypywać młodą dziewczynę pochwałami subtelnymi i pełnymi smaku, z domieszką bezwiednych impertynencji.

— Ona jest czarująca tak jak ty jesteś muzyk; musiała cię urzec swoim głosem, istotnie bardzo pięknym w wysokich nutach, jakby wyczekujących akompaniamentu twojego wysokiego *b*. Jej niski rejestr mniej mi się podoba, co musi być w związku z trzema kondygnacjami jej dziwnej i szczupłej szyi, piętrzącej się bez końca. Bardziej od tych wątpliwych szczegółów podoba mi się jej sylweta. A że jest szwaczką i umie manipulować nożyczkami, musi mi wystrzyc swoją sylwetkę z papieru.

Charlie słuchał z roztargnieniem, zwłaszcza że sławione uroki narzeczonej nigdy go nie uderzyły. Ale odpowiedział baronowi:

— Dobrze, maluśki, zmyję jej głowę, aby nie mówiła w ten sposób.

Jeżeli Morel mówił do pana de Charlus „maluśki”, to nie znaczy, aby piękny skrzypek nie wiedział, że baron jest trzy razy starszy od niego. Nie mówił też tego tak, jak by powiedział Jupien, ale z ową prostotą, jaka w pewnych stosunkach żąda, aby przekreślenie różnicy wieku milcząco wyprzedzało czułość. Czułość udaną u Morela; u innych — czułość szczerą. I tak w tej epoce pan de Charlus otrzymał list zredagowany w ten sposób: „Palamedzie<sup>49</sup> drogi, kiedy cię znów zobaczę? Tęsknię za tobą i myślę często o tobie. — Piotr”. Pan de Charlus łamał sobie głowę, kto z krewnych pozwala sobie pisać doń tak poufale; musiał go widocznie dobrze znać, a mimo to nie mógł poznać pisma. Wszyscy książęta, którym Almanach Gotajski użycza po kilka wierszy, kręcili się przez parę dni po mózgu pana de Charlus. W końcu, nagle, adres na odwrocie koperty oświecił go: autorem listu był „strzelec”<sup>50</sup> z karcianego klubu, gdzie pan de Charlus zachodził czasami. Ów strzelec nie sądził, aby było niegrzecznie pisać w tym tonie do pana de Charlus, który mu przeciwnie bardzo imponował. Ale myślał, że nie byłoby uprzejmie nie „tykać” człowieka, który go sporo razy całował i tym samym — tak sobie chłopak wyobrażał w swojej naiwności — okazał mu swoje przywiązanie. Pan de Charlus był w gruncie zachwycony tą poufalością. Odprowadził raz nawet pana de Vaugoubert, aby mu pokazać list, a Bóg wie jak baron źle znosił towarzystwo pana de Vaugoubert! Bo ten, z monoklem w oku, rozglądał się cały czas za każdym przechodzącym młodym człowiekiem. Co więcej, czując się śmielszy w towarzystwie barona, używał języka, którego pan de Charlus nie znosił. Żeńszczył wszystkie męskie imiona, że zaś był bardzo głupi, uważał ten żarcik za nader dowcipny i cały czas pękał ze śmiechu. Ponieważ zależało mu przy tym bardzo na swoim dyplomatycznym stanowisku, ową niecierpliwą jowialność przerywał ciągle lęk przed spotkaniem kogoś z towarzystwa, zwłaszcza zaś z ministerstwa. „Znałem tę małą telegrafistkę — mówił, trącając łokciem nachmurzonego barona — znałem ją, ale potem sporządzała brzydula! Och, ten goniec z Galeries Lafayette, co za cudo! Mój Boże, idzie dyrektor ministerstwa handlu. Byle tylko nic nie zauważył. Byłby zdolny zaraportować to mojemu ministrowi, który by mnie wysłał na zieloną trawkę, zwłaszcza, że, jak się zdaje, i on należy do cechu”. Pan de Charlus nie posiadał się z wściekłości. W końcu, aby

<sup>48</sup>frenetyczny — gwałtowny, entuzjastyczny. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Palamedes (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odyszeusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obłąkanego; w zemście za to Odyszeusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odyszeusza i Diomedesa; wg innej wersji zabili go podczas połowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>strzelec — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonymi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maksyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach), jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

skrócić ten rozpaczliwy spacer, wyjął list i dał go odczytać ambasadorowi, ale zalecił mu dyskrecję, bo udawał, że Charlie jest zazdrosny, aby tym dać do zrozumienia, że skrzypek go kocha. I dodał tonem nieoszacowanej dobroci: „Tak, trzeba się zawsze starać, aby robić możliwie najmniej przykrości”.

Zanim wrócimy do sklepu Jupiena, autor pragnie powiedzieć, jak dalece byłoby mu przykro, gdyby czytelnik zgorszył się tak szczególnymi obrazami. Z jednej strony (co jest mniej ważne), wiele osób uważa, że arystokracja stosunkowo bardziej w tej książce podpada pod zarzut degeneracji niż inne klasy. Gdyby tak i było, nie byłoby w tym nic bardzo dziwnego. Najstarsze rodziny streszczają w końcu w czerwonym i garbatym nosie, w niekształtnym podbródku, swoiste oznaki powszechnie podziwianej „rasy”. Ale pośród tych trwałych i coraz wyrazistszych rysów są inne, niewidoczne: mianowicie skłonności i gusty. Poważniejszym zarzutem — gdyby był uzasadniony — byłoby, że wszystko to jest nam obce i że trzeba czerpać poezję z najbliższej prawdy. Owszem, sztuka dobyta z najpospolitszej rzeczywistości istnieje i dziedzina jej jest może największa. Niemniej prawdą jest, że doniosłe rzeczy, czasem piękno, mogą się rodzić z postępów i z form duchowych tak odległych od naszych uczuć i wierzeń, że nie możemy nawet ich zrozumieć; uderzają nasze oczy niby zjawisko pozbawione przyczyny. Cóż poetyczniejszego niż Kserkses<sup>51</sup>, syn Dariusza, chłostający różgami morze, które pochłonęło jego okręty?

Tyle jest pewne, że Morel, korzystający z władzy, jaką uroda dawała mu nad młodą dziewczyną, powtórzył jej — niby to w swoim imieniu — uwagę barona, wyrażenie bowiem: „postawić herbatę” znikło ze sklepu krawca tak doszczętnie, jak znika na zawsze z salonu bliska osoba, którą ktoś przyjmował co dzień, a z którą z tej lub innej przyczyny poróżnił się lub którą pragnie ukryć i spotyka tylko poza domem. Pan de Charlus był zadowolony, że „stawianie herbaty” znikło. Ujrzał w tym dowód swego wpływu na Morela i usunięcie jedynej plamki na doskonałościach młodej dziewczyny. Wreszcie, jak wszyscy ludzie tego rodzaju, będąc szczerym przyjacielem Morela i jego półnarzeczonej, gorącym zwolennikiem ich związku, dość był skłonny wniecać mniej lub więcej niewinne zwady, poza którymi — i ponad którymi — sam pozostawał olimpijski, niczym jego brat, książkę Błażej.

Morel powiedział panu de Charlus, że kocha siostrzenicę Jupiena, że się chce z nią żenić; baron zaś znajdował słodycz w tym, aby towarzyszyć swemu młodemu przyjacielowi na tych wizytach, grając rolę pobłażliwego i dyskretnego teścia. Przepadał za tym.

Osobiście jestem przekonany, że „stawianie herbaty” pochodziło od samego Morela i że w zaślepieniu miłości młoda krawcowa przejęła od ukochanego zwrot odbijający trywialnością od jej pięknego wysłowienia. Owo jej wysłowienie, dystyngowany sposób bycia będący z nim w harmonii, protekcja pana de Charlus, wszystko to sprawiło, że wiele klientek przyjmowało ją jak przyjaciółkę; zapraszały ją na obiad, wciągały ją w swoje kółko, z czego młoda osoba korzystała jedynie za zezwoleniem barona i w dni, które mu odpowiadały. „Młoda krawcowa bywająca w świecie! — powie ktoś — cóż za nieprawdopodobieństwo!”. Gdyby tak brać, równie mało prawdopodobne było, że Albertyna odwiedzała mnie niegdyś o północy, a teraz żyła ze mną. I może byłoby to nieprawdopodobne z inną, ale nie z Albertyną, niemającą ojca i matki, wiodącą życie tak swobodne, że z początku wzięłam ją w Balbec za przyjaciółkę cyklisty; mającą jako najbliższą krewną panią Bontemps, która już u pani Swann podziwiała w siostrzenicy jedynie złe maniere, a teraz przymykała oczy, zwłaszcza jeśli to mogło ją uwolnić od Albertyny, zapewniając jej bogate małżeństwo, z którego trochę pieniędzy przeszłoby do ciotki. (W największym świecie matki wybornie urodzone a biedne, zapewniwszy synowi bogate małżeństwo, żyją na koszt młodej pary, przyjmują futra, auto, pieniądze synowej, której nie lubią, a którą wprowadzają w świat).

Przyjdzie może dzień, że krawcowe (co by mnie wcale nie gorszyło) zaczną bywać w świecie. Siostrzenica Jupiena, będąc wyjątkiem, nie może jeszcze być wróżbą w tej mierze; jedna jaskółka nie stanowi wiosny. W każdym razie, jeżeli owa tak skromna wszakże „kariera” siostrzenicy Jupiena gorszyła niejednych, nie gorszyła z pewnością Morela. Głu-

<sup>51</sup>Kserkses (ok. 518–465 p.n.e.) — król perski, w 480 roku p.n.e. wyruszył z ogromną, wielonarodową armią na podbój Grecji. Podczas wyprawy nakazał zbudować most w celu przeprowadzenia armii przez cieśninę Hellespont, oddzielającą Azję Mniejszą od Europy. Kiedy świeżo zbudowany most został zniszczony przez potężną burzę, władca rozkazał ukarać morze biczowaniem i wrzucić w głębinę kajdany. [przypis edytorski]

pota jego na niektórych punktach była taka, że nie tylko uważał tę młodą dziewczynę, tysiąc razy inteligentniejszą od niego, za „głupią” (może tylko dlatego, że go kochała), ale również miał za awanturnice, za szwaczki przebrane i udające damy, bardzo dobrze sytuowane osoby, które ją gościły, a których zaproszenia przyjmowała z całą skromnością. Oczywiście to nie byli Guermantowie, ani nawet ich znajomi; ale to były panie „z miasta”, bogate, eleganckie, o poglądach na tyle szerokich, aby nie uważać za hańbę przyjaźni z krawcową, a równocześnie na tyle ciasnych, aby znajdować przyjemność w popieraniu dziewczyny, którą Jego Wysokość baron de Charlus odwiedza (w najlepszych intencjach) co dzień.

Nic bardziej nie odpowiadało baronowi niż pomysł tego małżeństwa; w ten sposób sądził, że nie straci Morela. Zdaje się, że siostrzenica Jupiena niemal jeszcze dzieckiem popełniła „błąd”. I pan de Charlus, wychwalając ją przed Morelem, rad byłby zdradzić to przyjacielowi (który byłby wściekły), aby w ten sposób zasiać niezgodę. Bo pan de Charlus, mimo że piekielnie złośliwy, podobny był do wielu poczciwych ludzi, którzy wychwalają kogoś, aby dowieść własnej dobroci, ale strzegłby się jak ognia zbawiennych, a tak rzadko wypowiedanych słów zdolnych zapewnić pokój. Mimo to baron unikał wszelkiej insynuacji, a to z dwóch przyczyn. „Jeżeli opowiem Morelowi — powiedział sobie — że jego narzeczona nie jest bez skazy, zrani to jego ambicję, będzie miał do mnie żal. A potem, któż wie, czy on się w niej nie kocha? Jeżeli nie powiem nic, ten słomiany ogień rychło zgaśnie, będę kierował ich stosunkami, będzie ją kochał jedynie tyle, ile ja sobie będę życzył. Jeżeli mu opowiem miniony błąd jego przyszłej, kto mi ręczy, czy Charlie nie jest jeszcze na tyle zakochany, aby się stać zazdrosny? Wówczas, z własnej winy, flirt bez znaczenia, którym można powodować do woli, przemienię w wielką miłość, rzecz trudną do kierowania”. Z dwóch tych przyczyn pan de Charlus zachowywał milczenie, które miało jedynie pozory dyskrecji, ale które skądinąd nie było bez zasługi, bo milczenie jest prawie niepodobieństwem<sup>52</sup> dla ludzi jego rodzaju.

Zresztą młoda osoba była urocza, i pan de Charlus, któremu dawała wszystkie przyjemności estetyczne, jakie mógł znajdować w kobietach, byłby chciał mieć setki jej fotografii. Będąc inteligentniejszy od Morela, słyszał z przyjemnością nazwiska pań, które ją przyjmowały, a które jego zmysł towarzyski właściwie taksował; ale strzegł się (chcąc zachować władzę) powiedzieć to Morelowi, który z chamską tępotą wciąż wierzył, że poza jego „klasą skrzypcową” i Verdurinami istnieją jedynie Guermantowie, kilka rodzin omal nie królewskich, wymienionych przez barona, wszystko zaś inne to tylko „szumowiny” i „pospólstwo”. Te wyrażenia pana de Charlus brał Charlie dosłownie.

Pośród racji, które czyniły pana de Charlus szczęśliwym z małżeństwa dwojga młodych, była i ta, że siostrzenica Jupiena stałaby się poniekąd rozszerzeniem osobowości Morela, a przez to władzy barona nad skrzypkiem i kontaktu z nim. „Oszukać” w sensie małżeńskim przysłał żonę skrzypka — to by nie obudziło w panu de Charlus najmniejszego skrupułu. Ale być mentorem „młodego małżeństwa”, czuć się groźnym i wszechpotężnym protektorem żony Morela, która widząc w baronie boga, dowodziłaby przez to, że ukochany Morel wszczepił jej owo pojęcie, i zawierałaby w ten sposób coś z Morela, wszystko to urozmaicało panu de Charlus sposób jego panowania. Jego „rzecz”, Morel, stawał się jedną istotą więcej, małżonkiem, czyli przedmiot miłości barona zyskiwał coś innego, nowego, zajmującego. Panowanie to byłoby może nawet większe teraz niż kiedykolwiek. Bo tam gdzie Morel sam — „nagi”, aby tak rzec — opierał się często baronowi, pewien, że go łatwo odzyska, ożeniwszy się, bardziej by się bał o los swego małżeństwa, swego domu, swojej przyszłości, tym samym nastęrczałby pragnieniom pana de Charlus większą powierzchnię i łatwiejszy uchwyt. Wszystko to nęciło pana de Charlus, a także myśl, iż w dni, kiedy by się nudził, mógłby wzniecić wojnę między małżonkami: baron zawsze dosyć lubił batalistyczne obrazy... Jeszcze milsza była mu myśl o zależności, w jakiej będzie trzymał młode stadło<sup>53</sup>. Miłość pana de Charlus do Morela odzyskiwała rozkoszną świeżość, kiedy sobie powiedział: „Żona jego będzie też moją, tak jak on jest mój; będą robili tylko to, co mnie będzie na rękę, będą posłuszni moim kaprysom. W ten sposób ona będzie nieznanym mi dotąd symbolem tego, o czym prawie zapomniałem,

<sup>52</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>stadło (daw.) — małżeństwo; para małżeńska. [przypis edytorski]

a co jest tak słodkie memu sercu: że dla całego świata, dla tych, co będą widzieli, że się nimi opiekuję, że im daję mieszkanie, dla mnie samego wreszcie — Morel jest mój”. Ta oczywistość w oczach ludzi i w jego własnych oczach upajała barona bardziej niż wszystko inne. Bo posiadanie przedmiotu miłości jest radością większą jeszcze niż miłość. Często ci, co kryją światu owo posiadanie, czynią to jedynie z obawy, aby im nie wydarto ich ukochania. I przez to ostrożne milczenie szczęście ich ubożeje.

Czytelnik przypomina sobie może, że Morel powiedział niegdyś baronowi, iż pragnieniem jego byłoby uwieść młodą dziewczynę, właśnie tę, siostrzenicę Jupiena; aby tego dopiąć, przyrzekłby jej małżeństwo, po czym zgwałciwszy ją, „dałby nogę”; ale wobec późniejszych wynurzeń Morela, jakoby zakochanego w tej dziewczynie, pan de Charlus zapomniał o tym. Może zapomniał i sam Morel. Był może nawet istotny przedział między naturą Morela — taką, do jakiej się cynicznie przyznał, może nawet zręcznie przesadził — a chwilą, w której wzięłaby ona górę. W miarę rosnącej zażyłości dziewczyna podobiała mu się coraz więcej, kochał ją. Tak mało znał samego siebie, że wyobrażał sobie z pewnością, że ją kocha, może nawet na zawsze! Z pewnością jego początkowa chęć, jego zbrodniczy zamiar trwał nadal, ale pokryte taką warstwą innych uczuć, że nic nie świadczy przeciw szczeroci skrzypka, gdy mówił, że owo występne pragnienie nie było jego prawdziwą pobudką. Był zresztą krótki okres, kiedy mimo iż sobie tego jasno nie mówił, małżeństwo to zdawało mu się konieczne. Morel cierpiał wówczas na dość silne kurcze w ręce i liczył się z możliwością porzucenia skrzypiec. Ponieważ poza swoją sztuką był nieopisanie leniwy, musiał szukać kogoś, kto by go utrzymywał; wolał, żeby to była raczej siostrzenica Jupiena niż pan de Charlus; ta kombinacja zostawiała mu więcej swobody, a także większy wybór kobiet, zarówno wśród nowych „podręcznych”, które siostrzenica Jupiena musiałaby mu stręczyć, jak wśród pięknych i bogatych dam, którym on by stręczył ją samą. To, że przyszła jego żona mogłaby być na tyle przewrotna, aby się nie zgodzić na takie kombinacje, nie powstało ani na chwilę Morelowi w głowie. Zresztą odkąd kurcz w ręce przeszedł, rachuby zeszyły na dalszy plan, zostawiając miejsce czystej miłości. Wystarczyłyby skrzypce wraz z apanażami od pana de Charlus; skoroby zaś Morel już był żonaty, wymagania barona osłabłyby z pewnością. Małżeństwo było rzeczą pilną, tak dla jego miłości, jak w interesie jego swobody. Poprosił formalnie o rękę młodej dziewczyny, do której decyzji Jupien się odwołał. Zresztą to nie było potrzebne. Miłość okrywała ją całą, jak włosy, kiedy je rozplotła, jak radość jej omdlałych spojrzeń. U Morela wszystko prawie, co mu było przyjemne lub korzystne, rodziło jednakowe wzruszenia i słowa, czasem nawet lży. Szczerze zatem — jeżeli można do niego zastosować ten wyraz — znajdował dla siostrzenicy Jupiena zwroty równie sentymentalne (sentymentalne są też słowa, jakie młodzi arystokraci, mający ochotę nic nie robić całe życie, zwracają do uroczej córki olbrzymio bogatego parweniusza), jak niegdyś jawnie nikczemne były te, w których rozmawiając z panem de Charlus, planował jej uwiedzenie i gwałt. Tylko że cnotliwy entuzjazm w stosunku do osoby, której pożądał, oraz uroczyście zobowiązania wobec niej miały u Morela swoją przeciwwagę. Z chwilą gdy przestał pragnąć lub kiedy obowiązek zaczął mu być uciążliwy, ta sama osoba stawała się dlań natychmiast przedmiotem antypatii. Antypatia ta, którą umiał usprawiedliwić we własnych oczach, pozwalała mu po paru atakach nerwów i powrocie do równowagi dowieść samemu sobie, że nawet biorąc rzecz wysoce moralnie, wolny jest od wszelkich zobowiązań. Tak na przykład pod koniec pobytu w Balbec Morel stracił nie wiem już na co wszystkie pieniądze; nie śmiejąc wyznać tego panu de Charlus, szukał, od kogo by je wydostać. Nauczył się od ojca (który jednak zabronił mu zostać „naciągaczem”), iż w podobnym wypadku wypada napisać do upatrzonej osoby, że się z nią chce „pomówić w sprawie osobistej”, że się ją „prosi o spotkanie w pewnej sprawie”. Magiczna ta formuła tak oczarowała Morela, że byłby, jak sędzę, chętnie stracił pieniądze dla samej przyjemności poproszenia o schadzki „w pewnej sprawie”. Z czasem przekonał się, że ta formuła nie posiada mocy, którą jej przypisywał. Stwierdził, że ludzie, do których nie byłby nigdy napisał w innych okolicznościach, nie kwapią się odpowiedzieć w pięć minut po otrzymaniu listu „w pewnej sprawie”. Jeżeli upłynęło pół dnia, a Morel nie otrzymał odpowiedzi, nie przychodziło mu na myśl, że nawet biorąc rzeczy najpomyślniej, nagabywany jegomość może nie wrócił do domu, może miał inne pilne listy, mógł być zresztą w podróży albo chory itd. Jeżeli — wyjątkowo szczęśliwie — naznaczył spotkanie na drugi dzień, Morel przystępował do



ofiary z tymi słowami: „Właśnie dziwiłem się, że nie mam odpowiedzi; zastanawiałem się, czy coś nie zaszło; zatem zdrowie pańskie jest zawsze dobre” itd. Tak więc w Balbec poprosił mnie, żebym go przedstawił temuż Blochowi, dla którego był tak niegrzeczny w kolejce tydzień wprzód; ale nie zdradził się przede mną, że chce mówić z Blochem „w pewnej sprawie”. Bloch nie zawahał się pożyczyć — lub raczej skłonić pana Nissim Bernard do pożyczania Morelowi — pięciu tysięcy franków. Od tego dnia Morel ubóstwiał Blocha. Zastanawiał się ze łzami w oczach, jak mógłby się odwdziżyć komuś, kto mu ocalił życie. W końcu podjąłem się uprosić pana de Charlus o tysiąc franków miesięcznie dla Morela; pieniądze te miał Morel przekazywać Blochowi, spłacając go w ten sposób dość szybko. Pierwszego miesiąca Morel, jeszcze pod wrażeniem dobroci Blocha, przesłał mu bezzwłocznie tysiąc franków; ale potem znalazł najwidoczniej inny, przyjemniejszy użytek dla pozostałych czterech tysięcy franków, bo zaczął mówić bardzo źle o Blochu. Widok Blocha wystarczał, aby mu zepsuć humor. Bloch, zapomniawszy, ile ściśle pożyczył Morelowi, upomniał się o trzy i pół tysiąca franków w miejsce czterech tysięcy, co by skrzypkowi oszczędziło pięćset franków; na co Morel gotował się odpisać, że wobec podobnego kłamstwa nie tylko nie zapłaci już ani centyma<sup>54</sup>, ale wierzyciel jego może mówić o szczęściu, że go nie skarży do sądu. Kiedy Morel to mówił, oczy mu błyszczały. Nie zadowolili się zresztą twierdzeniem, że Bloch i pan Nissim Bernard nie mogą mieć do niego żadnych pretensji, a raczej powinni by się czuć szczęśliwi, że on nie ma pretensji do nich. Podobno pan Nissim Bernard oświadczył kiedyś, że Thibaut gra nie gorzej od Morela; otóż skrzypek uważał, że powinien by go pozwać, że tego rodzaju gadania szkodzą mu w jego zawodzie; wołał, że nie ma już sprawiedliwości we Francji, zwłaszcza na Żydów (antysemityzm był u Morela naturalnym skutkiem pięciu tysięcy franków pożyczonych od Izraelity), i nie ruszał się już z domu bez rewolweru. Podobny stan nerwowy po okresie gorącej miłości miał się niebawem objawić u Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena. Pan de Charlus odegrał może bezwiednie pewną rolę w tej odmianie; często bowiem oświadczał, nie wierząc w to ani trochę, ot, aby się droczyć, że skoro się pobiorą, przestanie się nimi zajmować i pozwoli im bujać o własnych siłach. Ta myśl nie wystarczała sama w sobie, aby oderwać Morela od narzeczonej; ale utkwiszszy w jego głowie, mogła się kiedyś skombinować z innymi myślami mającymi z nią powinowactwo i zdolnymi — gdy nastąpi połączenie chemiczne — stać się potężnym czynnikiem zerwania.

Nie zdarzało mi się zresztą zbyt często spotykać pana de Charlus i Morela. Czasem weszli już do sklepu, zanim pożegnałem księżnę; przyjemność bowiem, jaką znajdowałem w jej towarzystwie, była taka, że pod jej urokiem zapomniałem nie tylko trwożnego oczekiwania poprzedzającego powrót Albertyny, ale nawet godziny tego powrotu.

Spośród dni, w które zasiadywałem się u pani de Guermentes, wspomnę jeden, upamiętniony drobnym wydarzeniem, którego okrutny sens zrozumiałem dopiero znacznie później. Tego popołudnia pani de Guermentes dała mi, wiedząc, że lubię te kwiaty, bez turecki przybyły z południa. Kiedy pożegnawszy księżnę, szedłem do siebie, Albertyna wróciła już; minąłem się na schodach z Anną, którą uderzył silny zapach kwiatów.

— Jak to, jużście wrócili? — rzekłem.

— Ledwo przed chwilą, ale Albertyna miała pisać jakieś listy, odprawiła mnie.

— Nie sądzisz, że ona ma jakieś złe zamiary?

— Ani trochę; pisze, zdaje się, do ciotki. Ale wiesz, ona nie lubi zbyt silnych zapachów, nie będzie zachwycona twoim bzem.

— W takim razie miałem nieszczęśliwą myśl! Powiem Franciszce, żeby go postawiła w sieni koło kuchennych schodów.

— Ty sobie wyobrażasz, że Albertyna nie poczuje od ciebie zapachu bzu? Obok tuberozy to jest najuporczywszy; zresztą, zdaje mi się, że Franciszka poszła za jakimś sprawnikiem.

— W takim razie jak ja się dostanę, właśnie dziś nie wziąłem klucza.

— Och, zadzwonisz po prostu, Albertyna otworzy. Tymczasem może Franciszka wróci.

<sup>54</sup>centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

Pożegnałem Annę. Za pierwszym dzwonkiem Albertyna przyszła otworzyć, co było dość skomplikowane, bo Franciszka zeszła na dół, a Albertyna nie wiedziała, jak się zapala światło. W końcu zdołała mnie wpuścić, ale zapach bzu spłoszył ją. Postawiłem kwiaty w kuchni, tak iż przerwawszy list (nie rozumiałem czemu), Albertyna miała czas udać się do mojego pokoju. Zawołała mnie, zastałem ją wyciągniętą na łóżku. Na razie wydało mi się to znów całkiem naturalne, co najwyżej nieco mętne, w każdym razie nieznaczące. Albertyna, omal nie przydybana z Anną, zyskała nieco na czasie, gasząc wszystkie światła, idąc do mnie, abym nie spostrzegł jej łóżka w nieładzie, i udając, że właśnie pisała. Ale wszystko to pokaże się później; nigdy zresztą nie dowiedziałem się, czy i to było prawdą.

Na ogół, z wyjątkiem tego jednego zdarzenia, wszystko odbywało się normalnie, kiedy wracałem od księżnej. Ponieważ Albertyna nie wiedziała, czy nie zechcę z nią wyjść przed obiadem, zastawiałem zazwyczaj w przedpokoju jej kapelusz, płaszczyk, parasolkę; zostawiała je tam na wszelki wypadek. Z chwilą gdy wchodząc, widziałem te rzeczy, atmosfera domu stawała mi się możliwa. Czulem, że w miejsce rozrzedzonego powietrza wypełnia go szczęście. Smutek mój pierzchał, widok tych drobiazgów dawał mi uczucie posiadania Albertyny, biegłem do niej.

W dni, w które nie zachodziłem do pani de Guermites, przez godzinę poprzedzającą powrót mojej przyjaciółki przeglądałem dla zabicia czasu jakiś album Elstira, książkę Bergotte'a, sonatę Vinteuila.

Dzieła sztuki zwracając się na pozór jedynie do wzroku i słuchu, wymagają jednak, aby i nasza rozbudzona inteligencja współpracowała najściślej z tymi dwoma zmysłami; dawałem tedy bezwiednie folgę marzeniom, jakie nieznajoma jeszcze Albertyna wzbudziła we mnie niegdyś; marzeniom zgaszonym później przez codzienne życie. Rzucałem je we frazę muzyka lub w obraz malarza niby w tygiel; syciłem nimi książkę, którą czytałem, i bez wątpienia stawała mi się przez to żywsza. Ale i Albertyna zyskiwała na tym przeniesieniu z jednego z dwóch światów, do których mamy dostęp i w których możemy mieścić na przemian dany przedmiot; umykała się w ten sposób miażdżącemu ciśnieniu materii, aby igrać w płynnych regionach myśli. I przez chwilę ta dziewczyna, którą byłem tak znudzony, budziła we mnie płomienne uczucia. Oblekała w takich momentach kształt jakiegoś dzieła Elstira lub Bergotte'a, oglądana w perspektywie wyobraźni i sztuki rodziła we mnie chwilowy zachwyty.

Niebawem uprzedzano mnie, że Albertyna właśnie wróciła; przy czym wzbronione było wymieniać jej imię, jeżeli nie byłem sam, kiedy na przykład był u mnie Bloch; zatrzymywałem go wówczas jeszcze przez chwilę, tak aby się nie mógł spotkać z Albertyną. Kryłem się z tym, że ona mieszka u mnie, a nawet, że ją przyjmuję u siebie, tak dalece bałem się, aby któryś z moich przyjaciół nie zadurzył się w niej, nie czekał na nią na ulicy, lub aby spotkawszy się z nim w korytarzu lub w przedpokoju, Albertyna nie mogła dać jakiegoś znaku i umówić spotkania. Potem słyszałem szelest sukni: to Albertyna szła do swego pokoju; przez delikatność (a z pewnością także przez owe względy, które niegdyś, w czasie naszych obiadów w la Raspelière, kazały jej unikać wszystkiego, co by mogło podsycić moją zazdrość) nie wchodziła do mnie, gdy wiedziała, że nie jestem sam. Ale zrozumiałem naraz, że nie tylko dlatego. Przypominałem sobie: znałem pierwszą Albertynę, potem nagle zmieniła się w inną, tę, którą znałem dziś. I tę zmianę mogłem przypisać jedynie sobie. Wszystko to, co byłaby mi wyznała łatwo — nawet chętnie, wówczas gdyśmy byli z sobą jak dobrzy koledzy — zamarło na jej ustach, odkąd sądziła, że ją kocham, lub odkąd, nie nazywając może tego wręcz miłością, odgadła inkwizytorskie uczucie, które chce wiedzieć, cierpi, że wie, i sili się dowiedzieć więcej. Od tego dnia ukrywała przede mną wszystko. Wracała spod mojego pokoju, jeżeli sądziła, że jestem z kimś (często nawet nie z przyjacielem, ale z jakąś przyjaciółką); ona, której oczy tak się ożywiały niegdyś, kiedy mówiłem o jakiejś młodej dziewczynie: „Trzeba się starać ją ściągnąć, tak bym miała ochotę ją poznać”. — „Ale ona jest, jak ty nazywasz, »w podejrzanym rodzaju«”. — „Właśnie, to będzie tym zabawniejsze”.

W takiej chwili zdołałbym się może dowiedzieć wszystkiego. I nawet kiedy tam, w kasynie, odkleiła piersi od piersi Anny, nie sądzę, aby to było z mojego powodu; raczej z powodu Cottarda, który mógłby je (tak z pewnością myślała) obmówić. A jednak wówczas już zaczynała sztywnieć, nie mówiła już tak swobodnie jak wprzód, stała się oględna w gestach. Stopniowo zaczęła unikać wszystkiego, co by mnie mogło zaniepo-

koić. Partiom swojego życia, których nie znałem, dawała charakter naiwnie przeze mnie przyjmowanej niewinności. Teraz zmiana była całkowita; o ile nie byłem sam, Albertyna szła prosto do siebie, nie tyle dlatego, aby mi nie przeszkadzać, ale aby pokazać, że jej nikt inny nie interesuje. Jednego nie zrobiłaby już dla mnie nigdy, tego, co zrobiłaby wówczas, kiedy mi to było obojętne — i zrobiłaby bez trudu właśnie dla tej przyczyny — mianowicie tego, żeby się przyznać. Na zawsze już będę musiał, jak sędzia śledczy, wyciągać niepewne konkluzje z niebaczących słów, które dałoby się może wytłumaczyć bez doszukiwania się winy. I zawsze będzie we mnie czuła zazdrośnika i sędziego.

Nad słuchując kroków Albertyny z owym lubym poczuciem, że nie wyjdzie już tego wieczora, podziwiałem fakt, że dla tej młodej dziewczyny, o której poznaniu niegdyś nie śmiałem marzyć, „wracać co dzień do siebie”, znaczy właśnie wracać do mnie. Tajemnicze i zmysłowe szczęście, cząstkowe i ulotne, którego doświadczałem w Balbec owego wieczora, kiedy Albertyna nocowała w hotelu, skompletowało się, ustabilizowało, wypełniało moje mieszkanie, niegdyś puste, trwałym zapasem słodczy, domowej, niemal rodzinnej, promieniując nawet w korytarz; słodczy, którą karmiły się spokojnie wszystkie moje zmysły, to faktycznie, to (kiedy byłem sam) przez wyobraźnię i w oczekiwaniu powrotu Albertyny. Kiedyś usłyszał, że się zamykają drzwi do jej pokoju, wówczas, o ile był u mnie ktoś z przyjaciół, starałem się go wyprawić czym prędzej, wyprowadzając go aż na schody, czasem nawet schodziłem z nim kilka stopni. Przyjaciół mówił mi, że się zaziębię, zwracał uwagę, że nasz dom jest lodowaty, pełen przeciągów i że drogo trzeba by mu płacić za to, aby tu zamieszkał. Skarżyli się na to zimno, dlatego że się dopiero zaczęło i że jeszcze do niego nie przywykli; ale we mnie z tego samego powodu wzniecało ono radość wraz z bezwiednym wspomnieniem pierwszych zimowych wieczorów, kiedy wróciwszy niegdyś z podróży, szedłem do *café concert*, aby znów skosztować zapomnianych rozkoszy Paryża. Toteż rozstawszy się z dawnym kolegą, nucąc, wbiegałem na schody i wracałem do mieszkania. Ciepła pora, pierzchając, zabrała ze sobą ptaki. Ale zastąpili je inni muzycy, niewidzialni, wewnętrzni. I oczerniony przez Blocha lodowaty wiatr, dmący rozkosznie przez nieszczelne drzwi, witały z uniesieniem — jak ptaki leśne witają piękne letnie dni — bez końca refreny Fragonara, Mayola lub Paulusa. Albertyna wychodziła naprzeciw mnie na korytarz. „Czekaj, pójde się rozebrać, a tymczasem przyślę ci Annę; wpadła na chwilę, żeby ci powiedzieć dobranoc”. I nie zdjąwszy jeszcze szarego woala związającego z szynszylowego toczka (dałem go jej w Balbec), znikła w swoim pokoju, tak jakby odgadła, że Anna, czuwająca nad nią z mojego zlecenia, miała, podając mi szczegóły, wspominać o spotkaniu znajomej osoby, wprowadzić coś konkretnego w mgliste regiony będące terenem spaceru, który im zajął cały dzień, a którego nie umiałem sobie wyobrazić.

Wady Anny zaakcentowały się; nie była już taka miła jak wówczas, kiedy ją poznałem. Był w niej teraz podskórnie jakiś cierpki niepokój, gotowy zerwać się jak wicher morski, gdybym tylko wspomniał o czymś, co było przyjemne dla Albertyny i dla mnie. Nie przeszkadzało to, że Anna mogła być lepsza dla mnie, kochać mnie bardziej niż ludzie miłsi od niej. Często miałem tego dowody. Ale najłżejsza oznaka czyjegoś szczęścia, o ile to szczęście nie płynęło z niej, budziło w niej odruch nerwowy, przykry jak łoskot zbyt mocno zamykanych drzwi. Uznawała cierpienia, w których nie miała udziału, ale nie uznawała takich przyjemności; kiedy widziała, że mój chory, martwiła się, współczuła, pielęgnowałaby mnie w potrzebie. Ale kiedy miałem przyjemność, choćby tak bląhą jak wyciągnąć się błogo, zamykając książkę, i rzec: „Och, spędziłem dwie rozkoszne godziny, czytając zajmującą książkę”, słowa te, które sprawiłyby przyjemność matce, Albertynie, Robertowi, budziły w Annie rodzaj niezadowolenia, może po prostu nerwowej niechęci. Moje przyjemności zawsze drażniły ją i nie mogła tego ukryć. Wad tych dopełniały inne, poważniejsze; pewnego dnia, kiedy mówiłem o owym młodym człowieku, będącym niegdyś tak blisko z ich „bandą” w Balbec, tak biegłym w sprawach wyścigów, gier, golfa, a tak ciemnym we wszystkim innym, Anna zaśmiała się szyderczo: „Pan wie, że jego ojciec coś ukradł, omal nie dostał się do kryminału. Chcą brawurować, ale ja z przyjemnością opowiadam to całemu światu. Chciałabym, żeby mnie zaskarżyli o potwarz. Ładne rzeczy mogłabym zeznać!”. Oczy jej błyszczały. Otóż dowiedziałem się, że ojciec młodego człowieka nie dopuścił się żadnego przestępstwa i że Anna wiedziała o tym lepiej od innych. Ale sądziła, że syn wzgardził nią, szukała tedy czegoś, co by go mogło

zaboleć, przynieść mu wstyd, wyroila jakieś zeznania, które miała składać w imaginacji, i póty haftowała sobie różne szczegóły, aż w końcu zatraciła świadomość ich fałszu. Toteż w obecnej fazie (pominawszy nawet krótkie i zapamiętałe nienawiści Anny) byłbym wołał jej nie widywać, choćby z powodu tej niezyczliwej podejrzliwości, która lodowatą i cierpką strefą niechęci okoliła prawdziwą jej naturę — cieplejszą i lepszą. Ale wiadomości, które ona jedna mogła mi dawać o Albertynie, były mi zbyt cenne, abym chciał zaniedbać tak rzadką sposobność ich zdobycia. Anna wchodziła, zamykała drzwi i zaczynała swoją relację. Spotkały przyjaciółkę, o której Albertyna nigdy mi nie wspominała.

— O czym mówiły z sobą?

— Nie wiem, bo skorzystałam z tego, że Albertyna nie jest sama, aby iść kupić włóczki.

— Kupić włóczki?

— Tak, Albertyna prosiła mnie o to.

— Racja więcej, żeby nie iść; umyślnie chciała cię oddalić.

— Nie, prosiła mnie o to, zanim spotkałyśmy przyjaciółkę.

— A! — oddychałem z ulgą.

Za chwilę oblegało mnie z powrotem podejrzenie: kto wie, czy Albertyna nie umówiła z góry schadzki z przyjaciółką i nie skombinowała pretekstu, aby z nią zostać sama? Zresztą, skąd pewność, że Anna mówi całą prawdę? Może jest w zмовie z Albertyną? Kochamy — powiadałem sobie niegdyś w Balbec — tym bardziej, im bardziej jesteś zazdrośni o postęпки danej osoby; czujemy, że gdyby nam opowiedziała wszystko, łatwo może wyleczylibyśmy się z miłości. Daremnie ukrywamy zazdrość; osoba, która ją budzi, przenika ją rychło i ma się na baczności. Stara się zmylić nas, ukrywając to, co by nas mogło unieszczęśliwić, i myli nas w istocie, bo o ile ktoś nie ma uwagi wytężonej w tym kierunku, czemu by jakieś obojętne słowa miały zdradzić ukryte w nich kłamstwa; nie odróżniamy tych słów od innych; kobieta mówiła je ze strachem, my słuchamy ich nieuważnie. Później, kiedy znajdziemy się sami, wrócimy do tych słów i nie wydadzą się nam już całkiem zgodne z rzeczywistością. Ale czy je sobie dobrze przypominamy? Rodzi się w nas samorzutna wątpliwość co do ścisłości naszej pamięci, tak jak w pewnych stanach nerwowych nie można sobie przypomnieć, czy się zasunęło rygiel — i to równie za pięćdziesiątym razem, jak za pierwszym; można by bodaj bez końca powtarzać daną czynność, nie osiągając nigdy ścisłego i zbawczego utrwalenia jej w pamięci. Ale tu przynajmniej możemy zamknąć pięćdziesiąty i pierwszy raz drzwi; podczas gdy owe niepokojące słowa żyją w przeszłości w niepewnym brzmieniu, którego nie mamy mocy wskrzesić. Wówczas zwracamy tym baczniejszą uwagę na inne słowa, które nie kryją nic, jedynym zaś lekarstwem — którego nie chcemy — byłoby nie wiedzieć nic, aby nie chcieć wiedzieć lepiej.

Z chwilą gdy nasza zazdrość wyszła na jaw, ta, co jest jej przedmiotem, widzi w niej brak ufności uprawniający oszukiwanie. Zresztą w żądzy dowiedzenia się my pierwsi zaczęliśmy kłamać, oszukiwać. Anna, Aimé przyrzekają nam, że nic nie zdradzą, ale czy dotrzymają? Bloch nie mógł niczego przyrzec, bo nie wiedział. Niech tylko Albertyna porozmawia z nimi, rychło przy pomocy tego, co Saint-Loup nazywał „krzyżowym ogniem”, dowie się, że kłamię, gdy twierdzę, że jestem obojętny na jej postęпки i niezdolny szpiegować. W ten sposób drobny fragment odpowiedzi, jaki mi przyniosła Anna, przez to, że zjawił się po mojej nieskończonej i stałej niepewności (niepewności tego, co robi Albertyna), był zbyt nieokreślony, aby zadać ból; był dla zazdrości tym, czym dla zgrzyoty są początki zapomnienia i ich kojąca mgła. Ale ten fragment odpowiedzi rozdził natychmiast nowe pytania. Zgłębiając cząstkę wielkiej strefy rozciągającej się dokoła mnie, zdołałem jedynie odsunąć owo niepoznawalne, jakim jest dla nas istotne życie drugiej osoby, kiedy je chcemy sobie naprawdę wyobrazić. Wypytywałem dalej Annę, podczas gdy Albertyna, przez dyskrecję i aby mi zostawić wszelką swobodę badania (czy domyślała się czego?), umyślnie długo się przebieiała w swoim pokoju.

— Zdaje mi się, że wujostwo Albertyny bardzo mnie lubią — powiadałem niebacznie, zapominając o charakterze Anny.

Natychmiast ujrzałem, że jej lepka twarz zmienia się; niby sfermentowany sok zdawała się zmaćcona na zawsze. Usta stały się gorzkie. Nie zostało już w Annie nic z owej młodzieńczej wesołości, którą jak cała jej gromadka i mimo swej chorowitości roztacza-

ła w pierwszym roku mego pobytu w Balbec, a która teraz zniknęła u niej tak szybko. Prawda, że Annie przybyło od tego czasu kilka lat. Ale miałem mimo woli wskrzesić tę wesołość, zanim Anna, która spieszyła się do domu na obiad, pożegnała się ze mną.

— Jest ktoś, kto cię dziś przede mną szalenie chwalił — rzekłem.

Natychmiast promień radości rozświetlił jej oczy: robiła wrażenie, że mnie naprawdę kocha. Uniknęła mego spojrzenia, ale śmiała się w przestrzeń oczami, które nagle stały się całkiem okrągłe.

— Kto taki? — pytała z naiwnym i łakomym zainteresowaniem.

Wymieniałem osobę: ktokolwiek by to był, Anna czuła się szczęśliwa.

Potem przychodziła godzina rozstania, Anna żegnała się. Albertyna zjawiała się w negliżu, miała na sobie jakiś ładny peniuar krepdeszynowy lub jedną z japońskich sukien, których szczegóły uzyskałem od pani de Guermantes, pewnych zaś dodatkowych wyjaśnień w tej mierze dostarczyła mi pani Swann, w liście zaczynającym się od słów: „Po pańskiej długiej absencji, czytając pański list w przedmiocie moich *tea gown*<sup>55</sup>, miałam wrażenie, że obcuję z duchem...”.

Albertyna miała na nogach czarne trzewiczki wyszywane brylancikami (Franciszka nazywała je zjadliwie „kapcie”), całkiem podobne do tych, które pani de Guermantes nosiła w domu wieczorem: Albertyna zauważyła to przez okno. Podobnie, trochę później, Albertyna miała pantofelki jedne złożone *chevreau*, drugie szynszylowe, a widok ich był mi słodki, bo jedne i drugie były niby znakiem (inne trzewiczki nie miałyby tej wymowy), że ona mieszka u mnie. Miała też rzeczy nie, pochodzące ode mnie, na przykład piękny złoty pierścionek. Podziwiałem na nim rozpostarte skrzydła orle. „To od ciotki — rzekła. — Mimo wszystko ciocia jest czasem dobra dla mnie. To mnie postarza, bo dała mi go z okazji skończonych dwudziestu lat”.

Albertyna miała do wszystkich tych ładnych rzeczy pociąg o wiele żywszy niż księżna. Jak wszelka przeszkoda utrudniająca posiadanie (na przykład dla mnie choroba, która mi czyniła podróże czymś tak trudnym i upragnionym), ubóstwo, hojniejsze w tym od bogactwa, daje kobietom zamiast toalety, której nie mogą sobie sprawić, pragnienie tej toalety, zawierające jej istotną, szczegółową, głęboką znajomość. Oboje — Albertyna, bo nie mogła sobie pozwolić na te rzeczy, ja, bo zamawiając je, starałem się zrobić jej przyjemność — byliśmy niby dwaj studenci znający z góry obrazy, które zamierzają obejrzyć w Dreźnie lub w Wiedniu. Natomiast bogate kobiety pośród mnóstwa swoich kapeluszy i sukien są jak owi zwiedzający, którym spacer po muzeum — niepoprzedzony żadnym pragnieniem — daje jedynie uczucie oszołomienia, zmęczenia i nudy.

Jakiś toczek, płaszcz sobolowy, peniuar od Douceta z różowo podszitymi rękawami jakiegóż nabierały ważności dla Albertyny, która je spostrzegła, zapragnęła ich i dzięki wyłączności i ścisłości swego pragnienia zizolowała je ze wszystkimi szczegółami w próżni, na której się cudownie odcinała podszewka lub wstążka. Toż samo, na inny sposób, osiągałem ja, chodząc do pani de Guermantes dla zdobycia wiedzy, na czym polega odrębność, wyższość, szyk danej rzeczy oraz niepodobny do naśladowania fason wielkiego krawca. Owe wagę ani uroku nie miały te rzeczy z pewnością dla księżnej, sytej, zanim jeszcze nabrała apetytu; i nie miałyby ich dla mnie, gdybym oglądał to wszystko kilka lat wprzód, towarzysząc jakiegóż elegantce w nudnej wizycie u krawcowej.

Stopniowo Albertyna sama stawała się elegantką. Bo i każda rzecz, którą dla niej zamawiałem, była w swoim rodzaju najładniejsza, ze wszystkimi wyrafinowaniami godnymi księżnej de Guermantes lub pani Swann, i rzeczy tych Albertyna zaczynała mieć dużo. Ale to nie miało wielkiego znaczenia z chwilą, kiedy każdą z nich pokochała z góry i każdą oddzielnie.

Kiedy ktoś podziwiał kolejno to jednego, to znów innego malarza, może w końcu mieć dla całego muzeum podziw gorący, bo złożony z szeregu wyłącznych w swoim czasie miłości, które wreszcie spotkały się i pogodziły z sobą.

Albertyna nie była zresztą bynajmniej pustą lalką; czytała dużo, kiedy była sama, a mnie czytywała głośno, kiedyśmy byli razem. Zrobiła się nadzwyczaj inteligentna. Powiadała, myśląc się zresztą: „Przeraża mnie myśl, że bez ciebie zostałabym głupia. Nie

<sup>55</sup>*tea gown* (ang.) — suknia herbaciana, długa, luźna sukienka, zwykle wykonana z cienkiej tkaniny i wykończona koronką, noszona podczas popołudniowych spotkań przy herbacie, popularna na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

zaprzeczaj. Otworzyłeś mi świat myśli, którego nie podejrzewałam, i to niewiele, czym się stałam, zawdzięczam tylko tobie”.

Widzieliśmy, że podobnie mówiła niegdyś o moim wpływie na Annę. Czy któraś z nich czuła coś dla mnie? I czym były same w sobie, ta Anna, ta Albertyna? Aby się o tym dowiedzieć, trzeba by was unieruchomić, nie żyć już w tym nieustannym oczekiwaniu was, w którym stajecie się wciąż inne; trzeba by was już nie kochać, aby was utrwalić, trzeba by nie znać już waszego nieskończonego i wciąż zaskakującego zjawiania się, o wy, młode dziewczęta, o wciąż drgający promieniu, w którym drżymy, widząc was zjawiające się raz po raz, zaledwie mogąc was poznać w zawrotnej chyżości światła. Tej chyżości nie znalazłbyśmy może, wszystko wydawałoby się nam nieruchome, gdyby głos płci nie kazał nam biec ku wam, wy, złote krople, wciąż tak odmienne i wciąż przechodzące nasze oczekiwanie! Za każdym razem młoda dziewczyna tak mało podobna jest do poprzedniej siebie (ile że z chwilą gdy ją oglądamy, drze w strzępy naszą pamięć o niej i nasze pragnienie), że ciągłość charakteru, jakiego jej użyczamy, jest jedynie fikcją, dogodniejszą formą mówienia. Powiedziano nam, że jakaś piękna dziewczyna jest tkliwa, kochająca, pełna najdelikatniejszych uczuć. Wyobraźnia nasza wierzy temu na słowo: kiedy ujrzemy tę dziewczynę pierwszy raz w puszystym kręgu blond włosów, z tarczą różowej twarzy, niemal lękamy się, że ta zbyt cnotliwa siostra ostudzi nas samą swoją cnotą, że nigdy nie będzie dla nas kochanką, jakiejśmy pragnęli. Ileż zwierzeń, na wiarę tej szlachetności serca, robimy jej od pierwszej godziny; ile projektów snujemy razem! Ale za kilka dni żalujemy tych wynurzeń, bo różane dziewczę odzywa się za drugim razem jak furia lubieżności. W kolejnych fizjonomiach, jakie po kilkudniowej wibracji ukazuje nam przerywane różowe światło, nie jest nawet pewne, czy jakieś zewnętrzne *movimentum*<sup>56</sup> nie zmieniło wyglądu tych dziewcząt; i to mogło się być zdarzyć z moimi przyjaciółkami z Balbec.

Sławią nam słodycz, czystość jakiejś dziewicy. Ale potem ów ktoś czuje, że coś ostrego trafiłoby nam lepiej do smaku, i radzi jej, aby się okazała śmielsza. Sama w sobie, czy była raczej tą niż tamtą? Może nie, ale była zdolna dostroić się do tyluż rozmaitych możliwości w zawrotnym biegu życia. Z inną, której cały powab mieścił się w czymś nieubłaganym (co spodziewaliśmy się jednak ugiąć), jak na przykład owa groźna skoczka w Balbec, muskająca stopami czaszki przerażonych starszych panów, jakież zawód! W chwili gdy jej mówimy czułości podsypane wspomnieniem tyłu jej brutalności dla innych, oglądamy nagle inną twarz i słyszymy na wstępie zwierzenie, że jest nieśmiała, że ze strachu nie umie się znaleźć z kimś widzianym po raz pierwszy i że dopiero po jakichś dwóch tygodniach mogłaby z nami rozmawiać spokojnie. Stał zmieniła się w bawelnę, nie mamy czego próbować kruszyć, skoro sama z siebie traciła wszelki odpór. Sama z siebie, ale może z naszej winy, bo nasze czułe słowa skierowane do wcielonej Brutalności, podsunęły jej — może bez specjalnego wyrachowania z jej strony — tkliwe akcenty.

To, co nam sprawiło zawód, nie było zresztą tak niezręczne, wdzięczność bowiem za tyle słodyczy miała nas może bardziej zobowiązać niż rozkosz poskromienia zuchwalstwa. Zapewne może przyjsć dzień, w którym nawet tym promiennym dziewczętom przyznamy charaktery bardzo określone, ale to dlatego, że przestaną nas interesować, że ich widok nie będzie już dla naszego serca czymś odmiennym od naszych nadziei, czymś, co zostawi w tym sercu wstrząs wciąż nowego wcielenia. Ciągłość ich będzie wynikiem naszej obojętności, która je powierzy sądowi intelektu. Intelekt zresztą nie wyda o wiele kategoryczniejszego wyroku; uznawszy bowiem, że jakiejś wady, przeważającej u jednej, druga na szczęście nie ma, spostrzeżemy, iż wadę tę przeciwważył jakiś szacowny przymiot. Tak iż z fałszywego sądu inteligencji (wkraczającej dopiero wówczas, kiedy się przestajemy kimś interesować) wyjdą określone i stałe charaktery młodych dziewcząt, mówiące nam nie więcej niż zdumiewające, codziennie oglądane twarze, kiedy w oszalałej chyżości naszego oczekiwania owe dziewczęta ukazywały się co dnia, co tygodnia, zbyt różne od siebie na to, abyśmy mogli — w tym niepowstrzymanym pędzie — klasyfikować i wyznaczać rangi. Co się tyczy naszych uczuć, mówiliśmy aż nazbyt często o nich, aby musieć powtarzać, że miłość bywa często jedynie skojarzeniem obrazu młodej dziewczyny (inaczej stałaby się nam rychło nieznosna) z biciem serca nieodłącznym od nieskończo-

<sup>56</sup>*movimentum* (łac., r.n.) — ruch. [przypis edytorski]

nego, daremnego oczekiwania, gdy panienka „wystawiła nas do wiatru”. Wszystko to jest prawdą nie tylko dla młodych ludzi z przerostem wyobraźni wobec zmiennych młodych dziewcząt.

W tym momencie naszego opowiadania, zdaje się (dowiedziałem się o tym później), że siostrzenica Jupiena zmieniła zdanie o Morelu i o panu de Charlus. Szofer mój, podbijając bębenka jej miłości do Morela, zachwalał bezmiar delikatności skrzypka, w który była aż nazbyt skłonna wierzyć. Z drugiej strony Morel nie przestawał jej malować roli kata, jaką pan de Charlus odgrywał w stosunku do niego, co ona, nie odgadując miłości barona, przypisywała wadom jego charakteru. Musiała zresztą odczuć tyrańską obecność pana de Charlus przy wszystkich ich spotkaniach. A na poparcie tego wszystkiego słyszała, jak panie z towarzystwa mówiły o okrutnej złośliwości barona. Otóż od niedawna poglądy jej przeobraziły się całkowicie. Odkryła u Morela (nie przestając go kochać dlatego) otchłanie złości i perfidii, wyrównane zresztą częstą słodyczą i prawdziwą tklivością; a u pana de Charlus niezaprzeczoną i olbrzymią dobroć, pomieszaną z brutalstwem, którego nie znała. Tak więc o tym, czym byli naprawdę skrzypek i jego protektor, nie miała jaśniejszego sądu niż ja o Annie, którą wszakże widywałem co dzień, i o Albertynie, która żyła ze mną.

Wieczorem, o ile Albertyna nie czytała głośno, raczyła mnie muzyką, grała ze mną w warcaby lub rozmawiała. Przerzywałem zwykle i warcaby i rozmowę, aby ją całować. Stosunki nasze miały prostotę, która czyniła je wytchnieniem. Sama pustka życia Albertyny rodziła w niej gorliwość i uległość w jedynych rzeczach, jakich od niej żądałem. Za tą dziewczyną — niby za purpurowym światłem, kładącym się u stóp firanek w Balbec, podczas gdy na dworze buchał koncert orkiestry — mieniły się perłowo modre falowania morza. Ona, w której pojęcie mnie żyło tak poufale, że po ciotce byłem może osobą, którą najmniej odróżniała od siebie samej, czy to była w istocie ta dziewczyna, którą ujrzałem pierwszy raz w Balbec, w płaskiej czapeczce, z natarczywymi i roześmianymi oczami, nieznaną jeszcze, dwuwymiarową jak sylweta odcinająca się na fali? Kiedy odnajdziemy takie obrazy przechowane w pamięci, zdumiewamy się ich różnością od istoty, którą znamy; pojmujemy, jaką pracę nad modelowaniem jej wykonuje co dnia przyzwyczajenie. W uroku, jaki Albertyna zachowała w Paryżu, przy moim kominku, żyło jeszcze pragnienie, jakie we mnie obudził zuchwały i kwitnący orszak rozwijający się wzdłuż plaży. Jak Rachela zachowała dla Roberta, nawet kiedy jej kazał opuścić teatr, urok teatru, tak w tej Albertynie, zamkniętej na kształt mniszki w moim domu, z dala od Balbec, skąd ją pospiesznie zabrałem, przetrwało wzruszenie, zamęt klasyfikacji społecznej, niespokojna próżność, wędrowne pragnienia z życia nadmorskich kąpielisk.

Albertyna żyła w zupełnym zamknięciu; czasem nie zapraszałem jej nawet wieczorem do swego pokoju. Ta Albertyna, za którą niegdyś wszyscy gonili, którą tak trudno było mi złapać pomykającą na rowerze, której nawet windziarz nie umiał mi sprowadzić, ledwie zostawiając mi cień nadziei, i na którą mimo to czekałem całą noc, czyż nie była tam, w Balbec, niby wielka artystka płomiennej plaży, wlokąca smugę zazdrości, kiedy się posuwała po tej naturalnej scenie, nie odzywając się do nikogo, potrącając miejscowych bywalców, panując nad przyjaciółkami. I ta upragniona aktorka czyż nie była tą samą, która wydarła przeze mnie scenie, zamknięta u mnie, znajdowała się — zabezpieczona od pragnień ludzkich szukających jej odtąd na próżno — to w moim, to w swoim pokoju, gdzie zabawiła się rysunkiem lub cyzelerstwem.

Bez wątpienia w pierwszych dniach w Balbec zdawało się, że Albertyna porusza się na płaszczyźnie równoległej do tej, na której żyłem, ale zbliżającej się do niej (w ów dzień u Elstira), potem zespolonej z nią, w miarę postępu naszych stosunków w Balbec, w Paryżu, i znowu w Balbec. Cóż za różnica zresztą, te dwa obrazy Balbec — za pierwszym i następnym pobytom — obrazy utworzone z tych samych will, z których wychodziły te same dziewczęta, nad tym samym morzem! W przyjaciółkach Albertyny z drugiego pobytu, tak dobrze mi znanych, o zaletach i wadach tak ostro wyrytych w ich twarzach, czyż mogłem odnaleźć owe świeże i tajemnicze nieznanome, którym niegdyś wystarczyło zaskrzywić na piasku furtkę w ogrodzie i musnąć nią drżące tamaryszki, aby przypawić moje serce o drżenie! Wielkie ich oczy zresorbowały się później, z pewnością dlatego że dziewczęta przestały być dziećmi; ale także dlatego że te urocze nieznanome, czarujące aktorki owego romantycznego pierwszego sezonu, co do których nie przestawałem zbierać informacji, nie miały już dla mnie tajemnicy. Stały się posłuszne moim kaprysom, ot,

zwykle świeżo zakwitłe dziewczęta, wśród których czulem się nie na żarty dumny, żem uszczknął i zabrał sobie najpiękniejszą różę.

Między tymi dwiema dekoracjami Balbec, tak różnymi od siebie, było kilka lat paryskich, których ciąg znaczył się tyłoma wizytami Albertyny. Widziałem ją w rozmaitych latach mego życia i w rozmaitym charakterze, co mi pozwalało odczuć piękność dzielących owe lata przestrzeni — długie okresy, w których nie widywałem jej, na których przezroczyściej głębi znajdująca się przede mną różowa istota rysowała się z tajemniczymi cieniami i z potężną plastyką. Wynikała ona zresztą ze zsumowania nie tylko kolejnych obrazów wyrażających dla mnie Albertynę, ale także wielkich przymiotów inteligencji i serca, wad charakteru — i tych i tych na równi przeze mnie niepodejrzewanych — jakimi Albertyna, w tym kwitnieniu, mnożeniu samej siebie w mięsistej bujności ciemnych kolorów wzbogaciła swoją naturę, niegdyś prawie nijaką, a teraz trudną do zgłębienia. Bo istoty, nawet te, o których tyle marzyliśmy, że się nam wydają tylko obrazem, jakąś odcinającą się na zielonkawym tle postacią Benozza Gozzoli,<sup>57</sup> wobec której byliśmy skłonni wierzyć, że wszystkie różnice zależały od punktu, z jakiego patrzyliśmy na nie, od odległości, jaka nas od nich dzieliła, od oświetlenia wreszcie — istoty te, zmieniając się w stosunku do nas, zmieniają się i same w sobie. W twarzy, niegdyś tak po prostu odcinającej się na tle morza, nastąpiło jakby wzbogacenie, okrzepnięcie, przyrost objętości. Zresztą nie tylko przedwieczne morze żyło dla mnie w Albertynie, ale czasem i uspienie morza na brzegu w nocie księżycowe.

Bo czasem, kiedy wstałem, aby iść po książkę do gabinetu ojca, Albertyna mówiła, że chce się przez ten czas wyciągnąć. Była tak zmęczona swoim rannym i popołudniowym spacerem, że nawet gdym opuścił pokój tylko na chwilę, zastawałem ją uspioną: nie budziłem jej. Leżąc jak długa na łóżku, w pozie tak naturalnej, że nikt by jej nie wymyślił, robiła wrażenie długiej kwitnącej lodygi. I tak było w istocie: jak gdyby, śpiąc, stała się rośliną, odnajdywałem w owych chwilach przy niej zdolność marzenia, którą miałem tylko w jej nieobecności. Dzięki temu sen jej ziszczał poniekąd możliwość miłości. Będąc sam, mogłem myśleć o niej, ale brakowało mi jej, nie posiadałem jej. Gdy była obecna, mówiłem do niej, ale byłem zbyt oderwany od samego siebie, aby móc myśleć. Gdy spała, nie potrzebowałem mówić, wiedziałem, że nie patrzy na mnie, nie musiałem już żyć na powierzchni siebie.

Zamykając oczy, tracąc świadomość, Albertyna zrzucała z siebie kolejno cechy swego człowieczeństwa, przynosząc mi tyle zawodów od dnia, gdy ją poznałem. Ożywiało ją już tylko nieświadome życie roślin, drzew, życie bardziej inne od mojego, dziwniejsze, a mimo to bardziej należące do mnie. Jej „ja” nie wymykało się co chwilę — jak wówczas, kiedyśmy rozmawiali — ujściami zatajonej myśli i spojrzenia. Wciągnęła w siebie wszystko, co z niej było zewnątrz; schroniła się, zamknęła, streściła w swoim ciele. Trzymając ją w rękach pod swoim spojrzeniem, miałem wrażenie, że ją posiadam całą; wrażenie, którego nie miałem, kiedy nie spała. Życie jej było mi podległe, wionęło ku mnie lekkim oddechem.

Słuchałem szeptu tej tajemniczej emanacji, którą był jej sen, łagodnej jak wietrzyk morski, czarodziejskiej jak blask księżyca. Póki trwał, mogłem marzyć o niej, a jednak na nią patrzeć; kiedy zaś sen stawał się głębszy, mogłem dotykać jej, całować ją. To, czegom doznawał wówczas, to była miłość w obliczu czegoś tak czystego, tak niematerialnego w odczuwaniu, tak tajemniczego, jak gdybym się znajdował wobec nieożywionych piękności natury. I w istocie, kiedy zasnęła nieco głębiej, przestawała być jedynie rośliną; sen jej, nad którego brzegiem marzyłem ze świeżą rozkoszą, nigdy niezdolny się nią znużyć, mogąc się nią sycić nieskończenie, to był dla mnie cały krajobraz. Sen jej kładł koło mnie coś równie spokojnego, równie zmysłowo rozkosznego, jak owe nocie księżycowe w zatoce Balbec, spokojnej wówczas jak jezioro, kiedy gałęzie ledwie się poruszają, kiedy wyciągnąwszy się na piasku, słuchałoby się bez końca łamiącej się fali.

Wchodząc do pokoju, zatrzymałem się w proggu, nie śmiąc zakłócać ciszy; nie słyszałem też innego szmeru prócz oddechu zamierającego na jej wargach w regularnych odstępach, niby odpływ morza, ale bardziej senny i łagodny. I w chwili gdy moje ucho przejmowało ten boski szmer, miałem uczucie, że skupia się w nim cała osoba, całe ży-

<sup>57</sup> *Gozzoli, Benozzo* (1420–1497) — włoski malarz renesansowy, znany przede wszystkim z trzech malowideł ściennych z orszakiem Trzech Króli w kaplicy Palazzo Medici we Florencji. [przypis edytorski]



cie uroczej branki, spoczywającej tu przede mną. Pojazdy mijaly hałaśliwie ulicę, a czoło Albertyny pozostawało równie gładkie i czyste, oddech równie lekki, ograniczony do najprostszego wydychania koniecznego powietrza. Potem widząc, że nie zmacę jej snu, zbliżałem się ostrożnie, siadałem na krześle obok łóżka, potem na samym łóżku.

Spędzałem urocze wieczory na rozmowie i grach z Albertyną, ale nigdy nie były one równie słodkie jak widok jej snu. Mimo iż gawędząc, grając w karty, miała jakąś naturalność, której żadna aktorka nie umiałaby naśladować, sen jej był dla mnie naturalnością wyższego rzędu. Włosy jej, opadłszy wzdłuż różowej twarzy, rozsypały się na łóżku; czasem jakiś odosobniony i prosty kosmyk dawał ten sam efekt malarski, co owe szczupłe i blade księżycowe drzewa, wznoszące się w głębi rafałowskich obrazów Elstira. O ile wargi Albertyny były zamknięte, w zamian za to z punktu, z którego patrzyłem, powieki jej zdawały się tak nieszczelne, że mógłbym niemal zadać sobie pytanie, czy ona naprawdę śpi. Ale i tak te spuszczone powieki dawały twarzy ową doskonałą ciągłość, nieprzerwaną oczami. Są istoty, których twarz nabiera niezwyklej piękności i majestatu wówczas, gdy jest pozbawiona spojrzenia.

Mierzyłem oczami Albertynę leżącą przede mną. Chwilami przebiegał ją lekki i niewytłumaczony dreszcz, niby owe liście, którymi wstrząśnie przez chwilę niespodziany wietrzyk. Dotykała swoich włosów, po czym nie trafiwszy widocznie tam, gdzie chciała, sięgała jeszcze do nich ruchami tak celowymi i rozmyślnymi, iż byłem pewien, że się obudzi. Nie; uspokajała się we śnie, który się nie przerwał. Odtąd pozostawała nieruchoma. Złożyła rękę na piersi gestem tak naiwnie dziecięcym, że patrząc na nią, musiałem zdławić uśmiech, o jaki swoją powagą, niewinnością i wdziękiem przyprawiają nas małe dzieci.

Ja, który znałem kilka Albertyn w jednej, miałem wrażenie, że widzę jeszcze ich wiele, wszystkie spoczywające koło mnie. Brwi jej, sklezione jakoś inaczej niż zwykle, okalały gałki powiek niby zaciszne gniazdo alcjona. Rasy, atawizmy, skażenia drzemały w jej twarzy. Ilekroć przesunęła głowę, stwarzała nową kobietę, często niepodejrzewaną przeze mnie. Zdawało mi się, że posiadam nie jedną, ale niezliczone młode dziewczyny. Oddech jej, coraz to głębszy, podnosił teraz regularnie pierś, a na piersi skrzyżowane ręce, perły przesuwane rozmaicie, choć tym samym ruchem, niby owe łodzie, owe cumujące łańcuchy, które potraça fala. Wówczas, czując, że zasnęła całkiem, że nie obiję się o rafy świadomości pokryte teraz pełnym morzem głębokiego snu, śmiało i cicho rzucałem się na łóżko, kładłem się koło niej, obejmowałem ją ramieniem, kładłem wargi na jej twarzy i na jej sercu, dotykałem jej ciała ręką, która została wolna i którą, tak samo jak perły, podnosił oddech Albertyny; ja sam poruszałem się lekko od jej regularnego ruchu: płynąłem na śnie Albertyny.

Czasem dawał mi jej sen kosztować rozkoszy mniej czystej. Nie potrzebowałem na to żadnego ruchu, wyciągałem nogę wzdłuż jej nogi niby wiosło, które się puszcza wolno i które od czasu do czasu wprawia się w lekkie drganie, podobne do przerywanego uderzenia skrzydeł u ptaków śpiących w powietrzu.

Patrząc na nią, wybierałem tę perspektywę jej twarzy, której się nie widywało nigdy, a która była tak piękna. Można ostatecznie pojąć, że listy, które ktoś do nas pisze, są mniej więcej podobne do siebie i rysują obraz na tyle różny od znajomej osoby, że stanowią drugą osobowość. Ale o ileż dziwniejsze jest, aby kobieta była zrośnięta, niby Rosita i Doodica<sup>58</sup>, z drugą kobietą, której odmienna piękność każe wnosić o innym charakterze, i że dla ujrzenia jednej trzeba było stanąć z profilu, a dla drugiej *en face*<sup>59</sup>.

Szmer jej oddechu, stając się silniejszy, mógł dać iluzję zdyszenia rozkoszą, i kiedy moja rozkosz dobiegła kresu, mogłem ucałować Albertynę, nie przerwawszy jej snu. Zdawało mi się w tych chwilach, że ją posiadałem pełniej, jak bezświadomą i pozbawioną oporu cząstkę niemej przyrody. Nie troszczyłem się o słowa, jakie się jej czasami wydzieły przez sen, znaczenie ich umykało mi się; jakkolwiek zresztą oznaczałyby nieznaną osobę, na mojej to ręce, na mojej twarzy, ręka jej, niekiedy ożywiona lekkim dreszczem,

<sup>58</sup>Rosita Neik (1888–1903) i Doodica Neik (1888–1902) — bliźniaczki syjamskie z Indii, zrośnięte mostkiem, od 4 roku życia pokazywane w Cyrku Barnuma w Europie i USA, rozdzielone chirurgicznie w 1902. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*en face* (fr.) — twarzą na wprost. [przypis edytorski]

zaciskała się na chwilę. Syciłem się jej snem z miłością bezinteresowną, kojącą, tak jak słuchałem przez godziny całe plusku fali.

Może trzeba, aby jakaś istota zdolna nam była zadać wiele cierpienia, na to, aby w godzinach pauzy dawała nam ten sam kojący spokój, jaki daje natura. Nie potrzebowałem odpowiadać Albertynie, jak wówczas kiedyśmy rozmawiali; a gdybym nawet mógł milczeć, jak czyniłem również, gdy ona mówiła, jednak słuchając jej, nie zstępowałem w nią równie głęboko. Wciąż słysząc, chwytając chwila po chwili, niby ledwie wyczuwalny wietrzyk, kojący szmer jej czystego oddechu, miałem przed sobą, dla siebie całe fizjologiczne istnienie; i byłbym tak trwał, patrząc na nią, słuchając jej, równie długo, jak długo niegdyś leżałem wyciągnięty na plaży, przy blasku księżyca.

Czasami można by rzec, że morze się wzdyma od wichru, że burza daje się czuć aż w zatoce, i zaczynałem jak ona słuchać tego chrapliwego oddechu. Czasem, kiedy Albertynie było zbyt gorąco, zdejmowała, już prawie śpiąc, kimono i rzucała je na fotel. Spała, a ja powiadałem sobie, że wszystkie jej listy znajdują się w kieszonce tego kimona, kładła je tam zawsze. Podpis, ślad umówionej schadzki wystarczyłyby, aby dowieść kłamstwa lub rozproszyć podejrzenie. Kiedy czułem, że Albertyna śpi głęboko, wówczas, oddalając się od łóżka, na którym od dawna oglądałem ją bez ruchu, posuwałem się, zdjęty żarliwą ciekawością; czułem, że sekret jej życia, wiotki i bezbronny na tym fotelu, jest tuż. Może czyniłem to i dlatego, że patrzeć bez ruchu na to, jak ktoś śpi, nuży w końcu. I tak, wciąż odwracając się, aby sprawdzić, czy się Albertyna nie budzi, posuwałem się na palcach aż do fotela. Przystawałem, długo patrzyłem na kimono, jak wprzód na Albertynę. Ale (może to był błąd) nigdy nie ruszyłem kimona, nie sięgnąłem do kieszeni, nie spojrzałem na listy. W końcu widząc, że się nie zdecyduje, wracałem, wciąż na palcach, do łóżka i znów patrzyłem na śpiącą, na tę, która nie powiedziała mi nic, podczas gdy na poręczy fotela widziałem kimono, które może powiedziałyby mi wiele. I tak jak ludzie wynajmują za sto franków dziennie pokój w *Hotél de Balbec*, aby oddychać morskim powietrzem, tak ja uważałem za naturalne wydawać więcej jeszcze na Albertynę, skoro miałem jej oddech tuż koło twarzy, w jej ustach, które rozchylałem moimi, dokąd przez mój język wnikało jej życie.

Ale tej rozkoszy patrzenia jak Albertyna śpi, rozkoszy równie słodkiej jak czuć jej życie, kładła kres inna przyjemność: mianowicie patrzeć jak się budzi. Rozkosz ta streszczała w głębszym i bardziej tajemniczym stopniu przyjemność, że ona mieszka u mnie. Nieraz po południu, kiedy Albertyna wysiadała z powozu, słodko mi było myśleć, że ona wraca do mojego mieszkania. Kiedy z głębin snu przebywała ostatnie stopnie sennych marzeń, było mi jeszcze milej, że to w moim pokoju budzi się do świadomości i życia, że pyta przez chwilę samej siebie: „Gdzie ja jestem?” i że gdy widzi otaczające ją przedmioty, lampę, której blask przyprawia ją o lekkie mruganie, stwierdzając, że się budzi u mnie, może sobie odpowiedzieć, że jest u siebie. W owej pierwszej rozkosznej chwili niepewności, miałem wrażenie, że ją tym pełniej biorę w posiadanie, skoro (zamiast żeby po wyjściu na miasto wracała do swojego pokoju) mój pokój — z chwilą gdy go Albertyna pozna — miał ją objąć, zawrzeć, bez żadnego śladu zmieszania w jej oczach, tak spokojnych, jak gdyby wcale nie spała.

Wahania pierwszych chwil przebudzenia, wyrażające się w milczeniu Albertyny, nie odbijały się w jej spojrzeniu. Z chwilą gdy odzyskiwała mowę, powiadała: „Mój” albo „Drogi mój”, po czym następowało moje imię, co w razie gdybym opowiadającemu dał imię autora tej książki, brzmiałoby „Mój Marcel” albo „Drogi mój Marcel”. Odtąd nie pozwalałem już, aby ktoś w rodzinie, nazywając mnie też „drogim”, odbierał rozkosznym słówkom Albertyny ich jedność. Mówiąc tak, robiła minkę, którą sama z siebie zmieniała w pocałunek. I równie szybko jak niedawno zasnęła, tak szybko też budziła się.

Tak jak moje przemieszczenie w czasie, jak fakt patrzenia na młodą dziewczynę siedzącą koło mnie, przy lampie oświetlającej ją inaczej niż słońce, wówczas gdy się posuwała nad morzem, tak samo ten realny przyrost wartości, samoistny rozwój Albertyny nie stanowiły ważnej przyczyny, różnicy między moim patrzaniem na nią teraz a niegdyś w *Balbec*. Więcej lat mogłoby oddzielić te dwa obrazy, nie sprowadzając równie kompletnej zmiany; owa zmiana — zasadnicza i nagle — powstała w chwili, kiedym się dowiedział, że Albertyna chowała się niemal u przyjaciółki panny *Vinteuil*. O ile niegdyś podniecała mnie tajemnica kryjąca się w oczach Albertyny, obecnie byłem szczęśliwy jedynie

w chwilach, kiedy z tych oczu, nawet z tych policzków wyrazistych jak oczy, dopiero co tak słodkich, ale wnet nachmurzonych, zdołałem wygnać wszelką tajemnicę.

Obrazem, którego szukałem, w którym odpoczywałem, z którym byłbym chciał umrzeć, nie była już Albertyna mająca nieznaną życie, ale Albertyna znana mi tak dobrze, jak tylko możliwe (i dlatego ta miłość nie mogła być trwała, chyba żeby została nieszczęśliwa, zasadniczo bowiem nie zaspokajała potrzeby tajemnicy); Albertyna nieodbijająca dalekiego świata, ale niepragnąca — były chwile, w których w istocie tak się zdawało — niczego innego jak być ze mną, całkiem podobna do mnie, Albertyna stanowiąca obraz tego, co właśnie było moje, nie zaś czegoś nieznanego. Kiedy miłość urodziła się tak z godziny trwogi w stosunku do jakiejś istoty; kiedy się urodziła z niepewności, czy się ją da zatrzymać lub czy się wymknie, wówczas miłość ta nosi znamię wstrząsu, który ją stworzył, i bardzo mało przypomina to, cośmy widzieli dotąd w tej istocie. Moje pierwsze wrażenia wobec Albertyny na brzegu fal mogły po trosze przetrwać w mojej miłości do niej; w rzeczywistości jednak, owe dawniejsze wrażenie zajmują jedynie skąpo miejsca w tego rodzaju miłości; taka miłość w swojej sile, cierpieniu, w swojej potrzebie słodczy i ucieczce ku spokojnemu i kojącemu wspomnieniu, gdzie chciałoby się trwać i niczego już więcej nie dowiedzieć się o ukochanej, nawet gdyby było można dowiedzieć się czegoś wstrętnego — więcej nawet, chciałoby się ufać jedynie owym dawniejszym wrażeniom — taka miłość stworzona jest z całkiem czego innego!

Czasem gasiłem światło, zanim Albertyna weszła. Wówczas, w ciemności, ledwie prowadzona blaskiem żarzącego się polana, kładła się koło mnie. Rozpoznawały ją tylko moje ręce, moje policzki; oczy moje nie widziały jej, te oczy, które często bały się ją ujrzyć odmienioną. Tak iż dzięki temu oślepieniu mojej miłości Albertyna czuła się może bardziej zanurzona w tkliwości niż zazwyczaj. Innym razem rozbierałem się, kładłem, Albertyna siedziała na łóżku i podejmowaliśmy partyjkę lub rozmowę przerywaną pocałunkami. Jedynie pożądanie każe się nam interesować życiem i charakterem danej osoby; w pożądanu zaś pozostajemy wierni własnej naturze, mimo iż porzucając przy tym kolejno rozmaite kochane przez nas osoby. Tak więc kiedy raz, w chwili gdym całował Albertynę, nazywając ją swoją dziewczynką, spostrzegłem w lustrze smutny i namiętny wyraz własnej twarzy, podobnej do tej, jaką byłaby niegdyś przy Gilbertcie, o której już nie pamiętałem, podobnej do twarzy, jaką miałbym może kiedyś przy innej kobiecie, gdybym miał kiedy zapomnieć Albertynę, uczułem, że ponad kwestią osoby (instynkt chce, abyśmy uważali „tę obecną” za jedynie prawdziwą) dopełniam w tej chwili rytuału żarliwej i bolesnej dewocji, kultu młodości i piękności Kobiety. A mimo to z tym pragnieniem, składającym swoje *ex voto*<sup>60</sup> młodości, a także ze wspomnieniami Balbec, mieszało się w tej mojej potrzebie trzymania tak co wieczór Albertyny przy sobie coś, co — o ile nie było całkowicie nowe w moim życiu — było dotychczas obce bodaj mojemu życiu miłosnemu.

Była to moc ukojenia, taka jakiej nie doznałem od odległych wieczorów w Combray, kiedy pochylona nad moim łóżkiem matka przynosiła mi spokój w pocałunku. Z pewnością dziwiłbym się bardzo w owym czasie, gdyby mi powiedziano, że nie jestem całkiem dobry, a zwłaszcza że będę się kiedykolwiek starał pozbać kogoś przyjemności. Widocznie licho znałem wówczas samego siebie, bo przyjemność trwałego posiadania Albertyny u siebie w domu była dla mnie o wiele wątpliwsza niż przyjemność odcięcia jej od świata, gdzie każdy mógł się nią cieszyć z kolei, przyjemność spętania kwitnącej młodej dziewczyny, która jeżeli nie dawała mi wiele szczęścia, pozbawiała go bodaj innych. Ambicja, sława zostawiłyby mnie obojętnym. Jeszcze mniej byłem zdolny odczuwać nienawiść. A jednak, bądź jak bądź, miłość fizyczna była dla mnie tryumfem nad szeregiem współzawodników. Wciąż muszę to podkreślać: to było przede wszystkim ukojenie.

Nic to, że zanim Albertyna wróciła, wątpiłem o niej, wyobrażałem ją sobie w pokoju w Montjouvain; kiedy siadła w peniuarze na wprost mego fotela lub kiedy, najczęściej, wyciągnąłem się na łóżku, składałem moje wątpienia w niej, oddawałem jej, aby mnie od nich uwolniła, z poddaniem wierzącego człowieka, który odmawia pacierz. Przez cały wieczór mogła, zwinięta psotnie w kłębek na łóżku, bawić się ze mną niby duża kotka;

<sup>60</sup>*ex voto* (łac.) — jako wotum, tj. jako symboliczny przedmiot, umieszczony w kościele w wyniku uroczystego zobowiązania, w ramach dziękczynienia lub ofiary przebłagalnej. [przypis edytorski]

różowy nosek, który kurczyła jeszcze zalotnym spojrzeniem, filuternym, jak bywa u tłuścioszek, dawał jej mince coś kapryśnego, podnieconego; kiedy strząsnęła pukiel długich czarnych włosów na policzek niby z różowego wosku i kiedy, przymknąwszy oczy, rozkładając ramiona, mówiła spojrzeniem: „Rób ze mną, co zechcesz”; kiedy w chwili gdy miała mnie opuścić, zbliżała się, aby mi rzec dobranoc, całowałem rodziną niemal słodczy tych policzków po obu stronach jej pełnej szyi, która wówczas nigdy nie wydawała mi się dość ciemna ani dość gładka, jak gdyby te materialne przymioty miały u Albertyny związek z lojalnością i dobrocią.

Teraz z kolei Albertyna mówiła mi dobranoc. Całowała mnie z dwóch stron w szyję, przy czym włosy jej pieściły mnie jak skrzydło o ostrych i miękkich piórach. Mimo iż te dwa pocałunki pokoju — matki i Albertyny — były od siebie tak różne, kiedy Albertyna wsuwała język w moje usta — czyniąc mi dar ze swego języka, niby dar Ducha Świętego — dawała mi jakby wiatyk<sup>61</sup>, zostawiała mi zapas spokoju, prawie równie słodki, jak kiedy matka kładła wieczorem w Combray wargi na moim czole.

— Czy wybierzesz się z nami jutro, złośniku? — pytała przed rozstaniem.

— Dokąd jedziecie?

— To będzie zależało od pogody i od ciebie. Czy napisałeś bodaj coś dzisiaj, kochanie? Nie? No, w takim razie, czy warto było wyrzekać się spaceru! Powiedz, prawda, kiedy wróciłam, poznałeś moje kroki, domyśliłeś się, że to ja?

— Naturalnie. Czy można by się omylić, czy można by nie poznać, wśród tysiąca, kroków swojej kuropatewki? Niech mi pozwoli rozruc się, zanim się położy, to mi sprawi taką przyjemność. Jesteś taka milusia i taka różowa w tej bieli koronek.

Taka była moja odpowiedź: pośród zwrotów zmysłowych łatwo poznać inne, właściwe matce i babce, bo stopniowo stawałem się podobny do wszystkich krewnych, do ojca, który — wprawdzie na inny sposób, bo jeżeli się pewne rzeczy powtarzają, to z wielkimi odmianami — tak bardzo się interesował pogodą danego dnia; i nie tylko do ojca, ale coraz więcej do cioci Leonii. Inaczej Albertyna mogłaby być dla mnie jedynie racją do spacerów, dla tego aby jej nie puszczać samej, bez kontroli. Z zamarynowaną w dewocji ciocią Leonią nie miałem w swoim mniemaniu ani jednego punktu wspólnego, ja, tak spragniony rozkoszy, diametralnie różny na pozór od tej maniaczki, niezdolnej zaznać żadnej przyjemności i odmawiającej przez cały dzień różaniec; ja, tak gryzący się tym, że nie mogę zostać literatem, podczas gdy ona była jedyną osobą w rodzinie niezdolną jeszcze zrozumieć, że czytać to jest coś innego niż spędzać czas „na zabawie”; dzięki czemu nawet około Wielkiej Nocy lektura była dozwolona w niedzielę, kiedy wszelkie poważne zajęcia jest wzbronione, iżby ten dzień był całkowicie poświęcony modlitwą. Otóż mimo iż co dzień czerpałem racje w specjalnym niedomaganiu, które mnie tak często więziło w łóżku, jakaś istota, nie Albertyna, nie osoba, którą kochałem, ale jakaś istota mająca nade mną większą władzę od istoty kochanej, przeniosła się we mnie, tak despotyczna, że czasem kazała zmiłknąć moim zazdrośnym podejrzeniom lub bodaj wzbraniała mi sprawdzić, w jakim stopniu są usprawiedliwione; a istotą tą była ciocia Leonia. I nie tylko stawałem się przesadnie podobny do ojca, tak dalece, że nie poprzestawałem jak on na sprawdzaniu barometru, ale sam się stawałem żywym barometrem; nie tylko ciocia Leonia zmuszała mnie do obserwowania pogody z pokoju lub nawet z łóżka; oto teraz mówiłem do Albertyny czasem jak dziecko, jakim byłem w Combray, mówiąc do matki, to znów tak, jak mówiła do mnie babka.

Kiedyśmy przekroczyli pewien wiek, dusza dziecka, którym byliśmy niegdyś, i dusza zmarłych, z których się wiemy, rzucają nam garściami swoje bogactwa i swoje złe uroki, pragnąc mieć udział w naszych nowych uczuciach, w które, zacierając dawny obraz, przetapiamy wszystko tamto. I tak cała moja przeszłość od najdawniejszych lat i poprzez owe lata przeszłość rodziców wlewały w moją nieczystą miłość do Albertyny słodczy synowskiej i macierzyńskiej zarazem czułości. Począwszy od pewnej godziny, przeznaczone nam jest przyjmować wszystkich naszych krewnych, przybyłych z tak daleka i skupionych dokoła nas.

<sup>61</sup>wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

Zanim mnie Albertyna usłuchała i pozwoliła mi zdjąć sobie trzewiki, rozchyliłem jej koszulę. Dwie drobne, wysoko osadzone piersi były tak okrągłe, że robiły nie tyle wrażenie integralnej części jej ciała, ile dojrzewających w tym miejscu owoców; a jej brzuch (kryjąc miejsce, które mężczyzną szpeci niby hacel<sup>62</sup> tkwiący jeszcze w odpakowanym posągu) zamykał się u spojenia ud dwiema bruzdami o krzywiznie łagodnej, kojącej i zacisznej, niby linia horyzontu, gdy słońce znikło.

Zdejmowała buciki i kładła się koło mnie.

O, wzniosłe gesty Mężczyzny i Kobiety, w których to, co Stwórca rozdzielił, sili się połączyć w niewinności pierwszych dni i z pokorą gliny; Ewa zdziwiona i uległa wobec Mężczyzny, przy którego boku się budzi, jak on sam, jeszcze samotny, zdziwiony i uległy był wobec Boga, który go ulepił. Albertyna zaplatała ręce za czarnymi włosami, wyprężając biodro, opuszczając nogę podobną do łabędziej szyi, gdy się wyciąga i wygina. Jedynie kiedy leżała całkiem na boku, widać było pewien profil jej twarzy (tak dobrej i ładnej *en face*); profil, którego nie mogłem znosić, haczykowaty jak na pewnych karykaturach Leonarda, wyrażających jak gdyby złość, chciwość, chytryść szpiega, którego obecność w domu przejęłaby mnie zgrozą, a który demaskował się niejako w tym profilu. Natychmiast ujmowałem twarz Albertyny w dłonie i ustalałem ją *en face*.

— Bądź dobry, przyrzeknij mi, że jeśli nie pojedziesz jutro, będziesz pracował — mówiła, zdejmując koszulę.

— Tak, ale nie kładź jeszcze peniuaru.

Czasami zasypiałem w końcu koło niej. Pokój wyziął, trzeba było drzewa. Próbowaliśmy znaleźć dzwonek za plecami, nie mogłem znaleźć, obmacywałem wszystkie pręty mosiężne, między którymi nie było dzwonka, i mówiłem do Albertyny, która wyskakiwała, nie chcąc, żeby Franciszka widziała nas razem w łóżku:

— Nie, wróć jeszcze trochę, nie mogę znaleźć dzwonka.

Słodkie, wesołe, niewinne na pozór chwile, w których gromadzi się jednak niepodejrzewana w nas możliwość nieszczęścia, co sprawia, iż życie miłosne najwięcej mieści kontrastów; nieprzewidywany deszcz siarki i smoły spada w nim po najpogodniejszych momentach, po czym, niezdolni wyciągnąć nauki z nieszczęścia, wnet odbudowujemy się na stokach krateru, z którego może wyjść jedynie katastrofa. Miałem bez troskę ludzi, co wierzą w trwałość swojego szczęścia. Ta słodycz potrzebna jest, aby zrodzić cierpienie; i wróci zresztą, aby koić je od czasu do czasu. I dlatego człowiek może być szczery z drugimi, nawet z samym sobą, kiedy się szczyci miłością danej kobiety, mimo że, razem wzięwszy, w ich stosunku stale krąży bolesny niepokój — krąży tajemnie, niewyznany nikomu lub zdradzony mimo woli pytaniami, śledztwem, bolesnym niepokojem. Że jednak niepokój ten nie mógłby się zrodzić bez uprzedniej słodyczy, że nawet potem chwilowa słodycz potrzebna jest, aby pozwolić znosić mękę i zapobiec zerwaniu, skrywanie tajnego piekła, jakim jest pożycie z tą kobietą, komedia posuwająca się aż do popisu rzekomą harmonią, zawierają coś prawdy, pewien związek między przyczyną a skutkiem, jeden z warunków umożliwiających produkcję cierpienia.

Nie dziwiłem się już, że Albertyna jest tutaj i że ma jutro wyjść jedynie ze mną lub pod opieką Anny. Te nawyki wspólnego życia, te wielkie linie ograniczające moją egzystencję, nieprzebyte dla nikogo poza Albertyną, a także (w przyszłym, nieznanym mi jeszcze planie mego późniejszego życia, niby wykreślony przez architekta plan budowli, które powstaną dopiero znacznie później) dalekie, równoległe do nich i obszerniejsze linie szkicujące we mnie, niby samotną pustynię, sztywną i monotonną nieco formułę moich przyszłych miłości — to wszystko wykreśliła w istocie owa noc w Balbec, kiedy w kolejce, skoro mi Albertyna wyznała, kto ją wychował, zapragnąłem ją za wszelką cenę uchronić od pewnych wpływów i nie puszczać jej od siebie przez kilka dni. Dni następowały po dniach, przyzwyczajenia te stały się machinalne; ale na podobieństwo owych obrzędów, których sens próbuje odczytać historia, komuś, kto by mnie spytał, co znaczy to odludne życie, w którym zamykałem się do tego stopnia, żem przestał chodzić nawet do teatru, mógłbym (a nie chciałbym) powiedzieć, że zrodziło się ono z trwogi jednego wieczoru i z potrzeby dowiedzenia samemu sobie (w dniach, które nastąpiły po owym wieczorze), że ta, której

<sup>62</sup>*hacel* — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia; tu ogólnie: hak. [przypis edytorski]

opłakane dzieciństwo poznałem, nie miałyby możliwości narażenia się na dawne pokusy — w razie gdyby chciała to uczynić. Dość rzadko już myślałem o tych możliwościach; mimo to musiały one wciąż żyć mglisto w mojej świadomości. Fakt niszczenia ich dzień po dniu lub próby w tej mierze stały się z pewnością przyczyną, czemu lubił całować te policzki, nie piękniejsze od wielu innych; pod wszelką głębszą nieco fizyczną rozkoszą istnieje ciągle niebezpieczeństwo.

\*

Przyrzekłem Albertynie, że o ile z nią się nie wybiorę, wezmę się do pracy. Ale naza-jutrz, jak gdyby korzystając z naszego snu, dom w cudowny sposób odbył podróż, budzi-łem się w odmienną pogodę w innym klimacie. Nie sposób pracować, w chwili gdy się łąduje w nowym kraju, do którego warunków trzeba się dostosować. Otóż każdy dzień był dla mnie odmiennym krajem. Jakimż cudem poznałbym nawet swoje lenistwo w jego wciąż nowych formach?

Czasami w dni beznadziejnie słotne (jak twierdzono) już samo siedzenie w domu, zanurzonym w równym i ciągłym deszczu, posiadało gładką słodycz, kojącą ciszę, urok morskiej podróży; innym razem, w pogodny dzień, leżąc nieruchomo w łóżku, pozwala-łem się kręcić ceniom dokoła siebie niby dokoła pnia drzewa.

Kiedy indziej znów, przy pierwszych dzwonach bliskiego klasztoru, nielicznych jak poranne dewotki, poznawałem jeden z owych burzliwych, nerwowych i słodkich dni, ledwie bielących ciemne niebo mokrym szronem, roztopianym i rozpraszanym przez ciepły wiatr, kiedy dachy zwilżone ulewą, którą suszy podmuch wiatru lub promień słońca, z gruchaniem pozwalają ściekać kroplom deszczu i czekając, aż wiatr znów się zerwie, gładzą swoje dachówki mieniące się w błysku słońca jak gardziolko gołębia; jeden z dni wypełnionych tyloma odmianami pogody, powietrznych zdarzeń, burz, dni niestraconych dla leniucha ożywionego energią, jaką za niego, poniekąd w jego zastępstwie, rozwinęła atmosfera; dni podobne dniom rozruchów lub wojny, które nie wydają się puste ucznia-kowi wymykającemu się z klasy, ponieważ wałęsając się koło Pałacu Sprawiedliwości<sup>63</sup> lub czytając dzienniki, ma złudzenie, że w wydarzeniach, które się działy, w miejsce zadań, których nie odrobił, znalazł korzyść dla swojej inteligencji i wymówkę dla próżniactwa; dni dające się porównać z tymi, w których się spełnia w naszym życiu jakiś wyjątkowy przełom, dając komuś, kto nigdy nic nie robił, złudzenie, że jeżeli się skończy szczęśli-wie, zaszczerpi w nim skłonność do pracy. Na przykład rano, kiedy człowiek wychodzi z domu na pojedynek o szczególnie niebezpiecznych warunkach; wówczas, w chwili gdy może stracić życie, objawia mu się nagle cena życia, z którego mógł być skorzystać, aby podjąć jakieś dzieło lub bodaj kosztować przyjemności, a z którego nie umiał wydobyć nic. „Gdybym nie zginął — powiada sobie — jakżebym się zaraz zabrał do pracy! I jak-by się bawił!”. Życie nabrało nagle w jego oczach większej wartości, ponieważ wkłada w nie wszystko, co mu się zdaje, że ono może dać, a nie to niewiele, które ma z niego za-zwyczaj. Widzi je wedle swoich pragnień, nie zaś takim, jakim — wie to z doświadczenia — umie je uczynić, to znaczy tak miernym! Życie to wypełniło się w jednej chwili pra-cami, podróżami, wycieczkami w góry, wszystkimi pięknymi rzeczami, które (powiada sobie) nieszczęśliwy wynik pojedynku może unicestwić; podczas gdy, zanim jeszcze była mowa o pojedynku, wszystko unicestwiały jego złe nawyki, które nawet bez pojedynku trwałyby nadal. Wraca do domu, nawet nie ranny, ale odnajduje te same przeszkody dla przyjemności, dla wycieczek, podróży, dla wszystkiego tego, z czego wiekuistym wuzu-ciem groziła mu przez chwilę śmierć: wystarcza na to życie. Co się tyczy pracy, daje sobie urlop, ile że wyjątkowe okoliczności podsycają w człowieku to, co w nim już istniało: w pracowitym pracę, a w próżniaku lenistwo.

Robiłem tak jak ów człowiek i tak, jak zawsze robiłem od czasu dawnych postano-wień, żeby się wziąć do pisania. Postanowienie to powziąłem niegdyś, ale zdawało mi się nie dawniejsze niż wczoraj, bo każdy z kolei dzień stawał się dla mnie niebyły. Tak samo poczytałem sobie i z tym dniem, pozwalając beczynnemu mijać jego ulewom i przebły-skom pogody, obiecując sobie pracować jutro. Ale stawałem się inny pod niebem bez

<sup>63</sup>Pałac Sprawiedliwości — zespół budynków na paryskiej wyspie Île de la Cité, stanowiący siedzibę najważ-niejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji. [przypis edytorski]

chmurki; złożony dźwięk dzwonów zawierał nie tylko — jak miód — światło, ale wrazenie światła, a także mdły smak konfitur (ponieważ w Combray wałęsał się często jak osa po sprzątniętym stole). W taki słoneczny dzień lenić się z zamkniętymi oczami to była rzecz dozwolona, praktykowana, zbawienna, miła, właściwa tak jak zamknąć żaluzje od upału.

W taki to czas w początkach drugiego pobytu w Balbec usłyszałem smyczki orkiestry pośród sinych fal przypywu. O ileż więcej posiadałem Albertynę dziś! Były dni, kiedy dzwon bijący godzinę miał na kręgu swojej dźwięczności tarczę tak świeżą, tak mocno nasyconą wilgocią lub światłem, że stawała się jak gdyby transpozycją dla ślepych, lub jeśli kto woli, muzycznym przekładem uroków deszczu lub czaru słońca. Tak iż w tej chwili, leżąc z zamkniętymi oczami w łóżku, powiadałem sobie, że wszystko da się przetransponować i że wszechświat jedynie słyszalny mógłby być równie urozmaicony. Płynąc leniwo z powrotem od dnia do dnia, niby na łodzi, i widząc jawiące się przede mną wciąż nowe zaczarowane wspomnienia, niewybrane przeze mnie, niewidzialne na chwilę przedtem i ukazywane mi przez pamięć kolejno, bez możliwości wyboru, ciągnąłem leniwo po tych równych przestrzeniach przechadzkę w słońcu.

Te ранne koncerty w Balbec nie były zbyt dawne. A jednak w owej bliskiej stosunkowo chwili niewiele dbałem o Albertynę. W pierwszych dniach po przybyciu nie wiedziałem nawet o jej obecności w Balbec. Kto to mi o tym powiedział? A, prawda, Aimé. Było piękne słońce, jak dziś. Był rad, że mnie widzi. Ale nie lubił Albertyny. Wszyscy nie mogą jej lubić. Tak, to Aimé oznajmił mi, że ona jest w Balbec. Skąd on to wiedział? A, spotkał ją, wydała mu się w wątpliwym guście. W tej chwili, ujmując opowiadanie Aimégo z innej strony, niż to było w jego intencjach, myśl moja, dotąd żeglująca z uśmiechem po tych błogosławionych wodach, pękła nagle, jak gdyby się natknęła na niewidzialną, a niebezpieczną minę, zdradliwie założoną w tym punkcie mojej pamięci. Aimé oznajmił mi, że ją spotkał, że mu się wydała w wątpliwym guście. Co on chciał powiedzieć przez ten „wątpliwym gust”? Zrozumiałem „gust pospolity”, gdyż aby temu zaprzeczyć, oświadczyłem z punktu, że Albertyna jest dystygnowana. Ale może on chciał powiedzieć „w guście gomorejskim”? Była z przyjaciółką; może się obejmowały, może się przyglądały innym kobietom, może miały w istocie wzięcie<sup>64</sup>, którego nigdy nie miała wprzód Albertyna w mojej obecności. Kto to była ta przyjaciółka, gdzie spotkał Aimé tę wstrętną Albertynę?

Starałem się przypomnieć sobie ściśle to, co mi Aimé powiedział, sprawdzić, czy się to może odnosić do tego, com sobie wyobrażał, lub czy on miał na myśli jedynie pospolitość manier. Ale daremnie zastanawiałem się nad tym: osoba zadająca sobie pytanie i osoba zdolna dostarczyć wspomnień były niestety tylko jedną i tą samą osobą, mną; rozdawałem się chwilowo, ale niczym nie pomnażając siebie. Pytałem, ale odpowiadałem sam, nie dowiedziałem się niczego więcej. Nie myślałem już o pannie Vinteuil. Zrodzony z nowego podejrzenia, mój atak zazdrości był również nowy lub raczej był tylko przedłużeniem, rozszerzeniem tego podejrzenia; sceną jego nie było już Montjouvain, ale droga, gdzie Aimé spotkał Albertynę, a przedmiotem kilka przyjaciółek, z których jedna mogła towarzyszyć owego dnia Albertynie. Może niejaka Elżbieta, a może raczej owe dwie młode dziewczyny, którym Albertyna przyglądała się w lustrze w kasynie, nie zdradzając się z tym, że je widzi. Utrzymywała może stosunki z nimi, a także z Esterą, kuzynką Blocha. Gdyby mi takie stosunki zdradził ktoś trzeci, wystarczyłyby niemal, aby mnie zabić; ale ponieważ to ja sam wyobrażałem je sobie, bezwiednie przydałem im tyle niepewności, ile było trzeba dla stępienia bólu.

Pod postacią podejrzeń dochodzi człowiek do codziennego wchłaniania olbrzymich dawek myśli, że jest zdradzany; słaba jej dawka mogłaby być śmiertelna, gdyby ją w nas wprowadził zastrzyk morderczego słowa. Oto przejaw instynktu samozachowawczego: zazdrośnik nie waha się powziąć okrutnych podejrzeń z powodu niewinnych faktów, ale w obliczu pierwszego dowodu, jakiego mu ktoś dostarczy, nie podda się oczywistości. Zresztą miłość jest chorobą nieuleczalną, jak owe skazy, w których reumatyzm folguje jedynie po to, aby ustąpić miejsca migrenom epileptoidalnym<sup>65</sup>. Kiedy moje zazdrosne podejrzenia się uspokoiły, miałem żal do Albertyny, że nie była serdeczna, że może sobie

<sup>64</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>epileptoidalny — typowy dla epileptoidii, zaburzenia cechującego się zmianami temperamentu i charakteru spotykanymi u części chorych na padaczkę (epilepsję). [przypis edytorski]

drwiła ze mnie z Anną. Myślałem ze zgrozą o tym, co ona musi myśleć o mnie, jeśli jej Anna powtórzyła wszystkie nasze rozmowy; przyszłość przedstawiała mi się strasznie. Smutki te opuszczały mnie jedynie wówczas, gdy nowe podejrzenie wtrąciło mnie w inne domysły lub gdy, przeciwnie, czułość Albertyny odebrała wartość memu szczęściu. Co to mogła być za młoda dziewczyna? Muszę napisać do Aimégo, postarać się z nim zobaczyć; a potem sprawdzilibym jego zeznania w rozmowie z Albertyną, wyciągając ją na słówka. Na razie, przekonany, że to musiała być kuzynka Blocha, poprosiłem Blocha (nierozumiejącego zgoła w jakim celu), żeby mi bodaj pokazał jej fotografię lub mnie ewentualnie z nią zetknął.

Ileż osób, miast, dróg pragniemy w ten sposób poznać pod wpływem zazdrości? Zazdrość jest żądzą wiedzy, dzięki której zdobywamy w końcu wszystkie możliwe wiadomości co do poszczególnych punktów, z wyjątkiem tych, których byśmy pragnęli. Nie wiadomo nigdy, czy się nie zrodzi podejrzenie, bo nagle przypominamy sobie jakieś niejasne zdanie, alibi stworzone może nie bez intencji. Prawda, od tego czasu nie widzieliśmy danej osoby, ale istnieje zazdrość wsteczna, zbudzona dopiero po rozstaniu się, „*jalousie de l'escalier*”. Przyzwyczailem się kryć w sobie niektóre pożądanía, pożądanía młodej panny z towarzystwa (w rodzaju tych, które widziałem z okna przechodzące z guwernantką), a osobliwie tej z domu schadzek, o której wspominał Saint-Loup; pragnienie pięknych pokojówek, w szczególności pokojówki pani Putbus; pragnienie wsi z początkiem wiosny, żądzą oglądania głogów, kwitnących jabłoni, burz; pragnienie Wenecji, pragnienie wzięcia się do pracy, pragnienie życia takiego jak wszyscy; może ten nawyk przechowywania w sobie wszystkich tych niezaspokojonych pragnień — przy czym poprzestawałem na obietnicy czynionej samemu sobie, że nie zapomnę zaspokoić ich kiedyś — może ów tyloletni nawyk tego, co pan de Charlus piętnował mianem prokrastynacji — „dojutrowania” — stał się we mnie tak uniwersalny, że rozciągał się i ma moją zazdrość? Notując w myśli, że nie omieszkać kiedyś rozmówić się z Albertyną w sprawie młodej dziewczyny — może młodych dziewczyn (ta część opowiadania była w mojej pamięci mętna, zamazana, można rzec, nie do przebycia) — z którą (lub z którymi) Aimé ją spotkał, odwlekałem te wyjaśnienia. W każdym razie nie mówiłbym o tym z Albertyną tego wieczora, aby się nie narażać na to, że się zdradzę ze swoją zazdrością i że ją pogńiewam.

Jednakże kiedy nazajutrz Bloch przysłał mi fotografię swojej kuzynki Estery, czym prędzej przesłałem ją Aimému. I równocześnie przypomniałem sobie, że Albertyna odmówiła mi rano przyjemności, która mogłaby ją w istocie zmęczyć. Czyżby dlatego, żeby zachować tę przyjemność dla kogo innego? Po południu może? Dla kogo?

W ten sposób zazdrość jest nieskończona. Nawet jeśli ukochana istota (kiedy umrze, na przykład) nie może już jej wywoływać uczynkami, wspomnienia późniejsze od wszelkich wydarzeń mogą się nagle stać w naszej pamięci również wydarzeniami; wspomnienia, których nie oświetliliśmy dotąd, które się nam zdawały nieznaczące, a którym wystarczy nasze zastanowienie się nad nimi, bez żadnego faktu z zewnątrz, aby nabrały nowego i straszliwego znaczenia. Nie potrzeba być we dwoje, wystarczy być samemu w pokoju i myśleć, aby zaszły nowe fakty zdrad kochanki, choćby ona sama umarła. Toteż w miłości, nie tak jak w zwyczajnym życiu, trzeba się bać nie tylko przyszłości, ale nawet przeszłości, która często realizuje się dla nas aż po przyszłości; a nie mówię tu jedynie o przeszłości, której się dowiadujemy po czasie, ale o tej, którą przechowujemy w sobie od dawna i w której nagle nauczymy się czytać.

Ale i tak pod wieczór czułem się bardzo szczęśliwy, że się zbliża godzina, kiedy będę mógł od obecności Albertyny zażądać potrzebnego mi ukojenia. Na nieszczęście wieczór, który nadszedł, był jednym z tych, kiedy to ukojenie nie było mi dane; kiedy pocałunek Albertyny na rozstanie, bardzo odmienny od jej zwykłego pocałunku, nie uspokoiłby mnie, tak samo jak pocałunek matki w dni, kiedy się gniewała i kiedy nie śmiałem jej wolać, czując jednak, że nie zdołam zasnąć. To były teraz te wieczory, kiedy Albertyna ułożyła na jutro jakiś projekt w sekrecie przede mną. Gdyby mi była zwierzyła ów projekt, pomógłbym jej w jego ziszczeniu z zapalem, jakim nikt prócz Albertyny nie zdołałby mnie natchnąć. Ale nie mówiła nic i nie potrzebowała zresztą nic mówić; z chwilą gdy weszła, jeszcze w drzwiach mego pokoju, kiedym ją ujrzał w kapeluszu lub toczku na głowie, widziałam już nieznane, uparte, zaciekle, niezwalczone pragnienie. I były to często



wieczory, kiedy oczekiwałem jej powrotu z najtkliwszymi myślami, kiedy chciałem się jej rzucić na szyję z największą czułością.

Niestety, nieporozumienia, jakie często miałem z rodzicami, gdy trafiałem na ich chłód lub gniew, w chwili gdy podbiegałem do nich, dławiąc się czułością, niczym są w porównaniu z rozdźwiękiem między kochankami! Cierpienie jest tu o wiele mniej powierzchowne, o wiele trudniejsze do zniesienia, tkwi w o wiele głębszej warstwie serca.

Tego wieczora Albertyna musiała mi jednak wspomnieć o swoim projekcie. Zrozumiałem natychmiast, że się wybiera jutro do pani Verdurin. W zasadzie nie miałbym nic przeciw tej wizycie. Ale z pewnością chciała tam iść po to, aby kogoś spotkać, aby ukartować jakąś przyjemność. Inaczej nie zależałoby jej tak na tej wizycie, czyli nie byłaby powtarzała, że jej na tym nie zależy. Posuwałem się w swojej egzystencji drogą odwrotną do drogi ludów dochodzących do pisma fonetycznego dopiero po przebyciu fazy liter jako szeregu symboli; ja, który tyle lat szukałem prawdziwego życia i myśli ludzi jedynie w tym, co mi po prostu i dobrowolnie mówili, z ich winy doszedłem do tego, że przywiązywałem już wagę jedynie do świadectw niebędących racjonalnym i analitycznym wyrazem prawdy; słowa nawet miały dla mnie znaczenie jedynie o tyle, o ile je sobie tłumaczył tak jak na przykład rumieniec zmieszanej osoby lub nagłe milczenie.

Jakiś przysłówek użyty na przykład przez pana de Cambremer, kiedy sądził, że jestem „pisarzem” i kiedy nie rzekłszy jeszcze nic, opowiadając o swojej wizycie u Verdurinów, obrócił się do mnie, mówiąc: „Był tam właśnie de Borelli”, przysłówek wynikły z mimowolnego, czasem ryzykownego zbliżenia dwóch myśli, niewyrażonych przez interlokutora, z którego to zbliżenia mogłem dzięki jakiejś metodzie analizy lub elektrolizy, wydobyć te myśli — taki przysłówek powiadał mi więcej niż cała rozprawa.

Albertynie zdarzało się czasem w jej odezvaniach się uronić jakiś szacowny amalgamat<sup>66</sup>, który czym prędzej starałem się poddać działaniu odczynników, aby go przeobrazić w jasną myśl. To jest zresztą jedna z najokropniejszych rzeczy dla zakochanego, że o ile poszczególne fakty są trudne do odkrycia (dałoby się je odkryć wśród tylu możliwości jedynie doświadczeniem, szpiegowaniem), w zamian za to prawdę jest tak łatwo przeniknąć lub bodaj przeczuć.

Często widziałem w Balbec Albertynę, jak wpija w przechodzące młode dziewczyny nagle i długie spojrzenie mające coś z dotyku, po czym, o ile znałem te dziewczęta, mówiła: „Gdyby je ściągnąć? Z przyjemnością nagadałabym im impertynencji”. A od jakiegoś czasu (z pewnością od czasu, gdy mnie przeniknęła) — nic; żadnej propozycji zaproszenia kogoś, żadnego słowa, nawet żadnego umykania spojrzeń, które się stały bezprzedmiotowe, milczące i w swoim roztargnieniu i obojętności równie rewelacyjne, jak niegdyś była ich magnetyczność. Otóż niepodobna mi było robić Albertynie wymówek lub zadawać jej pytań z powodu jakichś drobiazgów tak błahych, tak nieznaczących, zauważonych przeze mnie chyba dla przyjemności „rozszczepiania włosa na czworo”. Dość już trudno jest powiedzieć: „Czemuś spojrzała na tę kobietę?”, ale o wiele trudniej: „czemu na nią nie spojrzałaś?”. A jednak wiedziałem lub bodaj byłbym wiedział czemu, gdybym nie wolał wierzyć raczej twierdzeniom Albertyny niż wszystkim owym „nic” zawartym w jej spojrzeniu, dowiedzionym przez to spojrzenie i przez jakąś sprzeczność jej słów, sprzeczność, którą często spostrzegałem doiero po dłuższym czasie po rozstaniu się z nią, sprzeczność, która mnie dręczyła całą noc, o której nie śmiałem już mówić, ale która niemniej zaszczycała moją pamięć periodycznymi wizytami.

Często z powodu tych przelotnych lub ukradkowych spojrzeń na plaży w Balbec lub na ulicy w Paryżu mogłem rozważać, czy osoba, która je wywołuje, jest tylko doraźnym celem pożądania? Może to dawna znajoma lub ktoś, kogo Albertyna zna tylko ze słyszenia. I kiedym się o tym dowiedział, zdumiony byłem, że słyszała o niej, tak bardzo osoba ta znajdowała się poza kręgiem „możliwych” znajomości Albertyny. Ale nowoczesna Gomora to są puzzle złożone z kawałków najniespodzianszego pochodzenia. I tak widziałem raz w Rivebelle wielki obiad, którego co najmniej dziesięć uczestniczek znałem przypadkowo z nazwiska; uczestniczek możliwie najróżnorodniejszych, ale wybornie zharmonizowanych, tak że nie widziałem obiadu równie jednolitego, mimo iż tak mieszane.

<sup>66</sup>amalgamat — stop metalu z rtęcią; przelen. mieszanina. [przypis edytorski]

Aby wrócić do owych spacerujących, faktem jest, że nigdy Albertyna nie patrzyła na żadną wiekową damę ani na starca wzrokiem tak martwym, tak obojętnym, jak na te młode osoby: wręcz jakby nie widziała. Oszukani mężowie, którzy nie wiedzą nic, i tak wiedzą wszystko. Ale aby wszcząć scenę zazdrości, trzeba konkretniejszych dowodów. Zresztą, jeżeli zazdrość pomaga nam odkryć u kochanki niejaką skłonność do kłamstwa, zazdrość nasza zestokrotnia tę skłonność, o ile kobieta odkryła, że jesteśmy zazdrośni. Kłamie (w stopniu, w jakim nigdy nie kłamała przedtem) z litości lub ze strachu lub wymyka się instynktownie za pomocą symetrycznej ucieczki naszemu śledztwu. Z pewnością istnieją stosunki, w których kobieta lekka narzuciła od początku oczom zakochanego mężczyzny wiarę w swoją cnotę. Ale jakże często stosunek miłosny zawiera dwa okresy stanowiące doskonały kontrast. W pierwszym kobieta mówi prawie swobodnie, jedynie z pewnymi złagodzeniami, o swoich zmysłach, o życiu, do jakiego ją popchnęły, aby później przeczyć wszystkiemu temu z całą energią wobec tego samego człowieka, z chwilą gdy uczuła, że jest o nią zazdrosny i że ją śledzi. Mężczyzna żałuje wręcz niekiedy czasów owych pierwszych zwierzeń, mimo że ich wspomnienie go dręczy. Gdyby kobieta jeszcze mu się tak zwierzała, sama niemal zdradziłaby przed nim tajemnicę błędów, za którą on się upędza co dnia nadaremnie. I jakiejż szczerości byłoby to dowodem, jakiej ufności, przyjaźni! Jeżeli nie może go nie zdradzać, zdradzałaby go bodaj po przyjacielsku, zwierając mu swoje rozkosze, dzieląc się nimi. I mężczyzna żałuje takiego życia, które początek ich miłości zdawał się szkicować, które dalszy ciąg uniemożliwił, czyniąc z tej miłości coś okrutnie bolesnego, coś co uczyni zerwanie — rozmaicie — albo nieuniknionym, albo niemożliwym.

Czasami pismo, w którym odcyfrowywałem kłamstwa Albertyny, nie będąc niczym ideograficznym, wymagało jedynie tego, aby je czytać na wspak. W ten sposób owego wieczora rzuciła mi niedbale słowa przeznaczone na to, aby przeszły prawie niepostrzeżone: „Możliwe jest, że jutro zajdę do Verdurinów; ale wcale nie jestem pewna, nie mam zbytnej ochoty”. Był to naiwny anagram tego wyznania: „Pójdę jutro do Verdurinów, pójdę niezawodnie, bo mi bardzo na tym zależy”. Ten pozór wahania oznaczał zdecydowaną wolę i miał na celu zmniejszyć wagę wizyty przy równoczesnym oznajmieniu mi o niej. Albertyna używała zawsze tonu powątpiewania dla nieodwołalnych postanowień. Moja decyzja była nie mniej stanowcza: postarałem się, aby wizyta u Verdurinów nie doszła do skutku. Zazdrość bywa często jedynie niespokojną potrzebą tyranii zastosowaną do spraw miłości. Odziedziczyłem zapewne po ojcu tę nagłą tyrańską ochotę dosięgania najdroższych mi istot w nadziejach, których kruchości chciałem im dowieść; kiedym widział, że Albertyna skombinowała bez mojej wiedzy, w sekrecie, rozrywkę, którą byłbym jej ułatwił i umilił z całego serca, gdyby mi się z nią zwierzyła, oświadczyłem niedbale, dla pogębienia jej, że zamierzam gdzieś się z nią wybrać tego właśnie dnia.

Zacząłem podsuwać Albertynie jakieś spaceru, które by uniemożliwiły wizytę u Verdurinów; czyniłem to z udaną obojętnością, pod którą starałem się ukryć moje zdenerwowanie. Ale ona wyczuła je. Spotykało się u Albertyny z elektryczną siłą przeciwnej woli, która odpychała je żywo; widziałem iskry tryskające z jej oczu. Zresztą po co mówić o tym, co wyrażały w tej chwili jej źrenice? Jak mogłem nie zauważyć od dawna, że oczy Albertyny są z rodziny tych, które nawet u przeciętnej istoty zdają się sporządzone z wielu kawałków, z powodu wszystkich miejsc, w których ta istota chce się znaleźć danego dnia i ukryć, że się chce tam znaleźć. Oczy, na skutek kłamstwa wciąż nieruchome i bierne, ale dynamiczne, wymierne ilością metrów lub kilometrów koniecznych do przebycia, aby się znaleźć na pożądaną, nieubłaganie pożądaną schadzce; oczy mniej jeszcze uśmiechające się do wabiącej je rozkoszy, ile przelśnione smutkiem i zniechęceniem, że wyłoni się może jakaś przeszkoda. Nawet będąc w naszych rękach, istoty te są nieujęte. Aby zrozumieć wzruszenia, które nam dają, a których nie dają inne, nawet piękniejsze, trzeba brać w rachubę, że one nie są nieruchome, ale w ruchu, i trzeba dodać do ich osoby znak oznaczający w fizyce szybkość. Jeżeli zamącisz ich program, wyznają ci rozrywkę, którą przed tobą tały. „Tak chciałam być na podwieczorku u kogoś, kogo bardzo lubię”. Otóż jeżeli po pół roku zdołasz poznać ową osobę, dowiesz się, że nigdy twoja przyjaciółka, której projekty niegdyś zmaciłeś, która zaskoczona, chcąc uzyskać swobodę ruchu, przyznała ci się, że co dzień w porze, w którejś jej nie widywał, wyprawiają sobie z tą ulubioną osobą podwieczorek we dwójkę, dowiesz się, że w istocie nigdy u niej nie była i że mówiła jej,

iz jest bardzo zaakaparowana<sup>67</sup> — przez ciebie. Tak więc, osoba, u której niby to, jak się przyznała sama, bywała na podwieczorku — i błagała cię, żebyś jej pozwolił iść do niej — ta osoba, ten powód wyznany z musu, to była nie ta, to była inna, to było jeszcze coś innego! Coś innego, ale co? Inna, ale kto?

Niestety, te cząstkowe oczy, biegnące w dal i smutne, pozwoliłyby może zmierzyć odległość, ale nie wskazują kierunku. Rozpościera się nieskończone pole możliwości, a gdyby przypadkowo zjawiała się przed nami istotna rzeczywistość, byłaby czymś tak poza wszelkimi możliwościami, że padlibyśmy na wznak, oszołomieni, uderzając głową o wyrastającą ścianę. Nie jest nawet konieczne stwierdzenie ruchu i ucieczki, wystarczy, że je wywnioskujemy. Przyrzekła nam list, byliśmy spokojni, nie kochaliśmy już. List nie przyszedł, nie przychodzi, co się dzieje? — odradza się niepokój i miłość. Takie istoty zwłaszcza budzą w nas miłość na nasze nieszczęście. Bo każdy nowy niepokój, jaki odczuwamy przez nie, ujmuje w naszych oczach coś z ich osobowości. Byliśmy zrezygnowani na cierpienie, sądząc, że kochamy kogoś z zewnątrz nas; i oto spostrzegamy, że miłość nasza jest funkcją naszego smutku, że jest może po prostu naszym smutkiem i że przedmiotem jej jest jedynie w skromnej mierze czarnowłosa dziewczyna. Ale cóż, zwłaszcza takie istoty budzą miłość.

Najczęściej przedmiotem miłości nie jest ciało, chyba że się w nim stopi wzruszenie, obawa stracenia go, niepewność posiadania. Otóż ten rodzaj niepokoju czepia się zwłaszcza ciała. Przydaje mu coś, co jest więcej niż piękność; oto jedna z przyczyn, dla której mężczyźni obojętni na najpiękniejsze kobiety mogą namiętnie kochać inne, dla nas brzydkie. Tym właśnie istotom wymykającym się natura ich, nasz niepokój, przyprowadzają skrzydła. I nawet gdy są przy nas, spojrzenie ich zdaje się mówić, że ulecą. Dowodem tej nadpiękności, której używają skrzydła, jest fakt, że często ta sama istota jest dla nas na przemian bez skrzydeł i skrzydlata. Kiedy boimy się ją stracić, zapominamy o wszystkich innych. Kiedy jesteśmy pewni jej posiadania, porównujemy ją z owymi innymi, dając im natychmiast pierwszeństwo. Że zaś te wzruszenia i ten spokój mogą się zmieniać z tygodnia na tydzień, możemy dla tej istoty poświęcić w danym tygodniu wszystko, co nam było mile, a w następnym tygodniu poświęcić ją samą, i tak dalej, przez bardzo długi czas. To byłoby niepojęte, gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia (jak każdy mężczyzna, który w życiu bodaj raz przestał kochać, zapomniał), jak mało czym jest taka istota sama w sobie, kiedy nie jest już lub nie jest jeszcze przepuszczalna dla naszych wzruszeń. I oczywiście, jeżeli mówimy: „istoty wymykające się”, odnosi się to tak samo do istot w więzieniu, do kobiet niewolnych, o których posiadaniu zwątpimy. Toteż mężczyźni nienawidzą rajfurek<sup>68</sup>, bo one ułatwiają ucieczkę, migocą pokusą; kochając natomiast kobietę zamkniętą, uciekają się chętnie do rajfurek, aby taką kobietę wyrwały z więzienia i przywiodły ku nam. I jeżeli związki z kobietami wykradzionymi są mniej trwałe od innych, to dlatego że niepewność zdobycia ich lub obawa ich ucieczki stanowi całą naszą miłość i że skoro je raz zabierzemy mężowi, wyrwiemy je z ich teatru, skoro je wyleczymy z pokusy rzucenia nas, słowem, skoro je wyodrębnimy od jakiegokolwiek naszego wzruszenia, pozostają tylko sobą, to znaczy prawie niczym. I szybko rzuci je ten, który ich tak długo pragnął, który się tak bardzo bał, że one go rzucą.

Powiedziałem: „Jak mogłem nie zgadnąć?”. Ale czyż ja nie zgadłem tego w Balbec od pierwszego dnia? Czyż nie odgadłem w Albertynie jednej z owych dziewczyn, pod których cielesną powłoką pulsuje więcej ukrytych istot — może nie więcej niż w nierozpieczętowanej jeszcze talii kart, niż w jakiejś katedrze lub w teatrze, zanim się do nich wejdzie, ale więcej niż w olbrzymim i wciąż nowym tłumie. Nie tylko tyle istot, ale pragnienie, rozkoszna pamięć, niespokojne szukanie tyłu istot. W Balbec nie byłem wzruszony, bom nie przypuszczał nawet, iż pewnego dnia znajdę się na tropie, choćby fałszywym. Ale i tak dało to Albertynie wobec mnie pełnię istoty wypełnionej do dna warstwami tyłu istot, pragnień, tyłu wspomnień rozkoszy. I teraz kiedy pewnego dnia powiedziała mi: „Panna Vinteuil”, byłbym chciał nie zerwać suknię, aby ujrzeć jej ciało, ale poprzez ciało ujrzeć cały ów notatnik jej wspomnień i jej bliskich i namiętnych schadzek.

<sup>67</sup>zaakaparować (daw., z fr.) — przywłaszczyć sobie; zająć kogoś wyłącznie swoją osobą. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

Jak dalece rzeczy zapewne najblihsze nabierają nagle nadzwyczajnej wartości, kiedy istota, którą kochamy (lub której brakowało jedynie tej dwulicowości, abyśmy ją pokochali), ukrywa je nam! Samo w sobie cierpienie niekoniecznie rodzi w nas uczucia miłości lub nienawiści dla osoby, która je powoduje; chirurg zadający ból pozostaje nam obojętny. Ale kiedy kobieta mówiła nam jakiś czas, że jesteśmy dla niej wszystkim, przy czym ona sama nie była wszystkim dla nas; kobieta, którą lubimy widzieć, całować, trzymać na kolanach, wówczas dziwimy się, czując po nagłym oporze, że nie rozporządzamy nią do woli. Zawód budzi w nas wówczas czasami zapomniane uczucie dawnego niepokoju, o którym jednak wiemy, że go zbudziła nie ta kobieta, lecz inne, których zdrady piętrzą się w naszej przeszłości; zresztą jak mieć odwagę, aby żyć, jak zrobić ruch, aby się uchronić od śmierci w świecie, gdzie miłość rodzi się tylko z kłamstwa, a polega tylko na potrzebie ukojenia naszych cierpień przez istotę, która nam je zadała? Na to, aby wyjść z przygnębienia, jakie w nas budzi odkrycie tego kłamstwa i tego oporu, smutnym lekarstwem jest starać się oddziaływać na tę, co się nam opiera i która nam kłamie; oddziaływać na nią mimo jej woli, za pomocą istot więcej, czujemy to, zajmujących miejsca w jej życiu niż my sami; kłamać, kręcić, zozydzić się w jej oczach. Ale męka takiej miłości jest z tych, które sprawiają nieodparcie, że chory w zmianie pozycji szuka złudnej poprawy.

Na tych sposobach działania nie zbywa nam, niestety! I okropność takiej miłości, zrodzonej jedynie z niepokoju, płynie stąd, że bez przerwy rozważamy i obracamy w klatce nieznaczące słowa; co więcej, istoty budzące w nas tę miłość bardzo rzadko podobają się nam fizycznie w złożony sposób: wyboru dokonuje nie nasz świadomy smak, ale przypadkowa minuta niepokoju, minuta nieograniczenie przedłużona słabością naszego charakteru, powtarzającą co wieczór próby i zniżającą się do środków uśmierających.

Bez wątpienia miłość moja do Albertyny nie była najuboższa wśród tych, do których z braku woli można się osunąć, bo nie była całkowicie platoniczna; Albertyna dawała mi rozkosz fizyczną, a przy tym była inteligentna. Ale wszystko to było tylko nadpłodnienie. Zaprzętała mnie nie jej inteligencja, ale jakieś słówko rzucające nagle dwuznaczny cień na jej postępkę; próbowałem sobie przypomnieć, czy ona powiedziała to czy owo, jakim tonem, w jakiej chwili, w odpowiedzi na jakie słowa; sililem się odtworzyć sobie cały dialog; kiedy ściśle objawiła chęć wizyty u Verdurinów i które z moich słów sprawiło, że się zachmurzyła. Gdyby chodziło o najważniejszy fakt, nie zadałbym sobie tyle trudu, aby ustalić jego autentyczność, odtworzyć jego atmosferę i barwę. Bez wątpienia takie niepokoje, osiągnąwszy stopień, w którym stają się czymś nie do zniesienia, dadzą się niekiedy całkowicie uśmierzyć na jeden wieczór. Zaproszono i nas na zabawę, na którą nasza ukochana wybiera się i nad której prawdziwym sensem głowiliśmy się od wielu dni; kochanka uśmiecha się tylko do nas, rozmawia tylko z nami; odprowadzamy ją do domu i wówczas, zbywszy się obaw, kosztujemy spokoju równie kompletnego i krzepiącego, jak ten, którego zażywamy czasem w głębokim śnie po długim spacerze. I bez wątpienia taki spokój wart jest, aby go opłacić drogo. Ale czy nie byłoby prostsze nie kupować sobie dobrowolnie, i to jeszcze drożej, owych lęków? Zresztą wiemy, że choćby te chwilowe odprężenia były najgłębsze, niepokój i tak weźmie górę. Czasami nawet odnawia go jakieś zdanie, którego celem było przynieść nam spokój. Ale najczęściej zmieniamy jedynie niepokój. Któreś słowo z tego zdania, które miało nas uspokoić, pcha nasze podejrzenia na inny tor. Zazdrość nasza i ślepotą większe są, niż mogła przypuszczać ta, którą kochamy.

Kiedy ona nam przysięga samorzutnie, że dany mężczyzna jest dla niej tylko przyjacielem, przyprawia nas o wstrząs, przynajmniej, czegośmy nie podejrzewali, że był dla niej przyjacielem. Kiedy nam opowiada, chcąc dowieść swojej szczeroci, jak pili razem herbatę jeszcze tego popołudnia, za każdym jej słowem obleka się nam w kształt coś niewidzialnego, nieodejrzewanego. Wyznaje, że on ją prosił, aby mu się oddała, a my cierpimy męki, że ona mogła słuchać tych propozycji. Odrzuciła je, powiada. Ale za chwilę, przypominając sobie jej opowiadanie, zastanawiamy się, czy ono jest całkiem szczerem; między rozmaitymi szczegółami brak nam owego logicznego i koniecznego węzła, który bardziej od faktów jest znamieniem prawdy. A przy tym ta jej okropna, wzgardliwa intonacja: „Powiedziałam mu, że nie, kategorycznie”, którą ma kobieta wszystkich klas — kiedy kłamie. I trzeba jej jeszcze dziękować za to, że odmówiła; dobrocią swoją zachęcać ją na przyszłość do ponowienia tak okrutnych zwierzeń. Co najwyżej czynimy uwagę: „Ale jeżeli ci już robił takie propozycje, czemu zgodziłaś się iść z nim na herbatę?” —

„Żeby nie miał do mnie pretensji i nie mógł mówić, że nie jestem dobra dla niego”. A my nie śmiemy odpowiedzieć, że odmawiając, byłaby może lepsza dla nas...

Zresztą Albertyna przerażała mnie, powiadając, że dobrze robię, kiedy aby jej nie szkodzić, mówię, że nie jestem jej kochankiem. „Ostatecznie — dodawała — to szczerą prawdą, nie jesteś”. Istotnie, nie byłem może całkowicie, ale czyż w takim razie miałem sądzić, że wszystko to, cośmy robili z sobą, ona robi z każdym, o którym mi przysięga, że nigdy nie był jej kochankiem? Jakie to dziwne, wszystko poświęcać dlatego, aby za wszelką cenę dowiedzieć się, co Albertyna myśli, kogo widuje, kogo kocha, skoro niegdyś wobec Gilberty doznawałem tej samej potrzeby wiedzenia imion, faktów tak mi dziś obojętnych. Zdawałem sobie sprawę, że same w sobie postęпки Albertyny nie więcej mają wagi. Ciekawe jest, że o ile pierwsze uczucie, rozpulchniając niejako nasze serce, toruje drogę następnym miłościom, nie daje nam — mimo tożsamości objawów i cierpień — sposobu uleczenia ich.

Zresztą, czy potrzeba znać jakiś fakt? Czy nie poznaje się od razu w nieuchwytny sposób kłamstwa, a nawet dyskrecji kobiet, które coś ukrywają? Czy tu jest możliwość omyłki? Milczą uparcie wówczas, gdy my byśmy je tak chcieli pociągnąć za język. I czujemy, że swojemu współnikowi powiedziały: „Nie mówię nigdy nic. Ode mnie z pewnością nikt się nie dowie niczego; nie mówię nigdy nic”. Dajemy swój majątek, życie za jakąś istotę, a przecież wiemy, że za dziesięć lat, trochę wcześniej lub później, odmówilibyśmy jej tego majątku, wolelibyśmy zachować życie. Bo wówczas ta istota byłaby oderwana od nas, sama, to znaczy żadna.

Z daną istotą wiążą nas owe tysiączne korzenie, niezliczone nici usnute ze wspomnień wczorajszego wieczora, nadziei jutrzejszego ranka, nieprzerwana sieć nawyków, z której nie możemy się wyplątać. Tak samo jak są skąpcy, którzy gromadzą przez szczodrość, tak my jesteśmy rozrzutnicy, którzy wydają przez skąpstwo; poświęcamy życie nie tyle jakiejś istocie, ile wszystkiemu temu, co ona zdołała osnuć dokoła siebie z naszych godzin, z naszych dni; temu, przy czym życie jeszcze nie przeżyte, życie stosunkowo przyszłe, wydaje się nam czymś dalszym, bardziej oderwanym, mniej użytecznym, mniej naszym. Trzeba by się nam wyzwolić z tych więzów, o ileż ważniejszych niż sama osoba, przez to iż stwarzają w nas wobec niej chwilowe obowiązki. Obowiązki te sprawiają, że nie śmiemy jej opuścić z obawy stracenia w jej oczach, podczas gdy później nie wahalibyśmy się tego uczynić, bo osoba ta odłączona od nas nie byłaby już nami, w istocie zaś jedynie wobec siebie samych stwarzamy sobie obowiązki — choćby przez pozorną sprzeczność miały nas przywieść w końcu do samobójstwa.

Jeżeli nie kochałem Albertyny (czego nie byłem pewny), miejsce jej w moim życiu nie było niczym nadzwyczajnym: żyjemy jedynie z istotami, których nie kochamy, które sprzegliśmy z sobą wyłącznie po to, aby zabić nieznośną miłość, czy chodzi o kobietę, czy o krainę, czy wreszcie o kobietę zawierającą jakąś krainę. Balibyśmy się nawet, że zaczniemy znów ją kochać w razie nowej rozłąki. Nie doszedłem z Albertyną do tego punktu. Jej kłamstwa, jej wyznania zmuszały mnie do dalszych poszukiwań prawdy: kłamstwa jej tak liczne dlatego, że nie poprzestawała na kłamaniu jak wszelka istota, która się czuje kochaną, ale że z natury była kłamliwa, a przy tym tak zmienna, że nawet mówiąc za każdym razem prawdę (na przykład, co myśli o ludziach), powiedziała mi za każdym razem coś innego; wyznania jej przez to, że tak rzadkie, tak hamowane, zostawiały między sobą — w tym, co tyczyło przeszłości — wielkie białe luki, na których przestrzeni trzeba mi było wykreślić jej życie, a w tym celu najpierw trzeba by je poznać.

Co się tyczy teraźniejszości (o ile mogłem interpretować sybilińskie<sup>69</sup> słowa Franciszki), Albertyna okłamywała mnie już nie w poszczególnych punktach, ale w całości: „Ujrzę pewnego pięknego dnia wszystko”, co Franciszka rzekomo wiedziała, czego nie chciała mi powiedzieć, o co nie śmiałem jej pytać. Zresztą, z pewnością przez tę samą zazdrość, jaką niegdyś ścigała Eulalię, Franciszka mówiła rzeczy najmniej prawdopodobne, tak mętne, że można w nich było co najwyżej odgadnąć jakąś niewiarygodną insynuację, że na przykład biedna branka (amatorka kobiet) miała na oku jakieś małżeństwo, ale z kimś, kto niekoniecznie musiał być mną. Gdyby tak było, skąd Franciszka, mimo

<sup>69</sup>sybiliński — proroczy, wieszcz; *Sybill* (mit. rzym.): wieszczka, autorka ksiąg, w których były zapisane proroctwa przyszłych losów Rzymu, przechowywanych w świątyni Jowisza Kapitońskiego, interpretowanych na żądanie senatu przez specjalne kolegium kapłańskie. [przypis edytorski]

swojej radiotelepatii, wiedziałyby o tym? Oczywiście, opowiadania Albertyny nie mogą rozstrzygnąć tej zagadki, bo były co dnia tak sprzeczne jak kolory bąka kończącego się kręcić. Widoczne zresztą było, że to nienawiść przemawia przez Franciszkę. Nie było dnia, żeby mi nie mówiła czegoś w tym sensie i żebym w nieobecności matki nie znosił takich na przykład aluzji:

„Nie ma co, panicz jest poczciwy, nie zapomnę nigdy wdzięczności, jaką paniczowi jestem winna — Franciszka mówiła tak zapewne po to, żeby mnie zachęcić do kupienia sobie praw do tej wdzięczności — ale dom jest zapowietrzony od czasu, jak dobroć pańska wpuściła tutaj łajdactwo, jak sama inteligencja popiera osobę najgłupszą, jaką w świecie widziano; jak rozum, maniery, dowcip, godność, mina i charakter prawdziwego ksiązątka dają nad sobą przewodzić najplugawszemu i najpospolitszemu łajdactwu, pozwalają sobie kolki ciosać na głowie i upokarzać mnie, mnie, co jestem od czterdziestu lat w rodzinie...”

Franciszka była wściekła na Albertynę, zwłaszcza o to, że jej, Franciszce, ma rozkazywać ktoś poza jej państwem; także o nadwyżkę domowej roboty, o zmęczenie, od którego cierpiało zdrowie naszej starej służącej. Mimo to nie chciała przyjąć żadnej pomocy; „Nie jest — mówiła — do niczego”. Wystarczyłoby to, aby wytłumaczyć jej zdenerwowanie, wybuchy nienawiści. Z pewnością pragnęłaby wygnania Albertyny-Estery. To było życzenie Franciszki. Ta pociecha byłaby już dla starej służącej odpoczynkiem. Ale moim zdaniem grało tu rolę nie tylko to. Taka nienawiść mogła się zrodzić jedynie w przemęczonym ciele. I bardziej jeszcze niż względów Franciszka potrzebowała snu.

Albertyna poszła się rozebrać, ja zaś, aby coś przedsięwziąć, spróbowałem zatelefonować do Anny; chwyciłem słuchawkę, wezwałem nieubłagane bóstwa, ale jedynie podnieciłem ich wściekłość, wyrażającą się słowem: „Zajęte”. W istocie, Anna rozmawiała z kimś. Czekaając, aż skończy, zastanawiałem się, jak to się dzieje (gdy tytu malarzy stara się wskrzesić portrety kobiece z XVIII wieku, gdzie pomyslowe *mise en scène*<sup>70</sup> jest pretekstem do miniek oczekiwania, dąsu, ciekawości, marzenia), że żaden z naszych nowoczesnych Boucherów<sup>71</sup> lub Fragonardów<sup>72</sup> nie odmalował zamiast „listu”, „klawikordu” itd. sceny, która mogłaby się nazywać: „Przy telefonie” i w której na wargach słuchającej zakwitłby bezwiednie uśmiech tym prawdziwszy, że niewidziany.

Wreszcie Anna usłyszała mnie: „Czy wstąpisz po Albertynę jutro?” — rzekłem; przy czym wymawiając imię Albertyny, przypomniałem sobie zazdrość, jaką wzbudził we mnie Swann, mówiąc swego czasu na owym raucie u księżnej Marii: „Niech pan zajdzie do Odety”. Pomyślałem wówczas, ile siły tkwi mimo wszystko w imieniu, które w oczach całego świata i samej Odety miało jedynie w ustach Swanna ów sens absolutnie „dzierzawczy”.

Jakże takie — streszczone w jednym wyrazie — położenie ręki na całej egzystencji wydawało mi się słodkie za każdym razem, kiedy byłem zakochany! Ale w rzeczywistości, kiedy można to uczynić, albo się to już stało obojętne, albo też przyzwyczajenie, nie nieważąc czułości, zmieniło jej słodczye w cierpienia. Kłamstwo to drobiazg, żyjemy pośród niego, uśmiechając się zeń tylko; uprawiamy je bez poczucia wyrządzonej komukolwiek krzywdy; ale zazdrość cierpi od kłamstwa i widzi więcej niż ono ukrywa (często kochanka odmawia spędzenia z nami wieczoru i idzie sama do teatru po prostu dlatego, żebyśmy nie widzieli, że źle wygląda). Jak często zazdrość pozostaje ślepa na to, co kryje prawda! Ale nie może nic uzyskać, bo te, co przysięgają, że nie kłamią, wzdragałyby się wyznać prawdy, bodaj pod gilotyną. Wiedziałem, że ja jeden, mówiąc do Anny, mogę powiedzieć w ten sposób: „Albertyna”. A przecież czułem, że jestem niczym dla Albertyny, dla Anny, dla siebie samego. I rozumiałem niemożliwość, o jaką się obja miłość.

Wyobrażamy sobie, że jej przedmiotem jest istota, która może leżeć koło nas, zamknięta w ciele. Niestety! Miłość jest rozpostarciem tej istoty na wszystkie punkty przestrzeni i czasu, jakie ta istota zajmowała i zajmować będzie. Jeżeli nie posiadamy jej kontaktu z danym miejscem, z daną godziną, nie posiadamy jej samej. Otóż nie możemy dosięgnąć wszystkich tych punktów. Gdybyż jeszcze ktoś nam je wskazał, zdołalibyśmy może dociągnąć się do nich. Ale szukamy po omacku, nie znajdując ich. Stąd nieufność,

<sup>70</sup>*mise en scène* (fr. dosł.: umieszczanie na scenie) — scenografia i kompozycja wizualna. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Fragonard, Jean-Honoré* (1732–1804) — francuski malarz rokokowy, portrecista, autor lekkich, często frywolnych scen rodzajowych, jeden z jeden z najbardziej płodnych artystów swojego okresu. [przypis edytorski]

zazdrość, prześladowania. Tracimy drogi czas na niedorzecznym tropie i przechodzimy obok prawdy, nie domyślając się jej.

Ale już jedno z gniewliwych bóstw, rozkazujących zawrotnie zwinnym służebnikom, pognewało się już nie o to, że rozmawiam, ale że nic nie mówię. „Proszę pana, numer jest wolny, już od dawna ma pan połączenie, rozłączę pana”. Ale nie zrobiła tego i wywołując obecność Anny, spowiła ją — jak wielki poeta, którym zawsze jest telefonistka — atmosferą swoistą dla mieszkania, dzielnicy, nawet dla życia Anny.

— To ty? — rzekła Anna, której głos rzuciła mi zawrotnie szybko bogini mająca władzę dawania dźwiękom chyżości błyskawicy.

— Słuchaj — odparłem — jedźcie, gdzie chcecie, mniejsza o to gdzie, wyjąwszy do pani Verdurin. Trzeba za wszelką cenę odciągnąć Albertynę.

— Ale... bo ona właśnie wybiera się tam jutro.

— A!

Ale musiałem przerwać na chwilę i wykonać groźne gesty, bo o ile Franciszka wciąż — tak jakby to było coś równie przykrego jak szczepienie ospy i równie niebezpiecznego jak samolot — wzdragała się nauczyć telefonować, co by nas uwolniło od trudu połączeń (mogłaby je doskonale załatwiać), w zamian za to wchodziła natychmiast do mego pokoju, ilekroć miałem poufną rozmowę, którą specjalnie chciałem przed nią utaić. Wyszła wreszcie, długo zabawiając się zbieraniem rozmaitych przedmiotów, które leżały od wczoraj i mogły bezpiecznie zostać jeszcze godzinę, i dorzucając do ognia polano, bardzo zbyteczne wobec gorąca, jakim mnie przenikała obecność intruza i obawa, że mnie telefonistka rozłączy.

— Daruj — rzekłem do Anny — ktoś mi przeszkodził. Czy to całkiem pewne, że ona się wybiera jutro do Verdurinów?

— Absolutnie pewne, ale mogę jej powiedzieć, że sobie tego nie życzysz.

— Nie, przeciwnie, możebne jest, że ja się wybiorę z wami.

— A! — rzekła Anna z wyraźnym niezadowoleniem i jakby przestraszona moją odwagą, w której mnie zresztą tylko umocniła.

— Zatem do widzenia, przepraszam, że cię na próżno trudziłem.

— Ależ nie — rzekła Anna i dodała (w miarę rozpowszechnienia telefonu rozwinął się dokoła niego ornament specjalnych frazesów, jak niegdyś koło „herbaty”): — Bardzo mi było miło usłyszeć twój głos.

Mogłem powiedzieć to samo, i szczerzej niż Anna, bo od jakiegoś czasu byłem nader czuły na jej głos, nie zauważywszy wprzód, że jest tak różny od innych. Wówczas przypomniałem sobie jeszcze inne głosy, głosy kobiet zwłaszcza, jedne zwolnione precyzją pytania i napięciem uwagi, drugie zdyszane, nawet przerywane liryczną falą opowiadania; przypomniałem sobie kolejno głosy każdej ze znajomych dziewcząt w Balbec; potem głos Gilberty, potem głos babki, potem pani de Guermantes; wydały mi się wszystkie odmienne, zestrojone z językiem każdej, grające na odmiennym instrumencie; i pomyślałem, jaki chudy koncertik muszą dawać w niebie trzy lub cztery muzykujące anioły z obrazów dawnych mistrzów, kiedy widział wznoszące się do Boga dziesiątkami, setkami, tysiącami, harmonijne i wielodźwięczne pozdrowienie wszystkich Głosów. Zanim opuściłem telefon, podziękowałem w paru dobranych słowach tej, co włada chyżością dźwięków, iż zechciała użyć na rzecz moich skromnych słów władzy czyniącej je sto razy szybszymi od grzmotu; ale moje dzięki nie doczekały się innej odpowiedzi niż przerwanie połączenia.

Kiedy Albertyna wróciła, miała na sobie czarną atlasową suknię, która podkreśliła jeszcze jej błądź, czyniąc z niej chlorotyczną<sup>73</sup> i zgorączkowaną paryżankę, wypompowaną brakiem powietrza, atmosferą tłumów i może nalogiem grzechu. Oczy jej zdawały się bardziej niespokojne, bo ich nie poweselała różowość policzków.

— Zgadnij — rzekłem — do kogo telefonowałem. Do Anny.

— Do Anny! — wykrzyknęła Albertyna, zdziwiona, podniecona, tonem nieharmonizującym z tak prostą wiadomością. — Mam nadzieję, iż nie zapomniała ci powiedzieć, żeśmy spotkały kiedyś panią Verdurin.

<sup>73</sup>chlorotyczny — błąd lub poślizg, charakterystyczny dla chlorozy, stanu chorobowego roślin, w którym liście wytwarzają niewystarczającą ilość chlorofilu. [przypis edytorski]

— Panią Verdurin? Nie przypominam sobie — odparłem z miną taką, jakbym myślał o czym innym, chcąc się okazać obojętny na to spotkanie i nie zdradzić Anny, że się wygadała z tym, dokąd Albertyna wybiera się jutro.

Ale kto wie, czy Anna mnie nie zdradza? Może jutro opowie Albertynie, że ją prosił, aby jej nie puściła za żadną cenę do Verdurinów? Kto wie, może jej już wyznała, że to nie było pierwsze podobne zlecenie z mojej strony. Zaręczała mi, że niczego nie powtarza nigdy, ale zakłęciu temu przeczył fakt, że od jakiegoś czasu z twarzy Albertyny znikła ufność, jaką mnie darzyła tak długo.

Ciekawe jest, że już na kilka dni przed tym niezrozumieniem miałem z Albertyną inną sprzeczkę, ale w obecności Anny. Otóż Anna, dając dobre rady Albertynie, zawsze robiła wrażenie, że jej podsuwa złe myśli. „Słuchaj, nie mów w ten sposób, przestań” — mówiła, jakby upojona szczęściem. Twarz jej przybierała suchy malinowy odcień, typowy dla gospodyń-dewotek, wygryzających kolejno wszystkie służące. Podczas gdy ja obsypywałem Albertynę pożałowania godnymi wymówkami, Anna robiła wrażenie, że sse z rozkoszą cukier lodowaty. W końcu nie mogła powstrzymać tkliwego śmiechu. „Chodź, Titinko, do mnie. Ty wiesz, że ja jestem twoja kochana siostrzyczka”. Nie tylko mnie drażniło to słodkawe lepienie się, ale zastanawiałem się, czy Anna ma naprawdę dla Albertyny przyjaźń, o której tyle mówi. Ponieważ Albertyna, która znała Annę gruntownie ode mnie, stale wzruszała ramionami, kiedym pytał, czy jest pewna uczuć Anny, i odpowiadała zawsze, że nikt na świecie tak jej nie kocha, pewien jestem jeszcze teraz, że przywiązanie Anny było szczere. Może w jej zamożnej, ale prowincjonalnej rodzinie znalazłoby się odpowiednik tego w pewnych sklepach na Placu Biskupim, gdzie niektóre słodczyce uchodzą za „co tylko może być najlepszego”. Ale co do mnie (mimo iż zawsze dochodziłem do przeciwnej konkluzji), tak dalece miałem wrażenie, iż Anna stara się upokorzyć przyjaciółkę, że natychmiast brałem w duchu stronę Albertyny i gniew mój opadał.

Cierpienie w miłości ustaje chwilami, ale po to, aby się zacząć na nowo inaczej. Bojemy, widząc, że ukochana nie ma już dla nas owych wybuchów sympatii, miłosnych zrywów, jakie miała z początku; bardziej jeszcze nas boli, że straciwszy je wobec nas, odzyskuje je dla innych; potem od tego cierpienia odrywa nas nowa, okrutniejsza męka: podejrzenie, że nas okłamała co do wczorajszego wieczoru, że nas z pewnością zdradziła. To podejrzenie również się rozprasza; czułość kochanki uspokaja nas, ale wówczas wraca jakieś zapomniane słówko; powiedział nam ktoś, że ona ma „szalony temperament”, a myśmy ją znali raczej chłodną; próbujemy sobie wyobrazić, czym były owe szaty z innymi; czujemy, jak mało znaczymy dla niej, spostrzegamy wyraz nudy, nostalgii, smutku, jaki ma w naszym towarzystwie; zauważamy (na kształt pochmurnego nieba) nieświeże suknie, które kładzie dla nas, zachowując dla innych toalety, którymi w początkach chciała nas czarować. W zamian jeżeli jest czuła, co za radość! Ale widząc ten języczek wysuwający się niby wezwanie, myślimy o kobietach, do których to wezwanie zwracało się tak często... Może nawet kiedy jest ze mną i nie myśli o nich, gest ten — rezultat przyzwyczajenia — pozostał czymś machinalnym? I wraca uczucie, że ją nudzimy. Ale nagle cierpienie to staje się czymś bardzo drobnym na myśl o złowrogim sekrecie jej życia, o niezbadanych miejscach, w których była, w których jest może jeszcze w godzinach, gdy nie jest z nami, jeżeli nawet nie zamierza umknąć tam na stałe; o miejscach, gdzie jest daleka od nas, nie nasza, szczęśliwsza niż z nami. Na takim wolnym ogniu obraca nas zazdrość.

Zazdrość jest zarazem demonem, którego nie można zakłąć; wciąż wraca, wciąż wciela się w nową formę. Gdybyśmy zdołali wytepić je wszystkie, trzymać wciąż przy sobie kochaną istotę, Duch Złego przybrałby wówczas jeszcze inną, patetyczniejszą formę: rozpacz, żeśmy zdobyli jej wierność jedynie siłą, rozpacz bezwzajemności.

Między Albertyną a mną była często zaporą milczenia, utworzonego z pewnością z żalów, które tała, bo uważała je za beznadziejne. Mimo iż tak słodka w pewne wieczory, Albertyna nie miała już owych odruchów z Balbec, kiedy mówiła: „Jakiś ty milutki!” i kiedy serce jej zdawało się biec ku mnie bez zastrzeżeń i pretensji. Teraz kryła je, uważając je z pewnością za nieodwołalne, niepodobne do zapomnienia. Niewyznane, niemniej kładły one pomiędzy nami znaczącą ostrożność jej słów lub przestrzeń nieubłaganego milczenia.



— A czy można wiedzieć, po coś telefonował do Anny?

— Spytać się, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym się wybrał z wami do Verdurinów z wizytą, którą im przyrzekam od czasów la Raspeliere.

— Jak zechcesz. Ale uprzedzam cię, że jest dziś straszliwa mgła i jutro z pewnością będzie także. Mówię ci to, bo nie chciałabym, żebyś sobie zaszkodził. Pojmujesz, ja bym wolala, żebyś poszedł z nami. Zresztą — dodała w zamyśleniu — ja zupełnie nie wiem, czy pójdę do Verdurinów. Byli dla mnie tak uprzejmi, że w istocie powinnabym... Po tobie to są ludzie, którzy jeszcze byli najlepsi dla mnie; ale są drobiazgi, które mnie u nich rażą. Muszę koniecznie wybrać się do Bon Marché albo do Trois-Quartiers kupić biały żabocik, bo ta suknia jest za czarna.

Pozwolić Albertynie iść samej do wielkiego magazynu, pełnego ludzi ocierających się o nią, mającego tyle wyjść, że można potem powiedzieć, iż wychodząc, nie odnalazło się wehikułu, który czekał trochę dalej — nie! byłem zdecydowany nie pozwolić na to, ale zwłaszcza byłem nieszczęśliwy. A jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego, że już dawno powinien bym przestać widywać Albertynę, bo weszła dla mnie w ów żalony okres, kiedy istota rozpylona w czasie i w przestrzeni nie jest już dla nas kobietą, ale szeregiem niewyjaśnionych wydarzeń, szeregiem niepodobnych do rozwiązania zagadnień, morzem, które jak Kserkses próbujemy pocieszyć chłostać, aby je ukarać za to, co pochłonęło. Skoro się zacznie ten okres, klęska nasza jest nieuchronna. Szczęśliwi ci, co pojmą to dość wcześnie, aby nie przedłużać bezużytecznej i wyczerpującej walki ujętej ze wszystkich stron granicami wyobraźni; walki, w której zazdrość szamoce się tak haniebnie, że ten sam człowiek, który niegdyś za lada spojrzaniem pozostającej wciąż przy nim kobiety, skierowanym przez chwilę do innego, wietrzył miłość, cierpiał istne męki, znosi później, żeby wychodziła sama, bodaj z notorycznym kochankiem, wołając tę torturę, przynajmniej znaną, od czegoś niewiadomego! To rzecz nabycia rytmu, który zachowujemy potem z przyzwyczajenia. Nerwowcy, niezdolni opuścić jednego obiadu, odbywają potem trwające bez końca kuracje w sanatoriach; kobiety niedawno jeszcze lekkie, żyją pokutą. Zazdrośnik, który aby szpiegować ukochaną, pozbawił się snu, spoczynku, uczuwszy, że jej pragnienia, że szeroki i tajemniczy świat, że czas silniejsze są od niego, pozwala kobiecie wychodzić samej, potem podróżować — potem rozstają się. Zazdrość kończy się w ten sposób z braku pokarmu; trwała tak długo jedynie dlatego, że go wciąż żądała. Byłem daleki od tego stanu.

Mogłem teraz swobodnie, ile razy chciałem, odbywać spacer z Albertyną. Powstały dokoła Paryża hangary, będące dla samolotów tym, czym porty dla statków. Od dnia, kiedy w pobliżu la Raspeliere na wpół mitologiczne spotkanie pilota, którego lot spłoszył mego konia, stało się dla mnie niby obrazem wolności, lubiłem często, o schyłku dnia, obierać lotnisko za cel naszych spacerów. Albertyna, zapalona do wszystkich sportów, lubiła to. Pociągało nas owo nieustające życie odlotów i przylotów, dające tyle uroku spacerom po przystani lub bodaj po wybrzeżu, dla tych co kochają morze, oraz waleśnianiu się po lotnisku dla tych, co kochają niebo. Co chwila pośród spoczynku bezwładnych i jakby zakotwiczonych aparatów widzieliśmy któryś, mozolnie ciągniony przez kilku mechaników, tak jak się ściera z piasku łódź dla amatora morskiej przejażdżki. Potem motor zaczynał warczeć, aparat biegł, brał rozmach, potem wznosił się z wolna prostopadle w zeszywniałej, jakby znieruchomiałej ekstazie, zmieniawszy nagle horyzontalną chyżość w majestatyczne i pionowe wniebowstąpienie.

Albertyna nie mogła powściągnąć radości, wypytywała mechaników, którzy teraz, kiedy aparat już uleciał, wracali. Tymczasem pasażer przebył całe kilometry; wielkie czółno, w które wciąż wlepialiśmy oczy, było już w lazurze ledwie dostrzegalnym punktem, który zresztą miał odzyskać stopniowo swoją materialność, wielkość, objętość, skoro z końcem przejażdżki nadejdzie moment powrotu. I w chwili gdy turysta wyskakiwał na ziemię, z zazdrością patrzyliśmy oboje na tego, co w tych samotnych horyzontach zakosztował spokoju i czystości wieczoru. Następnie bądź z lotniska, bądź — kiedy indziej — z jakiegoś muzeum lub kościoła, któregośmy wybrali się zwiedzić, wracaliśmy na obiad. Mimo to nie wracalem uspokojony, tak jak bywało w Balbec po owych rzadszych spacerach, trwających — co mnie przejmowało dumą — całe popołudnie; spacerach, które odcinały się dla mnie później niby klomby kwiatów na życiu Albertyny, niby na pustym niebie, w którego obliczu marzy się z łagodną bezmyślnością. Czas Albertyny nie należał

do mnie wówczas w tak wielkich ilościach jak dziś, ale zdawał się bardziej mój, bom liczył jedynie godziny jej życia ze mną, miłość moja cieszyła się nimi jak łaską; obecnie liczyłem tylko godziny, które ona spędzała beze mnie, przy czym zazdrość moja szukała w nich gorączkowo możliwości zdrady.

Otóż — jutro może — Albertyna zapagnie takich godzin! Trzeba by wybrać: przestać cierpieć albo przestać kochać. Bo miłość, jak w początkach rodzi się z pragnienia, tak później żyje wyłącznie bolesnym niepokojem. Czułem, że część życia Albertyny umyka mi się. Miłość w swojej bolesnej trwodze, jak w szczęściu pragnienia, jest żądaniem wszystkości. Rodzi się, istnieje tylko o tyle, o ile pozostaje coś do zdobywania. Kochamy jedynie to, czego nie posiadamy całkowicie.

Albertyna kłamała, mówiąc, że zapewne nie pójdzie do Verdurinów, jak ja kłamałem, mówiąc, że chciałem wybrać się do nich. Starła się jedynie zapobiec temu, abym jej towarzyszył; ja zaś nagłym oznajmieniem tego projektu, którego bynajmniej nie zamierzałem wykonać, starałem się zmacać w niej punkt, który mi się zdawał najczulszy, poczuć jej ukrywaną chęć i zmusić ją do wyznania, że moja jutrzejsza obecność nie pozwoliłaby jej zaspokoić tej chęci. Albertyna uczyniła to zresztą, tracąc nagle ochotę do wizyty u Verdurinów.

— Jeżeli nie chcesz iść do Verdurinów — rzekłem — jest w Trocadéro wspaniałe benefisowe przedstawienie.

Wysłuchała z boleściwą miną mojej rady. Zacząłem być dla niej przykry jak w Balbec w czasach mojej pierwszej zazdrości. Twarz Albertyny wyrażała zawód, ja zaś piętrzyłem argumenty, które tak często, kiedy byłem mały, przeciwstawiali mi rodzice i które wydawały się memu niezrozumianemu dziecięctwu tępe i okrutne.

— Nie, mimo twojej smutnej minki — powiadałem — nie mogę cię żalować; żałowałbym cię, gdybyś była chora, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście, gdybyś straciła kogoś z rodziny, co by ci zresztą nie sprawiło może żadnej przykrości wobec nadmiaru fałszywej uczuciowości, który trwonisz dla niczego. Zresztą ja mam niewielkie pojęcie o sercu ludzi, którzy nas rzekomo kochają, a nie są zdolni oddać nam najłżejszej przysługi; ludzi mimo rzekomej ciągłej myśli o nas zdolnych zapomnieć listu, któryśmy im powierzyli, a od którego zależy nasza przyszłość.

Wszystkie te słowa (większość tego, co mówimy, jest tylko powtarzaniem!) słyszałem w ustach matki, tłumaczącej mi chętnie, że nie trzeba mieszać prawdziwej uczuciowości — tego, co Niemcy (których język bardzo podziwiała mimo wstrętu mego ojca do tego narodu) nazywają *Empfindung* — z czułościwą *Empfinderei*. Raz, kiedy płakał, matka powiedziała mi wręcz, iż Neron<sup>74</sup> był może nerwowym, ale nie był przez to lepszy. W istocie, jak owe rośliny, które rozdwiają się, rosnąc, spoza wrażliwego dziecka, jakim niegdyś wyłącznie byłem, wyglądał teraz wręcz odmienny mężczyzna, rozsądny, surowy sędzia chorobliwej wrażliwości innych, człowiek podobny do tego, czym rodzice byli dla mnie. Widocznie każdy musi w sobie kontynuować życie swoich bliskich; zrównoważony i ironiczny jegomość, który nie istniał we mnie na początku, złał się z wrażliwcem; naturalne było, że się stałem z kolei takim, jakimi byli niegdyś moi rodzice.

Co więcej, w chwili gdy się tworzyło to nowe „ja”, znajdowało ono swój gotowy już język we wspomnieniu ironicznego i karcącego języka, którym do mnie mówiono niegdyś, a którym teraz ja miałem mówić do innych. Wychodził on całkiem naturalnie z moich ust, czy żem go wywoływał przez mimetyzm<sup>75</sup> i przez skojarzenie wspomnień, czy że delikatne i tajemnicze zakłęcia sił życiowych wyrysowały we mnie, bez mojej wiedzy, niby na liściu rośliny, te same intonacje, gesty, pozy, jakie mieli moi rodziciele. Bo czasami w rozmowie z Albertyną, w trakcie odgrywania rozsądnego człowieka, zdawało mi się, że słyszę babkę; czyż zresztą nie zdarzyło się matce myśleć czasem, że to ojciec wchodzi, tak dalece miałem ten sam sposób pukania; tajemne i nieświadome prądy władzały we mnie nawet drgnieniami palców, wprawionych w ten sam rytm, co palce rodziców.

Z drugiej strony złączenie sprzecznych czynników jest prawem życia, zasadą zapłodnienia i — jak się okaże — przyczyną wielu nieszczęść. Zazwyczaj nienawidzimy tego,

<sup>74</sup>Neron, właśc. *Nero Claudius Caesar Augustus Germanicus* (37–68) — cesarz rzymski od 54, przedstawiany jako symbol okrucieństwa władzy; poeta i aktor, miłośnik kultury i sztuki greckiej; wg plotek obserwował pożar Rzymu z podziwem dla żywiołu, grając na lirze i śpiewając pieśń o spaleniu Troi. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>mimetyzm (z gr.) — naśladownictwo. [przypis edytorski]

co jest do nas podobne; własne wady, widziane z zewnątrz, drażnią nas. O ileż bardziej jeszcze ktoś, kto przekroczył wiek, gdy się swoje wady wyraża szczerze, kto na przykład w najpłomienniejszych chwilach obleka twarz z lodu, nienawidzi tych samych wad, jeżeli je wyraża ktoś inny, młodszy, naiwniejszy lub głupszy! Zdarzają się ludzie wrażliwi, dla których w oczach innych osób widok łez, które sami powstrzymują, jest nieznośny. Zbyt wielkie podobieństwo rodzi niesnaski w rodzinach — mimo wzajemnego przywiązania — a często tym bardziej, im przywiązanie jest większe.

Może u mnie i u wielu innych ów drugi człowiek, jakim się stałem, był po prostu jedną z fizjonomii pierwszego, egzaltowanego i wrażliwego w stosunku do siebie, roztropnego mentora dla drugich. Może tak samo było i z rodzicami, zależnie od tego, czy się ich brało w odniesieniu do mnie, czy samych w sobie. Co się tyczy babki i matki, aż nadto widoczne było, że ich surowość dla mnie była rozmyślna i nawet wiele je kosztowała; ale może i u ojca chłód był tylko zewnętrzną formą uczuciowości? Kiedy mówiąc o ojcu, powiadano: „Pod lodowatym chłodem kryje niezwykłą uczuciowość; główną jego cechą jest wstydlivość serca” — niegdyś zdawało mi się to równie fałszywe, jak banalne; otóż może ta formuła wyrażała ludzką prawdę tej podwójnej fizjonomii: życia wewnętrznego i stosunków społecznych. Czy w gruncie jego spokój nie krył nieustannych i tajemnych burz? Ten spokój, w potrzebie usiany sentencjami i refleksjami, ironią wobec chorobliwych przejawów uczuciowości? Ten spokój, właściwy ojcu, który ja teraz przybierałem wobec wszystkich, a zwłaszcza w pewnych okolicznościach w stosunku do Albertyny?

Sądzę, że naprawdę tego dnia miałem zdecydować nasze rozstanie i jechać do Wenecji. To, co mnie zakulo z powrotem, wiązało się z Normandią; nie iżby Albertyna objawiała jakąś chęć udania się w owe strony nasycone moją zazdrością (na szczęście bowiem nigdy projekty Albertyny nie dotyczyły bolesnych punktów mojego wspomnienia), ale dlatego że kiedym jej powiedział: „To mi przypomina ową przyjaciółkę ciotki, która mieszkała w Infreville”, Albertyna odpowiedziała gniewnie, szczęśliwa — jak każdy, kto się kłóci i kto stara się znaleźć możliwie najwięcej argumentów — że może pokazać, iż jestem w błędzie, a ona ma słuszość: „Ależ nigdy ciotka nie znała nikogo w Infreville i ja nigdy tam nie byłam”.

Zapomniała o bajeczce ukutej pewnego wieczora o drażliwej damie, do której musi koniecznie jechać na herbatę, choćby miała dla tej wizyty stracić swoją przyjaźń i zadać sobie śmierć. Nie przypominałem jej tego kłamstwa. Ale przygnębiło mnie. I odłożyłem jeszcze zerwanie. Nie potrzeba być szczerą ani nawet zręcznie kłamać na to, aby być kochaną. Nazywam tu miłością wzajemną udreńkę. Nie uważałem za naganne owego wieczora mówić do Albertyny tak jak babka, istota tak doskonała, mówiła niegdyś do mnie; ani też oznajmiając Albertynie, że jej będę towarzyszył do Verdurinów, nie zamierzałem naśladować szorstkości ojca, który oznajmiał nam swoje decyzje w sposób zdolny przyprowadzić o maksimum wzburzenia — bez proporcji z samą decyzją. W ten sposób łatwo mógł ojciec wytknąć naszą niedorzeczność w tym, że wpadamy w rozpacz dla takiej drobnostki, gdy w istocie rozpacz odnosiła się do wstrząsu, o jaki nas przyprowadził. Tak samo jak nieugięta mądrość babki, tak i te arbitralne decyzje ojca zwały się z moją wrażliwością, której były tak długo obce i którą przez całe dzieciństwo tyle nadręczały, że nabrałem bardzo ścisłego doświadczenia co do punktów, w które należało mi skutecznie mierzyć: nie ma lepszego szpiega niż dawny złodziej lub poddany narodu, który się zwalcza. W rodzinie kłamczuchów brat przybywający odwiedzić brata bez wyraźnego powodu i pytający go niedbale na odchodnym, w progę, o jakąś informację, której nawet nie bardzo słucha, zdradza tym samym, że owa informacja była celem jego wizyty; brat zna dobrze te obojętne miny, te słowa rzucone jakby nawiasem w ostatniej sekundzie, ile że sam się często nimi posługiwał. Otóż są także patologiczne rodziny, pokrewne psychiki, bratnie usposobienia, świadome tego cichego języka, dzięki któremu rodzina rozumie się bez słów. Któż może być bardziej denerwujący niż człowiek nerwowy?

A wreszcie moje postępowanie miało może w takich razach ogólniejszą i głębszą przyczynę. Bo w tych krótkich, lecz nieuniknionych chwilach, kiedy się nienawidzi kogoś, kogo się kocha — chwilach, trwających niekiedy całe życie z ludźmi, których się nie kocha — człowiek nie chce się wydać dobry, aby nie budzić współczucia; przeciwnie, chce się wydać zarazem najgorszy i możliwie najszcześniejszy, iżby szczęście nasze było naprawdę obmierzone i zraniło duszę przygodnego lub trwałego wroga. Wobec iluż ludzi

spotwarzałem się jedynie po to, aby się im moje „sukcesy” wydały niemoralne i bardziej ich drażniły! Godziłoby się raczej iść przeciwną drogą: okazywać bez dumy swoje dobre uczucia, zamiast się z nimi kryć tak bardzo. I to byłoby łatwe, gdybyśmy umieli nigdy nie nienawidzić, zawsze kochać. Bo wówczas dawaloby nam tyle rozkoszy mówić tylko rzeczy zdolne uszczęśliwić innych, wzruszyć ich, pozyskać ich miłość!

Niewątpliwie czułem nieco wyrzutów, że jestem tak niezdolny dla Albertyny. Powiedziałem sobie: „Gdybym jej nie kochał, byłaby mi wdzięczniejsza, bo nie byłbym dla niej zły; ale nie, to by się wyrównało, bo byłbym także mniej szczodry”. I mógłbym na swoje usprawiedliwienie powiedzieć jej, że ją kocham. Ale wyznanie tej miłości, poza tym, że nie byłoby dla Albertyny niczym nowym, ochłodziłoby ją w stosunku do mnie może bardziej niż brutalność i podstęp, których jedynym wytłumaczeniem była właśnie miłość. Być brutalnym i podstępnym wobec tej, którą się kocha, to takie naturalne! Jeżeli nasza życzliwość dla innych nie przeszkadza być z nimi łagodnym i ustępliwym, to dlatego że ta życzliwość jest kłamliwa. „Inny” jest nam obojętny, a obojętność nie pobudza do złości.

Wieczór mijał. Albertyna pójdzie się położyć; nie było wiele czasu do stracenia, gdybyśmy się chcieli pogodzić, zacząć się znów całować. Żadne z dwojga nie powzięło jeszcze inicjatywy. Czując, że Albertyna się na dobre gniewa, skorzystałem z tego, aby wspomnieć o Esterze Lévy.

— Bloch powiedział mi (co było nieprawdą), żeś ty dobrze znała jego kuzynkę Esterę.

— Nie poznałabym jej nawet — rzekła Albertyna mglisto.

— Widziałem jej fotografię — dodałem w gniewie.

Nie patrzyłem na Albertynę, mówiąc te słowa, tak że nie widziałem wyrazu jej twarzy, który byłby jedyną odpowiedzią, bo nie rzekła nic.

To, czegom doznawał przy Albertynie w takiej chwili, to już nie był kojący pocałunek matki w Combray, ale przeciwnie niepokój owych wieczorów, kiedy matka ledwo mi powiedziała dobranoc lub nawet nie zaszła do mojego pokoju, czy że gniewała się na mnie, czy że zatrzymali ją goście. Ten niepokój — nie tylko jego transpozycja na miłość — nie, sam ten niepokój, który się okresowo wyspecjalizował w miłości, a który wchodził w grę sam, wówczas gdy nastąpił podział, rozszczępienie uczuć, teraz rozciągał się znowu na nie wszystkie, znów niepodzielny jak w dzieciństwie. Jak gdyby wszystkie moje uczucia — drżąc, że nie zdołają zatrzymać Albertyny przy moim łóżku równocześnie jako kochanki, jako siostry, jako córki, jako matki także, której codziennego „dobranoc” zaczynałem znów odczuwać dzieciinną potrzebę — zaczęły się skupiać, jednoczyć w przedwczesnym wieczorze mojego życia; zapowiadało się ono tak krótkie jak dzień zimowy! Ale o ile wracał ów niepokój mojego dzieciństwa, zmiana osoby, która go budziła, różnica uczuć, przeobrażenie wreszcie mojego charakteru, czyniły mi niepodobieństwem żądać ukojenia od Albertyny, jak niegdyś od matki.

Nie umiałem już powiedzieć: „Jestem smutny”. Ograniczałem się z rozpaczą w duszy do mówienia o rzeczach obojętnych, niezblizających mnie w niczym do szczęśliwego rozwiązania. Dreptałem w miejscu w bolesnych banalnościach. I z owym intelektualnym egoizmem, który kiedy błaha prawda odnosi się do naszej miłości, każe nam przyznawać zasługę temu, co ją odkrył — może równie przypadkowo jak kabalarzka, która nam oznajmiła fakt banalny, ale później spełniony — skłonny byłem uważać Franciszkę za istotę wyższą od Bergotte’a i Elstira, bo powiedziała w Balbec: „Ta dziewczyna sprawi paniczowi same jeno zmartwienia”.

Każda minuta zbliżała mnie do owego „dobranoc”, które mi Albertyna powiedziała w końcu. Ale tego wieczora pocałunek jej, w którym ona była nieobecna, a który do mnie nie trafiał, zostawił mi tyle niepokoju, że z drgającym sercem przeprowadziłem ją wzrokiem do drzwi, myśląc: „Jeżeli mam znaleźć jakiś pretekst, aby ją odwołać, zatrzymać, pogodzić się z nią, trzeba się spieszyć, ma już tylko kilka kroków do drzwi, już tylko dwa, tylko jeden, naciska klamkę; otwiera, za późno, zamknęła drzwi!”.

Może jeszcze jednak nie za późno. Jak niegdyś w Combray, wówczas gdy matka wyszła, nie ukoivszy mnie pocałunkiem, chciałem biec w ślad Albertyny, czułem, że nie zaznam spokoju, aż ją ujrzę, że to ujrzanie jej stanie się czymś olbrzymim, czym nie było jeszcze dotąd, i że gdybym się nie zdołał sam uwolnić od tego smutku, nabrałbym może haniebnego zwyczaju zebrania o to u Albertyny. Wskakiwałem z łóżka, kiedy ona była już u siebie, błędziłem po korytarzu w nadziei, że wyjdzie i zawoła mnie. Stałem nieru-

chomy pod drzwiami w obawie, że mógłbym nie dosłyszeć słabego wołania; wracałem na chwilę do pokoju, aby sprawdzić, czy Albertyna nie zostawiła szczęśliwie jakiejś chustki, woreczka, czegośkolwiek: mógłbym wówczas, niby to bojąc się, że jej to może być potrzebne, mieć pretekst pójścia do niej. Nie, nic. Wracałem czatować pod drzwiami, ale przez szczelinę już nie było widać światła. Albertyna zgasiła, położyła się, ja tkwiłem nieruchomy, spodziewając się czegoś — nie wiadomo czego — co nie przychodziło, i w długi czas potem, przemarznięty, wracałem, aby się wsunąć pod kołdrę, i płakałem całą noc.

Czasami uciekałem się do podstępny, którym zyskiwałem pocałunek Albertyny. Wiedząc, jak szybko zasypia, kiedy się położy (ona wiedziała także, bo instynktownie, z chwilą gdy się miała wyciągnąć, zdejmowała pantofelki — prezent ode mnie — i pierścione, który kładła obok, jak robiła w swoim pokoju przed spaniem), wiedząc, jak głęboko śpi i jak tkliwe ma przebudzenie, niby to szedłem poszukać czegoś i kładłem ją na swoim łóżku. Kiedy wracałem, już spała: miałem przed sobą ową inną kobietę, którą stawiała się Albertyna oglądana wprost, *en face*. Ale zmieniała szybko osobowość, kiedy się wyciągnął koło niej, znów mając ją z profilu. Mogłem włożyć dłoń w jej rękę, kłaść dłoń na jej ramieniu, na policzku; wciąż spała.

Mogłem brać jej głowę, przechylać ją, położyć ją na swoich wargach, otoczyć sobie szyję jej ramionami; dalej spała, tak jak zegarek wciąż idzie, jak zwierzę żyje dalej bez względu na nadaną mu pozycję, jak pnąca się roślina, powój, dalej wypuszcza gałązki, zaczepiwszy się o cokolwiek. Jedyne oddech jej zmieniał się od każdego dotknięcia, tak jakby była instrumentem, na którym bym wykonywał modulacje, wydobywając odmienne nuty to z tej, to z innej struny. Zazdrość moja opadała: czułem, że Albertyna stała się stworzeniem, które oddycha, które nie jest niczym innym. Świadczył o tym regularny oddech, wyrażający ową czysto fizjologiczną funkcję, która, na wskroś płynna, nie posiada gęstości ani słowa, ani milczenia; oddech jej, nieświadomy niczego złego, wydobywający się raczej z pustej trzciny niż z ludzkiej istoty, był naprawdę rajski, był dla mnie niby czysty śpiew aniołów. W takich chwilach odczuwałem Albertynę jako istotę wyzwoloną ze wszystkiego, nie tylko materialnie, ale moralnie. A jednak — powiadałem sobie nagle — musi w tym oddechu igrać wiele imion podszeptanych przez pamięć. Czasem nawet do tej muzyki dołączał się głos ludzki. Albertyna wymawiała jakieś słowa. Jakżebym chciał pochwycić ich sens! Zdarzało się, że imię osoby, o którejśmy mówili i o którą byłem zazdrosny, zjawiało się na wargach Albertyny, ale nie zadając mi bólu, bo wspomnienie, które sprowadziło tam owo imię, zdawało się jedynie echem naszej rozmowy. Mimo to pewnego wieczora, z zamkniętymi oczami, na wpół rozbudzona, rzekła, zwracając się do mnie: „Anna”. Ukryłem wzruszenie. „Ty śniesz, ja nie jestem Anna” — rzekłem, śmiejąc się. Uśmiechnęła się także: „Ależ nie, chciałam spytać, co mówiła Anna”. — „Raczej myślałbym, żeś ty czasem tak leżała koło niej”. — „Ale nie, nigdy” — rzekła. Ale zanim to wyrzekła, ukryła na chwilę twarz w dłoniach. Milczenie Albertyny było tedy tylko zasłoną; powierzchowna jej czułość kryła w głębi tysiąc wspomnień, które by mnie rozdarły; życie jej pełne było owych faktów, których żartobliwa opowieść wypełnia wesołą plotką codzienne nasze gawędy na temat innych osób, obojętnych. Ale dopóki jakaś istota tkwi w naszym sercu, wszystko to zdaje się nam tak cennym oświetleniem jej życia, że aby poznać ten podziemny świat, oddalibyśmy chętnie nasze. Wówczas sen Albertyny wydawał mi się cudownym i magicznym światem, gdzie chwilami z głębi ledwie że przejrzystego żywiołu wznosi się wyznanie niepojętej tajemnicy.

Ale zazwyczaj, kiedy Albertyna spała, zdawała się odzyskiwać niewinność. W pozie, którą jej nadałem, ale którą jej sen szybko sobie przyswoił, wyglądała tak pełna ufności! Twarz jej straciła wszelką chytryść lub pospolitość; wyciągała ku mnie ramię, opierała na mnie rękę, zdawało się, że istnieje między nami zupełna harmonia, nierozzerwalne przywiązanie. Sen jej zresztą nie odłączał jej ode mnie i zostawiał w niej poczucie naszej czułości; raczej unicestwiał wszystko inne; całowałem ją, mówiłem, że się pójde trochę przejść, ona rozchylała oczy, mówiła zdziwiona — i w istocie, była już noc: „Ale gdzie ty teraz idziesz, kochanie”, nazywając mnie po imieniu, i natychmiast zasypiała na nowo. Sen jej był tylko jak gdyby wymazaniem reszty życia, gładkim milczeniem, z którego zrywały się od czasu do czasu poufale i czule słowa. Składając te słowa, stworzyłyby się

rozmowę bez obcego aliażu<sup>76</sup>, sekretne współzycie czystej miłości. Ten spokojny sen czarował mnie tak, jak czaruje matkę dobry sen dziecka. I sen Albertyny był w istocie snem dziecka. Przebudzenie również tak naturalne, tak czule — zanim nawet spostrzegła się, gdzie jest — że czasami zadawałem sobie z przestachem pytanie, czy ona, nim zamieszkała u mnie, przywykła nie sypiać sama i otwierając oczy, znajdować kogoś przy swoim boku. Ale jej dziecinny wdzięk przeważał. I znów jak matka byłem zachwycony, że się budzi zawsze taka wesola. Po chwili odzyskiwała świadomość, znajdowała urocze i bezładne słówka, istny świergot. Niby przez kompensatę szyja jej, zazwyczaj podrzędna, teraz prawie za piękna, nabrała olbrzymiej ważności, którą oczy jej, zamknięte przez sen, straciły: jej oczy, moi stali partnerzy rozmowy, do których nie mogłem się już zwracać z chwilą opadnięcia powiek. Tak samo jak zamknięte oczy dają twarzy niewinną i poważną urodę, usuwając wszystko to, co aż nadto wyrażają spojrzenia, tak samo w słowach — znaczących, ale przerywanych milczeniem — jakie Albertyna znajdowała, budząc się, była czysta piękność, nie skalana co chwilę, jak rozmowa, gotowymi zwrotami, oklepankami, błędami. Zresztą kiedyś się decydowałem obudzić Albertynę, mogłem to uczynić bez obawy, wiedziałem, że jej przebudzenie nie miało by związku ze spędzonym dopiero co przez nas wieczorem, ale wstałoby z jej snu, jak z nocy wstaje rano. Z chwilą gdy z uśmiechem rozchyliła powieki, poddawała mi usta: zanim jeszcze coś powiedziała, kosztowałem ich świeżości, kojącej jak świeżość ogrodu, cichego jeszcze przed wschodem słońca.

Nazajutrz po owym wieczorze, kiedy Albertyna powiedziała, że może pójdzie, a potem, że nie pójdzie do Verdurinów, obudziłem się wcześniej: jeszcze byłem na wpół uspiomy, kiedy radość moja okazała mi, że odwiedził nas — w pełni zimy — dzień wiosenny. Na dworze popularne melodie subtelnie napisane na rozmaite instrumenty, od rogu sklejacza porcelany lub trąbki wyplatacza krzesel aż do fujarki koziarza, który w ten piękny dzień podobny był do sycylijskiego pasterza, lekko instrumentowały rano w „uwerturę na dzień świąteczny”. Słuch, ten rozkoszny zmysł, przynosi nam towarzystwo ulicy, odtwarzając wszystkie jej linie, rysując przesuwane kształty, ukazując nam ich kolor. Żelazne story piekarza, mleczarza, zapuszczane wieczorem na wszystkie możliwości kobiecego szczęścia, podnosiły się teraz niby lekkie dźwigi statku, który gotuje się odpłynąć i prując przezroczyste morze, pomknie po marzeniu młodych pracowników. Ten łoskot podnoszonej żaluzji byłby może w innej dzielnicy jedyną moją przyjemnością. Ale w tej cieszyło mnie sto innych odgłosów; nie chciałem, aby przydługi sen pozbawił mnie bodaj jednego. Czar starych arystokratycznych dzielnic polega na tym, że są równocześnie ludowe. Jak niegdyś różne rzemiosła gnieździły się koło katedr w pobliżu ich portalu (który zachował niekiedy nawet ich nazwę, np. portal katedry w Rouen zwie się Portalem Księgarzy, wystawiających koło niego, pod gołym niebem, swoje towary), tak i tutaj wszystkie rzemiosła — ale domokrężne — przeciągały koło szlachtetnego pałacu Guermantes, przywodząc chwilami na myśl dawną eklezjastyczną<sup>77</sup> Francję. Bo apel ich, zwrócony do sąsiednich domków, nie miał — z rzadkimi wyjątkami — nic z piosenki. Różnił się od niej tak, jak ledwie zabarwione modulacjami parlando<sup>78</sup> *Borysa Godunowa* lub *Peleasa*<sup>79</sup>; ale z drugiej strony przypominał psalmodie<sup>80</sup> księży w czasie nabożeństwa, którego te uliczne sceny są jedynie naiwnym, jarmarczonym, a jednak na wpół liturgicznym odpowiednikiem.

Nigdy nie znajdowałem w nich tyle przyjemności co od czasu, gdy Albertyna mieszkała ze mną; zdawały mi się niby radosny sygnał jej przebudzenia; wciągając mnie w życie ulicy, lepiej dawały mi czuć kojącą władzę drogiej obecności, tak stałej, jak tego pragnąłem. Niektóre wykrzykiwane przysmaki, których ja nie cierpiałem, lubiła Albertyna; po czym Franciszka posyłała po nie lokajczyka, może trochę upokorzonego, że się musi mieszać z plebem. Krzyki te, bardzo wyraźne w spokojnej dzielnicy (gdzie nie były już źródłem smutku dla Franciszki, a stały się źródłem słodczy dla mnie), dochodziły mnie

<sup>76</sup> aliaż (daw., z fr.) — stop metali; tu: domieszka. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> eklezjastyczny — związany z Kościołem, kościelny. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> parlando (wł., muz.) — rodzaj melodeklamacji, wykonanie utworu zbliżone do mowy z zachowaniem wysokości określonych w kompozycji dźwięków. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *Borys Godunow*, *Peleas* — *Borys Godunow*: opera Modesta Musorgskiego z librettem Aleksandra Puszkina, powstała w latach 1868–1872; *Peleas i Melisanda*: operowy dramat liryczny Claude’a Debussy’ego z 1902 do własnego libretta wg dramatu Maurice’a Maeterlincka. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> psalmodia — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

każdy ze swoją odmienną modulacją; recitatywy skandowane przez tych prostych ludzi tak, jakby były frazowane w tak popularnej muzyce *Borysa*, gdzie początkową intonacją ledwo zmienia infleksja<sup>81</sup> nuty pochyłającej się ku innej — muzyka tłumy, raczej mowa niż muzyka. Było to: „Hej, hej, tutki, dwa sou<sup>82</sup> za tutkę!”, sprawiające, że się rzucano do tutek z owymi okropnymi drobnymi mięczakami, które gdyby nie Albertyna, brzydziłyby mnie, nie mniej zresztą niż ślimaki, które wykrzykiwano o tej samej porze. Tu również przekupień przywodził na myśl ledwie że zabarwiony śpiewem recitatyw Musorgskiego, ale nie tylko to. Bo oznajmiwszy niemal *parlando*: „Ślimaki, świeże piękne ślimaki”, przekupień przechodził w zamglony smutek Maeterlincka, przełożony na muzykę Debussy’ego w jednym z owych bolesnych finałów, w których autor *Peleasa* zbliża się do Rameau<sup>83</sup>: „Jeśli mam ulec, tobież przysłało być moim zwycięzcą?”, i dodawał ze śpiewną melancholią: „Sześć sou za tuzin...”.

Zawsze mi było trudno pojąć, czemu te tak konkretne słowa były „westchnięte” na tonie tak rozbieżnym z treścią, tajemniczym jak sekret sprawiający, że wszyscy mają smutne miny w starym pałacu, w który Melisanda<sup>84</sup> nie zdołała wnieść radości; na tonie głębokim jak myśl starego Arkela, który stara się w najprostszych słowach zawrzeć całą mądrość i cały los. Ten same nuty, na których wznosi się z rosnącą słodyczą głos starego króla Allemonde lub głos Golauda, aby powiedzieć: „Nie wiadomo, co się tutaj dzieje; może się to wydawać dziwne, nie ma może bezcelowych zdarzeń” lub: „Nie trzeba się bać; to tylko biedne tajemnicze stworzonko, jak wszyscy...”, pozwalały handlarzowi ślimaków powtórzyć w mglistej kantylenie<sup>85</sup>: „Sześć sou, sześć sou za tuzin...”. Ale ten metafizyczny lament nie miał czasu zamrzeć na krawędzi nieskończoności: przerywała go energiczna trąbka. Tym razem nie chodziło o rzeczy jadalne; libretto brzmiało: „Strzyże psy, trzebi koty, obcina uszy i ogony...”.

Niewątpliwie fantazja, dowcip każdego przekupnia lub przekupki wprowadzały często warianty w tekst wszystkich tych melodii, które słyszałem z łóżka. Mimo to uświęcona pauza dzieląca w połowie słowo, zwłaszcza kiedy się powtarzało dwa razy, nieuchronnie budziła wspomnienie starych kościołów. W wózek swoim zaprzężonym w oślicę, którą zatrzymywał przed każdym domem, aby wejść w podwórze, handlarz starzyzny, uzbrojony w bat, psalmodiował: „Ubrania, kupuję ubrania, ubra...a...nia”, z tą samą pauzą między dwiema ostatnimi zgłoskami ubrania, co gdyby intonował „*Per omnia saecula saeculo...rum*”<sup>86</sup> lub „*Requiescat in pa...ce*”<sup>87</sup>, mimo że nie wierzył zapewne w wieki-istość swoich ubrań, ani nie ofiarowywał ich jako całun na ostatni spoczynek. I tak samo, ponieważ od tej rannej godziny motywy zaczynały się krzyżować, handlarka jarzyn, popychając wózek, używała w swojej litanii gregoriańskiego podziału:

Jarzyna, jarzyna zielona,  
Piękne, duże karczochy,  
Kar...czochy...

mimo iż z pewnością nie wiedziała nic o antyfonariuszu<sup>88</sup> i o siedmiu tonach, z których cztery symbolizują wiedzę *quadrivium*, a trzy *trivium*<sup>89</sup>.

<sup>81</sup> *infleksja* (z łac.) — załamywanie się. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *sou* — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1764) — kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *Melisanda, Arkel, Golaud* — postacie z opery *Peleas i Melisanda* Claude’a Debussy’ego, której akcja rozgrywa się mitycznym królestwie Allemonde w okresie wczesnego średniowiecza. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *kantylena* (muz.) — rodzaj śpiewnej melodii, utrzymanej w łagodnym, lirycznym stylu. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *Per omnia saecula saeculo...rum* (łac.) — Przez wszystkie wieki...ków. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Requiescat in pa...ce* (łac.) — Niech spoczywa w poko...ju. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *antyfonariusz* a. *antyfonarz* — księga zawierająca zbiór *antyfon*, tj. krótkich, najczęściej jednozdaniowych, tekstów modlitewnych liturgii chrześcijańskiej, przeplatanych hymnami, psalmami lub litaniami wykonywane naprzemiennie przez dwa chóry lub przez przewodnika i chór. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *quadrivium i trivium* (łac.) — tradycyjne łacińskie nazwy grup dziedzin wiedzy obejmujących łącznie tzw. siedem sztuk wyzwolonych, stanowiących podstawę kształcenia w średniowiecznej Europie; na *trivium*, nuczane na poziomie niższym, składały się trzy przedmioty humanistyczne (gramatyka, retoryka i dialektyka), natomiast *quadrivium*, wykładane na poziomie wyższym, obejmowało cztery przedmioty matematyczne (arytmetyka, geometria, astronomia oraz muzyka). [przypis edytorski]

Dobrywając z fujarki, z kobzy melodie Południa, którego blask harmonizował z dziesięcią pogodą, człowiek w bluzie, w baskijskim berecie, trzymając w ręku bykowiec, przystawał pod domem. Był to koziarz z dwoma psami, przed nim stado kóz. Ponieważ przybywał z daleka, zjawiał się w naszej dzielnicy późno; i kobiety cisnęły się kubkami po mleko, które miało dać siłę ich malcom. Ale z pirenejskimi melodiami dobroczynnego pastucha mieszał się już dzwonek szlifierza, który krzyczał: „Noże, nożyczki, brzytwy”. Nie mógł z nim konkurować majster ostrzący piły; pozbawiony instrumentu, poprzestawał na wywoływaniu: „Kto ma piły do ostrzenia, ostrzę piły, ostrzę”, podczas gdy weselszy pobiela, wyliczywszy kociołki, garnki, wszystko, co pobiela, intonował refren: „Tam-tam-tam — pobiela — od dołu do góry — zatykam wszystkie dziury — dziury, dziury”; a małe Włoszeta, obnosząc czerwono malowane blaszane pudła, gdzie były oznaczone wygrywane i przegrywane numery i tercząc grzechotką, proponowały: „Panie, paniusie, zabawa — zabawa dla pań”.

Franciszka przyniosła „Figaro”. Jeden rzut oka pozwolił mi zdać sobie sprawę, że mój artykuł wciąż nie poszedł. Oznajmiła, że Albertyna pytała, czy może wejść; kazała na wszelki wypadek powiedzieć, że poniechała wizyty u Verdurinów i wybiera się, jak jej radziłem, na *matinée*<sup>90</sup> do Trocadéro — to, co nazwano by dzisiaj, ale na mniejszą skalę, „galową popołudniówką”. Przedtem chce się konno przejechać z Anną. Teraz, kiedy wiedziałem, że Albertyna wyrzekła się intencji, może grzesznej, odwiedzenia pani Verdurin, oświadczyłem, śmiejąc się: „Niech przyjdzie” i pomyślałem, że może iść gdzie chce i że mi to jest obojętne. Wiedziałem, że pod wieczór, kiedy zapadnie zmierzch, będę zapewne innym człowiekiem, smutnym, przywiązanym do najmniejszych kroków Albertyny wagę, której o tej rannej godzinie i w tak piękny czas były pozbawione. Bo obojętności mojej towarzyszyła jasna świadomość przyczyny; towarzyszyła — ale nie zmieniała jej.

— Franciszka zapewniła mnie, że nie śpisz i że ci nie przeszkodzi — rzekła Albertyna, wchodząc. Że zaś, obok obawy przeziębienia mnie przez niewczesne otwarcie okna, największą obawą Albertyny było wejść do mnie, kiedy drzemał, dodała: — Mam nadzieję, że nie weszłam nie w porę. Bałam się, żebyś mi nie powiedział: Któryż hardy śmiertelnik szuka tutaj zgonu?

I rozśmiała się owym śmiechem, który mnie tak wzruszał. Odpowiedziałem, podejmując żart:  
Czyż dla ciebie ten rozkaz surowy wydano?

I z obawy, aby go kiedyś nie przekroczyła, dodałem: — Chociaż byłbym wściekły, gdybyś mnie obudziła.

— Wiem, wiem, nie bój się — rzekła Albertyna.

Dla złagodzenia dodałem, wciąż kontynuując scenę z *Estery* (podczas gdy na ulicy trwały wciąż krzyki, zupełnie zmaćcone naszą rozmową):

Jedynie w tobie widzę uroków tak dużo,  
że mnie czarują zawsze, a nigdy nie nużą,

(przy czym pomyślałem w duchu: „Owszem, nużą mnie często”). I przypominając sobie to, co Albertyna powiedziała w wilię<sup>91</sup>, dziękując przesadnie, że się wyrzekła Verdurinów (po to, aby mnie innym razem tak samo usłuchała w tej czy innej sprawie), rzekłem:

— Albertyno, nie masz zaufania do mnie, który cię kocham, a masz je do tych, co cię nie kochają. — (Jakby to nie było naturalne strzec się tych, co nas kochają, jedynych mających interes w tym, aby nas okłamać dla dowiedzenia się czegoś, dla zapobieżenia czemuś!). I dodałem te kłamliwe słowa: — Nie wierzysz w gruncie, że cię kocham; to zabawne. W istocie, nie ubóstwiam cię.

Albertyna skłamała z kolei, powiadając, że ufa tylko mnie, a potem zapewniała mnie szczerze, że wie, iż ją kocham. Ale te słowa nie wykluczały przeświadczenia, że kłamię i że ją szpieguję. Przebaczala mi to widocznie, tak jakby w tym widziała uprzykrzony skutek wielkiej miłości lub jakby sama bardziej się poczuwała do winy.

<sup>90</sup>*matinée* (fr.) — tu: spotkanie, które odbywa się przed obiadem, po południu. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie, przeddzień. [przypis edytorski]



— Proszę cię, kochanie — rzekłem — żadnych wołyżów<sup>92</sup>, jak kiedyś. Pomyśl, Albertyno, gdyby ci się zdarzył wypadek!

Nie życzyłem jej oczywiście nic złego. Ale cóż za radość, gdyby razem ze swoimi końmi wpadła na szczęśliwą myśl pojechania lichu wie gdzie, gdzie się jej podoba, i gdyby już nigdy nie wróciła! Jakby to uprościło wszystko, gdyby zechciała żyć sobie szczęśliwie gdzie indziej; nie chciałbym nawet wiedzieć gdzie!

— Och, ja wiem — rzekła Albertyna — że ty byś mnie nie przeżył ani o dwa dni, że byś się zabił.

W ten sposób wymienialiśmy kłamiwe słowa. Ale prawda głębsza niż ta, którą byśmy sobie powiedzieli, gdybyśmy byli szczerzy, może czasami wyrazić się inną drogą niż droga szczerości.

— Czy ci nie przeszkadzają wszystkie te uliczne hałasy? — spytała. — Ja je ubóstwiam. Ale ty masz sen tak lekki!

Miałem, przeciwnie, czasem sen bardzo głęboki (wspominałem już o tym, ale wypadek, który nastąpi, każe mi przypomnieć tę okoliczność), zwłaszcza kiedy zasnął dopiero rano. Ponieważ taki sen był przeciętnie cztery razy bardziej krzepiący, wydaje się on śpiącemu cztery razy dłuższy, wówczas gdy był cztery razy krótszy. Wspaniała omyłka pomnożenia przez 16, która daje przebudzeniu tyle uroku i wnosi w nasze życie istną odnowę, podobną do owych wielkich zmian rytmu sprawiających w muzyce, że w *andante*<sup>93</sup> ósemka trwa tak długo jak cała nuta w *prestissimo*<sup>94</sup> — zmian nieznanymi w stanie jawy. Życie na jawie jest prawie zawsze jednakie — stąd rozczarowania podróży. Zdaje się wprawdzie, że marzenie senne wytwarza się z najgrubszego materiału życiowego, ale ta materia jest w nim przerobiona, ugnieciona, rozpostarta tak, że żadna z obowiązujących na jawie granic czasu nie przeszkadza jej wyciągnąć się do wysokości tak olbrzymich, że się jej nie poznaje. W pewne poranki, kiedy mi się zdarzyło to szczęście, kiedy gąbka snu starła z mojego mózgu znaki codziennych zajęć wypisane w nim niby na czarnej tablicy, trzeba mi było zbudzić do życia moją pamięć; wysiłkiem woli można się nauczyć na nowo tego, co amnezja snu lub apoplektycznego udaru pogrzyła w zapomnieniu i co się odradza stopniowo, w miarę jak się oczy otwierają lub paraliż ustępuje. Przeżyłem w kilka minut tyle godzin, że zawoławszy Franciszkę i chcąc przemówić do niej językiem zgodnym z rzeczywistością i dostosowanym do godziny, musiałem wprawić w ruch wszystkie wewnętrzne hamulce, aby nie rzec: „I co, Franciszko, już piąta, a ja Franciszki nie widziałem od wczoraj po południu”. I aby zdławić swoje marzenia senne, na wspak im i samemu sobie, mówiłem bezwstydnie, zmuszając się do milczenia, coś wręcz przeciwnego: „Franciszko, już dziesiąta!”. Nie mówiłem nawet dziesiąta rano, ale po prostu dziesiąta, iżby ta niewiarygodna dziesiąta zabrzmiała najnaturalniej w świecie. Ale powiedzenie tych słów w miejsce tych, które nadal myślałem ledwie zbudzony ze snu, wymagało ode mnie wysiłku takiego, z jakim ktoś, wysiadając z idącego pociągu i biegnąc chwilę wzdłuż toru, stara się nie upaść. Biegnie chwilę, bo środowisko, które opuścił, było ożywione wielką chyżością w przeciwieństwie do bezwładnego gruntu, z którym stopy jego oswajają się z trudem.

Z tego, że świat snu nie jest światem jawy, nie wynika, aby świat jawy mniej był prawdziwy; przeciwnie. W świecie snu percepcje nasze są tak przeładowane, każda tak pogrubiona warstwą, która ją zdwaja, która ją oślepia bezużytecznie, że nie umiemy wręcz rozróżnić tego, co się dzieje w zamęcie przebudzenia; czy to Franciszka przyszła, czy też ja, znużony wołaniem, poszedłem do niej? Milczenie było w tej chwili jedynym sposobem zamaskowania się, jak w chwili, kiedy nas uwięzi sędzia znający okoliczności dotyczące nas, ale w które nas nie wtajemniczono.

Czy to Franciszka przyszła, czy ja ją zawołałem? Może po prostu Franciszka spała, a ja ją obudziłem? Co więcej, czy Franciszka nie mieści się w mojej piersi, ile że odrębność osób i wzajemny ich stosunek zaledwie że istnieją w tym ciemnym mroku, gdzie realność równie mało jest przejrzysta co w ciele jeżozwierza i gdzie percepcja niemal równa zeru może dać pojęcie o percepcji pewnych zwierząt? Zresztą jeżeli nawet promienne drobiny

<sup>92</sup>wołyż (daw.) — wołyżerka, popisowa akrobatyczna jazda na koniu. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>andante (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>prestissimo (muz., wł.) — tempo w muzyce: bardzo szybko. [przypis edytorski]

rozsądku bujają w przejrzystym szaleństwie poprzedzającym owe zbyt ciężkie sny, jeżeli nazwiska Taine'a<sup>95</sup>, George Eliot<sup>96</sup> nie są tam nieznanne, niemniej świat jawy zachowuje tę wyższość, że go można co rano snuć dalej, nie można zaś co wieczór snuć dalej snu. Ale może istnieją inne światy, realniejsze niż świat jawy? A i tu widzieliśmy, że nawet ten świat jawy zmienia się od każdego przewrotu w sztuce, a co więcej zmienia się równocześnie stopień zdolności i kultury różniący artystę od ciemnego głupca.

I często jedna godzina snu za dużo jest atakiem paraliżu, po którym trzeba odzyskiwać władzę w członkach, uczyć się mówić. Wola nie osiągnęłaby tego. Za wiele się spało, nie istnieje się już. Obudzenie ledwie odczuwamy mechanicznie, bez świadomości, jak rura może odczuć zamknięcie kranu. Następuje po nim życie mniej aktywne niż życie meduzy, w którym równie dobrze uwierzyłoby się, że się wypłynęło z głębi morza lub wróciło z galer, gdyby się w ogóle mogło coś myśleć. Ale wówczas z wysokości niebios pochyła się bogini Mnemotechnia<sup>97</sup> i w nawyku zażądania białej kawy podaje nam nadzieję zmartwychwstania. A i ten nagły dar pamięci nie zawsze jest tak prosty. Często w pierwszych minutach, w których się osuwamy ku przebudzeniu, mamy tuż koło siebie prawdę rozmaitych realności, w których skłonni jesteśmy wybierać niby w talii kart.

Jest piątek rano i wraca się ze spaceru albo jest pora herbaty nad morzem. Pojęcie snu i tego, że się leży w nocnej koszuli, jest często ostatnim, które się nam następuje.

Zmartwychwstanie nie przychodzi od razu; myślimy, żeśmy zadzwonili, nie zrobiliśmy tego, mieliśmy niedorzeczne słowa. Dopiero ruch przywraca myśl i kiedy się rzeczywiście nacisnęło dzwonek, można rzecz powoli, ale wyraźnie: „Już dziesiąta, Franciszko, proszę kawę”. O cudzie! Franciszka nie mogła podejrzewać oceanu nierealności, który mnie opływał jeszcze całego i poprzez który zdolny byłem rzucić to dziwne pytanie. Odpowiadała w istocie: „Jest dziesięć po dziesiątej”. To mi dawało pozór rozsądku i pozwalało nie zdradzić dziwnych rozmów kołyszących mnie bez końca w dni, kiedy mnie nie oddzieliła od życia góra nicości. Wysiłkiem woli wracałem w rzeczywistość. Cieszyłem się jeszcze szczątkami snu, to znaczy jedynej inwencji, jedynej odnowy, jakie istnieją w sposobie opowiadania, ile że opowieści ze stanu jawy, choćby upiększone przez literaturę, nie zawierają owych tajemniczych różnic będących źródłem piękna. Łatwo mówić o pięknie zrodzonym z opium<sup>98</sup>. Ale dla człowieka nawykłego sypiać jedynie przy pomocy narkotyków, nieoczekiwana godzina naturalnego snu odsłoni poranny ogrom równie tajemniczego, a świeższego krajobrazu. Odmieniając godzinę, miejsce, w którym zasypiamy, sprowadzając sen sztucznie lub przeciwnie, wracając na jeden dzień do snu naturalnego — najdziwniejszego ze wszystkich dla kogoś, kto przywykł do środków nasennych — uzyskujemy w końcu odmiany snu tysiąc razy liczniejsze od odmian goździków i róż wyhodowanych przez ogrodnika. Ogrodnicy stwarzają kwiaty będące niby rozkosznym marzeniem, inne znów podobne do koszmarów. Kiedym zasypiał w pewien sposób, budziłem się, dygocąc, myśląc, że mam odrę, lub — rzecz o wiele bolesniejsza — że babka (o której nie myślałem już nigdy) gryzie się, że ja drwiłem z niej owego dnia w Balbec, kiedy myśląc, iż wnet umrze, chciała, żebym miał jej fotografię. Mimo iż nie spałem, czym prędzej chciałem biec, aby jej tłumaczyć, że mnie źle zrozumiała. Ale już rozgrzałem się, diagnoza odry odpadła, a babka była tak daleko, że myśl o niej nie ścisnęła mi serca. Czasem na te rozmaite stany waliła się nagle ciemność. Czulem lęk, zapuszczając się w czarną aleję, gdzieś słyszał snujących się włóczędzów. Naraz wszczyła się sprzeczka między policjantem a jedną z dorożkarek, które bierze się z daleka za młodego stangreta. W ciemnościach nie widziałem jej na koźle, ale słyszałem głos, z głosu czulem ładną twarz i młode ciało. Szedłem ku niej w ciemności, aby zanim odjedzie, wsiąść do wehikułu. To było daleko. Szczęściem sprzeczka z policjantem przedłużała się. Dogoniłem pojazd, który jeszcze stał. Ta część alei była oświetlona, widać było woźnicę. Była to w istocie kobieta,

<sup>95</sup>Taine, Hippolyte Adolphe (1828–1893) — francuski filozof, historyk, krytyk i teoretyk kultury; jeden z głównych przedstawicieli pozytywizmu. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>George Eliot (pseud.), właśc. Mary Ann Evans (1819–1880) — angielska pisarka należąca do czołowych twórców epoki wiktoriańskiej, autorka powieści cechujących się realizmem i przenikliwością psychologiczną. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>mnemotechnia (fr. mnemotechnie) — dziś popr.: mnemotechnika, sztuka zapamiętywania, ogólna nazwa sposobów ułatwiających zapamiętanie, przechowywanie i przypominanie sobie informacji. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>opium — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. w Europie i USA jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca. [przypis edytorski]

ale stara, duża i silna, z siwymi włosami wymykającymi się spod kaszkietu i z czerwoną, trędowną twarzą. Oddaliłem się, myśląc: „Czy to jest los młodości kobiet? Więc jeżeli nagle zapagniemy ujrzeć kobiety niegdyś spotkane, już są stare? Czy upagniona przez nas kobieta jest jak figura w teatrze, gdzie wskutek zasłabnięcia aktorki trzeba przekazać rolę nowej? Ale wówczas to już nie jest ta sama”.

Potem ogarniał mnie smutek. W ten sposób mamy we śnie liczne Litości, niby renesansowe piety<sup>99</sup>, ale nie w marmurze — owszem, nietrwale. Ale mają swoją rację bytu, przypominają nam pewną fizjonomię rzeczy, tkliwszą, bardziej ludzką, której nazbyt jesteśmy skłonni zapominać w zimnym, czasami wrogim rozsądku jawy. I tak przypomniało mi się postanowienie uczynione w Balbec, aby zawsze być miłosiernym dla Franciszki. I bodaj przez cały ów ranek umiałbym się zmusić, aby się nie irtować jej klótniami z kamerdynierem, aby być łagodnym dla Franciszki, której świat tak mało okazał dobroci. Tylko przez ten ranek, a trzeba by sobie stworzyć kodeks nieco stalszy; jak ludy bowiem niedługo rządzą się czystym uczuciem, tak ludzie nie rządzą się wspomnieniem snów. Już ten sen zaczynał się ulatniać. Starając się go sobie przypomnieć, odmalować, ploszyłem go tym bardziej. Powieki nie zamykały już tak szczelnie moich oczu. Gdybym próbował odtworzyć swój sen, otworzyłyby się całkiem. Wciąż trzeba wybierać między zdrowiem i rozsądkiem a rozkoszami ducha. Zawsze miałem tę małoduszność, aby wybierać pierwsze. Zresztą niebezpieczna władza, której się wyrzekałem, była jeszcze niebezpieczniejsza, niż się mniema. Litość, marzenie nie ulatują same. Kiedy tak zmieniamy warunki, w jakich zasypiamy, nie tylko same sny pierzchają, ale ginie również na długie dni, czasem na lata, zdolność nie tylko snienia, ale zaśnięcia. Sen jest boski, ale niestały; lada co go ploszy. Lubi nawyki; stalsze od niego, zatrzymują go co wieczór w poświęconym miejscu, chronią go od wszelkiego wstrząsu; ale kiedy go przemieścimy, kiedy nie jest związany z miejscem, rozwiewa się jak mgła. Podobny jest do młodości i do miłości — nie sposób go już odnaleźć.

W tych rozmaitych snach — wciąż jak w muzyce — piękno rodziło się ze zwiększenia lub zmniejszenia interwału. Cieszyłem się nim, ale w zamian straciłem w tym śnie, mimo iż krótkim, sporo wołań, w których dochodzi do nas krążące życie rzemiosł i wiktuałów paryskich. Toteż zazwyczaj, aby nie tracić nic z tych wołań, siliłem się budzić wcześniej, nie przewidując niestety dramatu, który takie późne przebudzenia się oraz moje drakońsko-perskie prawa rasynowego Assuerusa miały na mnie niebawem sprowadzić.

Oprócz przyjemności, że Albertyna lubiła te krzyki i że niejako ja sam, mimo iż leżąc w łóżku, brałem udział w życiu ulicy, słyszałem w nich jak gdyby symbol atmosfery; symbol niebezpiecznego ruchliwego życia, w którym pozwalałem Albertynie krążyć jedynie pod moją opieką, w rozszerzonej strefie jej niewoli, przerywanej o dowolnej porze po to, aby ją ściągnąć z powrotem do mnie. Toteż najszczerzej mogłem odpowiedzieć Albertynie:

— Przeciwnie, lubię te krzyki, bo wiem, że ty je lubisz!

„Ostrygi, prosto z morza, ostrygi!”

— Och, ostrygi, taką miałam na nie ochotę!

Szczęściem Albertyna przez zmienność lub przez uległość zapomniała szybko swoich pragnień i zanim miałem czas jej powiedzieć, że znajdzie lepsze ostrygi u Pruniera, chciała kolejno wszystkiego, co oznajmiały wykrzykiwania handlarki ryb.

„Krewetki, dobre krewetki, mam raje<sup>100</sup> żywe, żywe raje. Merlany<sup>101</sup> do smażenia, do smażenia. Przyszły makrele, makrele świeże, świe-e-że. Makrele dla pań, piękne makrele. Mule<sup>102</sup> świeże, dobre, mule!”

Mimo woli, wołanie: „Przyszły makrele” przejęło mnie dreszczem. Makreła, makrot... Ale ponieważ ta reklama nie mogła się odnosić do naszego szofera, myślałem tylko o rybie (której nie cierpiałem) i niepokój mój nie trwał długo.

— Och, mule! — mówiła Albertyna. — Mam ochotę na mule.

<sup>99</sup> *pieta* (z wł. *pietà*: miłosierdzie, litość) — w sztukach plastycznych: przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwego Jezusa Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *raja* — rodzaj płaszczyki: spłaszczona ryba morska z wąskim ogonem, prowadząca przydenny tryb życia. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *merlan* — witlinek, morska ryba podobna do dorsza. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *mule* — zwyczajowa nazwa jadalnych małży (omułków). [przypis edytorski]

— Kochanie, to było dobre w Balbec, ale tutaj to nic nie warte! Zresztą, proszę cię, przypomnij sobie, co Cottard mówił o mulach.

Ale moja uwaga była tym bardziej niewczesna, że już następna przekupka oznajmiała coś, czego Cottard jeszcze surowiej zabraniał: „Sałata rzymska, sałata!”

Ale Albertyna darowała mi rzymską sałatę, byłem jej przyrzekł kupić za kilka dni produkt handlarki wykrzykującej: „Piękne szparagi arzańskie, piękne szparagi”. Tajemniczy głos, po którym spodziewałoby się dziwniejszych propozycji, poddawał: „Beczki pobijać, beczki pobijać!”. Trzeba było się pogodzić z faktem, że chodzi tylko o beczki, bo ten wyraz był prawie całkowicie pokryty krzykiem: „Szyby, szkła-a-rz, szyby stłuczone, do szklarza, szkła-a-rza!” — rozziew gregoriański mniej mi jednak przypominający liturgię niż wołanie szmaciarza, bezwiednie powtarzającego owo nagłe złączenie melodii pośród modlitwy, dość częste w rytuale kościelnym: „*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere*”<sup>103</sup> — powiada ksiądz, zrywając żywo „*dicere*”. Bez obrazy — jak w średniowieczu lud wprost na posadźce kościoła odgrywał farsy i *soties*<sup>104</sup> — owo „*dicere*” przywodził na myśl szmaciarz, kiedy skandując wyrazy, wyrzekł ostatnią sylabę z przyspieszeniem godnym akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku<sup>105</sup>: „Szmaty, żelastwo na sprzedaż” (wszystko to psalmodiowane powoli, zarówno jak sylaby, które następują, gdy dwie ostatnie kończyły się żywiej niż „*dicere*”), „królicze skórki”. — „Walencje, piękne Walencje, świeże pomarańcze”. Nawet skromne pory: „Piękne pory, kupujcie”; cebule: „osiem sou wianuszek, cebule, cebule”, rozpryskiwały się o moje uszy niby echo fal, w których, gdyby była wolna, Albertyna mogłaby się zgubić, i przybierały słodycz jakiegoś: „*Suave mari magno*”<sup>106</sup>. „Marchewka, marchewka, dwa sou za pęczek”.

— Och! — wykrzyknęła Albertyna — kapusta, marchewka, pomarańcze! Wszystko chcę! Powiedz Franciszce, żeby to kupiła. Przyrządzi nam marchewkę ze śmietanką. To będzie takie milusie, jeść to wszystko we dwoje, wszystkie te wywoływania wcielić w dobre śniadanko. Och, proszę cię, powiedz lepiej Franciszce, niech usmaży raje na rumianym maśle. To takie dobre.

— Kochanie, już się stało, ale nie siedź już przy oknie, inaczej naprzesz się wszystkim, co obnoszą przekupki.

— Już, już, idę, ale odtąd nie chcę już na obiad nic, tylko to, co będziemy słysze-  
li. To takie zabawne. Pomyśleć, że jeszcze trzeba czekać dwa miesiące, nim usłyszymy: „Groszek zielony, słodki, groszek, groszek zielony”. Jak to ładnie powiedziane: „słodki groszek”, wiesz, że ja lubię taki delikatny, delikatny groszek, skąpany w winogrecie; nie ma się uczucia, że się je, takie to świeże jak rosa poranna. Och, albo te śmietankowe serduszka, to jeszcze bardzo daleko: „Dobre serki śmietankowe, śmietankowe serki dobre”. A winogrona z Fontainebleau: „Wino, wino, winogrona”.

A ja myślałem że zgrozą o czasie, który trzeba mi będzie wytrwać z Albertyną aż do pory winogron!

— Słuchaj, powiadam ci, że chcę już jeść tylko to, co usłyszymy, ale robię oczywiście wyjątki. Toteż zastanawiam się, czyby nie zająć do Rebatteta zamówić lody dla nas. Powiesz mi, że to jeszcze nie pora, ale mam taką ochotę!

Wstrząsnęło mną nazwisko „Rebattet”, tym niezawodniej podejrzanego dla mnie z racji tych słów: „zastanawiam się”. Był to dzień, w którym Verdurinowie przyjmowali, od czasu zaś jak Swann nauczył ich, że Rebattet to jest najlepsza cukiernia, tam zamawiali lody i ptifury<sup>107</sup>.

<sup>103</sup>*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere* (łac.) — formuła mszalna poprzedzająca modlitwę *Ojcze nasz*, we współczesnej wersji polskiej: „Wezwani zbawiennym nakazem i oświeceni pouczeniem Bożym ośmielamy się mówić”. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*sotie* (Im: *soties*) — odmiana francuskiej średniowiecznej farsy ludowej, wykonywanej przez zawodowych błaźnów, wysławiającej stosunki społeczne i obyczajowe. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku* — papieżowi Grzegorzowi I Wielkiemu, łac. *Gregorius Magnus* (ok. 540–604) tradycja przypisuje uporządkowanie i usystematyzowanie śpiewu liturgicznego, znanego później od jego imienia jako chorał gregoriański. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*Suave mari magno* (łac.) — „Miło wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwować z brzegu, patrząc na trudy żeglarza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*ptifury* (z fr.) — małe ciasteczka deserowe, serwowane do kawy a. herbaty. [przypis edytorski]

— Nie mam nic przeciwko lodom, Albertynko droga, ale pozwól, żebym ja sam zamówił, nie wiem jeszcze, czy to będzie Poiré-Blanche, Rebattet, Ritz; słowem, zobaczę.

— Więc ty wychodzisz? — rzekła nieufnie. (Twierdziła zawsze, że byłaby zachwycona, gdybym więcej wychodził, ale kiedy jakieś moje odezwanie się mogło zwiastować, że nie zostanę w domu, niespokojna mina Albertyny pozwoliła wnosić, iż radość, jaką bym jej rzekomo sprawił, wychodząc jak najczęściej, nie była może zbyt szczerą).

— Może wyjdę, może nie, wiesz, że nigdy nie robię planów. W każdym razie lody to nie jest coś, co obwołują, co obnoszą po ulicy; skąd ci przyszła na nie ochota?

Odpowiedź Albertyny dowiodła mi, ile inteligencji i utajonego smaku rozwinęło się w niej nagle od czasu Balbec. Twierdziła, że zawdzięcza ten dobór słów jedynie mojemu wpływowi, mieszkaniu ze mną, jednakże ja bym tego nigdy nie powiedział, tak jakby mi wyższa siła zabroniła używać kiedykolwiek w rozmowie zwrotów literackich. Może przyszłość Albertyny miała być inna, a moja inna. Miałem niemal przeczucie tego, widząc, jak ona się sili używać w mowie obrazów tak „książkowych”, zastrzeżonych, wedle mojego poczucia, na inny użytek, świętszy i jeszcze mi nieznany. Mimo wszystko bardzo mnie to wzruszyło, bo myślałem: „To pewne, że nie powiedziałbym tak jak ona, ale jednak beze mnie nie mówiła by w ten sposób, uległa zatem głęboko mojemu wpływowi, nie może tedy mnie nie kochać, jest moim dziełem”. Mówiła tak:

— W tych wiktuałach wykrzykiwanych na ulicy lubię zwłaszcza to, że coś słyszanego niby fraza muzyczna odmienia przy stole charakter i apeluje do mojego podniebienia. Co się tyczy lodów, mam nadzieję, że je zamówisz w owych niemodnych formach, mających wszystkie możebne kształty architektury: kiedy jem te świątynie, kościoły, obeliski, skały, zawsze oglądam je wprzód niby malowniczą geografę, a potem zmieniam jej malinowe lub waniliowe budowle w chłód na swoim podniebieniu. — Uważałem, że to jest trochę za dobrze powiedziane, ale Albertyna uczyła, iż ja uważam, że to jest dobrze powiedziane, i ciągnęła dalej, zatrzymując się na chwilę przy udatnym porównaniu, aby się wreszcie rozśmiać swoim pięknym śmiechem, który mi był tak okrutny, bo tak rozkoszny. — Mój Boże, boję się, że u Ritza znajdziesz „kolumny Vendôme”<sup>108</sup> z lodów czekoladowych lub malinowych; w takim razie trzeba by ich więcej, aby to wyglądało na kolumny wotywno lub na słupy wzniesione w jakiejś alei na chwałę Chłodu. Robią tam także malinowe obeliski, które będą sterczały w pałacej pustyni mego pragnienia; stopię ich różowy granit w mojej paszczy, którą orzeźwią niczym oaza — i tu buchnął głęboki śmiech, czy to z satysfakcji, że się tak pięknie wysławia, czy przez drwiny z samej siebie, że się posługuje tak konsekwentnym obrazowaniem, czy niestety z fizycznej rozkoszy, że smakuje coś tak dobrego, świeżego, dającego jej jakby namiastkę rozkoszy. — Te lodowate cyple od Ritza — ciągnęła — wyglądają czasem niby jakieś Monte Rosa<sup>109</sup>... a nawet przy cytrynowych wolę, żeby nie były monumentalne, raczej nieregularne, urwiste jak góra u Elstira. I nie powinny być zbyt białe, ale trochę żółtawe z tym elstirskim odcieniem brudnego i bladego śniegu. Choćby nie było ich zbyt dużo, pół porcji, jeżeli chcesz, te cytrynowe lody to są i tak góry sprowadzone do maleńkiej skali, ale wyobraźnia przywraca proporcje, jak dla tych japońskich karłowatych drzewek, w których czuje się i tak, że to są cedry, dęby, jabłuszniki, tak iż posadziwszy je w skrzynie w twoim pokoju, miałabym olbrzymi las schodzący ku rzece, gdzie by się zgubiły małe dzieci. Tak samo u stóp mojej porcji żółtawych cytrynowych lodów dostrzegam wybornie pocztylionów, podróżnych, karetki pocztowe, na które język mój podejmuje się staczać lodowe lawiny, mające je pochłonać — okrutna rozkosz, z jaką to powiedziała, podnieciła moją zazdrość. — Tak samo — dodała — jak podejmuję się tymi wargami zniszczyć, filar po filarze, wenecki kościół z truskawkowego porfiru i zwalić na wiernych to, co ocaleje. Tak, wszystkie te budowle przejdą ze swego kamiennego placu do moich wnętrzności, gdzie ich topniejący chłód już drga. Ale wiesz, nawet bez lodów, nic tak nie podnieca i nie budzi pragnienia, jak anonse jakichś cieplic. W Montjouvain u panny Vinteuil nie było w pobliżu dobrych lodów, ale odbywałyśmy w ogrodzie podróż dokoła Francji, pijąc co dzień inną wodę gazową.

<sup>108</sup>kolumna Vendôme — pomnik w formie kolumny wzniesiony na Place Vendôme w Paryżu na rozkaz Napoleona I dla upamiętnienia bitwy pod Austerlitz. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>Monte Rosa — masyw górski w Alpach Pennińskich, na pograniczu włosko-szwajcarskim, drugi co do wysokości w Alpach; jego nazwa pochodzi od regionalnego słowa *rouése* oznaczającego lodowiec. [przypis edytorski]

Na przykład Vichy, kiedy się ją nalewa, wznosi się z dna białym obłokiem, niksącym i rozplywającym się, gdy się nie pije dość szybko... — Ale słyszeć w ustach Albertyny o Montjouvain było mi zbyt ciężko; przerwałem jej. — Nudzę cię kochanie, no, bądź zdrów...

Co za zmiana od czasu Balbec! Wzywam samego Elstira, czy zdołałby odgadnąć w Albertynie te bogactwa poezji, mimo iż mniej osobliwej i mniej osobistej niż na przykład u Celesty Albaret. Nigdy Albertyna nie zdobyłaby się na styl Celesty; ale miłość, nawet kiedy się na pozór kończy, jest stronnicza. Wolałem malowniczą geografię sorbetów, której dość łatwy wdzięk zdawał mi się racją do kochania Albertyny oraz dowodem, że mam nad nią władzę, że ona mnie kocha.

Kiedy Albertyna wyszła wreszcie, uczułem, jak męcząca była dla mnie ta ustawiczna obecność, niesyta ruchu i życia. Mąciła swoim niepokojem mój sen, przyprawiała mnie o ciągłe przeziębienie, zostawiając otwarte drzwi, kazała mi rozwijać za każdym razem chytrych Szeherazyd<sup>110</sup>, aby usprawiedliwić to, że jej nie towarzyszę (nie wydając się mimo to zbyt chorym), a z drugiej strony, aby jej narzucić jakieś towarzystwo. Taką pomysłowością perska opowiadaczka bajek opóźniła swoją śmierć, ale ja niestety przyspieszałem swoją. Są w życiu sytuacje, które nie wszystkie rodzą się, jak moja, z zazdrości i ze słabego zdrowia, niepozwalającego dzielić życia czynnej i młodej istoty, ale w których i tak problem dalszej wspólnej egzystencji lub powrotu do dawniejszego oddzielnego życia następuje w sposób niemal lekarski: któremu z dwóch rodzajów spoczynku trzeba zrobić ofiarę (bądź nadal znosząc codzienne przemęczenie, bądź wracając do mąk rozłąki) — spoczynkowi mózgu czy serca?

Byłem w każdym razie bardzo rad, że Anna towarzyszy Albertynie do Trocadéro, bo świeże, bardzo drobne zresztą wydarzenia sprawiały, iż oczywiście wciąż przy tej samej mojej wierze w uczciwość szofera, czujność jego lub bodaj przenikliwość nie wydawały mi się równie zadowalające jak dawniej. Niedawno posłałem z nim Albertynę samą do Wersalu; powiedziała, że jadła śniadanie w „Réservoirs”, szofer natomiast wspomniał o Vatelu. W dniu, kiedy spostrzegłem tę sprzeczność, znalazłem jakiś pretekst, aby — podczas gdy się Albertyna ubierała — pomówić z szoferem (zawsze tym samym, znanym nam z Balbec).

— Wspominał pan, żeście jedli śniadanie u Vatela, a panna Albertyna mówi o „Réservoirs”. Jak to rozumieć?

Szofer odparł:

— Powiedziałem, że jadłem u Vatela, ale nie mogę wiedzieć, gdzie panienka jadła. Opuściła mnie, przybywszy do Wersalu, aby wziąć fiakra; mówi, że woli tak, kiedy nie chodzi o pośpiech.

Wściekałem się już na tę myśl, że Albertyna została sama; ale ostatecznie tylko tyle, ile trzeba, aby zjeść śniadanie.

— Mógł pan przecie — rzekłem pojednawczo, bo nie chciałem okazać wprost, że każę pilnować Albertyny, co byłoby upokarzające dla mnie, i to podwójnie, bo znaczyłoby, że się kryje przede mną — mógł pan przecie zjeść śniadanie, nie mówię z panienką, ale w tej samej restauracji.

— Kiedy panienka zamówiła mnie dopiero na szóstą na Place d'Armes. Nie kazała po siebie zajechać po śniadaniu.

— A! — rzekłem, starając się pokryć przygnębienie. I wróciłem na górę. Zatem więcej niż siedem godzin Albertyna była sama, swobodna. Wiedziałem co prawda, że fiaker nie był jedynie pretekstem, aby się pozbyć nadzoru szofera. W mieście Albertyna wolała jeździć fiakrem, mówiła, że lepszy widok, że cieplej. Bądź jak bądź, spędziła siedem godzin, o których nie dowiem się nigdy nic. I nie śmiałem myśleć o sposobie, w jaki musiała ich użyć. Uważałem, że szofer był bardzo nieogłębny, ale odtąd ufność moja w niego stała się zupełna. Bo gdyby był bodaj trochę w „sitwie” z Albertyną, nie przyznałby się nigdy, że jej zostawił swobodę od jedenastej rano do szóstej wieczór. Mogło być jedno tylko wytłumaczenie tych zwierzeń szofera, ale niedorzeczne. Mianowicie, że jakaś sprzeczka między nim a Albertyną obudziła w nim chęć pokazania jej — za pomocą tej drobnej

<sup>110</sup>Szeherazada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

rewelacji — że potrafi mówić i że po tym łagodnym ostrzeżeniu, o ile nie będzie tańczyła tak, jak on zagra, potrafi jej dać szkołę. Ale to był absurd; trzeba by najpierw przyjąć jakąś nieistniejącą zwadę między nim a Albertyną, a następnie zrobić szantażystę z tego pięknego szofera, który zawsze był taki uprzejmy i tak na miejscu. W dwa dni później przekonałem się zresztą, że umie czuć nad Albertyną dyskretnie i inteligentnie, bardziej niż przypuszczałem przez chwilę w szale podejrzeń. Bo zdoławszy go odciągnąć na stronę i nawiązać do owego epizodu w Wersalu, rzekłem przyjaźnie i swobodnie:

— Pańskie zachowanie się w Wersalu, tak jak mi pan wszystko opowiedział przedwczoraj, było idealne; był pan bez zarzutu, jak zawsze. Ale coś panu powiem, zresztą bez znaczenia. Otóż od czasu jak pani Bontemps powierzyła mi siostrzenicę, czuję się tak odpowiedzialny, tak boję się wypadków, tak sobie wyrzucam, że jej nie towarzyszę, iż wolę, żeby pan wszędzie sam woził Albertynę, pan taki pewny, tak wytrawny, z którym nic się nie może zdarzyć. W ten sposób o nic się nie boję.

Uroczy apostołski szofer uśmiechnął się subtelnie, z ręką spoczywającą na kierownicy w kształcie krzyża. Potem (wypędzając z mojego serca niepokój, którego miejsce zajęła natychmiast radość), rzekł coś, co mnie natchnęło ochotą rzucenia mu się na szyję.

— Niech się pan nie obawia. Nie może się panience nic zdarzyć; kiedy nie siedzi w moim aucie, oko moje biegnie za nią wszędzie. W Wersalu, nic nie pokazując po sobie, zwiedziłem miasto, aby tak rzec, razem z panienką. Z „Réservoirs” udała się do pałacu, z pałacu do Trianon<sup>111</sup>, a ja wciąż jechałem za nią, niby to nie widząc, a co lepsze, że ona mnie nie widziała. Och, gdyby nawet widziała, nie byłoby nieszczęścia. To takie naturalne, że mając cały dzień przed sobą, a nic do roboty, zwiedzam także pałac. Tym bardziej że panienka musiała zauważyć, że ja mam oczytanie i że się interesuję starożytnościami. — Była to prawda, zdziwiłbym się nawet, gdybym wiedział, że on jest w przyjaźni z Morelem, tak dalece przewyższał skrzypka finezją i smakiem. — Ale koniec końców, nie widziała mnie.

— Musiała zresztą spotkać jakieś przyjaciółki, ma ich kilka w Wersalu.

— Nie, cały czas była sama.

— Musiano jej się przyglądać w takim razie, taka efektowna panna, i sama.

— Juścić, że patrzą na nią, ale ona jakby nic nie wiedziała o tym; cały czas wypatruje oczy w przewodniku, a potem na obrazy.

Opowiadanie szofera wydawało mi się tym ściślejsze, że w istocie pocztówki, które Albertyna przesłała mi owego dnia z Wersalu, przedstawiały jedną pałac, a druga Trianon. Bacność, z jaką sympatyczny szofer śledził każdy jej krok, wzruszyła mnie bardzo. Jak mógłbym przypuszczać, że to sprostowanie — w formie obszernego postscriptum<sup>112</sup> do przedwczorajszych zwierzeń — wynikało stąd, że w ciągu tych dwóch dni Albertyna, zaniepokojona niedyskrecją szofera, skapitulowała i pogodziła się z nim. To mi nie przyszło nawet na myśl. Faktem jest, że opowiadanie szofera, niweczając wszelką obawę, iż Albertyna mogła mnie zdradzić, ostudziło mnie tym samym w stosunku do niej i zmniejszyło moje zainteresowanie jej dniem w Wersalu. Ale sądzę, że wyjaśnienia szofera, który oczyszczając Albertynę, uczynił mi ją tym nudniejszą, nie wystarczyłyby może, aby mnie tak szybko uspokoić. Dwa przyszyki, które przez kilka dni Albertyna miała na czole, może lepiej jeszcze zdołały zmienić moje serdeczne uczucia.

W końcu uczucia te odwróciły się od niej jeszcze skuteczniej (tak dalece, że przypomniałem sobie o istnieniu Albertyny jedynie wtedy, kiedy ją widziałem) pod wpływem osobliwego zwierzenia, jakie mi uczyniła pokojówka Gilberty, spotkana przypadkiem. Dowiedziałem się, że kiedyś bywał u Gilberty co dzień, Gilberta kochała się w pewnym młodym człowieku, z którym widywała się o wiele częściej niż ze mną. Podejrzywałem to przez chwilę wówczas i nawet brałem na spytki tę pokojówkę. Ponieważ wiedziała, że się kocham w Gilbertce, zaprzeczyła wtedy; przysięgała, że nigdy panna Swann nie widuje tego młodego człowieka. Ale teraz, wiedząc, że moja miłość wygasła już od tak dawna, że od lat zostawiłem wszystkie listy Gilberty bez odpowiedzi — a może i dlatego, że nie była już w służbie u niej — sama z siebie opowiedziała mi obszernie epizod, którego nie znałem. To się jej wydawało całkiem naturalne. Sądziłem, przypominając sobie jej ówczesne

<sup>111</sup> *Trianon* — dawna wioska na przedmieściach Paryża, zamieniona na część parku wersalskiego, w której znajdują się dwa pałace: *Petit Trianon* (Mały Trianon) oraz *Grand Trianon* (Duży Trianon). [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *postscriptum* (łac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

zaklęcia, że nie była w tajemnicy. Ależ tak, to ona sama, z rozkazu pani Swann, biegła uprzedzić młodego człowieka, z chwilą gdy ta, którą kochałem, była sama. Którą kochałem wówczas... Ale zastanawiałem się, czy moja ówczesna miłość jest już tak martwa, jak mniemałem, bo to opowiadanie było mi przykre. Ponieważ nie sądzę, aby zazdrość mogła zbudzić miłość umarłą, przypuszczałem, że moje smutne wrażenie wynikało, przynajmniej w części, ze zranionej miłości własnej, wiele bowiem osób, których nie lubiłem i które w tej epoce, a nawet trochę później — bardzo się to zmieniło od owego czasu — zachowywały się w stosunku do mnie wzgardliwie, wiedziało doskonale, że Gilberta robiła ze mnie dudka<sup>113</sup>. I to mi nawet kazało zastanawiać się wstecz, czy w mojej miłości do Gilberty nie grała roli miłość własna, skoro tak cierpiałem obecnie, widząc, że wszystkie tkliwe chwile, które mi dawały tyle szczęścia, były w oczach niesympatycznych dla mnie ludzi prostą komedią ze strony Gilberty. W każdym razie, czy to była miłość czy ambicja, Gilberta była prawie umarła we mnie, ale nie całkiem, i ta przykreść tym bardziej nie pozwoliła mi się zbyt troszczyć o Albertynę, zajmującą tak mało miejsca w moim sercu.

Mimo to — aby wrócić do niej (po tak długim nawiasie) i do jej podejrzanego spaceru — odczuwałem pewną przykreść za każdym razem, kiedy przy porządkowaniu papierów oczy moje padały na pocztówki z Wersalu. Zatem można mieć serce równocześnie rozdarte dwiema zazdrościami krzyżującymi się z sobą, każdą w stosunku do innej osoby? I przyszło mi na myśl, że gdyby szofer nie był tak porządnym człowiekiem, zgodność jego drugiej wersji z pocztówkami Albertyny niewiele by znaczyła, bo cóż się wysyła z Wersalu, jeśli nie pałac i nie Trianon, o ile pocztówek nie wybierał esteta zakochany w jakimś posągu lub głupiec, wybierający jako „widok” stację konnego tramwaju lub dworzec kolei. A i to niesłusznie mówię „głupiec”, bo takie pocztówki nie zawsze kupuje jakiś głupiec, ot na chybił trafił, jako dokument bytności w Wersalu. Przez dwa lata ludzie inteligentni, artyści uważali, że Sienna, Wenecja, Grenada to jest piła, i mówili o najlichszym omnibusie<sup>114</sup>, o lada wagonie: „O, to jest piękne!”. Potem ten gust minął jak inne. Nie wiem nawet, czy nie wrócono do pojęcia „świętokradztwa, jakim jest niszczenie szlachetnych zabytków przeszłości”. W każdym razie, wagon pierwszej klasy przestał być uważany *a priori* za coś piękniejszego od św. Marka<sup>115</sup> w Wenecji. Mówiono wprawdzie: „W tym jest życie, oglądać się wstecz to jest rzecz sztuczna”; ale nie wyciągano z tego zdecydowanych wniosków.

Na wszelki wypadek, darząc pełnym zaufaniem szofera i chcąc, by Albertyna nie mogła go posiać w drodze (przy czym on nie ważyłby się odmówić, aby nie uchodzić za szpiega), nie pozwalałem jej już jeździć na spacer inaczej niż pod opieką Anny, podczas gdy przez jakiś czas sam szofer mi wystarczał. Pozwoliłem jej nawet owego czasu (czego bym się nie odważył zrobić później) wybrać się na trzy dni samej z szoferem do Balbec, tak bardzo miała ochotę odbyć tę drogę na samym podwoziu, z maksymalną szybkością. Trzy dni, przez które byłem bardzo spokojny, mimo iż deszcz pocztówek, które mi przesyłała, doszedł mnie, z powodu fatalnego funkcjonowania poczt bretońskich (dobrych w lecie, ale widocznie kulejących w zimie), dopiero w tydzień po powrocie Albertyny i szofera, tak wytrzymałych, że jeszcze rano po powrocie odbyli, jakby nigdy nic, codzienny spacer.

Byłem zachwycony, że Albertyna idzie dziś do Trocadéro na ten „galowy” poranek, a zwłaszcza uspokojony tym, że towarzyszy jej Anna.

Porzucając te myśli teraz, kiedy Albertyna wyszła, stanąłem chwilę w oknie. Zrazu była cisza, w której gwizdek przekupnia flaków i trąbka tramwajowa wstrząsnęły powietrze w różnych oktawach, niby ślepy stroiciel fortepianu. Stopniowo mogłem rozróżnić krzyżujące się motywy, do których dołączały się nowe. Był i nowy gwizdek, sygnał jakiegoś przekupnia (nigdy nie zgadłem, co on sprzedawał), gwizdek ściśle podobny do gwizdka tramwaju, że zaś nie unosiła go szybkość, zdawało się, że to jest jakiś jeden tramwaj nieobdarzony ruchem lub wykolejony, unieruchomiony, krzyczący raz po raz

<sup>113</sup>dudek (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>św. Marek w Wenecji — plac św. Marka ze znajdującą się przy nim bazyliką św. Marka i będącą symbolem miasta dzwonnica św. Marka (*Campanile di San Marco*), najbardziej znane miejsce Wenecji, otoczone cennymi zabytkami architektury. [przypis edytorski]



niby zwierzę, które umiera. I miałem wrażenie, że gdybym miał kiedyś opuścić tę arystokratyczną dzielnicę — o ile bym jej nie zamienił na całkiem ludową — ulice i bulwary w centrum (gdzie handel owoców, ryb itd., skupione w wielkich sklepach spożywczych, czyniły czymś zbędnym wywoływania przekupniów, których by się zresztą nie słyszało) zdawałyby mi się bardziej martwe, niemieszkalne, odarte, odcedzone ze wszystkich tych litanii drobnych przemysłów i wędrownych traktierni<sup>116</sup>, pozbawione orkiestry czarującej mnie od rana.

Przechodziła trotuarem kobieta niezbyt elegancka (lub zeszpecona modą), zbyt jasna w swoim sakpalcie<sup>117</sup> z koziej sierści; ale nie, to nie była kobieta, to był szofer, który opatulony w kozią skórę szedł do garażu. Wyrwawszy się z wielkich hoteli, skrzydlaci strzelcy, mieniący się barwami, co tchu pędzili na rowerach ku dworcom, aby złapać podróżnych przybyłych rannymi pociągami. Chrypliwe skrzypce znaczyły czasem przejazd samochodu, a czasem to, że nie dość nałalem wody do elektrycznego imbryka. W pełni symfonii detonowała jakaś niemodna melodia: luzując sprzedawczynię cukierków, która zazwyczaj akompaniowała sobie na grzechotce, handlarz zabawek, do którego trąbki przy-mocowany był pajac fikający na wszystkie strony, obnosił inne pajace i nie troszcząc się o rytualny zaśpiew Grzegorza Wielkiego, o zreformowaną kadencję<sup>118</sup> Palestriny<sup>119</sup> i liryczną frazę współczesną, intonował pełnym głosem, niby zapóźniony zwolennik czystej melodii: „Chodźcie tatusie, chodźcie mamusie, ucieszcie wasze dzieci, patrzcie, jak leci, jeden drugi trzeci. Tra- la-la-la. Tra-la-la-laire, tra-lala-la-la-la. Dalej, dzieci, tutaj!”. Małe Włoszeta w beretach nie próbowały walczyć z tą *aria vivace*<sup>120</sup> i w milczeniu ofiarowały swoje statuetki. Ale nagle piszczałka zmuszała do odwrotu handlarza zabawek, przy czym śpiewał coraz mętniej, mimo że *presto*<sup>121</sup>: „Chodźcie, tatusie, chodźcie mamusie”. Czy owa piszczałka to był jeden z dragonów, których słyszałem co rano w Doncières? Nie, bo potem następowały słowa: „Naprawiam fajans, porcelanę. Naprawiam szkło, marmur, kryształ, kość słoniową i starożytności. Naprawiam!” U rzeźnika, gdzie na lewo lśniła aureola słońca, a na prawo wisiał cały wół, czeladnik rzeźnicki, bardzo wysoki i szczupły, z włosami blond, z szyją wychylającą się z błękitnego kołnierza, układał z zawrotną szybkością i zbożną sumiennością po jednej stronie wspaniałe filety wołowe, po drugiej zrazówkę najgorszej jakości, i kładł je na lśniących szalach uwieńczonych krzyżem, z którego spływały zgrabne łańcuszki. Mimo iż później rozkładał już tylko na wystawie nerki, polędwice, rozbratle, wyglądał w istocie raczej na pięknego anioła, który będzie w Dniu Sądu skuteczniał w usługach Boga podział dobrych i złych wedle jakości oraz ważenie dusz. I na nowo wzbijała się ostra i cienka piszczałka, zwiastując już nie zniszczenie, którego się bała Franciszka, patrząc na defiladę pułku kawalerii, ale „reparacje”, oznajmiane przez naiwnego lub jowialnego antykwarza, który w każdym razie bardzo eklektyczny<sup>122</sup>, daleki od specjalizacji, obejmował swoją sztuką najróżniejsze materiały. Piekareczki spieszenie ładowały do koszyków długie bułki chleba przeznaczone na jakieś „proszone śniadanie”, a mleczarki wieszały żywo u haczyków bańki mleka. Czy nasycony tęsknotą obraz tych dziewczątek mogłem uważać za bardzo wierny? Czy nie byłby inny, gdybym mógł utrzymać nieruchomo przez kilka chwil przy sobie jedną z istot, które z wysokości okna widziałem jedynie w sklepie lub pomykające ulicą? Aby oszacować stratę, której wrażenie dawała mi moja klauzura, to znaczy bogactwo, jakie mi nastęczał dzień, trzeba by mi pochwycić na rozległym i żywym fryzie jakąś dziewczuszkę niosącą bieliznę lub mleko, przenieść ją, niby sylwetę z ruchomej dekoracji, w ramę moich drzwi i przyglądać się jej długo, nie bez uzyskania od niej jakiejś informacji, która by mi pozwoliła odnaleźć ją kiedyś; owej fiszki rozpoznawczej, którą ornitolog lub ichtiolog umocowują pod brzuchem ptaków lub ryb, aby wróciwszy im wolność, móc śledzić ich wędrówki.

<sup>116</sup>traktiernia (daw.) — jadalnia. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>sakpalto (daw.) — lekki płaszcz męski, noszony głównie wiosną lub latem. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>kadencja — w muzyce: sekwencja dźwięków stanowiąca zakończenie utworu lub jego części; w mowie: intonacja opadająca, podkreślająca koniec frazy. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>Palestrina, Giovanni Pierluigi da (1525–1594) — włoski kompozytor muzyki religijnej, autor kompozycji chóralnych *a cappella*; wywarł długotrwały wpływ na rozwój muzyki kościelnej i świeckiej w Europie, zwłaszcza na rozwój kontrapunktu; stworzył polifoniczny styl zwany palestrinowskim. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>aria vivace (muz., wł.) — aria w żywym, żwawym tempie. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>presto (muz., wł.) — tempo w muzyce: spieszenie, szybko. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>eklektyczny — łączący elementy różnych stylów. [przypis edytorski]

Toteż powiedziałem Franciszce, że mam jakieś zlecenie na mieście i żeby mi przysłała jedną z dziewcząt, które wpadały do nas co chwila, zabierając lub odnosząc bieliznę, chleb lub bańki z mlekiem, i przez które Franciszka często coś załatwiała. Postępowałem w tym jak Elstir, który zmuszony siedzieć w pracowni w wiosenny dzień, kiedy świadomość, że lasy pełne są fiołków, rozpierała go chęcią ujrzenia tych kwiatów, posyłał czasem odzwiertną, aby mu kupiła bukietek fiołków. Miał wrażenie, że widzi nie stół, na którym postawił mały roślinny model, ale całe poszycie, gdzie widywał niegdyś tysiącami giętkie lodygi uginające się pod dzióbkami lila; zdawało mu się wręcz, że widzi imaginacyjną strefę, którą zakreślał w jego pracowni przejrzysty zapach czarodziejskiego kwiatu.

Co się tyczy praczek, w niedzielę nie było ani marzenia o tym, żeby przyszła któraś! Dziewczyna z piekarni zadzwoniła niestety w porze, kiedy Franciszki nie było, zostawiła chleb w sieni i poszła. Owocarka miała przyjść dopiero znacznie później. Wszedłem raz do mlecznicy po ser i pośród młodych sklepówek zauważyłem jedną, istne szaleństwo blond, wysoką, mimo że bardzo dziewczęcą, która pośród innych dziewcząt zdawała się marzyć w postawie dosyć hardej. Widziałem ją tylko z daleka, przechodząc tak szybko, że nie mógłbym powiedzieć, jak wygląda, chyba to, że musiała rósć za prędko i że głowę jej stroiło runo robiące wrażenie nie tyle uwłosienia, ile stylizowanych w rzeźbie równoległych fal śniegu na lodowcu. Oto wszystko, com zauważył, zarówno jak bardzo wyrazisty nos (rzecz rzadka u dziecka) na szczupłej twarzy, przypominającej dziób młodych sępiąt. Zresztą nie tylko obecność zasłaniających ją koleżanek przeszkodziła mi ją dobrze widzieć, ale i nieświadomość uczuć, jakie mogłem u niej (z pierwszego wejrzenia i później) budzić; czy to byłyby uczucia surowej dumy, ironii, czy wzgardy zwierzzonej później przyjaciółkom. Kolejne domysły w tej mierze, jakim się oddawałem przez sekundę, zagęściły dokoła młodej dziewczyny mgłę, w której kryła się niby bogini w chmurze drżącej od pioruna. Bo niepewność duchowa bardziej utrudnia ścisłą percepcję wzrokową, niżby ją utrudniała fizyczna wada oka. W owej zbyt szczupłej młodej osobie (zanadto może ściągającej uwagę) odstręczał mnie właśnie nadmiar tego, co kto inny nazwałby może „wdziękami”; ale i tak rezultatem był fakt, że obecność jej nie pozwoliła mi nawet spostrzec, a tym bardziej przypominać sobie innych młodych mleczarek, które orli nos tej jednej i spojrzenie jej — niezbyt miłe — zamyślane, zdecydowane, krytyczne niejako, pograżyły w ciemności na kształt błyskawicy blond, grającej w mroku otaczający krajobraz. I tak, z mojej bytności w mlecznicy, mającej na celu zamówienie sera, przypominałem sobie (jeżeli można powiedzieć „przypominam sobie” o rysach tak słabo utrwalonych, że dziesięć razy do nieuchwytniej twarzy przymierza się coraz to inny nos), przypominałem sobie tylko tę jedną — która mi się nie podobała. To wystarcza jako początek miłości. Mimo to byłbym zapomniał o tym „szaleństwie blond” i nie pragnąłbym nigdy jej ujrzeć, gdyby mi Franciszka nie powiedziała, że dziewczyna, mimo iż smarkata, jest już bardzo szczwana i że ma się rozstać z chlebobdawczynią, ponieważ zbytnio się lubiąć stroić, ma długi w dzielnicy. Powiedziano, że piękność jest obietnicą szczęścia; i na odwrót, możliwość rozkoszy może być początkiem piękności.

Wziąłem się do czytania listu mamy. Poprzez cytaty z pani de Sévigné („Jeżeli moje myśli w Combray nie są całkiem czarne, są bodaj ciemno-szare; wciąż myślę o tobie, pragnę twojej obecności; twoje zdrowie, twoje sprawy, twoje oddalenie, jak sądzisz, czym może być to wszystko o szarej godzinie?”) czułem, iż matka nierada jest, że pobyt Albertyny przeciąga się i utrwała, mimo iż jeszcze nie oświadczyłem się mojej „lubej” z intencjami małżeństwa. Matka nie mówiła tego wyraźniej, bojąc się, że mogę zostawić list gdzieś na wierzchu. Ale mimo że pisała tak mglisto, wyrzucała mi, że nie potwierdzam po każdym liście jego odbioru: „Wiesz, co mówiła pani de Sévigné: »Kiedy się jest daleko, nie żartuje się z listów zaczynających się od: Otrzymałem twój list«”. Nie wspominając o tym, co ją najbardziej niepokoiło, mama wyrażała niezadowolenie z mojego marnotrawstwa: „Gdzie może się podziewać tyle pieniędzy? Już dosyć martwi mnie to, że jak Charles de Sévigné nie wiesz, czego chcesz, i masz w sobie »paru ludzi naraz«; ale staraj się bodaj nie naśladować go w wydatkach, żebym nie mogła powiedzieć o tobie: »Potrafił wyrzucać pieniądze bez efektu, przegrywać, nie grając, i płacić, nie wychodząc z długów«”.

Kończyłem list, kiedy przyszła Franciszka z wiadomością, że jest właśnie owa zbyt śmiała mleczareczka, o której mówiła. „Wybornie może odnieść list panicza i załatwić, co potrza, jeżeli to nie za daleko. Zobaczy panicz, wygląda jak Czerwony Kapturek”.

Piękno, Szczęście, Rozkosz

Franciszka poszła po nią i słyszałem, jak mówi w drodze: „No i co, boisz się, bo jest korytarz, ty niezguło; myślałam, że jesteś mniejsza ciemiega. Mam cię prowadzić za rękę?”. I Franciszka, dobra i dzielna służąca, chcąca, aby inni szanowali jej pana tak, jak go szanuje ona sama, udrapowała się w ów majestat, który na obrazach starych mistrzów uszlachetnia rajfurki przesłaniające niemal parę kochanków. Ale Elstir, kiedy patrzył na fiolki, nie troszczył się o to, co one robią.

Wejście młodej mleczarki wytrąciło mnie ze spokoju obserwatora; myślałem już tylko o tym, aby uprawdopodobnić bajeczkę o liście do odniesienia; zacząłem pisać szybko, ledwie śmiejąc na nią popatrzeć, aby się nie zdawało, żem ją po to sprowadził. Strojna była dla mnie w ów czar tajemnicy, którego nie miałyby jakaś ładna dziewczyna spotkana w jednym z zakładów, gdzie na nas zawodowo czekają. Nie była ani naga, ani przebrana; ot, prawdziwa mleczarka, z tych, które się nam wydają tak ładne, kiedy nie mamy czasu się do nich zbliżyć; miała coś z tego, co tworzy wiekuiste pragnienie, wiekuisty żal życia, którego podwójny bieg odwrócił się wreszcie, zbliżył się do nas. Podwójny, bo o ile chodzi o Nieznane, o istotę, której boskość odgadujemy z jej postawy, proporcji, z obojętnego spojrzenia, wyniosłego spokoju, pragniemy z drugiej strony, aby ta kobieta miała znamiona swojego zawodu, pozwalając nam uciec w ów świat, w którego inność swoisty jej strój pozwala nam romantycznie wierzyć. Zresztą jeżeli chcemy zamknąć w jednej formule prawo naszych ciekawości miłosnych, trzeba szukać tej formuły w maksimum odchylenia między kobietą spostrzeżoną przelotnie a kobietą poznaną, pieszczoną. Jeżeli mieszkanki tego, co się dawniej nazywało „zamtuzem”<sup>123</sup>, jeżeli nawet kokoty<sup>124</sup> (o ile wiemy, że to są kokoty) pociągają nas tak mało, to nie dlatego, aby były mniej piękne od innych, ale dlatego, że są zawsze gotowe; że z punktu ofiarowują to, o co właśnie pragnęlibyśmy zabiegać; że nie są zdobyczą. Rozchylenie sprowadza się do minimum. Prostytutka uśmiecha się do nas już na ulicy, tak jak się będzie uśmiechała w naszych objęciach. My jesteśmy rzeźbiarze. Pragniemy stworzyć z kobiety posąg całkowicie różny od kształtu, w jakim się nam objawiła. Widzieliśmy nad morzem dziewczynę obojętną, zuchwałą; widzieliśmy za ladą poważną i czynną pannę sklepową, która traktuje nas oschle, bodaj dlatego aby się nie narazić na drwiny koleżanek; owocarkę, która nam ledwo odpowiada. I nie mamy spokoju, póki nie doświadczymy, czy harda dziewczyna znad morza, czy panna sklepowa bojąca się „języków”, czy wgardliwa owocarka nie będzie skłonna pod wpływem naszych zręcznych manewrów ugiąć swoją sztywną postawę, okolic nam szyję ramionami, które nosiły owoce, z łaskawym uśmiechem pochylić ku naszym ustom swoje oczy — o piękności surowych oczu! — dotąd lodowate lub obojętne w godzinach pracy, gdy pracownica tak się lęka obmowy koleżanek; oczy, które unikały naszych natarczywych spojrzeń, a które teraz, kiedyśmy ją ujrzeli sam na sam, uginają swoje źrenice pod słonecznym ciężarem śmiechu towarzyszącego zabiegom miłosnym. Pomiędzy sklepówką, praczką prasującą uważnie, owocarką, mleczarką i tą samą dziewczyną skłonną zostać naszą kochanką ziściło się maksimum odchylenia, wyciągniętego jeszcze do ostatnich granic i urozmaiconego zawodowymi gestami jej rąk przy pracy; coś możliwie najróżniejszego — jako linia — od owych giętkich więzów, które co wieczora oplotą naszą szyję, gdy usta gotują się do pocałunku. Toteż trawimy życie na niespokojnych, wciąż ponawianych zalotach do cnotliwych dziewcząt, które rzemiosło ich od nas oddała. Raz znalazłszy się w naszych ramionach, są już tylko tym, czym były; przestrzeń, o której przebyciu marzyliśmy, znikła. Ale zaczynamy to samo z innymi, zużywamy na te zabiegi wszystek czas, pieniądze, siły, wściekamy się na zbyt powolnego woźnicę, przez którego przepadnie nam może pierwsza schadzka, mamy gorączkę. A przecież wiemy, że ta pierwsza schadzka zniweczy jedynie złudzenie! Nie dbamy o to, póki złudzenie trwa; chcemy sprawdzić, czy można je zmienić w rzeczywistość, i wówczas myślimy o młodej praczce, której chłód zauważyliśmy. Ciekawość miłosna jest jak ta, którą w nas budzą nazwy miejscowości; zawsze zawiedziona, odradza się i pozostaje wciąż nieugaszona.

Niestety! Znalazłszy się przede mną, mleczarka z burzą blond włosów, odarta z tyłu zbudzonych we mnie rojeń i pragnień, skurczyła się, stała się tylko sobą. Drżąca chmura moich domysłów nie kłębiła się już koło niej. Miała minę jakby zafrasowaną tym, że

<sup>123</sup>zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

w miejsce dziesięciu, dwudziestu nosów, którym sobie daremnie kolejno przypominał, miała tylko jeden nos okrągłszy, niż mi się zdawało, budzący wrażenie głupoty, a w każdym razie pozbawiony daru mnożenia się. Ten ujarzmiony, bezwładny, unicestwiony lot, niezdolny nic przydać jej mizernej oczywistości, nie miał już współpracownicy w mojej wyobraźni. Popadwszy w bezwład realności, próbowałem odskoczyć; niezauważona w sklepie twarzyczka wydała mi się tak ładna, że mnie aż onieśmieliła; aby sobie przydać odwagi, rzekłem:

— Może panienska zechce podać mi „Figaro”, które tam leży; muszę sprawdzić, jak się nazywa miejsce, dokąd chcę panienkę posłać.

Biorąc gazetę, odwinęła do łokcia czerwony rękaw żakietu i podała mi konserwatywny dziennik zręcznym i wdzięcznym gestem, ujmującym swobodną zwinnością, miękkością i barwą szkarlatu. Przeglądając „Figaro”, równocześnie, aby coś rzec, spytałem, nie podnosząc oczu:

— Jak się nazywa to, co panienska ma, ten czerwony trykot, to bardzo ładne.

Odpowiedziała:

— Golf.

Bo w procesie degradacji właściwej wszystkim modom, stroje i mody stanowiące przed kilku laty przywilej eleganckiego stosunkowo świata przyjaciółek Albertyny obecnie stały się udziałem robotnic.

— Czy to by paniencie naprawdę nie szkodziło — rzekłem, udając, że czegoś szukam w „Figarze” — gdybym panienkę posłał choćby trochę daleko?

Z chwilą gdy okazałem, że uważam żądany kurs za coś uciążliwego, zaraz i ona zaczęła robić trudności.

— Bo... miałam się trochę przejechać na rowerze. Cóż, my mamy tylko niedzielę...

— Ale czy paniencie nie zimno tak z gołą głową?

— Och, nie będę z gołą głową, mam polo, zresztą mogłabym się bez niego obejść z moimi włosami.

Objąłem wzrokiem płowe i kręcące się włosy i uczulem, że ich wir unosi moje bijące serce w światło i burze huraganu piękności. Dalej przeglądałem dziennik, ale mimo iż czyniłem to jedynie dla zachowania kontenansu i zyskania na czasie, udając tylko, że czytam, i tak rozumiałem sens słów, które miałem przed oczami. Uderzyło mnie co następuje: „Do zapowiedzianego przez nas programu, mającego się odbyć dziś popołudniu w wielkiej sali Trocadéro, trzeba nam dodać nazwisko panny Lei, która zgodziła się wystąpić w *Szelmostwach Neryny*<sup>125</sup>. Wykona oczywiście rolę Neryny, w której oszałamia werwą i czaruje wesołością”.

Było to tak, jakby ktoś zdarł mi z serca opatrunek, pod którym zaczęło się ono goić od powrotu z Balbec. Fala moich lęków buchnęła strumieniem. Lea to była owa aktorka zaprzyjaźniona z dwiema pannami z Balbec, którym Albertyna pewnego popołudnia przyglądała się w lustrze w kasynie, udając, że ich nie widzi. Prawda, że w Balbec, słysząc nazwisko Lei, Albertyna oświadczyła mi szczególnie uroczyście, niemal zgorszona, że ktoś może podejrzewać taką cnotę: „Och, nie, ona wcale nie jest taka, to bardzo przyzwyczajona osoba”. Niestety, kiedy Albertyna wygłaszała tego rodzaju sądy, były one zawsze tylko pierwszym stadium rozbieżnych zeznań. Niedługo po pierwszym przychodziło to drugie: „Nie znam jej”. Na trzeciej kondygnacji, kiedy Albertyna orzekła o takiej osobie, że jest „ponad wszelkie posądzenia” i że jej (po drugie) nie zna, zapomniała stopniowo najpierw tego, że jej jakoby nie zna, i „sypiąc się” bezwiednie jakimś powiedzeniem, przyznawała, że ją zna. Po pierwszej gafie i nowym twierdzeniu, zaczynało się drugie zapomnienie, dotyczące faktu, że dana osoba jest „niepodejrzana”. „Czy ona — pytałem — nie ma takich gustów?” — „Ależ oczywiście, jak to, przecież to wszyscy wiedzą!”. I natychmiast zjawiał się ton uroczysty, celem stwierdzenia, które było mglistym i wątplym echem owego pierwszego: „Muszę powiedzieć, że ze mną była zawsze bardzo przyzwyczajona. Oczywiście, wiedziała, że by się spotkała z ładnym przyjściem! Ale ostatecznie to nie ma znaczenia. Muszę jej być wdzięczna za prawdziwy szacunek, jaki mi zawsze okazywała. Zaraz widać, że wie z kim ma do czynienia”.

<sup>125</sup> *Szelmostwa Neryny* — *Fourberies de Nérine* (1864), francuska komedia Théodore’a de Banville, inspirowana komedią Moliera *Szelmostwa Skapena*. [przypis edytorski]

Pamiętamy prawdę, bo ma nazwę, dawne korzenie, ale zaimprovizowanego kłamstwa zapominamy szybko. Albertyna zapomniała tego ostatniego — czwartego — kłamstwa i pewnego dnia, kiedy chciała zyskać zwierzeniami moją ufność, posunęła się do powiedzenia o tej samej osobie, z początku tak przyzwoitej i której jakoby nie znała: „Ona ma feblika<sup>126</sup> do mnie. Kilka razy prosiła mnie, żebym ją odprowadziła do domu i wstąpiła do niej. W odprowadzeniu nie widziałam nic złego, przy wszystkich, w biały dzień, na ulicy. Ale zaszedłszy pod dom, zawsze znalazłam jakiś pozór i nigdy nie weszłam”. W jakiś czas potem Albertyna natręcała coś o pięknych meblach u tej osoby. Zestawiając jedno z drugim, doszłoby się z pewnością do wydobycia prawdy, może mniej groźnej, niż byłam skłonny przypuszczać, bo mimo iż łatwa z kobietami, Albertyna wołała może kochanka i teraz, mając mnie, nie myślałaby może o Lei.

Bądź co bądź, co się tyczyło owej Lei, znajdowałem się dopiero w pierwszej fazie i nie wiedziałem, czy Albertyna ją zna. Wystarczyłoby — w każdym razie co do wielu kobiet — postawić Albertynie do oczu, w skrócie, jej sprzeczne zeznania, aby ją przekonać o jej przewinach (przewinach, które jak prawa astronomiczne, o wiele łatwiej jest wydedukować niż zaobserwować i podchwycić w rzeczywistości). Ale ona wolałaby raczej przyznać, że mówiąc coś, skłamała (burząc tym odwołaniem cały mój system), niż uznać, że wszystkie jej opowiadania od początku były tylko pasmem bajek. Takie baśnie w *Tysiącu i jednej nocy* zachwycają nas; sprawiają nam natomiast ból w ustach kochanej kobiety, przez co pozwalają nam głębiej trochę wniknąć w znajomość natury ludzkiej zamiast się zadowolić jej powierzchnią. Cierpienie wciska się w nas i siłą bolesnej ciekawości zmusza nas do poznania. Stąd pewnych prawd nie czujemy się w prawie ukrywać; tak iż umierający ateusz, który je odkrył, przeświadczony o nicości wszystkiego, niedbający o sławę, obraca jednak ostatnie godziny na to, by je przekazać.

Niewątpliwie, co się tyczy Lei, byłem dopiero przy pierwszym z tych twierdzeń. Nie wiedziałem nawet, czy Albertyna ją zna. Ale to wychodziło na jedno. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć tego, aby mogła w Trocadéro odszukać tę znajomą lub zapoznać się z tą nieznaną. Powtarzam, nie wiedziałem, czy ona zna Leę, mimo iż musiałem przecie słyszeć o tym w Balbec od samej Albertyny. Bo zapomnienie unicestwiała we mnie, tak jak w Albertynie, znaczną część tego, co mi mówiła. Zamiast być dubletem epizodów naszego życia, wciąż obecnym naszym oczom, pamięć jest raczej nicością, z której chwilami jakieś podobieństwo pozwala nam wskrzesić martwe wspomnienia; ale i tak jest tysiąc drobnych faktów, które nie dostały się w orbitę pamięci i które umkną się na zawsze naszej kontroli. Nie zwracamy uwagi na wszystko to, czego związków z realnym życiem ukochanej istoty nie znamy, zapominamy natychmiast tego, co nam mówiła w związku z jakimś obcym nam faktem lub człowiekiem, i miny, jaką miała, mówiąc o tym. Toteż kiedy później ten sam człowiek obudzi naszą zazdrość, wówczas dla przekonania się, czy się nie mylimy, czy w istocie z nim należy wiązać pośpiech, z jakim nasza kochanka pragnie wyjść z domu, lub jej niezadowolenie, żeśmy jej w tym przeszkodził naszym wcześniejszym powrotem, zazdrość nasza, szperając w przeszłości za jakimiś wskazówkami, nie znajduje nic; wciąż nieuleczalnie retrospektywna, znajduje się w położeniu dziejopisa, który miał pisać jakąś historię, nie posiadając żadnego dokumentu; wciąż zapóźniona, rzuca się jak wściekły byk właśnie nie tam, gdzie się znajduje harda i świetna istota, drażniąc go swymi ukłuciami i wspaniałą a zręczną postawą budzącą podziw okrutnego tłumu. Zazdrość miota się w próżni, niepewna, jak my jesteśmy niepewni w owych snach, w których cierpimy, że w pustym domu nie znajdujemy tej, którą znaleźliśmy wprawdzie w życiu, ale która tutaj jest może kim innym i tylko pożyczyła rysów od innej; niepewna tak — i bardziej — jak my jesteśmy jeszcze niepewni po zbudzeniu się, kiedy staramy się utożsamić jakiś szczegół snu. Jaką minę miała, mówiąc to a to; czy nie była rozradowana, czy nie pogwizdywała nawet, co czyni tylko wtedy, kiedy ma w głowie jakieś lubieżne myśli? W dobie miłości, kiedy bodaj trochę obecność nasza krępuje ją i drażni, czyż nie powiedziała czegoś sprzecznego z tym, co twierdzi obecnie, że kogoś zna lub nie zna? Nie wiemy tego, nie dowiemy się nigdy; zaciekle szukamy nieuchwytnych szczątków snu, przez ten czas współżycie z kochanką trwa, życie niebaczone na to, czego ważności dla nas nie znamy, baczne na to, co nie jest może ważne, udęczone-

<sup>126</sup>feblik — słabość, skłonność. [przypis edytorski]

ne osobami bez żadnego z nami realnego związku, życie pełne zapomnień, luk, czczych lęków — życie podobne do snu.

Spostrzegłem, że mleczarka wciąż jest w pokoju. Oznajmiłem, że stanowczo to by było za daleko, że jej nie potrzebuję. Wówczas uznała również, że to byłoby zbyt uciążliwe: „Jest piękny mecz dzisiaj, nie chciałabym go opuścić”. Odgadłem, że już musi lubić sporty i że za kilka lat będzie mówiła: „wyżyć się”. Oświadczyłem, że jej stanowczo nie potrzebuję i dałem jej pięć franków. Nie spodziewała się tego; po czym natychmiast, skombinowawszy widocznie, że skoro dostała pięć franków za nic, dostałaby znacznie więcej za posyłkę, zaczęła uważać, że mecz nie ma znaczenia. „Byłabym chętnie załatwiła panu zlecenie. Zawsze można jakoś znaleźć czas”. Ale ja popchnąłem ją lekko w stronę drzwi; potrzebowałem zostać sam, trzeba było za wszelką cenę nie dopuścić, żeby się Albertyna spotkała w Trocadéro z przyjaciółkami Lei. Tak, trzeba było koniecznie to osiągnąć; co prawda, nie wiedziałem jeszcze jak; na razie rozkładałem dłonie, oglądałem je, wyłamywałem palce, jak gdyby umysł, nie mogąc znaleźć tego, czego szuka, zdjęty lenistwem, godził się zrobić postój przez chwilę, w której najubożniejsze rzeczy ukazują mu się oddzielnie, niby owe źdźbła trawy na skarpie, które widzimy z wagonu drzące na wietrze, kiedy pociąg zatrzyma się w szczerym polu. (Nieruchomość ta nie zawsze jest zresztą płodniejsza od bezwładu pojmanego zwierzęcia, które sparaliżowane strachem lub urzeczzone, patrzy bez ruchu). A może trzymałem w pogotowiu swoje ciało — a w nim inteligencję, a w niej sposoby działania na daną osobę — jako coś będącego już tylko bronią, z której padnie cios rozdzielający Albertynę z Leą i jej przyjaciółkami? Niewątpliwie, kiedy Franciszka oznajmiła rano, że Albertyna wybiera się do Trocadéro, pomyślałem: „Albertyna może robić, co się jej podoba” i wierzyłem, że aż do wieczora w tę cudną pogodę postęпки jej pozostaną dla mnie czymś bez znaczenia; ale nie tylko poranne słońce (jak przypuszczałem) uczyniło mnie tak bez troskim, lecz fakt, że skłoniwszy Albertynę do wyrzeczenia się projektów, jakie mogłaby nawiązać lub wręcz zrealizować u Verdurinów, i doprowadziwszy ją do pójścia na widowisko, które sam wybrałem i w związku z którym nie mogła nic obmyślić, wiedziałem, że ta zabawa będzie z konieczności niewinna. Tak samo kiedy Albertyna powiedziała w chwilę później: „Jeżeli się zabiję, to mi jest wszystko jedno”, to dlatego, iż była przekonana, że się nie zabije. Przede mną, jak przed Albertyną, istniała w tym poranku (o wiele bardziej niż jego słoneczność) strefa, której nie widzimy, ale poprzez której przezroczyste i zmienne przewodzenie widzimy, ja jej postęпки, ona ważność własnego życia, to znaczy owe wierzenia, których nie jesteśmy świadomi, ale których tak samo nie można utożsamiać z czystą próżnią, jak otaczającego nas powietrza; tworzą one dokoła nas atmosferę zmienną, czasem wyborną, często niepodobną do oddychania, warte, aby je zbierać i notować tak starannie jak temperaturę, jak stan barometru, jak porę roku, bo nasze dni mają swoją fizyczną i moralną odrębność. Niezauważona owego rana przeze mnie wiara, która jednak spowijała mnie radośnie aż do chwili, w której otwarłem „Figaro”, wiara, że Albertyna spędzi niewinnie czas — ta wiara znikła. Już nie żyłem w pięknym dniu, ale w dniu zrodzonym w łonie tamtego dnia z niepokoju, aby Albertyna nie nawiązała stosunków z Leą, a jeszcze łatwiej z dwiema podejrzаныmi pannami, jeżeli, jak było prawdopodobne, pospieszą oklaskiwać aktorkę do Trocadéro, gdzie łatwo mogłyby w antrakcie spotkać Albertynę. Nie myślałem już o pannie Vinteuil; imię Lei przypominało mi, ku mojej męce, obraz Albertyny w kasynie w pobliżu tych dwóch dziewczyn. Bo posiadałem w pamięci jedynie „serie” Albertyny, oddzielne, niezupełne, profile, migawki; toteż zazdrość moja ograniczała się do rwanego, ulotnego i utrwalonego zarazem wyrazu i do istot, które sprowadziły ów wyraz na twarz Albertyny. Przypominałem ją sobie, kiedy się jej w Balbec zanadto przyglądały owe dwie panny lub kobiety „w tym rodzaju”; przypominałem sobie cierpienie, jakiego doznawałem, widząc przebiegające po twarzy Albertyny spojrzenia czynne niby oko szkicującego malarza, po twarzy całkiem pokrytej przez te spojrzenia i — zapewne wskutek mojej obecności — poddającej się tym kontaktom jakby bezwiednie, z lubieżną może potajemnie biernością. I zanim Albertyna opamiętała się i przemówiła do mnie, była sekunda, przez którą nie ruszała się, uśmiechała się w próżnię, z tym samym wyrazem udanej naturalności i tajonej przyjemności, co gdyby ją właśnie ktoś fotografował; lub nawet aby przybrać przed obiektywem zalotniejszą pozę — ową z Doncières w czasie przechadzki z Robertem — kiedy to, śmiejąc się i zwilżając wargi, udawała, że się drażni

z psem. Zapewne w owych chwilach nie była zgoła tą samą, co kiedy ją zainteresowały jakieś dziewczęta. Wówczas, przeciwnie, jej wąskie i aksamitne spojrzenie stawało się bystre, przylepiało się do przechodzącej, tak czepne, tak żrące, że zdawało się, iż cofając się, uniesie kawał jej skóry. Ale w takiej chwili owo spojrzenie, które przynajmniej dawało Albertynie jakiś wyraz powagi, niemal cierpienia, wydawało mi się słodkie wobec martwego wyrazu szczęścia, jaki miała w pobliżu tych dwóch panien; wołałbym już posępny dreszcz żądz, jaką sama czuła może niekiedy, od roześmianej miny wywołanej żądzą, którą ona budziła. Daremnie próbowała pokryć świadomość tego; świadomość ta opływała ją, spowijała, mglista, rozkoszna, różowiła całą jej twarz. Ale wszystko to, co Albertyna dławiała w owych chwilach w sobie, co promieniowało z niej i sprawiało mi tyle bólu, kto wie czy w mojej nieobecności zachowałyby podobne milczenie; czy teraz, kiedy mnie tam nie ma, nie odpowie śmieiej na zaloty tych dwóch dziewczyn. Z pewnością wspomnienia te sprawiały mi wielki ból, były niby całkowitym wyznaniem skłonności Albertyny, generalną spowiedzią jej zdrad. Nie mogły tego przeciwważyć jej okolicznościowe przysięgi, w które chciałem wierzyć, ani ujemne wyniki moich dorywczych dochodzeń, zapewnienia Anny, może będącej w zмовie z Albertyną. Albertyna mogła się zapierać swoich zdrad; ale słowa, które się jej wymykały, silniejsze od zaprzeczeń, same jej spojrzenia, zawierały o wiele więcej niż poszczególne fakty wyznania tego, co chciałyby ukryć, tego, co zanimby wyznała, raczej dałyby się zabić: jej skłonności. Bo żadna istota nie chce wydać swojej duszy.

Mimo bólu, jaki mi sprawiały te wspomnienia, czyż mógłbym zaprzeczyć, że to program w Trocadéro zbudził we mnie na nowo potrzebę Albertyny? Była z tych kobiet, którym urok ich mógłby w potrzebie zastąpić ich przywary, a także dobroć, która następuje po przewinie, dając nam ową słodycz, którą niby chory nigdy nieczujący się dobrze dwa dni z rządu, wciąż musimy z nich wydzierać na nowo. Zresztą prócz ich występków z okresu naszej miłości istnieją tym bardziej występki z czasu, gdyśmy ich nie znali, a pierwszym z nich jest ich natura. Mękę takiej miłości stanowi preegzystujący przed nią jak gdyby grzech pierworodny kobiety, grzech, który każe nam je kochać, tak iż kiedy zapominamy o nim, mniej jej potrzebujemy i aby zacząć na nowo kochać, musimy zacząć na nowo cierpieć.

W tej chwili obawa, by Albertyna nie spotkała owych dziewcząt, oraz myśl, czy ona zna Leę, to były rzeczy, które mnie najbardziej obchodziły, wbrew temu, że fakty powinny nas interesować jedynie w ogólnym sensie i że dzieciństwem<sup>127</sup>, równym dzieciństwu podróży lub chęci poznania kobiet, jest rozdrabniać ciekawość na to, co przypadkowo skryształizowało się w naszej myśli z niewidzialnego strumienia okrutnych realności, które nam pozostaną na zawsze nieznanne. Zresztą gdybyśmy nawet zdołali zniszczyć tę kryształizację, natychmiast zastąpiłaby ją inna. Wczoraj bałem się, aby Albertyna nie poszła do pani Verdurin. Teraz zaprzętała mnie jedynie Lea. Zazdrość, która ma przepaskę na oczach, nie tylko niezdolna jest odkryć cośkolwiek w ciemnościach, które ją spowijają; jest ona także jedną z owych mąk, każących wciąż rozpoczynać trud bez końca, jak pracę Danaid<sup>128</sup>, jak pracę Iksjona<sup>129</sup>. Nawet gdyby tam nie było przyjaciółek Lei, jakie wrażenie mogłaby sprawić na niej sama Lea, upiękkszona kostiumem, uświetniona sukcesem; jakie marzenia zostawiłaby w Albertynie, jakie żądze, które, nawet powściągnięte, budziłyby w niej wstręt do życia ze mną, życia niezdolnego ich zaspokoić?

Kto wie zresztą, czy Albertyna nie zna Lei i czy nie pójdzie do niej do garderoby, a nawet czy Lea jej nie zna; kto mnie zapewni, czy widziawszy ją w każdym razie w Balbec, Lea nie pozna jej i czy nie da ze sceny znaku uprawniającego Albertynę do pójścia za kulisy? Niebezpieczeństwo wydaje się niegroźne wówczas, gdy jest zażegnane. To nie było jeszcze zażegnane i bałem się, że nie będzie, i wydawało mi się tym straszliwsze. A jednak miłość do Albertyny, gasnąca prawie, kiedy ją próbowałem sobie uświadomić,

<sup>127</sup> *dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *Iksjon* (mit. gr.) — król Lapitów w Tesalii, wslawiony jako pierwszy zabójca własnego krewnego oraz jako śmiałek, który zakochał się w Herze, małżonce Zeusa, i próbował ją uwieść, za co został ukarany strąceniem do Tartaru i przykuciem do wiecznie obracającego się, płonącego koła. [przypis edytorski]

znajdywała poniekąd w tej chwili dowód w gwałtowności mojego bólu. Nie dbałem już o nic innego, myślałem tylko o sposobach wyrwania jej z Trocadéro; ofiarowałbym Lei wszelką sumę, byle tam nie szła. Jeżeli tedy postęпки bardziej dowodzą naszych uczuć niż nasze myśli, dowodziłoby to, że kocham Albertynę. Ale ten nawrót mego cierpienia nie przydawał we mnie realności obrazowi Albertyny. Była przyczyną moich cierpień jak niewidzialne bóstwo... Czyniąc tysiące przypuszczeń, starałem się stępić swoje cierpienia, nie potwierdzając tym samym swojej miłości.

Najpierw trzeba było być pewnym, że Lea będzie w istocie w Trocadéro. Odprawiwszy mleczarkę, zatelefonowałem z zapytaniem do Blocha, zaprzyjaźnionego z Leą. Nie miał pojęcia; zdziwił się, że mnie to może interesować. Pomyślałem, że trzeba się śpieszyć, że Franciszka jest ubrana, a ja nie; zacząłem się zbierać, a jej kazałem wziąć auto; miała się udać do Trocadéro, kupić bilet, odszukać Albertynę na sali i oddać jej słówko ode mnie. Donosiłem Albertynie, że mnie do głębi wstrząsnął list otrzymany właśnie od osoby, z powodu której byłem tak nieszczęśliwy pewnej nocy w Balbec. Przypomniałem Albertynie, iż nazajutrz wyrzuciła mi, że jej nie wezwałem. Toteż pozwalałem sobie — pisałem — prosić ją, żeby się wyrzekła dla mnie tego spektaklu i wróciła, aby pojechać ze mną trochę na spacer i pomóc mi ochłonąć. Ale ponieważ to potrwa dosyć długo, zanim się ubiorę i będę gotów, niechaj zechce skorzystać z obecności Franciszki, aby kupić w Trois-Quartiers (magazyn ów, jako mniejszy, mniej mnie niepokoił niż Bon Marché) biały tiulowy żabocik, którego potrzebuje.

Bilecik mój nie był zapewne zbyteczny. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co robi Albertyna od czasu, jak ją znałem, ani przedtem. Ale w jej odezvaniach się (w razie gdybym jej to powiedział, mogłaby rzec, że się przesłyszałem) były pewne sprzeczności, retusze, równie wymowne jak „gorący uczynek”, ale trudniejsze do wyzyskania przeciw Albertynie, która często schwytała na kłamstwie jak dziecko, za każdym razem jakimś strategicznym zwrotem udaremniała moje okrutne ataki i umacniała swoją sytuację. Okrutne zwłaszcza dla mnie. Albertyna posługiwała się — nie przez wyrafinowanie stylu, ale dla naprawienia swoich „wsyspek” — owymi gwałtownymi zmianami składni, podobnymi trochę do tego, co gramatycy nazywają „anakolutem”<sup>130</sup>, czy nie wiem jak. Posunąwszy się, mówiąc o kobietach, do słów: „Przypominam sobie, że niedawno ja”... nagle, po głębokim wdechu, „ja” zmieniał się w „ona”: to było coś, co Albertyna zauważyła jako niewinna obserwatorka, bynajmniej zaś nie robiła tego sama. To nie ona była podmiotem. Byłbym chciał sobie przypomnieć ściśle początek zdania, aby samemu — skoro ona się wymigiwała — odtworzyć jego koniec. Ale kiedy usłyszałem ów koniec, zapomniałem początku, z którego może wyraz mego zainteresowania kazał jej zboczyć; i zostawałem niepewny jej prawdziwej myśli, autentycznego wspomnienia. Z początkami kłamstw naszej kochanki jest niestety tak, jak z początkami naszej miłości lub powołania. Tworzą się, skupiają się, mijają, niepostrzeżone dla nas samych. Kiedy sobie chcemy przypomnieć, jak zaczęliśmy kochać kobietę, już ją kochamy; o marzeniach poprzedzających miłość nie mówiliśmy sobie: „To jest początek miłości, baczność”, rozwijały się swobodnie, ledwie przez nas zauważone. Tak samo, z wyjątkiem wypadków stosunkowo rzadkich, wyłącznie niemal dla uproszczenia, przeciwstawiłem tu często jakieś kłamliwe słowa Albertyny jej pierwotnemu twierdzeniu w tym samym przedmiocie. Często to pierwotne twierdzenie (ile że nie czytałem w przyszłości i nie zgadywałem, jakie sprzeczne twierdzenie będzie mu odpowiadało) prześlizgnęło się niepostrzeżone; słyszałem je niewątpliwie uszami, ale nie wyodrębniłem go ze słów Albertyny. Później, wobec oczywistego kłamstwa lub dręczących podejrzeń, chciałem je sobie przypomnieć; na próżno; pamięć moja, nieuprzedzona na czas, zaniedbała zachować kopii.

Poleciłem Franciszce, kiedy wyprowadzi Albertynę z sali, żeby mnie uprzedziła telefonem i żeby mi ją przywiozła, bez względu na to, czy będzie z tego kontenta.

— Jeszcze by tego brakowało, żeby nie była kontenta, że zobaczy panicza — odparła Franciszka.

— Ależ ja wcale nie wiem, czy ona tak lubi mnie widzieć.

— Musiałaby być bardzo niewdzięczna — odparła Franciszka, w której Albertyna wskrzesiła po tylu latach tę samą męczarnię zawiści, o jaką przyprowadziła ją niegdyś Eu-

<sup>130</sup> anakolut — błąd składniowy, zaburzający relację logiczną między członami zdania. [przypis edytorski]



lalia u cioci Leonii. Nie wiedząc, że to nie Albertyna zabiegała o ten stosunek, ale że ja go pragnęłam (co, przez ambicję i żeby Franciszkę doprowadzić do wściekłości, wołałam ukrywać), podziwiała z nienawiścią spryt Albertyny, nazywała ją w rozmowie z innymi służącymi „komediantką”, „czarownicą”, która robi ze mną, co zechce. Nie śmiała jeszcze wypowiedzieć jej wojny wprost, była dla niej uprzejma i chwaliła się przede mną przysługami, jakie jej oddaje, uważając, że na nic się nie zda mówić mi coś i że nie doprowadziłoby to do niczego; ale czyhała na sposobność; gdyby kiedyś odkryła w sytuacji Albertyny jakąś szczelinę, gotowała się rozszerzyć ją i rozdzielić nas zupełnie.

— Bardzo niewdzięczna? Ależ nie, Franciszko, to ja się czuję niewdzięczny, Franciszka nie wie, jaka ona jest dobra dla mnie. — Tak słodko mi było uchodzić za człowieka kochanego. — I niech Franciszka jedzie prędko.

— Już walę z kopyta, w trymiga.

Wpływ córki zaczynał trochę kazić słownictwo Franciszki. W ten sposób przez wpływ nowych terminów tracą swoją czystość wszystkie języki. I ja byłem pośrednio odpowiedzialny za tę dekadencję języka Franciszki, znanego mi w jego pięknych epokach. Córka Franciszki nie byłaby ściągnęła klasycznej mowy swojej matki do najniższego żargonu, gdyby poprzestała na mówieniu z nią gwarą. Nie odmawiała sobie nigdy tej przyjemności: kiedy byłem przy tym, o ile miały jakieś sekrety, wówczas zamiast się zamknąć w kuchni, wznosiły sobie w moim własnym pokoju mur bardziej nieprzebyty niż najlepiej zamknięte drzwi, a to mówiąc narzeczem ludowym swoich stron. Zgadywałem jedynie, że nie zawsze żyją w zbyt dobrej harmonii, wnosząc z częstego nawrotu jedyne słowa, które mogłem rozróżnić: *m'exasperate* (o ile przedmiotem tej „egzasperacji”<sup>131</sup> nie byłem ja). Na szczęście, najmniej znany język staje się w końcu zrozumiały, jeśli się go słyszy ciągle. Żałowałem, że to była gwara, bo zdołałem się jej nauczyć; a równie dobrze byłbym się nauczył, gdyby Franciszka miała zwyczaj mówić na przykład po persku.

Kiedy Franciszka spostrzegła moje postępy, na próżno przyspieszała dykcję, córka również; nic nie pomogło. Franciszka była wściekła, że ja rozumiem gwarę, a potem uszczęśliwiona, że nią mówię. Prawdę rzekłszy, owo zadowolenie to były kpiny, bo mimo iż w końcu nauczyłem się wymawiać prawie tak jak ona, widziała między naszą wymową przepaści, które ją zachwycały, i żałowała, że nie widuje ludzi ze swoich stron, o których nie myślała już od wielu lat, a których rada by usłyszeć, jak pękają ze śmiechu, słysząc mnie tak kaleczącego ich gwarę. Sama ta myśl napędza ją weselem i żalem; wyliczała kolejno wieśniaków, którzy by się splakali ze śmiechu. W każdym razie żadna radość nie zmąciła jej smutku, że nawet wymawiając źle, rozumiałem dobrze. Klucz staje się zbyt cenny, kiedy ten, któremu się chce przeszkodzić wejść, może się posłużyć wytrychem lub łomem. Skoro gwara straciła wartość obronną, Franciszka zaczęła się posługiwać z córką potoczną francuszczyzną, która rychło stała się językiem z najgorszych epok.

Byłem gotów; Franciszka jeszcze nie zatelefonowała; trzeba było iść, nie czekając. Ale kto wie, czy ona znalazła Albertynę? Czy Albertyna nie jest za kulisami, czy nawet w razie gdyby ją Franciszka znalazła, dałaby się sprowadzić? W pół godziny później rozległ się telefon; w sercu moim tłukły się nadzieja i obawa. Był to, na rozkaz władcy telefonu, lotny szwadron dźwięków, z błyskawiczną chyżością przynoszących mi słowa telefonisty, a nie Franciszki, której dziedziczna nieśmiałość i melancholia, zastosowane do sprzętu nieznanego jej ojcom, nie pozwalały się zbliżyć do słuchawki; raczej byłaby zdolna odwiedzić trędotowych. Spotkała w kularach samą Albertynę, która poszedłszy tylko uprzedzić Annę, że nie zostaje, zaraz wróciła do Franciszki.

— Czy nie gniewała się? A, przepraszam! Niech pan zechce spytać tej pani, czy panielka się nie pogniewała?

— Ta pani każe powiedzieć, że wcale nie, wręcz przeciwnie; w każdym razie, jeżeli nie była rada, nie było tego znać. Idą teraz do Trois-Quartiers i wrócą o drugiej.

Zrozumiałem, że druga oznacza trzecią, bo było już po drugiej. Ale to była u Franciszki jedna z jej swoistych, trwałych, nieuleczalnych wad — wad, które my nazywamy chorobami — że nigdy nie mogła sprawdzić ani oznaczyć dokładnie godziny. Nie umiałem wręcz pojąć, co się dzieje w jej głowie. Kiedy Franciszka spozrzała na zegarek, jeżeli była druga, mówiła: „Jest pierwsza” albo „Jest trzecia”; przy czym nigdy nie umiałem

<sup>131</sup>egzasperacja (daw.; z fr.) — stan wielkiego rozdrażnienia; rozjątrzenie. [przypis edytorski]

zrozumieć, czy zjawisko to ma za siedzibę wzrok Franciszki, jej myśl lub mowę; tyle jest pewne, że powtarzało się stale. Ludzkość jest bardzo stara. Dziedziczność, skrzyżowania dały niezmienną siłę złym przyzwyczajeniom, wadliwym odruchom. Ktoś kicha i krztusi się, bo przechodzi koło krzaku róży; ktoś inny ma wysypkę od zapachu świeżej farby; wiele osób ma biegunkę, kiedy im trzeba jechać w podróż; a wnukowie złodziejów — ludzie milionowi i hojni — nie mogą się wstrzymać, aby nam nie ukraść pięćdziesięciu franków. Co się tyczy przyczyny, dla której Franciszka nie była zdolna powiedzieć dokładnej godziny, ona sama nigdy nie umiała mi tego wyjaśnić. Bo mimo gniewu, w jaki te nieścisłe odpowiedzi mnie wprawiały, nigdy Franciszka nie próbowała ani przeprosić za swój błąd, ani go wytłumaczyć. Nie mówiła nic, robiła wrażenie, że nie słyszy, co mnie tym bardziej wściekało. Byłbym chciał usłyszeć słowo usprawiedliwienia, choćby po to, aby ją pognać; ale nic — obojętne milczenie.

W każdym razie co się tyczyło dnia dzisiejszego, nie było wątpliwości, Albertyna wróci z Franciszką o trzeciej, Albertyna nie zobaczy Lei ani jej przyjaciółek. Wówczas, skoro niebezpieczeństwo wznowienia ich stosunków było zażegnane, straciło w moich oczach całą swoją ważność. Widząc łatwość, z jaką je odwróciłem, dziwiłem się, iż mogłem wątpić o tym. Odczułem żywą wdzięczność dla Albertyny, która — miałem tego dowód — nie poszła do Trocadéro dla przyjaciółek Lei i która opuszczając spektakl i wracając na moje skinienie, okazywała, że należy do mnie więcej, niż sobie wyobrażałem. Wdzięczność ta wzrosła jeszcze, kiedy goniec przyniósł mi od Albertyny bilecik proszący o cierpliwość i zawierający owe serdeczne zwroty, które jej były właściwe. „Drogi mój, najdroższy Marcelu, przybywam mniej szybko niż ten cyklista, któremu chciałabym zabrać jego gruchot, aby być prędzej przy tobie. Jak możesz przypuszczać, że się gniewam i że mogłoby mnie coś cieszyć więcej niż być z tobą? Jak miło będzie pojechać na spacer we dwoje, a jeszcze przyjemniej byłoby nigdy nie być inaczej niż we dwoje. Co tobie do głowy przychodzi? Ach, ten Marcel! Ten Marcel! Cała twoja — twoja Albertyna.

Suknie, które jej kupowałem, jacht, o którym jej mówiłem, peniuary Fortuny'ego, wszystko to, mając w tym posłuszeństwie Albertyny nie swoją kompensatę, ale swoje dopełnienie, wydawało mi się niby zbiorem moich przywilejów; obowiązki bowiem i ciężary pana stanowią część jego panowania i określają go, dowodzą tyleż co jego prawa. I te prawa, które mi Albertyna przyznawała, dawały właśnie moim ciężarom ich istotny charakter: miałem swoją kobietę, która na pierwsze przesłane niespodzianie słówko telefonowała z poddaniem, że wraca, że się pozwoli przyprowadzić natychmiast. Byłem bardziej panem, niż sądziłem. Bardziej panem, to znaczy bardziej niewolnikiem. Nie spieszyło mi się już do ujrzenia Albertyny. Pewność, że ona robi sprawunki z Franciszką albo wróci z nią w najbliższej chwili (chwili, którą bym chętnie oddalił), oświecała niby promienna i spokojna gwiazda czas, który teraz o wiele przyjemniej spędziłbym sam. Miłość do Albertyny kazała mi wstać i gotować się do wyjścia, ale przeszkodziłaby mi cieszyć się tym wyjściem. Myślałem, że dziś, w niedzielę, młode sklepówki, midinetki<sup>132</sup>, kokotki muszą się przechadzać w Lasku<sup>133</sup>. I z tych słów: midinetki, sklepówki (jak mi się często zdarzało z imieniem i nazwiskiem młodej panny wyczytanym w sprawozdaniu z balu), z obrazu białego stanika, krótkiej spódniczki (przez to, iż poza tym wszystkim mieściłem osobę nieznaną i mogącą mnie pokochać) sam sobie tworzyłem upragnioną kobietę, powiadając: „Jakie one muszą być ładne!”. Ale na co by mi się zdała ich ładność, skoro nie będę sam. Korzystając z tego, że jestem jeszcze sam i zasuwając do połowy portierę, aby słońce nie przeszkadzało mi czytać nut, siadłem do fortepianu, otwarłem na los szczęścia sonatę Vinteuila i zacząłem grać; ponieważ przybycie Albertyny było jeszcze nieco oddalone, ale w zamian całkiem pewne, miałem i czas i spokój ducha. Skąpany w bezpiecznym oczekiwaniu jej powrotu z Franciszką oraz pewności jej posłuszeństwa, niby w błogim wewnętrznym świetle grzejącym na kształt światła z zewnątrz, mogłem rozporządzać swoją myślą, odłączyć ją na chwilę od Albertyny, przenieść ją na sonatę. Nawet w tej sonacie nie silłem się zauważyć, o ile kombinacja motywów rozkoszy i lęku bardziej teraz odpowiada mojej miłości do Albertyny, miłości, której zazdrość tak długo była obca, że mogłem przyznać się przed Swannem do nieznajomości tego uczucia.

<sup>132</sup>*midinetka* (z fr.) — młoda sprzedawczyni w domu mody; także: dziewczyna frywolna, skora do przygód towarzyskich. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*Lasek* — Lasek Buloński, park w Paryżu. [przypis edytorski]

Nie, biorąc sonatę z innego punktu widzenia, oceniając ją jako dzieło wielkiego artysty, uczulem, że dźwięczna fala niesie mnie ku dniom w Combray — nie chcę powiedzieć ku Montjouvain i stronie Méséglise, ale ku spacerom w stronę Guermantes — kiedy sam pragnąłem zostać artystą. Porzucając tę ambicję, czy wyrzekłem się czegoś realnego? Czy życie mogło mnie pocieszyć po sztuce, czy była w sztuce głębsza rzeczywistość, w której nasza prawdziwa osobowość znajduje wyraz, jakiego nie daje jej czynne życie? Każdy wielki artysta wydaje się w istocie tak odmienny od innych i sprawia na nas tak bardzo owo wrażenie indywidualności, którego na próżno szukamy w codziennym istnieniu.

W chwili gdy to myślałem, uderzył mnie jeden takt sonaty. Znałem go bardzo dobrze, ale czasem uwaga inaczej oświetla rzeczy od dawna znane, ukazując nam coś, czegośmy nigdy nie widzieli. Przegrywając ów takt, mimo iż Vanteuil wyrażał w nim marzenie całkowicie obce Wagnerowi<sup>134</sup>, mimo woli szepnąłem: „Tristan”, z uśmiechem, jaki ma przyjaciel rodziny, odnajdując coś z dziadka w intonacji i geście wnuka, który dziadka nie znał. I tak jak się spogląda wówczas na fotografię pozwalającą ustalić podobieństwo, tak ja na sonacie VinteUILa umieściłem na pulpicie partycję *Tristana*, którego fragmenty dawano właśnie tego popołudnia na koncercie Lamoureux. W podziwie dla mistrza z Bayreuth nie przeszkadzał mi żaden skrupuł owych ludzi, którym, jak Nietzschemu<sup>135</sup>, obowiązek każe uciekać, tak w sztuce, jak w życiu, od piękności, która ich kuszi. Tacy, wydzierając się *Tristanowi*, jak zapierają się *Parsifala*<sup>136</sup>, przez duchową ascezę, z umartwienia w umartwienie, dochodzą, krocząc najkrwawszą drogą krzyżową, do wzniesienia się do czystego poznania oraz do doskonałego ubóstwienia... *Pocztyliona* z *Longjumeau*<sup>137</sup>. Zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, co jest realnego w dziele Wagnera, przechodząc owe uparte i ulotne tematy, które nawiedzają jakiś akt, oddalają się jedynie po to, aby wrócić, i czasami odległe, uspięne, prawie oderwane, stają się w innych momentach, mimo iż zamglone, tak natarczywe i bliskie, tak wewnętrzne, tak organiczne, tak wnikać do trzewi, iż można by rzec, że to jest nawrót nie tyle motywu, ile neuralgii<sup>138</sup>.

Muzyka, bardzo w tym różna od towarzystwa Albertyny, pomagała mi zstąpić w samego siebie, odkryć tam nową rzecz: różnaitość, której na próżno szukałem w życiu, w podróży, a której nostalgii wzniecał we mnie ten dźwięczny nurt zamierający dokoła mnie w słonecznych falach. Różnaitość podwójna. Jak pryzmat uzewnętrznia nam skład światła, tak harmonia Wagnera, kolor Elstira pozwalają nam poznać ową istotę wrażeń innego człowieka, w którą miłość dla drugiej istoty nie daje nam wnikać. Następnie różnaitość w łonie samego dzieła, w jedyny sposób, który pozwala być naprawdę różnaitym: zjednoczyć różne indywidualności. Gdzie podrzędny muzyk miałby pretensje malować giermka, rycerza, każąc im śpiewać tę samą melodię, tam przeciwnie, pod każde miano Wagner podkłada odmienną rzeczywistość; za każdym razem kiedy się zjawia giermek, jest to odrębna figura, zarazem skomplikowana i prosta, która z radosnym i feudalnym zderzeniem linii wpisuje się w bezmiar dźwięków. Stąd pełnia muzyki nasyczonej tyloma rodzajami muzyk, z których każda jest odrębną istotą. Istotą lub wrażeniem, jakie daje nam chwilowy aspekt natury. Nawet to, co jest najmniej zależne od uczuć, jakie ona w nas rodzi, zachowuje swoją zewnętrzną i doskonale określoną realność; śpiew ptaka, róg myśliwski, fujarka pasterza znaczą się na horyzoncie dźwięczną sylwetą. Z pewnością Wagner miał ją przybliżyć, posłużyć się nią, wprowadzić ją w orkiestrę, poddać najwyż-

<sup>134</sup>Wagner, Richard (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*, tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji; w 1876 wybudował w mieście Bayreuth własny Teatr Operowy, w którym do dziś odbywa się coroczny festiwal jego dzieł. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Nietzsche, Friedrich (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Parsifal* — dramat muzyczny Ryszarda Wagnera luźno oparty na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha, którego bohaterem jest jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*Pocztylion z Longjumeau* — popularna francuska opera Adolphe'a Adama z 1836. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*neuralgia* — nerwoból, ból powodowany przez uszkodzenie nerwu. [przypis edytorski]

szym koncepcjom muzycznym, ale szanując jej zasadniczą odrębność, jak snycerz szanuje słoje i swoisty charakter drzewa, w którym rzeźbi.

Ale mimo bogactwa tych dzieł, w których kontemplacja natury mieści się obok akcji, obok indywidualów nie będących jedynie imionami osób, zastanawiałem się, jak bardzo jednak owe dzieła zachowują — przy całej ich cudowności — coś niekompletnego. To jest cecha wszystkich wielkich dzieł XIX wieku, owego XIX wieku, który odcisnął się na książkach największych pisarzy; ale kontrolując swoją pracę niby pracownik i sędzia zarazem, wyciągnęli z tej autokontemplacji nową piękność, będącą poza dziełem i wyższą od niego, narzucając mu — wstecz niejako — jedność i wielkość, których ono nie posiada. Nie mówiąc już o twórcy, który ujrzał *ex post*<sup>139</sup> w swoich powieściach *Komedię ludzką*<sup>140</sup>, ani o tych, którzy nazwali swoje różnorodne poematy lub studia *Legendą wieków*<sup>141</sup> lub *Biblią ludzkości*<sup>142</sup>, czyż nie można jednak powiedzieć o tym właśnie, o Michelecie, iż wciela wiek XIX tak dobrze, że największych piękności Micheleta nie tyle trzeba szukać w samym jego dziele, ile w postawie przybranej wobec dzieła; nie w *Historii Francji* ani w *Historii Rewolucji*, ale w przedmowach do własnych książek. Przedmowy, to znaczny stronicie napisane *ex post*, gdzie rozważa te książki, a do przedmów trzeba dołączyć tu i ówdzie jakieś zdanie, zaczynające się zwykle od: „Mam powiedzieć” — nie zastrzeżenie uczonego, lecz kadencja muzyka. Inny muzyk, ten, który mnie zachwycał w danej chwili, Wagner, wydobywając z biurka rozkoszny fragment po to, aby go wprowadzić jako retrospektywnie konieczny temat w dzieło, o którym nie myślał, w chwili gdy ów fragment komponował; następnie skomponowawszy pierwszą operę mitologiczną, potem drugą, potem jeszcze inne i spostrzegając nagle, że stworzył tetralogię, musiał doznawać tego samego upojenia, co Balzac, kiedy obejmując swoje utwory obcym i ojcowskim zarazem spojrzeniem, znajdując w jednym czystość Rafaela<sup>143</sup>, w innym prostotę Ewangelii, spostrzegł nagle, w retrospektywnym oświeceniu, że będą piękniejsze zebrane w cykl powtarzający te same osoby; jakoż w tym zagęszczeniu dał swemu dziełu ostatnie i najwspanialsze dotknięcia pędzla. Jedność wtórna, ale nie sztuczna, bo inaczej rozpadłaby się w proch, jak tyle cykliów miernych pisarzy, którzy z wielkim nakładem tytułów i podtytułów udają, że mieli jedyny i transcendentálny cel. Jedność nieurojona, może nawet realniejsza przez to, że wtórna, że się urodziła z chwili entuzjazmu, w której wyłoniła się z części wymagających już tylko spojenia. Jedność, która nie znała samej siebie, zatem witalna, a nie logiczna; która nie wykluczyła różnaitości, nie ostudziła wykonania. Wyłania się ona (ale tym razem spojona z całością) jako jakiś fragment skomponowany oddzielnie, zrodzony z natchnienia, nie wymuszony sztucznym rozwinięciem jakiejś tezy, zrastający się z resztą. Przed wielkim wybuchem orkiestry poprzedzającym powrót Izoldy dzieło samo przyciągnęło wpół zapomnianą melodię pasterza. I z pewnością, jak narastanie orkiestry za zbliżaniem się statku wchłania tony fujarki, przekształca je, wtapia w swoją ekstazę, łamie ich takt, rozjaśnia tonację, przyspiesza rytm, bogaci instrumentację, tak z pewnością sam Wagner uczuł radość, odnajdując w pamięci melodię pasterza, wcielając ją w dzieło, dając jej pełne znaczenie. Ta radość nie opuszcza go zresztą nigdy. Jaki bądź byłby u niego smutek poety, zawsze pociesza go, przewyższa — to znaczny, na nieszczęście, szybko niweczy — radość technika. Ale wówczas uderzyła mnie ta majsterska sprawność, podobnie jak zauważona przed chwilą identyczność frazy Vinteuila z frazą Wagnera. Czyżby ta sprawność dawała u wielkich artystów złudzenie oryginalności całkowitej, nieogarnionej na pozór, odblask ponadludzkiej realności, a w istocie produkt przemyślniej pracy? Jeżeli sztuka jest tylko tym, nie bardziej realna jest od życia i nie miałem powodu tyle jej żałować!

<sup>139</sup>*ex post* (łac.) — po fakcie, później, z późniejszej perspektywy. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*Komedja ludzka* — cykl powieści i opowiadań francuskiego pisarza Honoriusza Balzaka składający się z ponad 130 utworów, pokazujący życie społeczne, polityczne i obyczajowe we Francji od czasów rewolucji francuskiej do rządów Ludwika Filipa, pisany w latach 1829–1848. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*Biblia ludzkości* — fr. *La Bible de l'humanité* (1864), szkic poświęcony historii porównawczej religii, autorstwa Julesa Micheleta (1798–1874), francuskiego historyka cenionego przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*Rafaël Santi* (1483–1520) — włoski malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu. [przypis edytorski]

Dalej grałem *Tristana*. Oddzielony dźwięczną ścianką od Wagnera, słyszałem, jak się raduje, jak mnie zaprasza, abym dzielił jego radość, słyszałem, jak się powtarza nieśmiertelnie młody śmiech i ciosy Zygrydowego<sup>144</sup> młota, w których zresztą, im cudowniej wykute były te frazy, techniczna zręczność służyła już tylko po to, aby im pozwolić swobodnie opuścić ziemię, niby ptakom podobnym nie do Lohengrinowego<sup>145</sup> łabędzia, ale do owego samolotu, który w moich oczach w Balbec zmieniał swoją energię we wzlot, szybował ponad fale i gubił się w niebie. Może jak ptaki latające najwyżej i najszybciej mają potężniejsze skrzydła, tak trzeba by owych naprawdę materialnych aparatów, aby zgłębić nieskończoność: owych studwudziestokonnnych maszyn marki „Tajemnica”, w których jednak, choćby się najwyżej szybowało, w kosztowaniu ciszy bezkresów przeskadza nam potężne warczenie motoru!

Nie wiem, czemu bieg moich rojeń, dotąd idący za wspomnieniem muzyki, odwrócił się ku jej najlepszym współczesnym wykonawcom, między którymi, przeceniając go nieco, mieściłem Morela. Myśl moja skręciła nagle; zacząłem myśleć o charakterze Morela, o pewnych właściwościach tego charakteru. Zresztą — mogło się to łączyć (ale nie mieszać) z neurastenią, która go toczyła — Morel miał zwyczaj mówić o swoim życiu, ale tak mgliście, że trudno było coś rozpoznać. Oddawał się na przykład całkowicie do rozporządzenia panu de Charlus, zastrzegając sobie wolne wieczory, bo chciał po obiedzie uczęszczać na kurs algebry. Pan de Charlus zgadzał się, ale chciał widywać Morela potem.

— Niemożliwe, to stary obraz włoski — powtórzony w ten sposób, żarcik ten nie ma żadnego sensu; ale ponieważ pan de Charlus dał Morelowi do czytania *L'Éducation sentimentale* Flauberta<sup>146</sup>, gdzie w przedostatnim rozdziale Fryderyk Moreau mówi te słowa, przez żart Morel nigdy nie użył słowa „niemożliwe”, aby nie dodać: „to stary obraz włoski”. — Kurs trwa do późna, i to już jest wielki kłopot dla profesora, który byłby oczywiście bardzo dotknięty.

— Ależ nie ma potrzeby przechodzić kursu; algebra to nie jest pływanie ani nawet angielszczyzna, tego się można nauczyć równie dobrze z książki — odpowiadał pan de Charlus, w kursie algebry odgadując natychmiast jeden z owych obrazów, w których nie można było zgoła nic rozpoznać. Może były to noce z kobietą, albo — w razie jeżeli Morel starał się zdobywać pieniądze mętnymi środkami i przystał do tajnej policji — wyprawa z tajnymi agentami, lub kto wie, gorzej jeszcze, schadzka z żigolakiem<sup>147</sup>, którego udział może był potrzebny w domu schadzek.

— Nawet o wiele łatwiej z książki — odpowiadał Morel — z kursu algebry nic się nie rozumie.

— Zatem czemu nie studiujesz jej raczej u mnie, gdzie by ci było o tyle wygodniej — mógłby odrzec pan de Charlus, ale nie uczynił tego, wiedząc, że natychmiast, zachowując jedynie tę samą despotyczną nieodzowność, urojona algebra zmieniałaby się w lekcję tańca lub rysunku. W czym pan de Charlus mógł się przekonać, że się myli bodaj o tyle, że Morel nieraz bawił się u barona rozwiązywaniem równań. Pan de Charlus bąknął co prawda, że algebra nie na wiele zda się skrzypkowi. Morel odpowiedział, że to jest dobra rozrywka i lekarstwo na neurastenię. Bez wątplenia pan de Charlus mógłby się postarać o informację, dowiedzieć się, co to były w istocie te tajemnicze i nieuchronne kursy algebry udzielane tylko w nocy. Ale na to, aby odcyfrowywać zajęcia Morela, pana de Charlus nazbyt pochłaniały obowiązki światowe. Składanie i przyjmowanie wizyt, klub, obiady, teatr przeskadzały mu myśleć o tym, zarówno jak o tej gwałtownej i podstępnej złości, którą Morel (jak opowiadano) objawiał i skrywał zarazem w różnych środowiskach,

<sup>144</sup>Zygryd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Lohengrin — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, działającymi tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>Flaubert, Gustave (1821–1880) — pisarz francuski, twórca prozy z nurtu realizmu, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu; autor m.in. powieści: *Pani Bovary* (1857), *Salambo* (1862), *Szkoła uczuć* (*L'Éducation sentimentale*, 1869), *Kuszenie św. Antoniego* (1874). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>żigolak — młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymania towarzystwa lub ze stosunków ze starszą, zamożną osobą. [przypis edytorski]

w miastach, gdzie gościł kolejno i gdzie mówiono o nim ze drżeniem, z cicha, nie śmiejąc nic opowiedzieć.

Właśnie, niestety, jeden z owych wybuchów neurastenicznej furii dane mi było słyszeć tego dnia, kiedy wstawszy od fortepianu, zeszedłem na dziedziniec, wybierając się naprzeciw Albertyny. Mijając sklep Jupiena, gdzie Morel i ta, która, jak sądziłem, miała zostać niedługo jego żoną, byli sami, usłyszałem Moreła, który krzyczał na cały głos, z akcentem, którego u niego nie znałem. Ten chłopski, zazwyczaj powściągnięty akcent był bardzo dziwny. Słowa były nie mniej dziwne, błędne z punktu widzenia francuszczyzny, ale Morel wszystko znał niedokładnie. „Wyjdiesz ty stąd, ździro zatracena, ździro zatracena, ździro zatracena” — powtarzał biednej dziewczynie, która z pewnością z początku nie rozumiała, co on mówi, a potem, drżąca i dumna, stała przed nim bez ruchu. — „Mówiłem ci, żebyś szła stąd, ździro zatracena, ździro zatracena! Sprowadź tu wuja, żeby mu powiedział, kto ty jesteś, k...o jedna”. Właśnie w tej chwili rozległ się w dziedzińcu głos Jupiena, który wracał, rozmawiając z jednym z przyjaciół; że zaś wiedziałem, iż Morel jest wielki tchórz, uważałem za zbyteczne łączyć swoje siły z siłami Jupiena i jego przyjaciela, którzy za chwilę mieli się znaleźć w sklepie. Wróciłem, aby uniknąć spotkania się z Morelem, który mimo iż rzekomo tak pragnął, aby sprowadzono Jupiena (prawdopodobnie chcąc nastraszyć i opanować młodą dziewczynę szantażem, nieopartym może na niczym), czym prędzej wyszedł, skoro go usłyszał w dziedzińcu. Takie powtórzone słowa nie oddają niczego, nie wytłumaczyłyby bicia serca, z jakim wracałem. Owe sceny, których jesteśmy świadkami w życiu, znajdują nieobliczalny element siły w tym, co wojskowi nazywają w ofensywie „korzyściami zaskoczenia”. Mimo iż odczuwałem taki spokój na myśl, że Albertyna zamiast zostać w Trocadéro znajdzie się za chwilę przy mnie, brzmiał mi w uszach akcent tych słów, powtarzających dziesięć razy: „Ździro zatracena, ździro zatracena” — słów, które mną wstrząsnęły.

Stopniowo wzburzenie moje uspokoiło się. Albertyna miała wrócić. Za chwilę usłyszę jej dzwonek. Uczulem, że moje życie nie jest już takie, jakim mogłoby być. Takie posiadanie kobiety, z którą całkiem naturalnie, skoro powróci, miałem wyjść; na której upiększenie miały się coraz bardziej obracać moje siły i moja energia, czyniło ze mnie niby łodygę rozrosłą, ale obciążoną bujnym owocem wysysającym wszystkie jej soki. Tworzyło to kontrast z niepokojem odczuwanym jeszcze przed godziną: spokój przyniesiony powrotem Albertyny rozleglejszy był od tego, który czulem rano przed jej wyjściem. Wypredzający przyszłość, której uległość mojej przyjaciółki czyniła mnie niemal panem, odporniejszy, wypełniony niejako i ustabilizowany zbliżającą się, niewczesną, nieuniknioną i słodką obecnością, spokój ten (zwalniający nas od szukania szczęścia w sobie samym) był spokojem rodzącym się z uczuć rodzinnych i ze szczęścia domowego. Rodzinne i domowe: oto było uczucie, które dawało mi tyle spokoju, podczas gdym oczekiwał Albertyny; i takiego też uczucia doznawałem później, jadąc z nią na spacer.

Zdjęła na chwilę rękawiczkę, czy aby dotknąć mojej ręki, czy aby mnie olśnić, ukazując na małym palcu, obok pierścionka danego jej przez panią Bontemps, pierścionek, na którym rozpościerała się szeroka i płynna powierzchnia jasnego liścia rubinu.

— Jeszcze nowy pierścionek, Albertyno. Doprawdy, hojność twojej ciotki jest niewyczerpana!

— Nie, to nie od ciotki — rzekła, śmiejąc się. — To ja sama kupiłam; dzięki tobie mogę robić grube oszczędności. Nie wiem nawet, do kogo należał. Podróżny, któremu zabrakło pieniędzy, zostawił go właścicielowi hotelu, gdzie stanęłam w Le Mans. Nie wiedział, co z nim robić, i byłby go sprzedał o wiele poniżej wartości. Ale był jeszcze i tak za drogi dla mnie. Teraz, kiedy dzięki tobie robię się elegantką, kazałam spytać hotelarza, czy ma jeszcze pierścionek. I oto jest.

— Dużo masz tych pierścionków, Albertyno. Na jaki palec włożysz ten, który dostaniesz ode mnie? W każdym razie ten jest bardzo ładny; nie mogę dobrze dojrzeć cyzelowań dokoła rubinu; rzekłby ktoś, wykrzywiona twarz ludzka. Ale to nie na mój wzrok.

— Choćbyś miał i najlepszy, niewiele by ci pomogło. Ja także nie mogę poznać.

Niegdyś, kiedy czytałem jakieś pamiętniki, powieść, gdzie mężczyzna towarzyszy wszędzie kobiecie, chodzi z nią na podwieczorki, często pragnąłem móc robić to samo. Zdawało mi się niekiedy, że to osiągam; kiedy na przykład towarzyszył kochance Roberta,

kiedym z nią chodził na obiad. Ale daremnie wzywałem na pomoc myśl, że gram w tej chwili rolę, której zazdrościłem w powieści; ta myśl przekonywała mnie, że powinien czuć przyjemność w towarzystwie Racheli, ale nie dawała mi jej. Bo za każdym razem kiedy chcemy naśladować coś, co było naprawdę rzeczywiste, zapominamy, że owo coś zrodziło się nie z chęci naśladowania, ale z nieświadomej i również realnej siły. Otóż tego specjalnego wrażenia, którego nie mogła mi dać cała moja chęć odczuwania subtelnej rozkoszy w spacerze z Rachelą, doznawałem teraz, nie szukając go zgoła, ale z przyczyn zupełnie odmiennych, szczyrych, głębokich; na przykład z tego powodu, że zazdrość moja nie pozwalała mi być daleko od Albertyny i o ile mogłem wychodzić, puścić jej na spacer beze mnie. Odczuwałem to dopiero teraz, dlatego że świadomość tworzy się nie z obserwowanych przez nas rysów zewnętrznych, ale z bezwiednych wrażeń; dlatego że niegdyś kobieta, nawet siedząc obok mnie w powozie, nie była w „rzeczywistości” obok mnie, o ile nie odtwarzała jej tam w każdej chwili moja potrzeba — taka, jaką odczuwałem w stosunku do Albertyny; o ile nieustanna pieśczość mego spojrzenia nie przywracała jej wciąż barw wymagających ustawicznej odnowy, o ile zmysły, nawet ukojone, ale pamiętające, nie dawały tym kolorom soczystości i konsystencji; o ile zazdrość — zespolona ze zmysłami i z podniecającą je wyobraźnią — nie utrzymywała tej kobiety przy mnie w równowadze siłą przyciągania równie potężnego jak prawo ciężenia.

Powóz jechał szybko przez bulwary, aleje, w których ciągnące się domy, różowy skrzep światła i zimna, przypominały mi wizyty u pani Swann, łagodnie oświetlonej przez złoćnienie w oczekiwaniu pory zapalania lamp.

Ledwie miałem czas spostrzec — oddzielony od nich szybą auta niby oknem w swoim pokoju — młodą owocarkę, mleczarkę stojącą przed drzwiami, lśniąca w tym pogodnym dniu niby heroina, którą pragnienie moje zdolne było wciągnąć w rozkoszne perypetie u progu romansu. Tego romansu nie miałem poznać. Bo nie mogłem poprosić Albertyny, abyśmy się zatrzymali; i już znikły młode kobiety. Oczy moje ledwie rozróżniły ich rysy i ledwie upieściły ich świeżość w złotawej mgle, w której były skąpane. Wzruszenie, jakie mnie ogarniało na widok córki winiarza przy kasie lub młodej praczki gwarzącej na ulicy, było wzruszeniem, jakie człowiek odczuwa poznając Boginię. Od czasu jak Olimp nie istnieje, mieszkańcy jego żyją na ziemi. Tworząc mitologiczne obrazy, malarze brali za modele do Wenus<sup>148</sup> lub do Cerery<sup>149</sup> dziewczęta z ludu uprawiające najpospolitsze rzemiosła; i wówczas, dalecy od popełnienia świętokradztwa, przydali im jedynie — lub przywrócili — ich właściwości i poszczególne atrybuty, z których je wyzuto.

— Jak ci się podobało Trocadéro, ty mała wariatko?

— Wściekle jestem kontenta, że je puściła kantem, aby być z tobą. Jako budynek to dosyć plugawe, prawda? To Davioud<sup>150</sup>, zdaje się?

— Ależ moja Albertynka się kształci! W istocie, to Davioud, ale zapomniałem o tym.

— Kiedy ty śpisz, ja czytam twoje książki, leniuchu.

— Słuchaj, mała, doprawdy, ty się zmieniasz tak prędko i stajesz się taka inteligentna — to była prawda, ale poza tym chciałem, aby w braku innych satysfakcji Albertyna mogła sobie powiedzieć, iż czas spędzony u mnie nie jest dla niej tak całkiem stracony — że zwierzyłbym ci w potrzebie rzeczy, powszechnie uznane za fałsz, a odpowiadające prawdzie, której szukam. Czy wiesz, co to jest impresjonizm?

— Doskonale.

— A więc oto co chcę powiedzieć. Przypominasz sobie kościół w Marcouville l'Orgueilleuse, którego Elstir nie lubił, bo był nowy. Czy Elstir nie sprzeniewierza się własnemu impresjonizmowi, wyjmując te budowle z ogólnego wrażenia, w którym są zawarte, aby je wydobyć poza światło, w którym są roztopione i badać na kształt archeologa ich swoistą wartość? Kiedy maluje, czyż szpital, szkoła, afisz na murze nie mają w całości obrazu tej samej wartości co beczenna katedra obok? Przypominasz sobie, jak fasada była wypalona słońcem, jak płaskorzeźba ze świętymi w Marcouville pływała w świetle? Cóż szkodzi, że budowla jest nowa, jeżeli się wydaje stara, a nawet jeśli się nie wydaje? Wyciśnięto do

<sup>148</sup>Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>Ceres a. Cerera (mit. rzym.) — bogini wegetacji i urodzaju, matka Prozerpiny; utożsamiana z grecką Demeter. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>Davioud, Gabriel (1823–1881) — francuski architekt, projektant wielu paryskich budynków użyteczności publicznej. [przypis edytorski]

ostatniej kropli zawartość poezji ukrytą w starych dzielnicach, ale pewne domy, świeżo wzniesione dla bogatych mieszczuchów, w nowych dzielnicach, z nazbyt białego i świeżo obrobionego kamienia, czyż nie rozdzierają skwarne lipcowego południa, w porze gdy ludek wraca na śniadanie, krzykiem równie ostrym jak zapach wiśni, zanim podadzą śniadanie w jakiejś mrocznej jadalni, gdzie szklane pryzmaty służące za podstawkę na noże rzucają różnokolorowe ognie równie piękne jak witraże w Chartres<sup>151</sup>?

— Jakiś ty kochany! Jeżeli się zrobię inteligentna, to dzięki tobie.

— Czemu w piękny dzień odwracać oczy od Trocadéro, którego wieże w kształcie szyi żyrafy przywodzą na myśl pustelnię w Pawii?

— To Trocadéro sterczące na wzgórzu przypomniało mi także reprodukcję Mantegny<sup>152</sup>, która jest u ciebie; zdaje się, że to święty Sebastian, gdzie w głębi jest amfiteatralnie wnoszące się miasto i gdzie można by przysiąc, że znajduje się Trocadéro.

— Widzisz! Ale jakim cudem ty znalazłaś reprodukcję Mantegny? Jesteś niesłyszana!

Przybyliśmy w dzielnicę bardziej ludowe, gdzie obecność Wenus służebnej za każdą ladą czyniło z lady niby podmiejski ołtarz, u którego stóp rad byłbym spędzić życie.

Tak jak się czyni w wilię przedwczesnej śmierci, sporządzałem bilans przyjemności, których mnie pozbawia granica, jaką Albertyna kładzie mojej wolności. W Passy młode dziewczęta, obejmujące się wpół na środku ulicy zapchanej ludźmi, oczarowały mnie swoim uśmiechem. Nie zdążyłem dokładnie rozróżnić tego uśmiechu, ale mało prawdopodobne było, abym go podchwycił, w każdym bowiem tłumie, w każdym młodym tłumie nierzadko spotka się medalion o szlachetnym profilu. Tak iż te tłumy ludu w święto są dla amatora rozkoszy równie cenne jak dla archeologa rozkopana ziemia, z której motyka dobywa starożytny medale.

Wjechaliśmy do Lasku. Myślałem, że gdyby Albertyna nie wybrała się ze mną, mógłbym w tej chwili w Cirque des Champs-Élysées<sup>153</sup> posłyszeć wagnerowską burzę jęczącą wszystkimi linami orkiestry, gdy przyciąga do siebie, niby lekką pianę, melodię pastuszą, którą przegrywałem sobie świeżo, gdy ją wzbija w powietrze, ugniata, zniekształca, dzieli, porywa w rosnącym wirze. W każdym razie pragnąłem skrócić naszą przejażdżkę i wrócić wcześniej, bo nie wspominając o tym Albertynie, postanowiłem iść wieczorem do Verdurinów. Przesłali mi zaproszenie, które wraz z innymi rzuciłem do kosza. Ale zmieniłem zamiar na ten wieczór, bo chciałem sprawdzić, kogo Albertyna spodziewała się spotkać u nich po południu. Prawdę mówiąc, doszedłem z Albertyną do tego punktu, kiedy o ile wszystko idzie prawidłowo, w normalnym trybie, kobieta służy nam już tylko za przejście do innej kobiety. Trzyma nas jeszcze za serce, ale mało; pilno nam spieszyć co wieczora, aby spotkać nieznaną, a zwłaszcza nieznaną, którą ona zna, zdolne opowiedzieć nam jej życie. Co do niej samej, posiedliśmy ją już, wyczerpaliśmy wszystko, co zechciała nam oddać z siebie. Jej życie to jeszcze ona sama, ale właśnie ta część, której nie znamy, rzeczy, o które próżnośmy ją pytali i które zdołamy zebrać na nowych ustach.

Jeżeli moje życie z Albertyną miało mnie pozbawić Wenecji, podróży, mógłbym choć teraz, gdybym był sam, poznać młode midinetki rozsypane w blasku słonecznym tej pięknej niedzieli, istoty, których piękność tkwiła dla mnie w znacznej mierze w ożywiający je nieznanym życiu. Czyż oczy, które widzimy, nie są przeniknione spojrzeniem, którego obrazów, wspomnień, nadziei, wzgard, zawartych w tym spojrzeniu i od niego nieodłącznych — nie znamy? Owa egzystencja, będąca życiem przechodzącej istoty, czyż nie zmienia — zależnie od tego, czym jest — wartości zmarszczenia tych brwi, rozdęcia nozdrzy? Obecność Albertyny pozbawiała mnie możliwości podejścia do nich i może uwolnienia się w ten sposób od pokusy. Ten, kto chce podtrzymać w sobie żądzę życia oraz wiarę w coś rozkoszniejszego niż rzeczy zwyczajne, powinien chodzić na spacer; ulice bowiem, aleje pełne są Bogiń. Ale Boginie nie pozwalają zbliżyć się do siebie. Tu i ówdzie, wśród drzew, u wejścia do kawiarni, służąca czuwała jak nimfa u wstępu do

<sup>151</sup>Chartres — miejscowość we Francji, słynna ze średniowiecznej gotyckiej katedry z XII–XIII w., w której znajduje się ponad 160 kolorowych witraży o łącznej powierzchni 2600 m<sup>2</sup>. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Mantegna, Andrea (ok. 1431–1506) — włoski malarz i rytownik; autor m.in. trzech obrazów ukazujących męczeństwo św. Sebastiana, przywiązane do kolumny i przeszytego strzałami: na dwóch z nich, znajdujących się w muzeach w Wiedniu i w Luwrze, na dalekim planie artysta umieścił położone na wzgórzu miasto. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>Cirque des Champs-Élysées — teatr na Polach Elizejskich w Paryżu, cieszący się powodzeniem do lat 80. XIX w., zburzony ok. roku 1900. [przypis edytorski]



świętego gaju, podczas gdy w głębi trzy młode dziewczyny siedziały obok olbrzymiego łuku swoich bicyklów<sup>154</sup> stojących koło nich, niby trzy Nieśmiertelne wsparte łokciem o chmurę lub o bajecznego bieguna<sup>155</sup>, na których spełniają swoje mitologiczne podróże. Zauważyłem, że za każdym razem kiedy Albertyna przez chwilę popatrzyła na te dziewczęta, oczy ich z głęboką uwagą natychmiast zwracały się ku mnie. Ale ani nasilenie tej kontemplacji, ani jej krótkość wyrównana nasileniem nie dręczyły mnie zbyt; w istocie, zdarzało się często, że Albertyna, czy pod wpływem zmęczenia, czy że ten sposób patrzenia właściwy jest istocie z natury uważnej, przyglądała się tak jakby w zadumie, bądź mojemu ojcu, bądź Franciszce; co zaś do szybkości, z jaką zwracała się ku mnie, mogła wynikać z faktu, że Albertyna, znając moje podejrzenia, chciała (nawet gdyby nie były uzasadnione) uniknąć dania im pozorów. Z tą samą zresztą uwagą, która wydałaby mi się występna u Albertyny (również gdyby jej przedmiotem byli młodzi ludzie), ja sam spoglądałem na wszystkie midinetki, nie czując się ani przez chwilę winny, niemal mając pretensję do Albertyny, że swoją obecnością przeszkadza mi zatrzymać się i podejść do nich. Uważamy za niewinne to, że my pożądamy, a za okrutne, że ktoś inny pożąda. I ten kontrast między tym, co się tyczy nas, a tym, co się tyczy ukochanej istoty, odnosi się nie tylko do pożądania, ale i do kłamstwa. Cóż zwykleszego niż kłamstwo, czy chodzi na przykład o zamaskowanie codziennych niedomagań gdy chcielibyśmy uchodzić za zdrowych, o ukrycie jakiejś przywary lub o pójsie za swoją ochotę bez urażenia drugiej osoby? Kłamstwo jest najpotrzebniejszym i najpowszechniejszym narzędziem instynktu samozachowawczego. I oto właśnie kłamstwo chcielibyśmy wygnać z życia istoty, którą kochamy, to kłamstwo szpiegujemy, węszymy, tępimy wszędzie! Oburza nas ono, wystarczy, aby spowodować zerwanie, zdaje się nam kryć największe winy, o ile ich nie kryje tak dobrze, że ich nie podejrzewamy. Szczególny to stan, ta nasza przesadna wrażliwość na czynniki chorobowe, dzięki swojej wszechobecności nieszkodliwy dla drugich, a tak groźny dla nieszczęśnika pozbawionego odporności przeciw niemu.

Życie tych ładnych dziewcząt (wskutek mego długiego zamknięcia spotykanych tak rzadko) wydawało się — zarówno jak wszystkim tym, w których łatwość realizacji nie stępiła wyobraźni — czymś równie odmiennym od tego, co znałem, równie upragnionym co najcudowniejsze miasta marzonej podróży.

Zawód doznany przy kobietach, które poznałem, w miastach, które zwiedziłem, nie przeszkadzał mi brać się na urok nowych kobiet i wierzyć w ich realność; toteż tak samo jak ujrzeć Wenecję — Wenecję, której nostalgii budziła we mnie wiosna, a której nie pozwoliliby mi poznać małżeństwo z Albertyną — ujrzeć Wenecję w panoramie, którą Ski uznałby może za piękniejszą w tonie od prawdziwej, nie zastąpiłoby mi w niczym podróży, której czas, określony bez mojego udziału, zdawał mi się nieodzowny do przebycia, tak samo midinetka, bodaj najpiękniejsza, ale sztucznie dostarczona przez stręczycielkę, nie mogłaby się wcielić dla mnie w tę, która kołysząc się niedbale, przechodziła w tej chwili pod drzewami, śmiejąc się z przyjaciółką. Choćby inna, spotkana w domu schadzek, była ładniejsza, to by nie było to samo, bo na oczy nieznanemu dziewczyny nie patrzymy tak, jakbyśmy patrzyli na opalową lub agatową płytkę. Wiemy, że promyk, który ją iryzuje<sup>156</sup>, lub błyszczące ziarenka, które w nich migocą, są wszystkim, co możemy ujrzeć z myśli, z woli, z pamięci przechowującej dom rodzinny, którego nie znamy, przyjaciół, którym zazdrościmy. Chęć owdarcia tym wszystkim, tak trudnym, tak opornym — oto co daje wartość spojrzeniu o wiele bardziej niż sama jego materialna piękność (czym by się może tłumaczyło, że jakiś młody człowiek rozpali wyobraźnię kobiety, która usłyszała, że to jest księżę Walii, a ta sama kobieta nie zwróci już nań uwagi, dowiedziawszy się, że się pomyliła). Spotkać midinetkę w domu schadzek znaczy znaleźć ją wyzutą z owego nieznanego życia, które ją przenika i które pragniemy przez nią osiąść; znaczy zbliżyć się do oczu zmienionych w istocie w zwykłe drogie kamienie; do nosa, którego fałdka jest równie bez znaczenia jak fałdka kwiatu. Nie, o ile bym chciał nadal wierzyć w realność tej nieznannej i przechodzącej opodal midinetki, uważałem za nieodzowne wypróbować jej opór, mierząc z nim moje intencje, narażając się na afronty, wracając do ataku, uzyskując schadzki, wyczekując pod magazynem, poznając szczegół po szczególe to, co składało ży-

<sup>154</sup>bicykl — nazwa pierwszych rowerów. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>biegun — tu: koń, wierzchowiec. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>iryzować (z gr. *iris*: tęcza) — mienić się barwami tęczy; powodować tęczową grę barw. [przypis edytorski]

cie tej dziewczyny, przenikając to, w co spowija się dla niej przyjemność, której szukam, i dystans, jaki jej rozmaite nawyki i jej swoiste życie pomieściłyby między mną a przywilejem, który chciałbym uchwycić i zdobyć; to było równie nieodzowne co odbyć długą podróż koleją, o ile chciałem wierzyć w realność Wenecji, ujranej naprawdę i nie będącej jedynie panoramą z Wystawy.

Ale właśnie te podobieństwa między pożądanym a podróżą sprawiły, że sobie przyrzekłem zgłębić kiedyś naturę tej siły niewidzialnej, ale równie potężnej jak wiara lub, jak w świecie fizycznym, ciśnienie atmosferyczne; siły, która wznosiła tak wysoko miasta, kobiety, dopóki ich nie znałem, a ulatniała się, skoro tylko zbliżyłem się do nich, dając im natychmiast opaść w płaską i pospolitą rzeczywistość.

Nieco dalej inna dziewczyna, klęcząc, poprawiała coś koło bicyklu. Dokończywszy reparacji, młoda cyklistka siadała na rower, ale nie okraczając go po męsku. Przez chwilę rower kołysał się, a młode ciało zdawało się poszerzone o żagiel, o olbrzymie skrzydło; niebawem ujrzelśmy oddalającą się pędem młodą istotę półludzką, półskrzydlatą, aniola czy wróżkę *peri*<sup>157</sup> biegnącą w dal.

Oto czego mnie pozbawiało życie z Albertyną. Czego mnie pozbawiało? Czyż nie należało mi myśleć: czym właśnie mnie darzyło? Gdyby Albertyna nie żyła ze mną, gdyby była wolna, wyobrażałbym sobie — i słusznie — wszystkie te kobiety jako możliwe i prawdopodobne przedmioty jej pożądania, jej rozkoszy. Jawiłyby mi się niby tancerki, które w diabolicznym balecie, wyobrażając dla jednej istoty Pokusę, przeszywają strzałami serce innej istoty. Midinetki, młode dziewczyny, aktorki — jakże bym ich nienawidził! Stając mi się przedmiotem wstępu, byłyby dla mnie wyłączone z powszechnej piękności. Niewola Albertyny, pozwalając mi nie cierpieć przez nie, zwracała je piękności świata. Nieszkodliwe, straciwszy żądło zatruwające serce zazdrością, istoty te pozwalały mi się podziwiać, pieścić się spojrzeniem — kiedyś może bardziej z bliska. Wiążąc Albertynę, przywróciłem wszechświatu wszystkie owe mieniające się skrzydła szeleszczące na promenadach, balach, w teatrach; znów stawały się dla mnie kuszące, bo nie mogły ulec swojej pokusie. Tworzyły piękność świata. Stworzyły niegdyś piękność Albertyny. Wydawała mi się cudowna, dlatego że ją ujrzałem jako tajemniczego ptaka, potem jako wielką aktorkę plaży, upragnioną, posiadaną może. Uwieczony u mnie, ten ptak, któremu ujrzałem pewnego wieczora przechadzającego się miarowym krokiem po promenadzie, w gromadce dziewcząt podobnych mewom przybyłym nie wiadomo skąd, ta Albertyna straciła wszystkie kolory wraz z wszystkimi widokami innych na jej posiadanie. Straciła stopniowo swoją piękność. Trzeba było spacerów takich jak ten, kiedy ją sobie wyobrażałem bez mnie, nagabywaną przez jakąś kobietę lub przez młodego człowieka, abym ją znów ujrzałem w blasku plaży, mimo iż zazdrość moja znajdowała się na innej płaszczyźnie niż schyłek rozkoszy mojej wyobraźni. Ale mimo tych nagłych zrywów, kiedy pożądana przez innych Albertyna znów stawała mi się piękna, mogłem wyraźnie podzielić jej pobyt u mnie na dwa okresy: pierwszy, w którym była jeszcze (mimo iż z każdym dniem coraz mniej) olśniewającą aktorką plaży; drugi, kiedy stawszy się szarym więźniem, sprowadzona do bezbarwnej siebie samej, aby odzyskać swoje barwy, potrzebowała owych błyskawic, w których przypominałem sobie przeszłość.

Czasem, w godzinach gdy mi była najobojętniejsza, nawiedzało mnie wspomnienie odległej chwili, kiedy na plaży — wówczas gdy jej nie znałem jeszcze — niedaleko jakiejś damy, z którą byłem bardzo źle, a z którą (byłem tego prawie pewny teraz) ona utrzymywała stosunki, Albertyna wybuchła śmiechem, patrząc na mnie wyzywająco. Gładkie i błękitne morze szumiało dokoła. Na słonecznej plaży Albertyna w gronie przyjaciółek była najpiękniejsza. I ta wspaniała dziewczyna, w codziennej ramie olbrzymich wód, wyrażała mi ten ostateczny afront, tak miły damie, która ją podziwiała. Był ostateczny, bo kiedy dama wróciła do Balbec, stwierdzała może na promiennej i zgiekliwej plaży nieobecność Albertyny. Ale nie wiedziała, że Albertyna mieszka u mnie, że jest tylko moja. Olbrzymie i modre wody, niepamięć pociągu jej do tej dziewczyny, biegnącego ku innym, skryły zniewagę, jaką mi uczyniła Albertyna, zamykając ją w olśniewającym i nieskruszonym pudrze. Wówczas nienawiść do tej kobiety kąsała moje serce; do Albertyny

<sup>157</sup>*Peri* (mit. perska) — piękne, wzniosłe skrzydlate duchy; psotne istoty, którym odmówiony został dostęp do rajów, póki nie dopełnią pokuty; w kulturze islamskiej *Peri* przekształciły się w duchy dobroczynne, w przeciwstawieniu do złośliwych *dżinów*. [przypis edytorski]

także; ale nienawiść zmieszana z podziwem dla pięknej, psutej uwielbieniem, cudnowłosej dziewczyny, której wybuch śmiechu na plaży był afrontem. Wstyd, zazdrość, wspomnienie pierwszych żądź i lśniącej ramy wróciły Albertynie jej dawną piękność, dawną wartość. I w ten sposób ciężka nieco nuda, jaką odczuwałem przy niej, ustępowała chwilami frenetycznemu pragnieniu pełnemu wspaniałych burz i żalów; i zależnie od tego, czy była przy mnie, w moim pokoju, czy też wracałem jej w pamięci swobodę na promenadzie, w wesołych plażowych kostiumach, przy dźwięku muzyki morza, jawiła się Albertyna to wyrwana z tego środowiska, posiadana i mało cenna, to zanurzona w nie z powrotem, wymykająca mi się w nieodgadnioną przeszłość, obrażająca mnie w obecności przyjaciółki, niby bryzg fali lub olśnienie słońca — Albertyna to przeniesiona na plażę, to zamknięta w moim pokoju, przedmiot jakiejś ziemnowodnej miłości.

Gdzie indziej liczna gromadka grała w piłkę. Wszystkie te dziewczęta chciały korzystać ze słońca, bo owe dni letowe, nawet kiedy są tak lśniące, nie trwają długo i blask nie opóźnia ich schyłku. Zanim jeszcze nadszedł, mieliśmy chwilę półmroku, bo dotarliśmy do Sekwany, gdzie Albertyna podziwiała (a przez swoją obecność przeszkodziła mi podziwiać) refleksy czerwonych żagli w zimowej i błękitnej wodzie, dom przycupnięty w dali niby samotny mak na jasnym horyzoncie, którego cząstkowym, kruchym i żyłkowanym skamienieniem zdawało się w oddali Saint-Cloud, wyszliśmy z powozu i chodziliśmy długo; przez chwilę prowadziłem ją nawet pod rękę; miałem uczucie, że pierścień, jakim ramię jej obejmowało moje, łączy nasze dwie osoby w jedną istotę i wiąże nasze losy.

U naszych stóp nasze równoległe cienie, zbliżone i złączone, tworzyły uroczy rysunek. Bez wątpienia już w domu wydawało mi się cudowne, że Albertyna mieszka ze mną, że to ona wyciąga się na moim łóżku. Ale to, że nad owym jeziorem w Lasku, które tak lubilem, u stóp drzew, słońce malowało na piasku obok mojego cienia jej właśnie cień, czysty i uproszczony cień jej nogi, jej kibici, to było jak gdyby jej uzewnętrznieniem w pełnej naturze. I w tym zlanu się naszych cieni znajdowałem czar niewątpliwie mniej materialny, ale nie mniej poufny niż w zbliżeniu się, w zlanu się naszych ciał.

Wróciliśmy do powozu. I w powrotnej drodze powóz zapuścił się w te wąskie kręte aleje, gdzie zimowe drzewa, strojne niby ruiny w bluszcz i ciernie, zdawały się wieść do mieszkania czarnoksiężnika. Ledwie opuściwszy ich mroczny szpaler, na wyjezdnym z Lasku odnaleźliśmy pełny dzień, jeszcze tak jasny, iż sądziłem, że mam czas zrobić wszystko, co chciałem przed obiadem, kiedy parę chwil później, gdy powóz zbliżał się do Łuku Triumfalnego<sup>158</sup>, z nagłym uczuciem niespodzianki i przerażenia ujrzałem nad Paryżem pełny i przedwczesny księżyc niby tarczę zatrzymanego zegara, który każe nam przypuszczać, żeśmy się zapóźnili.

Kazaliśmy woźnicy wracać. Dla Albertyny znaczyło to wracać do mnie. Obecność kobiet, choćby najukochańszych, które muszą się rozstawać z nami, aby wracać do domu, nie daje tego spokoju, jaki ja czerpałem w obecności Albertyny siedzącej przy mnie w powozie, obecności wiodącej nas nie ku próżni rozłąki, ale ku jeszcze trwalszemu i zaciszniejszemu połączeniu się w moim mieszkaniu, które było także jej mieszkaniem — materialnym symbolem mojego posiadania. Zapewne aby posiadać, trzeba wprzód pragnąć. Linie, powierzchnię, bryłę posiadamy jedynie o tyle, o ile miłość nasza je zajmie. Ale Albertyna nie była dla mnie w czasie naszego spaceru, jak była niegdyś Rachela, czczym prochem z ciała i materii. Wyobraźnia moich oczu, warg, rąk tak trwale zbudowała, tak czule wygładziła w Balbec jej ciało, że teraz w tym powozie na to, aby dotknąć tego ciała, aby je w sobie zawrzeć, nie potrzebowałem się przytulić do Albertyny ani nawet jej widzieć; wystarczyło mi słyszeć ją, a jeżeli milczała, wiedzieć, że jest przy mnie; zmysły moje, splecione razem, spowijały ją całą, a kiedy przybywszy przed dom, całkiem naturalnie wysiadła, zatrzymałem się na chwilę, aby polecić szoferowi wrócić po mnie, ale spojrzenia moje spowijały ją jeszcze wówczas, gdy wchodziła przede mną w bramę. I wciąż odczuwałem ten sam leniwy i domowy spokój, widząc ją ciężką, purpurową, pulchną i niewolną, wracającą całkiem naturalnie ze mną, jak kobieta będąca moją własnością, i znikającą wraz ze mną w fortecy naszego domu.

<sup>158</sup>Łuk Triumfalny w Paryżu — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

Na nieszczęście Albertyna robiła wrażenie, że się w nim czuje jak w więzieniu, dzieląc widocznie pogląd owej pani de La Rochefoucauld<sup>159</sup>, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt, odpowiedziała, iż „nie ma pięknego więzienia”. Tak mogłem przynajmniej sądzić ze smutnej i zmęczonej miny, jaką Albertyna miała tego wieczora podczas naszego obiadu sam na sam w jej pokoju. Nie zauważyłem tego zrazu; przeciwnie, trapiłem się myślą, że gdyby nie Albertyna (bo z nią za wiele bym cierpiał mąk zazdrości w hotelu, gdzie przez cały dzień byłaby narażona na styczność z tyloma osobami), mógłbym w tej chwili jeść obiad w Wenecji w jakiejś małej jadalni, niskiej niby spód okrętu, skąd widzi się Wielki Kanał<sup>160</sup> przez sklepienie okienka okolone mauretańskimi odlewami.

Muszę dodać, że Albertyna podziwiała u mnie wielki brząz Barbedienne’a<sup>161</sup>, który nader słusznie Bloch uważał za bardzo brzydki. Mniej słusznie może dziwił się, że ja zachowałem ten brząz. Nigdy nie starałem się, jak Bloch, o wnętrza artystyczne, o komponowanie pokojów, byłem za leniwy, zbyt obojętny na to, na co patrzyłem co dzień. Skoro mój smak był na to obojętny, miałem prawo nie dbać o szczegóły mieszkania. Mógłbym zapewne usunąć ten brząz. Ale rzeczy brzydkie i bogate są bardzo użyteczne, bo wywierają na osoby nierozumiejące nas, niepodzielające naszego gustu, a w których możemy być zakochani, urok, którego by nie miał jakiś dumny przedmiot, niezdradzający swojej piękności. Otóż jedynie właśnie wobec istot nierozumiejących nas możemy potrzebować przewagę, które inteligencja nasza zapewniłaby nam w oczach istot mniej pospolitych. Mimo iż gust Albertyny zaczynał się wyrabiać, miała ona jeszcze pewien kult dla brązów, a kult ten opromieniał mnie szacunkiem, który — skoro kochałem Albertynę — był dla mnie znacznie ważniejszy niż fakt trzymania w pokoju brązu nieco kompromitującego.

Ale myśl o mojej niewoli przestała mi nagle ciążyć, przeciwnie, pragnąłem przedłużyć ją jeszcze, ponieważ zauważyłem, że Albertyna dotkliwie odczuwa własną niewolę. Zapewne, za każdym razem, kiedy pytałem, czy się jej nie przykrzy u mnie, odpowiadała, że nigdzie nie mogłoby być jej lepiej. Ale często słowom tym przeczył wyraz nostalgii, zdenerwowania.

Z pewnością, jeżeli miała skłonności, o jakie ją posądzałem, niemożność zaspokojenia ich musiała być równie drażniąca dla niej, jak była kojąca dla mnie. Łatwiej mógłbym uwierzyć w niesłuszność moich posądzeń, gdyby nie trudność wytłumaczenia szczególnej baczności, z jaką Albertyna starała się nigdy nie być sama, nigdy nie być wolna, nie zatrzymywać się ani chwili przed bramą, kiedy wracała, kazać sobie, ilekroć miała telefonować, ostentacyjnie towarzyszyć komuś — Franciszce, Annie — kto by mi mógł powtórzyć jej słowa. Kiedy były na spacerze z Anną, zawsze zostawiała mnie z nią samego, niby to przypadkiem, abym mógł się szczegółowo wypytać o to, jak spędziły czas. Z tą cudowną uległością klóciły się przelotne odruchy niecierpliwości, rodzące we mnie pytanie, czy Albertyna nie kryje chęci strząśnięcia swego łańcucha. Przygodne fakty wspierały mój domysł. I tak pewnego dnia, będąc sam, spotkałem w pobliżu Passy Gizelę; rozmawialiśmy chwilę. W trakcie rozmowy, dość rad, że mogę to oznajmić Gizeli, powiedziałem, że stale widuję Albertynę. Spytała, gdzie mogłaby ją znaleźć, bo właśnie ma jej coś do powiedzenia. — „Co takiego?” — „Et, coś, co tyczy jej koleżanek.” — „Co za koleżanek? Mógłbym cię może objaśnić, co oczywiście nie przeszkodzi ci widzieć jej”. — „Och, dawnych koleżanek, nie przypominam już sobie nazwisk” — rzekła Gizela mgliście, wycofując się. Pożegnała mnie, sądząc, że zachowała wszelką ostrożność i że niczym nie zbudziła mojej nieufności. Ale kłamstwo jest niewybredne, tak mało mu trzeba, aby wyszło na jaw! Jeśli chodziło o dawne koleżanki, których nazwisk nawet nie znała, czemu Gizela właśnie potrzebowała mówić z Albertyną? Ten przysłówek, dość spowinowacony z ulubionym wyrażeniem pani Cottard: „to spada jak z nieba”, mógł się odnosić tylko do jakiejś rzeczy specjalnej, aktualnej, może pilnej, dotyczącej określonych osób. Zresztą już

<sup>159</sup> *pani de La Rochefoucauld, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt...* — chodzi raczej o panią de La Rocheguyon (de La Roche-Guyon), uwięzioną w pałacu Liancourt, i jej odpowiedź, przytoczoną w *Historijkach* Tallemanta des Réaux (1619–1692), wydanych pośmiertnie w latach 1834–1835. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *Wielki Kanał* (wł. *Canal Grande*) — jeden z głównych kanałów Wenecji, o dł. ok. 4 km i szer. 30–60 m, przepływając przez środek Wenecji dzieli ją na dwie części; wzdłuż jego brzegów powstały w XIII–XVIII w. liczne, znane budowle. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *Barbedienne, Ferdinand* (1810–1892) — francuski metaloplastyk, wytwórca, brązownik. [przypis edytorski]

sam sposób otwierania ust niby do ziewnięcia, z roztargnieniem, kiedy mówiła (niemal przechylając się wstecz, jak gdyby dawała kontrparę od tej chwili rozmowy): „Och, nie wiem, nie przypominam sobie nazwisk!” — wszystko to dawało twarzy Gizeli i zgodnie z nią głosowi w tym samym stopniu cechę kłamstwa, w jakim wręcz odmienny wyraz — konkretny, ożywiony — owego: „mam właśnie” wyrażał prawdę.

Nie wypytywałem Gizeli. Na co by się to zdało? Z pewnością kłamała w innym sensie niż Albertyna. I z pewnością kłamstwa Albertyny były mi boleśniejsze. Ale po pierwsze istniał między nimi wspólny punkt: sam fakt kłamstwa, które w pewnych wypadkach staje się oczywistością. Nie realność, kryjąca się w tym kłamstwie. Wiadomo, każdy morderca wyobraża sobie, iż skombinował wszystko tak dobrze, że nie da się złapać; pośród kłamców wyobrażają to sobie zwłaszcza kobiety, które kochamy. Nie wiemy, dokąd chodziła, co robiła. Ale skoro się odezwie, kiedy mówi o jakiejś innej rzeczy, pod którą kryje się to, czego nie mówi, kłamstwo przebija natychmiast, a zazdrość nasza wzmagą się, i dlatego że czuje się kłamstwo, i że niepodobna dojść prawdy. U Albertyny wrażenie kłamstwa dawały różne rysy, które już czytelnik zauważył w ciągu tego opowiadania, ale zwłaszcza ten, że kiedy kłamała, opowiadanie jej grzeszyło bądź ogólnikowością, lukami, nieprawdopodobieństwem, bądź przeciwnie, nadmiarem drobnych faktów mających je uprawdopodobnić. Mimo złudzenia kłamcy prawdopodobieństwo nie jest wcale prawdą. Z chwilą kiedy, słuchając czegoś prawdziwego, usłyszymy coś, co jest tylko prawdopodobne — może prawdopodobniejsze od prawdy — może zbyt prawdopodobne — bodaj trochę muzykalne ucho czuje, że to nie to, niby arytmię wiersza lub jakieś słowo przeczytane głośno zamiast innego. Ucho słyszy to, a jeżeli wchodzi w grę miłość, serce odczuwa. I wówczas kiedy zmieniamy całe swoje życie, dlatego że nie wiemy, czy przechodziła ulicą de Berri, czy ulicą Washington, czemuż nie pomyślimy, że tych kilka metrów różnicy i sama kobieta skurczą się do jednej setnomilionowej (to znaczy do zera), o ile tylko zdobędziemy się na ten rozsądek, aby wytrwać kilka lat bez widzenia tej kobiety, i że to, co było olbrzymim Guliwerem, stanie się liliputką, której nie zdoła już dostrzec żaden mikroskop — przynajmniej mikroskop serca, bo mikroskop obojętnej pamięci jest potężniejszy i trwalszy.

Jak bądź się rzeczy miały, jeżeli istniał wspólny punkt — sam fakt kłamstwa — między kłamstwami Albertyny i Gizeli, bądź co bądź Gizela nie kłamała w ten sam sposób co Albertyna ani także nie w ten sam sposób co Anna; ale ich ewentualne kłamstwa (przedstawiając równocześnie wielką różnorodność) zająłoby się idealnie. Gromadka ta posiadała nieprzenikloną solidarność pewnych domów handlowych — księgarni lub prasy na przykład — gdzie mimo różnorodności składających je osób, nieszczęśliwy autor nigdy nie zdoła się dowiedzieć, czy go wykierowano. Redaktor dziennika lub tygodnika kłamie z pozorami szczerości tym uroczyściej, ile że trzeba mu w niejednej okazji pokrywać fakt, że sam robi ściśle to samo i uprawia te same praktyki handlowe, które piętnował u innych redaktorów lub dyrektorów teatru, u innych wydawców, wówczas gdy podniósł przeciw nim sztandar Szczerości. Obwieścić (jako głowa stronnictwa politycznego lub w innym charakterze), że kłamstwo to jest rzecz okropna, zmusza najczęściej do tego, żeby kłamać więcej od innych, nie porzucając mimo to uroczyściej maski, nie zdejmując dostojnej tiary szczerości. Wspólnik „człowieka szczerego” kłamie inaczej, naiwniej. Oszukuje autora, jak oszukuje żonę, za pomocą farsowych sztuczek. Sekretarz redakcji, człowiek uczciwy i pospolity, kłamie po prostu jak architekt przyrzekający, że dom będzie gotowy w terminie, w którym nawet nie będzie zaczęty. Naczelny redaktor, anielska dusza, wołytuje między tamtymi trzema i nie wiedząc, o co chodzi, przez braterski skrupuł i tkliwą solidarność używa im cennej pomocy niepodjętego słowa. Te cztery osobistości żyją w ustawicznej dysharmonii, której kładzie koniec zjawienie się autora. Ponad poszczególne zwady każdy z nich pamięta o świętym żołnierskim obowiązku spieszenia z pomocą zagrożonemu „korpusowi”. Nie zdając sobie z tego sprawy, od dawna odgrywałem wobec gromadki dziewcząt rolę tego autora. Jeżeli Gizela, mówiąc swoje „właśnie”, myślała o jakiejś koleżance Albertyny gotowej jechać z nią w podróż, z chwilą gdy mnie Albertyna pod tym czy innym pozorem opuści, i jeżeli chciała uprzedzić Albertynę, że godzina już nadeszła lub wybije niedługo, ta sama Gizela raczej by się dała porąbać, niżby mi to powiedziała; wszelkie pytania były więc bezcelowe.

Nie tylko takie spotkania jak z Gizelą pogłębiały moje wątpliwości. Podziwiałem na przykład malarstwo Albertyny. Malarstwo Albertyny, wzruszająca rozrywka więźnia, rozczuliło mnie tak, że go jej powinszowałem.

— Nie, to bardzo liche, ale ja nie brałam ani jednej lekcji rysunku.

— Ale któregoś wieczora w Balbec mówiłaś mi, żeś została z powodu lekcji rysunku?

Przypomniałem jej ów dzień, dodając, że od razu zrozumiał, iż o tej godzinie nie bierze się lekcji rysunku. Albertyna zaczerwieniła się.

— Masz słuszość — rzekła. — Nie brałam lekcji rysunku i w ogóle dużo ci kłamałam w początkach, przyznaję. Ale teraz nie kłamię już nigdy.

Tak bym rad był wiedzieć, co to były za liczne kłamstwa w początkach, ale wiedziałem z góry, że wyznania Albertyny byłyby nowym kłamstwem. Toteż po prostu pocałowałem ją. Poprosiłem tylko dla przykładu o któreś z tych kłamstw. Odpowiedziała: „O, na przykład, że mi morskie powietrze szkodzi”. Wobec tak wyraźnej złej woli przestałem nalegać.

Iżby się łańcuch wydał Albertynie lżejszy, najlepiej było zapewne utrzymywać ją w mniemaniu, że go sam skruszę. Bądź co bądź tego kłamliwego zamiaru nie mogłem jej objawić w tej chwili; zbyt poczciwie wróciła dopiero co z Trocadéro; jedyne, co mogłem zrobić zamiast ją martwić groźbą zerwania, było kryć rojenia mego wdzięcznego serca o wiecznym wspólnym życiu. Patrząc na Albertynę, z trudem wstrzymywałem się od zwierzenia tych rojeń, może ona to spostrzegła. Nieszczęściem, wyraz takich uczuć nie jest zaraźliwy. Wypadek pana de Charlus, który, widząc tak długo w swojej wyobraźni wspaniałego młodzieńca, wierzy, że sam stał się wspaniałym młodzieńcem, i to tym bardziej, im bardziej jest zmanierowaną i śmieszną starą damą, ten wypadek jest dość powszechny. Zakochany, na swoje nieszczęście, nie zdaje sobie sprawy, iż podczas gdy on widzi przed sobą piękną twarz, kochanka jego widzi twarz jego, która nie stała się piękniejsza — wręcz przeciwnie! — kiedy ją zniekształca rozkosz zrodzona widokiem piękności. Miłość zresztą nie wyczerpuje wszystkich odmian tego wypadku; nie widzimy naszego ciała, które widzą inni, i „ścigamy” swoją ideę, przedmiot niewidzialny drugim, a obecny dla nas. Czasem artysta ukaże ją w swoim dziele. Stąd pochodzi, że admira-torzy dzieła doznają rozczarowania, poznając autora, w którego twarzy owa wewnętrzna piękność niedoskonale się odbija.

Wszelka istota kochana, a nawet poniekąd wszelka istota, jest dla nas niby Janus<sup>162</sup>, ukazujący nam twarz powabną, gdy nas ta istota opuszcza, a uprzykrzoną, jeśli ją mamy wiecznie do dyspozycji. Co się tyczy Albertyny, ustawiczne pożycie z nią miało coś inaczej uciążliwego, niż to mogę tutaj wyrazić. Okropną rzeczą jest czuć życie innej osoby przywiązane do naszego niby bomba, którą niesiemy, nie mogąc jej porzucić bez zbrodni. Ale proszę wziąć jako porównanie przypyływy i odpływy, niebezpieczeństwa, niepokój, obawę, że ktoś uwierzy później w rzeczy fałszywe i prawdopodobne, a niemożliwe do wytłumaczenia, uczucia, jakich się doznaje, żyjąc w pobliżu wariata. Żałowałem na przykład pana de Charlus, że żyje z Morelem (wspomnienie południowej sceny przyprawiło mnie o nagły skurcz serca); pomijając stosunki istniejące lub nieistniejące między nimi, pan de Charlus z pewnością nie wiedział z początku, że Morel jest wariat. Piękność Morela, jego nikczemność, jego pycha musiały odwrócić barona od takich dociekań, aż do melancholijnych dni, kiedy Morel (nie mogąc tego niczym poprzeć) obwiniał pana de Charlus o swój smutek, kiedy go lżył za jego nieufność przy pomocy fałszywych, lecz nadzwyczaj subtelnych rozumowań, groził mu rozpaczliwymi postanowieniami, wśród których trwała najwyrachowańsza pamięć bezpośredniej korzyści. Wszystko to jest tylko porównanie. Albertyna nie była obłąkana.

\*

Dowiedziałem się, że tego właśnie dnia nastąpiła śmierć, która mnie bardzo zmar-twiła: śmierć Bergotte’a. Czytelnik wie, że choroba jego ciągnęła się od dawna. Nie ta oczywiście, na którą cierpiał zrazu i która była naturalna. Zdaje się, że natura zsyła jedynie

<sup>162</sup>Janus (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzwi, bram i mostów, zwyczajowo przedstawiany z dwiema twarzami. [przypis edytorski]

choroby dość krótkie. Ale medycyna posiadała sztukę przedłużania ich. Lekarstwa, ulga jaką przynoszą, złe samopoczucie spowodowane pauzą w ich używaniu stwarzają imitację choroby, którą przyzwyczajenie pacjenta w końcu utrwała, stylizuje, tak jak u dzieci wyleczonych z koklusu długo trwa napadowy kaszel. Potem lekarstwa działają coraz mniej, zwiększa się dawki, nie przynoszą już żadnej ulgi, ale dzięki tej trwałej niedyspozycji zaczęły szkodzić. Natura nie dałaby im tak długiego trwania. To wielki cud, że medycyna, niemal dorównując naturze, może zmusić do leżenia w łóżku, do zażywania pod grozą śmierci lekarstwa. Odtąd sztucznie zaszczipiona choroba zapuściła korzenie, stała się chorobą wtórną, lecz prawdziwą, z tą jedynie różnicą, że choroby naturalne mijają, ale nigdy te, które stwarza medycyna, bo ona nie zna sekretu uleczenia.

Od wielu lat Bergotte nie wychodził już z domu. Nigdy zresztą nie lubił świata lub też lubił go przez chwilę, aby nim wzgardzić jak wszystkim innym i w ten sam właściwy sobie sposób, polegający na tym, aby gardzić czymś nie dlatego, że się tego nie może uzyskać, ale skoro się to uzyskało. Żył tak skromnie, że nie podejrzewano, jak dalece jest bogaty; gdyby zaś wiedzano o tym, omyłono by się znowuż, mając go za skąpca, gdy w istocie nie było równie hojnego człowieka. Był hojny zwłaszcza z kobietami — ściślej mówiąc z dziewczynkami — które wstydziły się, otrzymując aż tyle za tak mało. Miał dla siebie usprawiedliwienie, bo wiedział, że nigdy nie pisze mu się tak dobrze jak w atmosferze miłości. Miłość — to za wiele powiedziane; rozkosz, lekko wpijająca się w ciało, pomaga do pracy literackiej, bo niweczy inne przyjemności, na przykład przyjemności towarzyskie, jednakie dla wszystkich. I nawet jeżeli ta miłość przynosi rozczarowania, porusza bodaj — przez to samo — powierzchnię duszy, bez tego zagrożonej zastojem. Pożądanie nie jest tedy dla pisarza bez pożytku; najpierw przez to, że go oddala od innych ludzi i od stosowania się do nich, a potem że przywraca nieco sprawności machinie intelektualnej, która przekroczywszy pewne lata, skłonna jest zardzewieć. Nie jest człowiek szczęśliwy, ale rozważa przyczyny, które mu bronią szczęścia i które pozostałyby dlań niewidzialne bez tych nagłych perspektyw rozczarowania. Marzenia są nieziszczalne, wiemy o tym; nie snuliśmy ich może, gdyby nie pożądanie; dobrze jest odczuwać je po to, aby oglądać ich ruiny i aby ta ruina była nam nauką. Toteż Bergotte powiadał sobie: „Wydaję na dziewczynki więcej niż kilku milionerów razem, ale przyjemności lub zawody, jakie z nich czerpię, tworzą w rezultacie książkę, która mi daje pieniądze”. Biorąc ekonomicznie, rozumowanie to było absurdem, ale niechybnie Bergotte znajdował pewną przyjemność w tym, aby tak zmieniać złoto w pieszczoty, a pieszczoty w złoto.

Widzieliśmy w momencie śmierci babki, że zmęczona starość lubi odpoczynek. Otóż w towarzystwie istnieje tylko rozmowa. Jest idiotyczna, ale ma tę władzę, że neutralizuje kobiety, zmieniając się już tylko w pytania i odpowiedzi. Poza „światem” kobiety stają się z powrotem tym, co jest takim wypoczynkiem dla zmęczonego starca: przedmiotem kontemplacji. W każdym razie obecnie nie było już mowy o tym wszystkim. Wspomniałem, że Bergotte nie wychodził już z domu, kiedy zaś wstawał na godzinę, to cały zakutany w szale, w pledy, we wszystko, czym się człowiek okrywa w chwili, gdy ma wyjść na mróz albo wsiąść do wagonu. Tłumaczył się wobec nielicznych przyjaciół, których wpuszczał do siebie, i pokazując koce i kołdry, mówił wesoło: „Cóż chcesz, mój drogi, już Anaksagoras<sup>163</sup> powiedział, że życie jest podróżą”. I tak stygnął powoli, niby mała planeta, wróżebny obraz wielkiej — Ziemi, kiedy zniknie z niej stopniowo ciepło, a potem życie. Wówczas skończy się zmartwychwstanie, bo choćby dzieła ludzkie promieniowały najdalej w przyszłe pokolenia, trzebaż jednak, aby byli ludzie! Jeżeli niektóre gatunki zwierząt oprą się dłużej zaborczemu zimnu, kiedy nie będzie już ludzi, sława Bergotte’a (przyjąwszy, że przetrwa do tej pory), zgaśnie nagle na zawsze. Ostatnie zwierzęta nie będą go czytały, mało bowiem prawdopodobne jest, aby na wzór apostołów w Zielone Świątki<sup>164</sup> mogły zrozumieć mowę rozmaitych ludów, nie nauczywszy się jej.

W miesiącach, które poprzedziły jego śmierć, Bergotte cierpiał na bezsenność; co gorsze, z chwilą gdy usnął, dręczyły go koszmary, co sprawiało, że się po przebudzeniu

<sup>163</sup>Anaksagoras z Klazomen (ok. 500—ok. 428 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel jońskiej filozofii przyrody. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Zielone Świątki — w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego na pamiątkę wydarzeń opisanych w biblijnych *Dziejach Apostolskich*, kiedy apostołowie Jezusa zaczęli przemawiać w rozmaitych obcych językach, których się uprzednio nie uczyli (Dz 2, 1–11). [przypis edytorski]

broniał przed nowym zaśnięciem. Długi czas lubił sny, nawet przykre, bo dzięki nim, dzięki ich kontrastowi z rzeczywistością dostępną w czasie jawy mamy z chwilą przebudzenia głębokie wrażenie, żeśmy spali. Ale zmory Bergotte'a były inne. Dawniej, kiedy mówił o zmorach, rozumiał pod tym przykre rzeczy dziejące się w jego mózgu. Teraz czuł, jak gdyby z zewnątrz, rękę zbrojną w mokrą ścierkę, za pomocą której, przeciągając tę ścierkę po jego twarzy, zła kobieta siła się go obudzić; czuł też nieznośne swędzenie ud oraz wściekłość oszalałego woźnicy (bo Bergotte szepnął przez sen, że źle powozi), który się rzucał nań, gryząc mu palce, piłując je zębami. Wreszcie, skoro mrok jego snu był dość głęboki, natura robiła rodzaj „próby bez kostiumów” ataku apoplektycznego, który go miał powalić. Bergotte wjeżdżał powozem w bramę nowego domu Swanna, chciał wysiąść. Piorunujący zawrót głowy przygwałdził go do poduszek powozu, odzwierny siłił się mu pomóc, ale on siedział, nie mogąc się podnieść ani wyprostować nóg. Próbował się uczepić kamiennego filara, który miał przed sobą, ale nie znajdował w nim dostatecznego oparcia, aby wstać.

Poradził się lekarzy, którzy dumni z tego, że ich wzywa Bergotte, ujrzeli przyczynę niedomagań w jego pracowitości (już od dwudziestu lat nic nie robił), w przemęczeniu. Poradzili mu, żeby nie czytał makabrycznych powieści (nie czytał nic), aby więcej korzystał ze słońca, „nieodzownego do życia” (kilka lat względnego polepszenia zawdzięczał jedynie ścisłemu zamknięciu się w domu), aby się wydatniej odżywił (z czego schudł i co odżywiło zwłaszcza jego zmory). Jeden z lekarzy, mający pasję sprzeciwiania się i droczenia, kiedy go Bergotte wezwał osobno i kiedy, aby go nie urazić, przedstawiał mu jako własne poglądy to, co mu poradzili inni, lekarz-sprzyska, myśląc, że Bergotte stara się uzyskać zaordynowanie czegoś, na co ma ochotę, zabraniał mu tego natychmiast, często na zasadzie doraźnych argumentów sporządzonych tak szybko, że wobec faktycznych obiekcji Bergotte'a lekarz-sprzyska musiał w jednym i tym samym zdaniu przeczyć samemu sobie; ale na podstawie nowych racji potwierdzał zakaz. Bergotte wracał wówczas do jednego z poprzednich lekarzy, człowieka mającego ambicje intelektualne, zwłaszcza wobec jednego z mistrzów pióra; toteż jeśli Bergotte podsuwał: „Ale bo zdaje mi się, że pan doktor mówił — dawniej, oczywiście — że to może spowodować przekrwienie nerek i mózgu...”, lekarz uśmiechał się sprytnie, podnosił palec i powiadał: „Powiedziałem »używać«, ale nie »nadużywać«. Rzecz prosta, iż wszelkie lekarstwo, jeżeli się przesadza, staje się obosieczną bronią”.

Jest w naszym organizmie instynkt tego, co nam jest zbawienne, tak jak w sercu jest instynkt obowiązków moralnych, których żadna sankcja doktora medycyny lub teologii nie zastąpi. Wiemy, że zimne kąpiele nam szkodzą, a lubimy je; zawsze znajdziemy lekarza, który je nam zaleci, co nie zmieni faktu, że nam szkodzą. Od każdego z lekarzy Bergotte wziął to, czego przez rozsądek wzbraniał sobie od lat. Po kilku tygodniach dawne przypadłości wróciły, nowe pogorszyły się. Oszalały od nieustannych cierpień, do których przylączyła się bezsenność przerywana zmorami, Bergotte poniechał lekarzy i próbował z powodzeniem, ale często nadmiernie, rozmaitych narkotyków, z ufnością czytając dołączone do nich prospekty. Prospekty to głosiły potrzebę snu, ale insynuowały, że wszystkie sprowadzające sen preparaty (z wyjątkiem preparatu zawartego we flaconie zawiniętym w ów prospekt i nigdy nie grożącego zatruciem) są toksyczne i tym samym czynią lekarstwo gorszym od choroby. Bergotte wypróbował wszystkie te środki. Niektóre są z innej rodziny niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, na przykład pochodne amylu i etylu. Nowy preparat o całkiem innym składzie pochłaniamy z rozkosznym oczekiwaniem czegoś nieznanego. Serce bije nam jak przed pierwszą schadzka. Ku jakim nieznanym rodzajom snu, marzenia zaprowadzi nas nowy przybysz? Jest teraz w nas, ma władzę nad naszą myślą. W jaki sposób zaśniemy? A skoro raz zaśniemy, przez jakie dziwne drogi, na jakie niezbadane wierzchołki, w jakie otchłanie zawiedzie nas wszechpotężny władca? Jaką nową kombinacją wrażeń poznamy w tej podróży? Czy doprowadzi nas do nudności? Bo błogostanu? Do śmierci?

Śmierć Bergotte'a nastąpiła wczoraj, właśnie wówczas gdy się w ten sposób zawierzył jednemu z tych zbyt potężnych przyjaciół (przyjaciół? wrogów?). Umarł w następujących okolicznościach. Dość lekki atak uremii sprawił, że mu zalecano spokój. Ale ponieważ



jakiś krytyk napisał, iż w *Widoku Delft* Vermeera<sup>165</sup> (wypożyczonym przez muzeum haskie na wystawę Holendrów), obrazie, który Bergotte uwielbiał, sądząc, że go zna bardzo dobrze, kawałek żółtej ściany, której Bergotte sobie nie przypominał, wymalowany jest tak wspaniale, że kiedy się patrzy wyłącznie na ten fragment, wydaje się niby szacowne dzieło sztuki chińskiej, samowystarczalne w swojej piękności, Bergotte zjadł parę kartofli, wyszedł z domu i udał się na wystawę. Wstępując na pierwsze stopnie, uczuł zawrót głowy. Przechodząc koło kilku obrazów, odniósł wrażenie oschłości i zbyteczności sztuki tak sztucznej, mniej wartej od przewiewu i słońca w jakimś pałacu w Wenecji lub w zwykłym domku nad morzem. W końcu znalazł się przed obrazem Vermeera, który pozostał mu w pamięci bardziej olśniewający, bardziej różny od wszystkiego, co znał, ale w którym, dzięki artykułowi krytyka, pierwszy raz zauważył drobne postacie ludzkie malowane niebiesko i to, że piasek był różowy, i wreszcie szacowną materię kawałka żółtej ściany. Zawrót był coraz silniejszy; Bergotte wlepił wzrok w bezcenną ścianę, jak dziecko wpatruje się w żółtego motyla, którego pragnie pochwycić. „Tak powinienem być pisać — powiedział sobie. — Moje ostatnie książki są za suche; trzeba było je pociągnąć kilka razy farbą, uczynić każde zdanie cennym samo w sobie, jak ten fragment żółtej ściany”. Równocześnie nie tracił poczucia swego groźnego stanu. Na niebiańskiej wadze jawiło mu się jego własne życie obciążające jedną z szal, gdy druga zawierała kawałek ściany tak pięknie namalowanej żółto. Bergotte czuł, że niebacznie oddał pierwsze za drugie. „Nie mam przecież ochoty — powiadał sobie — figurować na tej wystawie w wieczornej rubryce wypadków”.

Powtarzał sobie: „Kawałek żółtej ściany z daszkiem, kawałek żółtej ściany”. Zwalił się na okrągłą kanapę; równie szybko przestał myśleć, że życie jego jest w grze, i odzyskując optymizm, powiedział sobie: „Zwykła niestrawność, niedogotowane kartofle, to nic”. Nowy cios powalił go: Bergotte stoczył się na ziemię, zbiegła się publiczność wraz z woźnymi. Był martwy. Martwy na zawsze? Kto to może powiedzieć? Niewątpliwie, doświadczenia spirytystyczne, jak dogmaty religijne, nie dają dowodu przetrwania duszy. Można jedynie powiedzieć, że wszystko się dzieje w naszym życiu tak, jak gdybyśmy w nie wchodzili z ciężarem zobowiązań zaciągniętych w życiu poprzednim; w warunkach naszej egzystencji na tej ziemi nie ma żadnej racji, abyśmy się uważali za zobowiązanych do jakichś cnót, do delikatności, grzeczności, ani nie ma racji, aby artysta czuł się zobowiązany rozpoczynać dwadzieścia razy jedno dzieło, którego sukces mało będzie obchodził jego ciało toczone przez robaki — jak ten fragment żółtej ściany, który namalował z takim kunsztem i wyrafinowaniem artysta na zawsze nieznan, dość na niepewne określony nazwiskiem „Vermeer”. Wszystkie te zobowiązania, niemające sankcji w życiu obecnym, zdają się należeć do odmiennego świata, opartego na dobroci, na względach moralnych, na poświęceniu; świata całkowicie odmiennego niż nasz; świata, który opuszczamy, aby się urodzić na tej ziemi, zanim może wrócimy tam, aby żyć wedle owych nieznanych praw, którym byliśmy posłuszni, bo nosiliśmy je w sobie, nie wiedząc, kto w nas zakreślił te prawa, do których wszelka głęboka praca inteligencji nas zbliża, a które są niewidzialne jedynie — a i to pytanie! — głupcom. Tak iż myśl, że Bergotte nie umarł na zawsze, nie jest pozbawiona prawdopodobieństwa.

Pogrzebano go, ale przez całą noc żalobną w oświetlonych witrynach książki jego, ułożone po trzy, czuwały jak anioły z rozpostartymi skrzydłami i zdawały się symbolem zmartwychwstania tego, którego już nie było.

Dowiedziałem się, jak już wspominałem, tego dnia, że Bergotte umarł. I podziwiałem nieścisłość dzienników, które wszystkie powtarzały tę samą notatkę, powiadając, że umarł poprzedniego dnia. Otóż w wilię Albertyna spotkała Bergotte'a (opowiedziała mi to tego samego wieczora) i przez to nawet spóźniła się trochę, bo rozmawiał z nią dość długo. Z pewnością to była jego ostatnia rozmowa. Znała go przeze mnie. Nie widywałem już Bergotte'a od dawna, ale ponieważ Albertyna była ciekawa go poznać, napisałem przed rokiem do starego mistrza z prośbą, abym ją mógł przyprowadzić. Zgodził się, mimo

<sup>165</sup>Vermeer, *Johannes* (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

iz, jak sędzę, trochę dotknięty, że go odwiedzam jedynie po to, aby zrobić przyjemność komuś innemu, potwierdzając tym własną moją obojętność. Takie wypadki są częste: czasami ten, kogo błagamy o taką audiencję nie dla przyjemności porozmawiania z nim znowu, ale dla osoby trzeciej, odmawia tak uparcie, iż nasza protegowana sądzi, żeśmy się chęlpili fałszywymi stosunkami; częściej geniusz lub sławna piękność zezwalają, ale upokorzeni w swojej dumie, zranieni w swojej przyjaźni, zachowują dla nas już tylko uczucie pomniejszone, bolesne, nieco wzgardliwe. W długi czas potem zgadłem, że niesłusznie oskarżał dzienniki o nieścistość, bo owego dnia Albertyna wcale nie spotkała Bergotte'a; ale ani przez chwilę nie podejrzewałem niczego, w tak naturalny sposób mi to opowiedziała. Znacznie później dopiero poznałem jej uroczą sztukę kłamania z prostotą. To, co mówiła, to, co mi wyznawała, miało wszelkie cechy oczywistości, jak to, co widzimy, czego się dowiadujemy niezbitcie. W ten sposób w przerwy życia zasiewała epizody innego życia, którego fałszu nie podejrzewałem wówczas: uświadomiłem go sobie dopiero znacznie później. Dodałem: „co mi wyznawała” — oto czemu. Czasem osobliwy zbieg okoliczności budził we mnie podejrzenia, w których obok Albertyny figurowała w przeszłości lub niestety w przyszłości druga osoba. Aby wyglądało, że jestem zupełnie pewien swego, wymieniałem nazwisko, na co Albertyna mówiła: „Tak, spotkałam ją przed tygodniem tuż koło domu. Przez grzeczność przywitałam się, przeszłam z nią kilka kroków. Ale nigdy nie było nic między nami. I nigdy nie będzie nic”. Otóż Albertyna nie spotkała nawet tej osoby, dla tej prostej przyczyny, że tej osoby nie było w Paryżu od dziesięciu miesięcy. Ale Albertyna uważała, że przeczyć całkiem wyglądało mało prawdopodobnie. Stąd to krótkie rzekome spotkanie, opowiedziane z taką prostotą, że widziałem wręcz, jak się owa dama zatrzymuje, wita z Albertyną, towarzyszy jej kilka kroków. Gdybym się znalazł na ulicy w owej chwili, świadectwo zmysłów pouczyłoby mnie może, że owa dama nie spacerowała z Albertyną. Ale jeżeli się dowiedziałem, że tak nie było, to nie przez świadectwo zmysłów, lecz za pomocą jednego z owych logicznych łańcuchów, w których słowa osób posiadających nasze zaufanie stanowią silne ogniwa. Aby wezwać to świadectwo zmysłów, musiałbym tam być w owym momencie na ulicy, a nie byłem. Ale można sobie wyobrazić taką hipotezę: mogłem ostatecznie wyjść i przechodzić ulicą w godzinie, którą Albertyna (nie widząc mnie) wymieniłaby mi jako moment swego spaceru z damą; wówczas wiedziałbym, że skłamała. A i to, czy było całkiem pewne? Święty mrok oładnąłby moim umysłem, zacząłbym wątpić, czym ją widział samą, zaledwie starałbym się dojść, mocą jakiego złudzenia optycznego nie spostrzegłem owej damy; i nie byłbym nazbyt zdziwiony, że się pomylił, bo świat gwiazd mniej trudny jest do poznania niż prawdziwe postępy ludzkie, zwłaszcza istot, które kochamy, umocnionych przeciw naszemu wątpieniu bajkami przeznaczonymi na to, aby je chronić. Przez ile lat mogą one wmówić w naszą apatyczną miłość, że ukochana kobieta ma za granicą siostrę, brata, bratową, którzy nigdy nie istnieli!

Świadectwo zmysłów jest również operacją intelektu, w której oczywistość rodzi się z przeświadczenia. Widzieliśmy nieraz, jak zmysł słuchu przynosi Franciszce nie słowo, które ktoś wyrzekł, ale to, które ona uważała za prawdziwe, co wystarczało, aby nie słyszała sprostowań zawartych w poprawniejszej wymowie. Nasz kamerdyner miał podobną właściwość. Pan de Charlus nosił w owej epoce — bo często zmieniał mody — spodnie bardzo jasne, łatwe do rozpoznania pośród tysiąca. Otóż nasz kamerdyner, który myślał, że słowo „*pissotière*”<sup>166</sup> (słowo oznaczające to, co ku wielkiej przykrości pana de Rambuteau, księżę de Guermantes nazywał „pawilon Rambuteau”) brzmi „*pistière*”, nie słyszał nigdy w ciągu swego życia ani jednej osoby mówiącej „*pissotière*”, mimo że często tak przy nim wymawiano. Ale błąd jest jeszcze upartszy niż wiara i nie sprawdza swoich pewników. Stale kamerdyner mówił: „Z pewnością pan baron musiał się pochorować stąd, że tak długo siedział w *pistière*. Oto co znaczy być dziwkazem. Ależ on ma spodnie! Dziś rano nasza pani posłała mnie ze zleceniem do Neuilly. Przy *pistière* na ulicy de Bourgogne widzę, jak pan baron wchodzi. Kiedy wracam z Neuilly w dobrą godzinę później, widzę jego żółte spodnie w tej samej *pistière*, na tym samym miejscu w środku, które on zawsze zajmuje, aby go nie widziano”.

<sup>166</sup>*pissotière* (fr.) — publiczna ubikacja dla mężczyzn; por. pisuar. [przypis edytorski]

Nie znam nic piękniejszego, szlachetniejszego i młodszego niż jedna z siostrzenic pani de Guermantes. Ale słyszałem jak portier z restauracji, gdzie bywałem czasami, mówił, gdy przechodziła: „Popatrz na tę starą kłepę, co za fikimiki! A ma co najmniej osiemdziesiąt lat”. Co się tyczy wieku, wydaje mi się trudne do przypuszczenia, żeby on w to wierzył. Ale stojący koło niego „strzelcy”, rechocący za każdym razem, kiedy ona przechodziła koło hotelu, aby odwiedzić niedaleko stamtąd swoje dwie urocze cioteczne babki, panie de Fezensac i de Bellery, ujrzeli na twarzy tej młodej piękności osiemdziesiąt lat, w które — przez żart czy nie przez żart — ubrał odźwierny starą „kłepę”. Ryczeliby ze śmiechu, gdyby im ktoś powiedział, że osoba ta jest dystyngowana niż kasjerka hotelowa, która zżarta egzemą, pocieszenie tłusta, uchodziła w ich oczach za piękność. Jedyne może pociąg erotyczny zdołałby przeszkodzić utrwaleniu się ich omyłki, gdyby przemówił w chwili przechodzenia rzekomej staruszki i gdyby strzelcy poczuli nagłą żądzę pod adresem młodej bogini. Ale z nieznanych racji — wypływających zapewne z pobudek socjalnych — zmysły nie przemówiły. Można by zresztą o tym wiele rozprawiać. Świat jest prawdziwy dla nas wszystkich, a odmienny dla każdego. Gdybyśmy nie musieli dla porządku opowiadania ograniczyć się do racji błahych, ileż poważniejszych racji pozwoliłoby nam wykazać kłamliwą pobieżność początkowych kart tego tomu, gdzie słyszę z łóżka budzący się świat, to w taką pogodę, to w inną. Tak, musiałem ograniczyć się i kłamać, ale faktycznie co rano budzi się nie jeden wszechświat, ale miliony wszechświatów, prawie tyle ile jest żrenic i inteligencji ludzkich.

Aby wrócić do Albertyny, nie znałem kobiety bardziej obdarzonej szczęśliwą zdolnością kłamstwa żywego, grającego wszystkimi kolorami życia; chyba jedną z jej przyjaciółek, również jedną z moich „zakwitających dziewcząt”, różową jak Albertyna, ale której profil nieregularny, zapadły, potem znów wydatny, zupełnie przypominał pęki różowych kwiatów, których nazwy zapomniałem i które mają takie długie i kręte fałdy. Jako fabrykantka bajek ta dziewczyna przewyższała Albertynę, bo nie wprowadzała w swoją relację żadnego z momentów bolesnych, z nabrzmiałych wściekłością domyślników, tak częstych u Albertyny. Rzekłem wszelako, że Albertyna była urocza, kiedy wymyślała jakąś bajeczkę niezostawiającą miejsca na wątplenie. Widziało się po prostu to, co mówiła, mimo że wszystko było zmyślane: słowa jej zastępowały słuchaczowi wzrok. Natchnieniem Albertyny było jedynie prawdopodobieństwo, bynajmniej nie chęć wzbudzenia we mnie zazdrości. Bo Albertyna, nie będąc może interesowna, lubiła dowody galanterii. Otóż, o ile w ciągu tego dzieła miałem i będę miał wiele sposobności pokazania, jak zazdrość zdwaja miłość, brałem te rzeczy z punktu widzenia kochanka. Ale jeżeli ten kochanek ma bodaj trochę ambicji, wówczas choćby miał życiem przyplącić zerwanie, nie odpowie galanterią na domniemaną zdradę; usunie się, lub też, nie zrywając, zmusi się do udawania chłodu. Tym samym kochanka udręczyła go tyle bez żadnej dla siebie stąd korzyści. Jeżeli przeciwnie, zręcznym słówkiem, pieszczotą rozproszy podejrzenia, które go dręczyły, mimo iż udawał obojętność, wówczas zapewne kochanek nie zazna owego rozpaczliwego wzmożenia miłości, do którego wzbija ją zazdrość, ale przestając nagle cierpieć, szczęśliwy, rozczulony, czując owo odprężenie, jakiego doznajemy po burzy, kiedy spadł deszcz i kiedy ledwo czujemy pod wielkimi kasztanami krople z rzadka ściekające z liści i już zabarwione słońcem, nie wie, jak wyrazić wdzięczność tej, co go uleczyła. Albertyna wiedziała, że ja lubię nagradzać jej czułość, i to tłumaczyłoby może, że aby się usprawiedliwić, improwizowała wyznania równie naturalne jak jej opowiadania, niebudzące we mnie wątpliwości. Jednym z nich było spotkanie Bergotte’a, wówczas gdy już nie żył. Dotąd znałem jedynie te kłamstwa Albertyny, które na przykład w Balbec demaskowała Franciszka, a które pominąłem tutaj, mimo że mi były tak bolesne: „Ano nie chciała przyjść i powiedziała: Czy nie mogłaby pani Franciszka powiedzieć panu, że mnie pani Franciszka nie zastała, niby że wyszłam?”. Ale „niżsi”, którzy nas kochają, tak jak Franciszka mnie kochała, znajdują przyjemność w tym, aby ranić naszą miłość własną.

## ROZDZIAŁ DRUGI. VERDURINOWIE ZRYWAJĄ Z PANEM DE CHARLUS

Po obiedzie powiedziałem Albertynie, iż chcę skorzystać z tego, żem wstał, aby odwiedzić przyjaciół: panią de Villeparisis, panią de Guermantes, Cambremerów, nie wiem kogo

jeszcze, tych, których zastanę w domu. Zamilczałem jedynie nazwisko tych, do których zamierzałem iść naprawdę: państwa Verdurin. Spytałem, czy nie poszłaby ze mną. Odpowiedziała, że nie ma sukni. „Przy tym jestem tak brzydko uczesana! Czy tobie zależy na tym, abym się nadal tak czesała?”. I żegnając się ze mną, podała mi rękę z owym nagłym wyciągnięciem ramienia, ściągnięciem łopatek, jak to robiła niegdyś na plaży w Balbec, nigdy zaś od tego czasu. Ten zapomniany ruch zmienił jej ciało w ciało dawnej Albertyny, która mnie ledwie знаła. Przywrócił Albertynie, ceremonialnej pod formą swobody, jej pierwotną nowość, nieznaność, nawet jej ramę. Ujrzałem morze poza tą dziewczyną, która nigdy nie żegnała się ze mną w ten sposób, od czasu jak nie byliśmy już nad morzem. „Ciotka uważa, że mnie to postarza” — dodała z chmurną miną. „Obyż ciotka mówiła prawdę! — pomyślałem. — Jedyna rzecz, o którą dba pani Bontemps, to żeby Albertyna, wyglądając na dziecko, odmładzała ją samą; a także o to, żeby jej nic nie kosztowała aż do dnia, gdy wyszedłszy za mnie, zacznie jej przynosić dochody”. Ale znowuż ja pragnąłem tego, żeby Albertyna wyglądała mniej młodo, mniej ładnie, żeby mniej głów odwracało się za nią na ulicy. Bo starość duenny<sup>167</sup> nie tyle uspokaja zazdrosnego kochanka, ile stara twarz tej, którą kocha. Cierpiałem tylko nad tym, że uczesanie, na które ją namówiłem, może się Albertynie wydawać jeszcze jednym więzieniem. I to nowe domowe uczucie, nawet z dala od Albertyny, wciąż wiązało mnie do niej jak węzeł.

Oznajmiłem Albertynie (niezbyt, jak powiedziała, mającej ochotę towarzyszyć mi do Guermantów lub do Cambremerów), że nie bardzo wiem, dokąd pójdę; po czym udałem się do Verdurinów. Myśl o koncercie u nich przypominała mi popołudniową scenę („zatracena ździra”) — scenę miłości zawiedzionej, może zazdrosnej, ale równie bestialskiej jak ta, którą (oprócz słów) może zrobić zakochany, jeżeli można tak powiedzieć, w kobiecie orangutan. Naraz, w chwili gdy miał zawołać fiakra, usłyszałem szloch, który silił się zdławić jakiś mężczyzna siedzący na kamiennym słupie. Zbliżyłem się; osobnik, który trzymał głowę w rękach, robił wrażenie młodego człowieka; spod płaszcza mignęło coś białego, ujrzałem ze zdziwieniem, że jest we fraku i w białym krawacie. Słyszając mnie, odkrył twarz zalaną łzami, ale poznawszy mnie, odwrócił ją natychmiast. Był to Morel. Zrozumiał, że go poznał, i starając się wstrzymać łzy, powiedział, że musiał przystanąć chwilę, tak bardzo cierpi.

— Znieważylem dziś brutalnie — rzekł — osobę, do której byłem szczerze przywiązany. To jest podłe, bo ona mnie kocha.

— Z czasem zapomni może — odparłem, zdradzając mimo woli, że słyszał popołudniową scenę. Ale Morel był tak pochłonięty zgryzotą, że nie przyszło mu to nawet na myśl.

— Ona może zapomni — rzekł — ale ja nie zapomnę. Mam uczucie hańby, wstręt do siebie! Ale stało się, nic nie sprawi, aby się odstało. Kiedy mnie kto rozgniewa, sam nie wiem już, co robię. A to mi tak szkodzi, jestem istny kłębek nerwów.

Bo Morel, jak wszyscy neurastenicy, bardzo dbał o swoje zdrowie. Jeżeli po południu widziałem miłosną wściekłość rozjuszonego zwierzęcia, do wieczora w ciągu kilku godzin minęły wieki: nowe uczucie wstydu, żalu, zgryzoty świadczyło o wielkim etapie w ewolucji zwierzęcia mającego się kiedyś przeobrazić w ludzką istotę. Mimo wszystko słyszałem ciągle: „ździro zatracena” i bałem się rychłego nawrotu dzikości. Bardzo zresztą niejasne było mi to, co się stało, co jest o tyle zrozumialsze, że sam pan de Charlus absolutnie nie wiedział, iż od kilku dni, zwłaszcza tego dnia, nawet przed haniebnym epizodem niezwiązanym wprost ze stanem skrzypka, Morel popadł w neurastenię. W istocie, poprzedniego miesiąca posuwał się tak szybko jak mógł, o wiele wolniej, niżby chciał, w uwodzeniu siostrzeńcy Jupiena, z którą jako narzeczony mógł wychodzić do woli. Ale z chwilą gdy zaszedł trochę dalej w próbach gwałtu, a zwłaszcza kiedy zaczął nakłaniać narzeczoną, żeby nawiązała przyjaźń z innymi dziewczętami, których mu będzie dostarczała, napotkał na opór przyprowadzający go o furię. Czy że była zbyt notliwa, czy przeciwnie, oddała mu się, pragnienie Morela z punktu opadło. Postanowił zerwać; ale czując, że baron, mimo iż zboczeniec, jest o wiele moralniejszy od niego, bał się, aby z chwilą zerwania nie wyrzucił go za drzwi. Toteż postanowił już przed dwoma tygodniami odsunąć

<sup>167</sup> *duenna* (daw., z hiszp. *dueña*) — ochmistrzyni, dama do towarzystwa młodej kobiety, towarzysząca jej w wyjściach poza dom; przyzwoitka. [przypis edytorski]

się od młodej dziewczyny, pozwalając panu de Charlus i Jupienowi rozwikłać to między sobą (użył słowa bardziej w stylu Cambronne'a<sup>168</sup>), sam zaś, zanim zerwie oficjalnie, „dać nogę” ku nieznanym przeznaczeniom.

Mimo iż postępowanie Morela z narzeczoną pokrywało się ściśle, do najdrobniejszych szczegółów, z teoriami rozwijanymi wobec barona przy obiedzie w Saint-Mars-Ie-Vêtu, prawdopodobne jest, że praktyka a teoria bardzo różniły się między sobą i że uczucia mniej szpetne, nieprzewidziane przez Morela w jego teoretycznych zamiarach, upiękniły, usentymentalniły jego postępowanie. Jedynym punktem, w którym przeciwnie rzeczywistość stała się gorsza od zamiarów, było to, że w planach swoich nie uważał za możliwe zostać w Paryżu po takiej zdradzie. Teraz natomiast „dawać nogę” dla takiej bagateli zdawało mu się przesadą. To by znaczyło porzucić barona, który z pewnością byłby wściekły, zniweczyć swoją sytuację. Morel straciłby w ten sposób wszystko, co mu dawał baron. Myśl, że to jest nieuniknione, przyprowadziła skrzypka o ataki nerwowe, godziny całe mazał się, brał (ogłędnie) morfinę, aby o tym nie myśleć. Potem nagle zagościła w jego duszy myśl, która z pewnością nabierała tam życia i kształtu już od jakiegoś czasu; a mianowicie, że ta alternatywa, wybór między zerwaniem z panną a kompletnym zerwaniem z panem de Charlus nie są może konieczne. Stracić wszystkie pieniądze barona, to było ciężkie! W tej niepewności Morel trwał przez kilka dni w czarnych myślach, podobnych tym, które w nim budził widok Blocha. Potem uznał, że Jupien i jego siostrzenica próbowali go schwycić w pułapkę i że powinni się cieszyć, ponosząc tak lekką karę. Uważał zwłaszcza, że panna zawiniła niezręcznością, tym, że nie umiała go utrzymać przez zmysły. Nie tylko wyrzeczenie się pozycji przy panu de Charlus wydało się Morelowi absurdem, ale żałował nawet sutych obiadków, którymi raczył młodą dziewczynę, od czasu jak byli zaręczeni, a których koszt mógłby określić jako syn lokaja zapisującego w „książce” wydatki mego wuja. Bo „książka” w liczbie pojedynczej, dla ogółu śmiertelnych oznaczająca drukowane dzieło, traci to znaczenie dla księżących wysokości i dla lokajów. Dla drugich oznacza książkę rachunkową, dla pierwszych rejestr, w którym zapisuje się swoje nazwisko. (Pewnego dnia w Balbec, kiedy księżna de Luxembourg wspomniała, że nie wzięła z sobą książki, już chciałem jej zaproponować *Rybaka Islandzkiego* lub *Tartarina z Tarasconu*, kiedy nagle zrozumiał, że ona chce wyrazić nie obawę nudów, ale fakt, iż trudniej mi będzie zapisać u niej moje nazwisko).

Postępowanie Morela wydałoby mu się ohydne przed dwoma miesiącami, kiedy namiętnie kochał siostrzenicę Jupiena, ale od dwóch tygodni powtarzał sobie, że właśnie takie postępowanie jest naturalne i godne pochwały. Jednakże mimo zmiany zapatrywań Morela na następstwa tego kroku, wszystko to wzmagało w nim ów stan nerwowości, w którym przed chwilą dokonał zerwania. I już był gotów wyładować swój gniew, jeżeli nie na młodej dziewczynie, wobec której (poza chwilowym atakiem) zachował resztkę obawy — ostatni ślad miłości — to bodaj na baronie. Ale nie chciał mu nic mówić przed obiadem, stawiając bowiem ponad wszystko własne wirtuozostwo, w chwili gdy miał grać coś trudnego, jak dziś u Verdurinów, unikał (o ile tylko mógł, a popołudniowa scena to już było za wiele) wszystkiego, co by mogło upośledzić jego spokój. Podobnie chirurg, nawet będąc zapalonym automobilistą, nie prowadzi maszyny, kiedy ma operować. To mi tłumaczy, że mówiąc ze mną, Morel poruszał lekko palcami, aby się przekonać, czy odzyskały gibkość. Lekkie zmarszczenie brwi zdawało się stwierdzać, że pozostało mu jeszcze trochę nerwowej sztywności. Ale aby jej nie wzmagać, Morel rozchmurzał twarz, tak jak człowiek nie pozwala sobie denerwować się, że nie zaśnie albo że może spalić na panewce z kobietą, z obawy, aby sam ów lęk tym bardziej nie opóźnił chwili snu lub chwili rozkoszy. Toteż pragnąc odzyskać swoją pogodę, aby jak zawsze cały oddać się temu, co miał grać u Verdurinów, a zarazem pragnąc — dopóki go będą widział — pozwolić mi stwierdzić jego cierpienie, uznał za najprostsze błagać mnie, abym odszedł. Błaganie było zbyt ciche, a odejście było mi ulgą. Drżałem, aby Morel, mając iść za kilka minut tam gdzie ja, nie zaproponował mi pójścia razem; nazbyt dobrze pamiętałem popołudniową scenę, aby nie odczuwać niejakiego wstrętu do jego towarzystwa.

<sup>168</sup> *Cambronne, Pierre* (1770–1842) — francuski generał wojen napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde!”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne’a). [przypis edytorski]

Bardzo możliwe jest, że miłość, potem obojętność lub nienawiść Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena były szczere. Na nieszczęście, nie pierwszy to raz postępował w ten sposób, że nagle „puszczał w trąbę” dziewczynę, którą przysięgał kochać wiecznie, której pokazywał nabity rewolwer, mówiąc, że strzeliłby sobie w łeb, gdyby popełnił kiedyś tę nikczemność, aby ją opuścić. Mimo to porzucił ją później i zamiast wyrzutów czuł do niej jakby urazę. Nie pierwszy i nie ostatni raz postępował w ten sposób; tak iż niejedna z dziewcząt — trudniej zapominających o nim niż on o nich — cierpiała, tak jak cierpiała długo jeszcze siostrzenica Jupiena, wciąż kochając Morela, mimo iż gardząc nim. Cierpiała, gotowe wybuchnąć pod naporem wewnętrznego bólu, bo każdej z nich wyraz twarzy Morela, twardej jak marmur i pięknej jak antyk — jakiś fragment greckiego grobowca — utkwiał w mózgu, z jego kwitnącymi włosami, z wymową subtelnych oczu, prostym nosem, tworzącym niepodobną do zoperowania wypukłość na nieprzeznaczonej dlań czaszce. Ale z biegiem czasu te tak twarde fragmenty osuwały się w końcu w miejsce, gdzie nie sprawiają zbyteńnego bólu, skąd się już nie ruszają; nie czuje się już ich obecności; to zapomnienie lub wspomnienie obojętne.

Nosiłem w sobie dwa produkty owego dnia. Z jednej strony, dzięki spokojowi, spowodowanemu uległością Albertyny, możliwość i tym samym postanowienie zerwania z nią. Z drugiej strony, owocem moich refleksji podczas czekania na nią przy fortepianie była myśl, że Sztuka, której starałbym się poświęcić odzyskaną wolność, nie jest czymś, co by było warte męki ofiary, nie jest czymś poza życiem, obcym jego czczości i nicości, ile że pozór istotnej indywidualności dzieła jest jedynie sprawą techniki. Jeżeli to popołudnie zostawiło we mnie inne, głębsze może osady, miały one uświadomić się we mnie dopiero znacznie później. Co do tych dwóch wyrzutów, które oceniałem jasno, nie miały one być trwałe; jeszcze bowiem tego wieczora moje pojęcia o sztuce miały się wyzwolić z owej deprecjacji, jakiej doznały w ciągu popołudnia, gdy w zamian spokój, a tym samym wolność, która by mi pozwoliła poświęcić się sztuce, miały mi być na nowo odjęte.

Kiedy mój wehikuł, jadąc wybrzeżem, zbliżał się do Verdurinów, kazałem go zatrzymać. Ujrzałem Brichota wysiadającego z tramwaju na rogu ulicy Bonaparte, w chwili gdy wycierał starą gazetą trzewiki i nakładał perłowe rękawiczki. Podeszedłem do niego. Od jakiegoś czasu, w miarę jak tracił wzrok, zaopatrywał się — tak bogato jak jakieś obserwatorium — w nowe silne i skomplikowane okulary, które na kształt astronomicznych przyrządów zdawały się przyśrubowane do jego oczu; wycelował na mnie ich potężny ogień i poznał mnie. Szklka były w doskonałym stanie. Ale poza nimi ujrzałem maleńkie, blade, konwulsyjne, gasnące, odległe spojrzenie, umieszczone pod tym potężnym aparatem tak, jak w laboratoriach zbyt hojnie subwencjonowanych w stosunku do wykonywanej w nich pracy umieszcza się nagle agonizujące zwierzątko w najwspanialszych przyrządach. Podałem ramię na wół niewidomemu profesorowi, aby podeprzeć jego kroki.

— Tym razem nie koło wielkiego Cherburga spotykamy się, ale koło małej Dunkierki — powiedział, a zdanie to wydało mi się bardzo nudne, bo nie wiedziałem, co ma oznaczać; ale nie śmiałem pytać Brichota przez obawę nie tyle jego pogardy, ile jego wyjaśnień. Odpowiedziałem, że dość jestem ciekawy ujrzeć salon, gdzie Swann spotykał niegdyś co wieczór Odetę.

— Jak to, pan zna te stare historie? — rzekł profesor. — Toż od tego czasu do śmierci Swanna upłynęło to, co poeta nazywa słusznie: „*Grande spatium mortalis aevi*”<sup>169</sup>.

Śmierć Swanna wstrząsnęła mną w owym czasie. Śmierć Swanna! Swann nie grał w tym zdaniu roli prostego *genetivus*<sup>170</sup>. Rozumiem przez to śmierć poszczególną, śmierć zesłaną przez los dla obsługi Swanna. Bo powiadamy dla uproszczenia „śmierć”; ale jest prawie tyleż śmierci co osób. Nie posiadamy zmysłu, który by nam pozwolił widzieć owe śmierci, biegające z rozmaitą chyżością we wszystkich kierunkach; śmierci czynne, kierowane przez los ku jakiemuś kandydatowi. Często są to śmierci, które całkowicie wywiążą się ze swego zadania dopiero za dwa lub trzy lata. Biegają szybko zaszczepić raka w łonie jakiegoś Swanna; potem spieszą do innych czynności, wracając dopiero wtedy,

<sup>169</sup> *Grande spatium mortalis aevi* (łac.) — wielka część ludzkiego życia; Tacyt, *Żywot Agrykoli* (*De vita et moribus Iulii Agricolae*) III. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *genetivus* (łac., gramat.) — dopełniacz. [przypis edytorski]

kiedy po zabiegu chirurga trzeba zaszczyć raka na nowo. Potem przychodzi moment notatki w „Gaulois”, że zdrowie Swanna budziło obawy, ale że obecnie stan chorego poprawia się z każdym dniem. Wówczas, na kilka minut przed ostatnim tchnieniem, śmierć niby zakonnicą, która by kogoś pielęgnowała, zamiast go unicestwić, przychodzi czuwać przy jego ostatnich chwilach i śmiertelną aureolą wieńczy zlodowaciałą na zawsze istotę, której serce przestało bić. I ta rozmaitość śmierci, tajemnica ich okrężnego lotu, barwa ich złowrożej szarfy daje coś tak przejmującego tej rubryce dziennika:

„Dowiadujemy się ze szczerym żalem, że po długich i ciężkich cierpieniach pan Karol Swann zgasł wczoraj w swoim domu w Paryżu. Ten paryżanin, powszechnie ceniony dla zalet swego umysłu, zarówno jak dla swego oddania szczupłemu, ale wiernemu kołu przyjaciół, zostawi po sobie powszechny żal, tak w kołach artystycznych i literackich, gdzie wiedza jego oraz subtelny smak czyniły go miłym i pożądanym gościem, jak w Jockey Clubie, którego był jednym z najdawniejszych i najwpływowszych członków. Należał też do Cercle de le Union i do Cercle Agricole. Niedawno ustąpił z Cercle de la rue Royale. Jego inteligentna fizjonomia, jak i jego ustalona reputacja budziły ciekawość publiczności przy wszelkim *great event*<sup>171</sup> muzyki i malarstwa, a zwłaszcza na wernisażach, których pan Swann był stałym uczestnikiem aż do ostatnich lat, kiedy już rzadko tylko opuszczał mieszkanie. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...” itd.

Z tego punktu widzenia, jeżeli się nie jest „kims”, brak znanego tytułu przyspiesza jeszcze rozkład śmierci. Bez wątpienia, nieboszczyk jakiś jest na przykład księciem d'Uzès anonimowo, bez znamion indywidualności. Ale mitra książęca utrzymuje jakiś czas w skupieniu składniki, jak w owych starannie wymodelowanych lodach, które lubiła Albertyna; podczas gdy nazwiska arcyświatowych „ludzi nowych” natychmiast po ich śmierci rozkładają się i topnieją w bezpostaciową masę. Widzieliśmy, jak pani de Guermantes mówiła o panu Cartier jako o najlepszym przyjacielu księcia de la Tremoille, jako o człowieku bardzo poszukiwanym w arystokratycznych kołach. Dla następnego pokolenia Cartier stał się czymś tak bezkształtnym, że niemal przydałoby mu się blasku, spokrewniając go z jubilerem Cartier, gdy on sam uśmiechnąłby się niegdyś z takiej pomyłki. Przeciwnie, Swann był wybitną indywidualnością intelektualną i artystyczną i mimo że nic nie „stworzył”, miał widoki przetrwania nieco dłużej. A mimo to, drogi Karolu Swann, którego znałem, kiedy byłem jeszcze tak młody, a ty bliski grobu, jeżeli zaczynają na nowo mówić o tobie i jeżeli może będziesz żył, to dlatego że ten, którego musiałeś uważać za młodego głuptasa, uczynił cię bohaterem swojej powieści. Jeżeli przed obrazem Tissota<sup>172</sup> przedstawiającym balkon klubu z ulicy Royale, gdzie znajdujesz się między Galiffetem, Edmundem de Polignac i Saint-Maurice, tyle mówią o tobie, to dlatego, że wiedzą, iż parę twoich rysów weszło w figurę Swanna.

Aby wrócić do ogólniejszych realności, przypomnijmy, że o tej godzinie śmierci — przepowiadanej, a jednak nieoczekiwanej — mówił przy mnie sam Swann do księżnej de Guermantes w dniu, kiedy się wybierała na raut do kuzynki. To była ta sama śmierć, której swoistą i przejmującą dziwność odnalazłem pewnego wieczora, przebiegając oczami dziennik. Wiadomość o niej wprawiła mnie w osłupienie, jak gdyby wypisana tajemniczymi, niewczesnie wstawionymi głoskami. Wystarczyły, aby zmienić żyjącego człowieka w kogoś niezdolnego już odpowiedzieć na to, co się doń mówi, w nazwisko, jedynie w nazwisko, nagle ze świata rzeczywistego przeniesione w królestwo ciszy. To te głoski budziły we mnie jeszcze teraz chęć lepszego poznania mieszkania, gdzie niegdyś rezydowali Verdurinowie i gdzie Swann, niebędący wówczas jedynie kilkoma literami widniejącymi w gazecie, tak często bywał na obiedzie z Odetą. Trzeba jeszcze dodać (co mi długo czyniło śmierć Swanna boleśnieszą od jakiejś innej, mimo iż te motywy nie miały związku z indywidualną niesamowitością jego śmierci), że nie zaszedłem do Gilberty, jak to przyrzekłem Swannowi u księżnej Marii; że on sam nie zdradził mi „innej racji”, do której robił aluzję owego wieczora i dla której uczynił mnie powiernikiem swojej rozmowy z księciem Gilbertem; że oblegało mnie tysiąc pytań (tak jak bańki zjawiają się na powierzchni wody), które byłbym mu chciał zadać w najrozmaitszych przedmiotach: Vermeer, pan de Mouchy, on sam, jakiś dywan Bouchera, Combray... Pytania te były

<sup>171</sup>*great event* (ang.) — wielkie wydarzenie. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>obraz Tissota — na obrazie tym znajduje się w istocie postać znanego klubowca, Karola Haas, który uchodził za pierwowzór Swanna; i inwokacja ta zwraca się wyraźnie do Karola Haas. [przypis tłumacza]

zapewne niezbyt nagłące, skoro je odkładałem z dnia na dzień, ale zdawały mi się bardzo ważne, od czasu jak wargi Swanna się zamknęły, przecinając możliwość odpowiedzi.

— Ależ nie — odparł Brichot — to nie tutaj Swann spotykał przyszłą żonę, lub jeżeli tutaj, to dopiero w ostatnich czasach, po katastrofie, która częściowo zniszczyła pierwotne mieszkanie pani Verdurin.

Na nieszczęście, nie chcąc drażnić oczu Brichota zbytkiem, który mi się zdawał nie na miejscu, skoro profesor nie miał w nim udziału, wysiadłem zbyt nagle z powozu, a woźnica nie zrozumiał słów, które mu rzuciłem bardzo szybko, aby mieć czas się oddalić, zanim mnie Brichot spostrzeże. Wskutek tego woźnica podjechał za nami i spytał, czy ma zajechać po mnie. Powiedziałem spiesznie, że tak, zdwajając jeszcze objawy szacunku dla uczonego przybyłego omnibusem.

— A, pan przyjechał fiakrem — rzekł z surową miną Brichot.

— Mój Boże, całkiem przypadkowo, to mi się nie zdarza nigdy. Zawsze wędruję omnibusem lub pieszo. Ale to mi zapewni może wysoki zaszczyt odwiedzenia pana wieczorem, jeżeli się pan zgodzi wsiąść do tego gruchotu. Będzie nam trochę ciasno, ale pan jest dla mnie tak łaskawy...

„Niestety, czyniąc profesorowi tę propozycję, nie wyrzekam się niczego — pomyślałem — bo i tak muszę wracać z powodu Albertyny”. Jej obecność w domu w porze, gdy nikt nie mógł jej odwiedzić, pozwalała mi rozporządzać swoim czasem równie swobodnie co popołudniu, kiedy siedząc przy fortepianie, wiedziałem, że Albertyna wróci z Trocadéro, i kiedy mi nie było spieszo ją ujrzyć. Ale koniec końców, tak samo jak po południu, czułem, że mam kobietę i że za powrotem<sup>173</sup> nie zaznam krzepiącej podniety samotności.

— Przyjmuję chętnie — odparł Brichot. — W epoce, którą pan wspomina, przyjaciele nasi zajmowali przy ulicy Montalivet wspaniałe parterowe pałacyk z antresolą od ogrodu, mniej zbytkowny oczywiście, ale dla mnie piękniejszy od Ambassadeurs de Venise.

Brichot powiedział mi, że tego wieczoru na „Quai Conti” (w ten sposób wierni określali salon Verdurinów, od czasu jak go tam przeniesiono) jest wielka „awantura” muzyczna, zorganizowana przez pana de Charlus. Dodał, iż w dawnych czasach, o których wspominałem, „paczka” była inna i w innym stylu, nie tylko dlatego, że „wierni” byli młodszy. Opowiedział mi kawały Elstira (nazywał to: „czyste błazeństwa”). Jednego dnia na przykład, malarz, wymówiwszy się dla pozorów, przyszedł w ostatniej chwili przebrany za lokaja i podając półmiski, szeptał skandaliczne rzeczy do ucha wielce cnotliwej baronowej Putbus, czerwonej ze zgrozy i z oburzenia; potem, zniknąwszy przed końcem obiadu, kazał wnieść do salonu wannę pełną wody, z której, kiedy goście wstali od stołu, wyłonił się całkiem nagi, klnąc głośno. Profesor wspominał również kolacje, na które przychodziło się w papierowych kostiumach, rysowanych, wycinanych, malowanych przez Elstira — istne arcydzieła. Brichot miał raz kostium magnata z epoki Karola VII<sup>174</sup>, z trzewikami w szpic; innym razem kostium Napoleona I, na którym Elstir zrobił lakiem wielką wstęgę Legii Honorowej<sup>175</sup>. Krótko mówiąc, Brichot, oglądając w pamięci ów miniony salon z wielkimi oknami, z niskimi kanapami, które trzeba był odnawiać, tak je zżarło południowe słońce, oświadczał, że wołał go od dzisiejszego. Oczywiście, pojmowałem, że jak słowo „kościół” oznacza nie tylko budynek o przeznaczeniu religijnym, ale zgromadzenie wiernych, tak Brichot rozumie przez „salon” nie tylko lokal, ale i ludzi którzy tam bywali, osobliwe przyjemności, których tam szukali. Rozkoszom tym dały w jego pamięci kształt owe kanapy, na których, przyszedłszy do pani Verdurin po południu, czekało się aż będzie gotowa, podczas gdy w ogrodzie kwitnące kasztany, a na kominku wazonny goździków zdawały się, przez sympatię dla gościa wyrażoną życzliwym uśmiechem różowych kolorów, niecierpliwie oczekiwać zjawienia się zapóźnionej pani domu. Ale jeżeli ów salon zdawał mu się czymś więcej niż dzisiejszy, to może dlatego, że nasz

<sup>173</sup>za powrotem (daw.) — dziś: po powrocie. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>Karol VII Walezjusz (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]



umysł jest jak stary Proteusz<sup>176</sup>, niezdolny pozostać niewolnikiem żadnej formy: nawet w dziedzinie światowej wyzwała się nagle z salonu doprowadzonego powoli i z trudem do swego szczytu, aby woleć od niego dawny, mniej świetny. Podobnie nad „retuszowane” fotografie Odety (zdejmował Otto), na których elegantka ta paradowała w balowej sukni *princesse*, uczesana przez Lenthérica, przekładał Swann „wizytówkę” robioną w Nicei, na której w sukiennej pelerynce, z włosami niedbale wymykającymi się spod słomkowego kapelusza przybranego bratkami, z czarną aksamitną kokardą, o dwadzieścia lat młodszą (kobiety wyglądają zazwyczaj tym starzej, im fotografie są dawniejsze) wyglądała na pokojówkę mającą o dwadzieścia lat więcej. Może profesor znajdował też przyjemność w zachwalaniu mi tego, czego nie znałem, okazania, że kosztował niegdyś przyjemności, jakich ja nie mógłbym mieć? Udało mu się to zresztą, cytując bowiem nazwiska paru nieżyjących już osób i używając każdej z nich czegoś tajemniczego przez sposób, w jaki mówił o nich i o uroku tych przyjaźni, budził we mnie ciekawość, co to w istocie mogło być; czułem, że wszystko, co mi opowiadano o Verdurinach, było o wiele za grube; wyrzucałem sobie, że nawet na tego Swanna, którego znałem, nie dość zwracałem uwagi, że patrzyłem nań nie dość bezinteresownie, nie dość go słuchałem, kiedy mnie zabawił, czekając aż żona wróci na śniadanie, i kiedy mi pokazywał piękne rzeczy. Czułem to teraz, kiedy wiedziałem, że można porównać Swanna z najświetniejszymi *causeurami*<sup>177</sup> dawnych czasów.

W chwili gdyśmy wchodzili do państwa Verdurin, ujrzałem pana de Charlus, żeglującego ku nam całym olbrzymim ciałem, wlokącego bezwiednie za sobą jednego z owych apaszów<sup>178</sup> lub oberwańców, których widok barona wywabił teraz niechybnie z najbezludniejszych na pozór zakątków i przez których ten potężny potwór był — bardzo mimo woli — stale, choć w pewnej odległości eskortowany niby rekin przez swego pilota. Dzisiejszy pan de Charlus tworzył taki kontrast z wyniosłym obcym panem z pierwszego mego pobytu w Balbec, z jego surowym wejrzeniem, afektacją męskości, iż miałem wrażenie, że odkrywam jakąś gwiazdę w całkiem innym okresie jej obrotu i którą dopiero widzi się w całej pełni w towarzystwie jej satelity. Albo też baron wyglądał jak chory, którego choroba była przed kilku laty zaledwie lekkim i łatwym do ukrycia pryszczikiem, niepozwalającym się domyślać niebezpieczeństwa.

Mimo iż operacja wróciła Brichotowi nieco wzroku, zdawało, że już na zawsze straconego, nie wiem, czy spostrzegł draba ciągnącego się za baronem. To było dość obojętne, bo od czasu La Raspelière i mimo sympatii, jaką uczony miał dla barona, obecność pana de Charlus zawsze budziła w nim niemiłe uczucie. Bez wątpienia dla każdego z nas życie drugiego człowieka gubi się w mroku ścieżek, których nie podejrzewamy. Zapewne kłamstwo, tak często myślące, a tworzące substancję wszystkich rozmów, pokrywa nieraz uczucia wrogości lub zainteresowania lub wizytę, którą pragniemy zataić, lub jakąś eskapadę z przygodną kochanką, którą chcemy ukryć przed żoną; ale o wiele szczerzej dobra reputacja pokrywa złe obyczaje, nie pozwalając się ich nawet domyślać. Mogą pozostać nieznane całe życie; pewnego wieczoru przypadkowe spotkanie na molo w porcie zdradzi je; a i ten przypadek bywa źle rozumiany i trzeba dopiero, aby ktoś świadomszy poddał nam niepochwytnie słowo zagadki<sup>179</sup>. Ale skoro przejrzymy te obyczaje, przerażają nas, bo czujemy w nich podmuch szaleństwa o wiele bardziej niż niemoralności. Pani de Surgis nie miała ani cienia poczucia moralnego i dopuściłaby u swoich synów wszystko, co by się tłumaczyło plugawą bodaj korzyścią, zrozumiałą wszystkim. Ale zabroniła im stosunków z panem de Charlus, kiedy się dowiedziała, że regularnie jak zegarek i za każdą wizytą baron szczypie ich w policzki i każe się szczytać wzajem. Doznała owego niespokojnego uczucia fizycznej tajemnicy, podsuwającego myśl, czy sąsiad, z którym się było w tak dobrych stosunkach, nie hołduje ludożerstwu. Na ponawiane pytania barona: „Kiedyż ujrzę znowu przemiliwych chłopców?” odpowiadała (mimo iż wiedząc, jakie gromy ściga na siebie!), że są bardzo zajęci, że wykłady, że przygotowania do podróży itd. Co

<sup>176</sup> *Proteusz* a. *Proteus* (mit. gr.) — bóstwo morskie, syn Posejdonu i Tetydy, pasterz fok; potrafił przepowiadać przyszłość i przybierać różne postaci, by wymknąć się każdemu, kto chciał uzyskać od niego przepowiednię; odpowiadał jedynie temu, kto go skutecznie pochwylił i nie puszczal. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *causeur* (fr.) — błyskotliwy rozmówca, gawędziarz. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

bądź by się mówiło, nieodpowiedzialność powiększa błędy, a nawet zbrodnie. O ile Landru<sup>180</sup> (przypuściwszy, że w istocie zabił swoje żony) zrobił to z chciwości, której dałoby się oprzeć — można by go ulaskawić; ale nie można, jeśli to wynikało z nieodpartego sadyzmu.

Grube żarciki, na jakie pozwalał sobie Brichot w początkach znajomości z baronem, teraz, z chwilą gdy profesorowi chodziło już nie o prawienie komunałów, ale o zrozumienie, ustąpiły przykreemu uczuciu gaszącemu wesołość. Uspokajał sam siebie, cytując Platona<sup>181</sup>, Wergilego<sup>182</sup>, ponieważ będąc ślepy i duchowo, nie rozumiał, że wówczas kochać młodego człowieka było czymś takim jak dzisiaj utrzymywać tancerkę, a później się zaręczyć. Żarciki Sokratesa świadczą o tym lepiej niż teoria Platona. Sam Charlus nie byłby tego rozumiał, on który mieszał swoją manię z przyjaźnią (niepodobną do niej w niczym), a atletów Praksytelesa<sup>183</sup> z usłużnymi bokserami („Nabożny dworak nabożnego władcy byłby ateuszem pod monarchą bez wiary”, powiedział La Bruyère<sup>184</sup>). Ale baron nie chciał widzieć, że od tysiąca dziewięciuset lat wszelki homoseksualizm zwyczajowy — zarówno homoseksualizm młodzieńców Platona, jak pasterzy Wergiliusza — znikł, przetrwał zaś i mnoży się jedynie homoseksualizm wrodzony, organiczny, ten co się kryje przed innymi i maskuje przed samym sobą. I pan de Charlus byłby w błędzie, nie chcąc się szczerze odrzec genealogii pogańskiej. W zamian za trochę plastycznego piękna, ileż wyższości duchowej! Pasterz Teokryta<sup>185</sup>, wdychający do młodego chłopca, stanie się później równie brutalny i tępy jak inny pasterz, którego fletnia rozbrzmiewa dla Amarylis<sup>186</sup>. Bo pierwszy z nich nie jest dotknięty chorobą, jest tylko posłuszny obyczajom epoki. Jedynie homoseksualizm trwający uparcie mimo zapór, homoseksualizm wstydlivy, zohydzony, jest prawdziwy, jedyny, który jest zdolny wydać u tegoż osobnika wysubtelnienie duchowe. Drżeniem przejmując związek spraw fizycznych ze sprawami ducha; myśl, że drobne przemieszczenie czysto fizycznych skłonności, lekka skaza pewnego zmysłu sprawia, iż wszechświat poezji i muzyki, zamknięty dla księcia de Guermentes, otwiera się dla pana de Charlus. Nie dziwi nas smak pana de Charlus w urządzeniu mieszkania ani to, że jak kobieta lubuje się w cackach; ale ta wąska szczelina otwierająca się na Beethovena<sup>187</sup> i na Veronesego<sup>188</sup>! Zdrowy człowiek odczuwa naturalny lęk, kiedy wariat, autor wspaniałego poematu, wytłumaczywszy niezbitcie, że go zamknięto przez pomyłkę, przez niegodziwość żony, błaga go, aby interweniował u dyrektora zakładu, po czym wyrzekając na sąsiedztwo, które mu narzucono, kończy tak: „O, ten, co rozmawiał właśnie ze mną na dziedzińcu, facet, którego towarzystwo muszę znosić, myśli, że on jest Chrystus. To jedno starczy za dowód, z jakimi wariatami mnie zamykają; nie może on być Chrystus, skoro Chrystus to jestem ja!”. Chwilę przedtem byliśmy już gotowi zwrócić uwagę psychiatry na pomyłkę. Po tych ostatnich słowach, nawet pamiętając o wspaniałym poemacie, nad którym pracuje ten sam człowiek, oddaliśmy się tak, jak synowie pani de Surgis oddalili się od pana de Charlus, nie, aby im robił coś złego, ale z powodu zbyt częstych zaproszeń, których rezultatem było szczypanie ich w policzek. Trzeba współczuć z poetą, którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki

<sup>180</sup>Landru, Henri (1869–1922) — francuski seryjny morderca; okradal i zabijał kobiety, zwabiając je do swojego domu ogłoszeniami matrymonialnymi w prasie; w kwietniu 1919 aresztowany, w listopadzie 1921 skazany na karę śmierci za dokonanie 11 zabójstw. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Platon (427–347 p.n.e.) — grecki filozof, uczeń Sokratesa, kluczowa postać w rozwoju filozofii, twórca klasycznego idealizmu; w dialogu *Uczta*, omawiającym kolejne szczeble miłości, m.in. analizuje i pochwała męską miłość homoseksualną. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>Wergiliusz a. Wergiliusz, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian, oraz zbioru sielanek *Bukoliki* (*Eklogi*); w miłosnej *Eklogie II* przedstawia homoseksualne uczucia pasterza Korydona do innego pasterza, Aleksisa. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Praksyteles (IV w. p.n.e.) — wybitny rzeźbiarz grecki z Aten, autor rzeźb bogów greckich, uwydatniających piękno ludzkiego ciała. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>Teokryt (ok. 310–ok. 250 p.n.e.) — grecki poeta, twórca sielanek jako gatunku literackiego; kilka z jego *Idylli* dotyczy miłości homoseksualnej. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>Amarylis — pasterka, w której wcześniej kochał się Korydon, pasterz z *Eklogi II* Wergiliusza, zakochany w pięknym Aleksisie. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>Veronese, Paolo (1528–1588) — wybitny włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

i smoły<sup>189</sup>, rzucać się w ogień spadający z nieba, aby wyłowić zeń paru mieszkańców Sodom<sup>190</sup>! Nie ma żadnego uroku w jego dziele; w życiu zaś jego władza ta sama surowość co w życiu zbiegłych mnichów, przestrzegających najściślejszego celibatu, aby nie można było zrzucenia sutanny przypisać czemuś innemu niż utracie wiary.

Pan de Charlus udawał, że nie widzi plugawego osobnika, który mu deptał po piętach. (Kiedy się puszczał na bulwary lub wchodził do poczekalni dworca Saint-Lazare, na tuziny liczyli się natręci, którzy w nadziei załapania paru franków nie odstępowali go na krok). Bojąc się, aby drab nie odważył się doń przemówić, baron nabożnie spuszczał poczernione rzęsy, które przez kontrast z upudrowanymi policzkami, czyniły go podobnym do wielkiego inkwizytora z obrazu El Greco<sup>191</sup>. Ale ten rzekomy ksiądz robił straszliwe wrażenie i wyglądał na wyklętego księdza, kompromisy bowiem, do których zmuszała go konieczność usprawiedliwiania swoich gustów i chronienia ich tajemnicy, wydobyły na jego twarz właśnie to, co starał się ukryć: plugawe życie streszczone w upadku moralnym. Upadek ten bez względu na przyczynę łatwy jest do odczytania, bo niebawem materializuje się i rozlewa na twarzy, zwłaszcza na policzkach i koło oczu, tak samo konkretnie, jak chora wątroba barwi te miejsca kolorem ochry, a choroby skóry odrażającą czerwienią. Zresztą nie tylko w policzkach, a raczej fałdach uszmińkowanej twarzy, w tłustej pierś, w obfitym siedzeniu zwiotczałego i zalanego tłuszczem ciała widniała teraz, rozlana jak oliwa, przywara wtłaczana niegdyś przez pana de Charlus tak dyskretnie w głąb jego istoty. Teraz przelewała się w słowach.

— A, to tak, Brichot, spaceruje pan po nocy z pięknym młodzieńcem — rzekł baron, podchodząc do nas, gdy zawiedziony drab pierzchał. — Ładne rzeczy. Powie się pańskim uczniom w Sorbonie, że z pana taki numer. Zresztą towarzystwo młodych służy panu, profesorze, wygląda pan świeżo jak róża. Przeszkodziłem panom; robiliście wrażenie dwóch rozbawionych pensjonarek, nic wam po takiej jak ja babuni-pryzwoitce. Ale nie mam co sobie wyrzucać, skoro już byliście prawie na miejscu.

Baron był w wybornym humorze; nie wiedział nic o popołudniowej scenie, gdyż Jupien uznał za celowsze zabezpieczyć siostrzenicę przed nową napaścią niż uprzedzić pana de Charlus. Toteż baron wciąż wierzył w małżeństwo Morela i cieszył się nim. Zdaje się, że pociechą dla tych wielkich samotników jest dawać swemu tragicznemu celibatowi balsam urojonego ojcostwa.

— Ależ słowo honoru, profesorze — dodał baron, zwracając się ku nam — mam skrupuły, widząc pana w tak miłym towarzystwie. Wyglądaliście jak para gołąbków. Tak sobie pod ramię, słuchaj no, profesorciu, puszczasz się pan na całego.

Czy mamy szukać przyczyn takich słów w starzeniu się tej myśli, mniej już panującej nad odruchami? Czy w chwilach automatyzmu myśl pozwala się wymknąć sekretowi, troskliwie pochowanemu przez czterdzieści lat? Może przyczyną była wzgarda dla opinii plebsu wspólna w gruncie wszystkim Guermantom. (Inną formę tej wzgardy przedstawiał brat pana de Charlus, książę Błażej, kiedy nie troszcząc się o to, że moja matka może go widzieć, golił się w rozpiętej nocnej koszuli przy oknie). Może pan de Charlus w czasie swoich płomiennych wędrówek między Doncieres a Doville nabył niebezpiecznego zwyczaju folgowania sobie, i jak odsuwał w tył słomkowy kapelusz, aby ochłodzić ogromne czoło, tak samo przywykł rozluźniać, z początku tylko na chwilę, maskę od nazbyt dawna ściśle przymocowaną do jego prawdziwej twarzy? Małeńskie maniery pana de Charlus z Morelem słusznie zdziwiłyby kogoś, kto by je znał całkowicie. Ale wynikło to stąd, że jednostajność rozkoszy, jakie nastęrcza jego przywara, znużyła pana de Charlus. Szukał instynktownie nowych wyczynów, a zmęczony się przygodnymi nieznanymi, przerzucił się na przeciwny biegun, w to, czym się spodziewał brzydzić zawsze, w imitację „stadła” lub „ojcostwa”. Czasem nawet i to mu nie wystarczało; trzeba mu było czegoś nowego; wówczas szedł spędzić noc z kobietą, tak jak normalny mężczyzna może raz w ży-

<sup>189</sup>którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki i smoły — odniesienie do poematu Dantego *Boska Komedia*, w którym przewodnikiem bohatera po piekle i czyśćcu jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Sodoma — biblijne miasto nad Morzem Martwym, które z powodu grzechu i zepsucia zostało zniszczone przez Boga deszczem ognia i siarki (Rdz 18–19). [przypis edytorski]

<sup>191</sup>El Greco, właśc. *Domenikos Theotokopulos* (1541–1614) – hiszpański malarz, rzeźbiarz i architekt pochodzenia greckiego; autor m.in. pełnopostaciowego portretu kardynała Fernanda Niño de Guevary (1541–1609), wielkiego inkwizytora Hiszpanii. [przypis edytorski]

ciu chcieć się przespać z chłopcem przez podobną ciekawość, w obu wypadkach na równi przewrotną i niezdrową. Egzystencja barona jako „wiernego”, żyjącego z powodu Morela jedynie w małej „paczce”, zniweczyła jego długotrwałe wysiłki mające na celu zachowanie kłamliwych pozorów; podobnie jak podróż lub pobyt w koloniach działa na wielu Europejczyków, tracących w tych warunkach zasady, jakimi rządzą się we Francji. Z tym wszystkim wewnątrzna przemiana człowieka zrazu nieświadomego swojej anormalności, później przerażonego jej odkryciem, w końcu oswojonego z nią aż do utraty poczucia, że nie można bezkarnie przyznać się przed drugimi do tego, do czego się w końcu przyznał bez wstydu przed sobą, jeszcze więcej niż pobyt u Verdurinów przyczyniła się do zniweczenia w panu de Charlus ostatnich hamulców socjalnych. W istocie żadne wygnanie na biegun południowy lub na szczyt Mont Blanc nie oddali człowieka tak bardzo od innych ludzi jak długi pobyt w atmosferze zboczenia, to znaczy w atmosferze myśli odmiennej od myśli ogółu; zboczenia (tak określał niegdyś pan de Charlus swoją przywarę), w którym baron widział teraz dobroduszną fizjonomię pospolitej wady, bardzo rozpowszechnionej, raczej sympatycznej i prawie zabawnej, jak lenistwo, roztargnienie lub łakomstwo. Czując ciekawość, jaką budziły swoiste jego cechy, pan de Charlus znajdował przyjemność w tym, aby zaspokajać tę ciekawość, aby ją podsycać, podtrzymywać. Tak jak jakiś publicysta żydowski występuje co dnia jako szermierz katolicyzmu, zapewne nie po to, aby go brano na serio, ale aby nie zawieść oczekiwania przyjaznych kpiarzy, tak pan de Charlus piętnował jowialnie w „paczce” podejrzanę obyczaję, ot tak jakby przedrzeźniał angielszczyznę lub imitował Mouneta-Sully<sup>192</sup>, nie czekając aż go poproszą, płacąc z miłą chęcią „cechę” swoim talentem. Tak oto pan de Charlus groził Brichotowi zdenuncjowaniem profesora przed Sorboną, że się „puszcza z młodymi”, podobnie jak obrzezany publicysta mówi przy każdej okazji o „starszej córce Kościoła” i o „Przenajświętszym Sercu Jezusa” — bez cienia obłudy, ale z odcieniem kabotyństwa. I byłoby ciekawe znaleźć wytłumaczenie nie tylko dla zmiany samych słów, tak odmiennych od dawniejszej konwersacji barona, ale także dla zmiany intonacji, gestów. Były one teraz szczególnie podobne do tego, co pan de Charlus najostrożniej piętnował niegdyś: wydawał teraz mimo woli prawie te same piski i okrzyki (u niego mimowolne i przez to tym głębsze), jakie wydają dobrowolnie zboczeńcy, wołający się między sobą „szelmutko”; tak jakby świadome mizdrzenie się, którego pan de Charlus był tak długo przeciwieństwem, było w istocie genialnym i wiernym naśladownictwem wzięcia, jakie mimo wszystko przybierają w końcu Charlusowie, kiedy weszli w pewną fazę choroby, tak jak paralityk lub tabetyk<sup>193</sup> zdradzają w końcu nieuchronnie pewne objawy. Owo czysto wewnętrzne mizdrzenie się dowodziło w istocie, że między surowym, ubranym czarno Charlusem, z włosami na jeża, którego znałem niegdyś, a uszminkowanymi młodymi ludźmi noszącymi mnóstwo klejnotów zachodziła jedynie ta pozorna różnica, jaka istnieje między osobą podnieconą, mówiącą szybko i rzucającą się ciągle, a neuropatą, który mówi wolno, zachowuje stałą flegmę, ale jest takim samym neurastenikiem w oczach psychiatry, świadomego, że i jeden i drugi typ podlega podobnym lękom i dotknięty jest podobnymi skazami.

To, że pan de Charlus się zestarzał, widać było zresztą po całkiem odmiennych oznakach, jak na przykład nadzwyczaj bujne plenie się w jego rozmowie pewnych zwrotów powracających teraz co chwilę (na przykład: „splot okoliczności”), o które to zwroty słowa barona wspierały się raz po raz jak o nieodzownego opiekuna.

— Czy Charlie już jest? — spytał Brichot pana de Charlus, kiedyśmy dochodzili do bramy.

— Och, nie wiem — rzekł baron, podnosząc ręce i przymykając oczy z miną człowieka, który nie chce, aby go pomawiano o niedyskrecję, tym bardziej że cierpiał zapewne wyrzuty Morela za jakieś odezwanie się, które skrzypek uznał za ważne, mimo że było w gruncie nieznaczące. Bo Morel był równie tchórzliwy, jak próżny, i wypierał się pana de Charlus równie chętnie, jak chętnie się w niego stroił.

— Niech sobie pan wyobrazi, ja nie mam pojęcia, co on robi!

<sup>192</sup>Mounet-Sully (pseud.), właśc. Jean-Sully Mounet (1841–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>tabetyk (przest., z fr.) — osoba cierpiąca na uwiąd rdzenia kręgowego, charakterystyczny objaw późnego stadium jednej z chorób wenerycznych. [przypis edytorski]

O ile rozmowy dwojga osób, które żyją z sobą, są pełne kłamstwa, nie mniej naturalnie rodzi się kłamstwo w rozmowach kogoś trzeciego z kochankiem na temat kochanej przezeń osoby, bez względu na jej płeć.

— Czy dawno go pan widział? — spytał pana de Charlus, aby okazać równocześnie, że się nie boję z nim mówić o Morelu i że nie przypuszczam, aby z nim żył całkowicie.

— Zaszedł do mnie przypadkiem na pięć minut dziś rano, gdy jeszcze spałem; usiadł na moim łóżku, tak jakby mnie chciał zgwałcić.

Natychmiast powziąłem myśl, że pan de Charlus widział się z Morelem przed godziną, bo kiedy spytać kobietę, kiedy widziała mężczyznę, o którym wiemy, że jest jej kochankiem — i co do którego ona sama może przypuszcza, że świat widzi w nim jej kochanka — wówczas, jeżeli jadła z nim dopiero co podwieczorek, kobieta ta odpowiada: „Widziałam go na chwilę, przed śniadaniem”. Pomiędzy tymi dwoma faktami zachodzi tylko ta różnica, że jeden jest zmyślony, a drugi prawdziwy, ale oba są równie niewinne lub, jeśli kto woli, równie występne. Toteż nie rozumielibyśmy, czemu kochanka (w danym wypadku pan de Charlus) podaje zawsze fakt kłamliwy, gdybyśmy nie wiedzieli, że owe odpowiedzi kształtuje, bez wiedzy danej osoby, suma czynników na pozór będąca w takiej dysproporcji z błahością faktu, iż wypadnie tu autorowi przeprosić, że je bierze w rachubę. Ale dla fizyka miejsce, jakie zajmuje najmniejsza kulka bzoła, określa się zgodnością, zderzeniem lub równowagą praw przyciągania lub odpychania — praw rządzących o wiele większymi światami. Wspomnijmy tu jedynie dla pamięci chęć okazania się naturalnym i śmiałym, odruchową chęć ukrycia tajemnej schadzki, połączenie wstydlivosti i popisu, potrzebę wyznania tego, co jest tak miłe, i pokazania, że się jest kochanym, odgadywania tego, co interlokutor wie i przypuszcza, a czego nie mówi; przenikliwość, która przewyższając bystrość partnera lub nie dosięgając jej, każe ją to przeceniać, to nie doceniać; wreszcie mimowolne pragnienie igrania z ogniem i chęć przeszkodzenia jego szzerzeniu się. Tyleż różnych praw działających w przeciwnym kierunku dyktuje bardziej ogólnikowe odpowiedzi dotyczące niewinności, „platonizmu” lub przeciwnie, fizycznej konkretności czyichś stosunków z osobą, którą ów ktoś widział rzekomo rano, kiedy ją naprawdę widział wieczorem. Bądź co bądź, powiedzmy ogólniej, pan de Charlus, mimo pogorszenia jego choroby popychającej go ustawicznie do odsłaniania, insynuowania, czasem po prostu zmyślania kompromitujących szczegółów, starał się w tym okresie życia twierdzić, że Charlie nie jest z tego gatunku ludzi co on sam i że łączy ich tylko przyjaźń. Mimo że to była może prawda, nie przeszkadzało to, że baron popadał czasami w sprzeczność (na przykład co do godziny, o której widział Morela), czy że zapomniał prawdy, czy że kłamał, aby się pochwalić albo przez sentymentalizm, albo bawiąc się tym, że zmyli interlokutora.

— Pan wie, że on jest dla mnie — ciągnął baron — sympatycznym młodym koleżką, do którego jestem bardzo przywiązany, tak jak jestem pewny — czy dlatego, że wątpił o tym, lubił powtarzać, że jest tego pewny? — że on jest bardzo przywiązany do mnie; ale nie ma między nami nic więcej, rozumie pan, ani tycio — mówił baron równie naturalnie, co gdyby mówił o kobiecie. — Tak, przyszedł dziś rano wyciągać mnie z łóżka. A przecie wie, że ja nie cierpię, żeby mnie widziano w łóżku. Pan nie? Och, to jest okropne tak kogoś zaskoczyć, człowiek jest wtedy taki brzydki... Wiem, że nie mam dwudziestu pięciu lat, i nie pozuję na dziewicę, ale i tak człowiek ma swoją kokieterię.

Możliwe jest, iż baron był szczery, nazywając Morela dobrym koleżką, i że mówił prawdę bardziej, niż sam przypuszczał, powiadając: „Ja nic nie wiem, co on robi, nie znam jego życia”.

Przerwijmy na chwilę opowiadanie, aby je podjąć zaraz po tym nawiasie, który otwieramy w chwili, gdy pan de Charlus, Brichot i ja zbliżamy się do siedziby pani Verdurin, i powiedzmy, że w istocie niedługo przed tym wieczorem pogrążył barona w bolesti i zdumieniu list, który pan de Charlus otworzył przez nieuwagę, list zaadresowany do Morela. Ów list, który rykoszetem miał znów mnie zadać okrutne cierpienia, pisany był przez aktorkę Leę, sławną ze swego wyjątkowego gustu do kobiet. Pan de Charlus nie podejrzewał nawet, że Morel ją zna: otóż jej list do Morela pisany był w tonie wręcz namiętnym. Plugastwo tego listu nie pozwala go tu przytoczyć, zaznaczmy tylko, że Lea, mówiąc do Morela, posługiwała się stale rodzajem żeńskim, pisząc: „Och, ty świntuszek!” albo:

„Ukochana, cudna, ty przynajmniej jesteś nasza, jesteś z tych, co...” itd. I była w tym liście mowa o wielu innych kobietach, najwidoczniej równie zażyłych z Morelem jak z Leą. Z drugiej strony drwiny Morela na temat pana de Charlus, a Lei na temat oficera, który ją utrzymywał, a o którym mówiła: „Błaga mnie w listach, żebym mu była wierna! Ty coś wiesz o tym, moja ty kotuśko”, odsłaniały panu de Charlus rzeczywistość równie przez niego niepodejrzewaną jak stosunki Morela z Leą — tak specjalne. Wstrząsnęły zwłaszcza barona słowa: „jesteś z tych...”. Długo nie mając o tym pojęcia, dowiedział się wreszcie (już od dawna), że on sam był „z tych”. Otóż teraz owo przez niego nabyte pojęcie stało pod znakiem zapytania. Kiedy odkrył, że był „z tych”, rozumiał przez to, że jego gusty, jak powiada Saint-Simon, nie zwracały się w stronę kobiet. Otóż tutaj wyrażenie „z tych” nabierało rozpiętości, której pan de Charlus nie znał; u Morela o tym, że był „z tych”, świadczyć miał fakt, że miał ten sam gust do kobiet co same kobiety. Z tą chwilą zazdrość pana de Charlus nie miała już powodu ograniczyć się do męskich znajomych Morela, ale miała się rozciągnąć i na kobiety. Tak więc „z tych” były nie tylko te osoby, które on przypuszczał, ale olbrzymia część kuli ziemskiej, składająca się równie dobrze z kobiet, jak z mężczyzn, kochających nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Wobec nowego znaczenia słowa, które mu było tak znane, ogarniał barona dręczący niepokój zarówno intelektu, jak serca, zrodzony z podwójnej tajemnicy, w którą wchodziło zarazem poszerzenie jego zazdrości i nagła niedostateczność definicji.

## Uwięziona, tom drugi

### ROZDZIAŁ DRUGI (CIAĞ DALSZY)

Pan de Charlus był zawsze w życiu tylko dyletantem. To znaczy, że tego rodzaju wypadki nie mogły mu przynieść żadnego pożytku. Przykre wrażenie, pod jakim go zostawiały, wyładowywał w gwałtownych scenach, w których umiał być wymowny, lub w intrygach. Ale dla osobnika z talentem jakiegoś Bergotte’a doświadczenia takie mogłyby stać się cenne. Działamy w życiu po omacku, ale podobnie do zwierząt, wybierając roślinę, która nam jest zbawienna; co tłumaczy po części, że ludzie tacy jak Bergotte żyją przeważnie w towarzystwie istot miernych, fałszywych i złych. Piękność wystarcza wyobraźni pisarza, podnieca jego dobroć, ale nie przekształca w niczym natury jego towarzyszek, której życie, położone o tysiące metrów niżej, niewiarygodne stosunki, kłamstwa przekraczające wszelkie przypuszczenie, a zwłaszcza idące w odmiennym kierunku, ukazują się chwilami niby błyskawica. Kłamstwo, kłamstwo doskonałe o ludziach, których znamy, o stosunkach, jakie nas z nimi łączą, o naszych ewentualnych pobudkach sformułowanych przez nas zupełnie inaczej, kłamstwo o tym, czym jesteśmy, co kochamy, czego doznajemy wobec istoty, która nas kocha i która sądzi, że nas urobiła na swoje podobieństwo, dlatego że nas całuje przez cały dzień — to kłamstwo jest niemal jedyną rzeczą zdolną otworzyć nam perspektywę na coś nowego, nieznanego, obudzić w nas uśpione zmysły i objawić nam wszechświat, którego nigdy nie bylibyśmy poznali.

Co się tyczy pana de Charlus, trzeba powiedzieć, że o ile był zdumiony, dowiadując się o Morelu rzeczy, które ów przed nim starannie ukrywał, mylił się, wnioskując stąd, iż błędem jest wiązać się z osobnikami z ludu. Ujrzymy w istocie, w ostatnim tomie tego dzieła, samego pana de Charlus robiącego rzeczy, które bardziej zdumiałyby jego rodzinę i przyjaciół, niż jego mogło zdumieć życie odsłonięte przez Leą. (Najprzykrzejszą rewelacją była dla barona podróż, którą Morel odbył z Leą, zapewniając pana de Charlus, że przez ten czas studiował muzykę w Niemczech. Aby poprzec to kłamstwo, użył pomocy życzliwych osób, wyprawiając swoje listy do Niemiec, skąd oni przesyłali je panu de Charlus, tak zresztą przekonaniem, iż Morel w istocie tam przebywa, że nawet nie patrzył na marki<sup>194</sup>).

Ale już czas dogonić barona, który posuwa się z Brichotem i ze mną do bramy Verdurinów.

<sup>194</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

— A co się stało — dodał, zwracając się ku mnie — z młodym Hebrajczykiem, któregośmy spotkali w Doville? Przyszło mi na myśl, że gdyby to panu sprawiło przyjemność, można by go zaprosić któregoś wieczora.

W istocie pan de Charlus, zadowolając się bezwstydnym szpiegowaniem Morela przez biuro detektywów (zupełnie jak mąż lub kochanek), sam chętnie zerkał w stronę innych młodych ludzi. Nadzór, który polecił staremu służącemu roztaczać nad Morelem za pośrednictwem agentów, był tak mało dyskretny, iż lokaje myśleli, że to ich śledzą, a jedna z pokojówek umierała ze strachu, nie śmiała się wychylić na ulicę, myśląc, że wciąż agent depce jej po piętach. „Ależ niech sobie robi, co się jej podoba! Właśnie byśmy tracili czas i pieniądze na to, aby ją śledzić! Jakby jej prowadzenie się mogło nas w czymkolwiek obchodzić!” — wykrzykiwał ironicznie stary sługa, tak namiętnie przywiązany do pana, że nie dzieląc bynajmniej gustów barona, obsługiwał go żarliwie i w końcu mówił o nich tak, jakby to były jego własne gusty. „To uosobiona zacność” — mówił o tym starym słudze Charlus, bo nikogo się nie ceni tak, jak tych, którzy ze swymi wielkimi cnotami łączą cnotę oddawania ich na usługi naszych przywar. Zresztą co się tyczy Morela, pan de Charlus zdolny był do zazdrości jedynie o mężczyzn. O kobiety nie troszczył się wcale. Jest to zresztą niemal ogólne prawidło Charlusów. Miłość kochanego przez nich mężczyzny do kobiety jest czymś innym, czymś, co się dzieje w innym gatunku zwierząt (lew zostawia tygrysy w spokoju), czymś, co im nie przeszkadza i raczej ich uspokaja. Czasem, to prawda, tych, co czynią z inwersji kapłaństwo, brzydzi taka miłość. Mają wówczas żal do przyjaciela, że się jej oddawał; żal nie o zdradę, ale o upadek. Jakiś inny Charlus, odmienny od barona, oburzyłby się wiadomością, że Morel żyje z kobietą, tak jakby się oburzył, widząc na afiszu, że on, odtwórca Bacha<sup>195</sup> i Haendla<sup>196</sup>, ma grać Pucciniego<sup>197</sup>! Dlatego właśnie młodzi ludzie, którzy dla interesu poddają się miłości Charlusów, wmawiają w nich, że mają do kobiet zdecydowany wstręt, tak jak powiedzieliby lekarzowi, że nigdy nie używają alkoholu i lubią jedynie źródlaną wodę. Ale pan de Charlus odbiegał nieco w tym punkcie od powszechnej reguły. Tak dalece podziwiał w Morelu wszystko, że jego powodzenia u kobiet nie gniewały go; sprawiały mu tę samą radość co sukcesy skrzypka na koncercie lub w partyjce *écarté*<sup>198</sup>. „Ależ, drogi panie, pan wie, kobiety lecą na niego!” — powiadał tonem rewelacji, zgorzienia, może zawiści, zwłaszcza podziwu. „On jest nadzwyczajny” — dodawał. — „Wszędzie najślawniejsze źdźziry sypią do niego oko. Wypatrują się na niego wszędzie, w metrze czy w teatrze. To się robi aż nudne! Nie mogę z nim iść do restauracji, żeby garson<sup>199</sup> nie przyniósł mu bilecików od trzech kobiet. A zawsze od ładnych. Trudno się zresztą dziwić. Przyglądałem mu się wczoraj i rozumiem to; zrobił się bajecznie piękny, wygląda na jakiegoś Bronzina<sup>200</sup>, jest doprawdy wspaniały”. Ale o ile pan de Charlus lubił okazywać, że kocha Morela, lubił też przekonywać innych, może i siebie, że posiada jego wzajemność. Miał tę ambicję, aby go ciągle mieć przy sobie mimo szkody, jaką ten młody człowiek mógł przynieść światowej sytuacji barona. Często zdarza się u ludzi dobrze sytuowanych, a snobów, że przez próżność zrywają wszystkie stosunki po to, aby ich wszędzie widziano z kochanką z półświatka lub jakąś wybrakowaną damą, której nikt nie przyjmuje, a której fawory wydają się im czymś pochlebnym. Bo baron doszedł do tego punktu, gdzie próżność sili się wytrwale niszczyć cele, które osiągnęła, czy że pod wpływem miłości znajdujemy niewidzialny dla innych urok w ostantacyjnych stosunkach z kochaną istotą, czy że urzeczywistnione światowe ambicje słabną, rosną zaś skłonności do pokątnych miłostek, tym bardziej absorbujących, iż są platoniczne. I z czasem u barona nowe te upodobania nie tylko osiągnęły, ale przekroczyły poziom, na którym z trudem utrzymywały się dawne.

<sup>195</sup>Bach, Johann Sebastian (1685–1750) — wybitny niemiecki kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>Haendel, Georg Friedrich (1685–1759) — niemiecki kompozytor, jeden z najwybitniejszych twórców muzyki późnego baroku. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>Puccini, Giacomo (1858–1924) — włoski kompozytor muzyki operowej, jeden z wielkich mistrzów tradycji opery. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*écarté* (fr.) — dawna hazardowa gra karciana dla dwóch osób, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>Bronzino, właśc. Agnolo di Cosimo (1503–1572) — włoski malarz, rysownik i poeta okresu manieryzmu; autor m.in. obrazu *Portret młodego mężczyzny* (1540). [przypis edytorski]

Co się tyczy innych młodych ludzi, pan de Charlus uważał, że istnienie Morela nie jest przeszkodą wobec nich i że nawet sława Morela jako pianisty<sup>201</sup> lub jego poczynający się rozgłos jako kompozytora i dziennikarza mogłyby w pewnych razach posłużyć mu jako przynęta. Kiedy baronowi przedstawiono jakiegoś młodego kompozytora o miłej powierzchowności, szukał w talentach Morela okazji do uczczenia nowego znajomego: „Powinien by pan — powiadał — przynieść mi swoje kompozycje, Morel zagrałby je na koncercie albo na swoim tournée. Tak mało jest przyjemnej skrzypcowej muzyki, to prawdziwa gratka znaleźć w tym zakresie coś nowego. I cudzoziemcy bardzo to cenią. Nawet na prowincji są kółka muzyczne, w których pielęgnuje się muzykę z cudownym zapalem i inteligencją”.

Wszystko to służyło tylko za przynętę, rzadko bowiem zdarzało się, żeby Morel ziścił te obietnice. A gdy Bloch przyznał się, że jest trochę poetą, „w wolnych chwilach” — dodał z sarkastycznym śmiechem, którym podkreślał banalność, kiedy nie umiał znaleźć oryginalnego wyrażenia, pan de Charlus oświadczył mi z równie wątpliwą szczerością:

— Powiedz pan temu młodemu Izraelicie, że skoro pisze wiersze, powinien by mi je przynieść dla Morela. To zawsze wielka trudność dla kompozytora znaleźć coś ładnego pod muzykę. Można by nawet pomyśleć o jakimś libretcie. To by mogło być interesujące i nabrałoby pewnego znaczenia z powodu sytuacji poety, mojej protekcji, całego spłotu okoliczności, wśród których talent Morela zajmuje pierwsze miejsce, bo on wiele teraz komponuje i pisze także, i bardzo ładnie, opowiem to panu. Co do jego geniuszu wykonawcy, wie pan, że pod tym względem jest już prawdziwym mistrzem. Zobacz pan dziś wieczór, jak ten smarkacz kapitalnie interpretuje Vinteuila; głupieję po prostu; w jego wieku mieć takie zrozumienie, pozostając przy tym takim dzieciakiem, takim malcem! Och, dziś jest tylko mała próba. Wielka awantura ma być za kilka dni. Ale dziś będzie o wiele bardziej elegancko. Toteż jesteśmy bardzo radzi, że pan przyszedł — rzekł baron, używając owego „my” prawdopodobnie dlatego, że król powiada: „życzymy sobie”. — Z racji wspaniałego programu poradziłem pani Verdurin, żeby zrobiła dwie uroczystości. Jedna za kilka dni, na której będą wszyscy jej znajomi, dziś druga, w której „pryncypałka”<sup>202</sup> jest, mówiąc terminem sądowym, wywłaszczona. To ja ułożyłem listę i zebrałem trochę osób z innego świata, osób, które mogą być użyteczne dla Charliego, a które Verdurinom miło będzie poznać. Zapewne to bardzo ładnie, produkować najpiękniejsze rzeczy z udziałem największych artystów, ale cały ewenement ginie bez echa, jeśli publiczność składa się ze sklepikarki z przeciwka i kupca korzennego z rogu. Pan wie, co ja sądzę o poziomie intelektualnym światowców; ale oni mogą odegrać pewne dosyć ważne role, między innymi rolę analogiczną do prasy jako narzędzia reklamy. Rozumie pan, co mam na myśli: zaprosiłem na przykład moją bratową Orianę; nie jest pewne, czy przyjdzie, pewne natomiast jest, że jeżeli przyjdzie, nie zrozumie absolutnie nic. Ale nikt nie żąda od niej, żeby rozumiała, to przekracza jej środki duchowe; żąda się, żeby gadała, co jest do tych środków wybornie dostosowane i czego też sobie nie odmówi. Skutek: jutro zamiast milczenia sklepikarki i korzennika ożywiona rozmowa u Mortemartów, gdzie Oriana opowie, że słyszała cudowne rzeczy, że niejaki Morel itd.; nieopisana wściekłość niezaproszonych, którzy powiedzą: „Palamed uznał z pewnością, że jesteśmy niegodni; zresztą, co to za ludzie, u których się to działo!” — akompaniament równie pożyteczny jak hymny Oriany; w ten sposób nazwisko Morela powtarza się co chwila i odciska się w pamięci niby lekcja odczytana dziesięć razy z rzędu. Wszystko to stwarza spłot okoliczności, który może mieć swoją wartość dla artysty, dla pani domu, może posłużyć poniekąd za głośnik dla uroczystości artystycznej udzielonej w ten sposób i dalszej publiczności. Doprawdy, że to warte trudu; zobaczy pan, jakie Charlie zrobił postępy. Objawił się w nim zresztą nowy talent, drogi panie: pisze jak anioł. Jak anioł, powiadam panu.

Pan de Charlus nie wspomniał nam, że od jakiegoś czasu — jak owi wielcy panowie z XVII wieku, którzy nie raczyli podpisywać, a nawet pisać swoich pamfletów<sup>203</sup> — kazał

<sup>201</sup> sława Morela jako pianisty — zdaje się, że w pierwszej redakcji Morel miał być pianistą, czego ślad został w tym „przepisaniu się”. [przypis tłumacza]

<sup>202</sup> pryncypałka (przestarz.) — zwierzchniczka, przełożona. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> pamflet (lit.) — utwór będący ostrą demaskatorską krytyką osoby, grupy lub instytucji, zwykle złośliwy, często anonimowy. [przypis edytorski]



sporządzać Morelowi plugawe i potwarcze notatki wymierzone przeciw hrabinie Morel. Notatki te, rażące bezczelnością tych, co je czytali, o ileż musiały być dotkliwsze dla młodej kobiety odnajdującej w nich ustępy z własnych listów, cytowane dosłownie, ale w sensie, który mógł ją przywieźć do szaleństwa jako najokrutniejsza zemsta. Były zresztą tak zręcznie wsunięte, że nikt prócz niej nie mógł tego zgadnąć. Młoda kobieta przypłaciła to życiem. Ale w Paryżu — powiedziałby Balzac — wychodzi co dnia rodzaj mówionego dziennika, okrutniejszego niż inne. Ujrzymy później, że ta sama „mówiona prasa” zniweczyła później potęgę niemodnego już Charlusa i o wiele ponad niego wzniosła Morela, który nie był wart ani milionowej części swego dawnego protektora. Przynajmniej ta moda intelektualna jest naiwna i szczerze wierzy w nicość jakiegoś genialnego Charlusa i w niezaprzeczony autorytet głupiego Morela. Baron był mniej niewinny w nieubłaganych zemstach. Stąd z pewnością gorzki skurcz ust, którego fala zdawała się zalewać policzki żółcią, kiedy baron był w gniewie.

— Myślałem niegdyś — podjął pan de Charlus — że pan, który znałeś Bergotte’a, bylbys mógł, zwracając mu uwagę na próby tego młodego człowieka, współpracować w pewnym sensie ze mną, pomóc mi rozwinąć podwójny talent, muzyka i pisarza, zdolny kiedyś urósć do miary jakiegoś Berlioza<sup>204</sup>. Pan wie, ci wielcy mają często co innego na głowie, łykają kadzidła, mało czym się interesują poza sobą. Ale Bergotte, który był naprawdę prosty i usłużny, przyrzekł mi umieścić w „Gaulois”, czy nie wiem już gdzie, te felietoniki półhumorysty, półmuzyka. To, co teraz pisze, jest równie niepospolite, i doprawdy bardzo rad jestem, że Charlie przydaje do swoich skrzypiec ten strzępek „pióra Ingres’a”. Sam wiem, że kiedy chodzi o niego, łatwo przesadzam, jak wszystkie stare mamy z konserwatorium. Jak to, mój chłopcze, nie wiedziałeś tego? To chyba mnie nie znasz z tej strony, od strony entuzjazmu. Wyczekuję godzinami u drzwi komisji egzaminacyjnej. Bawię się jak królowa. Co się tyczy prozy Charlie, Bergotte zapewniał mnie, że to jest naprawdę bardzo bardzo.

Pan de Charlus, który znał Bergotte’a od dawna przez Swanna, był w istocie u niego na kilka dni przed śmiercią pisarza z prośbą, aby wyrobił Morelowi rubrykę w dzienniku dla jego półhumorystycznych felietoników o muzyce. Idąc, miał pan de Charlus trochę wyrzutów sumienia, bo będąc wielkim wielbicielem Bergotte’a, uprzytomnił sobie, że nigdy nie był tam dla niego samego, ale po to, aby dzięki półintelektualnemu, półsocjalnemu uznaniu, jakiego zażywał w oczach pisarza, wyświadczyć jakąś grzeczność Morelowi lub innemu z przyjaciół. Nie raził pana de Charlus fakt, że się posługuje „światem” już tylko po to. Z Bergotte’em było mu to trochę przykre, bo czuł, że Bergotte nie jest utylitarystą jak ludzie światowi i wart jest czegoś więcej. Ale życie barona było bardzo wypełnione; jeżeli znajdował czas, to tylko wtedy, kiedy miał wielką ochotę na coś, na przykład kiedy się to odnosiło do Morela. Co więcej, sam bardzo inteligentny, obojętny był na rozmowę człowieka inteligentnego; zwłaszcza Bergotte był na jego gust zanadto literatem i był z innego klanu, nie wchodził w jego punkt widzenia. Co się tyczy Bergotte’a, zdawał on sobie sprawę z interesowności wizyt barona, ale nie miał o to pretensji; całe życie był niezdolny do konsekwentnej dobroci, ale lubił zrobić komuś przyjemność, umiał rozumieć, a nie szukał satysfakcji w tym, aby komuś dawać nauczkę. Nie podzielał w żadnej mierze przywary pana de Charlus, ale raczej stanowiła ona element koloru danej osobistości, *fas et nefas*<sup>205</sup> dla artysty, wspierające się nie na żywych przykładach, ale na wspomnieniach Platona lub Sodomy.

— Ale ciebie, piękny młodzieńcze, nieczęsto się widzi na Quai Conti. Nie nadużywasz gościnności tego domu.

Odpowiedziałem, że przeważnie dotrzymuję towarzystwa kuzynce.

— Patrzcie go! Towarzystwo kuzynki, jakie to niewinne! — rzekł pan de Charlus do Brichota. I zwracając się znów do mnie, dodał: — Ależ my nie żądamy rachunku z tego, co robisz, moje dziecię. Wolno ci robić to, co cię bawi. Żałujemy jedynie, że nie mamy w tym udziału. Zresztą ma pan wyborny gust, urocza jest pańska kuzynka, niech się pan spyta Brichota, zaproszył ją sobie głowę w Denville. Będzie nam jej brakowało dzisiaj. Ale możeś pan dobrze zrobił, żeś jej nie przyprowadził. To cudowna rzecz, ta muzyka Vinteuila. Ale

<sup>204</sup>Berlioz, Hector (1803–1869) — francuski kompozytor i dyrygent, pisarz i krytyk muzyczny; twórca symfonii dramatycznej, wprowadził w muzyce symfonicznej motyw przewodni. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*fas et nefas* (łac.) — godziwie i niegodziwie. [przypis edytorski]

dowiedziałem się, że ma tu być córka autora i jej przyjaciółka, osoby o straszliwej reputacji. To zawsze kłopotliwe dla młodej panienki. Będą tutaj, chyba że nie mogły przyjechać. Miały być już popołudniu na małej domowej próbie, którą pani Verdurin urządziła i na którą zaprosiła samych nudziarzy, rodzinę, ludzi, których nie chcieliśmy mieć wieczorem. Otóż dopiero co przed obiadem Charlie powiedział nam, że to, co nazywamy „obie panny Vinteuil”, oczekiwane niezawodnie, nie przybyły.

Mimo straszliwego bólu, jaki uczulem, zestawiając nagle ze skutkiem (wyłącznie znany mi wprzód) odkrytą wreszcie przyczynę projektów Albertyny, mianowicie zapowiedzianą (ale nieznaną mi) obecność panny Vinteuil i jej przyjaciółki, zachowałem na tyle rozeznania, aby zanotować, że pan de Charlus, który oświadczył przed paru minutami, że nie widział Morela od rana, zdradził się przez nieuwagę z tym, że go widział przed obiadem.

Cierpienie moje stało się widoczne.

— Ale co panu? — rzekł baron. — Zielony pan jest; no, wejdźmy, zaziębi się pan, fatalnie pan wygląda.

Uczuciem, jakie zrodziły we mnie słowa pana de Charlus, nie były wątpliwości co do cnoty Albertyny. Wiele innych podejrzeń wdarło się już we mnie; za każdym nowym wątpliwym wydaje się nam, że miara jest przebrana, że nie zdołamy go już wytrzymać; a potem i tak znajduje sobie miejsce i skoro raz dostanie się w nasze wnętrze, ściera się z tyloma pragnieniami ufności, z tyloma powodami do zapomnienia, że dość szybko przystosowujemy się do niego, przestajemy się nim w końcu zajmować. Zostaje w nas jedynie jako ból na wpół uleczony, groźba cierpienia, która niby podszywka pragnienia, z tej samej kategorii co ono i jak ono stawszy się centrum naszych myśli, sączy w nie na nieskończoną odległość subtelne smutki — smutki, podobnie jak żądza rozkoszy, nieodgadnionego pochodzenia — wszędzie gdzie może się coś skojarzyć z myślą o tej, którą kochamy. Ale ból budzi się, kiedy w nas wstąpi całkowicie nowe wątplenie; daremnie natychmiast prawie powiadamy sobie: „Jakoś się z tym uporam, znajdzie się jakiś sposób na to, aby nie cierpieć, to nie musi być prawda”; mimo to w pierwszym momencie cierpiało się tak, jak by się wierzyło. Gdybyśmy mieli tylko członki takie jak ręce i nogi, życie byłoby znośne; na nieszczęście nosimy w sobie ten drobny organ, który zwiemy sercem, podległy pewnym chorobom, w trakcie których jest on nieskończenie wrażliwy na wszystko, co dotyczy życia danej osoby. I kłamstwo — ta rzecz niewinna i w której żyjemy tak wesoło, czy uprawiamy je my, czy kto inny — kiedy pochodzi od tej osoby, przyprowadza owo małe serce (powinno by się je móc usuwać chirurgicznie) o ból nie do zniesienia. Nie mówmy o mózgu, bo chociaż nasza myśl mędrkuje bez końca w czasie tych ataków, nie zmienia ich, tak samo jak nasza uwaga nie ma wpływu na ból zębów. Niewątpliwie osoba ta winna jest, że skłamała, przysięgała przecież, że zawsze będzie nam mówiła prawdę! Ale wiemy z własnego przykładu w stosunku do innych, co warte są przysięgi. I chcieliśmy im dawać wiarę, kiedy pochodziły od niej, mającej właśnie wszelki interes w tym, aby nam skłamać i nie wybranej zresztą przez nas dla swoich cnót. Prawda, że później — właśnie kiedy serce stanie się obojętne na kłamstwo — nie potrzebowałaby już prawie wcale kłamać, dlatego że już nie będziemy się interesowali jej życiem. Wiemy to, mimo to poświęcamy chętnie nasze życie, bądź zabijając się dla tej osoby, bądź idąc na śmierć za zabicie jej, bądź po prostu wydając dla niej w kilka wieczorów cały majątek, co nas zmusza później do samobójstwa, bo nie mamy już nic. Zresztą choćbyśmy się czuli najspokojniejsi, w czasie gdy kochamy, miłość znajduje się w sercu zawsze w stanie niestałej równowagi. Lada co wystarczy, aby ją przechylić w stronę szczęścia; promieniejemy, obsypujemy czułościami nie tę, którą kochamy, ale tych, co nas podnieśli w jej oczach, co ją ustrzegli od wszelkiej pokusy; i myślimy, że jesteśmy spokojni, a wystarczy jednego słowa: „Gilberta nie przyjdzie” albo „zapowiedziała się panna Vinteuil”, aby całe przygotowane szczęście, do którego wyciągaliśmy ręce, runęło w gruzy, aby się słońce schowało, aby się wiatr zmienił i aby się rozpełtała wewnętrzna burza, której pewnego dnia nie będziemy się już zdolni oprzeć. W tym dniu, w dniu, kiedy serce stało się tak kruche, przyjaciele darzący nas swoim podziwem cierpią nad tym, że takie nic, taka istota może nam zadać ból, może nas uśmiercić. Ale co poradzą na to? Kiedy poeta umiera na zapalenie płuc, czy możemy sobie wyobrazić przyjaciół tłumaczących pneumokokom, że poeta ma talent i że pneumokoki powinny by go oszczędzić?

Podejrzanie dotyczące się panny Vinteuil nie było bezwzględnie nowe. Ale moja popołudniowa zazdrość o Leę i jej przyjaciółki stłumiła je poniekąd. Skoro tamto niebezpieczeństwo znikło, uczułem spokój, sądziłem, że go odzyskał na zawsze. Ale nowy był dla mnie zwłaszcza pewien spacer, o którym Anna powiedziała mi: „Byliśmy tam a tam, nie spotkałyśmy nikogo”, gdy przeciwnie, panna Vinteuil umówiła się na tym spacerze z Albertyną do pani Verdurin. Teraz pozwoliłbym chętnie Albertynie wychodzić samej, chodzić gdzie tylko chce, bylebym mógł gdzieś zamknąć pannę Vinteuil i jej przyjaciółkę i mieć pewność, że ich Albertyna nie spotka. Bo zazdrość jest przeważnie cząstkowa, o zmiennych lokalizacjach, bądź dlatego że jest bolesnym przedłużeniem niepokoju wywołanego to przez tę, to przez inną osobę, którą kochanka nasza mogłaby pokochać, bądź wskutek ograniczenia naszej myśli, zdolnej pojąć jedynie to, co sobie wyobraża, resztę zaś zostawiającej w stanie mglistym, prawie bezbolesnym.

W chwili gdyśmy mieli zadzwonić do bramy, złapał nas Saniette, który oznajmił, że księżna Szerbatow umarła o szóstej, i dodał, że nas nie poznał od razu.

— Patrzyłem przecież na was od dłuższej chwili — rzekł zdyszany. — Nie jesteście ciekawe, że się zawahał? — „Czy to nie ciekawe” wydałoby mu się błędem; upodobanie w staroświeckich zwrotach przechodziło u niego w manię. — A przecież panowie stanowiącie znajomość, do której można się przyznać. — Jego ziemista cera zdawała się oświetlona ołowianym blaskiem burzy. Zadyszka, która jeszcze tego lata zjawiała się jedynie wtedy, kiedy pan Verdurin „mył mu głowę”, była teraz stała. — Wiem, że wyborni artyści, osobliwie Morel, mają wykonać niewydane dzieło Vinteuila.

— Czemu osobliwie? — spytał baron, który dopatrywał się w tym przysłówku krytyki.

— Nasz przyjaciel Saniette — pośpieszył Brichot, obejmując rolę tłumacza — jako niepospolity erudyta<sup>206</sup> mówi chętnie językiem epoki, w której „osobliwie” znaczyło „zwłaszcza”.

Kiedyśmy wchodzili do przedpokoju, pan de Charlus zapytał mnie, czy pracuję. Kiedy odrzekłem, że nie, ale że bardzo się w tej chwili interesuję starym srebrem i porcelaną, powiedział, że nigdzie nie zobaczą piękniejszych rzeczy niż u Verdurinów; byłbym je zresztą mógł oglądać w La Raspelière, bo pod pozorem, że przedmioty są też przyjaciółmi, Verdurinowie robili to szaleństwo, że wszystko zabierali z sobą. Baron dodał, że trochę kłopotliwe jest wyciągać dla mnie wszystko w dniu proszonego wieczoru, ale postara się, aby mi pokazano, co zechcę. Poprosiłem, żeby tego nie robił. Pan de Charlus rozpiął palto, zdjął kapelusz; ujrzałem, iż głowa jego srebrzy się miejscami. Ale baron robił wrażenie cennego krzewu, przybierającego jesienne barwy, którego liście ochroniono, zawijając w watę lub umocowując gipsem; kilka siwych włosów na wierzchołku dopełniało jedynie pstrokacizny twarzy. A jednak nawet pod warstwami rozmaitych wyrazów, szminek i hipokryzji, które ją maskowały tak lichy, twarz pana de Charlus wciąż ukrywała niemal całemu światu sekret, który dla mnie wprost z niej krzyczał. Byłem niemal zażenowany jego oczami; bałem się, aby mnie nie schwycił na tym, że w nich czytam ten sekret jak w otwartej książce; zażenowany jego głosem, który mi powtarzał ten sekret na wszystkie tony z niestrudzonego bezwstydem. Ale tajemnice takich ludzi są bezpieczne, bo wszyscy w ich pobliżu stają się głusi i ślepi. Osoby dowiadujące się prawdy pośrednio, przez Verdurinów na przykład, wierzyły w nią, ale tylko póty, póki nie znały pan de Charlus. Jego twarz nie tylko nie potwierdzała brzydkich pogłosek, ale rozpraszała je. Tworzymy sobie o pewnych abstrakcjach pojęcie tak wielkie, że nie umielibyśmy ich utożsamiać z poufalemi rysami znajomej osoby. I z trudnością uwierzmy w tego rodzaju przywary, jak nie uwierzmy nigdy w geniusz człowieka, z którym jeszcze wczoraj byliśmy w Operze.

Pan de Charlus oddawał do szatni palto ze swobodą stałego gościa. Ale lokaj przy szatni był nowy, bardzo młody. Otóż pan de Charlus tracił obecnie często to, co się nazywa „busolą”, i nie zdawał już sobie sprawy z tego, co przystoi, a co nie przystoi. Jego znana nam z Balbec chwalebna chęć pokazania, że go nie przerażają pewne tematy, że się nie boi rzec o kimś: „Ładny chłopiec”, słowem, powiedzieć to samo, co mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”, teraz przeciwnie, wyrażała się często mówieniem rzeczy, których nie mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”. Rzeczy te zaprzętały go

<sup>206</sup>erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

tak ustawicznie, iż baron zapominał, że nie wszyscy wciąż o nich myślą. Toteż patrząc na nowego lokaja, podniósł palec i myśląc, iż robi wyborny żart, rzekł:

— Słuchaj, zabraniam ci robić do mnie oko w ten sposób. — Po czym, obracając się do Brichota, dodał: — Ma zabawną buziulkę ten mały, pocieszny ten nosek. I kontynuując swój żarcik lub odczuwając przyływ żądz, opuścił poziomo palce, zawahał się chwilę, po czym, nie mogąc się wstrzymać, wysunął nieodparcie palec prosto ku lokajowi i dotknął mu końca nosa, mówiąc: „Pif”.

„Ucieszna buda” — pomyślał lokaj, który pytał później kolegów, czy baron jest kawalarz czy bzik. „Takie już ma maniery — odparł *maître d’hôtel*<sup>207</sup> (który miał barona trochę za narwanego, trochę z „fiolem”) — ale to wielki przyjaciel państwa, godny człowiek, złote serce”.

— Czy pan będzie w tym roku w Incarville? — spytał mnie Brichot. — Zdaje się, że nasza pryncypalka wynajęła znów La Raspelière, mimo że miała kłopoty z właścicielami. Ale to nic, takie chmury łatwo się rozpraszają — dodał tym samym optymistycznym tonem, jakim dzienniki mówią: „Popelniono błędy, oczywiście, ale któż nie popełnia błędów?”. Ale ja pamiętałem, w jakim stanie opuściłem Balbec, i nie pragnąłem bynajmniej tam wrócić. Odkładałem z dnia na dzień projekty w związku z Albertyną.

— Ależ rozumie się, że przyjedzie, pragniemy tego, nieodzowny nam jest — oświadczył pan de Charlus z autorytatywnym i nic ni rozumiejącym egoizmem uprzejmości.

W tej chwili Verdurin wyszedł na nasze spotkanie. Verdurin, któremu złożyliśmy kondolencje z powodu księżnej Szerbatow, rzekł:

— Tak, wiem, że z nią niedobrze.

— Ależ nie, umarła o szóstej! — wykrzyknął Saniette.

— Pan zawsze przesadza — odparł brutalnie Verdurin, który wobec tego, że wieczoru nie odwołano, wołał przyjąć hipotezę choroby, bezwiednie naśladowując w tym księcia de Guermantes.

Saniette, nękaną obawą przeziębienia, bo bramę ustawicznie otwierano, czekał z rezygnacją, aby wzięto jego rzeczy.

— Co pan tam tak waruje jak pies? — spytał go Verdurin.

— Czekam, żeby ktoś z tych, co czuwają koło rzeczy, wziął mój paltot<sup>208</sup> i dał mi numer.

— Co pan plecie? — spytał go surowo pan Verdurin. — „Co czuwają koło rzeczy”. Czy pan się robi ramol? Mówi się: „pilnują rzeczy”. Widzę, że pana trzeba uczyć po francusku jak kogoś, kto miał atak paraliżu.

— Czuwać koło czegoś to jest właściwa forma; ksiądz Le Batteux<sup>209</sup>...

— Drażnisz mnie pan! — wykrzyknął Verdurin straszliwym głosem. — Jak pan sapie! Czyś się pan drapał na szóste piętro?

Brutalność Verdurina miała ten skutek, że lokaje z szatni przepuścili inne osoby przed Saniette’em, kiedy zaś ów chciał podać rzeczy, odpowiedziano mu:

— Po kolei, proszę pana, niech się pan tak nie spieszy.

— Oto mi porządek, tak się należy, brawo, dobrzy ludzie — rzekł z uśmiechem sympatii Verdurin, umacniając lokajów w intencji załatwienia Saniette’a dopiero po wszystkich. — Chodź pan — rzekł — to bydlę chce nas wszystkich uśmiercić w swoim ulubionym przeciagu. Pójdźmy się trochę ogrzać do salonu. „Czuwać koło rzeczy!” — wykrzyknął jeszcze, kiedyśmy się znaleźli w salonie. — Co za dureń!

— Robi się zmanierowany, ale to nie jest zły chłopak — rzekł Brichot.

— Ja nie mówiłem, że jest zły; mówiłem, że idiota — odparł cierpko Verdurin.

Tymczasem pani Verdurin odbywała wielką naradę z Cottardem i ze Skim. Morel odrzucił świeżo zaproszenie do domu, gdzie pani Verdurin przyrzekła jego udział, a odrzucił dlatego, że pan de Charlus nie mógł tam być. Racja odmowy Morela grania u przyjaciół pani Verdurin — racja, do której, jak ujrzymy za chwilę, przyłączą się inne, o wiele

<sup>207</sup> *maître d’hôtel* (fr.) — tu: kamerdyner, starszy lokaj nadzorujący służbę. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *paltot* (z fr., daw.) — palto, okrycie wierzchnie. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *Batteux, Charles* (1713–1780) — francuski filozof, znany zwłaszcza z pism z zakresu estetyki, członek Akademii Nauk; autor m.in. obszernego traktatu *Principes de la littérature* (Zasady literatury, 1774). [przypis edytorski]

poważniejsze — mogła być w związku ze zwyczajem właściwym na ogół sferom próżniaczym, ale specjalnie tej „paczce”. Zdarzało się, że pani Verdurin podchwyciła między „nowym” a „wiernym” jakieś słówko powiedziane półgłosem, a mogące budzić przypuszczenie, że oni się znają albo mają chęć zbliżyć się z sobą („Zatem w piątek tam a tam” albo „Niech pan zajdzie kiedyś do mnie do pracowni, zawsze jestem do piątej, zrobi mi pan prawdziwą przyjemność”). Wówczas, wzburzona, podejrzewając w „nowym” świetną zdobycz dla małego klanu, „pryncypalka”, udając, że nic nie słyszała, i wciąż zachowując w pięknych oczach podkrążonych przez nałóg Debussy’ego<sup>210</sup> (nałóg groźniejszy od kokainy) wyraz znużenia, związany nierozdzielnie z upojeniami muzyki, toczyła mimo to, pod swoim wspaniałym czołem, wysklepionym przez tyle kwartetów i związanych z nimi migren, myśli nie wyłącznie polifoniczne; wreszcie nie mogąc już wytrzymać, nie mogąc już czekać ani sekundy na ten „zastrzyk” moralny, rzuciła się na dwóch rozmawiających, odciągała ich na stronę i mówiła do „nowego”, wskazując „wiernego”: „Czy nie zechciałby pan przyjść na obiad z nim na przykład w sobotę albo kiedy pan zechce, w milej kompanii! Nie mówcie o tym za głośno, bo nie chcę zapraszać całego zbiegowiska” (termin określający na te pięć minut „paczkę”, wzdartą chwilowo dla „nowego”, przedmiotu tyłu nadziei).

Ale ta potrzeba entuzjazmu, a także kojarzenia, miała swoją przeciwwagę. Kult „srody” rodził u Verdurinów przeciwną chętkę. Była nią żądza skłócenia, oddalenia. Umocniły ją, doprowadziły niemal do szału miesiące w La Raspelière, gdzie widywano się od rana do wieczora. Verdurin wysiłał się, aby kogoś złapać na jakimś przestępstwie, snuł przędzę, w którą mógłby napędzić swojej pajęczycy niewinną muszkę. W braku istotnych win czepiano się śmiesznościami. Z chwilą gdy „wierny” wyszedł na pół godziny, drwiono z niego wobec innych, dziwiono się, że nie zauważyli, jakie ma zawsze brudne zęby, lub przeciwnie, że je czyści maniacko dwadzieścia razy dziennie. Jeżeli ktoś się ośmielił otworzyć okno, ten brak wychowania powodował wymianę oburzonych spojrzeń „pryncypała” i „pryncypalki”. Po chwili pani Verdurin kazała sobie podać szal, co pozwalało panu Verdurin powiedzieć z wściekłą miną: „Ale nic, zamknę okno; ciekawym, kto sobie pozwolił otworzyć je” — w obecności winnego, który się rumienił po uszy. Wymawiano gościowi niemal ilość wypitego wina. „Czy to panu nie szkodzi? Pije pan jak robociarz”. Wspólne spacerowanie dwóch „wiernych”, którzy uprzednio nie opowiedzieli się „pryncypałce”, pociągały nieskończone komentarze, choćby spacer był najniewinniejszy. Spacerowanie pana de Charlus z Morelem były mniej niewinne. Jedynie fakt, że baron nie mieszkał w La Raspelière (z powodu służby wojskowej Morela), opóźnił moment przesytu, wstąpienia, mdłości; ale moment ten miał niebawem nadejść.

Pani Verdurin była wściekła i gotowa „oświecić” Morela co do śmiesznej i wstętej roli, jaką mu narzucał pan de Charlus. Kiedy pani Verdurin czuła, że jest komuś winna uciążliwą dla niej wdzięczność, nie mogąc zamordować tego człowieka z obawy kryminału, odkrywała w nim poważną wadę, zwalniającą jej sumienie od wdzięczności. — „Doprawdy — mówiła — jego fasony u mnie wcale mi się nie podobają”. Bo w istocie pani Verdurin miała poważniejsze pretensje do pana de Charlus niż o ten opór Morela wobec zaproszenia przyjaciół. Przejęty zaszczytem, jaki wyświadczył „pryncypałce”, sprowadzając na Quai Conti osoby, które w istocie nie byłyby tam przyszły dla niej samej, baron założył przy pierwszych nazwiskach, które zaproponowała pani Verdurin, najformalniejszy protest. Stanowczy jego ton łączył drażliwość kostycznego magnata, despotyzm artysty i mistrza od takich fet, raczej skłonnego cofnąć się i odmówić swego udziału niż zniżyć się do ustępstw niweczających jego zdaniem całość. Pan de Charlus zaaprobował, mimo iż nie bez zastrzeżeń, jedynie Saintine’a, z którym aby nie przyjmować jego żony, pani de Guermantes przeszła od codziennych stosunków do zupełnego zerwania, ale z którym pan de Charlus, ceniąc jego inteligencję, wciąż się stykał. Zapewne Saintine, niegdyś kwiat salonu Guermantów, postarał się szukać fortuny i (jak sądził) punktu oparcia w mieszczaństwie skrzyżowanym z drobną szlachcią, w sferze, gdzie wszyscy są tylko bardzo bogaci i spowinowaceni z arystokracją, ale taką, którą wielka arystokracja ignoruje. Ale pani Verdurin, znając arystokratyczne pretensje sfer pani Saintine, a nie zdając

<sup>210</sup>Debussy, Claude (1862–1918) — francuski kompozytor, przedstawiciel impresjonizmu muzycznego. [przypis edytorski]

sobie sprawy z sytuacji męża (bo wrażenie wysokości daje nam to, co jest trochę powyżej nas, nie zaś to, co jest nam prawie niewidoczne, tak dalece gubi się w obłokach), sądziła, iż musi usprawiedliwić zaproszenie pana Saintine, podkreślając, że on „ma wiele stosunków jako mąż panny X”. Ciemnota, o jakiej świadczył ten pogląd, diametralnie sprzeczny z prawdą, sprawiła, że na pomalowanych wargach barona wykwitł uśmiech pobłażliwej wzgardy i szerokiej tolerancji. Nie raczył odpowiedzieć wprost, ale ponieważ chętnie budował w materii światowej teorii, w których wyrażała się jego bujna inteligencja oraz wyniosła duma, rzekł, potwierdzając tym dziedziczną błahość swoich zainteresowań:

— Saintine powinien był się mnie poradzić, zanim się ożenił; istnieje eugenika<sup>211</sup> socjalna, jak eugenika fizjologiczna, a ja jestem może jedynym jej doktorem. Wypadek Saintine’a nie podlegał dyskusji; jasne było, że żeniąc się w ten sposób, wiąże sobie kulę u nogi i chowa własne światło pod korcem. Jego kariera była skończona. Byłbym mu to wytłumaczył i zrozumiałby mnie, bo jest inteligentny. Na odwrót, istniała pewna osoba, posiadająca wszystko co trzeba, aby mieć sytuację wysoką, dominującą, uniwersalną, tylko straszliwy kabel wiązał ją do ziemi. Pomogłem jej wpół namową, wpół siłą zerwać linię i teraz osoba ta zdobyła triumfalną wolność, wszechpotęgę, którą zawdzięcza mnie; trzeba było może trochę wysiłku woli, ale jakaż nagroda! W ten sposób, ktoś kto mnie umie słuchać, sam jest kowalem swojego losu.

Było aż nadto oczywiste, że pan de Charlus nie umiał pokierować swoim; inna rzecz działać, a inna mówić, nawet wymownie, i myśleć, nawet inteligentnie.

— Co się mnie tyczy — ciągnął baron — żyję jak filozof obserwujący ciekawie reakcje społeczne, które przepowiedziałem; ale nie pomagam im. Toteż zachowałem stosunki z Saintinem, który zawsze miał dla mnie ów żarliwy szacunek, jaki mi się należy. Byłem nawet u niego na obiedzie na nowym mieszkaniu, gdzie pośród największego zbytku ludzie nudzą się tyle, ile bawili się dawniej, kiedy, trochę po cygańsku, zbierał w małej klitce najlepsze towarzystwo. Może go pani zaprosić, zgoda, ale zgłaszam *vetto* wobec wszystkich innych nazwisk, które mi pani proponuje. I podziękuje mi pani za to, bo o ile jestem ekspertem od małżeństw, jestem również ekspertem od przyjęć. Znam osoby, które podciągają zebrania wzwyż, dają im rozmach, polot, i znam nazwiska, które strącają je na ziemię, na płask.

Ten ekskluzywizm pana de Charlus nie zawsze wspierał się na urazach człowieka pomylonego lub na wyrafinowaniach artysty; czasem płynął z ambicji aktora. Kiedy baron wygłosił o kimś lub o czymś tyradę szczególnie udaną, chciał ją zaprodukować możliwie największej ilości osób, bacząc przy tym, aby do nowej partii zaproszonych nie dopuścić gości z pierwszej partii, zdolnych stwierdzić, że brawurowy „kawałek” nie uległ zmianie. Zmieniał publiczność właśnie dlatego, że nie zmieniał programu; osiągnąwszy w rozmowie sukces, chętnie zorganizowałby tournée i występy na prowincji.

Jakie bądź były pobudki tych ostracyzmów, kaprysy barona nie tylko drażniły panią Verdurin, dotkniętą w powadze gospodyni, ale biorąc rzecz światowo, wyrządzały jej wielkie szkody; a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze pan de Charlus, jeszcze drażliwszy od Jupiena, zrywał bez wiadomego powodu z osobami najbardziej stworzonymi na jego przyjaciół. Oczywiście jedną z pierwszych kar, jaką im wymierzał, było niezapraszanie ich na przyjęcia, które organizował u Verdurinów. Otóż wśród tych pariasów<sup>212</sup> byli często ludzie bardzo dobrze sytuowani, którzy dla pana de Charlus tracili ten przymiot z chwilą, gdy się z nimi poróżnił. Bo jego wyobraźnia, tak skora przypisywać ludziom winy po to, aby się z nimi poróżnić, celowała w odzieraniu ich z wszelkiego znaczenia, z chwilą gdy stracili jego przyjaźń. Jeżeli na przykład winny był człowiekiem z rodziny bardzo starej, ale z tytułem książęcym, datującym dopiero od XIX wieku (jak np. Montesquiou), z dnia na dzień liczyła się dla pana de Charlus jedynie dawność tytułu, rodzina była niczym.

<sup>211</sup>*eugenika* (z gr. *eugenēs*: dobrze urodzony) — system poglądów postulujący ulepszanie gatunku ludzkiego poprzez tworzenie warunków pozwalających na rozwój dodatnich cech dziedzicznych i ograniczenie cech ujemnych, w szczególności przez świadome macierzyństwo i odpowiednie dobieranie się przyszłych rodziców pod względem cech dziedzicznych tak, aby unikać sprowadzania na świat dzieci chorych i słabych. Pojęcie wykorzystywane w ideologii nazistowskiej, po drugiej wojnie światowej stało się niepopularne. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*parias* — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

— To nie są nawet księżęta! — wykrzykiwał. — Po prostu tytuł księcia de Montesquiou przeszedł nieprawnie na jego krewniaka, niespełna osiemdziesiąt lat temu. Obecny „książę”, jeżeli można go tak nazywać, jest trzeci z kolei. Gadaj mi pan o takich ludziach jak Uzès, La Trémoille, jak Luynes, dziesiątych i czternastych diukach; jak mój brat, dwunasty diuk de Guermantes, a siedemnasty książę Kordowy! Montesquiou są ze starej rodziny, więc co? Czegóż by to dowodziło, nawet gdyby było dowiedzione? Tak starej, że aż zmurszałej.

Jeżeli przeciwnie, baron poróżnił się z arystokratą, diukiem z dziada pradziada, mającym wspaniałe parantele<sup>213</sup>, spokrewnionym z panującymi, ale z rodu, któremu ten blask przyszedł nader szybko i nie sięgał zbyt dawno, jak na przykład Luynes, wszystko było odwrotnie: sam ród się liczył.

— Pytam się was, powiedzcie, taki pan Alberti ledwie oskrobany z chamstwa za Ludwika XIII<sup>214</sup>! Cóż to ma za znaczenie, że łaska dworu pozwoliła im zgromadzić diukostwa, do których nie mieli żadnego prawa?

Co więcej, u pana de Charlus, upadek następował tuż po szczytach łaski, z racji owej natury Guermantów, skłonnej wymagać od rozmowy, od przyjaźni tego, czego one nie mogą dać — z dodatkiem znamiennej lęku przed obmową. A upadek był tym głębszy, im łaska była większa. Otóż nikt nie cieszył się u barona łaską równą tej, jaką ostentacyjnie okazywał hrabinie Molé. Przez jakież niedostatek gorliwości hrabina dowiodła pewnego dnia, że jest tej łaski niegodna? Nigdy nie mogła tego odgadnąć. Faktem jest, że samo jej nazwisko budziło furję barona, jego najwymowniejsze i najzjadliwsze filipiki<sup>215</sup>. Pani Verdurin, dla której pani Molé była bardzo uprzejma i która, jak to ujrzymy, podkładała w niej wielkie nadzieje, cieszyła się z góry myślą, że hrabina spotka u niej ludzi najlepiej urodzonych z całej — jak mówiła „pryncypałka” — „Francji i Nawarry<sup>216</sup>”; zaproponowała też natychmiast, żeby zaprosić „panią de Molé”.

— Och, mój Boże, rozumiem wszystkie gusty — odparł pan de Charlus — i jeżeli pani lubi pogwarzyć z panią Puszczalską, z panią Bajdalską albo z panią Prudhomme<sup>217</sup>, nie mam nic przeciwko temu; ale niech to się stanie w dniu, kiedy mnie nie będzie. Widzę od pierwszych słów, że nie mówimy wspólnym językiem, skoro ja pani wymieniam nazwiska arystokratyczne, a pani mi cytuje najobskurniejszych parweniuszów, lyków<sup>218</sup>, krętaczy i plotkarzy, damulki uważające się za protektorki sztuki, dlatego że małpują sposób bycia mojej bratowej Guermantes, na kształt sroki, która myśli, że udaje pawia. Dodam, że byłoby grubą nieprzyzwoitością na fetę, którą raczę urządzić u pani Verdurin, wprowadzać osobę nie bez powodu wykluczoną z mojego towarzystwa, gęś bez urodzenia, bez lojalności, bez inteligencji, na tyle niepoczytalną, aby sobie wyobrażać, że może grać diuszesy i princessy de Guermantes — połączenie, będące samo w sobie głupstwem, skoro księżna Maria i księżna Oriana stanowią właśnie dwa przeciwne bieguny. To tak jakby aktorka miała pretensję być równocześnie panną Reichenberg i Sarą Bernhardt. W każdym razie, nawet gdyby to nie było absolutnie sprzeczne, byłoby głęboko komiczne. To, że ja mogę, ja, uśmiechać się czasem z przesady jednej, a martwić się ograniczeniem drugiej, to moje prawo. Ale ta mieszczańska żaba nadymająca się, aby dorównać dwom wielkim damom, które bądź jak bądź błyszczą zawsze nieporównaną dystynkcją rasy, to, jak to mówią, koń by się uśmieł. Imćpani Molé! Proszę już nie wspominać tego nazwiska, albo nie pozostaje mi już nic, jak tylko się usunąć — dodał z uśmiechem, tonem lekarza, który pragnąc dobra pacjenta wbrew jemu samemu, nie pozwoli sobie narzucić konsylium z homeopata.

<sup>213</sup>parantela (z łac.) — powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>filipika — żarliwa mowa oskarżycielska; nazwa od mów Demostenesa (384–322 p.n.e.) skierowanych przeciw Filipowi Macedońskiemu. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Nawarra — kraina hist. w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji; od 824 stanowiła niezależne królestwo, od 1589 związana z Francją unią personalną, w 1620 została formalnie włączona do Francji; tytuł króla Nawarry zachował się w tytulaturze władców francuskich aż do obalenia monarchii. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>pan i pani Prudhomme — karykaturalna para francuskich mieszczan, bohaterowie twórczości karykaturzysty i dramaturga Henry’ego Monnier’a (1799–1877). [przypis edytorski]

<sup>218</sup>lyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

Z drugiej strony niektóre osoby, uznane za „nicość” przez pana de Charlus, mogły być w istocie nicością dla niego, ale nie dla pani Verdurin. Przy swoim urodzeniu pan de Charlus mógł się obejść bez ludzi najwytworniejszych, których obecność uczyniłaby salon pani Verdurin jednym z pierwszych w Paryżu. Otóż pani Verdurin zaczynała uważać, że już wiele razy chybiła sposobności, nie licząc olbrzymiego opóźnienia, o jakie ją przyprowadziła omyłka (ze światowego punktu widzenia) w sprawie Dreyfusa<sup>219</sup>, oddając jej co prawda zarazem przysługę. Nie wiem, czym<sup>220</sup> opowiedział, jak niemile widziała pani de Guermantes to, że osoby z jej świata, poddając wszystko kryteriom Sprawy, wykluczały kobiety eleganckie, a przyjmowały nieeleganckie, zależnie od ich stosunku do Dreyfusa; po czym ją samą znowuż krytykowały te same panie jako „letnią, źle myślącą” i poddającą światowym etykietkom interesy Ojczyzny; czy mógłbym spytać o to czytelnika, jak przyjaciela, kiedy po tylu kolejach rozmowy nie przypominamy już sobie, czyśmy pamiętali i czyśmy mieli sposobność zapoznania go z pewnymi sprawami. Czy to zrobiłem, czy nie, łatwo sobie wyobrazić zachowanie się pani de Guermantes w owej chwili; a nawet, jeśli się przeniesiemy w późniejszy okres, uznać je ze światowego punktu widzenia, za zupełnie słuszne. Pan de Cambremer uważał sprawę Dreyfusa za zagraniczną intrygę, mającą na celu zniszczenie Service des Renseignement<sup>221</sup>, złamanie dyscypliny, osłabienie armii, rozdwojenie Francuzów, przygotowanie najazdu. Ponieważ literatura była, poza paroma bajkami La Fontaine’a<sup>222</sup>, obca margrabiemu, zostawiał żonie trud stwierdzenia, że literatura wsparta na okrutnej obserwacji działała równie wywrotowo, stwarzając atmosferę nieuszanowania. „Panowie Reinach<sup>223</sup> i Hervieu<sup>224</sup> zwąchali się” — powiadała.

Nie będziemy pomawiali sprawę Dreyfusa o knucie równie czarnych planów w stosunku do „świata”. Ale to pewne, że skruszyła ona jego ramy. Światowcy, którzy nie chcą wpuścić polityki do „świata”, są równie przewidujący jak wojskowi, którzy nie chcą dopuścić polityki do armii. Ze „światem” jest tak jak z pociągiem pociowym, który mógłby dojść nie wiadomo do jakich perwersji, gdyby się raz dopuściło swobodę gustów. Faubourg Saint-Germain<sup>225</sup> przywykło widzieć u siebie damy z innej sfery, dlatego że były nacjonalistkami; powód znikł wraz z nacjonalizmem, przyzwyczajenie zostało. Dzięki dreyfusizmowi pani Verdurin ściągnęła do siebie wybitnych pisarzy, którzy na razie nie przedstawiali dla niej żadnej wartości światowej, bo byli dreyfusistami. Ale namiętności polityczne są jak inne, nie trwają. Przychodzą nowe pokolenia, które ich już nie rozumieją. Nawet to pokolenie, które im podlegało, zmienia się, odczuwa pasje polityczne, które nie będąc ściśle skopiowane z poprzednich, każą im rehabilitować część proskrybowanych<sup>226</sup>, skoro się przyczyny proskrypcji zmieniły. Podczas sprawy Dreyfusa monarchiści nie troszczyli się o to, czy ktoś jest republikanin, nawet radykał, nawet antyklerykał, byle był antysemitą i nacjonalistą. Gdyby kiedyś miała przyjść wojna, patriotyzm przybrałby inne formy i nie troszczono by się o to, czy pisarz-szowinista był niegdyś za Dreyfusem czy przeciw. W ten sposób przy każdym przełomie politycznym, przy każdej odnowie artystycznej pani Verdurin skubała pomalutku, jak ptak ścielący gniazdko, żdźbła — na razie niedające się zużyć — do tego, czym miał być kiedyś jej salon. Sprawa Dreyfusa

<sup>219</sup> *Dreyfus, Alfred* (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *czym opowiedział* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy opowiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *Service des Renseignement* (fr.) — Służba Wywiadowcza. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *La Fontaine, Jean de* (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *Reinach, Joseph* (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>224</sup> *Hervieu, Paul* (1857–1915) — francuski pisarz i dramaturg; jeden z intelektualistów najbardziej zaangażowanych w obronę Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *Faubourg Saint-Germain* (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

<sup>226</sup> *proskrypcja* — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa, konfiskacie majątku, ukaraniu śmiercią lub objęciu innymi represjami przeciwników politycznych. [przypis edytorski]



minęła, został jej Anatol France<sup>227</sup>. Siłą pani Verdurin była szczerą miłość sztuki, trud, jaki sobie zadawała dla „wiernych”, wspaniałe obiady dawane dla nich samych, bez udziału światowców. Każdego z „wiernych” traktowano u niej tak, jak niegdyś był traktowany Bergotte u pani Swann. Kiedy gość tego typu stawał się kiedyś znakomitością, którą świat pragnie oglądać, obecność jego u pani Verdurin nie miała nic sztucznego, fałszowanego; nic z kuchni „Potel et Chabot” oficjalnego bankietu; to był niezrównany codzienny stół, równie wyborowy w dniu, gdy nie było gości. U pani Verdurin była doskonała i wyćwiczona trupa, pierwszorzędnny repertuar — brakowało jedynie publiczności. I od czasu jak smak publiczności odwracał się od racjonalnej i francuskiej sztuki jakiegoś Bergotte’a i kochał się zwłaszcza w egzotycznej muzyce, pani Verdurin — rodzaj paryskiej ekspozycji wszystkich zagranicznych artystów — miała niebawem, obok uroczej księżnej Jurbeletiew, być starą, ale wszechpotężną wróżką Carabosse<sup>228</sup> rosyjskiego baletu. Ten czarujący najazd, którego urokiem bronili się jedynie krytycy pozbawieni smaku, wprowadził Paryż, jak wiadomo, w gorączkę ciekawości mniej ostrą, czysto estetyczną, ale może równie żywą jak sprawa Dreyfusa. Tu znowu pani Verdurin miała być w pierwszym rzędzie, ale z całkiem innym światowym rezultatem. Tak jak ją widziano obok pani Zola tuż u stóp trybunału, na sesjach sądu przysięgłych, tak teraz, kiedy nowy świat oklaskujący rosyjski balet tłoczył się w Operze, strojny w egzotyczne egretki<sup>229</sup>, zawsze widziało się w najlepszej łoży panią Verdurin obok księżnej Jurbeletiew. I jak po wzruszeniach sali sądowej spieszyło się wieczorem do pani Verdurin, aby oglądać z bliska Picquarta<sup>230</sup> lub Laboriego<sup>231</sup>, a zwłaszcza aby usłyszeć ostatnie nowiny, wiedzieć, czego się można spodziewać po Zurlindenie, po Loubecie, po pułkowniku Jouaust<sup>232</sup>, po Regulaminie, tak samo, nie mając zbytniej ochoty do snu po entuzjazmie rozpętanym przez *Szeherazadę* lub tańce w *Księżciu Igorze*<sup>233</sup>, szło się do pani Verdurin, gdzie pod egidą księżnej Jurbeletiew oraz „pryncypalki” wyśmienita kolacja gromadziła co wieczora tancerzy (dla większej sprężystości niejedzących obiadu), dyrektora, dekoratorów, wielkich muzyków Igora Strawińskiego<sup>234</sup> i Ryszarda Straussa<sup>235</sup>, niezmienną „paczkę”, z którą, jak niegdyś na kolacjach u państwa Helvetius, największe damy paryskie i zagraniczne księżniczki krwi rwały się mieszać. Nawet ci światowcy, którzy obnosili się ze swoim „smakiem” i zapuszczali się w czcze subtelności na temat rosyjskich baletów, uważając, że *mise en scène*<sup>236</sup> *Sylfidy*<sup>237</sup> jest „cieńsza” od *Szeherazady* (tę skłonni byli wywodzić ze sztuki mu-

<sup>227</sup> France, Anatole, właśc. François-Anatole Thibault (1844–1924) — francuski poeta, pisarz i dziennikarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1921); w okresie sprawy Dreyfusa zaangażował się w jego obronę. [przypis edytorski]

<sup>228</sup> Carabosse — postać z rosyjskiego baletu *Śpiąca królowa* (1890) z muzyką Piotra Czajkowskiego: zła wróżka, która rzuci czar na królową. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> egretka — ozdoba z piór lub z drogich kamieni na damskim kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazyego; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazyego, po uniewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> Labori, Fernand (1860–1917) — francuski adwokat; obrońca w głośnych procesach, m.in. Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> Zurlinden, Loubet, Jouaust — osoby zaangażowane w ostateczne rozstrzygnięcie sprawy Dreyfusa; *Émile Zurlinden* (1837–1929): generał, minister wojny; *Émile Loubet* (1838–1929): przewodniczący senatu (od 1896), prezydent Francji (1899–1906); *Albert Jouaust* (1840–1927): oficer artylerii, przewodniczący drugiego sądu wojskowego w sprawie Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> *Szeherazada*, *Księż Igor* — *Szeherazada* (1910): balet rosyjski z muzyką Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, wystawiony po raz pierwszy w Paryżu przez Balety Rosyjskie Diagilewa; *Księż Igor* (Książ Igor, 1890): opera rosyjskiego kompozytora Aleksandra Borodina. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> Strawiński, Igor Fiodorowicz (1882–1971) — rosyjski kompozytor, pianista i dyrygent; jeden z najwybitniejszych kompozytorów i symfoników XX w. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *mise en scène* (fr.) — inscenizacja. [przypis edytorski]

<sup>237</sup> *Sylfidy* — neoromantyczny balet do muzyki Fryderyka Chopina z choreografią Michaiła Fokina, wystawiony pierwotnie w 1907 w Petersburgu jako *Chopiniana*; tytuł *Sylfidy* został mu nadany przez Siergieja Diagilewa, kiedy jego słynny zespół Baletów Rosyjskich wprowadził go do swojego repertuaru podczas występów w Paryżu w 1909. [przypis edytorski]

rzyńskiej), uszczęśliwieni byli, mogąc oglądać z bliska wielkich odnowicieli teatralnego smaku, którzy w sztuce sztuczniejszej może nieco od malarstwa spowodowali rewolucję równie głęboką jak impresjonizm.

Aby wrócić do pana de Charlus, pani Verdurin nie byłaby zbyt cierpiała, gdyby baron pomieścił na czarnej liście jedynie hrabinę Molé i panią Bontemps, którą pani Verdurin wyróżniła niegdyś u Odety dla jej miłości sztuki, a która w epoce Dreyfusa bywała u niej czasem na obiedzie z mężem. Pana Bontemps nazywała pani Verdurin let-nim, bo nie dopuszczał rewizji procesu; ale jako człowiek bardzo inteligentny i rad mieć kontakty we wszystkich stronnictwach uszczęśliwiony był, że może okazać swoją niezależność, jedząc obiad w towarzystwie Laboriego, któremu się przysłuchiwał, nie mówiąc nic kompromitującego, ale wsuwając w stosownym momencie pochwałę dla uznanej przez wszystkie partie lojalności Jauresa<sup>238</sup>. Ale baron wykluczył również parę dam z arystokracji, z którymi pani Verdurin zapoznała się świeżo z okazji festiwalów muzycznych, kwest, went<sup>239</sup>, i które, co bądź by o nich myślał pan de Charlus, byłyby o wiele bardziej od niego samego nieodzownymi elementami dla stworzenia u pani Verdurin nowego „ośrodka”, tym razem arystokratycznego.

Pani Verdurin właśnie liczyła na ten wieczór, na który pan de Charlus miał sprowadzić damy z tego samego świata; zamierzając doprosić do nich nowe znajome, cieszyła się z góry niespodzianką, jaką będzie dla nich zastać na Quai Conti swoje przyjaciółki lub krewne, zaproszone przez barona. Interdykt<sup>240</sup> pana de Charlus przyniósł jej zawód i wprawił ją we wściekłość. Zachodziło pytanie, czy w tych warunkach wieczór będzie dla jej salonu zyskiem czy stratą. Strata nie byłaby zbyt poważna, gdyby bodaj damy zaproszone przez pana de Charlus przysły tak ciepło nastrojone dla pani Verdurin, że stałyby się przyszłymi filarami jej salonu. W takim razie nie byłoby zbyt niefortunnego nieszczęścia; z czasem połączyłyby się te rozdzielone przez barona połówki wielkiego świata, choćby przyszło na ów wieczór wyrzec się jego samego. Pani Verdurin oczekiwała tedy zaproszonych przez barona dam z pewną emocją. Niebawem miała poznać usposobienie, w jakim przybywały i czego może się po nich spodziewać. W oczekiwaniu pani Verdurin naradzała się z „wiernymi”, ale widząc pana de Charlus wchodzącego z Brichotem i ze mną, urwała. Ku naszemu zdumieniu, kiedy Brichot wyraził żal, że, jak słyszał, z przyjaciółką jej jest tak źle, pani Verdurin odparła: „Drogi panie, muszę się przyznać, że mnie to niewiele wzrusza. Nie ma celu udawać tego, czego się nie czuje”. Z pewnością mówiła tak przez lenistwo, zawczasu zmęczona myślą, że musiałaby przybierać smutną twarz na cały wieczór; a także przez dumę, aby się nie zdawało, że szuka wymówek, iż nie odwołała przyjęcia; także przez obłudę i spryt, brak współczucia bowiem zaszczytniejszy był, o ile płynął raczej ze specjalnej, nagle przejawiającej się antypatii do księżnej Szerbatow niż z zasadniczego braku serca; i dlatego że szczerść, której nie można podawać w wątpliwość, mimo woli działa rozbrajająco. Gdyby pani Verdurin nie była naprawdę obojętna na śmierć księżnej, czyżby dla usprawiedliwienia swego rautu oskarżała się o winę znacznie cięższą? Zapominało się zresztą, że pani Verdurin równocześnie ze swoim zmartwieniem wyznałaby fakt, iż nie miała odwagi wyrzec się przyjemności; otóż oschłość serca była czymś bardziej rażącym, niemoralniejszym, ale mniej upokarzającym, tym samym łatwiejszym do wyznania niż namiętność uciech światowych. Tam gdzie winnemu zbrodni grozi niebezpieczeństwo, wyznania dyktuje interes; w błędach bez sankcji karnej — miłość własna. Pani Verdurin uważała z pewnością za bardzo zużyte aforyzmy ludzi, którzy nie chcąc dla zgrzyzot wyrzekać się swoich przyjemności, uważają za zbyt cenne obnosić się z żalobą, „którą mają w sercu”. Wołała wzór inteligentnych przestępców, którzy brzydzą się kliszami zaklęć o niewinności i których obrona — bezwiedne półwyznanie — polega na powtarzaniu, że nie widzieliby nic złego w tym, co im się zarzuca, i czego, przypadkowo zresztą, nie mieli sposobności popełnić. Może przyjąwszy dla wytłumaczenia swojej postawy tezę obojętności, uważała — raz osunąwszy się po pochyłości swoich złych uczuć — że jest niejaka oryginalność w odczuwaniu ich, rzadka bystrość w ich rozpoznaniu, a pewien tupet w ich

<sup>238</sup> *Jaurès, Jean* (1859–1914) — francuski przywódca socjalistyczny; udzielał się jako obrońca Dreyfusa; w 1904 założył socjalistyczną gazetę „L’Humanité”; zamordowany przez francuskiego nacjonalistę. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *wenta* (daw.) — kiermasz, z którego dochody przeznaczone są na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *interdykt* — wydany przez władze kościelne zakaz odprawiania obrzędów religijnych na danym terenie, przez grupę ludzi lub konkretną osobę. [przypis edytorski]

głoszeniu. W rezultacie pani Verdurin akcentowała swój brak zgryzoty nie bez satysfakcji i dumy paradoksalnego psychologa i śmiałego dramaturga.

— Tak, to bardzo zabawne — rzekła — to mnie prawie nie obeszło. Mój Boże, nie mogę powiedzieć, że nie wołałabym, aby żyła, to nie była zła osoba.

— Owszem — przerwał Verdurin.

— A! Mąż jej nie lubi, bo uważał, że jej towarzystwo przynosiło mi szkodę, ale on jest zaślepiony na tym punkcie.

— Przyznaj — rzekł Verdurin — że ja nigdy nie pochwalałem tego stosunku. Zawsze mówiłem, że ona ma złą opinię.

— Nigdy nie słyszałem — zaprotestował Saniette.

— Ależ jak to! — wykrzyknęła pani Verdurin. — To było powszechnie znane; nie złą, ale haniebną, hańbiącą. Nie, ale to nie dlatego. Nie umiałam sobie wytłumaczyć swojego uczucia; nie nie cierpiałam jej, ale była mi tak obojętna, iż kiedyśmy się dowiedzieli, że jest bardzo chora, sam mąż był zdziwiony i rzekł: „Powiedziałby kto, że cię to nic nie obchodzi”. Wiecie, dziś wieczór jeszcze proponował mi odwołanie rautu, a ja właśnie chciałam, aby się odbył, bo uważałabym to za komedię okazywać zmartwienie, którego nie odczuwam.

Mówiła tak, bo sądziła, że to jest w stylu *théâtre libre*<sup>241</sup>, a także bo to było bardzo wygodnie; głośno wyznawana nieczułość lub niemoralność upraszcza życie w tym samym stopniu co moralność ułatwiona; czyni obowiązek szczerości z aktów nagannych, których wówczas nie potrzeba już usprawiedliwiać. I „wierni” słuchali pani Verdurin z połączonym uczuciem podziwu i niesmaku, jakie budziły niegdyś pewne sztuki okrutnie i przenikliwie realistyczne; i zachwycając się, że droga „pryncypałka” dała nową postać swojej rzetelności i niezależności, niejedni — powiadając sobie, że ostatecznie to nie byłoby to samo — myślał o własnej śmierci i zadawał sobie pytanie, czy w dniu tej śmierci płakano by na Quai Conti, czy też wyprawionoby zabawę.

— Bardzom rad z powodu moich gości, że wieczoru nie odwołano — rzekł pan de Charlus, który nie zdawał sobie sprawy, że wyrażając się w ten sposób, drażni panią Verdurin. Mnie natomiast, jak każdego, kto się zbliżył tego wieczora do pani Verdurin, uderzyła niezbyt przyjemna woń rhinogomenolu<sup>242</sup>. Oto skąd pochodził ten zapach. Wdzieliśmy, że pani Verdurin wyrażała zawsze swoje artystyczne wzruszenia nie w sposób duchowy, ale w sposób fizyczny, iżby się wydawały przez to bardziej nieodparte i głębsze. Otóż kiedy jej mówiono o muzyce Vinteuila — jej ulubionej — pozostawała obojętna, tak jakby nie odczuwała żadnego wzruszenia. Ale po kilku minutach nieruchomego, niemal roztargnionego spojrzenia odpowiadała tonem ścisłym, rzeczowym, prawie niegrzecznym, tak jakby komuś mówiła: „To by mi było obojętne, że pan pali, ale chodzi mi o dywan; jest bardzo ładny (co by mi również było obojętne), ale jest łatwo palny, bardzo się boję ognia i nie chciałabym wszystkich gości usmażyć z powodu niedopałka, który by pan upuścił na ziemię”. Tym więc tonem odpowiadała: — „Nie mam nic przeciwko Vinteuilowi; moim zdaniem to jest największy muzyk naszej epoki; tylko że ja nie mogę słuchać tych rzeczy, żeby cały czas nie płakać — słowo „płakać” bez żadnego patosu; owszem, tak naturalnie, jakby powiedziała „spać”; złe języki twierdziły nawet, że ten ostatni czasownik byłby prawdziwszy, czego nikt nie mógł zresztą rozstrzygnąć, bo pani Verdurin słuchała tej muzyki z głową w dłoniach i pewne odgłosy zbliżone do chrapania mogły ostatecznie być łkaniem. — Płacz nie sprawia mi przykrości, owszem, mogę płakać, ile kto zechce, tylko że z tego łapię wściekły katar. To wywołuje przekrwienie błony śluzowej; w dwie doby po tym wyglądam na starą pijaczkę i trzeba mi całych dni inhalacji, aby moje struny głosowe zaczęły funkcjonować. Pewien uczeń Cottarda, uroczy człowiek, leczył mnie na to. On głosi aksjomat wcale oryginalny: »Lepiej zapobiegać niż leczyć«. I aplikuje mi do nosa maść, zanim się zacznie muzyka. To jest radykalne. Mogę płakać jak cały tuzin matek, które straciły dzieci, ani cienia kataru. Czasem trochę zapalenia spojówek, ale to wszystko. Skuteczność absolutna. Bez tego nie mogłabym nadal słuchać Vinteuila. Nie wychodziłam z bronchitu”.

Nie mogłem się wstrzymać, aby nie wspomnieć o panie Vinteuil.

<sup>241</sup>*théâtre libre* (fr.) — teatr wyzwolony; także nazwa własna paryskiego teatru działającego w latach 1887–1896, który jako pierwszy realizował program skrajnego naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>*rhinogomenol* — maść zmniejszająca przekrwienie i antyseptyczna. [przypis edytorski]

— Czy nie ma tu córki autora — spytałem pani Verdurin — i jej przyjaciółki?

— Nie, właśnie dostałam depeszę — rzekła wymijająco pani Verdurin. — Musiały zostać na wsi.

Miałem przez chwilę nadzieję, że nigdy nie było o tym mowy, aby opuściły wieś, i że pani Verdurin zapowiedziała przedstawicielki autora jedynie po to, aby korzystnie nastroić wykonawców i publiczność.

— Jak to, więc nie było ich nawet po południu na próbie? — rzekł z fałszywą ciekawością baron, który chciał udać, że nie widział swego Charlie.

Morel podszedł się ze mną przywitać. Spytałem go po cichu o pannę Vinteuil; nie wydawał się zbyt poinformowany. Trąciłem go, żeby nie mówił głośno, dając do zrozumienia, że jeszcze pogadamy o tym. Skłonił się, oświadczając, że pozostaje z radością do mojej dyspozycji. Zauważyłem, że jest o wiele grzeczniejszy, o wiele bardziej z szacunkiem niż dawniej: on mógłby może pomóc mi rozproszyć moje podejrzenia. Powinnowałem Morela panu de Charlus. Odparł:

— Robi tylko to, co powinien; nie warto by mu było żyć wśród ludzi dobrze wychowanych, gdyby miał mieć złe maniery.

Dobre maniery, wedle pana de Charlus, to były stare formy francuskie, bez cienia angielskiej sztywności. Toteż kiedy Charlie, wracając z tournée po prowincji lub za granicą, zjawiał się u barona w podróżnym stroju, ten, o ile nie było przy tym zbyt wiele ludzi, całował go bez ceremonii w oba policzki, po trochu może aby przez taką ostentację odjąć czułości wszelki pozór występku; może aby sobie nie odmawiać przyjemności, ale bardziej jeszcze z pewnością dla „stylu”, ku chwale dawnych form francuskich i tak jakby protestował przeciw monachijskiej „secesji” albo *modern style*<sup>243</sup>, zachowując stare fotele po prababce, przeciwstawiając brytyjskiej flegmie tkliwość osiemnastowiecznego ojca nieukrywającego radości na widok syna. Czy był wreszcie jakiś cień kazirodztwa w tej ojcowskiej czułości? Prawdopodobniejsze jest, że sposób, w który pan de Charlus zadawał najczęściej swoje zboczenie i co do którego znajdziemy później parę wyjaśnień, nie wystarczał jego potrzebom uczuciowym, osieroconym od śmierci żony; faktem jest, że powziąwszy kilka razy zamiar powtórnego małżeństwa, obecnie czuł maniacką chęć adoptowania kogoś. Mówiono, że chce adoptować Morela, i nie byłoby w tym nic niezwykłego. Zboczeniec, który mógł karmić swoją namiętność jedynie literaturą ludzi normalnych, który myślał o mężczyznach czytając *Noce Musseta*<sup>244</sup>, czuje tak samo potrzebę wejścia we wszystkie socjalne funkcje niezбочzonego mężczyzny, czuje potrzebę utrzymywania kochanka, jak stary bywalec opery utrzymuje tancerki; potrzebę ustatkowania się, ożenienia się lub trwałego stosunku, ojcostwa.

Pan de Charlus oddalił się z Morelem pod pozorem, że skrzypek miał mu objaśnić utwory składające program. Baron znajdował osobliwą słodycz w tym, aby — podczas gdy mu Charlie pokazywał nuty — popisywać się publicznie ich sekretną zażyłością. Przez ten czas ja byłem oczarowany. Bo mimo iż „paczka” mało liczyła młodych panien, zapraszano ich w zamian sporo w dni wielkich przyjęć. Było kilka bardzo ładnych, które znałem. Słały mi z daleka przyjazne uśmiechy. W ten sposób salon stroił się raz po raz pięknym uśmiechem młodego dziewczęcia: to jest mnoga i migotliwa ozdoba wieczorów — jak i dni. Przypominamy sobie jakąś atmosferę dlatego, że drgał w niej uśmiech młodej dziewczyny.

Czytelnik zdziwiłby się mocno, gdyby się zanotowało zdania, jakie pan de Charlus wymieniał ukradkiem z kilkoma poważnymi uczestnikami zebrania. Byli to dwaj książęta, wybitny generał, wielki pisarz, wielki lekarz, wielki adwokat. Otóż rozmowa ich brzmiała tak:

— *À propos*, czyś widział nowego lokaja, mówię o tym młodym, co jeździ na koźle? A u naszej kuzynki Guermantes czy nic nie znasz?

— W tej chwili nic.

<sup>243</sup>*modern style* (ang.) — nowoczesny styl. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej; autor m.in. zbioru poezji *Les Nuits* (Noce, 1835–1837), napisanego po zerwaniu związku uczuciowego z George Sand. [przypis edytorski]

— Powiedz no, koło bramy, przy powozach, była młoda osoba blond, w krótkich spodenkach, która mi się wydała całkiem sympatyczna. Zawołała mi bardzo grzecznie powóz, byłbym chętnie przedłużył rozmowę.

— Tak, ale mnie się ta osoba wydaje absolutnie wroga, a przy tym robi ceregiele; ty, co lubisz doprowadzać rzeczy do skutku od pierwszego razu, zbrzydziłbyś to sobie. Zresztą wiem, że tam się nic nie da zrobić, jeden z naszych przyjaciół próbował.

— To szkoda, profil bardzo subtelny i włosy wspaniałe.

— Doprawdy, aż tak? Sądzę, że gdybyś się przyjrzał bliżej, rozczarowałbyś się. Nie, raczej przy bufecie, nie dalej niż dwa miesiące temu, ujrzałbyś istne чудо: dryblas dwa metry wzrostu, skóra idealna i przy tym lubił te rzeczy. Ale wyjechał do Polski.

— A, to trochę daleko.

— Kto wie, wróci może. Zawsze się można spotkać w życiu.

Każda światowa feta, o ile wziąć jej przekrój dostatecznie głęboko, podobna jest do owych zabaw, na które lekarze zapraszają pacjentów; tacy chorzy mówią rzeczy bardzo rozsądne, mają wzorowe maniery i niczym nie zdradziliby, że są wariaci, gdyby któryś nie szepnął wam do ucha, pokazując starszego pana: „O, idzie Joanna d’Arc”.

— Uważam, że byłoby naszym obowiązkiem oświecić Morela — rzekła pani Verdurin do Brichota. — Nie abym chciała robić coś przeciwko Charlusowi, przeciwnie. Jest bardzo miły, a co się tyczy jego reputacji, przyzna pan, że nie jest z rodzaju, który by mi mógł zaszkodzić! Powiem nawet, że ja, która w naszej „paczce”, na obiadach, gdzie się rozmawia, nie cierpię flirtów, mężczyzn prawiących w kącie bzdury kobiecie zamiast poruszać zajmujące tematy, z Charlusem nie potrzebowałam się obawiać tego, co mi się zdarzyło ze Swannem, z Elstirem, z tyloma innymi. Z nim byłam spokojna, przychodził na obiady i gdyby nawet spotkał u mnie wszystkie kobiety świata, miałam pewność, że nie zakłóci ogólnej rozmowy przez flirty i szept. Charlus to coś ekstra, można być spokojnym, coś jak ksiądz. Tylko niech się nie waży przewodzić nad młodymi ludźmi, którzy przychodzą tutaj i wnoszą zamęt w naszą „paczkę”; wówczas to byłoby jeszcze gorzej niż z kobieciarzem.

I pani Verdurin była szczerą, głosząc swoją pobłażliwość dla „charlizmu”. Podobnie jak wszelka władza duchowna, uważała ludzkie słabostki za mniej groźne niż to, co by mogło osłabić pierwiastek autorytetu, szkodzić ortodoksji, zmieniać starożytne *credo*<sup>245</sup> w jej małym kościele.

— Wówczas pokazuję zęby — ciągnęła. — Dobry jest taki pan, który chciał nie pozwolić, aby Charlie grał w jakimś salonie, dlatego że jego tam nie zaproszono! Toteż udzieli mu się poważnego ostrzeżenia; mam nadzieję, że to wystarczy; inaczej może się stąd zabierać. Daję słowo, on go trzyma pod kuratelą!

I używając ściśle tych samych wyrażen, jakich użyliby wszyscy (bo istnieją takie specjalne zwroty, które jakiś specjalny przedmiot, okoliczność nieodzownie prawie przywodzą na pamięć mówcy przeświadczonego, że wyraża swobodnie swoją myśl, gdy powtarza jedynie machinalnie powszechną wersję), pani Verdurin dodała:

— Niepodobna widzieć już Morela, żeby nie włożył za sobą tego dryblasa, tego lejbgwardzisty<sup>246</sup>!

Pan Verdurin poddał myśl, żeby odciągnąć na chwilę Morela dla pomówienia z nim pod pozorem jakiegoś zapytania. Pani Verdurin bała się, że go to zdenerwuje i że będzie gorzej grał. Lepiej dopełnić tej egzekucji dopiero po jego numerze. A może nawet odłożyć na inny raz. Bo mimo iż pani Verdurin aż drżała do rozkosznej emocji, jakiej doznałaby, wiedząc, że mąż właśnie uświadamia Morela w sąsiednim pokoju, bała się, w razie gdyby się zamach nie udał, że się skrzypek pogniewa i skrewi jej szesnastego.

Ale pana Charlus zgubiło owego wieczora tak częste w wielkim świecie złe wychowanie osób, które zaprosił i które zaczynały napływać. Przyszedłszy przez przyjaźń dla pana de Charlus, a także przez ciekawość tego środowiska, każda diuszesa szła prosto do barona, tak jakby to on był gospodarzem, i mówiła o krok od Verdurinów, którzy słyszeli wszystko:

<sup>245</sup>*credo* (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*lejbgwardzista* — członek straży przybocznej monarchii. [przypis edytorski]

— Niech mi pan pokaże, gdzie jest stara Verdurin; czy pan sądzi, że koniecznie trzeba się jej przedstawić? Mam bodaj nadzieję, że mnie nie wpakuje do jutrzejszych dzienników, dostałabym pucówkę od całej rodziny. Jak to! Jak to, to ta siwa? Ależ ona nie wygląda zanadto skandalicznie.

Słyszac, że się rozmawia o pannie Vinteuil, nieobecnej zresztą, któraś dama mówiła:

— A, to córka *Sonaty*? Niech mi pan ją pokaże.

Poza tym, odnajdując wiele przyjaciółek, panie te trzymały się osobno, śledziły wejście „wiernych” oczami iskrzącymi się ironiczną ciekawością.; umiały co najwyżej pokazywać sobie palcem ekscentryczną nieco fryzurę jakiejś osoby, która w kilka lat później miała wprowadzić w modę tę fryzurę w największym świecie; i w sumie żalowały, że ten salon nie jest tak różny od znajomych salonów, jak się tego spodziewały, doznając rozczarowania ludzi światowych, którzy zapuściwszy się do kabaretu Bruanta<sup>247</sup> w nadziei, że będą „opyskowani” przez piosenkarza, wchodząc, spotkaliby się z poprawnym ukłonem w miejsce oczekiwanego refrenu: „Idą mordy, idą mordy — idą mordy, raz, dwa, trzy”.

Swojego czasu w Balbec pan de Charlus dowcipnie krytykował przy mnie panią de Vaugoubert, która mimo wielkiej inteligencji spowodowała po nieoczekiwanym sukcesie katastrofalny upadek męża. Kiedy panujący, przy których pan de Vaugoubert był akredytowany, król Teodozjusz i królowa Eudoksja, przybyli znów do Paryża, tym razem na dłuższy pobyt, dawano na ich cześć codzienne fety, w czasie których królowa, zaprzyjaźniona z panią de Vaugoubert, którą widywała od dziesięciu lat w swojej stolicy, i nie znając ani żony prezydenta Republiki, ani żon ministrów, odsunęła się od nich, aby się trzymać na uboczu z ambasadorową. Ta, uważając swoją pozycję za niewzruszalną — jako że pan de Vaugoubert był twórcą sojuszu między królem Teodozjuszem a Francją — czerpała we względach królowej zadowolenie próżności, bez poczucia niebezpieczeństwa, które jej groziło i które zrealizowało się w kilka miesięcy później w wypadku niesłusznie uważanym za niemożliwy przez tę zbyt ufną parę i w dymisji brutalnie udzielonej panu de Vaugoubert. Pan de Charlus, komentując swego czasu w „samowarku” w Balbec upadek swego przyjaciela z lat dziecińczych, dziwił się, że kobieta tak inteligentna nie użyła w danej okoliczności całego swego wpływu na monarszą parę w tym sensie, aby królestwo pomogli jej ukryć, że ma jakikolwiek wpływ. Powinna się była postarać, aby panujący przenieśli na żonę prezydenta Republiki i na żony ministrów swoją uprzejmość, która byłaby tym dostojnikom pochlebila tym bardziej — to znaczy, za którą byłiby tym bardziej wdzięczni Vaugoubertom, im bardziej by wierzyli, że ta uprzejmość jest samorzutna, a nie podyktowana przez ambasadora i jego żonę. Ale ktoś, kto widzi błędy innych, często popada w nie sam, gdy go upoją okoliczności. I gdy goście tłoczyli się, aby winszować, dziękować baronowi, tak jakby on był gospodarzem domu, jemu nie powstało w myśli prosić ich, żeby powiedzieli parę miłych słów pani Verdurin. Jedynie królowa Neapolu<sup>248</sup>, w której żyłach płynęła ta sama szlachetna krew co w żyłach jej siostr, cesarzowej Elżbiety i księżnej d’Alençon<sup>249</sup>, wdała się w rozmowę z panią Verdurin, tak jakby przyszła bardziej dla przyjemności ujżenia jej niż dla muzyki i niż dla pana de Charlus; powiedziała „pryncypałe” tysiąc komplementów, podkreśliła dawną już chęć poznania jej, winszowała jej domu, mówiła o najrozmaitszych przedmiotach, tak jakby była u niej z wizytą. Tak byłaby chciała, powiadała, przyprowadzić swoją siostrzenicę Elżbietę<sup>250</sup> (tę, co niebawem miała wyjść za Alberta belgijskiego). Tak będzie żalowała! Królowa umilkła, widząc, że muzycy zasiedli na estradzie; kazała sobie pokazać Morela. Nie musiała mieć zbyt wielu złudzeń co do pobudek pana de Charlus w tym, aby otoczyć młodego wirtuoza taką chwałą. Ale stara mądrość panującej, w której żyłach płynęła najszlachetniejsza krew historii, najbogatsza w doświadczenie, sceptycyzm i dumę, w nieuniknionych skazach ludzi, których najbar-

<sup>247</sup>*Bruant, Aristide* (1851–1925) — francuski piosenkarz, twórca kabaretowy, komediant i właściciel klubu nocnego. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>*królowa Neapolu* — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*cesarzowa Elżbieta i księżna d’Alençon* — córki księcia Maksymiliana Bawarskiego, siostry Marii Zofii Bawarskiej; *Elżbieta Bawarska* (1837–1898): cesarzowa Austrii i królowa Węgier od 1854 jako żona cesarza Franciszka Józefa I, znana również jako Sissi; *Zofia Charlotta Wittelsbach* (1847–1897): żona Ferdynanda Orleańskiego, księcia Alençon. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>*swoją siostrzenicę Elżbietę* — Elżbietę Gabrielę Bawarską (1876–1965), księżniczkę bawarską, od 1900 żonę Alberta, następcy tronu Belgii, który w 1909 został królem Belgów. [przypis edytorski]

dziej lubiła, jak swego kuzyna Charlus (syna księżniczki bawarskiej, jak ona była córką domu bawarskiego) kazała jej widzieć nieszczęścia czyniące tym cenniejszym oparcie, jakie tacy ludzie mogli w niej znaleźć, i podnoszące tym samym przyjemność użyczenia go. Wiedziała, że Charlus byłby podwójnie wzruszony tym, że ona się trudziła w takiej okazji. Tylko że ta heroiczna kobieta, równie dobra jak się niegdyś okazała dzielną, prawdziwą królową-żołnierz, która sama dała ognia z wałów Gaety<sup>251</sup>, zawsze gotowa stawać rycersko po stronie słabych, widząc panią Verdurin samą i opuszczoną (nieświadomą zresztą, że nie powinna opuszczać królowej), starała się udawać, że dla niej, królowej Neapolu, pani Verdurin jest właśnie centrum tego wieczora, atrakcją, która ją sprowadziła. Wytłumaczyła się, że nie może zostać do końca, mając — mimo że nie bywała prawie nigdzie — inny wieczór; prosiła zwłaszcza, aby nikt się dla niej nie trudził, kiedy będzie odchodziła, zwalniając panią domu z powinności, których ta zresztą nie znała.

Trzeba oddać tę sprawiedliwość panu de Charlus, że o ile zapomniał zupełnie o pani Verdurin i pozwalał o niej wręcz skandalicznie zapomnieć zaproszonym przez siebie osobom „ze swojego świata”, zrozumiał w zamian, że nie godzi się traktować produkcji muzycznej z tym samym złym wychowaniem, jakie okazali wobec gospodyni domu. Morel już wstąpił na estradę, artyści zajmowali miejsca, kiedy jeszcze słyszano się rozmowy, nawet śmiechy, powiedzenia w rodzaju: „Zdaje się, że trzeba być wtajemniczonym, aby coś zrozumieć”. Natychmiast pan de Charlus, prostując się, jak gdyby wszedłszy w inne ciało niż to, które widziałem przed chwilą wlokące się opieszale do pani Verdurin, przybrał wyraz proroka. Spojrzał po zgromadzeniu z powagą, która mówiła, że to nie pora na śmiechy: od tego spojrzenia poczerwieniała nagle twarz niejednej z zaproszonych dam, złapanej na gorącym uczynku niby uczennica w klasie. Dla mnie ta szlachetna zresztą postawa pana de Charlus miała coś komicznego; piorunował swoich gości płomiennym spojrzeniem; to znów, aby im, niby *vademecum*<sup>252</sup>, przypomnieć nabożną ciszę, jaką należało zachować, oderwanie od wszelkiej światowej myśli, sam, podnosząc do pięknego czoła ręce w białych rękawiczkach, stawał się wzorem (do którego należało się zastosować) powagi, niemal ekstazy. Nie odpowiadał na ukłony spóźnionych gości, na tyle nieprzyzwoitych, aby nie zrozumieć, że obecna godzina należy do Wielkiej Sztuki. Wszyscy byli zahipnotyzowani; nikt nie śmiał już wyrzec słowa, poruszyć krzesłem; cześć dla muzyki, poprzez prestiż Palamedy udzieliła się nagle ciżbie równie źle wychowanej, jak elegancjki. Widząc, że na estradzie zasiadają nie tylko Morel i pianista, ale i inni muzycyści, sądziłem, że zaczną od innych utworów, nie od Vinteuila. Bo myślałem, że istnieje tylko jego sonata skrzypcowa.

Pani Verdurin siadła z boku; na wspaniałych półkulach białego, lekko zaróżowionego czoła włosy były rozrzucone na wpół przez naśladownictwo pewnego osiemnastowiecznego portretu, na wpół przez potrzebę chłodu u osoby zgorączkowanej, której wstyd nie pozwala wyrazić swego stanu; siedziała sama, bóstwo prezydujące uroczystościom muzycznym, bogini wagneryzmu i migreny, niemal tragiczna wróżka, ściągnięta przez geniusza wkoło tych nudziarzy, przy których bardziej jeszcze niż zwykle miała gardzić wyrażaniem swoich uczuć wobec muzyki, którą znała lepiej od nich. Koncert zaczął się; nie znałem tego, co grano, znalazłem się w obcej krainie. Gdzie ją umieścić? W dziele jakiego autora się znalazłem? Byłbym rad wiedzieć, a nie mając obok siebie nikogo, kogo bym mógł spytać, byłbym chciał być osobistością z owych *Tysiąca i jednej nocy*, które odczytywałem bez ustanku, gdzie w chwilach niepewności zjawia się nagle geniusz lub czarująca dziewczyna niewidzialna dla innych, ale nie dla zakłopotanego bohatera, któremu objawia ściśle to, co pragnął wiedzieć. Otóż w tej właśnie chwili nawiedziło mnie takie czarodziejskie zjawisko. Jak w okolicy na pozór nieznannej, a którą w istocie oglądamy z nowej strony i minąwszy zakręt, wchodzimy nagle na inną drogę, gdzie każdy zakątek jest nam poufały (tylko żeśmy nie nawykli przybywać tam od tej strony), powiadamy sobie nagle: „Ależ to ścieżka do furki moich przyjaciół X; jestem o dwie minuty od

<sup>251</sup> *Gaeta* — niewielkie portowe miasto we Włoszech; w XIX w. było silnie umocnioną twierdzą, ostatnią placówką Franciszka II, władcy Królestwa Obojga Sycylii, broniącą się przeciwko wojskom Królestwa Piemontu i Sardynii walczącym o zjednoczenie Włoch. Oblężenie (XI 1860 – II 1861) zakończyło się kapitulacją twierdzy, przy czym Franciszkowi II i jego żonie, Marii Zofii Bawarskiej, pozwolono udać się na wygnanie do Rzymu, gdzie zostali gośćmi papieża. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *vademecum* (z łac.) — przewodnik. [przypis edytorski]

nich”, i w istocie zjawia się ich córka i wita się, mijając nas, tak ja nagle, wśród tej nowej dla mnie muzyki, odnalazłem się w pełni sonaty Vinteuila; jej lekka fraza, bardziej czarodziejska niż młoda dziewczyna, w srebrzystej szacie, ociekająca dźwiękami lśniącoymi, lekkimi i miękkimi na kształt gazy, podeszła, łatwa do poznania w tym nowym stroju. Radość moją, że ją odnalazł, wzmagał akcent tak przyjacielski, tak znany, który przybierała, zwracając się do mnie, tak przekonywujący, tak prosty, mimo iż rozświetlony jej promienną pięknosciami. Tym razem zresztą przeznaczeniem jej było tylko pokazać mi drogę; nie drogę sonaty, bo to było niewydane dzieło Vinteuila, w którym jedynie przez aluzję podkreśloną w tym miejscu komentarzem programu (należało go mieć równocześnie przed oczami) muzyk jakby dla zabawy wprowadził na chwilę leciutką frazę z sonaty. Zaledwie przywołana w ten sposób, znikła; po czym znalazłem się znów w nieznanym świecie, ale wiedziałem teraz — i wszystko mi już wciąż o tym przypominało — że to jest jeden ze światów, o których stworzenie nawet nie podejrzewałem Vinteuila; kiedy bowiem, zmęczony sonatą będącą dla mnie wszechświatem już wyczerpanym, próbowałem sobie wyobrazić inne, równie piękne, lecz odmienne, czyniłem jedynie tak jak owi poeci, którzy zapełniają swój rzekomy raj łąkami, kwiatami, rzekami, dublującymi łąki, kwiaty i rzeki ziemi. To, co miał przed sobą, dawało mi tyle szczęścia, ile by mi go dała sonata, gdybym jej nie znał; tym samym, będąc równie piękne, było inne. Podczas gdy sonata ukazywała mi liliowy i sielski świt, rozszczepiając swoją ulotną czystość, aby zawisnąć na lekkiej, a przecież silnej tkaninie wiciokrzewów i białych geranii, nowy utwór rozpościł się na powierzchni gładkiej i równej jak powierzchnia morza w burzliwy poranek już zarumieniony purpurą, pośród cierpkiego milczenia, w bezkresnej pustce; i ten nieznaną wszechświat wyłaniał się z ciszy i z ciemności, w różnym blasku jutrzeńki, wznosząc się stopniowo przede mną. Ta czerwień tak nowa, tak nieobecna w tkliwej, sielskiej i czystej sonacie, barwiła całe niebo — niby jutrzeńka — tajemniczą nadzieją. I już przesywał powietrze śpiew, pełna gama tonów, śpiew nieznaną, najróżniejszy od wszystkiego, co bym zdołał kiedy wyroić, niewysłowiony i krzykliwy zarazem, już nie, jak w sonacie, podobny do gruchania gołębi, ale rozdzierający powietrze, równie żywy jak szkarłatny odcień, w którym tonął początek, coś niby mistyczne pianie koguta, niewymowne, ale ostre wołanie wiekuistego poranka. Atmosfera zimna, splukana deszczem, elektryczna — o tak odmiennym charakterze, o całkiem innych ciśnieniach, w świecie tak odległym od dziewiczego i pełnego roślin świata sonaty, zmieniała się co chwila, zacierając purpurową obietnicę Jutrzeńki. O południu wszelako, w palącym i przelotnym blasku, zdawała się ona spełniać w ciężkim, wiejskim, niemal sielskim szczęściu, gdzie kołysanie się hucznych i rozpiętych dzwonów (podobnych tym, które rozpały żarem plac kościelny w Combray i które Vinteuil, słysząc je z pewnością często, odnalazł może w owej chwili w pamięci niby farbę pomieszczoną własną ręką na palecie) wyrażało jak gdyby materialnie najgrubszą radość. Prawdę mówiąc, z estetycznego punktu ten radosny motyw nie podobał mi się; wydał mi się prawie brzydki, rytm jego włócił się tak leniwo po ziemi, że można by go naśladować niemal wiernie jedynie samym hałasem, uderzając w pewien sposób pałeczkami o stół. Zdawało mi się, że Vinteuilowi zbrakło tu natchnienia, a tym samym i mojej uwadze zbrakło trochę wytrwania.

Patrzyłem na „pryncypałkę”, której surowa martwota zdawała się protestować przeciwko wybijaniu taktu, jakiemu oddawały się nieokrzese damy z największego świata. Pani Verdurin nie powiadała: „Pojmujecie, że ja znam trochę tę muzykę, no tak! Gdybym miała wyrazić wszystko, co odczuwam, nie skończylibyśmy tak prędko!”. Nie mówiła tego. Ale jej prosta i nieruchoma postawa, martwe oczy, niesforne kosmyki włosów mówiły za nią. Wyrażały także jej odwagę i to, że wykonawcy mogą jechać śmiało, nie oszczędzać jej nerwów, że się nie cofnie przy *andante*<sup>253</sup>, nie zaczną krzyczeć przy *allegro*<sup>254</sup>. Patrzyłem na muzyków. Wiolonczelista panował nad instrumentem, który ścisnął kolanami, pochylając twarz, której pospolite rysy dawały w manierycznych momentach mimowolny wyraz wstrętu; pochylał się nad swoim kontrabasem, skubał go z tą samą gospodarską cierpliwością, co gdyby obierał kapustę, podczas gdy obok niego harfistka (jeszcze dziecko) w krótkiej spódnicy, obramiona ze wszystkich stron promieniami złotego czworo-

<sup>253</sup>*andante* (muz., wł.) — tempo wykonywania utworu w muzyce: umiarkowane. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>*allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]



boku podobnego do tych, które w czarnoksiężskiej izdebce wróżki wyobrażałyby wedle umownych a uświęconych form eter, zdawała się szukać po nich we właściwym momencie lubego dźwięku w ten sam sposób, w jaki alegoryczna boginka, stojąc przed złotą kratą niebieskiego sklepu, zrywałaby gwiazdy. Co się tyczy Morela, niewidzialny dotąd i zgubiony w jego włosach pukiel oderwał się i falował nad jego czołem. Obróciłem nieznacznie głowę ku publiczności, aby sobie zdać sprawę z tego, co pan de Charlus musiał myśleć o tym puklu. Ale oczy moje napotkały tylko twarz lub raczej ręce pani Verdurin, bo twarz była całkowicie utopiona w dłoniach.

Ale rychło, gdy triumfalny motyw dzwonów wypędziły, rozproszyły inne, ogarnęła mnie znów ta muzyka; zdałem sobie sprawę, że jeżeli w tym septecie<sup>255</sup> różne elementy wylaniają się kolejno, to po to, aby się stopić w końcu. I sonata Vinteuila i, jak się dowiedziałem później, wszystkie inne jego utwory, były wobec tego septetu jedynie nieśmiały — uroczymi, ale wątlymi — szkicami wobec wspaniałego i pełnego arcydzieła objawiającego mi się w tej chwili. Mimo woli przez porównanie przypominałem sobie również, że myślałem niegdyś o innych światach, jakie mógł być stworzyć Vinteuil, jako o światach tak kompletnie zamkniętych jak każda z moich miłości. Ale w rzeczywistości musiałem uznać, że w stosunku do mojej ostatniej miłości — Albertyny — pierwsze moje próby kochania (w Balbec zaraz z początku, potem po partii „lisa”, potem owej nocy w hotelu, potem w mglistą niedzielę w Paryżu, potem po raucie u księżnej Marii, potem znów w Balbec i wreszcie w Paryżu, gdzie moje życie było ściśle spojone z jej życiem) były jedynie wołaniem; tak samo jeżeli spoglądałem teraz nie już na moją miłość do Albertyny, ale na całe swoje życie, inne miłości również były w nim niby wątle i nieśmiałe próby, wołania przygotowujące tę pełniejszą miłość: Albertynę. I przestałem nadążać za muzyką, aby znów dociekać, czy Albertyna widziała w tych dniach pannę Vinteuil, tak jak się bada na nowo objaw choroby, o której rozrywka pozwoliła nam przez chwilę zapomnieć. Bo to we mnie działały się możebne uczynki Albertyny. Posiadamy duplikat wszystkich znanych istot, ale zazwyczaj mieszczący się na horyzoncie naszej wyobraźni, naszej pamięci; jest stosunkowo na zewnątrz nas i to, co zrobił albo mógł zrobić, zawiera dla nas nie więcej elementów bólu niż przedmiot ustawiony w pewnej odległości, dostarczający nam jedynie bezbolesnych wrażeń wzrokowych. To, co dotyczy owych istot, percypujemy<sup>256</sup> w sposób kontemplacyjny; możemy ubolewać nad tym w odpowiednich zwrotach, które dają innym pojęcie o naszym dobrym sercu, lecz nie odczuwamy tego; ale od czasu mojej rany w Balbec duplikat Albertyny znajdował się w moim sercu, bardzo głęboko, trudny do wydobywania. To, co z niej widziałem, raniło mnie niby chorego o zmysłach tak boleśnie przemieszczonych, że kolor odczuwałby w swoim wnętrzu niby nacięcie w żywe ciało. Na szczęście nie uległem jeszcze pokusie zerwania z Albertyną; przykreść ujrzenia jej niebawem za powrotem była drobnostką w porównaniu z niepokojem, jakiego bym doznawał, gdyby rozstanie przypadło na chwilę, gdym ją podejrzewał, zanimby zdążyła stać mi się obojętna. W chwili kiedy ją sobie wyobrażałem czekającą tak na mnie w domu jak ukochana kobieta, której się czas dłuży, uspioną może na chwilę w swoim pokoju, upieściła mnie w przelocie tkliwa fraza septetu, rodzinna i domowa. Wszystko tak dalece krzyżuje się i piętrzy w naszym wewnętrznym życiu, iż może frazę tę natchnął Vinteuilowi sen jego córki — jego córki, dziś przyczyny wszystkich moich udręczeń — kiedy w zaciszne wieczory słodycz jej umilała mu pracę; tę frazę, która mnie tak ukoiliła tym samym miękkim tłem milczenia, nasycającym często zadumę Schumanna<sup>257</sup>, podczas której nawet kiedy „poeta mówi”, zgadujemy, że „dziecię śpi”. Odnajdę tego wieczora, kiedy mi się spodoba wrócić, Albertynę, dziecko moje, uspioną, rozbudzoną. A jednak — powiadałem sobie — początek tego dzieła w pierwszych krzykach jutrzemki przyrzekał coś bardziej tajemniczego niż miłość Albertyny. Próbowałem wygnać myśl o niej, aby myśleć tylko o muzyku. Bo też miałem wrażenie, że on jest tutaj. Można by rzec, że mocą reinkarnacji autor żyje na zawsze w swojej muzyce; czuło się radość, z jaką dobierał kolor jakiegoś dźwięku, zestrajał go z innymi. Bo z głębszymi

<sup>255</sup>septet (muz.) — utwór na 7 głosów lub instrumentów solowych. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>percypować — odbierać jakieś zjawiska zmysłami, postrzegać. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>Schuman, Robert (1810–1856) — niemiecki kompozytor i krytyk muzyczny, przedstawiciel romantyzmu; autor m.in. zbioru utworów na fortepian pt. *Sceny dziecięce* (*Kinderszenen*, 1838), z których dwa ostatnie to *Dziecko zasypia* oraz *Poeta mówi*. [przypis edytorski]

darami Vinteuil łączył dar, który posiada niewielu muzyków, a nawet niewielu malarzy; mianowicie ten, że używał barw nie tylko tak trwałych, ale tak własnych, iż jak czas nie zmienia ich świeżości, tak uczniowie naśladowujący ich wynalazcę, a nawet mistrze, którzy go przewyższyli, nie zaćmiewają ich oryginalności. Zdobył rewolucji, jaką sprawiło ich zjawienie się, nie stapiają się bezimiennie z następnymi epokami; szaleje ona i wybucha na nowo, ilekroć się gra utwory wiekuiestego odnowiciela. Każdy dźwięk podkreślała barwa, której wszystkie reguły świata opanowane przez najuczestniejszych muzyków nie zdołałyby naśladować; tak że Vinteuil, mimo iż związany ze swoją epoką i zajmujący swoje miejsce w ewolucji muzyki, zawsze je miał opuścić, aby się wysunąć na czoło, z chwilą gdy się zagra któryś z jego utworów, robiący wrażenie czegoś wykwitłego po najnowszych muzykach, wskutek paradoksalnego i istotnie myślącego wrażenia trwałej nowości.

Symfoniczna muzyka Vinteuila, znana już z fortepianu, a słyszana na orkiestrę, była jak promień letniego dnia, który przyzmat okna rozkłada, zanim go wpuści do mrocznej jadalni; odsłaniała, niby niepodejrzewany i wielobarwny skarb, wszystkie klejnoty *Tysiąca i jednej nocy*. Ale jak porównać z tym nieruchomym blaskiem światła coś, co było życiem, wiekuiestym i szczęśliwym ruchem? Tęgo Vinteuila, którego znałem niegdys tak nieśmiały i smutnym, cechowało, kiedy trzeba było wybrać dźwięk, połączyć go z drugim, zuchwalstwo, oraz, w pełnym znaczeniu słowa, szczęście, co do którego wymowa jego dzieła nie zostawiała żadnej wątpliwości. Radość, jaką mu sprawiały pewne harmonie, przyplływ sił, jaki mu dała ta radość dla odkrycia innych, wiodły słuchacza ze zdobyczy w zdobycz lub raczej wiodł go sam twórca, w świeżo znalezionych barwach czerpiąc oszalałą uciechę, dającą mu moc odkrywania, rzucania się na kolory wołające go niejako; zachwycony, drżący, jak od wybuchu iskry, kiedy boskość rodziła się sama ze zderzenia blach, dyszący, upojny, opętany, nieprzytomny, gdy malował swój wielki fresk muzyczny, jak Michał Anioł<sup>258</sup> przywiązany do drabiny i miotający, z głową zwieszoną na dół, burzliwe ciosy pędzla na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

Vinteuil umarł od wielu lat; ale pośród tych instrumentów, które ożywił, dane mu było na czas nieograniczony przedłużyć bodaj część życia. Tylko swego ludzkiego życia? Gdyby sztuka była w istocie tylko przedłużeniem życia, czy warto było jej coś poświęcać, czy nie była czymś równie nierealnym jak samo życie? Wsłuchując się w ten septet, nie mogłem w to uwierzyć. Bez wątpienia purpurowy septet różnił się osobliwie od białej sonaty; nieśmiałe pytanie, na które odpowiadała lekka fraza, różniło się od zdyszanego błagania o spełnienie dziwnej obietnicy, które rozległo się tak ostre, tak nadprzyrodzone, tak krótkie, wstrząsając bezwładną jeszcze czerwień rannego nieba ponad morzem. A jednak te tak odmienne frazy miały te same składniki; tak samo bowiem jak istniał pewien świat, pochwytny dla nas w owych cząstkach rozproszonych tu i ówdzie, po jakichś mieszkaniach, muzeach, i stanowiących świat Elstira, ten, który Elstir widział, w którym żył, tak samo muzyka Vinteuila rozpościerała, nuta po nucie, dźwięk po dźwięku, nieznane barwy bezcennego, niepodejrzewanego wszechświata, przerywanego lukami powstałymi między audycjami jego dzieł; te dwa tak niepodobne pytania, władające tak odmiennymi tempami sonaty i septetu; jedno łamiące w krótkich wołaniach ciągłą i czystą linię, drugie stapiające w jednolitą armaturę rozproszone fragmenty. Mimo iż jedno tak spokojne i nieśmiałe, prawie oderwane i jakby filozoficzne, drugie tak natarczywe, trwożliwe, błagalne — była to jednak ta sama modlitwa tryskająca w obliczu różnych wewnętrznych wschodów słońca, jedynie załamana w odmiennych sferach innych myśli, wyszukań sztuki postępującej w ciągu lat, w których artysta chciał stworzyć coś nowego. Modlitwa, nadzieja — wciąż w gruncie ta sama — łatwa do poznania pod tymi przebraniem w rozmaitych utworach Vinteuila i skądinąd znajdująca się tylko w jego utworach. Muzykologowie mogliby łatwo ustalić powinowactwa tych fraz, ich genealogię w dziełach innych wielkich muzyków, ale tylko z ubocznych racji, z zewnętrznych podobieństw, analogii raczej zmyślnie odkrytych rozumowaniem niż wprost odczuty. Faza Vinteuila była różna od wszelkiej innej, jak gdyby na wspak konkluzjom wyłaniającym się z wiedzy istniała jedność „indywidualna”. Za to wtedy, kiedy całą mocą starał się być nowy, wówczas pod pozornymi różnicami poznawało się głębokie

<sup>258</sup> Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Ludovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu; znany z serii fresków biblijnych na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie oraz namalowanego na ścianie ołtarzowej tej kaplicy fresku *Sąd Ostateczny*. [przypis edytorski]

powinowactwa i celowe podobieństwa zachodzące w łonie samego dzieła. Kiedy Vinteuil podejmował na parę zawodów jedną i tę samą frazę, różnicował ją, zmieniając jakby dla igraszki rytm, znów ją wprowadzał pod pierwotną formą; wówczas te celowe podobieństwa, twory intelektu — tym samym powierzchowne — nigdy nie były tak uderzające jak owe podobieństwa ukryte, mimowolne, wybuchające w różnych barwach między dwoma różnymi arcydziełami; wówczas bowiem Vinteuil, starając się być nowym, wnikał sam w siebie całą potęgą twórczego wysiłku, dosięgł własnej istoty w tych głębościach, gdzie, jakiegokolwiek zada się jej pytanie, odpowiada ona tym samym akcentem — swoim własnym. Taki akcent, ów akcent Vinteuila, dzieli od akcentu innych muzyków różnica o wiele większa, niż ta, którą wyczuwamy między głosami dwóch osób, nawet między rykiem lub krzykiem dwóch gatunków zwierząt; przez samą różnicę zachodzącą między myślą owych innych muzyków a wiekuistymi dociekaniem Vinteuila, pytanie, jakie sobie zadawał w tyłu formach, jego swoista filozofia, ale równie oczyszczona z analitycznych form rozumowania, co gdyby się rozgrywała w świecie aniołów, tak że możemy zmierzyć jej głębokość, ale nie bardziej tłumacząc ją na mowę ludzką, niż są do tego zdolne odcieleśnione duchy, kiedy wywołałszy je, medium zapyta je o tajemnice śmierci. I nawet biorąc w rachubę ową nabytą oryginalność, która mnie uderzyła dziś po południu, owo pokrewieństwo, jakie muzykologowie mogliby znaleźć między nimi, jest to ów jedyny akcent, do którego się wznoszą, do którego wracają mimo woli owi wielcy śpiewacy, jakimi są oryginalni muzycy; akcent będący dowodem nieprzeparcie indywidualnego istnienia duszy. Czy Vinteuil próbował tworzyć w stylu uroczystym, pięknym, czy też chciał być żywszym i weselszym, upiększyć to, co widział odbijające się w duszy ogółu, mimo woli zatapiał to wszystko głęboką falą, która czyni jego śpiew wiecznym i łatwym do poznania. Gdzie on się nauczył tego śpiewu różnego od innych, wspólnego wszystkim jego śpiewom, gdzie go usłyszał? Każdy artysta wydaje się obywatelem jakiejś ojczyzny nieznanej, zapomnianej przez niego samego, różnej od tej, z której się zjawi i wyląduje na ziemi inny wielki artysta. Co najwyżej w ostatnich swoich dziełach Vinteuil zdawał się zbliżać do tej ojczyzny. Atmosfera była w nich już inna niż w sonacie; pytańniki fraz stawały się bardziej nagłe, niespokojne, odpowiedzi bardziej tajemnicze; czyste ranne i wieczorne powietrze oddziaływało nawet na struny instrumentów. Mimo iż Morel grał cudownie, dźwięki jego skrzypiec zdawały mi się szczególnie ostre, niemal krzyżące. Ta ostrość miała swój urok, czuło się w niej, niby w pewnych głosach, jakąś wartość moralną i wyższość intelektualną. Ale to mogło razić. Kiedy wizja wszechświata zmienia się, oczyszcza, kiedy się staje zgodniejsza ze wspomnieniem duchowej ojczyzny, naturalne jest, że to się wyraża u muzyka podniesieniem temperatury dźwięków, jak u malarza — kolorytu. Zresztą najinteligentniejsza publiczność nie myli się w tej mierze, skoro później uznano ostatnie dzieła Vinteuila za najgłębsze, mimo iż żaden program, żaden temat nie dostarczał tym sądom intelektualnego elementu. Odgadywano tedy, że chodzi o transpozycję głębi w sferę dźwięków.

Muzycy nie przypominają sobie tej straconej ojczyzny, ale każdy z nich zostaje zawsze bezwiednie zestrojony z nią w jakimś *unisono*<sup>259</sup>; szaleje z radości, kiedy śpiewa wedle swojej ojczyzny, zdradza ją czasem dla miłości sławy. Ale wówczas, szukając sławy, ucieka od niej, a znajduje sławę, jedynie gardząc nią, kiedy — bez względu na temat, jaki bierze — intonuje ów osobliwy śpiew, którego monotonia dowodzi stałości elementów składających jego duszę, bez względu bowiem na przedmiot artysta zostaje wierny samemu sobie. Ale wówczas cały realny osad tych składników, który zmuszeni jesteśmy zachować dla siebie, którego nie może udzielić w rozmowie nawet przyjaciel przyjacielowi ani mistrz uczniowi, ani kochanek kochance, owo „niewysłowione”, różnicujące to, co każdy odczuł i co musi zostawić na progu zdań, w których może komunikować się z drugimi jedynie w zakresie zewnętrznych i nieinteresujących wspólnych punktów, czyż nie ujawnia się w sztuce, w sztuce jakiegos Vinteuila, Elstira, w tęczy barwach, wyrażając tajemnicę owych światów, które zwiemy indywidualnymi i których bez sztuki nie poznalibyśmy nigdy? Skrzydła, inny aparat oddechowy, które by nam pozwoliły przebyć bezmiary, nie zdałyby się nam na nic, bo gdybyśmy się udali na Marsa i na Wenus, zachowując te same zmysły, wszystkim, co moglibyśmy tam ujrzyć, dałyby one tę samą postać, jaką oglą-

<sup>259</sup>*unisono* (z wł., muz.) — jednym głosem, w jednej tonacji. [przypis edytorski]

damy na Ziemi. Jedyną prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest; a to możemy uczynić z jakimś Elstirem, z Vinteulem; z podobnymi do nich lecimy naprawdę z gwiazd na gwiazdy.

Andante skończyło się rzewną frazą, której oddałem się cały; po czym przed następną częścią nastąpiła chwila spoczynku, kiedy wykonawcy odłożyli instrumenty, a słuchacze wymienili nieco wrażeń. Pewien książę, chcąc dowieść znawstwa, oświadczył: „To bardzo trudne do dobrego odegrania”. Milsze osoby rozmawiały chwilę ze mną. Ale czym były ich słowa, które jak wszelkie zdawkowe słowo ludzkie zostawiały mnie tak obojętnym, wobec niebiańskiej frazy, z którą dopiero co rozmawiałem? Byłem w istocie jak anioł, który strącony z raju spada w płaską rzeczywistość. I jak pewne stworzenia są ostatnimi świadkami jakiejś formy, której natura poniechała, tak ja dumalem, czy muzyka nie jest jedynym przykładem tego, czym mogłoby być porozumienie dusz, gdyby nie było wynalazku mowy, formacji słów, analizy myśli. Muzyka jest niejako możliwością nie mającą następstw; ludzkość weszła na inne drogi — języka mówionego i pisanego. Ale ten powrót do czegoś niedającego się zanalizować był tak upajający, że po wyjściu z tego raju zetknięcie się z istotami mniej lub więcej inteligentnymi zdawało się straszliwie mdłe. W czasie muzyki mogłem sobie przypominać istoty ludzkie, łączyć je z nią; lub raczej łączyłem z muzyką wspomnienie jednej tylko osoby — Albertyny. I fraza, która kończyła andante, zdawała mi się tak boska, że powiadałem sobie, iż szkoda, że Albertyna nie wie — a gdyby wiedziała, nie zrozumiałaby — jakim zaszczytem jest dla niej być zespoloną z czymś tak wielkim, co nas kojarzy i od czego ona pożycza niejako patetycznego głosu. Ale skoro muzyka się przerwała, obecne w salonie istoty zdawały się nazbyt żadne.

Podano chłodniki. Pan de Charlus zaczął od czasu do czasu któregoś lokaja: „Jak się miewasz? Czyś dostał mój bilecik? Przyjdiesz?”. Zapewne była w tych zagadywaniach swoboda wielkiego pana, który sądzi, że komuś pochlebia, i bardziej jest spoufalony z ludem od mieszcza; ale była i chytryść przestępcy, który myśli, że to, z czym publicznie paraduje, staje się tym samym niewinne. I dodawał tonem „Guermantes” pani de Villeparisis: „To dzielny chłopak, dobry charakter, często zatrudniam go u siebie”. Ale te finty<sup>260</sup> zwracały się przeciwko baronowi, bo jego poufale grzeczności i bileciki do lokajów zdawały się jednak czymś dość osobliwym. Sami lokaje czuli się zresztą bardziej zakłopotani niż dumni, przez wgląd na kolegów.

Tymczasem septet, który rozpoczął się na nowo, zbliżał się ku końcowi; na parę zawodów jakaś fraza z sonaty wracała, ale za każdym razem zmieniona, w innym rytmie, z innym akompaniamentem, ta sama, a przecie inna, tak jak odradzają się rzeczy w życiu; i była to jedna z tych fraz, które mimo iż niepodobna zrozumieć, co za powinowactwo wyznacza im jako jedyne i nieodzowne mieszkanie przeszłość pewnego muzyka, znajdują się tylko w jego utworach i zjawiają się stale w dziele, niby jego wróżki, driady<sup>261</sup>, bóstwa domowe. Zrazu wyróżniłem w septyecie dwie lub trzy takie, które mi przypomniały sonatę. Niebawem spostrzegłem inną frazę z sonaty, jeszcze tak daleką, że ją ledwo poznałem; skąpana w fioletowej mgłę, która wznosiła się zwłaszcza w ostatniej części dzieła Vinteuila, tak iż nawet kiedy wprowadzał jakiś taniec, była niby uwięziona w opalu; wahała się, zbliżyła, pierzchła jak spłoszona, potem wróciła, spłotła się z innymi, przybyłymi — jak się dowiedziałem później — z innych dzieł: wezwała jeszcze inne; te stawały się znowuż na przemian pełne pokus i perswazji i zawodziły koło boskie, lecz niewidzialne dla większości słuchaczy, którzy mając przed sobą jedynie gęstą zasłonę i nie widząc przez nią nic, w dowolnych miejscach przerywali okrzykami podziwu ciężką nudę, która dławiała ich śmiertelnie.

Potem te frazy oddaliły się, z wyjątkiem jednej, wracającej kilka razy, przy czym twarzy jej nie mogłem ujrzeć; ale była tak pieszczotliwa, tak inna — jak inna była z pewnością dla Swanna lekka fraza z sonaty — od tego, czego pragnienie obudziła we mnie jakakolwiek kobieta, tak słodkim głosem ofiarowywała mi szczęście, naprawdę warte osiągnięcia — niewidzialna istota, której języka nie znałem, a którą rozumiałem tak dobrze — je-

<sup>260</sup>finta — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>driady (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

dyna może Nieznajoma, którą mi kiedy dane było spotkać. Potem ta fraza rozpadła się, przeobraziła jak owa „swannowska” fraza w sonacie i znów stała się tajemniczym początkowym wołaniem. Przeciwstawiła się mu inna fraza, bolesna, ale tak głęboka, tak nieuchwytna, tak wewnętrzna, niemal tak organiczna i sięgająca do trzewi, że kiedy wracała, nie wiadomo było, czy to są nawroty tematu muzycznego czy newralgii.

Niebawem dwa motywy sprzęgły się w zapasach; to jeden z nich znikał zupełnie, to znów dostrzegało się jakiś strzęp drugiego. Zmagania, prawdę rzekłszy, jedynie energii; bo jeżeli ścierały się te istoty, to wyzwolone z fizycznego ciała, ze swej postaci, imienia, znajdując we mnie widza duchowego, niedbającego również o nazwy i o swoiste cechy, pochłoniętego jedynie ich niematerialną i dynamiczną walką, namiętnie śledzącego dźwięczne jej perypetie. Wreszcie zatriumfował motyw radosny; to już nie był ów niespokojny prawie apel rzucony w puste niebo; to była niewysłowiona radość, jak gdyby płynąca z Raju; radość równie odmienna od radości sonaty, jak od słodkiego i poważnego anioła Belliniego<sup>262</sup>, grającego na teorbanie<sup>263</sup>, mógłby być różny jakiś archanioł Mantegny, odziany w szkarłatną suknię i dmący w puzon. Wiedziałem, że tego nowego odcienia radości, tego wołania ku ponadziemskiej radości nie zapomniabym nigdy. Ale czy mogłaby się kiedy ziścić dla mnie? Pytanie zdawało mi się tym ważniejsze, ile że fraza ta mogła najlepiej scharakteryzować owe sprzeczne z resztą mego życia, z widzialnym światem wrażenia, które w rzadkich odstępach odnajdywałem w swoim życiu jako wytyczne punkty dla zbudowania prawdziwego życia: wrażenie wież w Martinville, drzew w pobliżu Balbec. W każdym razie, aby powrócić do swoistego akcentu tej frazy, jakież to było osobliwe, że przecucie najodmienniejsze od tego, co nam wyznacza przyziemne życie, że najśmielsze zbliżenie się do zaziemskiej radości zmateriałizowało się właśnie w smutnym i poprawnym mieszczeniu, którego spotykaliśmy na majowych nabożeństwach w Combray; ale zwłaszcza jak się to stało, że tę najdziwniejszą rewelację nieznanego typu radości zdołałem otrzymać od niego, skoro, jak powiadano, umierając, zostawił tylko sonatę, reszta zaś prawie nie istniała, zagrzebana w notatkach niepodobnych do odczytania. Niepodobnych do odczytania, w końcu jednak odczytanych, siłą cierpliwości, inteligencji i czci, przez jedyną osobę, która dość długo żyła w pobliżu Vinteuila, aby dobrze poznać jego sposób pracy, aby odgadnąć znaki jego instrumentacji: była nią przyjaciółka panny Vinteuil. Jeszcze za życia wielkiego muzyka poznała kult, jaki córka Vinteuila żywiła dla ojca. Właśnie z powodu tego kultu, w chwilach kiedy się idzie na wspak prawdziwym skłonnościom, obie dziewczyny mogły znaleźć obłąkaną przyjemność w profanacjach, które swego czasu opisałem. (Adoracja dla ojca była wręcz warunkiem świętokradztwa córki. Niewątpliwie, powinny były sobie odmówić rozkoszy tego świętokradztwa, ale nie wyrażały ich ono całkowicie). Zresztą profanacje te stawały się coraz radsze, w końcu znikły zupełnie, w miarę jak fizyczne i chorobliwe stosunki, niby mętny i dymny żar, ustąpiły płomieniowi wzniosłej i czystej przyjaźni. Przyjaciółkę panny Vinteuil przesywała czasem dotkliwa myśl, że może ona przyspieszyła śmierć staroego. Trawiąc lata na odcyfrowywaniu rękopisów Vinteuila, ustalając niemylnie lekturę tych hieroglifów, przyjaciółka panny Vinteuil miała tę pociechę, że muzykowi, którego ostatnie lata zasmuciła, zapewniła w odplatę nieśmiertelność. Stosunki nieuświęcone prawem wynikają z węzłów pokrewieństwa równie wielorakich, równie złożonych, jedynie silniejszych niż te, które się rodzą z małżeństwa. Nawet nie wdając się w rozważanie stosunków o charakterze zbyt specjalnym, czyż nie widzimy co dnia, że cudzołóstwo, kiedy się wspiera na prawdziwej miłości, nie osłabia uczuć i powinności rodzinnych, ale je wzmacnia. Wiarołomstwo wprowadza ducha w literę, która bardzo często w małżeństwie pozostałaby martwa. Dobra córka, która jedynie przez konwenans będzie nosiła żałobę po drugim mężu matki, ileż wyleje łez, oplakując człowieka, którego matka wybrała spośród wszystkich za kochanka. Zresztą panna Vinteuil działała jedynie przez sadyzm, co jej nie usprawiedliwiała, ale znajdowałem później niejaką słodycz w tej myśli. W chwili gdy profanowała z przyjaciółką fotografię ojca, musiała (tak myślałem) zdawać sobie sprawę, że wszystko to jest jedynie chorobą, szaleństwem, nie zaś prawdziwym i radosnym okru-

<sup>262</sup>*Bellini, Giovanni* (ok. 1430–1516) — malarz włoski epoki renesansu, twórca weneckiej szkoły kolorystycznej, najwybitniejszy z malarskiej rodziny Bellinich; autor głównie obrazów religijnych i portretów. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*teorban* — lutnia basowa, duży strunowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

ciemstwem, jakiego by pragnęła. Myśl, że to jest jedynie komedia okrucieństwa, psuła jej rozkosz. Ale jeżeli ta myśl mogła jej wrócić później, wówczas, tak jak zepsuła rozkosz, tak musiała zmniejszyć jej cierpienie. „To nie byłam ja — musiała sobie powiedzieć — byłam obłąkana. Chcę się jeszcze modlić za ojca, nie rozpaczać o jego dobroci”. Ale możliwe jest, że ta myśl, która z pewnością nastęrczyła się jej w rozkoszy, nie nastęrczyła się jej w cierpieniu. Byłbym chciał móc jej podsunąć tę myśl. Jestem pewny, żebym jej oddał przysługę i że zdołałbym stworzyć dość słodką styczność między nią a wspomnieniem ojca.

Niby z nieczytelnych kajetów, w których genialny chemik, nie wiedząc, że śmierć jego jest tak bliska, notuje odkrycia mające może zostać na zawsze nieznanne, przyjaciółka panny Vinteuil wydobyla z papierów bardziej nieczytelnych niż papirusy wypełnione pismem klinowym<sup>264</sup>, wiecznie prawdziwą, wiekuiście płodną formułę owej nieznannej radości, mistycznej nadziei szkarłatnego anioła poranku. A ja, dla którego mniej może niż dla samego Vinteuilu ta kobieta była także, jeszcze tego wieczora — miała być zwłaszcza w przyszłości, budząc na nowo zazdrość o Albertynę — przyczyną tylu cierpień, dzięki niej, w odplatę, mogłem usłyszeć dziwne wołanie, którego nie przestanę już słyszeć nigdy, jako przyrzeczenie i dowód, że istnieje coś innego niż nicość, którą znalazłem we wszystkich rozkoszach i w samej miłości; coś możebnego do osiągnięcia zapewne przez sztukę; i że jeżeli życie wydawało mi się tak czcze, to przynajmniej nie wyczerpało ono wszystkiego.

To, co młoda kobieta dzięki swojej pracy objawiła z Vinteuilu, to było, prawdę rzekłszy, całe jego dzieło. Przy tym septyecie niektóre frazy z sonaty, jedyne, które publiczność знаła, zdawały się tak banalne, iż niepodobna było zrozumieć, jak mogły niegdyś budzić tyle zachwyty. Podobnie dziwi nas, że przez lata kawałki tak błahe jak *Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety*<sup>265</sup> mogły wprawiać na koncertach w szał fanatyków, którzy klaskali bez końca i krzyczeli „bis” po skończeniu utworów będących przecież nędzą dla nas, znających *Tristana*<sup>266</sup>, *Złoto Renu*<sup>267</sup>, *Śpiewaków norymberskich*<sup>268</sup>. Trzeba przypuszczać, że te bezbarwne melodie już zawierały, choć w minimalnych (i przez to może łatwiejszych do przyswojenia) ilościach, coś z oryginalności arcydzieł, jedynych, które dziś liczą się dla nas, ale których zrozumienie utrudniałaby może sama ich doskonałość; tamte przygotowały im może drogę w sercach. To pewne, że jeżeli tamte melodie dawały mgliste przecucie przyszłego piękna, grały je w powszechnej nieświadomości. Tak samo z Vinteuilem; gdyby umierając, zostawił — poza pewnymi partiami sonaty — jedynie to, co zdołał skończyć, wówczas to, co by się zeń znało, byłoby wobec jego prawdziwej wielkości czymś równie błahym, jak gdyby Wiktor Hugo na przykład umarł po *Pas d'Armes du roi Jean*, po *Fiancée du Timbalier* i *Sarah la baigneuse*<sup>269</sup>, nie napisawszy *Legendy wieków* ani *Kontemplacji*<sup>270</sup>; to, co jest dla nas jego prawdziwym dziełem, zostałoby czysto potencjalne, równie nieznanne jak owe światy, których nasze poznanie nie dosięga, o których nigdy nie będziemy mieli pojęcia.

Zresztą pozorny kontrast, owa głęboka łączność między geniuszem (także talentem, a nawet cnotą) a futerałem przywar, w którym, jak się to zdarzyło Vinteuilowi, jest on tak często zawarty i przechowany, były czytelne, niby w przejrzystej alegorii, w samym zebraniu gości, wśród których się znalazłem po skończeniu koncertu. Zebranie, mimo że ograniczone tym razem do salonu pani Verdurin, podobne było do wielu innych, których

<sup>264</sup>papirusy wypełnione pismem klinowym — w rzeczywistości pismem klinowym, używanym w starożytności na Bliskim Wschodzie, nie pisano na papirusie: złożone z klinów znaki tworzone, dociskając końcówkę ryłka do powierzchni tabliczki z gliny. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety* — pieśni z opery Richarda Wagnera *Tannhäuser* (1845). [przypis edytorski]

<sup>266</sup>*Tristan i Izolda* — dramat muzyczny Wagnera z 1859, bazujący na historii Tristana i Izoldy z cyklu legend arturiańskich. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>*Złoto Renu* — pierwsza część tetralogii Wagnera *Pierścień Nibelunga*, wystawiona po raz pierwszy w 1869. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>*Śpiewacy norymberscy* — opera Wagnera z 1868. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>*Pas d'Armes du roi Jean*, *Fiancée du Timbalier*, *Sarah la baigneuse* — wczesne utwory poetyckie Viktora Hugo z lat 1823–1829, do których następnie napisali muzykę wielcy kompozytorzy XIX w., Camille Saint Saëns i Hector Berlioz. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>*Kontemplacje* a. *Zamyślenia* — *Les Contemplations* (1855), obszerny zbiór wierszy Viktora Hugo, poświęcony jego 19-letniej córce, która utonęła w Sekwanie. [przypis edytorski]

elementów nie zna szeroka publiczność, a które filozofujący dziennikarze, bodaj trochę poinformowani, nazywają paryskimi lub panamistycznymi<sup>271</sup>, lub dreyfusowskimi, nie podejrzewając, że można je spotkać tak samo w Petersburgu, w Berlinie, w Madrycie, i w każdej epoce. W istocie, jeżeli podsekretarz stanu sztuk pięknych, prawdziwy artysta, człowiek wytworny i snob, parę diuszys i trzech ambasadorowie z żonami znaleźli się owego wieczora u pani Verdurin, bezpośrednim źródłem ich obecności były stosunki łączące pana de Charlus z Morelem, stosunki, które pobudziły barona do tego, aby dać największy rozgłos sukcesom swego młodego bożyszcza i uzyskać dlań Krzyż Legii. Dalszą przyczyną, która umożliwiła to zebranie, był fakt, iż młoda dziewczyna, utrzymująca z panną Vinteuil stosunki równie podejrzane, wydobyła na światło serię genialnych dzieł, które stały się taką rewelacją, że niebawem otwarto subskrypcję pod patronatem ministerstwa oświaty celem wzniesienia Vinteuilowi pomnika. Zresztą jak stosunki panny Vinteuil z przyjaciółką, tak i stosunki barona z Morelem stały się użyteczne dla tych dzieł; stworzyły rodzaj przecznicy, skrót drogi, dzięki któremu świat miał się zetknąć z tymi dziełami bez przeszkód jeżeli nie niezrozumienia, które miało trwać długo, to bodaj całkowitej niewiedzy, która mogłaby trwać całe lata. Za każdym razem kiedy zachodzi wydarzenie dostępne umysłowi felietonowego filozofa — to znaczy przeważnie wydarzenie polityczne — felietonowy filozof jest przekonany, że coś się zmieniło we Francji, że już się nie ujrzy podobnych wieczorów, że już się nie będzie podziwiano Ibsena<sup>272</sup>, Renana<sup>273</sup>, Dostojewskiego<sup>274</sup>, d'Annunzia<sup>275</sup>, Tolstoja<sup>276</sup>, Wagnera, Straussa<sup>277</sup>. Bo dziennikarze-filozofowie z dwuznacznych podszewek tych oficjalnych manifestacji czerpią argumenty na to, aby znaleźć coś „dekadenceckiego” w entuzjastycznie powitanej sztuce, która często jest ascetyczniejsza od innych. Ale nie ma nazwiska pośród nazwisk najbardziej czczonych przez tych felietonowych filozofów, które by najnaturalniej nie dało powodu do takich dziwnych biesiad, choćby dziwność ich była mniej jaskrawa i lepiej ukryta.

Co się tyczy tej fety, nieczyste elementy, które się w niej skojarzyły, uderzały mnie z innego punktu widzenia; niewątpliwie mógłbym bez trudu zanalizować je, mając sposobność poznać je oddzielnie. Ale jedne, wiążące się z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, mówiąc o Combray, mówiły mi zarazem o Albertynie, to znaczy o Balbec: przecież dlatego że nigdy nie widział panny Vinteuil w Montjouvain i że się dowiedział o zażyłości jej przyjaciółki z Albertyną, miałem za chwilę, wróciwszy, zastać — zamiast samotności — czekającą na mnie Albertynę. Drugie, dotyczące Morela i pana de Charlus, mówiąc mi o Balbec (gdziem patrzył na początek ich stosunków na peronie w Doncières), mówiły mi o Combray i o jego dwóch „stronach”, bo pan de Charlus był jednym z Guermantów, hrabiów na Combray, mieszkających w Combray — mimo iż nie posiadających tam domu — między niebem a ziemią, jak Gilbert Zły na swoim witrażu. Morel wreszcie był synem starego kamerdynera, który mi dał poznać „różową damę” i pozwolił mi w tyle lat później rozpoznać w niej panią Swann!

<sup>271</sup> panamistyczny — związany z poglądem o istnieniu powszechnego ducha, duszy wcielonej w całość wszechświata. [przypis edytorski]

<sup>272</sup> Ibsen, Henryk (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczka*. [przypis edytorski]

<sup>273</sup> Renan, Joseph Ernest (1823–1892) — francuski pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof pozytywista, krytyczny badacz historii religii; zasłynął jako autor pracy *Historia początków chrześcijaństwa* (1863–1883), z której szczególnie znany jest tom I pt. *Żywot Jezusa*. [przypis edytorski]

<sup>274</sup> Dostojewski, Fiodor (1821–1881) — wybitny powieściopisarz rosyjski, mistrz realistycznej prozy psychologicznej; autor m.in. powieści *Zbrodnia i kara*, *Idiota*, *Biesy*, *Bracia Karamazow*. [przypis edytorski]

<sup>275</sup> D'Annunzio, Gabriele (1863–1938) — włoski powieściopisarz, poeta i dramaturg, lotnik wojskowy podczas I wojny światowej, po wojnie nacjonalistyczny agitator, wywarł znaczny wpływ na Mussoliniego; w literaturze zasłynął z pierwszych prób futurystycznych, później skłaniał się do ekspresjonizmu; znany zwłaszcza z bestsellerowej powieści *Triumf śmierci* (1894). [przypis edytorski]

<sup>276</sup> Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

W chwili gdy po skończeniu muzyki goście pana de Charlus zaczęli się z nim żegnać, baron popełnił ten sam błąd co za ich przybyciem. Nie poprosił, aby się zwrócili do „pryncypalki”, aby wdzięcznością, jaką mu wyrażano, objęto ją i jej męża. Nastąpiła długa defilada, ale defilada przed samym baronem, z czego zresztą zdawał sobie sprawę, mówiąc mi w chwilę później: „Sama forma uroczystości artystycznej przybrała później dość zabawny charakter »zakrystii«”. Przedłużano nawet podziękowania w rozmowach, które pozwalały winszującym zostać dłużej z baronem, gdy ci, którzy mu jeszcze nie powinszowali udanego wieczoru, wystawali i dreptali w miejscu. Niejeden mąż miał ochotę odejść, ale żona, snobka, mimo iż diuszesa, protestowała: „Nie, nie, choćbyśmy mieli czekać godzinę, nie możemy odejść, nie podziękowawszy Palamedowi, który sobie zadał tyle trudu. On jeden zdolny jest dziś dawać takie uczyty duchowe”. Nikt nie pomyślał o tym, aby się przedstawić pani Verdurin, tak jak nikomu by nie przyszło na myśl przedstawiać się bileterce w teatrze, do którego wielka dama ściągnęłaby na jeden wieczór całą arystokrację.

— Był kuzyn wczoraj u Eliany de Montmorency? — spytała pani de Mortemart, żądna przedłużyć rozmowę.

— Och, Boże, nie; bardzo lubię Elianę, ale nie rozumiem sensu jej zaproszeń. Jestem zapewne trochę ograniczony — dodał baron z szerokim uśmiechem zadowolenia, gdy pani de Mortemart czuła, że będzie miała nowalię „Palameda”, jak często miewała nowalię „Oriany”. — Dostałam przed dwoma tygodniami bilecik od dobrej Eliany. Nad nazwiskiem „Montmorency”, grubo spornym, znajdowało się to uprzejme zaproszenie: „Kuzynie, bądź tak łaskaw pomyśleć o mnie w przyszły piątek o wpół do dziesiątej”. Poniżej widniały dwa słowa mniej wdzięczne: „Kwartet czeski”. Słowa te były niezrozumiałe, w każdym razie bez większego związku z poprzednim zdaniem, jak owe listy, na których odwołanie zaczęto inny list, rozpoczynający się od „Drogi przyjacielu”, przy czym brak dalszego ciągu: widać piszący, przez roztargnienie lub przez oszczędność nie wziął nowej ćwiartki. Bardzo lubię Elianę; toteż nie miałem do niej pretensji, po prostu przeszedłem do porządku nad dziwnym i niewczesnym „kwartetem czeskim”; że zaś jestem człowiekiem systematycznym, położyłem na kominku zaproszenie, aby „myśleć o pani de Montmorency” w piątek o wpół do dziesiątej. Mimo iż znany z mojej natury posłusznej, punktualnej i łagodnej, jak powiada Buffon<sup>278</sup> o wielbłądzie — tu śmiech błysnął szerzej na twarzy pana de Charlus, świadomego, przeciwnie, że go świat uważa za człowieka najtrudniejszego w pożyciu — spóźniłem się o kilka minut (ot, tyle, żeby się przebrać w szlafrok) i bez zbytnich wyrzutów sumienia, uważając, że wpół do dziesiątej znaczy dziesiąta, punkt o dziesiątej w wygodnym szlafroku, w ciepłych pantoflach siadłem sobie przy ogniu, aby myśleć o Elianie, jak mnie o to prosiła, z intensywnością, która zaczęła słabnąć o wpół do jedenastej. Powiedz jej, proszę cię, kuzynko, że byłem ściśle posłuszny jej śmiałości żądaniu. Myślę, że będzie rada.

Pani de Mortemart pękała ze śmiechu, a pan de Charlus wtórował jej.

— A jutro — dodała, nie myśląc o tym, że już przekroczyła, i to grubo, czas, do którego miała prawo — czy będziesz u kuzynów La Rochefoucauld?

— Och, niepodobieństwo! Zaprosili mnie i ciebie, jak widzę, na rzecz najniemożliwszą do pojęcia i do wykonania, a która się zwie, jeśli mam wierzyć zaproszeniu: „Herbata tańcząca”<sup>279</sup>. Uchodziłem za młodu za bardzo zręcznego, ale wątpię, czy byłbym zdolny bez szwanku dla przyzwoitości pić herbatę, tańcząc. Otóż nigdy nie lubiłem jeść ani pić w sposób niechlujny. Powie mi kuzynka, że dziś nie mam już obowiązku tańczyć. Ale nawet siedząc wygodnie i pijąc herbatę — do której jakości nie mam zresztą zaufania, skoro się zowie „tańcząca” — bałbym się, że inni goście, młodszy i może mniej zręczni niż ja byłem w ich wieku, obleją mi herbatą frak, co by zmąciło przyjemność wypicia mojej filiżanki.

<sup>278</sup> Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodniczości w XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>279</sup> herbata tańcząca (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]



Ale pan de Charlus nie ograniczył się nawet do tego, aby pomijać w rozmowie panią Verdurin i mówić o wszelkiego rodzaju tematach, znajdując widoczną przyjemność w ich rozwijaniu, a to dla sadystycznej przyjemności, jaką czerpał w tym, żeby trzymać bez końca na nogach i „w ogonku” osoby czekające z rezygnacją na swoją kolej. Baron krytykował całą część wieczoru, za którą odpowiedzialna była pani Verdurin:

— Ale *à propos* filiżanki, co to są za dziwne kubki podobne do tych, w których, kiedy byłem młodym człowiekiem, przysyłano sorbety od Poiré Blanche. Mówiono mi przed chwilą, że to na „kawę mrożoną”. Ale co się tyczy kawy mrożonej, nie widziałem ani kawy, ani mrozu. Jakies osobliwe „coś” o nieokreślonym przeznaczeniu.

Mówiąc to, pan de Charlus zasłonił usta dłonią w białej rękawiczce i zerknął dyskretnie, tak jakby się obawiał, że go mogą usłyszeć, a nawet zobaczyć państwo domu. Ale to była tylko gra, bo za chwilę powtórzył to samo „pryncypałe”, a nieco później wypalił jej impertynencko: „A zwłaszcza już bez filiżanek do mrożonej kawy. Niech je pani daruje jakiejś przyjaciółce, której pani chce zszpecić dom. Ale niech ich nie podaje w salonie, bo mógłby ktoś pomyśleć, że się omylił co do ubikacji. To są najautentyczniejsze urny!”.

— Ależ kuzynie — mówiła dama, zniżając również głos i spoglądając pytająco na pana de Charlus, nie przez wzgląd na panią Verdurin, ale z obawy gniewu barona — może to stąd, że ona jeszcze nie umie dobrze wszystkiego...

— Nauczy się ją.

— Och! — śmiała się dama — nie mogła znaleźć lepszego profesora! Ta ma szczęście! Z kuzynem człowiek jest pewny, że nie będzie fałszywej nuty.

— W każdym razie nie było jej w muzyce.

— Och! To było boskie. To są rozkosze, których się nie zapomina. *À propos* tego genialnego skrzypka — ciągnęła, myśląc w swojej naiwności, że pan de Charlus interesuje się skrzypkiem „jako takim” — czy pan zna skrzypka, który kiedyś grał cudownie sonatę Faurego<sup>280</sup>, nazywa się Frank...

— Tak, to ohyda — odparł pan de Charlus, nie troszcząc się o brutalność, z jaką dał uczuć kuzynce, że nie ma za grosz smaku. — W zakresie skrzypków radzę kuzynce trzymać się mojego.

Znów zaczęły się krzyżować oczy pana de Charlus i jego kuzynki, spuszczone i bawdawcze zarazem, bo zarumieniona i siłaca się swoim zapałem naprawić gafę pani de Mortemart chciała zaproponować panu de Charlus urządzenie wieczoru dla Morela. Otóż dla niej wieczór ów nie miał — mimo iż tak twierdziła — na celu propagandy talentu, gdy właśnie to było celem pana de Charlus. Ona widziała jedynie sposobność do wydania szczególnie eleganckiego rautu i już obmyślała, kogo zaprosi, a kogo pominie. To przesiewanie przez sito, główne zajęcie osób wydających zabawy (tych właśnie, które czelność lub głupota dzienników „światowych” nazywa „elitą”), zmienia natychmiast spojrzenie — i pismo — głębiej, niżby to uczyniła sugestia hipnotyzera. Co by Morel miał grać, było dla niej rzeczą uboczną, i słusznie, bo gdyby nawet przez wzgląd na pana de Charlus wszyscy zechcieli milczeć w czasie muzyki, nikomu w zamian nie przyszłoby na myśl słuchać. O tym też pani de Mortemart nie pomyślała, postanowiła natomiast w lot, że pani de Valcourt nie będzie z rzędu wybranych; tym samym przybrała minę spiskowca. Do takich spisków zniżają się nawet te damy, które mogłyby śmiało drwić sobie z ludzkich sądów.

— Czy nie mogłabym wydać rautu, aby zaprodukować pańskiego przyjaciela? — szepnęła pani de Mortemart, ale zwracając się do pana de Charlus, bezwiednie, jak urzeczona, spojrziała na panią de Valcourt (wykluczoną) dla upewnienia się, czy ta dama nie słyszy. „Nie, nie może słyszeć, co ja mówię” — zakonkludowała w duchu, uspokojona własnym spojrzeniem, które przeciwnie, miało na panią de Valcourt wpływ wręcz sprzeczny z jego celem. „Oho! — powiedziała sobie pani de Valcourt — Maria Teresa organizuje z Palamedem coś, na czym ja nie mam być”.

— Chce kuzynka powiedzieć: mojego protegowanego — poprawił pan de Charlus, równie bezwzględny wobec wiedzy gramatycznej kuzynki, co wobec jej darów muzycznych. Potem, nie biorąc w rachubę niemych próśb pani de Mortemart, która tłumaczyła się z uśmiechem: „Ależ owszem — rzekł, krzycząc na cały salon: — mimo że zawsze jest

<sup>280</sup>Fauré, Gabriel Urbain (1845–1924) — francuski kompozytor i organista. [przypis edytorski]

pewne niebezpieczeństwo w takim przenoszeniu olśniewającej indywidualności w ramę, która nieodzownie musi uszczuplić jej siłę transcendentalną i którą w każdym razie trzeba by dostosować.

Pani de Mortemart pomyślała, że *mezzo voce*<sup>281</sup>, nawet *pianissimo*<sup>282</sup> jej zapytania było straconym trudem wobec poryku odpowiedzi. Omyliła się. Pani de Valcourt nie usłyszała nic z tej prostej przyczyny, że nie zrozumiała ani słowa. Jej niepokój zmniejszył się i zgasłby szybko, gdyby pani de Mortemart — bojąc się, że wobec tej niedyskrecji będzie musiała zaprosić panią de Valcourt, z którą była zbyt blisko, aby ją pominąć, o ile tamta wiedziała o czymś „z góry” — nie podniosła znów powiek w kierunku Edyty, jakby po to, aby nie stracić z oczu niebezpieczeństwa, opuszczając zresztą żywo powieki, aby się zanadto nie angażować. Zamierzała nazajutrz po wieczorze przesłać jej list, dopełnienie niedyskretnego spojrzenia, jeden z owych listów niby to zręcznych, a w istocie będących jawnym przyznaniem. Na przykład: „Droga Edyto, tęsknię za tobą, nie bardzo spodziewałam się ciebie wczoraj wieczór (jakim cudem miała się mnie spodziewać — pomyślała Edyta — skoro mnie nie zaprosiła?), bo wiem, że niezbyt lubisz ten rodzaj zabawy. Mimo to bylibyśmy bardzo zaszczytzeni twoją obecnością (nigdy pani de Mortemart nie używała tego zwrotu: „zaszczytzeni”, wyjąwszy wtedy, gdy starała się w liście dać kłamstwu pozór prawdy). Wiesz, że jesteś zawsze w naszym domu u siebie. Zresztą dobrze zrobiłaś, bo to było całkiem chybione, jak każda rzecz zaimprovizowana w dwie godziny, itd.”. Ale już nowe zerknięcie pani de Mortemart zdradziło Edycie wszystko, co jej skrył skomplikowany język pana de Charlus. Spojrzenie to było nawet tak silne, że zawarty w nim oczywisty sekret i intencja ukrycia go, potrąciwszy panią de Valcourt, trysnęły na młodego Peruwiańczyka, którego przeciwnie, pani de Mortemart chciała zaprosić. Ale ten podejrzliwy człowiek, widząc najpewniej, że są tu w grze jakieś sekrety, a nie mogąc zgadnąć, że nie chodzi o niego, powziął odtąd dziką nienawiść do pani de Mortemart, poprzysiął sobie spłacać jej tysiąc figłów, na przykład kazać jej posłać pięćdziesiąt mrożonych kaw w dniu, kiedy nie będzie przyjmowała, dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism<sup>283</sup>, że zabawę odwołano, i podać kłamliwe sprawozdania z innych jej przyjęć, zamieszczając spis właśnie tych osób, których z rozmaitych powodów pani domu nie chce przyjmować ani nawet znać.

Pani de Mortemart niepotrzebnie się troszczyła o panią de Valcourt. Pan de Charlus miał popsuć projektowaną fetę o wiele skuteczniej, niżby to zrobiła obecność tej damy.

— Ależ kuzynie — rzekła pani de Mortemart w odpowiedzi na wzmiankę o „dostosowaniu ramy”, której sens pod wpływem nerwowego podniecenia zdołała zrozumieć — oszczędzimy ci wszelkiego trudu, chętnie podejmuję się uprosić Gilberta, żeby się zajął wszystkim.

— Nie ma potrzeby, zwłaszcza że nie będzie zaproszony. Wszystko załatwię sam. Chodzi przede wszystkim o to, aby wykluczyć osoby mające uszy nie do słyszenia.

Kuzynka pana de Charlus licząca na atrakcyjność Morela, aby wydać wieczór, na którym, w przeciwieństwie do tylu krewnych, mogłaby powiedzieć, że „miała Palamedę”, uprzytomniła sobie nagle mnogość osób, z którymi pan de Charlus ją poróżni, skoro zacznie wykluczać i zapraszać. Myśl, że księżę Gilbert (z powodu niego po części chciała wykluczyć panią de Valcourt, której księżę nie przyjmował) miałby nie być proszony, przerażała ją. Oczy jej przybrały niespokojny wyraz.

— Czy razi cię światło? — spytał pan de Charlus z udaną powagą, której ironia pozostała niezrozumiana.

— Nie, wcale nie, myślałam o trudnościach, oczywiście nie z mojego powodu, ale z powodu mojej rodziny... jakie by mogły wynikać, w razie gdyby się Gilbert dowiedział, że ja wydałam wieczór, nie zapraszając go... on, który zawsze, z najblahszej okazji...

— Właśnie o to chodzi, że okazja nie jest najblahsza. Sądzę, że zgiełk rozmów przeszkodził kuzynce słyszeć, że nie chodzi to o światowe grzeczności, ale o przestrzeganie rytuału właściwego prawdziwemu nabożeństwu.

<sup>281</sup>*mezzo voce* (wł.) — półgłos; *mezza voce* (muz.): półgłosem, ze stonowaną, umiarkowaną głośnością. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism, że zabawę odwołano — taką złośliwość zrobiono w istocie hr. Robertowi de Montesquiou, przyjacielowi Prousta, w dniu, w którym wydawał przyjęcie. [przypis tłumacza]

Po czym uznawszy nie to, że następna osoba zbyt długo czeka, ale że nie przystoi przedłużać faworu tej, która miała na oku nie tyle Morela, ile własną „listę” gości, pan de Charlus, niby lekarz przerywający konsultację, skoro uzna, że siedział dość długo, dał do zrozumienia kuzynce, że audyencja skończona, nie żegnając jej, ale obracając się do następnej z brzegu osoby:

— Dobry wieczór, pani de Montesquiou, cudowne było, prawda? Nie widziałem Heleny, niech jej pani powie, że wszelka generalna abstynencja, nawet najszlachetniejsza jak jej, dopuszcza wyjątki, o ile są tak wspaniałe jak dzisiejszy wieczór. Pokazywać się rzadko to pięknie, ale to przymiot jedynie negatywny; powyżej tego, co rzadkie, stawić to, co cenne, to jeszcze lepiej. Co się tyczy pani siostry, bardziej od kogokolwiek cenię jej systematyczną nieobecność, tam gdzie to, czego się może spodziewać, nie jest jej warte; ale przeciwnie, na tak pamiętnej manifestacji jak dzisiejsza udział jej byłby dowodem wyższości i dałby tej uroczej osobie jeszcze jeden urok.

Baron podszedł z kolei do pana d'Argencourt. Bardzo się zdziwiłem, widząc tu tego człowieka, tak straszliwego dla gatunku ludzi, do którego należał pan de Charlus, i widząc go równie czułym i uprzejmym dla barona, jak był dlań niegdyś oschły. Pan d'Argencourt kazał sobie przedstawić Morela i wyraził nadzieję, że go skrzypek odwiedzi. Faktem jest, że teraz pan d'Argencourt żył w otoczeniu takich figur. Nie znaczy to, aby się w tej mierze upodobnił do pana de Charlus. Ale od jakiegoś czasu niemal opuścił żonę dla młodej kobiety z towarzystwa, za którą szalał. Osoba ta, bardzo inteligentna, udzieliła mu swojej sympatii do ludzi inteligentnych i bardzo pragnęła ściągnąć do siebie pana de Charlus. Ale zwłaszcza pan d'Argencourt, bardzo zazdrosny, a trochę impotent, czując, że mało daje satysfakcji swojej ubóstwianej, chcąc ją wprowadzić w świat i rozerwać, mógł to uczynić bez niebezpieczeństwa, jedynie otaczając ją niegroźnymi mężczyznami, którym przeznaczał niejako rolę strażników seraju<sup>284</sup>. W zamian panowie ci uważali, że pan d'Argencourt zrobił się bardzo miły, oświadczyli, że jest o wiele inteligentniejszy, niż przypuszczali, z czego i jego kochanka, i on byli uszczęśliwieni.

Inni goście pana de Charlus odeszli dość szybko. Damy mówiły: „Nie chciałabym chodzić do »zakrystii« (salonik, gdzie baron, mając koło siebie Morela, przyjmował powinszowania i który sam tak nazywał), ale chciałabym, żeby mnie Palamed widział i wiedział, żem była do końca”. Żadna z dam nie troszczyła się o panią Verdurin. Niektóre udały, że jej nie poznają, i żegnały się przez pomyłkę z panią Cottard, mówiąc do mnie: „To pani Verdurin, prawda?”. Pani d'Arpajon spytała mnie tak, że gospodyni domu musiała słyszeć: „Czy istniał jakiś pan Verdurin?”. Nie znajdując nic z dziwności, jakich się spodziewały w tym salonie, który wyobrażały sobie bardziej różnym od wszystkiego, co znały, diuszesy nagradzały to sobie, w braku czego lepszego dławiąc wybuchy śmiechu wobec obrazów Elstira; za resztę, która znowuż wydawała się im podobniejsza do tego, czego się spodziewały, komplementowały pana de Charlus, mówiąc: „Jak ten nasz Palamed umie organizować te rzeczy; mógłby urządzić feerię w stajni czy w łazience, a i tak byłoby cudownie”. Najświetniejsze damy z zapałem winszowały panu de Charlus udanego wieczoru, którego sekretna sprężyna nie była tajemnicą dla wielu, co ich zresztą nie kłopotowało w niczym, ile że ci ludzie — może przez pamięć pewnych epok, kiedy ich rodzina doszła do identycznego stopnia całkiem świadomego bezwstydu — posuwali lekceważenie skrupułów prawie równie daleko jak troskę o etykietę. Wiele dam zaangażowało z miejsca Morela na wieczory, na których miał grać septet Vinteuila, ale żadnej nie przyszło nawet na myśl zaprosić na to panią Verdurin.

Pani Verdurin trzęsła się z wściekłości, kiedy pan de Charlus, który bujając w obłokach, nie mógł tego spostrzec, chciał dla przyzwoitości podzielić z „pryncypałką” swoją radość. I może raczej folgując swym zamięłowaniom literackim niż wybuchowi pychy, ten reżyser artystycznych zabaw rzekł do niej:

— No i co, czy pani kontenta? Sądzę, że jest z czego. Widzi pani, kiedy ja się wezmę do tego, żeby coś urządzić, musi się udać. Nie wiem, czy pani heraldyczne wiadomości pozwalają jej ściśle ocenić wagę uroczystości, ciężar, który podźwignąłem, objętość atmosfery, którą przemieściłem dla pani. Miała pani królową Neapolu, brata króla bawarskiego, trzech najdawniejszych parów. Jeżeli Vinteuil jest Mahometem, możemy powiedzieć, że

<sup>284</sup>seraj — kobieca część tradycyjnego domu muzułmańskiego. [przypis edytorski]

poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór<sup>285</sup>. Niech pani pomyśli, że aby wziąć udział w pani wieczorze, królowa Neapolu przybyła z Neuilly, co jest dla niej o wiek trudniejsze niż opuścić Obie Sycylie — rzekł baron z szelmowską intencją mimo swej admiracji<sup>286</sup> dla królowej. — To jest wydarzenie historyczne. Pomyśl pani, ona bodajże nigdzie nie była od zdobycia Gaety. Wielce prawdopodobne jest, że w encyklopediach znajdują się, jako historyczne momenty, data zdobycia Gaety i wieczoru u Verdurinów. Wachlarz, który odłożyła, aby lepiej oklaskiwać Vinteuila, wart jest zażywać większej sławy niż ten, który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera<sup>287</sup>.

— Zapomniała nawet swego wachlarza — rzekła pani Verdurin, chwilowo ułagodzona wspomnieniem sympatii, jaką jej okazała królowa, i pokazując panu de Charlus wachlarz leżący na fotelu.

— Och! Jakież to wzruszające! — wykrzyknął pan de Charlus, zbliżając się ze czcią do relikwii. — Jest tym bardziej wzruszający, że jest szkaradny; ten fiołek jest niesamowity!

Spazmy wzruszenia i ironii wstrząsały nim na przemian.

— Mój Boże, ja nie wiem, czy pani odczuwa te rzeczy tak jak ja. Swann dostałby po prostu konwulsji, gdyby to widział. To wiem, że jaką bądź cenę uzyskalby ten wachlarz, kupię go na licytacji po królowej. Bo ją zlicytują, nie ma ani grosza — dodał, ile że okrutna złośliwość nigdy nie przestawała się łączyć u barona z najszczerzą czcią, obie bowiem płynęły z dwóch natur sprzecznych, ale kojarzących się w nim. Mogły nawet oświeślać na przemian jeden i ten sam fakt. Bo pan de Charlus, który z wyżyn swoich bogactw dworował sobie z ubóstwa królowej, często znowuż rozplęwał się nad tym ubóstwem i, kiedy mówiono o księżnej Murat<sup>288</sup>, królowej Obojga Sycylii, odpowiadał: „Nie wiem, o kim pan mówi. Jest tylko jedna królowa Neapolu<sup>289</sup>, która jest wspaniała, choć nie ma powozu. Ale ze swego omnibusu gasi wszystkie ekwipaże<sup>290</sup> i padłoby się na kolana w proch, widząc ją przejeżdżającą”.

— Zapiszę ten wachlarz do muzeum — ciągnął. — Na razie trzeba go będzie jej odwiedzić, żeby się nie musiała rujnować na fiakra, posyłając po to. Najinteligentniejsze, zważywszy historyczną wartość przedmiotu, byłoby skraść ten wachlarz. Ale to by jej zrobiło różnicę, bo wielce prawdopodobne jest, że nie ma innego! — dodał, parszkając śmiechem. — Słowem, widzi pani, że dla mnie przyszła. I nie jest to jedyny cud, jaki sprawiłem. Nie sądzę, aby ktokolwiek dziś miał moc poruszenia ludzi, których ja ściągnąłem. Zresztą trzeba każdemu oddać co mu się należy: Charlie i inni grali jak bogowie. I pani, droga gosposiu — dodał łaskawie — miała pani swoją cząstkę w tej fecie. Pani nazwisko nie będzie jej obce. Historia zapamiętała imię pafia, który uzbroidł Joannę d'Arc, kiedy szła walczyć; w sumie posłużyła pani jako łącznik, ułatwiła pani fuzję między muzyką Vinteuila a jego genialnym wykonawcą; miała pani ten zmysł, aby zrozumieć kapitalną wagę całego łańcucha okoliczności, który miał pozwolić wykonawcy skorzystać z autorytetu człowieka możnego (gdyby nie chodziło o mnie, powiedziałbym: opatrnościowego), do którego tak mądrze zwróciła się pani z prośbą o zapewnienie prestiżu temu zebraniu, o dostarczenie skrzypcom Morela uszu bezpośrednio połączonych z najautorytatywniejszymi językami; nie, nie, to nie jest nic! Nie ma żadnego „nic” w tak doskonałej

<sup>285</sup>Jeżeli Vinteuil jest Mahometem (...) poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór — nawiązanie do przysłowia znanego również we Francji: [Skoro] nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>Wachlarz, który (...) który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera — paryska premiera opery *Tannhäuser* Wagnera (13 marca 1861) spotkała się z sykami i gwizdami; obecna na przedstawieniu słynna z urody i elegancji bywalczyni salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera, księżniczka Paulina von Metternich, wściekła na reakcję publiczności, uderzyła wachlarzem o balustradę łoża z taką siłą, że go złamała. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>Księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

realizacji. Wszystko się tu łączy. Stara Duras była bajeczna. Słowem, wszystko; i dlatego — zakończył baron, bo lubił karcieć — nie pozwoliłem pani zaprosić figur wnoszących rozdźwięk; te figury, wobec decydujących osób, które ja tu ściągnąłem, grałyby rolę przecinków w cyfrze<sup>291</sup>, sprowadzając inne do roli prostych dziesiętnych. Mam bardzo ściśle poczucie takich rzeczy. Rozumie pani, trzeba unikać gaf, kiedy wydajemy uroczystość, która ma być godna Vinteuila, jego genialnego odtwórcy, pani i — śmiem powiedzieć — mnie. Wystarczyłoby, żeby pani zaprosiła taką Molé, a wszystko byłoby spaćkane. To byłaby kropelka neutralizująca, sprawiająca, że lek nie działa. Elektryczność byłaby zgasała, ptifury nie przyszyłyby na czas, oranżada przyprawiłaby wszystkich o biegunkę. To była osoba przeciwwskazana. Na samo jej nazwisko, jak w feerii, mosiądz nie wydałby żadnego dźwięku, flet i klarnet ochrypiłyby nagle. Sam Morel, gdyby nawet zdołał wziąć kilka tonów, nie utrzymałby się w takcie i w miejscu septetu Vinteuila miałyby pani jego parodię *à la Beckmesser*<sup>292</sup>, kończącą się pośród gwizdów. Ja, który bardzo wierzę we fluidy osób, wybornie odczułem w rozkwicie pewnego largo<sup>293</sup>, otwierającego się jak kwiat, w pełni szczęśliwego finału, który był nie tylko radosny, ale nieporównanie radosny, że nieobecność pani Molé pobudzała muzyków i wzdymała radością nawet instrumenty. Zresztą w dniu, kiedy się przyjmuje monarchów, nie zaprasza się stróżki.

Nazywając ją — jak aktorkę — „la Molé”<sup>294</sup> (jak mówił zresztą z całą sympatią „la Duras”), pan de Charlus oddawał owej damie sprawiedliwość. Bo wszystkie te kobiety to były światowe aktorki. Zarazem faktem jest, że nawet z tego punktu widzenia hrabina Molé nie dorównywała reputacji intelektualnej, jaką jej robiono, co przywodziło na myśl owych miernych aktorów lub powieściopisarzy, którzy w pewnych epokach odgrywają rolę geniuszów dzięki mierności kolegów, wśród których nie ma wielkiego artysty, zdolnego pokazać, co jest prawdziwy talent, lub dzięki lichemu smakowi publiczności, która, choćby nawet znalazła się wspaniała indywidualność, nie umiała jej zrozumieć i ocenić. Co się tyczy pani Molé, lepiej zostać przy pierwszym wytłumaczeniu, mimo iż nie jest całkiem ściśle. Ponieważ „świat” jest królestwem nicości, między wartościami światowych dam istnieją jedynie nieznaczne stopnie, wzrastające obłądnie jedynie od uraz lub urojen pan de Charlus. I z pewnością, jeżeli baron mówił tak w owym języku będącym pretensjonalną mieszaniną rzeczy świata i sztuki, to dlatego, że jego babskie gniewy i kultura światowca dostarczały prawdziwej wymowie pana de Charlus jedynie błahych tematów. Ponieważ świat różnic nie istnieje na powierzchni ziemi, w żadnej z krain ujednostajnionych naszym poznaniem, tym bardziej nie istnieje on w „świecie”. Czy istnieje zresztą gdziekolwiek? Septet Vinteuila zdawał się mówić, że tak. Ale gdzie?

Ponieważ pan de Charlus lubił także powtarzać coś jednemu o drugim, starając się ludzi skłócić, dzielić, aby panować, dodał:

— Nie zapraszając jejmość pani Molé, odebrała jej pani sposobność do mówienia: „Nie wiem, czemu ta Verdurin mnie zaprosiła. Nie wiem, co to są za figury, nie znam ich”. Powiedziała już w zeszłym roku, że ją pani nuży swoim nadskakiwaniem. To gęś, niech jej już pani nie zaprasza. W sumie ta damulka to nic nadzwyczajnego. Może bywać u pani, nie robiąc ceregieli, skoro ja bywam. W rezultacie — zakończył baron — sądzę, że mi pani może podziękować; tak jak było, było doskonale. Oriana de Guermantes nie przyszła, ale nie wiadomo, może to i lepiej. Nie będziemy mieli do niej pretensji; i tak pomyślimy o niej na drugi raz, zresztą nie można o niej nie pamiętać, same jej oczy mówią nam: „Nie zapominaj o mnie, bo to są dwie niezapominajki”.

A ja myślałem mimo woli, jak bardzo „duch Guermantów” — kaprys pójścia lub niepójścia do kogoś — był mocny, skoro przeważał u księżnej obawę przed Palamedem.

<sup>291</sup>*cyfra* (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*à la Beckmesser* (fr.) — w stylu Beckmessera; *Beckmesser*: postać z opery Wagnera *Śpiewacy norymberscy* (1868): pedantyczny pisarz miejski, który staje do rywalizacji w konkursie śpiewaczym o rękę córki złotnika, krytykuje błędy w nowatorskim śpiewie konkurenta, ale później w swojej serenadzie sam popelnia szereg rażących błędów. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*largo* (wl.: szeroko; muz.) — tempo bardzo wolne; także: utwór lub część wykonywana w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>*la Molé* (fr.) — ta Molé; w języku francuskim rodzajnikiem określonym *la* poprzedza się rzeczowniki określające osoby lub przedmioty już znane, w szczególności te, które są jedyne w swoim rodzaju. [przypis edytorski]

— Wobec takiego sukcesu — ciągnął — jest się skłonnym, jak Bernardin de Saint-Pierre<sup>295</sup>, wszędzie widzieć rękę Opatrzności. Księżna de Duras była zachwycona. Poleciała mi nawet powiedzieć to pani — dodał pan de Charlus z naciskiem, tak jakby pani Verdurin miała to uznać za wystarczający zaszczyt. Wystarczający a nawet trudny do uwierzenia, bo baron uważał za potrzebne dodać: „Ależ tak!”, uniesiony szaleństwem ludzi, których Jowisz chce zgubić. — Zaprosiła Morela do siebie, gdzie ma być ten sam program; zamierzam nawet poprosić o zaproszenie dla pana Verdurin.

Ta grzeczność dla samego męża była, czego pan de Charlus zupełnie nie odczuwał, najkrwawszą zniewagą dla małżonki, która czując się w prawie (na zasadzie rodzaju „dekretu moskiewskiego Komedii Francuskiej” obowiązującego w jej „klanie”) zabronić grania gdziekolwiek bez jej wyraźnego zezwolenia, zdecydowana była zakazać Morelowi udziału w wieczorze księżnej de Duras.

Rozprawiając z taką swadą, pan de Charlus już tym samym drażnił panią Verdurin, która nie lubiła żadnych wyłomów w swojej „paczce”. Ileż razy, już w La Raspelière, słysząc jak pan de Charlus, zamiast poprzestać na swoim udziale w harmonijnym zespole „klanu”, wciąż rozmawia z Morelem, wykrzyknęła, pokazując barona: „Ależ ten się dolewa! Ależ się dolewa!”. Ale tym razem to było o wiele gorzej. Upojony własnymi słowami, pan de Charlus nie rozumiał, że uszczuplając rolę pani Verdurin i zakreślając jej ciasne granice, rozpętywał uczucie nienawiści, które było u niej jedynie swoistą formą, socjalną formą zawiści. Pani Verdurin naprawdę lubiła swoich stałych gości, swoich „wiernych”, chciała, aby byli całkowicie oddani swojej „pryncypalce”. Robiąc pewne ustępstwa, jak owi zazdrośnicy, którzy pozwalają, aby ich oszukiwano, ale pod ich dachem, a nawet w ich oczach (to znaczy, aby ich nie oszukiwano), pozwalała mężczyznom mieć kochankę, nawet kochanka, pod warunkiem, żeby to wszystko nie wychodziło poza jej dom, żeby się zawiązywało i trwało w cieniu „śródo”. Ukradkowe chichoty Odety ze Swannem kasały niegdyś jej serce, jak od pewnego czasu *aparté*<sup>296</sup> barona z Morelem; w troskach swoich znajdowała tylko jedną pociechę, mianowicie niweczyć szczęście drugich. Nie mogłaby długo znieść szczęścia barona. I oto ten, niebaczny, przyspieszał katastrofę, chcąc najwyraźniej uszczuplić miejsce „pryncypalki” w jej „klanie”! Już widziała Morela bywającego w świecie bez niej pod egidą barona. Było na to tylko jedno lekarstwo: kazać skrzypkowi wybierać między baronem a nią i korzystając ze swego wpływu na Morela, dowieść mu nadzwyczajnej przenikliwości dzięki raportom, które pani Verdurin kazała sobie sporządzać, i dzięki kłamstwom, które wymyślała. I jedno, i drugie miało wpłynąć na poparcie tego, w co sam Morel skłonny był wierzyć i o czym miał się dowodnie przekonać dzięki pułapkom, które pani Verdurin umiała zastawiać i w które naiwni wpadali: w ten sposób zamierzała osiągnąć to, żeby wybrał raczej ją niż barona. Co się tyczy światowych dam, które będąc w jej domu, nawet nie raczyły się przedstawić, pani Verdurin, zrozumiawszy ich wahania lub ich bezceremonialność, rzekła:

— Och, już ja widzę, co to za gatunek; te stare zdziury to nie nasz interes, oglądają ten salon ostatni raz.

Bo raczej by umarła, niżby przyznała, że ktoś był dla niej nie dość uprzejmy.

— Ach, drogi generale — wykrzyknął nagle pan de Charlus, spostrzegłszy generała Deltour, sekretarza przy prezydenturze Republiki, który mógł mieć wielki wpływ na krzyż Legii dla Morela i który, zasięgnąwszy porady u Cottarda, wymykał się szybko: — Dobry wieczór, drogi i kochany przyjacielu! I co, w ten sposób pan się ulatnia, nie pożegnawszy się ze mną? — rzekł baron z dobronudsznym i pewnym siebie uśmiechem, bo wiedział, że zawsze każdy chętnie porozmawia z nim chwilę dłużej. Że zaś w tym stanie podniecenia sam zadawał dyszkantem pytania i sam na nie odpowiadał, baron ciągnął: — No i co, jest pan zadowolony? Nieprawdaż, to było bardzo piękne? Andante, co? Nikt nie napisał czegoś bardziej wzruszającego. Pytam się, czy ktoś potrafi wysłuchać tego bez łez. Kochany pan jest, że pan przyszedł, generale. Niech pan powie, dostałem dziś rano przemiły telegram od Froberville’a, który mi oznajmia, że trudności ze strony WielkiegoKancelerstwa są, jak się to mówi, wyrównane. — Głos pana de Charlus wznosił się dalej, równie ostry, równie odmienny od jego zwykłego głosu, jak głos przemawiającego z emfazą adwokata różni

<sup>295</sup> Bernardin de Saint-Pierre, Jacques Henri (1737–1814) — francuski pisarz, podróżnik, przyrodnik, uczeń i przyjaciel Jana Jakuba Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> *aparté* (fr.) — rozmowa na stronie, sam na sam. [przypis edytorski]

się od codziennej dykcji: wokalny objaw nerwowej euforii, z rodzaju tej, która w czasie obiadów księżnej wzbijała tak wysoko diapazon<sup>297</sup> głosu i spojrzenia pani de Guermantes.

— Miałem zamiar przesłać panu jutro słówko przez żołnierza, aby wyrazić mój entuzjazm, zanim miałbym go sposobność wysłowić osobiście, bo pan był taki otoczony! Poparcie Froberville'a jest nie do pogardzenia, ale ja ze swej strony mam przyrzeczenie ministra — rzekł generał.

— A, cudownie! Zresztą widział pan, podobny talent zasługuje chyba na to. Hoyos był zachwycony; nie mogłem mówić z ambasadorową, czy była kontenta? Ale któż by nie był, z wyjątkiem tych, co mają uszy do niesłyszenia, co nic nie szkodzi zresztą, z chwilą gdy mają języki do gadania.

Korzystając z tego, że baron oddalił się nieco z generałem, pani Verdurin dała znak Brichotowi. Nie wiedząc, co mu pani Verdurin powie, profesor chciał ją bawić i nie domyślając się, jakie mi zadaje cierpienie, rzekł:

— Baron jest uszczęśliwiony, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka nie przyjechały. One go straszliwie gorszą. Oświadczył, że ich obyczaje są wprost skandaliczne. Nie wyobraża sobie pani, jaki baron jest wstydlawy i surowy na punkcie obyczajów.

Wbrew oczekiwaniu Brichota pani Verdurin nie uśmiechnęła się.

— Potworny jest — rzekła. — Niech go pan wyciągnie na papierosa, żeby mąż mógł zabrać bez wiedzy Charlusa jego Dulcyneę<sup>298</sup> i żeby mógł oświecić tego chłopca, w jaką przepaść się stacza.

Brichot wahał się nieco.

— Powiem panu — rzekła pani Verdurin, aby usunąć ostatnie skrupuły profesora — że ja się z tym paskudztwem nie czuję bezpieczna w domu. Wiem, że on miał brzydkie historie i że policja ma go na oku.

Ze zaś pani Verdurin miała niejaki dar improwizacji, kiedy złość była jej natchnieniem, nie poprzestała na tym:

— Zdaje się — ciągnęła — że on już siedział. Tak, tak, mówiły mi to osoby dobrze poinformowane. Wiem zresztą przez kogoś, kto mieszka na tej ulicy co on, że nie ma się pojęcia, co za bandytów ten baron sprowadza do siebie.

A gdy Brichot, który często bywał u barona, protestował, pani Verdurin wykrzyknęła namiętnie:

— Ależ skoro ja ręczę za to! Skoro ja panu powiadam! — zwrot, którym starała się zazwyczaj podeprzeć twierdzenie rzucone trochę na oślep. — Zginie zamordowany dziś lub jutro, jak zresztą wszyscy mu podobni. Nie doczeka może nawet tego, bo jest w łapach niejakiego Jupiena, którego miał bezczelność mi przysłać, a który jest eks-galernikiem, wiem o tym, słyszy pan, tak, zupełnie pozytywnie. Trzyma Charlusa przez listy, które mają być czymś przerażającym. Wiem to od kogoś, kto je czytał; powiedział mi: „Słabo by się pani zrobiło, gdyby pani to ujrzała”. W ten sposób Jupien ma go w garści i wyciska z niego pieniędzy, ile zechce. Wolałabym tysiąc razy śmierć niż żyć pod takim strachem, w jakim żyje Charlus. W każdym razie, jeżeli rodzina Morela zdecyduje się wnieść przeciw niemu skargę, nie mam ochoty być oskarżona o współnictwo. Jeżeli Morel chce żyć tak dalej, niech się to dzieje na jego ryzyko, ja spełnię swój obowiązek. Cóż pan chce! To nie zawsze jest wesołe.

I już mile podniecona oczekiwaniem rozmowy, jaką mąż miał odbyć ze skrzypkiem, pani Verdurin rzekła do mnie:

— Niech się pan spyta Brichota, czy ja nie jestem dzielna przyjaciółka i czy się nie umiem poświęcać, aby ratować kamratów. — Robiła aluzję do okoliczności, w których w samą porę poróżniła profesora najpierw z jego praczką, potem z panią de Cambremer, z których to perypetii Brichot wyszedł prawie całkiem ślepym i jak mówiono, morfinistą.

— Przyjaciółka nieporównana, przenikliwa i dzielna — odparł uczony z naiwnym wzruszeniem. — Pani Verdurin nie dała mi zrobić wielkiego głupstwa — rzekł Brichot, kiedy „pryncypałka” odeszła. — Nie waha się ciąć w żywe ciało. Jest radykalistką, jak powiada nasz Cottard. Przyznaję jednak, iż myśl, że biedny baronek nie zna jeszcze ciosu, który go ma ugodzić, sprawia mi wielką przykrość. On po prostu oszalał dla tego chłopca.

<sup>297</sup> *diapazon* — skala, rozpiętość głosu. [przypis edytorski]

<sup>298</sup> *Dulcynea* — ukochana Don Kichota, wyimaginowana księżniczka, w rzeczywistości wiejska dziewczyna o imieniu Aldona Lorenzo. [przypis edytorski]

Jeśli się pani Verdurin powiedzie, ten człowiek będzie bardzo nieszczęśliwy. Nie jest zresztą pewne, czy się jej uda. Obawiam się, że potrafi jedynie zasiać nieporozumienie, które w końcu, nie rozdzielając barona z Morelem, poróżni ich obu z nią samą.

To zdarzało się często z panią Verdurin i „wiernymi”. Ale widoczne było, że nad potrzebą zachowania przyjaźni „wiernych” coraz bardziej dominowała w niej potrzeba, żeby tej przyjaźni nie zagrażała wzajemna ich przyjaźń między sobą. Homoseksualizm nie raził pani Verdurin, póki nie tykał prawowierności; ale jak Kościół, tak i pani Verdurin wolała wszystkie ofiary od ustępstw na punkcie prawowierności. Zaczynałem się obawiać, iż jej irytacja na mnie może pochodzić stąd, że ja nie pozwoliłem Albertynie wybrać się do niej tego dnia; bałem się również, żeby nie podjęła później na Albertynie (o ile się to już nie zaczęło) tej samej operacji celem rozdzielenia jej ze mną, jaką jej mąż miał podjąć na muzyku odnośnie do Charlusa.

— Nie, niech pan wyciągnie Charlusa, niech pan znajdzie jakiś pretekst, już czas — rzekła pani Verdurin — a zwłaszcza niech mu pan nie da wracać, zanim po was poślę. A! Co za wieczór — dodała pani Verdurin, zdradzając tym prawdziwą przyczynę swojej wściekłości. — Produkować arcydzieło wobec tych tłumoków. Nie mówię o królowej Neapolu, ta jest inteligentna i miła kobieta — czytaj: „była miła dla mnie”. — Ale inne! Och, to się można wścieć! Cóż chcecie, nie mam już dwudziestu lat. Kiedy byłam młoda, mówiono mi, że trzeba się umieć nudzić; przymuszałam się, ale teraz, och, nie, to ponad moje siły; jestem w tym wieku, żeby robić to, co chcę, życie jest za krótkie; nudzić się, żyć z głupcami, robić minę, że się ich ma za inteligentnych, och, nie, nie mogę. No, prędzej, Brichot, nie ma czasu do stracenia.

— Idę, idę — rzekł w końcu Brichot, gdy generał Deltour się oddalał.

Ale najpierw uczony wziął mnie na chwilę na bok.

— Obowiązek moralny — rzekł — jest mniej jasnym imperatywem, niż tego uczą nasi etycy. Niech się z tym pogodzą kawiarnie teozoficzne<sup>299</sup> i piwiarnie kantowskie: rozpaczliwie nie znamy istoty Dobra. Ja sam, który, bez przechwałki, skomentowałem dla swoich uczniów, w świętej niewinności, filozofię rzeczonoego Imanuela Kanta<sup>300</sup>, nie widzę żadnego ścisłego wskazania na *casus*<sup>301</sup> światowej kazuistyki<sup>302</sup>, wobec którego się znajduję, w tej *Krytyce praktycznego rozumu*, w której wielki renegat protestantyzmu platonizował germańską modą dla prehistorycznie sentymentalnych i aulicznych<sup>303</sup> Niemiec, w rezultacie *ad usum*<sup>304</sup> pomorskiego mistycyzmu. To jeszcze wciąż platońska *Uczta*, ale tym razem z Koenigsbergu, z tamtejszą niestrawną kuchnią, z kapustą, a bez żigolaków. Z jednej strony oczywiste jest, że nie mogę odmówić naszej przezacnej gospodyni tej drobnej przysługi; przysługi całkowicie zresztą zgodnej z tradycyjną moralnością. Przede wszystkim trzeba unikać mamienia się słowami, bo mało jest rzeczy, które by więcej plodziły głupstw. Ale wreszcie powiedzmy szczerze, że gdyby matki rodzin miały prawo głosowania, baronowi groziłoby nieuchronnie to, że byłby zbalotowany<sup>305</sup> jako nauczyciel cnoty. Na nieszczęście, on idzie ze swoim powołaniem pedagoga z temperamentem rozpustnika; zważ pan, ja nie mówię nic złego o baronie; ten luby człowiek, który

<sup>299</sup>teozofia (z gr. *theos*: bóg i *sophia*: mądrość) — światopogląd łączący w sobie różne idee wywodzące się z neoplatonizmu i buddyzmu: wiarę w bezosobowy, wieczny Absolut, kosmos będący jego emanacją, we wszechobecną świadomość (panteizm), w karmę (odpowiedzialność każdej istoty za własne czyny, których skutki oddziałują na następne wcielenie), reinkarnację (drogę wcieleń duszy od stadiów roślinnych, poprzez zwierzęce do ludzkiego), ewolucję wszechświata, w tym również ludzi, w kierunku doskonałości i zjednoczenia z absolutem. Takie poglądy religijno-filozoficzne propagowało założone w 1875 r. w Nowym Yorku przez Helenę Bławatską Towarzystwo Teozoficzne. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii, profesor logiki i metafizyki na uniwersytecie w Królewcu (Koenigsbergu). Tu mowa o tzw. imperatywie kategorycznym, sformułowanej przez niego naczelnej, uniwersalnej bez względu na wiarę lub niewiarę zasadzie etycznej: „Postępuj zawsze tylko według takich zasad, co do których chciałbyś, aby były prawem powszechnym”. Kant zaproponował ją w dziele *Uzasadnienie metafizyki moralności* (1785) i rozwinął w *Krytyce praktycznego rozumu* (1788). [przypis edytorski]

<sup>301</sup>casus (łac.) — przypadek. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>auliczny (daw., rzad.) — dworski. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>ad usum (łac.) — na użytek. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; zbalotowany: odrzucony w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]



umie krajać pieczone jak nikt, posiada obok geniuszu anatemy<sup>306</sup> skarby dobroci. Umie być zabawny jak pajac wysokiej klasy, podczas gdy z niejednym z kolegów-akademików, z przeproszeniem, nudzę się, jakby powiedział Ksenofont<sup>307</sup>, po sto drachm<sup>308</sup> za godzinę. Ale boję się, że on wydaje na Morela nieco więcej tych drachm, niż zdrowa moralność zaleca. Nawet nie wiedząc ściśle, w jakiej mierze młody penitent okazuje się powolny lub oporny specjalnym ćwiczeniom, jakimi go chce umartwić jego katecheta, nie potrzeba być wielkim duchownym, aby wiedzieć, że grzeszylibyśmy, jak powiadają, zbytnią łagodnością w stosunku do tego różokrzyżowca<sup>309</sup> (który wiecie się pono od Petroniusza via Saint-Simon), gdybyśmy mu z zamkniętymi oczami udzielili po formie<sup>310</sup> zezwolenia na satanizowanie do woli. Pani Verdurin, dla dobra grzesznika i słusznie płonąć żądzą dokonania kuracji, zamierza, uświadamiając bez ogródek młodego narwańca, odjąć baronkowi wszystko, co baronek kocha, zadać mu może ostateczny cios. Otóż zabawiając tego człowieka, mam wrażenie, że go ściągam, jakby ktoś rzekł, w zasadzkę. I sam nie wiem czemu, wdrygam się przed tym niby przed podłością.

To rzekłszy, profesor nie zawahał się popełnić tej podłości, biorąc barona pod ramię:

— No, baronie, chodźmy zapalić papierosa; nasz młody człowiek nie zna jeszcze wszystkich cudów tego przybytku.

Wymówiłem się, powiadając, że muszę wracać.

— Jeszcze chwilę — rzekł Brichot. — Ma mnie pan przecie odwiedzić, nie zapomniałem pańskiej obietnicy.

— Czy doprawdy nie chce pan, żebym kazał dla pana wyjąć srebra? Nie ma nic prostszego — rzekł do mnie pan de Charlus. — Ale, ale, pamięta pan, ani słowa Morelowi o sprawie Legii. Chcę mu zrobić niespodziankę, oznajmić mu to z chwilą, kiedy się goście trochę rozejdą. On powiada, że to nie jest ważne dla artysty, ale że jego wuj pragnie tego — Zacerwieniłem się, bo pomyślałem, że Verdurinowie wiedzą przez mojego dziadka, kim jest wuj Morela. — No, nie chce pan, żebym dla pana kazał wydobyć najpiękniejszą sztukę? — rzekł baron. — Zresztą zna je pan, widział je pan dziesięć razy w La Raspeliere.

Nie śmiałem rzec, że jeżeli coś mogłoby mnie interesować, to nie banalność mieszczkańskiego srebra, choćby najbogatszego, ale jakiś okaz, bodaj na pięknym sztychu, srebro pani du Barry<sup>311</sup>. Byłem zanadto wzruszony, a choćbym nawet nie był przejęty rewelacją tyżącą przybycia panny Vinteuil, zawsze byłem w świecie o wiele zbyt roztargniony i podniecony, aby móc zwrócić uwagę na mniej lub więcej ładne przedmioty. Mogłoby tę uwagę przykuć jedynie wołanie jakiejś realności zwracającej się do mojej wyobraźni; mógłby to na przykład uczynić tego wieczora widok owej Wenecji, o której tyle myślałem po południu, lub jakiś ogólny współczynnik wspólny wielu zjawiskom, a prawdziwszy od nich, który sam z siebie zawsze budził we mnie wewnętrzny, a zazwyczaj uśpionego ducha, ale którego wyłonienie się na powierzchnię mojej świadomości sprawiało mi wielką radość. Otóż kiedy wychodziłem z salonu zwanego salą teatralną i mijałem z Brichotem oraz z panem de Charlus dalsze salony, odnajdując pośród innych niektóre meble oglądane obojętnie w La Raspeliere, spostrzegłem pomiędzy urządzeniem tego domu a urządzeniem posiadłości wiejskiej jakieś rodzinne powinowactwo, ciągłość. I zrozumiałem Brichota, który mówił z uśmiechem:

— O, widzi pan tę głąb salonu, to może bodaj panu dać pojęcie o salonie z ulicy Montalivet sprzed dwudziestu pięciu lat.

Z jego uśmiechu poświęconego zmarłemu salonowi, który oglądał w myśli, zrozumiałem, że tym, co Brichot, może nie zdając sobie z tego sprawy, cenił w dawnym salonie

<sup>306</sup> *anatema* — oficjalne potępienie, klątwa, wykluczenie ze społeczności. [przypis edytorski]

<sup>307</sup> *Ksenofont z Aten* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> *drachma* — starożytna grecka moneta, na ogół srebrna. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *różokrzyżowcy* — ruch duchowy i kulturowy powstały w Europie na pocz. XVII wieku, po opublikowaniu kilku tekstów, które ogłaszały istnienie tajnego bractwa, wtajemniczonego w wiedzę ezoteryczną; różokrzyżowcy działali we Francji, Niemczech i Anglii, nawiązywali do kabały, alchemii i chrześcijańskiego mistycyzmu; mieli znaczący wpływ na wolnomularstwo. [przypis edytorski]

<sup>310</sup> *po formie* (daw. rusycyzm) — zgodnie z formą, tj. z przepisami lub z przyjętym sposobem zachowania się; przepisowo. [przypis edytorski]

<sup>311</sup> *pani du Barry*, właśc. *Jeanne Becu*, *hrabina du Barry* (1743–1793) — francuska kurtyzana, metresa (oficjalna kochanka) króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

— bardziej niż wielkie okna, niż wesołą młodość „pryncypałów” i ich „wiernych” — była owa nierealna część (którą ja sam wydobywałem z pewnych podobieństw między La Raspelière a Quai Conti), której część zewnętrzna, aktualna, dostępna kontroli wszystkich jest w salonie, jak we wszystkim, jedynie przedłużeniem; to była owa cząstka czysto duchowa, o kolorze istniejącym już tylko dla mego starego towarzysza, ta, której mi nie mógł pokazać; cząstka, która się oderwała od zewnętrznego świata, aby się schronić w naszą duszę, dając jej jakąś nadwartość; zasymilowana z jej zwykłą substancją, zmieniając się w niej — zburzone domy, dawni ludzie, kłosze z owocami przy kolacjach, które sobie przypominamy — w przezroczysty alabaster naszych wspomnień, którego koloru niezdolni jesteśmy oddać, który my jedni widzimy, co nam pozwala, mówiąc o minionych rzeczach, powiedzieć komuś szczerze, że nie może mieć o nich pojęcia, że to nie jest podobne do tego, co widział. I to sprawia, że nie możemy oglądać w sobie samych bez pewnego wzruszenia odbłasku lamp, które zgasły, i zapachu grządek, które już nie zakwitną. Wzrusza nas myśl, że jedynie od istnienia naszej pamięci zależy na jakiś czas jeszcze ich przetrwanie. I przez to niewątpliwie salon z ulicy Montalivet psuł w oczach Brichota obecną rezydencję Verdurinów. Ale z drugiej strony dawał jej w oczach profesora piękno, którego nie mogła mieć dla nowego przybysza. Niektóre stare meble, które ja sam pamiętałem z La Raspelière, wstawione tutaj, czasem ustawione w ten sam sposób, wcielały w obecnym salonie części dawnego, odtwarzając go chwilami aż do halucynacji; a potem zdawały się prawie nierealne, tak bardzo w otaczającej rzeczywistości wskrzeszały fragmenty zniweczonego świata, jak gdyby oglądanego już gdzie indziej. Wyłoniona z marzenia kanapa między nowymi i bardzo realnymi fotelami, krzeselka obite różowym jedwabiem, wzorzysta kapa na stoliku do gry wyniesionym do godności osoby, od czasu jak — niby osoba — miała przeszłość, pamięć, w zimnym cieniu Quai Conti zachowując ogorzałość od słońca jeszcze z ulicy Montalivet (słońca, którego godziny stolik ów znał równie dobrze jak sama pani Verdurin), i przez oszklone drzwi w Denville, dokąd go zawieziono i skąd patrzył cały dzień poprzez kwitnący ogród na głęboką dolinę, oczekując godziny, kiedy Cottard i flecista utną na nim partyjkę; bukiet fiołków i bratków malowany pastelami, dar wielkiego artysty i nieżyjącego już przyjaciela, jedyny pozostały fragment życia, które znikło, nie zostawiając śladów, fragment streszczający wielki talent i długą przyjaźń, przypominający jego uważne i łagodne spojrzenie, jego piękną pulchną i smutną rękę, w czasie gdy malował; chaotyczny i miły bezład podarków „wiernych”, które towarzysząc wszędzie pani domu, nabrały w końcu niemal właściwości charakteru, linii losu; obfitość bukietów, pudeł z czekoladkami, systematyzująca tu jak i tam swój rozkwit w identycznym porządku botanicznym; ciekawy chaos osobliwych i zbytecznych przedmiotów, dotąd robiących wrażenie, że wyszły z pudełka, w którym je ofiarowano, i pozostających całe życie tym, czym były zrazu: noworocznymi podarkami; słowem, wszystkie te przedmioty, których nie dałoby się odróżnić od innych, ale które dla Brichota, starego uczestnika zabaw u Verdurinów, miały ową patynę, ów połysk rzeczy, z którymi łączy się ich duchowy dublet, dając im rodzaj głębi; wszystko to kłębiło się dokoła niego i śpiewało mu niby dźwięczne klawisze, budzące w jego sercu drogie podobieństwa, mgliste wspomnienia, które w upstrzonym nimi obecnym salonie wycinały, obrysowywały meble i dywany, tak jak to robi w piękny dzień słoneczna rama tworząca wycinki światła w powietrzu, i ścigając pewną ideę od poduszki do wazonu, od taboretu do resztek jakiegoś zapachu, od pewnego sposobu oświetlenia do jakiejś przewagi kolorów, rzeźbiły, wywoływały, uduchowiały, powoływały do życia formę, która była niby idealną fizjonomią salonu Verdurinów wrośniętą w ich kolejne siedziby.

— Spróbujemy — szepnął Brichot — ściągnąć barona na jego ulubiony temat. Wspaniały jest wtedy.

Z jednej strony pragnąłem uzyskać od pana de Charlus wskazówki dotyczące panny Vinteuil i jej przyjaciółki; z drugiej nie chciałem zostawiać Albertyny zbyt długo samej. Nie dlatego, żeby mogła zrobić zły użytek w tej swobody (nie mogła wiedzieć, kiedy wróce, zresztą o tej porze wizyta u niej lub wyjście z domu byłyby zbyt rażące), ale żeby się jej moja nieobecność zbyt długo nie dłużyła. Toteż oświadczyłem profesorowi i panu de Charlus, że nie mam wiele czasu.

— Chodź pan i tak — rzekł pan de Charlus, już raczej przygaszony, ale czujący potrzebę przedłużania, przeciągania rozmowy. Ten sam rys zauważyłem już, tak samo

jak u barona, u księżnej Oriany; rys ów, szczególnie właściwy tej rodzinie, przejawia się na ogół u wszystkich tych, co wyżywając się intelektualnie jedynie w rozmowie, to znaczy wyżywając się niecałkowicie, czują się niezaspokojeni nawet po kilku godzinach spędzonych razem i coraz to chciwiej czepiają się wyczerpanego partnera, mylnie żądając od niego nasycenia, którego uciechy towarzyskie dać nie mogą.

— Chodź pan — dodał baron — to jest najprzyjemniejszy moment zabawy, chwila, kiedy goście poszli, moment donii Sol<sup>312</sup>; miejmy nadzieję, że się zakończy mniej smutno. Szkoda, że pan się spieszy, prawdopodobnie do rzeczy, których lepiej by ci było nie robić. Wszyscy się dziś spieszą: ludzie odchodzą w momencie, gdy powinno by się przychodzić. Jesteśmy tu jak filozofowie Couture'a<sup>313</sup>; to byłby moment na zrekapitulowanie wieczoru, na to, co w stylu wojskowym nazywa się krytyką operacji. Poprosiłoby się pani Verdurin, żeby nam tu kazała podać kolacyjkę, na którą postaralibyśmy się jej nie zaprosić, po czym Charlie — wciąż *Hernani!* — zagrałby dla nas samych boskie adagio<sup>314</sup>. Jakież to cudowne, to adagio! Ale gdzie nasz młody skrzypek? Chciałbym mu przecie powinszować, to jest chwila rozczulen i uścisków. Przyznaj, profesorze, że grali jak bogowie, zwłaszcza Morel. Czy pan uważał chwilę, kiedy mu pukiel opada? Och! W takim razie, kochasiu, niceś<sup>315</sup> pan nie widział. Miał *fis*, od którego zdechliby z zazdrości Enesco, Capet i Thibaut<sup>316</sup>; jestem człowiek spokojny, ale przy tym tonie serce mi się ścisnęło tak, że ledwo mogłem wstrzymać łkanie. Sala dygotała; Brichot, drogi Brichot — wykrzyknął baron, potrząsając gwałtownie uczonym — to było boskie. Jedynie młody Charlie był nieruchomy jak głaz; nie widziało się nawet, żeby oddychał; robił wrażenie, że jest jak owe rzeczy z nieożywionego świata, o których mówi Teodor Rousseau<sup>317</sup>; które każą myśleć, ale nie myślą same. I naraz, nagle — wykrzyknął pan de Charlus z emfazą, zgrywając się jak w teatrze — naraz... pukiel! I przez ten czas, wdzięczny kontredans<sup>318</sup>, *allegro vivace*<sup>319</sup>. Wiesz pan, ten pukiel był niby znak objawienia, nawet dla najtępszych. Księżna Taorminy, głucha do tej chwili (bo nie ma cięższej głuchych, niż ci co mają uszy do niesłyszenia), księżna Taorminy wobec oczywistości cudownego pukla zrozumiała, że to jest muzyka i że nie będzie się grało w pokera. Och! To była chwila bardzo uroczysta.

— Daruję pan, że mu przerwę — rzekłem, aby sprowadzić pana de Charlus na przedmiot, który mnie zajmował — mówił pan, że córka autora miała przybyć. To by mnie bardzo interesowało. Czy pan jest pewien, że na nią liczone?

— Och! Nie wiem.

Pan de Charlus uległ tutaj, może bezwiednie, powszechnemu hasłu, które każe nie objaśniać zazdrośników, czy to aby się okazać idiotycznie „dobrym kolegą”, przez punkt honoru wobec tej, co budzi zazdrość (choćby się jej nie cierpiało), czy przez złośliwość wobec niej, odgadując, że zazdrość spotęgowałaby jedynie miłość, czy przez ową potrzebę robienia przykrości innym, polegającą na mówieniu prawdy wszystkim, ale na zamilczaniu jej zazdrośnikom (ile że niewiedza wzmaga ich męczarnie, a przynajmniej tak sobie wyobrażamy, w robieniu zaś przykrości innym kieruje się człowiek tym, co sam uważa, może mylnie, za najboleńsze).

— Wie pan — podjął baron — ten dom to jest po trosze świątynia przesady; przemili ludzie ci Verdurinowie, ale ostatecznie lubią zwabiać sławy takie czy inne. Ale pan mi jakoś nietęgo wygląda, zaziębi się pan jeszcze w tym wilgotnym pokoju — rzekł, podsuwając mi krzesło. — Skoro pan jest cierpiący, trzeba uważać, przyniosę panu futro. Nie, niech

<sup>312</sup>*donia Sol* — postać z przełomowego w historii literatury francuskiej dramatu Wiktora Hugo *Hernani*: ukochana tytułowego bohatera, która razem z nim popełnia samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>*Couture, Thomas* (1815–1879) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu; znany szczególnie z obrazu *Rzymianie okresu upadku* (1847), który odniósł wielki sukces na wystawie w Salonie Paryskim. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*adagio* — utwór muzyczny w powolnym tempie. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>*niceś pan nie widział* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic pan nie widziałeś. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>*Enesco, Capet i Thibaut* — znani skrzypkowie; *Enesco* (fr.), właśc. *George Enescu* (1881–1955): rumuński kompozytor, skrzypek i dyrygent, uważany za największego muzyka w historii Rumunii; *Lucien Capet* (1873–1928): francuski skrzypek i kompozytor; *Jacques Thibaud* (1880–1953): francuski skrzypek. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>*Rousseau, Théodore* (1812–1867) — francuski malarz, autor malarstwa pejzażowego, zrywającego z akademicką tradycją pejzażu idealizowanego, inicjator i przywódca grupy tzw. barbizoińczyków. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>*kontredans* — figurowy taniec towarzyski popularny we Francji pod koniec XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>*allegro vivace* (muz.) — w tempie bardzo szybkim. [przypis edytorski]

pan sam nie idzie, zabląka się pan i gotów się pan zaziębić. Cóż za lekkomyślny człowiek, a nie ma pan przecie czterech lat, trzeba by panu starej niani jak ja, aby dbać o pana.

— Niech się pan nie deranżuje<sup>320</sup>, baronie, ja pójdę — rzekł Brichot, który się natchmiast oddalił; nie zdając sobie może ściśle sprawy z bardzo żywej przyjaźni pana de Charlus dla mnie i z uroczych momentów serdeczności i prostoty, przegradzających jego oszalałe napady manii wielkości i manii prześladowczej, profesor bał się, że pan de Charlus, którego mu pani Verdurin powierzyła jako jeńca, zechce po prostu, pod pozorem mego palta, odszukać Morela i zniweczyć tym plan „pryncypałki”.

Tymczasem Ski usiadł do fortepianu, do którego nikt go nie zapraszał, i komponując sobie — za pomocą uśmiechniętego zmarszczenia brwi, spojrzenia w dal i lekkiego skrzywienia ust — wyraz, który uważał za „artystyczny”, nalegał na Morela, aby zagrał coś Bizeta<sup>321</sup>.

— Jak to, pan nie lubi tego, tej łobuzerskiej strony muzyki Bizeta? Ależ, drogi panie — mówił Ski z owym grasejowaniem<sup>322</sup> litery „r”, które mu było właściwe — to jest czarujące!

Morel, który nie lubił Bizeta, oznajmił to z przesadą, że zaś uchodził w „paczce”, rzecz doprawdy nie do wiary, za dowcipnego, Ski zaczął się śmiać, udając, że bierze okrzykiwanie się skrzypka za paradoks. Śmiech jego nie był, jak śmiech Verdurina, krztuszeniem się palacza. Ski przybierał najpierw sprytną minę, potem wydawał jakby mimo woli jeden ton, niby pierwszy dźwięk dzwonów; następowała cisza, w której filuterne spojrzenie rzeźbiarza zdawało się skrupulatnie badać zabawność tego, co ktoś powiedział; po czym wstrząsał powietrze drugi dzwon śmiechu, zmieniając się niebawem w wesołą sygnaturkę.

Wyraziłem panu de Charlus żal, że się Brichot trzusi.

— Ależ nie, on jest bardzo kontent, on pana bardzo kocha, wszyscy pana bardzo kochają. Mówiliśmy kiedyś o panu: „Nie widzi się go nigdzie, chowa się!”. Zresztą ten Brichot to taki zacny człowiek — ciągnął pan de Charlus, który widząc serdeczną szczerłość, z jaką się doń odnosił profesor Nauk Moralnych, nie domyślał się zapewne, że poza plecami Brichot używa sobie na nim. — To człowiek wielkiej wartości; mnóstwo wie, ale go to nie wysuszyło, nie zrobiło zeń szczura bibliotecznego jak tylu innych, których czuć atramentem. Zachował szerokość poglądów, tolerancję rzadką u jemu podobnych. Czasami widząc, jak on rozumie życie, jak umie każdemu oddać z wdziękiem, co mu się należy, człowiek myśli, gdzie taki zwykły belfrzyzna z Sorbony, eks-regent kolegium, mógł się tego wszystkiego nauczyć. Ja sam się dziwię.

Ja dziwiłem się bardziej, widząc, że rozmowa Brichota, który najmniej wybrednemu z gości Oriany wydałby się tak ciężki i głupi, przypadła do smaku najwybredniejszemu ze wszystkich, panu de Charlus. Ale nad tym rezultatem pracowały (obok innych wpływów, rozmaitych zresztą) wszystkie te, mocą których Swann z jednej strony tak długo czuł się dobrze w „paczce”, wówczas gdy był zakochany w Odecie, z drugiej zaś, ożeniwszy się, znajdował urok w pani Bontemps, która udając, że uwielbia państwa Swann, wysiadywała wciąż u pani, a rozkoszowała się anegdotami pana. Jak pisarz daje palmę inteligencji nie człowiekowi najinteligentniejszemu, ale *viveurowi* robiącemu śmiałą i wyrozumiałą uwagę o miłości — uwagę, która sprawia, że kochanka pisarza, sawantka<sup>323</sup>, godzi się z nim, że ze wszystkich, co u niej bywają, najmniej głupi jest jeszcze ten stary elegant, mający doświadczenie w sprawach serca — tak samo pan de Charlus za inteligentniejszego od innych przyjaciół uważał Brichota, który był nie tylko uprzejmy dla Morela, ale zbierał w tym duchu w greckich filozofach, w łacińskich poetach, we wschodnich opowieściach teksty strojące skłonności barona egzotyczną i uroczą poezją. Pan de Charlus doszedł wieku, w którym Wiktor Hugo lubi się otaczać zwłaszcza panami Vacquerie i Meurice<sup>324</sup>. Nad wszystko przekładał tych, którzy uznawali jego spojrzenie na życie.

<sup>320</sup>deranżować się (daw., z fr.) — wytrącać się ze zwykłego trybu, przeszkadzać sobie, sprawiać sobie kłopot. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>Bizet, Georges (1838–1875) — francuski kompozytor, autor oper, muzyki symfonicznej i utworów fortepianowych; prekursor realizmu w operze XX w. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>grasejowanie — wymawianie głoski „r” z charakterystyczną wibracją języzka. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>sawantka (daw.) — kobieta wykształcona i wyemancypowana. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>Vacquerie i Meurice — oddani wielbicieli Wiktora Hugo, młodsi od niego o 16–17 lat: Auguste Vacquerie (1819–1895): dziennikarz i pisarz; Paul Meurice (1818–1905): powieściopisarz i dramaturg. [przypis edytorski]

— Widuję go często — dodał krzykliwym głosem, skandując wyrazy, przy czym żaden ruch warg nie ożywił jego poważnej i umęczonej maski, na którą z umysłu spuszczał swoje księżę powieki. — Chodzę na jego wykłady, atmosfera Quartier Latin<sup>325</sup> odmładza mnie, jest tam młodzież pracowita, myśląca, młodzi mieszczenie inteligentniejsi, wykształceni niż niegdyś, w innym środowisku, moi koledzy. To jest inna sfera, którą pan prawdopodobnie zna lepiej ode mnie, to jest młoda burżuazja — rzekł, wybijając to słowo, poprzedzone kilkakrotnym „b”, i podkreślając je przez nawyk wymowy, odpowiadający dawnemu swoistemu rozmiłowaniu barona w odcieniach, ale może i dlatego, żeby nie pominąć okazji zrobienia mi małej impertynencji.

Nie zmieniło to zresztą w niczym serdecznego współczucia, jakie budził we mnie pan de Charlus (od czasu jak pani Verdurin zdradziła przy mnie swój zamiar); ubawiło mnie to jedynie, a nie byłoby mnie uraziło nawet w innej okoliczności, kiedy bym nie czuł tyle sympatii do barona. Odziedziczyłem po babce osobliwy brak miłości własnej w stopniu, który łatwo mógłby trącić brakiem godności. Bez wątpienia nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę; słysząc za czasów szkolnych od najbardziej cenionych kolegów, że nie ścierpieliby, aby im ktoś uchybił, nie przebaczyliby niegrzeczności, wyrobiłem sobie w końcu w słowach i w czynach drugą naturę dosyć dumną. Uchodziłem nawet za nadmiernie dumnego, ponieważ nie będąc wcale tchórzem, łatwo miewałem pojedynki, których moralny prestiż sam zmniejszałem, drwiąc z nich sobie, co łatwo przekonywało, że były śmieszne. Ale natura, którą dławimy, i tak w nas mieszka. Do tego stopnia, że czasem kiedy czytamy nowe arcydzieło genialnego człowieka, odnajdujemy w nim z przyjemnością wszystkie własne refleksje, którymiśmy gardzili, wesołości i smutki, któreśmy dławili, cały zlekceważony przez nas świat uczuć, którego wartość odsłania nam nagle książka, gdzie go odnajdujemy. Z doświadczeń życia nauczyłem się w końcu, że kiedy sobie ktoś drwi ze mnie, źle jest uśmiechać się przyjaźnie i nie mieć doń o to urazy. Ale ten brak miłości własnej i pretensji, mimo iż przestałem go wyrażać aż do zatraty poczucia, że on we mnie istnieje, niemniej był pierwotnym elementem życiowym, w którym wzrosłem. Gniew i złość nawiedzały mnie w całkiem inny sposób, wściekłymi napadami. Co więcej, poczucie sprawiedliwości było mi obce — aż do zupełnego braku zmysłu moralnego. Byłem w głębi serca całkowicie po stronie tego, kto był słabszy i nieszczęśliwy. Nie miałem żadnego sądu o tym, w jakiej mierze stosunki Morela i pana de Charlus mogą być czymś złym lub dobrym; ale myśl o cierpieniach, jakie gotowano baronowi, była mi wręcz nieznośna. Byłbym go chciał ostrzec, nie wiedziałem jak to zrobić.

— Widok całego tego pracowitego światka bardzo ucieszny jest dla takiego starego pudła jak ja. Nie znam ich — dodał baron, zastrzegając się gestem, aby nie sprawiać wrażenia przechwałki, aby zaświadczyć o swojej czystości i nie podawać w wątpliwość czystości tych studentów — ale oni są bardzo uprzejmi, do tego stopnia, że czasem zatrzymują mi miejsce przez wzgląd na to, że jestem bardzo starym panem. Ale tak, drogi panie, niech pan nie przeczy, mam przeszło czterdzieści lat — rzekł baron, który przekroczył sześćdziesiątkę. — Trochę gorąco jest w sali, gdzie wyklada Brichot, ale to jest zawsze interesujące.

Mimo iż baron wołałby być wmieszany między młodzież szkolną, nawet popychany przez nią, czasem, aby mu oszczędzić długiego czekania, Brichot wprowadzał go z sobą. Jakkolwiek Brichot był w Sorbonie jak w domu, z chwilą gdy strojny łańcuchem pedel<sup>326</sup> szedł przed nim i kiedy on sam, uwielbiany mistrz, posuwał się w ciżbie młodzieży, nie mógł opanować pewnej nieśmiałości i mimo iż pragnąc skorzystać ze swojej powagi, aby zrobić grzeczność baronowi, był bądź co bądź trochę zażenowany; chcąc, by pedel przepuścił barona, mówił do pana de Charlus sztucznym i zaferowanym tonem: „Idzie pan za mną, baronie, znajdziemy panu miejsce”; po czym, nie zajmując się nim dłużej, kroczył rażno korytarzem do sali. Z obu stron kłaniał mu się podwójny szpaler młodych profesorów; Brichot, nie chcąc, aby się wydawało, że pozuje dla tych młodych ludzi, w których

<sup>325</sup> *Quartier Latin* (fr.), *Dzielnica Łacińska* — dzielnica uniwersytecka Paryża, położona na lewym brzegu Sekwany; nazwa pochodzi od łaciny, języka używanego powszechnie na uniwersytetach aż do czasów Rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>326</sup> *pedel* (daw.) — woźny, szczególnie w różnym rodzaju szkołach i zakładach naukowych. [przypis edytorski]

oczach czuł się Wielkim Mogolem<sup>327</sup>, przysyłał im tysiąc porozumiewawczych spojrzeń, życzliwych skinień, którym troska jego o to, aby zostać marsowym<sup>328</sup> i dobrym Francuzem, dawała wygląd jakiejś kordialnej<sup>329</sup> zachęty starego wiarusa, gdy powiada: „Kroćset bomb, potrafimy bić się do upadłego”. Potem wybuchały oklaski uczniów. W tym, że pan de Charlus zachodził na wykład, Brichot znajdował czasem sposobność sprawienia komuś przyjemności, uhonorowania kogoś. Powiadał na przykład jakiemuś krewniakowi lub któremuś z przyjaciół z miasta: „Gdyby to mogło zabawić pańską żonę lub córkę, uprzędam pana, że baron de Charlus, książę d’Agrigente, potomek Kondeuszów<sup>330</sup>, będzie na moim wykładzie. To jest zawsze cenne wspomnienie widzieć jednego z ostatnich arystokratów, który zachował styl. Jeżeli panie zechcą przyjść, poznają go po tym, że będzie siedział obok mnie. Zresztą będzie tylko jeden taki, tęgi mężczyzna, siwe włosy, czarny wąs, medal wojskowy”.

„A, dziękuję panu” — powiadał ojciec. I aby nie urazić Brichota, mimo że żona była zajęta, wypędzał ją na ten wykład, podczas gdy młoda panna, zmęczona upałem i tłokiem, pożerała jednak oczami potomka Kondeuszów, dziwiąc się, że nie ma koronkowego kołnierza i że jest podobny do ludzi dzisiejszych. Ale baron nie spojrzął na nią; za to niejeden student, który nie wiedział, kto to taki, zdziwiony jego uprzejmością, stawał się ważny i sztywny, baron zaś wychodził rozmarzony i pełen melancholii.

— Niech pan daruje, że wracam do tego jeszcze raz — rzekłem spiesźnie do pana de Charlus, słysząc kroki Brichota — ale gdyby się pan dowiedział, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka mają przybyć do Paryża, czy mógłby mnie pan uprzędzić, określając ściśle czas ich pobytu i nie mówiąc nikomu, żem pana o to prosił.

Nie sądziłem już, aby miała przybyć, ale chciałem się zabezpieczyć na przyszłość.

— Tak, zrobię to dla pana, choćby dlatego, że mam dla pana wielką wdzięczność. Nie przyjmując niegdyś tego, com panu proponował, oddał mi pan, ze swoją szkodą, olbrzymią przysługę: zostawił mi pan wolność. Prawda, że wyrzekłem się jej na inny sposób — dodał melancholijnym tonem, w którym przebijała chęć zwierzeń. — Jest w tym coś, co uważam zawsze za rodzaj *vis major*<sup>331</sup>, zbieg okoliczności, który pan zaniedbałeś odwrócić na swoją korzyść, może dlatego, że los ostrzegł pana nieomylnie w owej godzinie, żebyś nie odwracał mojej drogi. Bo zawsze człowiek się miota, a Bóg go prowadzi. Kto wie, w dniu, kiedyśmy wyszli od pani de Villeparisis, gdybyś pan był przyjął, wiele rzeczy, które zaszły od tego czasu, nie stałyby się może nigdy.

Zakłopotany, odwróciłem rozmowę, chwytając się nazwiska pani de Villeparisis, i starałem się dowiedzieć od barona, tak kompetentnego w każdym względzie, dla jakich przyczyn arystokratyczny świat wyraźnie trzyma z daleka panią de Villeparisis. Baron nie tylko nie rozwiązał mi tego światowego problemu<sup>332</sup>, ale jak gdyby go wręcz nie znał. Zrozumiałem wówczas, że o ile sytuacja pani de Villeparisis miała się później wydać wspaniała potomności, a nawet za życia margrabiny nieświadomemu mieszczaństwu, o tyle wydawała się nie mniej wielką — całkiem na innym krańcu, na tym, co stykał się z panią de Villeparisis — światu Guermantów. To była ich ciotka, widzieli w niej zwłaszcza urodzenie, parantele, mir zachowany w rodzinie przez wpływ na tę lub ową szwagierkę. Widzieli to nie tyle od strony świata, ile od strony rodziny. Otóż te dane były u pani de Villeparisis jeszcze świetniejsze, niż przypuszczałem. Wstrząsnęła mnie swego czasu wiadomość, że nazwisko Villeparisis jest fałszywe. Ale są inne przykłady wielkich dam, które popełniły mezalians, zachowując mimo to wpływowo stanowisko. Pan de Charlus rzekł mi na wstępie, że pani de Villeparisis była siostrzenicą słynnej księżnej de \*\*\*, osoby najslawniejszej wśród wielkiej arystokracji w czasie monarchii lipcowej<sup>333</sup>, ale wzbraniającej

<sup>327</sup> *Wielki Mogol* — tytuł muzułmańskich władców pochodzenia turecko-mongolskiego, rządzących potężnym imperium w Indiach od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

<sup>328</sup> *marsowy* — tu: żołnierski; od imienia Marsa, rzymskiego boga wojny. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *kordialny* (z łac.) — serdeczny. [przypis edytorski]

<sup>330</sup> *Kondeusze* — francuski ród arystokratyczny, będący boczną linią dynastii Burbonów, odgrywający znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

<sup>331</sup> *vis major* (łac.) — siła wyższa. [przypis edytorski]

<sup>332</sup> *problem* (daw.) — problem, zagadnienie do rozwiązania. [przypis edytorski]

<sup>333</sup> *monarchia lipcowa* (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

się utrzymywać stosunków z „królem-obywatelem” i jego rodziną. Tak byłbym pragnął słyszeć coś więcej o tej księżnej! A pani de Villeparisis, dobra pani de Villeparisis, której twarz była dla mnie twarzą zwykłej mieszczki, pani de Villeparisis, która mi przesyłała tyle podarków i którą tak łatwo mogłem widywać co dzień, pani de Villeparisis była jej siostrzenicą, wychowaną przez nią, w jej pałacu \*\*\*.

— Spytała księcia de Doudeauville — rzekł pan de Charlus — mówiąc o trzech siostrach: „Którą z trzech wolisz?”. A kiedy Doudeauville odpowiedział: „Panią de Villeparisis”, księżna de \*\*\* odpowiedziała: „Świnia!”. Bo księżna była bardzo dowcipna — rzekł pan de Charlus, dając słowu wagę i wymowę zwyczajną Guermantom.

Nie zdziwiłem się, że mu się to słówko wydało tak dowcipne, zważywszy w wielu okazjach ośrodkową, obiektywną skłonność ludzi, która każe im w ocenie czyjegós dowcipu abdykować z surowości, z jaką ocenialiby własny, oraz obserwować starannie, notować to, czego nie raczyliby stworzyć.

— Ależ co on wyprawia, przecież on przynosi moje palto! — rzekł baron, widząc, że Brichot tak długo szukał z takim rezultatem. — Trzeba mi było iść samemu. Ostatecznie, niech pan je narzuci na ramiona. Czy wiesz, że to bardzo kompromitujące, moje dziecko: coś tak jak pić z jednej szklanki, będę znał pańskie myśli. Ale nie, nie tak, no, niech mi pan pozwoli — i narzucając mi swój paltot, obciskał mi nim ramiona, obciągał mi go koło szyi, podnosił kołnierz, przy czym ręka barona wśród przeproszeń muskała mi pobródek. — W tym wieku jeszcze nie umie przykryć się kołdrą, trzeba go opatulać, chybiłem powołania, Brichot, byłem stworzony na nianię.

Chciałem odejść, ale ponieważ pan de Charlus objawił chęć odszukania Morela, Brichot zatrzymał nas obu. Zresztą pewność, że w domu zastanę Albertynę, pewność równa tej, jaką miałem po południu, że wróci z Trocadéro, sprawiła, że w tej chwili równie mało tęskniłem do niej, jak mało odczuwałem tęsknoty tegoż dnia po telefonie Franciszki, siadając do fortepianu. I ilekroć w ciągu tej rozmowy chciałem wstać, ten spokój pozwolił mi poddać się protestom Brichota, który się bał, że moje odejście utrudni mu zatrzymanie barona aż do chwili, gdy pani Verdurin nas zawoła.

— No — rzekł do barona — niech pan trochę zostanie z nami, uściska go pan za chwilę — dodał Brichot, wlepiając we mnie martwe niemal oko, któremu operacje wróciły trochę życia, ale które nie było dość ruchliwe, aby popatrzeć złośliwie z ukosa.

— „Uściska”, jaki on głupi! — wykrzyknął baron piskliwym i rozanielonym tonem. — Wiesz, chłopcze, powiadam ci, jemu się zawsze zdaje, że jest na rozdawaniu nagród, marzy o swoich młodych uczniach. Zastanawiam się, czy on nie sypia z nimi.

— Chciałby pan widzieć pannę Vinteuil — rzekł do mnie Brichot, który usłyszał koniec naszej rozmowy. — Przyrzekam uprzedzić pana, kiedy przybędzie; będę wiedział o tym przez panią Verdurin — dodał profesor, bo przewidywał z pewnością, że baronowi mocno grozi doraźne wykluczenie z „paczki”.

— Ha! ha! Widzę, że pan mnie uważa za mniej bliskiego pani Verdurin — rzekł pan de Charlus — na to, aby mieć wiadomości o przybyciu tych osób o straszliwej reputacji. Pan wie, to jest powszechnie znane. Pani Verdurin źle robi, że je sprowadza; to dobre dla zakazanych kólek. One są w przyjaźni z całą potworną bandą. Wszystko to musi się zbierać w jakichś okropnych miejscach.

Za każdym słowem barona cierpienie moje, zmieniając formę, wzmagало się.

— Oczywiście nie, nie uważam, abym był bliżej od pana z panią Verdurin — wygłosił Brichot, cedząc słowa, bo zląkł się, że obudził podejrzenia barona. A że widział, iż ja się chcę żegnać, przeto chcąc mnie zatrzymać przynętą obiecaney rozrywki, dodał: — Jest rzecz, o której baron zdaje się nie pomyślał, mówiąc o reputacji tych dwóch dam, mianowicie, że reputacja może być zarazem i okropna, i niezasłużona. I tak na przykład, w sferze analogicznych, ale głośniejszych faktów notoryczne jest, że omyłki sądowe są liczne i że historia zarejestrowała oskarżenie o sodomie<sup>334</sup>, piętnujące znamienitych ludzi, którzy byli jej zgoła niewinni. Świeże odkrycie wielkiej miłości Michała Anioła<sup>335</sup>

<sup>334</sup>sodomia (daw.) — pejoratywne określenie zachowań homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów epoki odrodzenia. W swoich sonetach opisywał m.in. swą miłość do Tommaso dei Cavalieri (ok. 1509–1587), wówczas 23-letniego młodzieńca. [przypis edytorski]

do kobiety stanowi nowy fakt uprawniający tego przyjaciela Leona X<sup>336</sup> do pośmiertnej rewizji procesu. Sprawa Michała Anioła ma wszelkie tytuły, aby roznamiętnić snobów i zmobilizować La Villette, kiedy zniknie z horyzontu inna sprawa, w której anarchia była rzeczą elegancką i stała się modnym grzeszkiem naszych zacnych pięknoduchów. Ale o tej nie godzi się mówić, można by się przy tym pokłócić.

Od czasu jak Brichot zaczął mówić o męskich reputacjach, pan de Charlus zdradzał całą twarzą ów specjalny rodzaj zniecierpliwienia, jaki objawia ekspert lekarski lub wojskowy, kiedy ludzie światowi złączą pleść duby smalone na temat terapeutyki lub strategii bez żadnej znajomości przedmiotu.

— Nie ma pan najmniejszego pojęcia o tych rzeczach — rzekł w końcu. — Zacytuj mi pan jedną reputację fałszywą. Wymień pan nazwiska. Tak, ja znam wszystko — odparł gwałtownie pan de Charlus na nieśmiały sprzeciw Brichota. — Ludzi, którzy robili to kiedyś przez ciekawość lub przez kult zmarłego przyjaciela; znam i takich, co bojąc się zanadto zagalopować, kiedy pan im wspomni o piękności mężczyzny, odpowiedzą, że to jest dla nich po chińsku, że tak samo nie umieją rozróżnić mężczyzny pięknego od brzydkiego, jak nie umieją rozróżnić dwóch marek samochodu, nie znając się na automobilizmie. Wszystko to są błagi. Mój Boże, zauważ pan, nie twierdzę, aby reputacja zła (lub to, co przyjęto tak nazywać), a nieusprawiedliwiona była czymś absolutnie niemożliwym. Ale to jest tak wyjątkowe, tak rzadkie, że praktycznie nie istnieje. Bądź co bądź, ja, który jestem ciekawy, szperacz, znałem takie, i nie będące mitem. Tak, w ciągu mego życia stwierdziłem (mam na myśli: stwierdziłem naukowo, nie rzucam słów na wiatr) dwie reputacje nieusprawiedliwione. Powstają one zazwyczaj dzięki podobieństwu nazwisk lub z pewnych zewnętrznych oznak — na przykład obfitości pierścionków — oznak, które ludzie niekompetentni uważają za coś absolutnie charakterystycznego dla tego, o czym pan mówi, tak jak myślą, że chłop nie wymawia dwóch słów bez „wciurności” lub Anglik bez „*goddam*”<sup>337</sup>. To jest gwara teatrzyków bulwarowych. Co pana zdziwi, to, że reputacje nieuzasadnione uchodzą w oczach publiczności za najpewniejsze. Pan sam, profesorze, gotów włożyć rękę w ogień za cnotę tego lub owego, który tu bywa, a którego poinformowani znają jak zły szeląg, wierzysz z pewnością, jak wszyscy, w to, co się mówi o kimś znanym, wcielającym te gusty dla masy, wówczas gdy nie ma ich ani za grosz. Mówię „za grosz”, bo gdybyśmy ofiarowali dwadzieścia pięć ludwików<sup>338</sup>, ujrzelibyśmy, iż liczba tych świętych ludzi zmalałaby do zera. Bez tego taryfa świętych — jeżeli pan w tym widzi świętość — waha się na ogół między trzy a cztery na dziesięć.

O ile Brichot, mówiąc o „złej reputacji”, miał na myśli pleć męską, o tyle znowuż ja przerosłem słowa pana de Charlus na pleć żeńską, myśląc o Albertynie. Przeraziła mnie ta statystyka, nawet przyjąwszy, że baron musiał wyolbrzymiać cyfry w duchu swoich życzeń, a także wedle raportów plotkarzy, może kłamców, w każdym razie ludzi zmylnych własnym pragnieniem, które sumując się z pragnieniem pana de Charlus, fałszowało niewątpliwie cyfry.

— Trzy na dziesięć! — wykrzyknął Brichot. — Odwracając proporcję, jeszcze musiałbym pomnożyć przez sto liczbę winnych. Jeżeli jest taka, jak pan mówi, baronie, jeżeli się pan nie myli, nie ma co, jest pan jednym z rzadkich ludzi widzących prawdę, której nikt nie podejrzewał. W ten sposób Barrès<sup>339</sup> poczynił w sferze korupcji parlamentarnej odkrycia, które sprawdziły się *ex post*, jak istnienie planety Le Verriera<sup>340</sup>. Pani Verdurin zacytowałaby chętniej ludzi, których wolę nie wymieniać, a którzy odgadli w biurze wywiadowczym sztabu generalnego machinacje popełnione, jak sądzę, z patriotyzmu, ale

<sup>336</sup> Leon X, właśc. *Giovanni di Lorenzo de' Medici* (1475–1521) — papież od 1513; młodszy syn władcy Florencji, Wawrzyńca Medyceusza, bliski współpracownik i następca Juliusza II; mecenas sztuki; ostatni papież niemający święceń kapłańskich w chwili wyboru; znany z wprowadzenia sprzedaży odpustów na odnowienie Bazyliki św. Piotra, co doprowadziło do wystąpienia Marcina Lutra (1517). [przypis edytorski]

<sup>337</sup> *goddam* (ang.) — przekleństwo: cholera. [przypis edytorski]

<sup>338</sup> ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>339</sup> Barrès, *Maurice* (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

<sup>340</sup> *Le Verrier, Urbain* (1811–1877) — francuski astronom i matematyk; w 1846 na podstawie matematycznej analizy perturbacji ruchu planety Uran przewidział istnienie nieznannej planety i obliczył parametry jej orbity, dzięki czemu wkrótce odkryto tę planetę, nazwaną potem Neptunem. [przypis edytorski]



których ostatecznie sobie nie wyobrażałem! W przedmiocie wolnomularstwa, niemieckiego szpiegostwa, morfinomanii, Léon Daudet<sup>341</sup> pisze z dnia na dzień fantastyczną bajkę, która się okazuje najistotniejszą prawdą. Trzy na dziesięć! — powtarzał Brichot zdumiony.

Faktem jest, że pan de Charlus pomawiał o inwersję znaczną większość współczesnych, wyjmując bądź co bądź mężczyzn, z którymi miał stosunki i których psychika, o ile stosunki te były bodaj trochę zabarwione romantyzmem, zdawała mu się bardziej złożona. Podobnie widzimy, że donżuani niewierzący w honor kobiet przyznają go trochę jedynie jakiejś kobiecie, która była ich kochanką i co do której protestują szczerze i z tajemniczą miną: „Ależ nie, myli się pan, to nie jest taka kobieta”. Ten nieoczekiwany szacunek dyktuje im częścią miłość własna, której bardziej pochlebia, aby się takie fawory ograniczały do nich samych; częścią naiwność, biorąca się snadnie na wszystko, co kochanka zechciała w nich wmówić; częścią to poczucie życia, które sprawia, iż z chwilą gdy się zbliżamy do żywych istot, do egzystencji, wszelkie etykiety i przegródki stają się zbyt proste.

— Trzy na dziesięć! Ależ niech się pan strzeże: możesz pan być mniej szczęśliwy niż owi historycy, którzy mogą liczyć na przyszłą ratyfikację swoich sądów; gdybyś zechciał, baronie, pokazać potomności obraz, który nam tu malujesz, potomność mogłaby to uznać za kiepski żarcik. Ona sądzi jedynie z dokumentów i chciałaby się zapoznać z pańskim *dossier*. Otóż skoro żaden dokument nie potwierdza tego rodzaju zbiorowych przejawów, a jedyni ich świadkowie zbyt wiele mają powodów do tego, aby je zostawić w cieniu, bardzo by się oburzono w klanie pięknych dusz, uchodziłbyś pan wręcz za potwarce lub za wariata. O ile za życia uzyskałeś pan na konkursie elegancji maksimum głosów i rząd dusz na tej ziemi, o tyle za grobem mógłbyś być zbalotowany. Gra nie warta świeczki, jak mówi, Boże mi odpuść, nasz Bossuet<sup>342</sup>.

— Ja nie pracuję dla historii — odparł pan de Charlus — życie mi wystarcza; jest dostatecznie interesujące, jak powiadał biedny Swann.

— Jak to? Pan znałeś Swanna, baronie, ależ ja nic nie wiedziałem! Czy i on miał te gusty? — spytał Brichot zaniepokojony.

— Ależ z tego Brichota cham! Czy pan myśli, że ja znam tylko takich ludzi? Nie, nie sądzę — rzekł Charlus ze spuszczoneymi oczami, jak gdyby ważąc w myśli argumenty za i przeciw.

I myśląc, że skoro chodzi o Swanna, którego przeciwne gusty były zawsze znane, połowiczne wyznanie będzie niewinne dla tego, kogo dotyczy, a pochlebne dla tego, który je insynuuje, baron dodał:

— Nie mówię, żeby niegdyś w szkole, czasem, przypadkiem, raz... — rzekł baron w pół mimo woli i tak, jakby myślał głośno; po czym, poprawiając się: — Ale to już dwieście lat temu, skąd pan chce, żebym sobie przypominał, nudzi mnie pan — zakończył, śmiejąc się.

— W każdym razie, ładny to on nie był — rzekł Brichot, który sam szpetny, miał się za przystojnego, łatwo zaś uznawał innych za brzydkich.

— Cicho pan siedź — rzekł baron — nie wie pan, co pan gada; w owych czasach Swann miał cerę jak brzoskwinia — dodał, dając każdej sylabie inną nutę — ładny był jak amorek. Zresztą został zawsze uroczy. Kobiety szalały za nim.

— Pan znał jego żonę?

— Ech, przecie to ja go z nią zapoznałem. Zachwyciła mnie pewnego wieczoru w swoim kostiumie, kiedy grała Miss Sacripant; byłem z kolegami z klubu, każdy wziął sobie jakąś kobietkę, co do mnie zaś, mimo że miałem ochotę jedynie chrapnąć, złe języki twierdziły (bo to jest okropne, jaki ten świat jest złośliwy), że się przespałem z Odetą. Tylko że ona skorzystała z tego, żeby się mnie czepiać; w nadziei, że się jej pozbędę, przedstawiłem ją Swannowi. Od tej chwili nie przestała mnie męczyć, nie miała pojęcia o ortografii, to ja pisywałem jej listy. A później mnie przypadło zadanie oprowadzania

<sup>341</sup> Daudet, Léon (1867–1942) — francuski literat, publicysta; monarchista i antysemita, razem z Charles'em Maurras utworzył nacjonalistyczną „Action Française”, popierał faszyzm Mussoliniego i Franco. [przypis edytorski]

<sup>342</sup> Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

jej. Oto, moje dziecko, co znaczy mieć dobrą reputację, widzisz. Zresztą zasługiwałem na nią tylko w połowie. Ona mnie zmuszała do tego, żeby jej urządzać straszliwe seanse z figurami, w pięcioro, sześcioro.

I pan de Charlus zaczął wyliczać kochanków Odety z taką ścisłością, jakby recytował listę królów francuskich: żyła z takim a takim, potem z tym a tym — wyliczał tak mężczyzn, z których ani jednego nie odgadł biedny Swann, oślepiiony na przemian zazdrością i miłością, wążący szanse i wierzący w przysięgi bardziej natarczywe niż jakaś sprzeczność, która się wymknie winnej, sprzeczność o wiele mniej uchwytana, a jednak o wiele bardziej znacząca i którą zazdrośnik mógłby wyzyskać logiczniej niż owe informacje, które wytacza fałszywie, aby zaniepokoić kochankę. I w istocie zazdrośnik jest — jak współcześni — za blisko, nie wie nic; jedynie dla obcych komizm cudzołóstwa przybiera ścisłość historii i wydłuża się w listę obojętną zresztą, a pełną smutku jedynie dla innego zazdrośnika, takiego jak ja na przykład, który nie może się powstrzymać od snucia analogii i który pyta sam siebie, czy kobieta, którą podejrzewa, nie posiada równie znamienitej listy. Ale nie dowie się nic; to jest jakby powszechna konspiracja, okrutny spiszek, w którym wszyscy biorą udział, a który polega na tym, aby podczas gdy kochanka przechodzi z rąk do rąk, trzymać mu na oczach zasłonę, którą on sili się wciąż bezskutecznie zerwać. I wszyscy solidarnie oślepiają nieszczęśnika; osoby dobre przez dobroć, złe przez złość, osoby pospolite dla figla, osoby dobrze wychowane przez grzeczność i przez dyskrecję, a wszyscy przez tę konwencję, która się zwie „zasadą”.

— Ale czy Swann nie dowiedział się nigdy, że pan się cieszył względami Odety?

— Ależ skądże, cóż za ohyda! Opowiedzieć Karolowi! Włosy na głowie powstają od tej myśli. Ależ, drogi panie, zabiłby mnie po prostu, zazdrosny był jak tygrys. Tak samo jak nie przyznałem się Odecie, której by to zresztą było wszystko jedno, że... ech, nie wyciągajcie mnie na głupstwa. A najlepsze, że to ona waliła do niego z rewolweru, przy czym o mało nie trafiła we mnie. Och, miałem przyjemności z tą parą; i naturalnie to ja musiałem być jego świadkiem w pojedynku z Osmondem, który mi tego nigdy nie darował. Osmond zabrał mu Odetę, a Swann dla pocieszenia się wziął za kochankę — czy „fałszywą kochankę” — siostrę Odety. Ale nie każecie mi chyba opowiadać całej historii Swanna, mielibyśmy tego na dziesięć lat, rozumiecie, znam to wszystko jak nikt. To ja dotrzymałem towarzystwa Odecie, kiedy nie chciała widzieć Karola. To mi nie było w smak, tym bardziej że mam bardzo bliskiego krewnego, który nosi nazwisko de Crécy, nie mając oczywiście do tego żadnego prawa, ale któremu ostatecznie to nie było miłe. Bo ona się kazała zwać: „Odeta de Crécy”, i mogła to czynić, będąc jedynie separowana z mężem swoim, niejakim de Crécy. To był Crécy całkiem autentyczny, bardzo przyzwoity jegomość, którego oskubała do ostatniego grosza. Ale co ja będę panu opowiadał o tym Crécy; widziałem z nim pana w samowarku, urządzał pan dla niego obiadki w Balbec. Musiał ich potrzebować biedaczysko, żył z małej pensyjki, którą mu wypłacał Swann; i domyślałem się, że od czasu śmierci Swanna renta musiała z pewnością wyschnąć. Czego nie rozumiem — rzekł do mnie pan de Charlus — to żeś pan, bywający niegdyś tak często u Karola, nie poprosił mnie dziś, żebym pana przedstawił królowej Neapolu. W sumie widzę, że pan się nie interesuje osobami jako osobliwościami, a to mnie dziwi zawsze u kogoś, kto znał Swanna; u niego ten typ zainteresowań był tak rozwinięty, że niepodobna rzecz, czy to ja byłem w tym względzie jego mistrzem, czy on moim. To mnie dziwi w tym stopniu, co gdybym widział kogoś, kto znał Whistlera<sup>343</sup>, a nie miał pojęcia o smaku. Mój Boże, zwłaszcza dla Morela było ważne poznać królową; pragnął tego zresztą gorąco, bo to chłopak na wskroś inteligentny. To przykre, że ona poszła. Ale ostatecznie, postaram się ich spiknąć w tych dniach. Murowane, że ją pozna. Jedyłą możebną przeszkodą byłoby, gdyby umarła jutro. Otóż miejmy nadzieję, że to się nie zdarzy.

Naraz Brichot, wstrząśnięty proporcją „trzech na dziesięciu”, którą mu objawił pan de Charlus, Brichot, wciąż opanowany swoją myślą, z nagłością, która przypominała nagłość sędziego śledczego chcącego wycisnąć z oskarżonego zeznanie, ale która w rzeczywistości

<sup>343</sup> Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

była popisem własnej bystrości oraz objawem wzruszenia, z jakim przyszło profesorowi rzucić tak poważne oskarżenie, spytał ponuro pana de Charlus:

— A czy Ski nie należy też do takich?...

Aby obudzić podziw dla swej rzekomej intuicji, profesor wybrał to nazwisko, powiadając sobie, że skoro jest tylko trzech niewinnych na dziesięciu, małą szansę omyłki nastrecza Ski, który mu się wydawał trochę dziwny, cierpiał na bezsenność, perfumował się, krótko mówiąc, odbiegał od normy.

— Ależ ani trochę! — wykrzyknął baron z gorzką, apodyktyczną i zrozpaczoną ironią. Falsz, niedorzeczność, kulą w plot! Ski jest taki właśnie w oczach ludzi, którzy nie mają o tym pojęcia; gdyby był z takich, nie wyglądałby tak na to; mówię to bez cienia krytyki, bo on ma wdzięk i nawet ma dla mnie coś bardzo miłego.

— Ale niech nam pan powie jakieś nazwiska — nalegał Brichot.

Pan de Charlus zeszytywniał.

— Ech, drogi profesorze, pan wie, że ja żyję w abstrakcie; wszystko to interesuje mnie jedynie z punktu widzenia transcendentального — odparł z nieufną drażliwością właściwą podobnym jemu i z przesadną grandilokwencją<sup>344</sup> cechującą jego rozmowę. — Ja, rozumie pan, interesuję się jedynie ogólnymi prawidłami, mówię o tym tak, jak o prawie ciężkości.

Ale te chwile podrażnienia i reakcji, w których baron starał się ukryć swoje prawdziwe życie, trwały bardzo krótko wobec coraz częstszych godzin folgi, kiedy pozwalał się go domyślać, roztaczał je z drażniącą łaskawością, jako że potrzeba zwierzeń była u niego silniejsza niż obawa zdradzenia się.

— Chciałem tylko powiedzieć — podjął — że na jedną złą reputację mylną przypadają setki dobrych reputacji równie nieuzasadnionych. Oczywiście, liczba tych, którzy na tę reputację nie zasługują, zmienia się wedle tego, czy się pan kierujesz zeznaniami podobnych im czy innych. I faktem jest, że jeżeli złośliwość tych drugich hamowana jest zbyt dużą trudnością, z jaką przyszłoby im uwierzyć w przywarę równie dla nich okropną jak kradzież lub morderstwo uprawiane przez ludzi, których delikatność i serce znają, niezyczliwość pierwszych osobliwie podniecona jest potrzebą wierzenia... jak mam powiedzieć... w przystępność ludzi, którzy się im podobają, informacjami tych, których zmyliło podobne pragnienie, dystansem wreszcie, na jaki są zazwyczaj trzymani. Byłem świadkiem, jak ktoś, dość źle widziany z powodu tych skłonności, pomawiał pewnego człowieka z towarzystwa o podobne gusty. A jedyną racją był fakt, że ów człowiek z towarzystwa był dlań uprzejmy! Wszystko to są źródła optymizmu — rzekł naiwnie baron — w szacowaniu liczby. Ale prawdziwym źródłem olbrzymiej różnicy między obliczeniami profanów a obliczeniami świadomych rzeczy jest tajemnica, jaką ci otaczają swoje postęпки, aby je ukryć tamtym. A tamci, pozbawieni wszelkich środków informacji, byliby dosłownie zdumieni, gdyby się dowiedzieli bodaj ćwierci prawdy...

— Zatem nasza epoka wraca do Greków — rzekł Brichot.

---

<sup>344</sup>grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

— Jak to do Greków? Pan sobie wyobraża, że to nie trwało potem? Spójrz za Ludwika XIV: młody Vermandois<sup>345</sup>, Molier<sup>346</sup>, książę Ludwik Badeński<sup>347</sup>, Brunszwik<sup>348</sup>, Charolais<sup>349</sup>, Boufflers<sup>350</sup>, Wielki Kondeusz<sup>351</sup>, książę de Brissac<sup>352</sup>...

— Hola, baronie: wiedziałem o *Monsieur*<sup>353</sup>, wiedziałem o Brissacu z Saint-Simona<sup>354</sup>; Vendôme<sup>355</sup> oczywiście, zresztą wielu innych. Ale ta stara kanalia Saint-Simon często wspomina o Wielkim Kondeuszu i o Ludwiku Badeńskim i nigdy tego nie mówi.

— To fatalne, że ja muszę uczyć historii profesora Sorbony. Ależ, drogi profesorze, pan jesteś ciemny jak tabaka w rogu.

— Nasz baron jest surowy, ale sprawiedliwy. A teraz zrobię panu przyjemność: przypomniłem sobie w tej chwili piosenkę z owej epoki, ułożoną w makaronicznej łacinie na burzę, która zaskoczyła Wielkiego Kondeusza, kiedy płynął Rodanem w towarzystwie swego przyjaciela, margrabiego de la Moussaye<sup>356</sup>. Kondeusz powiada:

*Carus amicus Mussoeus,  
Ab! Deus bonus, quod tempus,  
Landerirette,  
Imbre sumus perituri.*<sup>357</sup>

A la Moussaye uspokaja go, mówiąc:

*Securae sunt nostrae vitae,  
Sumus enim Sodomitae,  
Igne tantum perituri,  
Landeriri.*<sup>358</sup>

— Cofam to, com powiedział — rzekł Charlus zmanierowanym dyszkantem — jest pan istną studnią wiedzy; napisze mi to pan, prawda, chcę to zachować w archiwach rodzinnych, toż moja cioteczno-stryjeczna prababka była siostrą Kondeusza.

<sup>345</sup>Vermandois, właśc. Ludwik de Bourbon, brabia Vermandois (1667–1683) — nieślubny syn króla Ludwika XIV Burbona i Ludwika de la Vallière; mieszkał pod opieką wuja, księcia Filipa I Orleańskiego, uważanego powszechnie za libertyna i homoseksualistę, i podobno został uwiedziony przez Filipa de Lorraine-Armagnac, najsłynniejszego z kochanków swego wuja. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>Molier, właśc. Jean-Baptiste Poquelin (1622–1673) — największy francuski komediopisarz, aktor, dyrektor teatru. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>Ludwik Wilhelm Badeński (1655–1707) — dowódca armii cesarskiej, margrabia badeński (Baden-Baden w pld. Niemczech). [przypis edytorski]

<sup>348</sup>Brunszwik, właśc. Karol II, książę Brunszwiku (1804–1873) — niemiecki książę Brunszwiku-Lüneburga z dynastii Welfów panujący w latach 1815–1830; znany ze swoich dziwactw, pozwał kilku wydawców gazet o zniesławienie, gdy twierdzili, że nakłaniał do kontaktów homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>Charolais, właśc. Karol de Bourbon, brabia Charolais (1700–1760) — francuski arystokrata, książę krwi; nie miał legalnego potomstwa, po jego śmierci hrabstwo Charolais stało się częścią ziem królewskich. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>Boufflers, właśc. Louis-François de Boufflers (1644–1711) — francuski wojskowy, diuk de Boufflers, marszałek Francji, jeden z dowódców armii Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>Wielki Kondeusz, właśc. Ludwik II de Bourbon-Condé (1621–1686) — francuski arystokrata, książę krwi, książę de Condé, marszałek Francji, wybitny dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>książę de Brissac, właśc. Henri-Albert de Cossé, książę de Brissac (1645–1698) — francuski szlachcic, roztrwonil wielki majątek, swój i swojej żony, zmarł bezpotomnie, powodując wygaśnięcie rodu. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>Monsieur — tu: tytuł brata króla Francji Ludwika XIV, Filipa I Orleańskiego (1640–1701), księcia Orléanu, założyciela dynastii orleańskiej; Filip Orleański miał dwie żony (Henriette Annę Stuart i Elżbietę Wittelsbach, księżniczkę Palatynatu Reńskiego), ale powszechnie znane były jego homoseksualne skłonności; listy jego drugiej żony do krewnych zostały zredagowane i przetłumaczone w 1863; pochodzą z nich anegdoty o homoseksualnych zachowaniach większości osób wymienionych przez pana de Charlus. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>Saint-Simon, właśc. Louis de Rouvroy, książę de Saint-Simon (1675–1755) — francuski żołnierz, dyplomata i pamiętnikarz; jego obszernie *Pamiętniki* są klasyką literatury francuskiej, przedstawiają najpełniejszy, żywy opis dworu za panowania Ludwika XIV oraz okresu regencji 1715–1723. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>Vendôme, właśc. Louis-Joseph de Bourbon, książę de Vendôme, zwany Wielkim Vendôme (1654–1712) — francuski generał Ludwika IV, marszałek Francji, jeden z najważniejszych dowódców w historii francuskiej armii. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>margrabia de la Moussaye, właśc. Amaury III Goyon, markiz de La Moussaye (1601–1663) — francuski szlachcic, oficer. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>*Carus amicus Mussoeus*... (łac.) — Drogi przyjacielu Muzejosie, ach, dobry Boże, co za pora, tralala, zginiemy w deszczu. [przypis edytorski]

<sup>358</sup>*Securae sunt nostrae vitae*... (łac.) — Bezpieczne są nasze życia, jesteśmy bowiem sodomitami, tylko od ognia zginiemy, tralalali. [przypis edytorski]

— Dobrze, baronie, ale co się tyczy Ludwika Badeńskiego, nie znajduję nic. Zresztą w owej epoce sądzę, że w ogólności sztuka wojenna...

— Cóż za głupstwo! Vendôme, Villars<sup>359</sup>, książę Eugeniusz<sup>360</sup>, książę Conti<sup>361</sup>, a gdybym panu powiedział o tych wszystkich bohaterach Tonkinu, Maroko — a mówię o prawdę wspaniałych i pobożnych, i „z nowej generacji” — zdumiałbym pana. Ha! ha! Miałbym sporo do opowiedzenia ludziom, robiącym ankiety o nowej generacji, która odrzuciła czcze wyrafinowania swoich poprzedników jak powiada pan Bourget<sup>362</sup>! Mam młodego przyjaciela, o którym się dużo mówi, który dokonał tam wspaniałych rzeczy... Ale, ostatecznie, nie chcę być złośliwy; wróćmy do XVII wieku; wie pan, że Saint-Simon powiada o marszałku d’Huxelles<sup>363</sup> — pośród tylu innych: „Praktyk w rozpuszczenie greckiej, z którą nie raczył się kryć, czepiał się młodych oficerów, instalował ich u siebie w domu, nie licząc rosnących młodych lokajów, i to bez osłonek, w armii i w Strasburgu”. Czytałeś pan zapewne listy *Madame*<sup>364</sup>; mężczyźni nie nazywali go inaczej niż „kurwą”. *Madame* mówi o tym dość wyraźnie.

— A mogła o tym wiedzieć z dobrego źródła, będąc żoną swojego męża.

— Bardzo interesująca figura, ta druga *Madame* — rzekł pan de Charlus. Można by z niej zrobić liryczną syntezę „żony pedeka”. Przede wszystkim kawał chłopa; żona pedeka jest zwykle mężczyzną, co ułatwia pedekowi zrobienie jej dzieci. Następnie, *Madame* nie mówi o zboczeniach męża, ale wciąż mówi o tym samym zboczeniu u innych, jak kobieta świadoma rzeczy i przez ten częsty narów, który sprawia, że lubimy znajdować w innych rodzinach skazy, od których cierpimy w naszej, aby dowieść samym sobie, że nie ma w tym nic wyjątkowego ani hańbiącego. Mówiłem panu, że to istniało we wszystkich czasach. Jednakże nasza epoka wyróżnia się specjalnie pod tym względem. I mimo przykładów, które zapożyczyłem z XVII wieku, gdyby mój wielki praszczur Franciszek de La Rochefoucauld<sup>365</sup> żył w naszych czasach, mógłby powiedzieć o nich z większą racją niż o swoich, no, Bricot, pomóż mi pan: „Rozpusta istniała zawsze, ale gdyby osoby, które wszyscy u nas znają, zrodziły się w dawnych wiekach, czy mówionoby dziś o zboczeniach Heliogabala<sup>366</sup>?”. Bardzo lubię to: „które wszyscy u nas znają”. Widzę, że mój roztropny krewniak znał ewidencję swoich najślawniejszych współczesników, jak ja swoich. Ale takich ludzi jest dzisiaj nie tylko więcej, mają też coś odrębnego.

Wyczułem, że pan de Charlus gotów jest opowiedzieć nam, w jaki sposób obyczaje te uległy ewolucji. Było coś dosyć skomplikowanie przykrego w usilności, z jaką baron wciąż wracał do tego tematu, w którym inteligencja jego, wciąż ostrzona w jednym kierunku, posiadała niejaką przenikliwość. Był „piłą”, jak uczony niewidzący nic poza swoją specjalnością; drażniący jak człowiek „dobrze poinformowany”, dumny z sekretów, które posiada i które rad by rozgadać; antypatyczny, jak ci, co z chwilą gdy chodzi o ich przywary, rozwodzą się nad nimi, nie widząc, że budzą niesmak; opętany jak maniak i zdradzający się nieodparcie jak przestępca. Cechy te, które chwilami stawały się równie niesamowite jak cechy wariata lub zbrodniarza, przynosiły mi zresztą pewne ukojenie.

<sup>359</sup>Villars, właśc. *Honoré Armand de Villars* (1702–1770) — francuski szlachcic, żołnierz i polityk, książę i par Francji; powszechnie znany z homoseksualizmu, otrzymał przydomek „przyjaciel mężczyzny”. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>Eugeniusz Sabaudzki (1663–1736) — książę Sabaudii, wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>książę Conti, właśc. *Franciszek Ludwik de Bourbon-Conti* (1664–1709) — książę Conti (od 1685); podobno należał do homoseksualnego kręgu królewskiego brata, Filipa I Orleańskiego; w 1697 wybrany przez większość i oficjalnie ogłoszony królem Polski, zmuszony do ustąpienia na rzecz Augusta II, który pierwszy wkroczył do Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>362</sup>*Bourget, Paul* (1852–1935) — francuski pisarz, autor powieści psychologicznych; pięciokrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, uznawany za jednego z największych powieściopisarzy przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>marszałek d’Huxelles, właśc. *Nicolas Chalon du Blé, markiz d’Huxelles i Cormatin* (1652–1730) — francuski dowódca i polityk, marszałek Francji; jeden z najbardziej znanych homoseksualistów w swoich czasach. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*Madame* — tu: tytuł bratowej króla Francji, drugiej żony Filipa I Orleańskiego, Elżbiety Wittelsbach (1652–1722), księżniczki Palatynatu Reńskiego, której ogromna korespondencja zawiera szczegółowe uwagi na temat dworu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*La Rochefoucauld, François de* (1613–1680) — francuski książę, pisarz i filozof, znany ze swoich pesymistycznych, dowcipnych aforyzmów. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>*Heliogabal* (204–222) — w młodości kapłan syryjskiego boga słońca, od 218 cesarz rzymski (jako Marek Aureliusz Antoninus); zyskał reputację rozpustnika i hedonisty. [przypis edytorski]

Poddając je bowiem koniecznej transpozycji, aby z nich wysnuć wnioski dotyczące Albertyny, przypominając sobie jej zachowanie się z Robertem, ze mną, powiadałem sobie (mimo przykrości, jaką mi sprawiało jedno z tych wspomnień, a melancholii, jaką mnie przejmowało drugie), powiadałem sobie, że one wykluczają chyba rodzaj tak wybitnej deformacji, nieodzownie, jak się zdaje, ekskluzywnej, która promieniowała z taką siłą ze słów i z osoby pana de Charlus. Niestety, baron zburzył rychło te przyczyny do nadziei w taki sam sposób, w jaki mi ich dostarczył, to znaczy bezwiednie.

— Tak — powiedział — nie mam już dwudziestu pięciu lat i widziałem wiele zmian dookoła; nie poznaję już ani społeczeństwa, gdzie bariery trzaśły, gdzie ciżba wyzuta z elegancji i przyzwoitości tańczy tango nawet w mojej rodzinie; ani mód, ani polityki, ani sztuki, ani religii — niczego. Ale przyznaję, że co się najbardziej zmieniło, to to, co Niemcy nazywają homoseksualizmem. Mój Boże, za moich czasów, poza ludźmi, którzy nie cierpieli kobiet, i tymi, co kochali wyłącznie kobiety, a inne rzeczy robili tylko dla interesu, homoseksualiści byli dobrymi ojcami rodzin i miewali kochanki jedynie dla pozorów. Gdybym miał córkę na wydaniu i gdybym chciał mieć pewność, że nie będzie nieszczęśliwa, szukałbym zięcia jedynie wśród takich. Niestety, wszystko się zmieniło. Teraz i tacy rekrutują się z ludzi najbardziej łasych na kobiety. Myślałem, że mam pewien wdech i że kiedy sobie powiem: „Z pewnością nie”, nie mogę się omylić. I oto przychodzi mi wszystko odszczekać. Jeden z moich przyjaciół, człowiek dobrze znamy z tego, miał stangreta (dostarczyła mu go moja bratowa Oriana), chłopca z Combray, który uprawiał po trosze wszystkie rzemiosła, ale zwłaszcza uganiał za dziewczętami: byłbym przysięgł, że jest najdalszy od tych rzeczy. Doprowadzał do rozpaczki kochankę, zdradzając ją z dwiema kobietami, które ubóstwiał, nie licząc innych — jedna aktorka, druga dziewczyna z szynkowni. Mój kuzyn, książę Gilbert, obdarzony właśnie ową drażniącą inteligencją ludzi, którzy we wszystko za łatwo wierzą, rzekł mi pewnego dnia: „Ale czemu X nie sypia ze swoim stangretem? Kto wie, czyby to nie sprawiło przyjemności Teodorowi (imię stangreta) i czy on nawet nie jest dotknięty, że mu pryncypał nie robi awansów”. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie zamknąć buzi Gilbertowi; drażniła mnie ta rzekoma przenikliwość, która stosowana bez rozróżnienia jest brakiem przenikliwości; a także drażniła mnie naiwna chytryść mego kuzyna, który by chciał, żeby nasz przyjaciel X zaryzykował przejście po desce, po której, gdyby się okazała bezpieczna, on by się puścił z kolei.

— Jak to! Książę Gilbert ma te gusty? — spytał Brichot z odcieniem zdziwienia i niesmaku.

— Mój Boże — odparł pan de Charlus zachwycony — to jest tak powszechnie znane, iż nie sądzę, abym popełnił niedyskrecję, mówiąc, że tak. Otóż następnego roku wybrałem się do Balbec i tam dowiedziałem się od majtka, który mnie brał czasami na połów, że mój Teodor (który, nawiasem mówiąc, ma siostrę pokojówkę u przyjaciółki pani Verdurin, baronowej Putbus) zachodził do portu, ot, aby upolować jakiegoś majtka, i to z piekielnym tupetem, po to by kropnąć spacer łódką „i jeszcze, jeszcze coś”.

Na mnie wówczas przysła kolej zapytania, czy jego pryncypał, w którym poznałem owego pana grającego w Balbec cały dzień w karty z kochanką i będącego głową małego stowarzyszenia czterech przyjaciół, jest w tym podobny do księcia de Guermites.

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą, wcale się z tym nie kryje.

— Ale miał z sobą kochankę?

— No więc, co to znaczy; jakież te dzieciaki są naiwne — rzekł baron ojcowskim tonem, nie domyślając się cierpienia, jakie czerpałem z jego słów, myśląc o Albertynie. — Uroczą jest ta jego kochanka.

— W takim razie jego trzech przyjaciele są też tacy?

— Ależ wcale nie — wykrzyknął baron, zatykając sobie uszy, tak jakbym, grając, wziął fałszywą nutę. — Teraz znowu wpada w drugą ostateczność! Więc już człowiekowi nie wolno mieć przyjaciół? Och, młodzi, młodzi, wszystko mieszają. Trzeba będzie od nowa cię wychować, moje dziecko. Otóż — podjął — przyznaję, że ten wypadek (a znam wiele takich), mimo iż staram się zachować umysł otwarty dla wszystkiego, co niezwykle, wprawia mnie w kłopot. Jestem może bardzo zacofany, ale nie rozumiem — rzekł ba-

ron tonem starego „gallikanina”<sup>367</sup> mówiącego o pewnych formach ultramontanizmu<sup>368</sup>, rojalisty-liberała mówiącego o Action Française<sup>369</sup> lub ucznia Claude Moneta<sup>370</sup> mówiącego o kubistach<sup>371</sup>. — Nie potępiam tych nowatorów; zazdroszczę im raczej, staram się ich zrozumieć, ale nie mogę. Jeżeli tak kochają kobiety, po co, zwłaszcza w tym świecie robotniczym, gdzie to jest źle widziane, gdzie się kryją przez miłość własną, po co im to, co nazywają „chłopczykiem”? Widać to im daje coś innego. Ale co?

„Co kobieta może innego dawać Albertynie?” — myślałem, i tu tkwiło najoczywistej moje cierpienie.

— Stanowczo, baronie — rzekł Brichot — jeżeli kiedy Fakultet zechce utworzyć katedrę homoseksualizmu, zaproponuję pana *primo loco*<sup>372</sup>. Lub raczej nie, bardziej by się panu nadał instytut specjalnej psychofizjologii. I widzę pana zwłaszcza na katedrze w Collège de France, oddającego się studiom, których rezultatów udzielałby pan niby jakiś profesor języka tamilskiego<sup>373</sup> lub sanskrytu<sup>374</sup>, wobec szczupłej garstki osób, które to interesuje. Miałbyś pan dwóch słuchaczy i pedela, przez co nie chcę rzucać cienia podejrzania na nasz korpus pedelów, który uważam za nieskazitelny.

— Nic pan o tym nie wie — odciął baron twardym i ostrym tonem. — Zresztą, myli się pan, sądząc, że to interesuje tak mało kogo. Wprost przeciwnie.

I nie zdając sobie sprawy ze sprzeczności między nieodmiennym kierunkiem jego własnej rozmowy a zarzutem, jaki stawiał innym, baron mówił ze zgorzszą i zatroskaną miną:

— Wręcz przeciwnie, to przerażające, ile się wszędzie o tym mówi! To hańba, tak, ale tak już jest, drogi profesorze. Zdaje się, że przedwczoraj u księżnej d’Agen nie mówiono o niczym innym przez dwie godziny; pojmuję pan, jeżeli teraz kobiety zaczną o tym paplać, to istny skandal! A najplugawsze jest — dodał baron z ogniem i energią — to, że one czerpią swoje informacje od kanalii, od prawdziwych świntuchów, jak ten młody Châtellerault (o tym można by powiedzieć więcej niż o kimkolwiek!), którzy im opowiadają historyjki o innych. Słyszałem, że on wiesz na mnie wszystkie możliwe psy, ale ja o to nie dbam; uważam, że błoto i świństwa ciskane przez osobnika, którego omal nie wyrzucono z Jockey Clubu za szachrowanie w karty, może spaść tylko na niego. I na miejscu Joasi d’Agen, szanowałbym na tyle swój salon, aby w nim nie było mowy o podobnych tematach i aby nie włóczono u mnie moich krewnych w błocie. Ale nie ma już towarzystwa, nie ma reguł, nie ma konwenansów, tak w rozmowie jak w toalecie. Tak, drogi panie, to koniec świata. Wszyscy się zrobili tacy źli. Istny wyścig, kto powie więcej złego o innych. Ohyda.

Będąc od dzieciństwa tchórzem, jak w Combray, kiedym uciekał, aby nie widzieć koniaku podsuwanego dziadkowi oraz próżnych wysiłków babki, błagającej go, aby nie pił, miałem tylko jedną myśl: uciec od Verdurinów przed egzekucją Charlusa.

— Muszę koniecznie iść — rzekłem do profesora.

— Idę z panem — odparł — ale nie możemy się wymknąć po angielsku. Chodźmy się pożegnać z panią Verdurin — zakończył profesor, kierując się do salonu z miną dziecka, które przy zabawie w fanty zagląda, „czy można wrócić”.

<sup>367</sup>*gallikanin* — ruch religijno-polityczny dążący do uniezależnienia Kościoła katolickiego we Francji od władzy papieskiej na rzecz władzy państwa. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>*ultramontanizm* (z łac. *ultramontanus*: znajdujący się za górami) — pogląd głoszący, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża (którego siedziba znajduje się stale w Watykanie, a więc „za górami”; stąd nazwa); ultramontanizm jest więc stanowiskiem oznaczającym usztywnienie doktryny Kościoła katolickiego oraz centralizację władzy kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>369</sup>*Action Française* (fr.: Akcja francuska) — francuski skrajnie prawicowy (nacjonalistyczno-katolicki i monarchistyczny) ruch ideowo-polityczny w I poł. XX wieku; również tytuł gazety tego ruchu, zał. w 1899; po wyzwoleniu Francji przez wojska alianckie i ustanowieniu nowych władz wielu działaczy Akcji Francuskiej, na czele z Charles’em Maurrasem, zostało oskarżonych o kolaborację z Niemcami i skazanych. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>*Monet, Claude* (1840–1926) — malarz francuski, jeden z twórców impresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*kubista* — przedstawiciel *kubizmu*, kierunku w sztukach plastycznych powstałego na pocz. XX w., charakteryzującego się sprowadzaniem przedmiotów i postaci do układów uproszczonych brył geometrycznych, próbami jednoczesnego przedstawiania przedmiotu z różnych punktów widzenia. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>*primo loco* (łac.) — na pierwszym miejscu. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*tamilski* — język z rodziny drawidyjskiej, używany gł. w południowych Indiach oraz na wyspie Cejlon; jako język literacki wykształcił się w I w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>*sanskryt* — język indoaryjski z rodziny indoeuropejskiej, używany w staroż. Indiach, później jako język liturgiczny i literacki pełnił funkcję podobną do łaciny w Europie. [przypis edytorski]

Podczas gdyśmy rozmawiali, Verdurin na znak żony zabrał Morela. Gdyby nawet zresztą po głębszym zastanowieniu pani Verdurin uznała, że roztropniej jest odłożyć te rewelacje, nie byłaby zdolna tego uczynić. Są pewne pragnienia — czasem zlokalizowane w ustach — które to pragnienia, skoro raz się im pozwoli wzrosnąć, domagają się zaspokojenia, bez względu na następstwa; nie możemy się oprzeć chęci ucałowania obnażonego ramienia, na które patrzymy od dawna i na które wargi nasze spadają niby wąż na ptaka; ani zjedzenia ciastka łaknącymi zębami; ani odmówić sobie zdumienia, zmieszania, bólu lub wesołości, jakie rozpętamy w czyjejś duszy nieoczekiwanym słowem. W takim nastroju, zawczasu opita melodramatem, pani Verdurin skłoniła męża, żeby wziął z sobą Morela i żeby się z nim rozmówił za wszelką cenę.

Zrazu Morel ją ubolewał, że królowa Neapolu wyszła, zanim go jej zdołano przedstawić. Pan de Charlus tyle mu się napowtarzał, że to jest siostra cesarzowej Elżbiety i księżnej d'Alençon, iż panująca ta nabrała w oczach Morela niezwyklej ceny. Ale pryncypał wytłumaczył mu, że nie po to się znaleźli tutaj, aby mówić o królowej Neapolu, i wszedł *in medias res*<sup>375</sup>.

— Słuchaj pan — zakonkludował po jakimś czasie — jeżeli pan chce, zasięgniemy rady żony. Słowo honoru, nic jej jeszcze nie mówiłem. Zobaczymy, co ona na to wszystko powie. Mój pogląd może być mylny, ale pan wie, jaką żona ma głowę; przy tym ma dla pana niezmiernie wiele przyjaźni, chodźmy jej przedłożyć całą sprawę.

Pani Verdurin oczekiwała z niecierpliwością wzruszeń, jakich miała kosztować, rozmawiając ze skrzypkiem, a potem, kiedy on już odejdzie, każąc sobie ściśle zdać sprawę z dialogu między nim a mężem. I kiedy ona nie przestawała powtarzać: „Ale co oni mogą robić; mam choć nadzieję, że August, skoro go trzyma tak długo, zdołał go przekonać”, pan Verdurin wrócił z Morelem wyraźnie bardzo wzruszonym:

— Pan Morel chciałby cię poprosić o radę — rzekł Verdurin do żony z miną człowieka, który nie wie, czy ta prośba będzie wysłuchana.

Zamiast odpowiedzieć mężowi pani Verdurin, poniesiona zapałem, zwróciła się do Morela.

— Jestem absolutnie tego samego zdania co mąż; uważam, że pan nie może tego tolerować dłużej — wykrzyknęła gwałtownie, zapominając o czarnej fikcji, umówionej między nią a mężem, mianowicie, że ona nie ma wiedzieć, o czym Verdurin mówił ze skrzypkiem.

— Jak to? Co tolerować? — wybąkał Verdurin, który starał się udać zdziwienie i siłił się bronić swego kłamstwa z niezręcznością tłumaczącą się zmieszaniem.

— Zgadłam, o czym z nim mówiłeś — odparła pani Verdurin, nie troszcząc się o prawdopodobieństwo i mało dbając o to, co później, przypominając sobie tę scenę, skrzypek mógłby pomyśleć o prawdomówności „pryncypalki”. — Nie — podjęła — uważam, że pan nie powinien cierpieć dłużej tej haniebnej wspólnoty z plugawą figurą, której nie przyjmują nigdzie — dodała, nie zważając, że to jest nieprawda, i zapominając, że baron bywał u niej prawie co dzień. — Jest pan pośmiewiskiem całego konserwatorium — dodała, czując że to jest najskuteczniejszy argument. — Miesiąc więcej, a pańska przyszłość artystyczna jest złamana, podczas gdy bez Charlusa powinien byś pan zarabiał więcej niż sto tysięcy rocznie.

— Ale ja nigdy nic nie słyszałem, zdumiewa mnie pani, jestem pani bardzo wdzięczny — wybąkał Morel ze łzami w oczach.

Ale zmuszony równocześnie udawać zdziwienie i pokrywać wstyd, był bardziej czerwony i bardziej się pocił, niż gdyby odegrał pod rząd wszystkie sonaty Beethovena; w oczach jego zjawily się łzy, których mistrz z Bonn z pewnością by mu nie wycisnął.

— Jeżeli pan nic nie słyszał, to chyba pan jeden! Ten pan baron ma obrzydliwą reputację i paskudne historie. Wiem, że policja ma go na oku, co jest zresztą dla niego najszczęśliwsze, jeżeli nie ma skończyć tak, jak wszyscy jemu podobni, zamordowany przez apaszów<sup>376</sup> — dodała, bo myśl o Charlusie przywozila jej na pamięć impertynencje pani de Duras; toteż w przypływie wściekłości starała się pogłębić jeszcze rany, jakie zadawała nieszczęsnemu Charliemu, i pomścić te, które sama otrzymała tego wieczora.

<sup>375</sup>*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy; w sedno sprawy. [przypis edytorski]

<sup>376</sup>*apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]



— Zresztą nawet materialnie on się panu nie zda na nic; jest całkiem zrujnowany, od czasu jak jest ofiarą szantażystów. Nie zdołają wycisnąć z niego wiele, a pan jeszcze mniej, bo wszystko jest zafantowane<sup>377</sup>, pałac, zamek itd.

Morel uwierzył w to kłamstwo tym łatwiej, ponieważ pan de Charlus lubił go brać na powiernika swoich stosunków z apaszami, rasy, do której syn lokaja, choćby sam najplugawszy, żywi wstręt równy jego przywiązaniu do bonapartyzmu.

Już w chytrym umyśle Morela zakiełkowała kombinacja analogiczna do tej, którą nazywano w XVIII wieku „odwróceniem aliansów”. Zdecydowany stanowczo zerwać z panem de Charlus, zamierzał wrócić nazajutrz do siostrzenicy Jupiena, aby wszystko naprawić. Nieszczęściem dlań, ten projekt miał zawieść, bo pan de Charlus miał jeszcze tego wieczora z Jupieniem schadzkę, na którą eks-krawiec, mimo świeżych wypadków, nie ośmielił się nie stawić. Kiedy za sprawą Morela zaszły inne wydarzenia i kiedy Jupien, płacząc, opowiedział swoje nieszczęścia baronowi, ten, nie mniej zbolący, oświadczył, że zaadoptuje opuszczoną dziewczynę, nada jej jeden z tytułów, którymi rozporządzał (prawdopodobnie tytuł panny d’Oleron), postara się uzupełnić jej wykształcenie i wyda ją bogato za mąż. Obietnice te mocno ucieszyły Jupiena, nie zrobiły zaś wrażeń na jego siostrzenicy, bo wciąż kochała Morela, który przez głupotę lub cynizm zachodził niedbale do sklepu, kiedy Jupiena nie było. „Co ty wyprawiasz — mówił, śmiejąc się — z tymi podkrążonymi oczami? Zgryzoty miłosne? Ba, lata płyną, ludzie się zmieniają... Ostatecznie wolno człowiekowi przymierzyć trzewik, a tym bardziej kobietę, i jeżeli mu się nie nada...”. Rozgniewał się tylko raz, kiedy płakała; uważał to za nikczemną i niegodną sztuczkę. Nie zawsze człowiek dobrze znosi łzy, które wyciska z oczu.

Ale zanadto uprzedziliśmy wypadki, bo wszystko to działo się dopiero po wieczorze Verdurinów, któryśmy przerwali i który trzeba nam podjąć w tym samym punkcie.

— Nigdy nie byłbym się domyślił — wzdychał Morel w odpowiedzi na słowa pani Verdurin.

— Oczywiście nie mówią tego panu w oczy; co nie przeszkadza, że pan jest pośmiewiskiem całego konserwatorium — odparła jadownicie pani Verdurin, chcąc dowieść Morelowi, że chodzi tu nie tylko o pana de Charlus, ale i o niego. — Chcę wierzyć, że pan nic nie wie, mimo że gadają o tym dość głośno. Niech pan spyta Skiego, co mówiono kiedyś u Chevillarda, o dwa kroki od nas, kiedy pan wszedł do mojej łóżki. Po prostu pokazują pana palcami. Co do mnie, powiem panu, że na to nie zważam; ale to fakt, że to straszliwie ośmiesza mężczyznę i że zostaje już pośmiewiskiem na całe życie.

— Nie wiem, jak pani dziękować — rzekł Charlie tonem takim, jakim się dziękuje dentyście, który nam zadał straszliwy, a pokrywany przez nas ból, lub krwiożerczemu sekundantowi, który nas zmusił do pojedynku o błahy żart, oświadczywszy: „Nie może pan tego schować do kieszeni”.

— Sądzę, że pan ma charakter, że pan jest mężczyzną — odparła pani Verdurin. — Potrafi pan mówić głośno i wyraźnie, chociaż on opowiada na prawo i lewo, że się pan nie ośmieli, że trzyma pana w ręku.

Charlie, sztukując pożyczoną godnością podarte strzępy własnej, przypomniał sobie coś, co przeczytał lub usłyszał, i natychmiast oświadczył:

— Nie nauczono mnie przymykać oczu na takie sprawy. Dziś wieczór zerwę z panem de Charlus. Królowa Neapolu już poszła, nieprawdaż?... Inaczej przed zerwaniem poprosiłbym go...

— Nie jest konieczne całkiem z nim zrywać — rzekła pani Verdurin, nie chcąc robić swego kółka. — Doskonale mógłby go pan widywać tutaj, w naszej „paczce”, gdzie pana cenią, gdzie nikt o panu nie powie nic złego. Ale niech pan zażąda swobody ruchów; a następnie niech mu się pan nie pozwala wlec do wszystkich klep, które są przyjemne w oczy, ale chciałabym, żebyś pan słyszał, co one mówią za plecami. Zresztą niech pan tego nie żałuje; nie tylko zmywa pan plamę, która by panu została na całe życie, ale biorąc artystycznie, nawet gdyby nie chodziło o ubliżającą protekcję Charlusa, powiem panu, że marynowanie się w tym fałszywym wielkim świecie dałoby panu wygląd niepoważny, reputację amatora, salonowego muzyka, co jest groźne w pańskim wieku. Rozumiem, że dla wszystkich tych damulek bardzo wygodnie jest robić grzeczności przyjaciółkom,

<sup>377</sup> zafantowany (daw.) — zajęty za długi. [przypis edytorski]

sprowadzając pana gratis; ale koszta tego opłaciłaby pańska przyszłość jako artysty. Iść do jednej, do dwóch — nie mówię. Wspominał pan o królowej Neapolu, która poszła, bo miała jakiś wieczór; to zacna kobieta i powiem panu, iż sędzę, że ona nieszczególnym okiem widzi Charlusa i przyszła zwłaszcza dla mnie. Tak, tak, wiem, że miała ochotę poznać mnie i męża. To jest dom, gdzie pan mógłby zagrać. A potem powiem panu, że gdyby pan gdzieś poszedł ze mną, którą artyści znają, wie pan, dla której zawsze są tacy mili, którą uważają po trosze za swoją, za swoją „pryncypałkę”, to zupełnie inna sprawa. Ale niech się pan strzeże zwłaszcza jak ognia chodzić do takiej Duras! Niech pan nie robi podobnego głupstwa! Znam artystów, którzy przychodzili mi się zwierzać potem. Wiedzą, że mnie mogą zaufać — rzekła z łagodną prostotą, jaką umiała nagle przybierać, dając swoim rysom wyraz skromności, oczom swoisty czar — ot, przychodzą mi opowiadać swoje kłopoty; ci, co uchodzą za największych milczków, gawędzą ze mną czasem godzinami, nie umiem panu powiedzieć, jacy są wówczas zajmujący. Biedny Chabrier powiedział zawsze: „Jedna pani Verdurin umie człowieka rozgadać”. Otóż wie pan, wszyscy, powiadam panu, bez wyjątku, płakali po prostu, że się dali złapać na granie u tej Duras. Nie tylko ona sama z rozmysłu upokarza ich przez służbę, ale nie mogli potem nigdzie znaleźć *engagement*<sup>378</sup>. Dyrektorzy mówili: „A, to ten, co grywa u księżnej de Duras”. Skończone. Nie ma rzeczy, która by bardziej podcięła panu skrzydła. Pan wie, te światowe wystęgi nie przydają artyście powagi; może ktoś mieć talentu ile wlezie, ale, smutno powiedzieć, wystarczy jednej pani de Duras, żeby człowiek zyskał opinię amatora. A dla artystów, pan wie, rozumie pan, że ja ich znam, toć od czterdziestu lat żyję z nimi, popieram ich, lansuję, interesuję się nimi, otóż, wie pan, dla nich powiedzieć o kimś „amator” to już koniec. I w gruncie zaczynano to mówić o panu. Ileż razy musiałam walczyć o pana, zapewniać, że pan nigdy by nie grał w jakimś pociesnym salonie! Wie pan, co odpowiadano: „Ależ będzie musiał; Charlus nawet się go nie spyta, on się go nie pyta o zdanie”. Ktoś myślał, że sprawi baronowi przyjemność, mówiąc: „Wspaniały artysta, ten twój przyjaciel Morel”. Czy pan wie, co on odpowiedział, z tą impertynencką miną, którą pan zna: „Skąd się panu uroiło, że to mój przyjaciel; nie jesteśmy z tej samej sfery, powiedz pan, że to moja kreatura<sup>379</sup>, mój protegowany...” — W tej chwili pod wysklepionym czołem bogini muzyki kłębiła się jedyna rzecz, której pewne osoby nie umieją zachować dla siebie, słowo, które powtarzać jest nie tylko wstętne, ale nieostrożne. Ale potrzeba powtórzenia go mocniejsza jest niż honor, niż ostrożność. Tej właśnie potrzebie, po paru konwulsyjnych drganiach sferycznego i stroskanego czoła, uległa „pryncypałka”: — Powtórzono nawet mężowi, że powiedział: „mój służący”, ale tego nie mogą twierdzić — dodała. Podobna potrzeba skłoniła pana de Charlus, wkrótce po przysiędze danej Morelowi, że nikt nigdy nie dowie się o jego pochodzeniu, do zwierzenia pani Verdurin: „To syn lokaja”. Podobna również potrzeba, teraz kiedy słowo padło, miało mu dać krążyć z ust do ust między osobami powierzającymi je sobie pod pieczęcią tajemnicy — przyrzeczonej, a niedotrzymanej, tak jak jej nie dotrzymały one same. Te słowa miały w końcu wrócić, niby w grze w „lisa”, do pani Verdurin, różniąc ją z zainteresowanym, który się w końcu o tym dowie. Wiedziała o tym, ale nie mogła powstrzymać słowa, które jej parzyło język. Słowo „służący” musiało zranić Morela; mimo to powiedziała „służący”, a jeżeli zrobiła zastrzeżenie, uczyniła to po to, aby tym odcieniem wyrazić, że jest pewna reszty, i aby okazać bezstronność. Ta jej bezstronność wzruszyła ją samą tak, że zaczęła mówić tkliwie: — Bo widzi pan, ja jemu nie robię wyrzutów; ciągnie pana w przepaść, to prawda, ale to nie jego wina, skoro się sam w nią stacza, skoro się w nią stacza — powtórzyła silniej, oczarowana trafnością obrazu, który wyrwał się jej z ust tak szybko, że zauważyła go dopiero teraz i starała się go uwydatnić. — Nie; ale wyrzucam mu to — rzekła lirycznie jak kobieta oszołomiona swoim sukcesem — że on w stosunku do pana nie ma delikatności. Są rzeczy, których nie opowiada się całemu światu. I tak przed chwilą baron założył się, że się pan zaczerwieni z przyjemności, kiedy panu oznajmi (błaga oczywiście, bo jego protekcja byłaby dostateczną przeszkodą), że pan dostanie Krzyż Legii. To jeszcze mniejsza, mimo że nigdy tego nie lubiłam — dodała tonem delikatnym i godnym — żeby ktoś oszukiwał przyjaciół; ale pan wie, że są drobiazgi, które nam

<sup>378</sup>*engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą. [przypis edytorski]

<sup>379</sup>*kreatura* (daw., z łac.) — osoba zawdzięczająca swoją pozycję komuś wpływowemu, wykreowana przez kogoś. [przypis edytorski]

sprawiają przykrość. Na przykład kiedy baron, pękając ze śmiechu, opowiada, że jeżeli pan pragnie Krzyża Legii, to przez wzgląd na wuja, i że pański wuj był fagasem<sup>380</sup>.

— Powiedział to! — wykrzyknął Charlie, uwierzywszy z tych zręcznych cytatów w prawdę wszystkiego, co mówiła pani Verdurin. Pani Verdurin uczuła przypływ szczęścia, niby stara kochanka, która już na wpół opuszczona przez młodego amanta, zdoła szczęśliwie zerwać jego małżeństwo. I może nie obmyśliła swego kłamstwa i nie skłamała świadomie. Pewna logika uczuć, jeszcze pierwotniejszy może nerwowy odruch, który jej kazał, dla rozrywki i dla chronienia swego szczęścia, „mącić wodę” w swojej „paczce”, sprowadzał jej odruchowo na wargi (zanim miała czas skontrolować prawdziwość faktów) te twierdzenia szatańsko skuteczne, jeżeli nie całkiem ścisłe.

— Gdyby to mówił tylko nam, to by nie miało znaczenia — ciągnęła „pryncypałka”. — My wiemy, że tego, co on mówi, trzeba jednym uchem słuchać, a drugim wypuszczać; przy tym żadna praca nie hańbi, a wartość swoją zawdzięcza pan sobie; ale nie mogę ścierpieć, że on zabawia tym panią de Portefin — pani Verdurin zacytowała ją umyślnie, bo wiedziała, że Charlie kocha się w pani Portefin. — Mąż mówił mi, słysząc to: „Wolałbym dostać po papie”. Bo Gustaw pana kocha tyle co ja — w ten sposób dowiedziano się, że pan Verdurin nazywa się Gustaw. — W gruncie to jest tkliwe serce.

— Ależ ja ci nigdy nie mówiłem, że go kocham — mruknął Verdurin, robiąc zacnego burczymuchę. — To Charlus go kocha.

— Och, nie, teraz rozumiem różnicę, byłem ofiarą nędznika, a pan jest dobry — wykrzyknął szczerze Charlie.

— Nie, nie — szepnęła pani Verdurin, czując, że jej „środy” są ocalone, i nie nadużywając zwycięstwa. — Nędznik to za wiele powiedziane: robi dużo, bardzo dużo złego, nieświadomie; pan wie, ta historia z Legią nie trwała bardzo długo. A byłoby mi nieprzyjemnie powtórzyć panu wszystko, co opowiadał o pańskiej rodzinie — rzekła pani Verdurin, która byłaby w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło to uczynić.

— Och! To nic nie znaczy, że nie trwało długo; to dowodzi, że to jest zdrajca! — wykrzyknął Morel.

W tej właśnie chwili weszliśmy do salonu.

— Ha! ha! — wykrzyknął pan de Charlus, odnajdując Morela i zbliżając się do muzyka z radością człowieka, który zorganizował umiejętnie cały wieczór pod kątem schadзки z kobietą i który w swoim upojeniu nie domyśla się, że sam zastawił pułapkę, w którą ludzie nastawieni przez męża złapią go, aby go publicznie ochłostać. — I cóż, nareszcie jesteś: gdzieś ty się ukrywał, młoda sławo i niebawem młody kawalerze Legii Honorowej? Bo niedługo będziesz mógł przypiąć sobie Krzyż Legii — rzekł pan de Charlus do Morela z akcentem tkliwości i tryumfu, wzmianką o Krzyżu Legii potwierdzając właśnie kłamstwa pani Verdurin, w których Morel uznał z tą chwilą bezsporną prawdę.

— Zostaw mnie pan, zabraniam panu zbliżać się do mnie! — krzyknął Morel. — To dla pana nie pierwszyna, ja nie jestem pierwszy, którego pan próbuje znieprawić.

Jedyną moją pociechą była myśl, że ujrzę Morela i Verdurinów startych w proch przez pana de Charlus. Za tysiąc razy mniejsze rzeczy doznawałem jego oszalałych gniewów; nikt nie był od nich bezpieczny, król nie byłby go onieśmielił. Otóż stała się rzecz zdumiewająca. Ujraliśmy pana de Charlus, jak stał niemy, zdrętwiały, zgłębiając swoje nieszczęście i nie rozumiejąc jego przyczyny, nie znajdując słowa, podnosząc oczy kolejno na wszystkich obecnych, z miną badawczą, oburzoną, błagalną, zdającą się pytać nie tyle, co się stało, ile co ma odpowiedzieć. A przecie pan de Charlus posiadał wszystkie zasoby nie tylko wymowy, ale zuchwalstwa, kiedy zdjęty od dawna kipiącą w nim wściekłością, przygwałdził kogoś ostupiałego za pomocą najkrwawszych słów wobec zgorszonego towarzystwa, nie przypuszczającego nigdy, aby się można było posunąć tak daleko. W takich wypadkach pan de Charlus ział ogniem, miotał się w istnych atakach, które wszystkich przyproważyły o drżenie. Ale bo wówczas baron miał inicjatywę, atakował, mówił to, co chciał (jak Bloch umiał żartować z Żydów, a rumienił się, kiedy ktoś wymówił to słowo przy nim). Może gdy ujrzał, że państwo Verdurin odwracają oczy i że mu nikt nie przyjdzie z pomocą, oniemił go doraźny ból, a zwłaszcza obawa przed przyszłym cierpieniem; i to, że nie namontowawszy się z góry i nie nastroiwszy swego gniewu, nie mając goto-

<sup>380</sup>fagas (daw.) — służący, lokaj. [przypis edytorski]

wej wściekłości w zanadru, zaskoczony nagle, otrzymał cios w chwili, gdy był bez broni. Wrażliwy, histeryczny, baron był człowiekiem szczerze impulsywnym, ale pozornie tylko odważnym; nawet pozornie złym (czego się zawsze domyślałem i co mi go czyniło sympatycznym). Ludzi, których nienawidził, nienawidził dlatego, iż sądził, że nim gardzą; gdyby byli dlań mili, wówczas zamiast się upijać wściekłością uściskałby ich; nie miał normalnych reakcji obrażonego na honorze człowieka. W środowisku przy tym nie będącym jego sfer, czuł się mniej swobodny i mniej odważny niż w Faubourg Saint-Germain. Faktem jest, że w tym pogardzanym salonie ów wielki pan (którego wyższość nad „tykami” nie bardziej była z nim zrośnięta niż u któregoś z jego przodków drżącego przed trybunałem rewolucyjnym), dotknięty paraliżem wszystkich członków i języka, umiał jedynie rzucać na wszystkie strony przerażone spojrzenia, oburzone własną krzywdą, błagalne i pytające. W tak okrutnej, a nieprzewidzianej sytuacji, ten wielki pyskacz umiał jedynie wyjąkać: „Co to znaczy, co się stało?”. Nie dosłyszano go nawet. I wiekuisty gest panicznego strachu tak mało się zmienił, że ten starszy pan, któremu się zdarzyła niemiła przygoda w paryskim salonie, powtarzał bezwiednie kilka schematycznych póz, w jakich dawna rzeźba grecka wystylizowała przestrach nimf ściganych przez bożka Pana<sup>381</sup>.

Ambasador w niełasce, biurokrata przeniesiony nagle w stan spoczynku, chłodno przyjęty światowiec, zawiedziony kochanek rozważają często przez całe miesiące wypadek, który stał się grobem ich nadziei; obracają go na wszystkie strony niby granat wydobyty nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo, bez mała jak aerolit<sup>382</sup>. Chcieliby poznać składniki szczególnego pocisku, który spadł na nich; odgadnąć zakłętę w nim złe intencje. Chemicy rozporządzają bodaj analizą; chorzy cierpiący na nieznaną im chorobę mogą sprowadzić lekarza; sprawy kryminalne rozplątuje mniej lub więcej sędzia śledczy. Ale rzadko odkrywamy pobudki bliźnich i ich niewytłumaczonych dla nas postępów. I tak (aby uprzedzić wypadki następujące po tym wieczorze, do którego powrócimy), dla pana de Charlus w zachowaniu się Morela jedno tylko było jasne. Charlie, który często groził baronowi, że rozgłosi jego miłość i zaloty, skorzystał zapewne z tego, że obecnie czuł się dość silny, aby latać na własnych skrzydłach. I widocznie przez czystą niewdzięczność opowiedział wszystko pani Verdurin. Ale w jaki sposób pani Verdurin dała się oszukać? Bo baron, zdecydowany przeczyć, sam był już przeświadczony, że uczucia, o jakie mogą go pomawiać, są urojeniem. Przyjaciele pani Verdurin, może sami dybiąc na cnotę Morela, przygotowali grunt. W rezultacie przez następne dni pan de Charlus wysyłał strasliwe listy do wielu „wiernych”, zgoła niewinnych, którzy myśleli, że baron oszalał. Potem wybrał się do pani Verdurin z długim i wzruszającym opowiadaniem, które nie osiągnęło zresztą upragnionego skutku. Bo z jednej strony pani Verdurin powtarzała baronowi: „Niech się pan już nim po prostu nie zajmuje, niech pan to zlekceważy, to dzieciak”, gdy baron wzdychał tylko do pojednania; z drugiej strony, aby osiągnąć ten cel, odejmując Morelowi wszystko, co skrzypek uważał za swój stan posiadania, baron prosił panią Verdurin, aby przestała przyjmować Morela; odmówiła, narażając się na wzburzone i sarkastyczne listy pana de Charlus. Przechodząc od jednego do drugiego przypuszczenia, baron nie dojrzał nigdy prawdy, mianowicie, iż rzecz wcale nie wyszła od Morela. Zapewne mógłby się tego dowiedzieć, prosząc skrzypka o chwilę rozmowy. Ale uważał to za niegodne siebie i sprzeczne z interesami swojej miłości. Był obrażony, czekał wyjaśnień. Zresztą prawie zawsze w związku z myślą o rozmowie zdolnej rozproszyć nieporozumienie czai się jakaś inna myśl, która z tych czy innych przyczyn każe nam tej rozmowy unikać. Ten, co w dwudziestu okazjach poniżył się i dowiódł własnej słabości, zdobędzie się na dumę dwudziesty pierwszy raz, właśnie wówczas, kiedy byłoby celowe nie upierać się i rozproszyć błąd utrwalający się w drugiej osobie wobec braku zaprzeczenia.

A teraz światowa strona tego wypadku. Rozeszła się pogłoska, że pana de Charlus wyrzucono za drzwi od Verdurinów, w chwili gdy się starał zgwałcić młodego muzyka. Pogłoska ta sprawiła, że nie dziwiono się, nie spotykając już pana de Charlus u Verdurinów; kiedy zaś przypadkiem spotkał gdzieś któregoś z „wiernych”, posądzonego i zniewa-

<sup>381</sup> *Pan* (mit. gr.) — bóg opiekuńczy pól i lasów, pasterzy i ich stad, przedstawiany z kozłimi nogami; przypisywano mu dużą aktywność seksualną, a obiektami jego zalotów były zarówno nimfy, jak i młodzi chłopcy; jego nagły krzyk miał wywoływać wśród ludzi i zwierząt nagły popłoch i przerażenie, stąd określenie: paniczny strach. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> *aerolit* — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]

zanego przez barona, nikt się nie dziwił, że ów się nie wita z panem de Charlus. Sądono, że już nikt z „paczki” nie kłania się baronowi.

Podczas gdy pan de Charlus, zmiażdżony słowami Morela i zachowaniem się „pryncypalki”, trwał w pozie nimfy zdjętej panicznym strachem, państwo Verdurin, jakby na znak dyplomatycznego zerwania, usunęli się do pierwszego salonu, zostawiając pana de Charlus samego, gdy na estradzie Morel pakował skrzypce.

— Opowiesz nam, jak się to odbyło — rzekła łakomie pani Verdurin do męża.

— Nie wiem co mu pani powiedziała — rzekł Ski. — Wyglądał straszliwie wzruszony, ma łzy w oczach.

— Sądzę, że to, co powiedziałam, było mu całkiem obojętne — rzekła pani Verdurin. Manewr ten, niezdolny zresztą oszukać wszystkich, miał zmusić rzeźbiarza do powtórzenia, że Charlie płakał. Łzy te napawały „pryncypalkę” zbyt wielką dumą, aby się chciała narazić na to, że ktoś z „wiernych” mógłby nie dosłyszeć i nie dowiedzieć się o nich.

— Ależ nie, to mu nie było obojętne, widziałem przecie wielkie łzy błyszczące w jego oczach — rzekł rzeźbiarz oblesnym tonem, uśmiechając się z porozumiewawczą złośliwością, zerkając równocześnie dla sprawdzenia, czy Morel znajduje się wciąż na estradzie i czy nie może słyszeć. Ale była osoba, która usłyszała i której obecność, skoro ją tylko spostrzeżono, miała przywrócić Morelowi straconą nadzieję. Była to królowa Neapolu, która zapomniawszy wachlarza, uważała za uprzejmiejsze, opuszczając inny wieczór, wstąpić po wachlarz sama. Weszła skromnie, jakby zmieszana, gotowa się usprawiedliwić i zostać chwilę teraz, kiedy już nie było nikogo. Ale nie spostrzeżono jej wejścia w ogniu wydarzenia, które królowa rozumiała natychmiast i które ją oburzyło.

— Ski powiada, że on miał łzy w oczach, czy ty to zauważyłeś? — rzekła pani Verdurin.

— Ja nie widziałam łez. A, owszem, przypominam sobie — poprawiła w obawie, aby nie uwierzono jej zaprzeczeniu. — Co do naszego baronka, nietęgą ma minę, powinien by usiąść na krześle, ledwo stoi na nogach, rozciągnie się — rzekła z bezlitosnym śmiechem.

W tej chwili, Morel podbiegł do niej.

— Czy ta pani, co weszła, to nie królowa Neapolu? — spytał (mimo iż wiedział, że to ona), pokazując królową, która podeszła do Charlusa. — Po tym, co się zdarzyło, nie mogę już, niestety, prosić barona, żeby mnie przedstawił.

— Zaczekaj pan, ja to zrobię — rzekła pani Verdurin i w towarzystwie paru „wiernych” (ale nie moim i nie Brichota, obaj bowiem czym prędzej poprosiliśmy o rzeczy i wyszliśmy) zbliżyła się do królowej, która rozmawiała z panem de Charlus. Ów wierzył przed chwilą, że jedynie nieprawdopodobna śmierć monarchini mogłaby udaremnić jego marzenie, mianowicie, aby przedstawić Morela królowej. Ale człowiek wyobraża sobie przyszłość jako refleks teraźniejszości rzutowanej w pustą przestrzeń, gdy ona jest wynikiem — często bardzo bliskim — przyczyn przeważnie dla nas nieuchwytnych. Nie upłynęła godzina, a oto pan de Charlus dałby wszystko za to, żeby Morela nie przedstawiono królowej. Pani Verdurin złożyła przed królową ukłon. Widząc, że ta jej nie poznaje, rzekła:

— Jestem pani Verdurin. Wasza królewska mość mnie nie poznaje.

— Owszem — rzekła królowa, mówiąc dalej do Charlusa tak naturalnie i z miłą tak doskonale nieobecna, że pani Verdurin nie wiedziała, czy to do niej odnosi się owo „owszem”, wymówione tonem tak cudownego roztargnienia, które wyrwało panu de Charlus, w pełni jego miłosnej rozpaczki, uśmiech wdzięczności. Był to uśmiech smakosza i znawcy w zakresie impertynencji.

Morel, przeczuwając prezentację, zbliżył się. Królowa podała ramię panu de Charlus. Na niego też była zła, ale tylko dlatego, że nie stawił energiczniej czoła nikczemnym zuchwalcom. Rumieniła się zań ze wstydu, że Verdurinowie ośmielili się go traktować w ten sposób. Pełna prostoty sympatia, jaką im okazała przed paru godzinami, oraz impertynenska duma, z jaką stała teraz pośród nich, miały źródło w tym samym odruchu jej serca. Będąc głęboko dobrą, królowa pojmowała dobroć przede wszystkim jako niezłomne przywiązanie do tych, których kochała, do swoich, do wszystkich członków rodziny (do których należał pan de Charlus), następnie do wszystkich osób z mieszczaństwa lub z prostego ludu umięjących szanować tych, których kochała, i żywić dla nich dobre uczucia. Okazała sympatię pani Verdurin, uważając ją za kobietę obdarzoną tymi instynktami.

Niewątpliwie jest to ciasne, trochę torysowskie<sup>383</sup> i coraz bardziej przestarzałe pojęcie dobroci; co nie znaczy, aby ta dobroć była mniej szczerą i mniej gorącą. Starożytni kochali nie mniej silnie społeczność ludzką, której część stanowili, mimo iż ta społeczność nie przekraczała granic miasta; a ludzie dzisiejsi nie mniej kochają ojczyznę, niż ci, co będą kochali Stany Zjednoczone całej Ziemi. Miałem tuż obok siebie przykład matki, której pani de Cambremer i pani de Guermantes nigdy nie mogły skłonić do tego, żeby wzięła udział w jakiejś akcji filantropijnej, w partriotycznym bazarze, w jakiegokolwiek karocie<sup>384</sup> lub patronażu. Nie chcę twierdzić, aby miała rację, działając jedynie wówczas, kiedy ją wołało serce, i zachowując dla rodziny, dla domowników, dla nieszczęśliwych, których przypadek sprowadził na jej drogę, skarby miłości i szlachetności; ale wiem, że te skarby, jak u babki, były niewyczerpane i o wiele przekraczały wszystko, co mogły zrobić i zrobiły kiedykolwiek panie de Guermantes lub de Cambremer. Charakter królowej Neapolu był zgoła odmienny, ale trzebaż się z tym pogodzić, że pojmowała sympatyczne istoty wcale nie w stylu powieści Dostojewskiego (które Albertyna znalazła w mojej bibliotece i zagarnęła), gdzie mają fizjonomie oblesnych pieczeniarzy, złodziejów, pijaków, płaskich, to znów zuchwałych, rozpustnych, w potrzebie morderców. Zresztą, ostateczności spotykają się: tutaj człowiekiem szlachetnym, bliskim, znieważonym, krewniakiem potrzebującym obrony był pan de Charlus, to znaczy, mimo jego urodzenia i wszystkich pokrewieństw z królową, ktoś, czyje cnoty sąsiadowały z przywarami.

— Niedobrze wyglądasz, kuzynie — rzekła do pana de Charlus. — Oprzyj się na moim ramieniu. Bądź pewny, że zawsze cię ono podeprze. Dostyc jest silne na to. — Potem, podnosząc dumnie oczy i spoglądając (opowiedział mi to Ski) wprost na panią Verdurin i na Morela, dodała: — Wiesz, że niegdyś w Gaecie umiało ono trzymać w respekcie kanalię. Potrafi ci posłużyć za szaniec.

I w ten sposób, prowadząc pod ramię barona i nie pozwoliwszy przedstawić sobie Morela, wyszła wspaniała siostra cesarzowej Elżbiety.

Można było przypuszczać, sądząc po straszliwym charakterze pana de Charlus, po terrorze, jakim gnębił nawet krewnych, że będzie w następstwie tego wieczoru ścigał swoją wściekłością Verdurinów i stosował wobec nich represje. Widzieliśmy, czemu nie stało się to od razu. Następnie baron, zaziębiwszy się w jakiś czas potem i dostawszy zakaźnego zapalenia płuc, które srożyło się w owym czasie, długo był, wedle uznania lekarzy i własnego poczucia, o włos od śmierci, pozostając przez kilka miesięcy w największym niebezpieczeństwie. Czy to była po prostu metastaza<sup>385</sup> fizyczna, zastąpienie innym cierpieniem neurozy, która wyładowywała się dotychczas w atakach furii? Bo zbyt proste byłoby przyjąć, że baron, który nigdy nie brał serio, z towarzyskiego punktu widzenia, Verdurinów, zrozumiawszy w końcu rolę, jaką odegrali, nie mógł mieć do nich pretensji, jakie by miał do równych sobie; zbyt proste również byłoby przypominać, że nerwowcy, burząc się z łada okazji na urojonych i niewinnych wrogów, stają się bezsilni, z chwilą gdy ktoś podejmie przeciw nim ofensywę. Snadziej uspokaja się ich, tryskając im zimną wodę w twarz, niż starając się wykazać czczość ich uraz. I zapewne nie w jakiejś metastazie trzeba szukać tego braku reakcji, ale w samej chorobie. Zmęczyła barona tak, że mało zostawało mu sił na myślenie o Verdurinach. Był na wpół umierający. Wspominałem o ofensywie; nawet te ofensywy, które będą miały skutek jedynie pośmiertny, wymagają, jeżeli się je chce przyzwoicie „zmontować”, poświęcenia części swoich sił. Zbyt mało zostawało ich panu de Charlus na taki wysiłek. Mówi się o śmiertelnych wrogach, którzy otwierają oczy, aby się ujrzyć wzajem w momencie śmierci, i zamykają je szczęśliwi. To musi być rzadkie, chyba że nas śmierć zaskoczy w pełni życia. Przeciwnie, w chwili kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia, nie szuka ryzyka, które podjąłby lekko w pełni sił. Duch zemsty stanowi część życia, opuszcza nas najczęściej na progu śmierci — mimo wyjątków, które, jak to ujrzymy, tworzą częste sprzeczności nawet w jednym charakterze ludzkim. Przypomniawszy sobie na chwilę Verdurinów, pan de Charlus czuł się zbyt znużony, obracał się do ściany i nie myślał już o niczym. Jeżeli często milczał w ten spo-

<sup>383</sup>torys — członek powstałego pod koniec XVII w. angielskiego stronnictwa politycznego, wspierającego silną władzę królewską, interesy ziemiaństwa i Kościoła; w 1834 stronnictwo przekształciło się w Partię Konserwatywną, potocznie nadal nazywaną torysami. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>karota (daw.) — zbieranie datków na cele dobroczynne, kwesta. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>metastaza (med.) — przerzut (np. nowotworowy). [przypis edytorski]

sób, to nie dlatego, aby stracił swadę. Płynęła jeszcze niby ze źródła, ale zmieniła się. Oderwana od wybuchów, które krasila tak często, stała się wymową niemal mistyczną, którą upiększały kojące słowa ewangelii, pozorna rezygnacja śmierci. Wymowny był zwłaszcza w dniach, w których sądził, że jest ocalony. Recydywa pogrążała go w milczeniu. Chrześcijańska słodycz, w którą wysublimowała się wspaniała porywczosć barona (jak u Racine'a<sup>386</sup> w Esterę tak odmienny duch Andromaki) budziła podziw otoczenia. Byłaby wzbudziła podziw samych Verdurinów, każąc im ubóstwiać człowieka, którego wady zrodziły ich nienawiść. Zapewne wypływały na wierzch myśli mające tylko pozór chrześcijański. Baron błagał archanioła Gabriela, aby mu oznajmił, jak prorokowi, kiedy przyjdzie do niego Mesjasz. I przerywając sobie słodkim, ale bolesnym uśmiechem, dodawał:

— Ale nie chciałbym, żeby archanioł kazał mi, jak Danielowi, czekać cierpliwie „siędem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie”<sup>387</sup>, bo wcześniej umrę.

Tym, którego tak czekał, był Morel. Toteż baron prosił archanioła Gabriela, żeby mu przyprowadził, jak młodego Tobiasza<sup>388</sup>. I przechodząc do bardziej ludzkich metod (niby chory papież, który każąc odprawiać msze, nie zaniedbuje wezwać lekarza), podsuwał odwiedzającym, że gdyby Brichot przywiódł mu szybko młodego Tobiasza, może archanioł Gabriel zgodziłby się wrócić mu wzrok jak ojcu Tobiasza lub jak w świętej sadzawce Betsaidy<sup>389</sup>. Ale mimo tych zbyt ludzkich nawrotów niemniej czystość moralna odezwań się pana de Charlus stała się uroczą. Próżność, obmowa, szal złości i pychy — wszystko znikło. Moralnie pan de Charlus wzniósł się o wiele ponad poziom, na którym żył niegdyś. Ale ta doskonałość, co do której wymowa barona zdolna była poniekąd omamić wzruszonych słuchaczy, ta doskonałość znikła wraz z chorobą, na której tle się rozwinęła. Pan de Charlus stoczył się po pochyłości z rosnącą, jak to ujrzymy, chyżością. Ale scena u Verdurinów była już tylko dość odległym wspomnieniem, któremu doraźniejsze gniewy nie pozwoliły wskreszać.

Cofnijmy się do wieczoru Verdurinów. Kiedy państwo zostali sami, Verdurin rzekł:

— Czy wiesz, dokąd poszedł Cottard? Jest u Saniette'a, którego manewr giełdowy, mający go ocalić, spalił na panewce. Wyszedłszy od nas i przed chwilą wróciwszy do siebie, dowiadując się, że nie ma już ani franka, a ma blisko milion długów, Saniette dostał ataku.

— Ale też po co grał; idiotyczne, to człowiek najmniej stworzony do tego! Sprytniejsi dają się oskubać, a on był przeznaczony na to, aby go każdy wykierował.

— Ależ rozumie się, od dawna wiemy, że to idiota — rzekł Verdurin. — Ale ostatecznie stało się. Jutro gospodarz wyrzuci go na bruk, znajdzie się w ostatniej nędzy; rodzina nie lubi go, a z pewnością nie Forcheville mu dopomoże! Toteż pomyślałem... wiesz, ja nie chcę nic zrobić, co by ci się miało nie podobać, ale moglibyśmy może zapewnić mu niedużą rentę, tak aby nie odczuł zbytnio swojej ruiny, aby się mógł leczyc u siebie w domu.

— Ależ najchętniej; to bardzo ładnie, żeś o tym pomyślał. Ale ty mówisz: „u siebie w domu”; ten głupiec zatrzymał mieszkanie za drogie, to niemożliwe, trzeba by mu znaleźć jakieś dwa pokoiki. Zdaje się, że on wciąż ma apartament za jakieś sześć czy siedem tysięcy.

— Sześć tysięcy pięćset. Ale on jest bardzo przywiązany do tego mieszkania. Ostatecznie, miał już pierwszy atak, nie pożyje więcej niż dwa, trzy lata. Przypuśćmy, że wydamy na niego dziesięć tysięcy rocznie przez trzy lata. Sądzę, że możemy sobie na to pozwolić. Moglibyśmy na przykład w tym roku zamiast wynająć la Raspeliere wziąć coś

<sup>386</sup> *Racine, Jean Baptiste* (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych; do jego dzieł należą m.in. *Andromacha* (1667) i *Estera* (1689). [przypis edytorski]

<sup>387</sup> *siędem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie* — Dn 9, 25 (czas, jaki wg objaśnienia wizji proroka Daniela przekazanego mu przez archanioła Gabriela miał upłynąć pomiędzy ogłoszeniem powrotu wygnańców żydowskich do kraju i odbudowy Jerozolimy a pojawieniem się Władcy-Pomazańca, Mesjasza). [przypis edytorski]

<sup>388</sup> *Tobiasz* — postać biblijna, bohater *Księgi Tobiasza*: na polecenie ojca, który utracił wzrok, wyruszył do Medii odebrać dług; w podróży towarzyszył mu Azariasz, który namówił go do ślubu z Sarą, pomógł w uwolnieniu jej od złego ducha i przekazał mu sposób, w jaki może uzdrowić ślepotę ojca; po powrocie Azariasz okazał się zesłanym przez Boga aniołem Rafałem. [przypis edytorski]

<sup>389</sup> *sadzawka Betsaidy* — *Betesda*, biblijny zbiornik wodny w Jerozolimie, miejsce uzdrowień znane z J 5, 2–5; kiedy anioł zstępował do tej sadzawki i poruszał jej wody, nabierały one własności uzdrawiających; w starożytnych manuskryptach ewangelii wg Jana występuje pod nazwą *Bethesda*, *Bethzatha* lub *Bethsaida*. [przypis edytorski]

skromniejszego. Przy naszych dochodach myślę, że te dziesięć tysięcy franków przez trzy lata są w granicach możliwości.

— Przypuśćmy, ale to ma tę złą stronę, że się rozgłosi, nałoży na nas obowiązek robienia tego samego dla innych.

— Zgadujesz, że pomyślałem o tym. Zrobię to jedynie pod wyraźnym warunkiem, żeby nikt o tym nie wiedział. Ślicznie dziękuję, nie mam ochoty, żebyśmy awansowali na dobroczyńców rodzaju ludzkiego. Żadnej filantropii! Można by po prostu powiedzieć, że mu to zapisała księżna Szerbatow.

— Ale czy uwierzy? Radziła się Cottarda w sprawie testamentu.

— W ostateczności można by Cottarda przypuścić do sekretu; przywykł do tajemnicy zawodowej, zarabia masę pieniędzy, to nie będzie nigdy jeden z pasażerów, za których trzeba bulić. Może on sam się zgodzi powiedzieć Saniette'owi, że księżna użyła go za pośrednika. W ten sposób my byśmy nawet nie figurowali w tej sprawie. To by nam oszczędziło pily scen wdzięczności, wylewów, frazesów.

Verdurin dodał tu jakieś słowo wyrażające najoczywiściej ten rodzaj wzruszających scen i frazesów, których chciałby uniknąć. Ale nie powtórzono mi go wiernie, bo nie było francuskie; to było jedno z owych wyrażen zdomowionych w pewnych rodzinach na oznaczenie pewnych rzeczy, zwłaszcza rzeczy drastycznych, prawdopodobnie dlatego, aby je móc nazywać bezpiecznie w obecności zainteresowanych. Ten rodzaj wyrażen bywa szczątkiem dawnego charakteru jakiejś rodziny. W rodzinie żydowskiej na przykład będzie to termin rytualny użyty w nowym sensie; może jedyne słowo hebrajskie, jakie ta rodzina, zupełnie zasymilowana, zna jeszcze. W rodzinie wybitnie prowincjonalnej będzie to szczątek lokalnego narzecza, mimo że rodzina nie mówi już narieczem i nawet go nie rozumie. W rodzinie pochodzącej z południowej Ameryki, a mówiącej tylko po francusku, będzie to słowo hiszpańskie. W następnym pokoleniu słowo to przetrwa już tylko jako wspomnienie z dzieciństwa. Przypomnimy sobie, że rodzice, wymawiając przy stole jakieś słowo, robili aluzję do służby, tak aby służba nie rozumiała; ale dzieci nie wiedzą, co znaczyło ściśle to słowo, czy było hiszpańskie, hebrajskie, niemieckie, gwarowe, czy nawet w ogóle należało do jakiegoś języka, czy to nie było imię własne lub słowo sztucznie ukute? Wątpliwość można rozstrzygnąć jedynie wtedy, kiedy się ma jakiegoś dziadka, wuja, żyjącego jeszcze starego krewniaka, który się musiał posługiwać tym samym słowem. Ponieważ nie znalazłem żadnego krewniaka Verdurinów, nie mogłem ściśle odtworzyć tego słowa. Tyle jest pewne, że musiało ono wywołać uśmiech pani Verdurin, bo użytek owego języka, mniej powszechnego, bardziej osobistego i tajemnego niż język zwyczajny, daje tym, co się nim posługują samolubne uczucie, niepozbawione zadowolenia.

Skoro przeszła chwila wesołości, pani Verdurin rzekła:

— Ale jeżeli Cottard wypaple?

— Nie wypaple.

Wypaplał — przede mną przynajmniej, bo przez niego właśnie dowiedziałem się o tym fakcie w kilka lat później na pogrzebie Saniette'a. Żałowałem, że tego nie wiedział wcześniej. Po pierwsze szybciej by mi to uświadomiło, iż nigdy nie trzeba mieć pretensji do ludzi ani sądzić ich ze wspomnienia jakiejś ich niegodziwości, nie wiemy bowiem, co w innych momentach mogli postanowić w duszy i uczynić dobrego. Niewątpliwie zło, któreśmy stwierdzili nieodwołalnie, powróci, ale dusza jest o wiele bogatsza, ma wiele innych form, również powtarzających się u tych ludzi, do których uprzedzamy się na zasadzie ich złego uczynku. Następnie, z bardziej osobistego punktu, rewelacja Cottarda, gdyby ją uczynił wcześniej, nie pozostałaby bez wpływu na mnie. Zmieniając mój sąd o Verdurinach, rozproszyłaby moje podejrzenia co do ich możebnej roli między Albertyną i mną; rozproszyłaby je może zresztą niesłusznie. Bo jeżeli pan Verdurin, którego uważałem coraz to więcej za najgorszego człowieka, miał swoje zalety, był to jednak spryka, okrutny w swojej dokuczliwości oraz tak zazdrosny o władzę w swoim kółku, że się nie cofał przed najgorszym kłamstwem, podsycał najniedorzeczniejsze nienawiści, aby rwać między „wiernymi” więzy niemające za jedyne cel wzmocnienia „paczki”. Był to człowiek zdolny do cichej bezinteresowności i hojności, co niekoniecznie znaczy człowiek uczuciowy ani sympatyczny, ani skrupulatny, ani prawdomówny, ani zawsze dobry. Dobroć cząstkowa, wzięta po trosze w spadku po rodzinie zaprzyjaźnionej z moją cioteczną bab-



ką, prawdopodobnie istniała w nim tedy, zanim ją poznałem, jak Ameryka lub biegun północny istniały przed Kolumbem lub Pearym<sup>390</sup>. Niemniej w chwili mego odkrycia natura pana Verdurin odsłoniła mi nową niepodjętą fizjonomię; i pojąłem trudność ustalenia obrazu zarówno jakiegoś charakteru, jak społeczeństw i namiętności. Charakter zmienia się bowiem nie mniej od nich i jeżeli chcemy sfotografować to, co w nim jest stosunkowo niezmiennie, ukazuje zakłopotanej soczewce kolejno rozmaite fizjonomie (z tym jeszcze, że ów przedmiot nigdy nie jest nieruchomy, ale się rusza).

## ROZDZIAŁ TRZECI. ZNIKNIĘCIE ALBERTYNY

Wychodząc z wieczoru u Verdurinów bardzo późno, w obawie, aby się Albertyna nie nudziła, poprosiłem Brichota, żeby mnie wysadził przed domem, po czym mój fiaker odwiezie go. Powinnował mi (nie wiedząc, że czeka na mnie młoda dziewczyna), że wracam wprost do domu, że tak wcześnie i rozsądnie kończę wieczór, którego przeciwnie, opóźniłem jedynie istotny początek. Potem zaczął mówić o panu de Charlus. Baron byłby zapewne zdumiony, słysząc jak profesor, tak dlań serdeczny, profesor, który stale głosił zasadę: „Nigdy nic nie powtarzam”, mówi o nim i o jego życiu bez najmniejszych ogródek. A zdumienie i oburzenie Brichota byłoby może nie mniej szczerze, gdyby mu pan de Charlus powiedział: „Zapewniano mnie, że pan źle mówi o mnie”. Brichot lubił w istocie pana de Charlus i gdyby sobie uprzytomnił jakąś swoją rozmowę na temat barona, raczej przypominałby sobie uczucia własnej sympatii niż treść słów, podczas gdy mówił o nim to samo co cały świat. Nie poczuwałby się do kłamstwa, zapewniając: „Ja, który mówię o panu z taką przyjaźnią!”, skoro w istocie odczuwał nieco przyjaźni, mówiąc o baronie. Baron miał zwłaszcza dla Brichota urok, którego przede wszystkim profesor szukał w życiu światowym, polegający na oglądaniu w autentycznym egzemplarzu tego, co długo mógł uważać za wymysł poetów. Brichot, który często wykladał drugą *Sielankę* Wergilego, nie bardzo wiedząc, czy ta fikcja ma jaki podkład realny, znajdował na starość w rozmowie z panem de Charlus trochę owej przyjemności, którą mistrze jego, panowie Mérimée<sup>391</sup> i Renan, oraz jego kolega pan Maspero<sup>392</sup>, podróżując po Hiszpanii, Palestynie lub Egipcie, czerpali z dzisiejszych krajobrazów i ludów Hiszpanii, Palestyny i Egiptu, poznając ramę i niezmiennych aktorów starożytnych scen będących przedmiotem ich studiów książkowych.

— Bez obrazu tego szlachetnego rycerza — oświadczył Brichot, jadąc ze mną powozem — powiedzmy, że on jest po prostu bajeczny, kiedy komentuje swój sataniczny katechizm z werwą trochę kołową, z naiwnością dziecięcia, a uporem reakcjonisty. Zapewniam pana, jeżeli mi wolno się wyrazić jak jego dostojność biskup Hulst, że się nie nudzę w dni, kiedy mnie odwiedza ten feudał, który chcąc bronić Adonisa<sup>393</sup> przeciw naszej epoce niedowiarków, podał się instynktom swojej rasy i stał się krzyżowcem Sodomu.

Słuchałem Brichota i nie byłem z nim sam. Od chwili zresztą kiedy opuściłem dom, czułem się tajemniczymi nićmi związany z młodą dziewczyną, która znajdowała się w tej chwili w swoim pokoju. Nawet kiedy rozmawiał z którymś z gości Verdurinów, czułem ją mętnie przy sobie, miałem mgliste poczucie Albertyny, tak jak się ma poczucie własnych członków; kiedy zaś zdarzyło mi się pomyśleć o niej, czyniłem to tak, jak się myśli o własnym ciecie, z przykrym poczuciem swojej zupełnej niewoli.

<sup>390</sup>Peary, Robert Edwin (1856–1920) — amerykański oficer marynarki, badacz polarny, zdobywca bieguna północnego (6 IV 1909). [przypis edytorski]

<sup>391</sup>Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz i archeolog; w 1830 odbył podróż do Hiszpanii, z której po powrocie do Paryża publikował żywe relacje w „*Revue de Paris*” (*Lettres d’Espagne*, 1831). [przypis edytorski]

<sup>392</sup>Maspero, Gaston (1846–1916) — francuski egiptolog i archeolog; od 1880 dyrektor francuskiej misji archeologicznej w Egipcie; autor m.in. dzieła *Histoire ancienne des peuples de l’Orient classique* (t. 1–3, 1895–1897). [przypis edytorski]

<sup>393</sup>Adonis (mit. gr.) — otaczany kultem piękny młodzieniec, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. Na skutek sprzeczki bogów Adonis zginął stratowany przez dziką, po czym został wskrzeszony przez Zeusa. Kult Adonisa dotarł do Grecji w okresie archaicznym z terenów bliskowschodnich, jego śmierć i zmartwychwstanie odzwierciedlały cykliczne zmiany w przyrodzie. [przypis edytorski]

— I co za magiel — podjął Brichot — rozmowa tego apostoła, zdolna zasilić wszystkie przypisy do *Causeries du lundi*<sup>394</sup> Pomyśl pan, dowiedziałem się od niego, że pewien traktat o etyce, w którym czciłem zawsze najwspanialszą konstrukcję moralną naszej epoki, zrodził się pod piórem mego czcigodnego kolegi X z natchnienia młodego listonosza. Nie wahajmy się uznać, że mój znamienity przyjaciel nie raczył wydać nam w trakcie swoich wywodów nazwiska tego efeba<sup>395</sup>. Okazał w tym więcej obyczajności, lub jeśli pan woli mniej wdzięczności, niż Fidiasz<sup>396</sup>, który wypisał imię umiłowanego atlety na pierścieniu swego *Jowisza Olimpijskiego*. Baron nie znał tej historii. Domyśla się pan, jak zachwycała jego ortodoksję. Łatwo sobie pan wyobrazi, że za każdym razem kiedy będę dyskutował z moim kolegą jakąś doktorską tezę, znajdę w dialektyce barona, zresztą bardzo subtelnej, tę samą zaprawę, jakiej pikantne rewelacje użyły w oczach Saint-Beuve'a nie dość skwapliwemu w zwierzeniach dziełu Chateaubrianda. Od naszego kolegi, którego mądrość jest złota, ale który posiadał sam tego złota zbyt mało, listonosz przeszedł do rąk barona — och, „bez cienia złej myśli” (trzeba słyszeć ton, jakim on to mówi!). A że ten Szatan jest najuczynniejszy z ludzi, uzyskał dla swego protegowanego miejsce w koloniach, skąd ów, wdzięczna dusza, przesyła mu od czasu do czasu wyborne owoce. Baron ofiarowuje je swoim dostojnym znajomym; ananasy młodego człowieka figurowały świeżo na stole Quai Conti, wyrrywając pani Verdurin, tym razem bez złośliwości, słowa: „Pan ma chyba jakiegoś wujaszka czy siostrzeńca w Ameryce, żeby dostawać podobne ananasy”. Wyznaję, że gdybym wówczas wiedział prawdę, byłbym je jadł z niejaką wesołością ducha, recytując sobie *in petto*<sup>397</sup> początek ody Horacego, którą lubił przypominać Diderot<sup>398</sup>. W sumie, jak mój kolega Boissier<sup>399</sup>, wędrując od Palatynu do Tiburu, czerpię z rozmów z baronem o wiele żywsze i soczystsze pojęcie o pisarzach wieku Augusta<sup>400</sup>. Nie mówmy nawet o epoce dekadencji i nie sięgajmy do Greków, mimo iż powiedziałem zacnemu baronowi, że przy nim sam się czuję Platonem u Aspazji<sup>401</sup>. Co prawda osobiście powiększyłem proporcje obu postaci; mój przykład, jak powiada La Fontaine, zacerpnięty był „z mniejszych bydłatek”. Jak bądź się rzeczy mają, nie przypuszcza pan zapewne, aby się baron czuł dotknięty. Nigdy go nie widział równie rozanielonym. Dziecinne upojenie wyrwało go z arystokratycznej flegmy. „Co za pochlebcy, wszyscy ci sorbonardzi! — wykrzyknął zachwycony. — Pomyśleć, że musiałem dożyć swoich lat, aby mnie ktoś porównał z Aspazją! Taka stara malatura jak ja! O, moja młodości!”. Chciałbym, żeby go pan widział, kiedy to mówił, skandalicznie wypudrowany, swoim zwyczajem, i — w swoim wieku! — wypięznowany jak lalusz. Poza tym, poza swoją manią genealogiczną najlepszy człowiek w świecie. Z wszystkich tych przyczyn byłbym w rozpacz, gdyby dzisiejsze zerwanie miało być ostateczne. Bądź co bądź zdziwił mnie sposób, w jaki ten młody człowiek stanął dęba. On przecież okazywał od jakiegoś czasu wobec barona wierność seida<sup>402</sup>, powolność lennika, nie zwiastujące wcale

<sup>394</sup>*Causeries du lundi* (fr.: Pogawędki poniedziałkowe) — cykl kilkuset cotygodniowych felietonów na tematy literackie i krytycznych portretów literackich autorstwa Charlesa Augustina Sainte-Beuve, publikowanych w latach 1849–1869 w kilku paryskich gazetach, zebranych później w kolejnych tomach *Causeries du lundi* (t. 1–16, 1851–62), *Nouveaux lundis* (t. 1–13, 1863–70), *Premiers lundis* (t. 1–3, 1874–75). [przypis edytorski]

<sup>395</sup>*efeb* (gr.) — pot. piękny młodzieniec; w staroż. Grecji młodzieniec u progu dorosłości, 18–20 letni, przechodzący obowiązkowe szkolenie wojskowe (efebie), które poprzedzało uzyskanie pełnego obywatelstwa. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*Fidiasz* (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>*in petto* (wl.) — w głębi serca; prywatnie. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>*Diderot, Denis* (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*Boissier, Gaston* (1823–1908) — francuski uczony, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>*August a. Oktawian August*, właśc. *Gaius Iulius Caesar Octavianus* (63 p.n.e.–14 n.e.) — pierwszy cesarz rzymski; po okresie wojen domowych zapoczątkował epokę pokoju wewnętrznego i dobrobytu, zreformował armię i finanse, patronował rozbudowie i upiększaniu Rzymu, był opiekunem literatury. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>*Aspazja z Miletu* (ok. 470–ok. 400 p.n.e.) — wpływała kochanka (później zapewne żona) ateńskiego przywódcy Peryklesa; słynęła z urody, wykształcenia i inteligencji, jej dom stanowił intelektualne centrum Aten, gdzie spotykali się najznakomitsi pisarze i myśliciele. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>*seid* — tu z fr. *séide* (znaczenie, które trafiło do jęz. francuskiego za sprawą powiastki Woltera): osoba, która wykazuje ślepe, fanatyczne oddanie panu, przywódcy lub sekcie; w jęz. polskim *seid*: w islamie tytuł potomków proroka Mahometa lub, w niektórych krajach muzułmańskich, grzecznościowy tytuł muzułmanina. [przypis edytorski]

podobnego buntu. Mam nadzieję, że w każdym razie, nawet gdyby (*Dii, omen avertant*<sup>403</sup>) baron nie miał już wrócić na Quai Conti, schizma ta nie rozciągnie się na mnie. Zbyt wiele zyskujemy obaj na wymianie mojej słabej wiedzy i jego doświadczenia. — Ujrzymy, iż jeżeli pan de Charlus, na próżno spodziewając się, że mu Brichot sprowadzi Morela, nie okazał profesorowi gwałtownej urazy, w każdym razie sympatia jego opadła na tyle, żeby mu pozwolić sądzić Brichota bez żadnej pobłażliwości. — I przysięgam panu, mimo iż wymiana jest tak bardzo nierówna, wówczas kiedy mi baron udziela tego, czego go nauczyło życie, nie umiałbym się zgodzić z Sylwestrem Bonnard<sup>404</sup>, że najlepiej jeszcze w bibliotece śni się sen istnienia.

Przybyliśmy przed bramę. Wysiadłem, aby podać woźnicy adres Brichota. Widziałem z chodnika okno Albertyny, to okno niegdyś zawsze ciemne wieczorem, kiedy nie mieszkała u mnie; obecnie elektryczne światło z wewnątrz, paskowane listwami żaluzji, prążkowało je całe równoległymi smugami złota. To czarodziejskie pismo, jasne dla mnie i kreśląc memu spokojnemu umysłowi ściśle i bliskie obrazy, w których posiadanie miałem wejść za chwilę, było niewidzialne dla Brichota, który został w dorożce, prawie ślepy; tak samo zresztą byłoby niezrozumiałe dlań, gdyby widział. Jak przyjaciele odwiedzający mnie przed obiadem, kiedy Albertyna wracała ze spaceru, i profesor również nie miał pojęcia, że dziewczyna całkowicie moja czeka na mnie w pokoju przyległym do mojego.

Dorożka odjechała. Stałem chwilę sam na chodniku. Niewątpliwie te jasne pręgi, którem<sup>405</sup> widział z dołu, wydałyby się komu innemu czysto powierzchowne; ja dawałem im osobliwą konsystencję, pełnię, solidność, dzięki sensowi istniejącemu dla mnie poza nimi, w skarbie niepodjętym przez innych, który tam ukryłem i z którego tryskały owe horyzontalne promienie. Tak, to był może skarb, ale skarb, dla którego wyrzekłem się wolności, samotności, myśli. Gdyby Albertyny nie było na górze, a nawet gdyby mi chodziło tylko o rozkosz, szukałbym jej u nieznanym kobiet, których życie próbowałbym przeniknąć, w Wenecji może, co najmniej w jakimś zakątku nocnego Paryża. Ale teraz, kiedy przychodziła godzina pieszczoty, znaczyła ona dla mnie nie podróż, nie wyjście z domu, ale powrót. A powrót nie po to, żeby znaleźć samotność i żeby opuściwszy innych, dostarczających nam z zewnątrz pokarmu dla myśli, musieć co najmniej szukać jej w samym sobie; przeciwnie, mniej samotny niż na wieczorze u Verdurinów, mając się znaleźć z osobą, na której rzecz zabdykowałem z własnej osobowości, której oddałem ją całkowicie, bez możliwości pomyślenia przez chwilę o sobie, nawet bez wysiłku myślenia o niej, skoro będziemy razem. Tak iż podnosząc ostatni raz oczy na okno pokoju, w którym się miałem znaleźć za chwilę, miałem uczucie, że widzę świetlną kratę, która się zamknie za mną, a której złote sztaby sam wykułem na wieki wieków niewolę.

Zręczyzny nasze miały coś z procesu i zrodziły w Albertynie trwożliwość przestępcy. Zmieniała obecnie rozmowę, kiedy chodziło o jakieś osoby, mężczyzn, kobiety, o ile to nie byli starzy ludzie. O to, co chciałem wiedzieć, należało ją pytać wówczas, kiedy nie podejrzewała jeszcze, że jestem zazdrosny. Trzeba korzystać z tych czasów! Wówczas kochanka nasza opowiada nam swoje przyjemności, nawet sposoby, w jakie ukrywa je innym. Nie przyznałaby mi się teraz jak w Balbec (częścią dlatego, że to była prawda, częścią dla usprawiedliwienia się, że nie jest dla mnie tkliwsza, bo już ją męczyłem wówczas i widziała z mojej czułości, że nie potrzebuje mi jej okazywać tyle co innym, aby jej uzyskać więcej niż od innych), nie wyznałaby mi teraz jak wówczas: „Uważam, że to głupie pokazywać, że się kogoś kocha; wręcz przeciwnie, z chwilą gdy mi się ktoś podoba, udaję, że na niego nie zwracam uwagi. W ten sposób nikt nic nie wie”.

Jak to, to ona mi to powiedziała! Ta sama dzisiejsza Albertyna, ze swymi pretensjami do szczerości i do tego, że jest na wszystkich obojętna. Nie wygłosiłaby już obecnie tej zasady! Teraz w rozmowie ze mną poprzestawała na stosowaniu jej, mówiąc o kimś, kto mnie mógł niepokoić: „Och, nie wiem, nie przyglądałam się jej, jest nieinteresująca”. I od czasu do czasu, aby uprzedzić coś, czego się mogłem dowiedzieć, czyniła owe wyznania,

<sup>403</sup>*Dii, omen avertant* (łac.) — bogowie, oddalacie złą wróżbę. [przypis edytorski]

<sup>404</sup>*Sylwester Bonnard* — główny bohater powieści Anatola France'a *Zbrodnia Sylwestra Bonnard* (1881): historyk i filolog, żyjący wśród książek. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>*którem widział* — konstrukcja ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które widziałem. [przypis edytorski]

już samym akcentem zdradzając kłamstwo, zanim jeszcze poznamy rzeczywistość, którą zwierzenia te mają przeinaczyć, usprawiedliwić.

Albertyna nigdy się nie zdradziła, że mnie podejrzewa, iż jestem o nią zazdrosny, baczny na wszystko, co robi. Jedyne słowa, dość dawne co prawda, które wymieniliśmy na temat zazdrości, zdawały się dowodzić czegoś przeciwnego. Przypominałem sobie, że w piękny wieczór księżycowy, na początku naszych stosunków, jednego z pierwszych dni, kiedy ją odprowadziłem i kiedy z równą przyjemnością byłbym ją opuścił, aby gonić za innymi, rzekłem: „Wiesz, jeżeli cię chcę odprowadzić, to nie przez zazdrość; jeżeli masz jakieś plany, oddałę się dyskretnie”. A ona odpowiedziała: „Och, wiem, że nie jesteś zazdrosny i że ci to wszystko jedno; ale nie mam żadnych planów, tylko być z tobą”. Innym razem było to w La Raspeliere, gdzie pan de Charlus, zerkając na Morela, ostentacyjnie nadskakiwał Albertynie; powiedziałem: „I co, bardzo ci nadskakiwał?”. I dodałem w pół ironicznie: „Cierpiałem męki zazdrości”. Albertyna, posługując się językiem właściwym czy to pospolitej sferze, z której wyszła, czy jeszcze pospolitszej, w której się obracała, rzekła: „Co ty robisz za siuchy! Wiem, że nie jesteś zazdrosny. Po pierwsze powiedziałeś mi to, a po wtóre to się widzi, och!”. Nigdy nie okazała od tego czasu, aby zmieniła zdanie; musiało się w niej jednak wytworzyć w tej mierze wiele nowych pojęć, które mi ukrywała, ale które przypadek mógł zdradzić, bo tego wieczora, kiedy za powrotem, ściągnąwszy ją do swojego pokoju, powiedziałem (z pewnym zakłopotaniem, którego sam nie rozumiałem, bo przecie oznajmiłem Albertynie, że wychodzę, i powiedziałem, że nie wiem dokąd, może do pani de Villeparisis, może do pani de Guermantes, może do pani de Cambremer; prawda, że właśnie nie wymieniałem Verdurinów): „Zgadnij, skąd wracam; od Verdurinów”, ledwo miałem czas to wymówić, Albertyna ze zmienioną twarzą rzuciła mi w odpowiedzi te słowa, eksplodujące z niej z niepowstrzymaną siłą:

— Domyślałam się tego.

— Nie wiedziałem, że moja wizyta u Verdurinów sprawi ci przykrość.

Nie powiedziała co prawda, że jej to sprawiło przykrość, ale to było widoczne; co prawda i ja sobie nie powiedziałem tego, że jej to sprawi przykrość. Mimo to, wobec wybuchu jej gniewu, jak wobec owych wypadków, które w rodzaju wstecznego jasnowidzenia oglądamy niby coś już znanego w przeszłości, zdawało mi się, że nie mogłem się spodziewać czego innego.

— Przykrość? Gwiżdżę na to. To mi jest naj-ab-so-lut-niej wszystko jedno. Czy nie miało tam być panny Vinteuil?

Na te słowa, rzekłem wzburzony, aby okazać, że wiem więcej, niż ona myśli:

— Nie powiedziałaś mi, żeś ją spotkała kiedyś.

Myśląc, iż osobą, której zatajenie jej wymawiam, jest pani Verdurin (gdy ja miałem na myśli pannę Vinteuil), Albertyna rzuciła w przestrzeń: „Czy ja ją spotkałam?”, mówiąc to równocześnie do siebie samej, tak jakby się starała zebrać wspomnienia, i do mnie, jak gdyby się ode mnie miała tego dowiedzieć; i w istocie mówiła to z pewnością po to, żebym powiedział, co wiem, a może także, aby zyskać na czasie, zanim sformułuje tę drażliwą odpowiedź. Ale jeżeli zaprzętała mnie panna Vinteuil, bardziej jeszcze pochłaniała mnie obawa, która mnie nawiedziła już wcześniej, a która teraz owładnęła mną z całą siłą, mianowicie, że Albertyna zapagnie odzyskać wolność. Wracając, sądziłem, że pani Verdurin przechwalała się po prostu wizytą panny Vinteuil i jej przyjaciółki, tak że czułem się spokojny. Dopiero Albertyna, pytając: „Czy nie miała tam być panna Vinteuil”, dowiodła mi, że się nie mylił zrazu; ale uspokoiła mnie świadomość, że wyrzekając się bytności u Verdurinów i wybierając się do Trocadéro, Albertyna poświęciła dla mnie pannę Vinteuil. Ale racją ściągnięcia jej z Trocadéro, które zresztą opuściła dla spaceru ze mną, była obecność Lei. Pod wrażeniem tej myśli wymówiłem imię Lei; na co Albertyna, podejrzliwa, sądząc, że mi powiedziano może więcej, uprzedziła mnie i zaczęła obficie mówić, kryjąc jednak nieco czoło:

— Znam ją wybornie; wybrałyśmy się w zeszłym roku z przyjaciółkami do teatru, kiedy ona grała; po przedstawieniu byliśmy u niej w garderobie, ubierała się przy nas. To było bardzo interesujące.

Wówczas myśl moja musiała opuścić pannę Vinteuil i w rozpaczliwym wysiłku, w owym otchłannym pędzie ku niemożliwym rekonstrukcjom, uczepiła się aktorki, wieczoru, kiedy Albertyna była w jej garderobie. Z drugiej strony, po wszystkich jej przysięgach, i to

składanych tonem tak szczerym, po tak pełnej ofercie jej wolności, jak przypuszczać, aby się w tym kryło coś złego? A jednak czyż moje podejrzania nie były niby macki skierowane ku prawdzie, skoro o ile Albertyna poświęciła mi Verdurinów, aby iść do Trocadéro, bądź co bądź u Verdurinów miała być panna Vinteuil, a w Trocadéro była Lea? Myślałem, że się niesłusznie o nią niepokoję, a jednak w tym wyznaniu, o które nie prosiłem, Albertyna zdradziła mi, że zna Leę bliżej, niż przypuszczałem w swoich obawach, i że ją widywała w okolicznościach nader podejrzanych. Bo kto ją mógł wciągnąć do tej garderoby? O ile przestawałem się dręczyć panną Vinteuil, w chwili gdy się dręczyłem Leą, tymi dwoma katami mego dnia, powodem była niemoc mego umysłu niezdolnego wyobrazić sobie zbyt wiele scen naraz lub krzyżowanie się moich nerwowych wzruszeń, których zazdrość była tylko echem. Mogłem wnioskować, że Albertyna tak samo nie należała do Lei jak do panny Vinteuil i że wierzę w Leę tylko dlatego, że przez nią cierpię jeszcze. Ale to, że moje zazdrości gasły — aby się zbudzić niekiedy, kolejno — nie znaczyło również, aby każda z nich nie odpowiadała przeciwnie jakiejś przeczuwanej prawdzie; nie należało może sobie mówić o tych kobietach: „żadna”, ale „wszystkie”. Mówię: „przeczuwanej”, bo nie mogłem być obecny we wszystkich punktach przestrzeni i czasu, w których trzeba by się znaleźć, a do tego jakież instynkt poddałby mi ich wzajemną zgodność, aby mi dać zaskoczyć tu o tej godzinie Albertynę z Leą lub z dziewczętami z Balbec, lub z przyjaciółką pani Bontemps, o którą się swego czasu ocierała, lub z młodą dziewczyną z tenisa, która ją trącała łokciem, lub z panną Vinteuil?

Muszę wyznać, że najpoważniejszym, najbardziej uderzającym objawem wydało mi się to, że Albertyna uprzedziła moje oskarżenie. Powiedziała: „Myślę, że tam była panna Vinteuil dziś wieczór”, na co ja odrzekłem możliwie najokrutniej: „Nie mówiłaś mi, żeś ją spotkała”. W ten sposób kiedy Albertyna nie była dla mnie serdeczna, zamiast jej powiedzieć, że jestem smutny, stawałem się dokuczliwy. Była chwila, że czułem do niej nienawiść, co zwiększało jedynie we mnie potrzebę zatrzymania jej.

— Zresztą — rzekłem gniewnie — jest wiele innych rzeczy, które ukrywasz, nawet najobojętniejszych; na przykład, powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec. — Dodałem: „powiedzmy mimochodem” jako uzupełnienie „nawet najobojętniejszych”, tak aby w razie gdyby Albertyna powiedziała: „A cóż było niewłaściwego w wycieczce do Balbec?”, móc odpowiedzieć: „Już sobie nie przypominam. Tak mało zwracam uwagi na to, co mi ludzie opowiadają, że mi się to myli w głowie”. I w istocie, jeśli wspominałem o jej trzydniowej wycieczce z szoferem aż do Balbec, skąd dostałem pocztówki z takim opóźnieniem, mówiłem całkiem na ślepo.

Żałowałem nawet, że tak źle wybrałem przykład, bo naprawdę ta wyprawa, w której Albertyna ledwie miała czas dojechać i wrócić, nie dopuszczała nawet czasu na przemyślenie jakiejś dłuższej nieco schadzki z kimkolwiek. Ale z tego co powiedziałem, Albertyna pomyślała, że ja wiem istotną prawdę i że jedynie ukrywałem to przed nią; była tedy przekonana od niedawna, że ja ją każę śledzić w ten czy inny sposób, że wreszcie jestem, tak czy inaczej, jak rzekła przed tygodniem Annie, „lepiej od niej samej poinformowany o jej życiu”. Toteż przerwała mi wyznaniem bardzo niepotrzebnym, bo faktem jest, że nie domyślałem się niczego. I zmiażdżyło mnie to: tak wielkie może być rozchylenie między prawdą, którą kłamczyni przekształciła, a pojęciem, jakie, w duchu jej kłamstw człowiek zakochany w kłamczynie stworzył sobie o tej prawdzie. Ledwie wymówił słowa: „Powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec”, Albertyna przerwała, mówiąc całkiem naturalnie: „Chcesz powiedzieć, że ta podróż do Balbec nigdy nie istniała? Oczywiście! I zawsze się zastanawiałam, czemu ty udawałeś człowieka, który w to wierzy? A przecież to było bardzo niewinne. Szofer chciał mieć dla siebie wolne trzy dni. Nie śmiał ci tego powiedzieć. Wówczas przez dobroć dla niego wymyśliłam rzekomą wycieczkę do Balbec. Taka już jestem! I potem na mnie spadają te historie! Wysadził mnie po prostu w Auteuil, u mojej przyjaciółki przy ulicy de l'Assomption, gdzie spędziłam trzy dni, nudząc się jak mops. Widzisz, że to nic poważnego, nie ma żadnej katastrofy. Zaczęłam się domyślać, że ty wiesz może wszystko, widząc, żeś się zaczął śmiać, kiedy z tygodniowym opóźnieniem przychodziły pocztówki. Uznaję, że to było śmieszne, lepiej było wcale nie wysyłać pocztówek. Ale to nie moja wina. Kupiłam je z góry i dałam szoferowi, zanim mnie wysadził w Auteuil, a potem ten ciołek zapomniał ich w kieszeni, zamiast je przesłać w kopercie przyjacielowi w pobliżu Balbec, który miał je wysłać do

ciebie. Oczekiwałam ich z dnia na dzień, czy przyjdą! Szofer przypomniał sobie dopiero po pięciu dniach i zamiast mi powiedzieć, ciemiega, wysłał je wprost do Balbec. Kiedy mi to powiedział, ależ mu zmyłam głowę! Niepokoić cię daremnie z winy cymbała w nagrodę za to, że siedziałam przez trzy dni jak w więzieniu, po to, żeby on mógł załatwić swoje rodzinne sprawy. Nie śmiałam nawet wychodzić w Auteuil z obawy, aby mnie nie widziano. Jedyne raz kiedy wyszłam, to przebrana za mężczyznę, ot, bardziej dla hecy. A mój pech, który mnie ściga wszędzie, chciał, że pierwszą osobą, na którą wpadłam, był ten Żydziak, twój przyjaciel, Bloch. Ale wątpię, abyś ty się od niego dowiedział, że podróż do Balbec istniała tylko w mojej wyobraźni, bo mam wrażenie, że mnie nie poznał”.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, zmiażdżony tyłoma kłamstwami, nie chcąc okazać zdziwienia. Z uczuciem zgrozy, które nie budziło we mnie chęci wypędzenia Albertyny — przeciwnie! — łączyła się straszliwa chęć płaczu. Tę chęć spowodowało nie samo kłamstwo i unicestwienie wszystkiego, co tak bardzo uważałem za prawdę, że się czułem niby w zrównanym z ziemią mieście, gdzie ani jeden dom nie pozostał, gdzie nagą ziemię wzdymają jedynie zgłiszczaja; ale ta melancholia, że podczas trzech dni nudy u przyjaciółki w Auteuil, Albertynie nie przyszła ani razu ochota — może nawet myśl — aby spędzić po kryjomu dzień u mnie lub poprosić mnie depeszą o odwiedzenie w jej Auteuil. Ale nie miałem czasu oddać się tym myślom. Nie chciałem zwłaszcza zdradzić mego zdziwienia. Uśmiechnąłem się z miną człowieka, który wie więcej, niż mówi:

— Ależ to jest jedna rzecz pośród tysiąca. Tak na przykład owego popołudnia kiedyś poszła do Trocadéro, wiedziałas, że panna Vinteuil miała być u pani Verdurin.

Zaczerwieniła się:

— Tak, wiedziałam.

— Czy możesz przysiąc, że nie dlatego, aby z nią wznowić stosunki, chciałaś iść do Verdurinów?

— Ależ oczywiście, tak, mogę ci przysiąc. Czemu „wznowić”? Nnigdy nie było nic, przysięgam.

Byłem zgnębiony, że Albertyna tak kłamie, że przeczy oczywistości, którą rumieniec jej zdradził mi aż nadto. Fałsz jej przygnębiał mnie. A mimo to, ten fałsz, zakłęcia niewinności, w którą bezwiednie gotów byłem uwierzyć, mniej zadały mi bólu niż jej szczerość, kiedy na moje pytanie: „Czy możesz mi bodaj przysiąc, że przyjemność ujrzenia panny Vinteuil nie grała żadnej roli w chęci wizyty u Verdurinów”, odpowiedziała: „Nie, nie mogę. Spotkanie panny Vinteuil sprawiłoby mi wielką przyjemność”. Sekundę przedtem miałem do Albertyny pretensję, że mi kryje stosunki z panną Vinteuil, a teraz wyznanie przyjemności, jakiej się spodziewała, odjęło mi ręce i nogi. Zresztą tajemnica, jaką robiła z tej wizyty, powinna mi być starczyć za dowód. Ale już o tym nie dosyć myślałem. Czemu mówiąc teraz prawdę, Albertyna wyznawała mi ją tylko w połowie? — to było jeszcze bardziej głupie niż złe i smutne. Byłem tak złamany, że nie miałem odwagi nalegać na ten punkt, w którym się czułem słaby, nie mogąc przeciwstawić jej obciążającego dowodu; aby odzyskać przewagę, szybko przeszedłem na przedmiot, który by mi pozwolił pognębić Albertynę.

— Słuchaj, nie dalej niż dziś wieczór dowiedziałem się, że to, coś mi mówiła o panie Vinteuil...

Albertyna patrzyła na mnie bystro, ze zbolą miną, starając się wyczytać w moich oczach, co ja wiem. Otóż tego, co wiedziałem i co jej miałem powiedzieć o skłonnościach panny Vinteuil, dowiedziałem się w istocie nie u Verdurinów, ale niegdyś w Montjouvain. Ale ponieważ umyślnie nigdy nie mówiłem o tym Albertynie, mogłem udawać, że wiem o tym dopiero od dziś wieczora. I po wszystkim, com wycierpiał w kolejce w Balbec, uczułem niemal radość, że posiadam to wspomnienie z Montjouvain, „postdatowane” przeze mnie, ale niemniej będące przytłaczającym dowodem, ciosem maczugi dla Albertyny. Tym razem bodaj nie potrzebowałem „robić miny, że wiem” i „ciągnąć za język” Albertyny; wiedziałem, widziałem przez oświetlone okno w Montjouvain. Na próżno Albertyna twierdziła, że jej stosunki z panną Vinteuil i jej przyjaciółką były bardzo niewinne; gdybym przysięgł (a przysięgłbym bez kłamstwa), że znam obyczaje tych kobiet, jak mogłaby twierdzić, że żyjąc z nimi tak blisko, nazywając je: „moje duże siostrzyczki”, nie była celem pokus, których odtrącenie groziłoby zerwaniem. Ale nie miałem czasu powiedzieć tego, com wiedział. Albertyna, sądząc (jak o fałszywej wycieczce do Balbec),

że ja się dowiedziałem prawdy bądź od panny Vinteuil (o ile była u Verdurinów), bądź po prostu od pani Verdurin, która mogła mówić o niej z panną Vinteuil, nie dopuściła mnie do słowa i wyznała mi rzecz wręcz przeciwną temu, co przypuszczałem. Ale wyznanie jej, dowodzące, że Albertyna nigdy nie przestała kłamać, sprawiło mi prawie tyleż przykrości, zwłaszcza że nie byłem już, jak wspomniałem przed chwilą, zazdrosny o pannę Vinteuil. Uprzedzając mnie tedy, Albertyna rzekła:

— Dowiedziałeś się zatem dziś wieczór, że skłamała, twierdząc, iż byłam prawie wychowaną przyjaciółką panny Vinteuil... To prawda, że ci trochę skłamałam. Ale czułam, że tak mało znaczę dla ciebie, widziałam, że tak cię interesuje muzyka tego Vinteuil, że ponieważ jedna z moich koleżanek — to jest prawda, przysięgam — była w przyjaźni z przyjaciółką panny Vinteuil, chciałam po prostu zrobić się interesującą w twoich oczach, zmyślając, że znałam dobrze obie. Czułam, że cię nudzę, że mnie uważasz za gęś; pomyślałam, iż przyznając się do zażyłości z tymi osobami i blagując, że mogłabym ci udzielić szczegółów o muzyce Vinteuil, nabiorę trochę uroku w twoich oczach, że to nas zbliży. Kiedy kłamię, to zawsze z czułości dla ciebie. I trzeba było tego nieszczęsnego wieczoru u Verdurinów, abys się dowiedział prawdy, przesadzonej może zresztą. Założyłam się, że przyjaciółka panny Vinteuil powiedziała, że mnie nie zna. Widziała mnie co najmniej dwa razy u mojej koleżanki. Ale oczywiście, ja nie jestem dosyć szykowna dla ludzi, którzy się zrobili tacy sławni. Wolą powiedzieć, że mnie nigdy nie widzieli.

Kiedy biedna Albertyna sądziła, iż powiedzieć mi, że żyła tak blisko z panną Vinteuil, opóźniłoby jej „puszczenie kantem”, zbliżyłoby ją do mnie, dosięgła, jak to się dzieje często, prawdy inną drogą niż ta, którą zamierzyła. Jej niespodziana dla mnie kompetencja w sprawach muzyki nie byłaby mi z pewnością przeszkodziła zerwać z nią owego wieczora w kolejce; a jednak słowa, które powiedziała w tym celu, stworzyły natychmiast o wiele więcej niż niemożność zerwania. Tylko Albertyna popełniła błąd w interpretacji, nie ewentualnego skutku tych słów, ale przyczyny, dla której miały wywrzeć ten skutek; przyczyny, którą była świadomość nie jej kultury muzycznej, ale jej dwuznacznych stosunków. Tym, co mnie nagle do niej zbliżyło, co mnie głębiej w nią wtopiło, było nie oczekiwanie rozkoszy — a „rozkosz” to jeszcze za wiele, powiedzmy: lekkiej przyjemności — ale skurcz bólu.

I tym razem nie miałem czasu zbyt długo zachować milczenia, mogącego wyglądać w jej oczach na zdziwienie. Jakoż wzruszony tym, że jest tak skromna i że się uważa w sferze Verdurinów za coś niższego, rzekłem tkliwie:

— Ależ, kochanie, dałbym ci chętnie kilkaset franków, żebyś się zabawiła w szykowną damę i zaprosiła, dokąd chcesz, na elegancki obiad państwa Verdurin.

Niestety w Albertynie było kilka osób. Najbardziej tajemnicza, najprostsza, najokrutniejsza objawiła się w odpowiedzi udzielonej mi z wyrazem niesmaku, odpowiedzi, której słów po prawdzie dobrze nie zrozumiałem — nawet słów początkowych, bo nie dokończyła. Odtworzyłem je dopiero nieco później, kiedy odgadłem jej myśl. Słyszysz się wstecz, kiedy się zrozumiało:

— Ślicznie dziękuję! — rzekła. — Wydawać bodaj grosz na tych starych piernikach, to już wolę, abys mi pozwolił kiedyś, żeby mi dała zagrzać...

Ledwie to wyrzekła, twarz jej oblała się pąsem, przybrały wyraz rozpacz; Albertyna zasłoniła dłonią usta, jakby chcąc wepchnąć w nie z powrotem słowa, których wcale nie rozumiałem.

— Co ty mówisz, Albertyno?

— Nie, nic, zasypiałam po prostu.

— Ależ wcale nie, jesteś bardzo rozbudzona.

— Myślałam o tym obiedzie dla Verdurinów, to bardzo ładnie z twojej strony.

— Ale nie, ja mówię o tym, co ty powiedziała.

Podawała mi tysiąc wersji niegodzących się wcale, nie mówię z jej słowami, które pozostały mętne, ale z samym tym urwaniem słów i z nagłym rumieńcem.

— Słuchaj, kochanie, nie to chciałaś powiedzieć, inaczej dlaczego byś urwała.

— Bo się zawstydziałam swojej prośby.

— Jakiej prośby?

— Żeby wyprawić obiad.

— Ależ nie, to nie to, nie ma mowy o wstydzie między nami.

— Owszem, właśnie, nie trzeba nadużywać dobroci tych, których się kocha. W każdym razie, przysięgam ci, że to to.

Z jednej strony, nie umiałem nigdy wątpić o przysiędze Albertyny, z drugiej strony tłumaczenia jej nie zadowalały mojego rozsądku. Nie przestałem nalegać.

— Ależ wreszcie, miej odwagę dokończyć zdania, urwałaś na: „zagrzać” ...

— Och, nie, zostaw!...

— Ale czemu?

— Bo to jest strasznie ordynarne; zanadto bym się wstydziła, że to powiedziała przy tobie. Nie wiem, skąd mi do głowy przyszło to wyrażenie, którego sensu nawet nie rozumiem, a które słyszałam raz na ulicy w ustach ludzi strasznie plugawych; ot tak mi się powiedziało, ni w pięć, ni w dziewięć. To się nie odnosi ani do mnie, ani do nikogo, bredziłam po prostu.

Czułem, że nie wydobędę nic więcej z Albertyny. Skłamała, kiedy przysięgała przed chwilą, że powstrzymała ją obawa nietaktu; teraz to miał być wstyd, że się wyrwała z czymś zbyt pospolitym. Otóż to było z pewnością drugie kłamstwo. Bo w pożyciu z Albertyną nie było tak perwersyjnych i ordynarnych słów, których byśmy nie wymawiali wśród pieśnyczoty. W każdym razie zbyt było nalegać w tej chwili. Ale pamięć moją oblegało słowo „zagrzać”. Albertyna używała go często w różnych zwrotach, ale zwrotów tych używała potocznie przy mnie; jeżeli chciała powiedzieć coś takiego, czemu umilkła nagle, czemu się tak zaczerwieniła, zasłoniła usta ręką, przebudowała całe zdanie i kiedy spostrzegła, że usłyszał „zagrzać”, podała fałszywy sens? Ale z chwilą gdy się wyrzekał jałowego śledztwa, najlepiej było udawać, że już o tym nie myślę. Po czym wracając myślą do wymówek Albertyny za to, że poszedł do „pryncypałki”, rzekłem bardzo niezręcznie, w rodzaju głupiego tłumaczenia się: „Chciałem cię właśnie prosić, żebyś się dziś wybrała na wieczór do Verdurinów” — zdanie podwójnie niezręczne, bo gdybym chciał to zrobić, czemuż widząc ją przez cały czas, nie zaproponowałem jej tego? Wściekła o to kłamstwo i rozzuchwalona moim onieśmieleniem, odparła:

— Mógłbyś mnie prosić o to tysiąc lat, a nie byłabym się zgodziła. Ci ludzie byli zawsze przeciwko mnie, wszystko robili na przekór. Wylaźliam ze skóry z uprzejmości dla pani Verdurin w Balbec i ładnie na tym wyszłam. Gdyby mnie wzywała na łożu śmierci, nie poszłabym. Są rzeczy, których się nie darowuje. Co się tyczy ciebie, to jest pierwsze chamstwo, które mi robisz. Kiedy Franciszka powiedziała, żeś wyszedł (z jaką przyjemnością mi to powiedziała!), byłabym wolała dostać w łeb siekierą. Staralam się, aby nic nie zauważono, ale w życiu nie doznałam podobnego afrontu!

Podczas gdy Albertyna mówiła, we mnie odbywało się w żywym i twórczym śnie podświadomości szukanie tego, co ona chciała powiedzieć w urwanym zdaniu, którego koniec upierałem się poznać. W takim śnie rysują się szczegóły, które nas jedynie musnęły, uspione ręce chwytają właściwy klucz, dotąd na próżno szukany. I nagle spadło na mnie okrutne słowo, o którym wcale nie myślałem: „gwoździa”. Nie mogę powiedzieć, aby przyszło nagle, jak wówczas gdy po długiej bierności wobec niepełnego wspomnienia, starając się łagodnie, ostrożnie, rozpostrzeć je, człowiek pozostaje jakby przygięty, przylepiony do niego. Nie, sprzecznie z moim zwykłym sposobem przypominania sobie, istniały, sądzę, dwie równoległe drogi szukania; jedna brała w rachubę nie tylko słowa Albertyny, ale jej gniewny wzrok, kiedy zaproponowałem wydanie eleganckiego obiadu; wzrok zdający się mówić: „Ślicznie dziękuję, wydawać pieniądze na coś, co mnie nudzi, kiedy bez pieniędzy mogłabym robić to, co mnie bawi!”. I może pamięć jej wzroku kazała mi zmienić metodę w szukaniu końca tego, co ona chciała powiedzieć. Dotąd hipnotyzowało mnie ostatnie słowo: „zagrzać”. Zagrzać co? Herbatę? Nie. Żelazko do prasowania? Nie. Zagrzać, zagrzać, zagrzać. I naraz spojrzenie Albertyny w chwili mojej propozycji wyprawienia obiadu, cofnęło mnie w słowa kończące jej zdanie. I natychmiast ujrzałem, że powiedziała nie: „zagrzać”, ale: „dała zagrzać”. Okropność! Więc to by wolała! Podwójna okropność, bo nawet ostatnia k...a, która zgadza się na to lub pragnie tego, nie używa z mężczyzną, który się temu poddaje, tego okropnego wyrażenia. Czułaby się zanadto poniżona. Z kobietą tylko (jeżeli ma gust do kobiet) mówi to, aby się usprawiedliwić, że się oddała przed chwilą mężczyźnie. Albertyna nie skłamała, mówiąc, że jest



wpół przytomna. Roztargniona, impulsywna, zapominając o mojej obecności, strząsnęła przymus, odezwała się tak, jakby mówiła z jedną z „takich kobiet”, może z jedną z moich „zakwitających dziewcząt”. I nagle przywołana do rzeczywistości, czerwona ze wstydu, polykając to, co miała powiedzieć, zrozpaczona, nie chciała już rzec ani słowa. Nie miałem ani sekundy do stracenia, o ile nie chciałem, aby spostrzegła moją rozpacz. Ale już po ataku wściekłości łzy napływały mi do oczu. Jak w Balbec, w nocy po odkryciu jej zażyłości z panną Vinteuil, trzeba mi było uprawdopodobnić natychmiast moją zgryzotę, wymyślić zarazem coś zdolnego zrobić na Albertynie tak głębokie wrażenie, żeby mi to dało kilkudniową zwłokę dla powzięcia decyzji. Toteż w chwili gdy Albertyna mówiła, że nigdy nie doznała podobnego afrontu jak ten, który jej zrobiłem, wychodząc z domu, że wołałaby umrzeć niż usłyszeć o tym z ust Franciszki, kiedy jak gdyby podrażniony jej śmieszną drażliwością, miałem rzec, że mój postępek był bardzo niewinny, że wyjście moje z domu nie było niczym obraźliwym, przez ten czas, równoległe, moje podświadome dochodzenie, co ona chciała powiedzieć po słowie „zagrzać”, osiągnęło cel. Że zaś niepodobna mi było całkowicie ukryć rozpacz, w jaką wtrąciło mnie moje odkrycie, przeto zamiast się bronić, oskarżyłem się.

— Albertynko — rzekłem łagodnie, a w głosie drgały pierwsze łzy — mógłbym powiedzieć, że nie masz racji, że to, com zrobił, to jest nic; ale skłamałbym. To ty masz słuszość; rozumiałaś, biedne dziecko, że przed pół rokiem, trzy miesiące temu, kiedy miałem jeszcze dla ciebie tyle czułości, nigdy nie byłbym tego zrobił. To jest nic, a to jest ogromnie dużo z powodu olbrzymiej zmiany w moim sercu, której to jest oznaką. A skoroś odgadła tę zmianę, którą spodziewałem się ukryć przed tobą, zmusza mnie to do powiedzenia ci (a mówię to z głęboką słodyczą i smutkiem): Albertynko, widzisz, życie, jakie tu wiesz, nudne jest dla ciebie, lepiej, żebyśmy się rozstali, że zaś najlepsze rozstanie jest najszybsze, proszę cię, dla skrócenia zgryzoty, jaką mi to sprawi, żebyś się ze mną pożegnała dziś wieczór i odeszła jutro rano, podczas gdy będę spał, tak żebyś nie widział.

Patrzyła zdumiona, jeszcze niedowierzająca, a już w rozpacz:

— Jak to jutro? Chcesz tego?

I mimo cierpienia, jakim było dla mnie mówić o naszym rozstaniu jak o czymś, co już wsiąkło w przeszłość — może po części z powodu tego cierpienia — zacząłem dawać Albertynie najściślejsze rady co do pewnych rzeczy, które powinna uczynić, opuściwszy mój dom. I stopniowo w tych wskazówkach zapuściłem się w najdrobiazgowsze szczegóły.

— Bądź tak dobra — rzekłem z nieskończonym smutkiem — odesłać mi książkę Bergotte’a, która została u ciotki. To nic pilnego; za trzy dni, za tydzień, kiedy zechcesz, ale pamiętaj, abym nie musiał przypominać ci tego, to by mi było zbyt przykre. Byliśmy szczęśliwi; czujemy teraz, że bylibyśmy nieszczęśliwi.

— Nie mów „czujemy” — przerwała Albertyna — nie mów „my”, to tylko ty tak myślisz.

— Tak, ostatecznie, ty czy ja, jak chcesz, z tego czy z innego powodu. Ale już jest wariacka godzina, powinnaś iść spać... postanowiliśmy się rozstać dziś wieczór.

— Przepraszam, ty postanowiłeś, a ja jestem posłuszna, bo nie chcę ci robić przykrości.

— Niech będzie, ja postanowiłem, ale i tak jest nie mniej dla mnie bolesne. Nie mówię, że to będzie bolesne długo, wiesz, że nie umiem długo pamiętać, ale przez pierwsze dni bardzo mi się będzie przykrzyło za tobą. Otóż uważam za zbyt uczucie podsycać to listami, trzeba skończyć od jednego zamachu.

— Tak, masz słuszość — rzekła ze stroskaną miną, którą podkreśliły jeszcze rysy zmięte zmęczeniem o tej późnej godzinie. — Zamiast dać sobie ucinać palec po palcu, wolę raczej całą głowę zaraz.

— Mój Boże, przerażony jestem, do jakiej godziny ja cię trzymam, ależ to szaleństwo! No cóż, ostatni wieczór! Będziesz miała czas wyspać się przez resztę życia.

I tak powtarzając, że trzeba sobie powiedzieć dobranoc, starałem się opóźnić chwilę, w której mi je powie.

— Czy chcesz, abym dla rozerwania cię przez pierwsze dni poprosił Blocha o przysłanie swojej kuzynki tam, gdzie będziesz? Zrobi to dla mnie.

— Nie wiem, czemu to mówisz — (mówiłem to, aby wydrzeć Albertynie wyznanie) — zależy mi tylko na jednej istocie, na tobie — rzekła Albertyna, której słowa napęliły mnie słodyczą. Ale natychmiast ileż bólu mi zadała: — Przypominam sobie z pewnością, że dałam fotografię Esterze, bo bardzo nalegała i wiedziałam, że jej to zrobi przyjemność. Ale żebym z nią była w przyjaźni albo miała ochotę widzieć ją kiedyś...

A mimo to Albertyna była tak lekkomyślna, że dodała:

— Jeżeli chce mnie widzieć, mnie wszystko jedno, jest bardzo miła, ale wcale nie zależy mi na tym.

Tak więc kiedyś mówiłem o fotografii Estery, którą mi przesłał Bloch (a jeszcze jej nawet nie otrzymałem, kiedyś mówiłem o tym Albertynie), ona zrozumiała, że Bloch pokazywał mi jej własną fotografię, którą dała Esterze. W najgorszych przypuszczeniach nie wyobrażałem sobie, aby mogła istnieć podobna zażyłość między Albertyną a Esterą. Albertyna nie umiała mi nic odpowiedzieć, kiedyś mówiłem o fotografii. A teraz, myśląc błędnie, że ja wiem wszystko, uważała za sprytniejsze przyznać się. Byłem przygnębiony.

— A potem, Albertyno, błagam cię o jedno; nie staraj się mnie nigdy widzieć. Gdybyśmy kiedyś, co może się zdarzyć za rok, za dwa, za trzy lata, znaleźli się w jednym mieście, unikaj mnie.

Widząc, że nie odpowiada na moją prośbę, dodałem:

— Albertynko, nie spotkajmy się już nigdy w życiu. To by mi było zbyt przykro. Bo ja naprawdę bardzo cię lubiłem, wiesz. Pamiętam, kiedyś ci powiedziałem kiedyś, że chcę widzieć tamtą osobę, o której mówiliśmy w Balbec, myślałaś, że to się stało. Ale nie, zaręczam ci, że mi to było obojętne. Jesteś pewna, że ja od dawna zamierzałem cię rzucić, że czułość moja była komedią.

— Ależ nie, wariat jesteś, nigdy tak nie myślałam — rzekła smutno.

— Masz rację, nie trzeba tak myśleć; kochałem cię naprawdę, to może nie była miłość, ale wielka, wielka przyjaźń, większa, niż możesz przypuszczać.

— Ależ tak, wierzę. A czy ty sobie wyobrażasz, że ja cię nie Kocham!

— Bardzo mi jest przykro rozstawać się z tobą.

— A mnie tysięcy razy bardziej — odparła Albertyna.

Już od chwili czułem, że nie mogę powstrzymać łez, które mi nabiegały do oczu. I te łzy nie pochodziły wcale z podobnej przykrości, jaką odczuwałem niegdyś, mówiąc do Gilberty: „Lepiej, żebyśmy się już nie widywali, życie nas rozdziela”. Bez wątpienia, kiedyś to pisałem do Gilberty, powiadałem sobie, że gdybym kochał już nie ją, ale inną, nadmiar mojej miłości zmniejszyłby szanse uczuć, jakie mógłbym w niej obudzić, jak gdyby między dwiema istotami istniała nieodzownie pewna ilość rozporządzalnej miłości, tak iż nadwyżka jednej strony odbywa się kosztem strony przeciwnej i że z ową drugą również, jak z Gilbertą, trzeba mi będzie się rozstać. Ale położenie było zupełnie odmienne dla wielu przyczyn. Pierwszą, która z kolei zrodziła inne, był ów brak woli, którego babka i matka obawiały się we mnie w Combray i wobec którego obie kolejno skapitulowały: tyle ma chory energii w narzuceniu swojej słabości! Ten brak woli rozwijał się coraz to szybciej. Kiedyś czułem niegdyś, że moja obecność nuży Gilbertę, miałem jeszcze na tyle siły, aby się jej wyrzec; nie miałem już tej siły, kiedyś stwierdziłem to samo u Albertyny: myślałem tylko o tym, aby ją zatrzymać za wszelką cenę. Tak iż o ile pisałem do Gilberty, że jej już nie ujrzę, z zamiarem nieujrzenia jej naprawdę, Albertynie powtarzałem to jedynie jako czyste kłamstwo, aby sprowadzić pojednanie. W ten sposób mamiliśmy się wzajem pozorem bardzo różnym od rzeczywistości. I z pewnością zawsze tak jest, kiedy dwie istoty znajdują się na wprost siebie; zawsze jedna nie zna części tego, co jest w drugiej, a nawet tego, co wie, nie może po części zrozumieć. Każda z nich wyraża to, co najmniej osobiste; czy że nie odcyfrowała samej siebie i uważa za nieważne to, co najważniejsze, czy że błahe i nieistotne przewagi wydają się jej ważniejsze i pochlebniejsze. Ale w miłości nieporozumienie to dochodzi szczytu, bo z wyjątkiem może epoki dzieciństwa staramy się, aby pozór nie tyle odbijał ściśle naszą myśl, ile aby był w naszym poczuciu najcelowszy dla zdobycia tego, czego pragniemy, a czym dla mnie, od chwili jak wróciłem do domu, było zachować Albertynę w równej niewoli jak dotąd. Bałem się, żeby w swojej irytacji nie żądała większej swobody. Swobody tej chciałem użyczyć jej kiedyś; w tej chwili jednak, kiedy się bałem jej dążeń do niezależności, zanadto podsyciłoby to moją zazdrość. Począwszy od pewnego wieku, przez ambicję i przez przezorność udajemy, że nie zależy

nam na rzeczach, na których nam najwięcej zależy. Ale w miłości prosta przezorność — która zresztą nie jest zapewne prawdziwą mądrością — narzuca nam dość szybko ten geniusz fałszu. Jako dziecku, najśłodszą rzeczą w miłości, samą jej istotą, wydawało mi się to, aby móc swobodnie objawiać czułość wobec istoty, którą kochałem, wdzięczność za jej dobroć, chęć ciągłego życia razem. Ale z własnego doświadczenia i z doświadczenia przyjaciół zbyt dobrze rozumiałem, że wyraz takich uczuć zgoła nie jest zaraźliwy. Skoro raz to zauważymy, nie pozwalamy sobie już na takie wylewy; toteż strzegłem się popołudniu wyrazić Albertynie całą wdzięczność za to, że wróciła z Trocadéro. A wieczorem w obawie, aby mnie nie porzuciła, udałem, że to ja pragnę ją rzucić; udanie nie tylko zresztą podyktowane mi przez doświadczenia poprzednich miłości zastosowane do obecnej.

Bąłem się, że Albertyna mi powie: „Chcę czasem wychodzić sama, chcę być wolna choćby całą dobę”, że sformułuje w tym zakresie jakieś żądanie, którego nie starałem się określić, ale które mnie przerażało. Ta obawa musnęła mnie przez chwilę przed wieczorem u Verdurinów i podczas tego wieczoru. Ale rozproszyła się, zneutralizowana zresztą pamięcią tego, co mi Albertyna wciąż powtarzała o swoim szczęściu u mnie. Zamiar opuszczenia mnie, jeżeli istniał u Albertyny, objawiał się jedynie mglisto, smutnymi spojrzeniami, nerwowością, słowami, które wcale tego nie znaczyły, ale które, gdyby się głębiej zastanowić, zdradzały w Albertynie obecność tajonych uczuć zdolnych przywieść ją do tworzenia planów innego życia bez mnie. I nie było nawet co się zastanawiać; odgaduję się natychmiast ten język namiętności; nawet prości ludzie rozumieją te słowa, dające się wytłumaczyć jedynie próżnością, urazą, zazdrością, niewyrażonymi zresztą, ale odkrytymi natychmiast u partnera przez ową intuicyjną zdolność, rzecz najpowszechniejszą w świecie, jak ów zdrowy rozsądek, o którym mówi Descartes<sup>406</sup>. Tak samo jak ten zamysł nie wyrażał się w słowach Albertyny w sposób logiczny, tak samo przecucie tego zamysłu, powzięte od owego wieczora, pozostało we mnie równie mgliste. Nadal żyłem hipotezą, przyjmując za prawdę wszystko, co mówiła Albertyna. Ale możliwe jest, że przez ten czas nie opuszczała mnie hipoteza wręcz przeciwna, o której nie chciałem myśleć; co jest tym prawdopodobniejsze, że inaczej nie krępowałbym się wcale z oznajmieniem Albertynie mojej bytności u Verdurinów i że inaczej nie tłumaczyłby się u mnie brak zdziwienia jej gniewem. Tak iż prawdopodobnie żyło we mnie pojęcie Albertyny wręcz przeciwne temu, jakie sobie o niej wytworzyłem rozumowo; bądź co bądź pojęcie Albertyny nie całkowicie wymyślonej, będącej niby dawniejszym zwierciadłem pewnych jej odruchów, na przykład niezadowolenia z tego, że poszedł do Verdurinów. Od dawna zresztą moje częste lęki, obawa powiedzenia Albertynie, że ją kocham, wszystko to odpowiadało innej hipotezie, tłumaczącej o wiele więcej rzeczy. I kiedy się przyjęło pierwszą hipotezę, druga stawała się prawdopodobniejsza, ponieważ dając folę czułości dla Albertyny, budziłem w niej jedynie irytację (którą zresztą tłumaczyła czym innym).

Analizując rzecz w tym duchu, wedle niezmiennego systemu odpowiedzi całkiem sprzecznych z tym, com w istocie odczuwał, mogę być pewien, iż, jeżeli owego wieczora powiedziałem Albertynie, że zamierzam ją opuścić, uczyniłem to — zanim jeszcze nawet zdałem sobie z tego sprawę — dlatego że się bąłem, iż ona zapragnie wolności. Nie bardzo umiałbym powiedzieć, co to była ta wolność, która mnie przyprawiała o drżenie, ale ostatecznie wolność pozwalająca Albertynie mnie zdradzać lub bodaj nie dająca mi pewności, że mnie nie zdradza. Chciałem jej pokazać, przez dumę, przez chytrą, że się tego wcale nie boję; podobnie jak to już uczyniłem w Balbec, kiedy chciałem, żeby Albertyna powzięła o mnie wysokie pojęcie, i później jeszcze, kiedy mi chodziło o to, żeby nie miała czasu nudzić się ze mną. Wreszcie co się tyczy zarzutu, jaki można by przeciwstawić tej drugiej — niesformułowanej — hipotezie, iż wszystko, co Albertyna zawsze mi mówiła, znaczyło przeciwnie, że jej największe szczęście to życie u mnie, spokój, czytanie, samotność, wstręt do miłości saficznych<sup>407</sup> itd., nie warto nawet zatrzymywać się przy tym. Bo gdyby znów Albertyna chciała sądzić o moich uczuciach z tego, co mówiłem, dowiedziałyby

<sup>406</sup>Descartes, René, pol. Kartezjusz (1596–1650) — francuski filozof, fizyk i matematyk; prekursor geometrii analitycznej; zwolennik racjonalizmu w filozofii, zwany ojcem europejskiej filozofii nowożytnej. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>saficzna miłość — miłość lesbijska, od imienia greckiej poetki Safony, mieszkającej na wyspie Lesbos, autorki głównie poezji miłosnej, często sugerującej jej miłość do kobiet. [przypis edytorski]

się rzeczy wręcz sprzecznych z prawdą, skoro chęć rozstania się objawiałem jedynie wtedy, kiedy się nie mogłem bez niej obejść; a jeżeli w Balbec wyznałem jej, że kocham inną kobietę — raz Annę, drugi raz jakąś tajemniczą osobę — uczyniłem to oba razy wówczas, kiedy zazdrość wskrzesiła we mnie miłość do Albertyny. Słowa nie odbijały zatem zgola moich uczuć. Jeżeli czytelnik odczuwa to zbyt słabo, to dlatego, że jako opowiadający przedstawiam mu swoje uczucia równolegle z powtórzeniem moich słów. Ale gdybym mu tań te uczucia i gdyby znał tylko słowa, postęпки moje, tak słaby mające z nimi związek, zrobiłyby na nim często wrażenie dziwacznych wyskoków, wzięłyby mnie niemal za wariata. Proceder ów nie byłby zresztą o wiele fałszywszy od tego, który obrałem, obrazy bowiem, które pobudzały moje czyny, tak różne od tych, które się malowały w moich słowach, były w owej chwili bardzo ciemne; znałem jedynie bardzo słabo naturę, w której duchu działałem; dziś widzę jasno jej subiektywną prawdę. Co się tyczy prawdy obiektywnej, to znaczy tego, czy skłonności owej natury dokładniej od mego rozumowania chwytają prawdziwe intencje Albertyny, czy miałem rację zaufać tej naturze i czy przeciwnie, nie zmieniała ona intencji Albertyny zamiast je rozpoznać, trudno mi rzec. Owa mglista doznawana przeze mnie u Verdurinów obawa, aby mnie Albertyna nie porzuciła, rozproszyła się od razu. Kiedym wrócił, wróciłem z uczuciem, że jestem więźniem, nie zaś, że odnajduję uwięzioną. Ale rozproszona obawa pochwyciła mnie znów z większą siłą, kiedy w chwili gdym oznajmił Albertynie, że byłem u Verdurinów, ujrzałem jak na jej twarzy gromadzi się zagadkowa irytacja, wykwitająca na niej zresztą nie pierwszy raz. Wiedziałem, że ten gniew jest jedynie skryształizowaniem się w jej ciele świadomych uraz, myśli jasnych dla istoty, która je formuje i która je przemilcza, syntezą uwidocznioną, ale już nie rozumową, i że ten, kto zbiera na twarzy ukochanej szacowny osad jej myśli, próbuje z kolei dla zrozumienia, co się dzieje w jej duszy, sprowadzić analizą ów osad do jego intelektualnych składników. Przybliżone równanie niewiadomej, jaką była dla mnie myśl Albertyny, dało mi mniej więcej to: „Znałam jego podejrzenia, byłam pewna, że będzie się starał je sprawdzić; abym go zaś nie mogła krępować, wykonał całą robotę po kryjomu”. Ale jeżeli Albertyna żywiła takie myśli (których nigdy nie wyraziła) czy nie musiała zbrzydzić sobie i postanowić z dnia na dzień przerwać nieznośną dla niej egzystencję, w której jeżeli była — bodaj chęcią — winna, czuła się odgadywana, tropiona, paraliżowana w swoich skłonnościach. A i tak nie uspokajało to mojej zazdrości! A jeżeli Albertyna była zamiarami i faktycznie niewinna, miała prawo od jakiegoś czasu czuć się zniechęcona, widząc, że od Balbec, gdzie tak wytrwale unikała wszelkiego sam na sam z Anną, aż do dziś, kiedy wyrzekła się pójścia do Verdurinów lub zostania w Trocadéro, nie zdołała odzyskać mojego zaufania. Tym bardziej że nie mogłem jej zachowaniu się nic zarzucić. W Balbec, kiedy się mówiło o dziewczętach, które miały podejrzaną maniery, Albertyna często puszczała się na śmieszki, „wygibywania się”, naśladowania ich; wszystko to drażniło mnie, wyobrażałem sobie, co to może oznaczać dla jej przyjaciółek. Za to od czasu jak znała moje poglądy, z chwilą gdy ktoś zrobił aluzję do rzeczy tego rodzaju, Albertyna przestawała brać udział w rozmowie, nie tylko słowami, ale wyrazem twarzy. Bądź że nie chciała przyczynić się do złośliwości mówionych o tej lub owej, bądź z innej jakiejś przyczyny, w jej tak zmiennych i ruchliwych rysach uderzało wówczas jedynie to, że od chwili gdy się dotknęło tego przedmiotu, rysy te świadczyły o niewadze, zachowując ściśle wyraz, jaki miały chwilę przedtem. I to zastygnięcie nawet płochego wyrazu ciąży jak milczenie; niepodobna byłoby powiedzieć, czy ona gani, czy pochwała, czy wie, o czym mowa, czy nie wie. Każdy jej rys był w związku tylko z innym z jej rysów. Nos, usta, oczy tworzyły doskonałą harmonię wyodrębnioną z reszty; wyglądała jak pastel i robiła wrażenie, że nie słyszała tego, co się powiedziało, tak jakby się to powiedziało przed portretem La Toura<sup>408</sup>.

Moja niewola, jeszcze gnioząca mnie wówczas, kiedy podając dorożkarzowi adres Brichota, widziałem światło w oknie, przestała mi ciążyć w chwilę potem, kiedym mógłmniemac, że Albertyna tak okrutnie odczuwa swoją niewolę. Izby się jej ta niewola zdawała mniej ciężka, izby jej nie przyszło na myśl zerwać ją z własnej pobudki, najzręczniejszym zdało mi się obudzić w niej wrażenie, że ta niewola nie jest ostateczna i że sam pragnę

<sup>408</sup> *La Tour, Maurice Quentin de* (1704–1788) — francuski malarz portrecista, tworzący przede wszystkim dzieła pastelowe; sportretował m.in. Ludwika XV, Woltera, Rousseau, d'Alemberta, Madame Pompadour. [przypis edytorski]

jej końca. Widząc, że udanie się powiodło, powinien bym się czuć szczęśliwy. Pokonałem to, czego się tak bałem — wolę odejścia odgadywaną w Albertynie; równocześnie zaś, nawet poza zamierzonym celem, sukces mojej komedii sam w sobie, dowodząc, że nie jestem dla Albertyny wzgardzonym kochankiem, ośmieszonym zazdrośnikiem, którego wszystkie chytryści zawczasu się przenika, przywracał naszej miłości pierwotną świeżość, wskrzeszając czas, kiedy Albertyna mogła jeszcze w Balbec tak łatwo uwierzyć, że ja kocham inną. Bo nie byłaby już zapewne w to uwierzyła, ale wierzyła w moją udaną intencję zerwania z nią tego wieczora na zawsze. Wyraźnie podejrzewała, że przyczyną tego mogła się stać wizyta u Verdurinów.

Aby ukoić wzruszenie, o jakie mnie przyprawiało moje udane zerwanie, rzekłem:

— Albertyno, możesz przysiąc, żeś mi nigdy nie skłamała?

Utkwiła wzrok w próżnię, po czym odpowiedziała:

— Tak... to znaczy nie. Skłamałam, że Anna leci na Blocha, nie widziałyśmy go.

— Ale w takim razie po co?

— Bo się bałam, żebyś nie uwierzył w inne rzeczy o niej. Tylko tyle.

Powiedziałem, że spotkał pewnego autora dramatycznego bardzo zaprzyjaźnionego z Leą, któremu Lea zwierzyła dziwne rzeczy. (Chciałem tym dać do zrozumienia, że o tej przyjaciółce kuzynki Blocha wiem więcej, niż mówię). Albertyna znów popatrzyła w próżnię i rzekła:

— Źle zrobiłam, mówiąc przed chwilą o Lei, że zataiła trzytygodniową podróż, którą z nią odbyłam. Ale tak mało cię znałam w epoce, kiedy się to działo!

— To było przed Balbec?

— Przed drugim Balbec, tak.

I tego samego rana powiedziała mi, że nie zna Lei, i przed chwilą mówiła, że ją widziała tylko w garderobie! Patrzyłem, jak płomień spala w mgnieniu oka powieść, w której pisanie włożyłem milion minut. Po co? Po co? Zapewne rozumiałem, że Albertyna komunikuje mi te fakty, bo myśli, że się o nich dowiedział pośrednio od Lei. Czemu nie miałyby istnieć setki podobnych? Rozumiałem także, że słowa Albertyny, kiedy ją pytać o coś, nie zawierają nigdy ani atomu prawdy, że prawda wymyka się jej jedynie mimo woli, w nagłym zamieszaniu między faktami, które Albertyna dotąd była zdecydowana ukryć, a obawą jej, że ktoś już o nich może wiedzieć.

— Ale dwie rzeczy to nic — rzekłem. — Dojdźmy do czterech, żebyś mi zostawiła wspomnienia. Co możesz mi jeszcze wyznać?

Znów popatrzyła w próżnię. Do jakiej wiary w życie przyszłe dostrajała kłamstwo, z jakimi bogami mniej zgodliwymi, niżby przypuszczała, próbowała wejść w układy? To nie musiało być proste, bo jej milczenie i nieruchomość jej spojrzenia trwały dość długo.

— Nie, nic więcej — rzekła.

I mimo moich nalegań uparła się — już bez trudu — przy „nic więcej”. I co za kłamstwo! Bo skoro miała te skłonności, ileż razy, aż do dnia, w którym zamknąłem ją u siebie, ileż razy, w ilu mieszkaniach, na ilu spacerach musiała je zaspokajać! Gomorejki są zarazem na tyle rzadkie i na tyle liczne, że bodaj w największym tłumie jedna nie ujdzie niepostrzeżona oczom drugiej. I wówczas łatwo przychodzi do porozumienia.

Przypomniałem sobie ze zgrozą pewien wieczór, który w danej epoce wydawał mi się tylko śmieszny. Jeden z przyjaciół zaprosił mnie na obiad do restauracji wraz ze swoją kochanką i z innym przyjacielem, który przyprowadził swoją. Te kobiety prędko się odgadły; i tak pilno im było się posiąść, że od zupy nogi ich szukały się pod stołem, trafiając często na moją. Niebawem nogi zaplotły się o siebie. Moi dwaj przyjaciele nie widzieli nic; byłem na mękach. Jedna z kobiet, nie mogąc wytrzymać dłużej, weszła pod stół, mówiąc, że coś upuściła. Potem jedna dostała migreny i zachciała iść do umywalni. Druga spostrzegła, że czas jej iść do przyjaciółki do teatru. W końcu zostałem sam z dwoma przyjaciółmi, którzy nie domyślali się niczego. Owa z migreną wróciła, ale przeprosiła, że pójdzie sama do domu wcześniej, bo chce zażyć antypiryny. Bardzo się zaprzyjaźniły, chodziły razem na spacer; jedna, przebrana za mężczyznę, łowiła małe dziewczynki i sprowadzała je tamtej, uświadamiała je. Druga miała małego chłopca, na którego rzekomo się gniewała i kazała go karcić przyjaciółce, nieżałującej wówczas ręki. Można by rzec, że nie ma tak publicznego miejsca, gdzieby nie robiły tego, co najsekretniejsze.

— Ale Lea była przez cały czas tej podróży idealnie przyzwoita ze mną — rzekła Albertyna. — Była nawet bardziej uważająca niż wiele kobiet z towarzystwa.

— Czy kobiety z towarzystwa zachowywały się kiedyś z tobą niewłaściwie, Albertyno?

— Nigdy.

— Zatem co miałaś na myśli?

— No, to, że była o wiele mniej swobodna w słowach.

— Na przykład.

— Nie użyłaby, jak wiele kobiet, które się przyjmuje w towarzystwie, słowa „piłować” albo „gwizdać na coś”.

Miałem wrażenie, że część powieści, która jeszcze nie spłonęła, rozpada się wreszcie w popiół.

Moje zniechęcenie byłoby trwało. Słowa Albertyny, kiedym się nad nimi zastanawiał, wzbudzały we mnie szalony gniew. Z kolei gniew ustąpił jakiemuś roztkliwieniu. I ja też, od chwili gdy wróciłem i oświadczyłem, że chcę zerwać, kłamałem. I ta chęć zerwania, którą udawałem tak wytrwale, wzbudziła pomału we mnie coś ze smutku, który byłbym czuł, gdybym chciał naprawdę opuścić Albertynę.

Zresztą nawet myśląc napadami, nawrotami (jak się mówi o innych cierpieniach fizycznych), o orgiach, w jakich żyła Albertyna przed naszym poznaniem się, tym bardziej podziwiałem uległość mojej branki i przestałem się na nią gniewać.

Zapewne nigdy w ciągu naszego pożycia nie przestawałem dawać Albertynie do zrozumienia, że będzie ono pewno tylko tymczasowe; chciałem tym przedłużyć urok, jaki Albertyna mogłaby w nim znajdować. Ale tego wieczora posunąłem się dalej, zląkwszy się, że mgliste pogrożki zerwania mogą już nie wystarczać, zanulowane w myśli Albertyny przeświadczeniem o mojej wielkiej miłości i zazdrości, która mnie — Albertyna dawała to do zrozumienia — popchnęła do wywiadu u Verdurinów.

Tego wieczora pomyślałem, że spośród innych przyczyn, które mogły mnie nagle skłonić (z czego zdałbym sobie sprawę jedynie stopniowo) do tej komedii zerwania, było zwłaszcza moje usposobienie odziedziczone po ojcu. Kiedy mianowicie w jednym z owych wyskoków, jakie miewał mój ojciec, zagrażałem jakiejś istocie w jej poczuciu bezpieczeństwa, nie mając jak ojciec odwagi urzeczywistnienia groźby, szedłem dość daleko w pozorach realizacji, aby nie dopuścić wiary, że to były tylko słowa rzucone na wiatr; cofałem się dopiero wówczas, kiedy przeciwnik, zmylony zapewne moją szczerością, zadrział na dobre. Zresztą w tego rodzaju kłamstwach czujemy, że jest coś z prawdy; o ile życie nie przynosi zmian naszej miłości, my sami chcemy je wnieść albo udać, mówiąc o rozstaniu, bo w gruncie czujemy, że wszelka miłość i wszystkie rzeczy biegną szybko ku pożegnaniu. Chcemy, o wiele przed jego przyjściem, wyplakać łzy, które to rozstanie przyniesie. Z pewnością tym razem scena, którą odegrałem, miała swój praktyczny cel. Chciałem nagle zatrzymać Albertynę, bo czułem ją wmieszaną między inne istoty, czemu nie mogłem przeszkodzić. Ale gdyby się nawet na zawsze wyrzekła wszystkich dla mnie, tym bardziej może postanowiłbym nie opuścić jej nigdy, bo o ile zazdrość czyni rozstanie czymś okrutnym, wdzięczność uniemożliwia je. Czułem w każdym razie, że wydamę wielką bitwę, w której muszę zwyciężyć lub paść. Byłbym ofiarował Albertynie w jednej godzinie wszystko, com posiadał, bo powiedziałem sobie: wszystko zależy od tej bitwy, ale te bitwy mniej są podobne do owych dawniejszych, które trwały kilka godzin, niż do bitwy współczesnej, która nie kończy się ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień. Oddaje się wszystkie siły w przeświadczeniu, że to są ostatnie, jakich się będzie potrzebowało. I więcej niż rok mija, nie przynosząc „rozstrzygnięcia”. Może łączyła się z tym nieświadoma reminiscencja komedianckich scen pana de Charlus, w którego towarzystwie byłem, kiedy mnie ogarnął lęk, że Albertyna może mnie porzucić. Ale później usłyszałem od matki coś, o czym nie wiedziałem wówczas i co mi każe wierzyć, że wszystkie elementy tej sceny znalazłem w samym sobie, w owych mrocznych zasobach dziedziczności, które dochodzą w nas do głosu pod wpływem pewnych wzruszeń działających tak, jak w stosunku do naszych zamagazynowanych sił działają leki analogiczne do alkoholu i kawy. Kiedy ciocia Leonia słyszała od Eulalii, że Franciszka, pewna, iż pani jej nie wyjdzie już nigdy z domu, obmyśliła w sekrecie jakąś wyprawę, o której ciocia miała się nigdy nie dowiedzieć, w wilię owego dnia ciocia oznajmiała, niby to że spróbuje jutro wyjechać na spacer. Polecała niedowierzającej Franciszce nie tylko wszystko przygotować z góry, prze-

wietrzyć rzeczy, które były długi czas zamknięte, ale nawet zamówić powóz, ułożyć co do kwadransa wszystkie sprawy dzienne. I dopiero kiedy Franciszka, przekonana lub bodaj zaniepokojona, czuła się zmuszona wyznać własne projekty, wówczas ciocia wyrzekała się jawnie swoich, aby — powiadała — nie krzyżować planów Franciszki. Tak samo, aby Albertyna nie mogła myśleć, że ja przesadzam, i aby ją najskuteczniej umocnić w przekonaniu, że się rozstajemy, wyciągając konsekwencje z tego, com powiedział, zacząłem uprzedzać nasze jutrzejsze i rzekomo wiekuiste rozstanie, mówiąc do Albertyny tak i zalecając jej takie rzeczy, jak gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. Jak generałowie, którzy sądzą, że aby finta mogła oszukać nieprzyjaciela, trzeba ją posunąć jak najdalej, włożyłem w tę komedię niemal tyle serca, co gdyby miała być prawdą. Ta urojona scena rozstania przejęła mnie w końcu taką zgryzotą, jak gdyby była prawdziwa; może dlatego, że jeden z dwóch aktorów — Albertyna — uważając ją za prawdę, pomnażał złudzenie drugiego. Przy dotychczasowym życiu z dnia na dzień każdy dzień, nawet przykry, był jednak znośny, uwięziony balastem przyzwyczajenia oraz tą pewnością, że jutro, choćby miało być okrutne, będzie zawierało obecność drogiej istoty; i obecnie niweczyłem jak szalenięca całe to solidne życie. Niszczyłem je, to prawda, jedynie fikcyjnie, ale to wystarczyło, aby mnie osmucić; może dlatego, że smutne słowa, które wymawiamy, nawet kłamliwe, noszą w sobie swój smutek i wstrzykują go nam głęboko; może dlatego, że wiemy, iż udając pożegnanie, uprzedzamy godzinę, która nadejdzie kiedyś nieodwołalnie; a wreszcie nie jesteśmy całkiem pewni, czy nie poruszamy sprężyny, która każe tej godzinie wybić. We wszelkim blefie istnieje cząstka niepewności — bodaj najmniejsza — co do reakcji osoby, którą się zwodzi. Gdyby ta komedia rozstania miała się skończyć rozstaniem! Niepodobna sobie bez skurczu serca wyobrazić jego możliwości, nawet nieprawdopodobnej. Jest się podwójnie załknionym, bo rozstanie przyszłoby w chwili, gdy byłoby czymś nie do zniesienia, gdyśmy właśnie cierpieli przez kobietę; i odeszłaby, nie uleczywszy nas lub bodaj nie ukoiwszy! A wreszcie nie mamy już punktu oparcia w przyzwyczajeniu, na którym opieramy się nawet w zgryzocie. Dobrowolnie pozbawiliśmy się go; daliśmy obecnemu dniowi wyjątkową wagę; odcięliśmy go od przyległych dni; buja bez korzeni niby dzień wyjazdu; wyobraźnia nasza, nieparaliżowana już przyzwyczajeniem, obudziła się; przydaliśmy nagle naszej codziennej miłości sentymentalne marzenia i te zwiększają ją olbrzymio, rodzą w nas konieczną potrzebę jakiejś obecności, na którą nie możemy już bezzawodnie liczyć. Właśnie dlatego zapewne, aby sobie zapewnić tę obecność, puściliśmy się na komedię udania, że możemy się bez niej obejść. Ale złapaliśmy się sami, zaczęliśmy na nowo cierpieć przez to, żeśmy zrobili coś nowego, niezwykłego, coś na kształt owych kuracji, które mają później uleczyć chorobę, ale zrazu pogarszają ją.

Miałem łzy w oczach, jak ci, co będąc sami, kaprysem wyobraźni przeżywają śmierć ukochanej osoby i uzmysławiają sobie tak drobiazgowo własny ból, że w końcu go doznają, I tak, w miarę jak dawałem Albertynie zlecenia co do jej zachowania się w stosunku do mnie, wówczas gdy się rozstaniemy, miałem wrażenie, że odczuwam tyleż zgryzoty, co gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. A potem, czy byłem tak pewny, że zdołam to uczynić, że znów sprowadzę Albertynę do myśli o wspólnym życiu? A gdyby mi się to udało na ten wieczór, czy mogłem być pewny, że nie odrodzi się w niej poprzedni stan ducha? Czuję się panem przyszłości, ale nie wierzyłem w to panowanie; rozumiałem, że moje poczucie pochodzi tylko stąd, że ta przyszłość jeszcze nie istnieje i że tym samym nie przytłacza mnie jej konieczność. Kłamiąc tedy, byłem może bliższy prawdy, niż myślałem. Na przykład, kiedy mówiłem Albertynie, że rychło o niej zapomnę: zdarzyło mi się to w istocie z Gilbertą, której jeżeli teraz nie chciałem widzieć, to aby sobie oszczędzić niecierpienia, ale nudy. Niewątpliwie cierpiałem, oznajmiając niegdyś Gilbertcie, że już jej nie zobaczę, i chodziłem do niej jedynie z rzadka. Otóż wszystkie godziny Albertyny należały do mnie, a w miłości łatwiej jest wyrzec się uczucia niż przyzwyczajenia. Ale jeżeli miałem siłę wypowiedzieć tyle bolesnych słów w sprawie naszego rozstania, dlatego iż wiedziałem, że są kłamliwe, w zamian za to były one szczerze w ustach Albertyny, kiedy wykrzyknęła:

— Och! Przyrzekam ci, nie ujrę cię już nigdy. Wszystko raczej niż patrzeć, jak ty płaczesz, kochanie. Nie chcę ci robić przykrości. Skoro tak trzeba, nie zobaczymy się już nigdy.

Te słowa były szczere, czym nie mogłyby być w moich ustach; z jednej strony dlatego, że Albertyna miała dla mnie tylko przyjaźń, wyrzeczenie się zatem kosztowało ją mniej, z drugiej strony dlatego, że w momencie rozstania czułe rzeczy mówi ten, który nie kocha, ile że miłość nie wyraża się wprost; dlatego wreszcie, że moje lzy, które byłyby taką drobnostką w sferze wielkiej miłości, wydawały się Albertynie niemal czymś nadzwyczajnym i wstrząsały ją przeniesione w sferę przyjaźni, w której przebywała, owej przyjaźni większej niż moja wedle tego, co właśnie dopiero co wyrzekła. I nie było to może całkiem nieścisle, tysiączne bowiem objawy miłości mogą w końcu zrodzić w istocie, która je budzi, nie odczuwając ich sama, przywiązanie, wdzięczność mniej samolubne od uczucia, które je wywołało; i po latach rozłąki, kiedy nic nie zostanie z tego w dawnym kochanku, przetrwają one zawsze w ukochanej.

— Albertynko — odparłem — bardzo jesteś pocziwa, że mi to przyrzekasz. Zresztą, przez pierwsze lata przynajmniej, będę unikał miejsc, gdzie ty będziesz. Nie wiesz, czy pojedziesz tego roku do Balbec? W takim razie urządziłbym się tak, żeby tam nie jechać.

Jeżeli teraz posuwałem się dalej, uprzedzając czas w swoim kłamliwym zmyśleniu, czyniłem to zarówno po to, aby nastraszyć Albertynę, jak po to, aby zadać ból samemu sobie. Jak człowiek, który zrazu miał jedynie blahe powody do urazy, upija się wybuchami własnego głosu i ulega wściekłości zrodzonej nie z jego zarzutów, ale z samego rosnącego stopniowo gniewu, tak ja toczyłem się coraz to szybciej po pochyłości mojego smutku ku rozpaczycy coraz to głębszej, z bezwładem człowieka, który czując, że go ogarnia chłód, nie próbuje walczyć i znajduje nawet w drżeniu z zimna rodzaj przyjemności. I gdybym miał wreszcie za chwilę — jak na to liczyłem — siłę opanowania się, otrząśnięcia i dania kontrpary<sup>409</sup>, pocałunek Albertyny na dobranoc musiałby mnie pocieszyć nie tyle po zmartwieniu, jakie mi sprawiła, tak źle przyjmując mój powrót, ile po zmartwieniu, jakiemu się poddałem, wymyślając formalności urojonego rozstania (dla rzekomego uregulowania ich) i przewidując jego skutki. W każdym razie nie trzeba było, aby to Albertyna powiedziała mi owo „dobranoc” sama z siebie, co by mi utrudniło zwrot, jakim zaproponowałbym jej pojednanie. Toteż raz po raz przypominałem Albertynie, że godzina „dobranoc” od dawna już nadeszła, co zostawiając mi inicjatywę, pozwalało mi opóźnić je jeszcze na chwilę. W ten sposób aluzjami do tak spóźnionej pory i do naszego zmęczenia przeplatałem pytania, które zadawałem Albertynie.

— Nie wiem, dokąd się udam — odpowiedziała w zamyśleniu. — Może do Turenii, do ciotki. — I ten pierwszy szkic projektu zmroził mnie tak, jakby był istotnie początkiem ostatecznego rozstania. Popatrzyła na pokój, na pianolę, na niebieskie atlasowe fotele. — Nie mogę się jeszcze oswoić z myślą, że już tego nie zobaczę ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy. Biedny pokoik. Zdaje mi się, że to niemożliwe, to mi się nie mieści w głowie.

— Tak trzeba, byłaś tu nieszczęśliwa.

— Ależ nie, nie byłam nieszczęśliwa, dopiero teraz będę.

— Ależ nie, zapewniam cię, to lepiej dla ciebie.

— Może dla ciebie!

Zacząłem uparcie patrzeć w próżnię, tak jakbym opanowany głębokim wahaniem walczył przeciwko myśli przychodzącej mi do głowy:

— Słuchaj, Albertyno, mówisz, że jesteś tutaj szczęśliwsza, że będziesz nieszczęśliwa.

— Z pewnością.

— To wielki wstrząs dla mnie: czy chcesz, żebyśmy spróbowali przedłużyć o kilka tygodni... kto wie, tydzień po tygodniu można zająć bardzo daleko... wiesz, że istnieją prowizoria trwające w końcu wiecznie.

— Och, jaki byś ty był milusi!

— Ale w takim razie, szaleństwo jest tak się dręczyć bez powodu całe godziny; to tak jak podróż, do której się człowiek przygotowuje, a potem nie jedzie. Jestem jak zbity z tego wszystkiego.

Posadziłem ją na kolanach, wziąłem rękopis Bergotte'a, którego tak pragnęła, i napisałem na okładce: „Mojej małej Albertynce na pamiątkę odnowienia kontraktu.”

— Teraz — rzekłem — idź spać do jutra, kochanie, musisz być strasznie zmęczona.

<sup>409</sup>kontrpara — przeciwpara; para wpuszczana do cylindra maszyny parowej w celu zahamowania jej biegu. [przypis edytorski]



- Jestem zwłaszcza bardzo kontenta.
- Kochasz mnie troszeczkę?
- Jeszcze sto razy więcej niż przedtem.

Nie miałbym powodu do szczęścia, gdyby ta komedyjka nie osiągnęła tej perfekcji w wyreżyserowaniu, do jakiej ją doprowadziłem. Gdybyśmy tylko po prostu mówili o rozstaniu się, byłoby to dość groźne. Wymieniając takie słowa, człowiek myśli, że je wypowiada nie tylko nieszczerze (co jest w istocie prawdą), ale swobodnie. Otóż takie słowa są na ogół, bez naszej wiedzy, pierwszym szeptanym mimo naszej woli pomrukiem burzy, której się nie domyślamy. W istocie to co, wyrażamy wówczas, jest czymś przeciwnym naszemu pragnieniu (aby żyć zawsze z tą, którą kochamy); ale wyrażamy tym również ową niemożliwość wspólnego życia przynoszącą nam codzienne cierpienie — cierpienie, które wolimy od mąk rozstania, a które w końcu wbrew naszej woli nas rozłączy. Tak dzieje się zwykle, ale nie od razu. Najczęściej zdarza się — jak się okaże, z nami miało być inaczej — że w jakiś czas po słowach, w któreśmy nie wierzyli, wprowadzamy w czyn bezkształtny szkic dobrowolnego rozstania, niebolesnego, czasowego. Prosimy na przykład kobietę — po to aby później bardziej sobie podobała w naszym towarzystwie, a także chcąc sobie oszczędzić na chwilę ciągłych smutków i zmęczenia — prosimy ją, aby zrobiła bez nas lub pozwoliła nam zrobić bez niej kilkodniową podróż. To są — od bardzo dawna — pierwsze dni spędzone bez niej, co by się nam wprzód wydało niemożliwe. Bardzo prędko wraca, aby zająć miejsce przy naszym ognisku. Tylko że to rozstanie, krótkie, lecz spełnione, nie jest tak dobrowolnie postanowione i tak na pewno jedyne, jak sobie wyobrażamy. Wracają te same smutki, ta sama trudność pożycia; jedynie rozstanie się nie jest już czymś równie trudnym; zaczęło się o nim mówić, potem wykonało się je zgodnie. Ale to są tylko objawy wstępne, których nie odgadliśmy. Niebawem po rozstaniu chwilowym i uśmiechniętym nastąpi rozstanie okrutne i ostateczne, które przygotowaliśmy, nie wiedząc o tym.

— Przyjdź do mojego pokoju za pięć minut, abym cię mogła zobaczyć jeszcze trochę, kochanie. Będziesz bardzo milusi. Ale potem prędko zasnę, bo jestem jak nieżywa.

W istocie zastałem nieżywą, kiedy wszedłem za chwilę do jej pokoju. Ledwo się położywszy, usnęła; prześcieradła owinięte dokoła niej jak całun miały w swoich pięknych fałdach martwość kamienia. Można by rzec, że jak w niektórych *Sądach ostatecznych* średniowiecza, sama tylko głowa wystaje z grobu, oczekując we śnie trąby archaniola. Tę głowę zaskoczył sen przegiętą wstecz, ze zmierzwionymi włosami. I widząc owo leżące tam obojętne ciało, pytałem się, co za tabelę logarytmów ono stanowi, iżby wszystkie czynności, w którym bierze udział, od potrącenia łokciem do otarcia się suknią, mogły mi sprawiać tyle bólu — rozciągnięte aż po nieskończoność wszystkich punktów, jakie ciało to zajmowało kiedykolwiek w przestrzeni i w czasie, i od czasu do czasu wskrzeszone nagle w moim wspomnieniu. A przecież — wiedziałem o tym — czynności te wiązały się z jej ruchami, z jej pragnieniami, które byłyby mi u innej — u niej samej pięć lat przedtem lub potem — tak obojętne. Wszystko to było kłamstwem, ale kłamstwem, dla którego nie miałem odwagi szukać innego rozwiązania niż moja śmierć. I tak siedziałem w futrze, którego jeszcze nie zdjąłem, wróciwszy od Verdurinów, przed tym zwiniętym ciałem, przed tą alegorią czego? mojej śmierci? mojej miłości? Niebawem usłyszałem równy oddech Albertyny. Usiadłem na kraju łóżka; oddech ten w połączeniu z jej widokiem działał na mnie kojąco niby wietrzyk morski. Potem wyszedłem po cichu, aby jej nie budzić.

Było tak późno, że od rana kazałem Franciszce sprawować się bardzo cicho, kiedy będzie przechodziła koło pokoju Albertyny. Toteż Franciszka, przekonana, żeśmy spędzili noc na tym, co nazywała „orgiami”, zaleciła ironicznie reszcie służby, żeby nie „budzić księżniczki”. I to była jedna z rzeczy, których się bałem, mianowicie, że któregoś dnia Franciszka nie zdoła się powstrzymać, będzie niegrzeczna dla Albertyny i że to zamąci nasze życie. Franciszka nie była już wówczas w tym wieku, aby mogła znieść mężnie zazdrość, jak w epoce, gdy tak cierpiała, widząc, że ciocia Leonia faworyzuje Eulalię. Ta zazdrość zmieniała, paraliżowała twarz naszej służącej do tego stopnia, że chwilami zastanawiałem się, czy Franciszka na skutek jakiegoś wybuchu furii nie miała, bez mojej wiedzy, lekkiego ataku apopleksji.

Zaleciwszy, aby nie mącono snu Albertyny, sam nie mogłem zasnąć. Próbowałem zrozumieć, jaki jest prawdziwy stan jej ducha. Czy moja smutna komedia uchroniła mnie od prawdziwego niebezpieczeństwa; czy mimo iż Albertyna twierdziła, że się czuje u mnie tak szczęśliwa, w rzeczywistości myślała chwilami o odzyskaniu wolności, czy też przeciwnie, należało wierzyć jej słowom?

Która z dwóch hipotez była prawdą? O ile mi się zdarzało często, o ile miało mi się zwłaszcza zdarzyć, że kiedy próbowałem zrozumieć historyczny wypadek, powiększałem jakieś wydarzenie mego minionego życia do wymiarów historii, tego rana, na odwrót, nie przestałem zestawiać naszej wczorajszej sceny z pewnym dyplomatycznym faktem, który właśnie zaszedł. W ten sposób mimo wszystkich różnic starałem się zrozumieć jej doniosłość. Miałem może prawo tak rozumować. Bo bardzo prawdopodobnie bez mojej wiedzy przykład pana de Charlus był mi natchnieniem do tej kłamliwej sceny, którą on nieraz w moich oczach odgrywał z taką powagą; z drugiej strony była ona u niego może nie czym innym, jak nieświadomym rzutowaniem w sferę życia prywatnego instynktu jego niemieckiej rasy, prowokatorskiej przez chytrą, a w potrzebie wojowniczej z pychy. Ponieważ różne osoby, między innymi książę Monaco<sup>410</sup>, podsunęły rządowi francuskiemu myśl, że jeżeli się nie rozstanie z panem Delcassé<sup>411</sup>, odgrajające się Niemcy wypowiedzą nam w istocie wojnę, poproszono ministra spraw zagranicznych, aby się podał do dymisji. Zatem rząd francuski uznał za fakt intencje wojenne Niemiec, o ile nie ustąpimy. Ale inni myśleli, że chodziło tylko o prosty blef i że gdyby się Francja oparła, Niemcy nie dobyłyby miecza. Zapewne scenariusz był nie tylko różny, ale niemal odwrotny, bo nigdy Albertyna nie groziła mi zerwaniem; ale suma wrażeń zrodziła we mnie wiarę, że ona myśli o tym, tak jak rząd francuski uwierzył w intencje Niemiec. Z drugiej strony, jeżeli Niemcy pragnęły pokoju, wątpliwą i niebezpieczną grą było obudzić w rządzie francuskim myśl o możliwości wojny. Niewątpliwie, moje postępowanie było dość zręczne, w razie jeżeli myśl, że ja się nigdy nie zdecyduję na zerwanie, zbudziła w Albertynie nagle pragnienia swobody. I jak uwierzyć, że ona nie ma tych pragnień, nie zgadywać w niej całego sekretnego życia dążącego do zadowolenia jej zboczeń? Wystarczył sam gniew, z jakim wykrzyknęła: „Byłam pewna!”, dowiedziawszy się, że byłem u Verdurinów, i z jakim zdemaskowała się do reszty, mówiąc: „Miała być u nich panna Vinteuil”. Wszystko to potwierdzało widzenie się Albertyny z panią Verdurin, które mi zdradziła Anna. Ale może jednak te nagle żądze swobody (powiadałem sobie, próbując iść wbrew swemu instynktowi) wynikały — o ile istniały — lub miały w końcu wyniknąć z przeciwnej myśli; mianowicie z tego, że ja nigdy nie miałem zamiaru ożenić się z Albertyną, że mówiłem prawdę, robiąc jakby mimo woli aluzje do naszego bliskiego rozstania się, że ją w każdym razie opuszczę prędzej czy później. Dzisiejsza moja scena musiała w takim razie jedynie umocnić tę wiarę i mogła zrodzić w niej to postanowienie: „Jeżeli to ma nieuchronnie przyjść, lepiej skończyć z tym od razu”. Przygotowania wojenne, które najfałszywsza z maksym zachwała dla utrzymania pokoju, stwarzają, przeciwnie, u każdego z przeciwników wiarę, że drugi pragnie zerwania, wiarę, która sprowadza zerwanie, kiedy zaś ono nastąpiło, stwarzają u każdego z przeciwników przeświadczenie, że to druga strona chciała tego. Nawet jeżeli groźba nie była szczerą, sukces skłania do powtórzenia jej. Ale trudno określić ściśle punkt, do którego blef może się udać; jeżeli jeden z graczy posunie się za daleko, drugi, ustępujący dotąd, postępuje naprzód; pierwszy, nie umiejąc już zmienić metody, oswojony z myślą, iż udawać, że się nie boi zerwania, jest najlepszym sposobem uniknięcia go (jak ja tego wieczora z Albertyną), popychany zresztą przez dumę ku temu, aby raczej ulec niż ustąpić, trwa w swojej pogroźce aż do chwili, w której nikt nie może się już cofnąć. W ten sposób blef może się mieszać ze szczerością, zmieniać się z nią kolejno i to, co było grą wczoraj, może się stać rzeczywistością jutro. Może się wreszcie też zdarzyć, że jeden z przeciwników jest w istocie zdecydowany na wojnę; może Albertyna na przykład zamierzała wcześniej lub później przerwać to życie lub przeciwnie,

<sup>410</sup>książę Monaco — Albert I (1848–1922), książę Monako (od 1889). [przypis edytorski]

<sup>411</sup>Delcassé, Théophile (1852–1923) — francuski polityk, minister spraw zagranicznych w latach 1898–1905; podczas kryzysu marokańskiego (1905) przekonywał, że mimo gróźb Niemcy nie zdecydują się na wojnę, a nawet gdyby do niej doszło, Wielka Brytania stanie po stronie Francji; przegłosowany przez Radę Ministrów, podał się do dymisji. [przypis edytorski]

może jej ta myśl nigdy nie powstała w głowie i jedynie moja wyobraźnia wyroiła od „a” do „zet” to wszystko.

Takie były hipotezy, które roztrząsałem tego rana w czasie snu Albertyny. Co do ostatniej hipotezy, mogę wszelako powiedzieć, że jeżeli kiedyś później groziłem Albertynie, że ją porzucę, to tylko po to, aby przeciwdziałać jej zachceniom zdróżnej swobody. Nie wyrażała ich, ale wyczuwałem je w tajemniczych niehumorach, słowach, gestach, do których ta myśl była jedynym możliwym kluczem, gdy Albertyna wzbraniała się udzielić mi jakiegokolwiek wytłumaczenia. Często zresztą stwierdzałem te objawy, nie czyniąc żadnej aluzji do mózgowego rozstania; wówczas sądziłem, że płyną z dąsów, które skończą się tego samego dnia. Ale te dąsy trwały czasami bez przerwy przez całe tygodnie, w ciągu których zdawało się, że Albertyna chce wywołać konflikt, tak jakby w tej chwili, w mniej lub więcej odległej strefie, widziała jakieś przyjemności, których pozbawiała jej niewola u mnie i które wpływały na nią aż do chwili ich końca, jak owe zmiany atmosferyczne, które nawet w zaciszu przy kominku oddziałują na nasze nerwy, nawet z tak daleka jak gdzieś z Wysp Balearskich.

Tego rana, podczas gdy Albertyna spała i kiedy próbowałem zgadnąć, co w niej siedzi, dostałem list od matki. Wyrażała niepokój, że nie wie nic o naszych postanowieniach: a wyrażała go w tych słowach pani de Sévigné: „Co do mnie, jestem przekonana, że się nie ożeni; ale w takim razie po co mącić spokój dziewczyny, której nie zaślubi nigdy? Po co narażać ją na to, że odrzuci i zlekceważy jakąś dobrą partię. Po co zamącać myśli osoby, której tak łatwo byłoby unikać?”. Ten list sprowadził mnie na ziemię. „Po co szukać tajemniczej duszy, tłumaczyć wyraz twarzy i żyć wśród przeczuć, których nie śmiem zgłębić — powiadałem sobie. — Roilem majaki, a rzecz jest całkiem prosta. Jestem młodym człowiekiem, niezdecydowanym, a chodzi o jedno z owych małżeństw, w których się przez jakiś czas waży, czy rzecz dojdzie do skutku czy nie. Nie ma w tym nic specjalnego dla Albertyny”.

Ta myśl przyniosła mi odprężenie głębokie, lecz krótkie. Prędko powiedziałem sobie: jeśli się bierze rzecz z perspektywy społecznej, można w istocie wszystko sprowadzić do najpotoczniejszej codzienności. Z zewnątrz może w ten sposób bym to widział. Ale wiem dobrze, że prawdziwe — lub co najmniej także prawdziwe — jest wszystko, co myślałem, co czytałem w oczach Albertyny; obawy, które mnie dręczą, problemat, który sobie wciąż stawiam wobec niej. Historia wahającego się oblubieńca i zerwanego małżeństwa może temu odpowiadać, jak recenzja rozsądnego dziennikarza może dać treść sztuki Ibsena. Ale jest coś innego niż to streszczenie faktów. Prawda, że ta inna rzecz istnieje może (gdyby się ją umiało widzieć) u wszystkich wahających się narzeczonych i we wszystkich opóźniających się małżeństwach: życie codzienne też ma swój element tajemnicy. Mogłem zaniedbać ten element, patrząc na życie innych, ale życie Albertyny i swoje przeżywałem od wewnątrz.

Począwszy od tego wieczora, Albertyna nie mówiła mi, tak samo jak nie mówiła w przeszłości: „Wiem, że nie masz do mnie zaufania, spróbuję rozwiązać twoje podejrzenia”. Ale ta niewyrażona nigdy myśl mogłaby posłużyć za klucz do jej najdrobniejszych postępków. Nie tylko urządziła się tak, aby ani na chwilę nigdy nie być sama, i tak, że bym zawsze musiał wiedzieć, co ona robiła, o ile bym nie wierzył jej własnym słowom, ale nawet kiedy miała telefonować do Anny, do garażu, do maneżu<sup>412</sup> lub gdzie indziej, twierdziła, że nudne jest siedzieć przy telefonie, czekając bez końca na połączenie, i starała się o to, abym siedział koło niej, lub w braku mnie Franciszka, tak jakby się bała, że mogę sobie wyroić jakieś występne telefony, zwiastuny tajemniczych schadzek.

Niestety, wszystko to nie uspakajało mnie. Przyszedł na mnie dzień zniechęcenia. Aimé odesłał mi fotografię Estery, powiadając, że to nie ta. Zatem Albertyna miała inne bliskie przyjaciółki prócz tej, co do której (dzięki temu, że ona źle zrozumiała moje słowa) wykryłem, myśląc, że mówię całkiem o czym innym, że ona dała jej fotografię. Odesłałem tę fotografię Blochowi. Byłbym chciał widzieć zwłaszcza tę, którą Albertyna dała Esterze. Jak wyglądała? Może wydekoltowana, kto wie? Ale nie śmiałem wspomnieć o tym Albertynie (bo zdradziłbym się, że nie widział fotografii) ani Blochowi, przed którym znów nie chciałem się zdradzić, że się interesuję Albertyną. I to nowe życie, któ-

<sup>412</sup>maneż — pomieszczenie do nauki konnej jazdy, ujeżdżalnia koni. [przypis edytorski]

re wydaloby się tak okrutne każdemu znającemu moje podejrzenia i niewolę Albertyny z zewnątrz, dla Franciszki, uchodziło za życie niezasłużonych przyjemności, które umie zręcznie wyludzać ta „czarownica”, ta „szarlatantka”, jak powiadała Franciszka, używająca znacznie częściej rodzaju żeńskiego niż męskiego, będąc bardziej zawistna o kobiety. A że Franciszka w zetknięciu ze mną wzbogaciła swój słownik nowymi terminami, ale przerabiając je na swój sposób, mówiła nawet o Albertynie, że nigdy nie znała osoby tak „chytrej”, która umie „naciągać”, grając tak dobrze komedię (co Franciszka, mieszając łatwo pojęcia szczególne i ogólne i mająca dość mętne idee o rodzajach sztuki dramatycznej, nazywała „grać balet”). Za tę omyłkę Franciszki co do istotnego mego pożycia z Albertyną, sam byłem poniekąd odpowiedzialny przez mętne aluzje, jakim w rozmowie z Franciszką pozwalałem się zręcznie wymykać bądź przez chęć droczenia się z nią, bądź przez chęć wyglądanania na człowieka, jeżeli nie kochanego, to bodaj szczęśliwego. A jednak z mojej zazdrości, z nadzoru, jaki roztaczałem nad Albertyną (co byłbym tak bardzo chciał ukryć przed Franciszką), Franciszka odgadła rychło prawdę, wiedziona — jak spirytysta, który z zawiązanymi oczami znajduje jakiś przedmiot — swoistym wyczuciem tego, co mogło mi być przykre, intuicją niedającą się zmylić moim kłamstwom. Była w tym i owa jasnowidząca nienawiść, która parła Franciszkę nie tylko do wierzenia, że jej nieprzyjaciółki są szczęśliwsze, sprytniejsze, niż były w istocie, ale do odkrycia tego, co może je zgubić i przyspieszyć ich upadek. Franciszka z pewnością nie robiła nigdy żadnych scen Albertynie. Ale znałem jej sztukę insynuacji, sposób, w jaki umiała wyzyskać wymowne *mise en scène*, i nie sądzę, aby się oparła rozkoszy codziennego upokarzania Albertyny rolą, jaką Albertyna odgrywa w naszym domu, drażnienia jej umiejętnie przesadzonym obrazem zamknięcia, na jakie jest skazana. Zastałem raz Franciszkę, jak nasadziwszy wielkie okulary, szperała w moich papierach i wsuwała między nie arkusz, na którym zanotowałem opowiadanie dotyczące się Swanna oraz jego niemożności obycia się bez Odety. Czy zawlekła ten arkusz przez nieuwagę do pokoju Albertyny? Zresztą ponad wszystkie domysłniki Franciszki, które były jedynie basowym, głuchym i perfidnym akompaniamentem, z pewnością musiał się wznosić donośniejszy, wyraźniejszy, natarczywszy, oskarżający i potwarczy głos Verdurinów, podrażnionych tym, że Albertyna trzyma mnie mimo woli — a ja ją rozmyślnie — z dala od małego klanu.

Co się tyczy pieniędzy, które wydawałem na Albertynę, prawie niepodobna było mi ukryć się z tym przed Franciszką, bo nie mogłem przed nią ukryć żadnego wydatku. Franciszka miała mało wad, ale te wady stworzyły w niej, na swoje usługi, prawdziwe talenty, których często jej brakło poza sferą tych wad. Główną z nich była ciekawość w zastosowaniu do pieniędzy wydawanych przez nas na kogoś innego. Kiedy miałem uregulować rachunek, dać napiwek, daremnie się chronilem na stronę, zawsze znalazła pretekst jakiegoś talerza, serwetki, coś, co by jej się pozwoliło przybliżyć. I choćbym jej zostawił jak najmniej czasu, wyprawiając ją wściekły z pokoju, ta kobieta, która już prawie nie widziała, która ledwie umiała rachować, dostrzegała ukradkiem i błyskawicznie obliczała sumę, którą dawałem, wiedziona tym samym zmysłem, który sprawia, że krawiec, widząc cię, szacuje instynktownie materiał twojego ubrania, zgoła nie mogąc się wstrzymać od pomacania go, lub że malarz wrażliwy jest na grę kolorów. I aby nie mogła powiedzieć Albertynie, że przekupuję szofera, uprzedzałem Franciszkę i usprawiedliwiając swój napiwek, mówiłem: „Chciałem dobrze usposobić szofera, dałem mu dziesięć franków”. Bezlitosna Franciszka, której wystarczył jeden rzut oka niby u starego, prawie ślepego orła, odpowiadała: „Ależ nie, pan mu dał czterdzieści trzy franki na piwo. Powiedział, że mu się należy czterdzieści pięć franków, pan dał sto franków, a on wydał tylko dwanaście”. Miała czas sprawdzić i obliczyć cyfrę napiwku, której ja sam nie znałem.

Zastanawiałem się, czy Albertyna, czując swą niewolę, nie zrealizuje sama rozstania, którym jej groziłem, bo życie, zmieniając się, zmienia nasze bajki w rzeczywistość. Za każdym razem kiedy słyszałem otwierające się drzwi, wstrząsał mną ów dreszcz, jaki babka miała w czasie agonii przy każdym moim dzwonku. Nie sądziłem, żeby Albertyna wyszła, nie uprzedziwszy mnie, ale myślała to moja podświadomość, jak podświadomość babki słyszała dzwonek, mimo że sama babka była nieprzytomna. Pewnego rana uczułem nagle niepokój, że Albertyna nie tylko wyszła, ale opuściła dom; usłyszałem trzask, miałem wrażenie, że to jej drzwi. Zakradłem się na palcach, wszedłem, stanąłem w progu. Ujrzałem w mroku wysklepioną koldrę; widocznie Albertyna, wygięta w łuk, spała z nogami

i z głową do ściany. Jedynie przelewające się poza łóżko obfite i czarne włosy pozwoliły mi zrozumieć, że to ona, że nie otworzyła drzwi, nie ruszyła się; uczulem ten nieruchomy i żywy łuk, w którym mieściło się całe życie ludzkie, będący jedyną rzeczą, do której przywiązywałem cenę — uczulem, że ona jest tutaj, w mojej władzy.

Jeżeli celem Albertyny było przywrócić mi spokój, udało się jej to po części; rozum mój pragnął zresztą jedynie dowieść, że się pomylił co do złych zamiarów Albertyny, tak jak się może omyliłem co do jej przewrotnych instynktów. Niewątpliwie w bilans argumentów dostarczanych mi przez rozum wchodziła moja chęć zadowolenia się nimi. Ale aby być sprawiedliwym i mieć szansę widzenia prawdy, czyż nie trzeba mi było powiedzieć sobie, że jeżeli rozsądek, starając się wrócić mi zdrowie moralne, pozwalał się wieść memu pragnieniu, w zamian za to w tym, co się tyczyło panny Vinteuil, zbroceń Albertyny, jej głodu innego życia, jej projektu zerwania, będących niby wnioskiem wysnutym z jej zbroceń, instynkt mój, pędząc mnie w chorobę, mógł się dać omylić zazdrości? Chyba że się w ogóle przyjmie, iż prawdę można znać jedynie w drodze przeczucia, telepatii. Zresztą owo jej odcięcie od świata — które Albertyna siliła się tak przemyślnie uczynić absolutnym — owo odcięcie, kojąc moją mękę, stłumiło stopniowo podejrzliwość i kiedy wieczór znów sprowadzał udręki, mogłem znaleźć w obecności Albertyny ukojenie pierwszych dni. Siedząc przy łóżku, mówiła ze mną o nowej sukni lub o jakimś przedmiocie, darach, którymi wciąż ją obsypywałem, aby jej uczynić życie miłszym, a więzienie ładniejszym. Zrazu Albertyna myślała tylko o strojach i meblach. Teraz interesowały ją srebra. Toteż wypytywałem się pana de Charlus o stare francuskie srebro, a to dlatego, że kiedyśmy robili projekt posiadania jachtu — projekt uznany za nieosiągalny przez Albertynę, a także przeze mnie, ilekroć każąc mi wierzyć w cnotę Albertyny, moja słabnąca zazdrość nie dławiała już innych pragnień, w których ona nie miała miejsca, a których zaspokojenie wymagało również pieniędzy — poprosiliśmy na wszelki wypadek — i bez wiary Albertyny w to, żebyśmy mieli kiedy jacht — Elstira o rady. Otóż tak samo jak w strojach damskich, tak i w urządzeniu jachtu smak malarza był wyrafinowany i trudny. Uznawał jedynie meble angielskie i stare srebro. To skłoniło Albertynę, od powrotu z Balbec, do czytania dzieł o sztuce jubilerskiej, o stemplach starych grawerów. Ale stare srebro, dwa razy przetopione, raz w momencie traktatu utrechckiego<sup>413</sup>, kiedy sam król, pociągając swoim przykładem magnatów, oddał własną zastawę, drugi raz w roku 1789, jest niezmiernie rzadkie. Z drugiej strony, mimo iż nowocześni złotnicy odtworzyli całe to srebro wedle rysunków Pont-aux-Choux, Elstir uważał te nowe antyki za niegodne domu kobiety ze smakiem, choćby domu pływającego. Wiedziałem, że Albertyna czytała opis cudów, jakie Roettiers<sup>414</sup> wykonał dla pani du Barry. Umierała z ochoty — jeżeli coś z tego ocalało — oglądania tych sreber, a ja umierałem z ochoty ofiarowania jej ich. Zaczęła nawet gromadzić kolekcje, które układała z uroczym smakiem za witryną i na które nie mogłem patrzeć bez rozczulenia i bez lęku, bo sztuka, z jaką je układała, była wytworem cierpliwości, pomysłowości, nostalgii, potrzeby zapomnienia — znamienych dla więźniów.

Co się tyczy toalet, podobały się jej w tej chwili zwłaszcza modele Fortuny'ego. Suknie Fortuny'ego, z których jedną widziałem na pani de Guermantes, to były te, które zapowiadał nam Elstir, mówiąc o wspaniałych strojach z czasu Carpaccia<sup>415</sup> i Tycjana<sup>416</sup>. Odrodziły się z popiołów, w całym przepychu — bo wszystko musi wrócić, jak jest napisane na sklepieniach Św. Marka i jak to głoszą, pijąc z marmurowych i jaspisowych urn bizantyńskich kapitelów, ptaki oznaczające równocześnie śmierć i zmartwychwstanie. Z chwilą gdy kobiety zaczęły nosić te suknie, Albertyna przypominała sobie wróżby Elstira i zapragnęła je mieć; mieliśmy się wybrać, aby jej sprawić taką toaletę. Otóż te suknie, nie będąc z tych prawdziwie starych, w których dzisiaj kobiety wyglądają zanad-

<sup>413</sup>*traktat utrechcki* (1713) — traktat pokojowy zawarty w Utrechcie (Holandia), kończący hiszpańską wojnę sukcesyjną (1701–1714), na mocy którego Filip V (wnuk Ludwika XIV) zachował tron Hiszpanii wraz z koloniami, zrzekając się jednocześnie praw do tronu Francji, zaś Ludwik XIV zrzekł się praw dynastycznych do Hiszpanii, co miało zapewnić zachowanie równowagi sił w Europie. [przypis edytorski]

<sup>414</sup>*Roettiers, Joseph* (1635–1703) — francuski medalier, złotnik i grawer; grawer generalny, jeden z artystów wykonujących serię medali dla króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>*Carpaccio, Vittore* (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>416</sup>*Tycjan, właśc. Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) — włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

to teatralnie i które ładniejsze są po prostu na wystawie (szukałem zresztą i takich dla Albertyny), nie miały również chłodu pastiszu, fałszywego antyku. Na sposób dekoracji Serta<sup>417</sup>, Baksta<sup>418</sup> i Benoist<sup>419</sup>, którzy w tej chwili wywoływali w baletach rosyjskich najukochańsze epoki sztuki — przy pomocy dzieł nasyconych ich duchem, a mimo to odrębnych — te suknie Fortuny’ego, ściśle staroświeckie, ale na wskroś oryginalne, ukazywały niby dekorację — nawet z większą siłą wizji niż dekoracja, bo dekorację trzeba by wymyślić — Wenecję zawaloną Wschodem, gdzie te suknie noszono; Wenecję, której były — bardziej niż relikwia w relikwiarzu Św. Marka wywołująca słońce i otaczające turbany — cząstkowym, tajemniczym i dopełniającym kolorem. Wszystko zginęło z owego czasu, ale wszystko się odradzało, wywołane po to, aby przez fragmentarycznie wskrzeszone materie dogares<sup>420</sup> skojarzyć wspaniałość krajobrazu z kłębieniem się życia.

Raz czy dwa chciałem w tym przedmiocie poradzić się pani de Guermantes. Ale księżna nie lubiła toalet będących kostiumem. Jej samej, mimo że miała takie suknie, w niczym nie było tak do twarzy jak w czarnym aksamicie, z brylantami. W zakresie sukien Fortuny’ego nie była najlepszą doradczynią. Zresztą bałem się, że gdybym ją poprosił o radę, wydawałoby się, że chodzę do niej jedynie wtedy, kiedy jej przypadkiem potrzebuję, podczas gdy od dawna uchylałem się kilka razy na tydzień od jej zaproszeń.

Nie tylko zresztą od księżnej otrzymywałem je w takiej obfitości. Z pewnością ona i liczne panie były zawsze dla mnie bardzo uprzejme. Ale moje odcięcie się zdziesięciokrotniło z pewnością tę uprzejmość. Zdaje się, że w życiu światowym, błahym odbiciu spraw miłości, aby być pożądanym, najlepszym sposobem jest umykać się. Jakiś męczyzna oblicza wszystkie korzystne szczegóły, jakimi może olśnić kobietę, przebiera się bez końca, wdzięczy się i nie uzyska od niej nic z owych względów, jakie ma dlań inna, zdradzana przez niego, którą przykuł do siebie na zawsze, mimo że się jej pokazuje nieumyty i bez żadnej kokieterii. Tak samo, gdyby ktoś ubolewał, że nie jest dość poszukiwany w towarzystwie, poradziłbym mu nie zwiększenie liczby wizyt ani piękniejszy ekwipaż, ale poradziłbym mu, żeby ignorował wszelkie zaproszenia, żył zamknięty w swoim pokoju, nie wpuszczał nikogo — wówczas miałby ogonek pod swymi drzwiami. Lub raczej nie powiedziałbym mu tego: bo ten niezawodny sposób udaje się jedynie jak sposób zyskania miłości; to znaczy jeżeli go ktoś nie obrał umyślnie; jeżeli na przykład zamknie się w domu dlatego, że jest poważnie chory lub myśli, że jest chory, lub trzyma w domu uwięzioną kochankę milszą mu od świata (albo wszystkie trzy rzeczy naraz). I to wystarczy dla świata — mimo iż świat nie wie o istnieniu tej kobiety, po prostu dlatego, że się bronisz przed nim — aby cię wołał od wszystkich, co mu się narzucają, i aby się zapalił do ciebie.

— Trzeba nam się będzie zająć twoimi sukniemi od Fortuny’ego — rzekłem pewnego wieczora do Albertyny. I z pewnością dla niej, która długo pragnęła tych sukien i długo wybierała je ze mną, która zachowała dla nich zawczasu miejsce nie tylko w szafie, ale w wyobraźni, posiadać te suknie, których każdy szczegół długo badała, aby się zdecydować między tyłoma innymi, byłoby czymś więcej niż dla kobiety zbyt bogatej, która ma więcej sukien, niż pragnie, i nie patrzy nawet na nie. Jednak mimo uśmiechu, jakim Albertyna podziękowała, mówiąc: „Kochany jesteś”, zauważyłem u niej wymowny wyraz zmęczenia, nawet smutku.

W oczekiwaniu aż te suknie będą gotowe, poprosiłem o pożyczenie mi paru (czasem nawet tylko materii) i ubierałem w nie Albertynę, drapowałem je na niej; przechadzała się po pokoju z majestatem dogaresy i z wdziękiem manekina. Ale niewola w Paryżu stała mi się cięższa od widoku tych sukien wskrzeszających mi Wenecję. Zapewne Albertyna była o wiele bardziej więźniem ode mnie. I ciekawe było, w jaki sposób poprzez mury więzienia los, który przeobraża ludzi, mógł ją przeniknąć i zmienić w samej jej istocie, z młodej dziewczyny z Balbec robiąc nudną i posłuszną brankę. Tak, mury więzienia

<sup>417</sup>Sert, José María (1874–1945) — hiszpański malarz pochodzący z Katalonii, szczególnie znany z malowideł ściennych na budynkach publicznych; projektant kostiumów dla Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>Bakst, Léon (1866–1924) — rosyjski malarz, projektant scenografii i kostiumów teatralnych pochodzenia białoruskiego, członek Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>419</sup>Benoist, Benoît (1870–1960) — rosyjski malarz, ilustrator i scenograf, tworzący w stylu secesji; projektował awangardowe scenografie do przedstawień Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>420</sup>dogaresa (wł.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

nie przeszkodziły przedostać się temu wpływowi; może nawet one go stworzyły. To nie była już ta sama Albertyna, bo nie była już, jak w Balbec, bez ustanku pomykająca na rowerze, nieuchwytna z powodu mnóstwa małych plaż, gdzie nocowała u przyjaciółek i gdzie zresztą kłamstwa jej czyniły ją trudniejszą do osiągnięcia; dlatego, bo zamknięta u mnie, posłuszna i samotna, nie była już nawet tym, czym w Balbec, o ile zdołałem jej dopaść, była na plaży: istotą wymykającą się, ostrożną i krętą, której obecność wydłużała się w tyle zgrabnie pokrywanych „randek”, potęgujących miłość moją cierpieniem, które mi to zadawało; istotą, w której pod jej chłodem dla innych i pod banalnymi odpowiedziami czuło się wczorajszą i jutrzejszą schadzkę, dla mnie zaś myśl wzdychającą i chytrą; nie była dziś tą samą, bo wiatr od morza nie wzdymał już jej sukien, bo podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa<sup>421</sup>. Dziś była ociężałą niewolnicą, której rad byłbym się pozbyć.

Wówczas, aby zmienić bieg myśli, sprzykrzywszy sobie karty lub warcaby z Albertyną, prosiłem, żeby mi coś zagrała. Leżałem w łóżku, a ona siadała w drugim końcu pokoju przy pianoli, między skrzydłami biblioteki. Wybierała utwory całkiem nowe lub te, które mi przegrała dopiero raz czy dwa, bo znając mnie już trochę, wiedziała, że lubię chłonąć jedynie to, co mi było jeszcze ciemne, szczęśliwy, że mogę w ciągu tych kolejnych produkcji kojarzyć z sobą — dzięki rosnącemu, ale niestety zniekształcającemu i obcemu światłu mojej inteligencji — fragmentaryczne i przerywane linie konstrukcji zrazu niemal zatopionej we mgle. Wiedziała i jak sądzę, rozumiała radość, jaką dawał wówczas memu duchowi trud modelowania bezkształtnej jeszcze mgławicy. Zgadywała, że za trzecim lub czwartym wykonaniem inteligencja moja, objawwszy wszystkie partie, tym samym pomieściwszy je w jednej odległości, nie potrzebując już ustosunkowywać się do nich czynnie, rozpostarła je i ustaliła na jednej płaszczyźnie. Ale Albertyna nie przechodziła do innego utworu, bo nie zdając sobie może dobrze sprawy z procesu, który we mnie zachodził, wiedziała, iż w chwili gdy praca mojego intelektu zdołała rozproszyć tajemnicę dzieła, rzadko zdarzało się, aby przez kompensatę, w ciągu swego niewdzięcznego trudu, nie uszczknął on jakiejś wartościowej refleksji. I w dniu gdy Albertyna mówiła: „Damy ten rulon Franciszce, żeby go wymieniła na inny”, często znaczyło to dla mnie jeden utwór muzyczny na świecie mniej, ale jedną prawdę więcej.

Podczas gdy Albertyna grała, z bujnych jej włosów mogłem widzieć jedynie czarny kok w kształcie serca tuż koło ucha, niby u infantki Velasqueza<sup>422</sup>. Tak samo jak na bryłowatość tego Anioła muzyki składały się mnogie łączniki między różnymi punktami przeszłości, które wspomnienie jej zajmowało we mnie, i jego rozmaite siedziby, od wzroku aż do najbardziej wewnętrznych wrażeń mojej istoty, pomagających mi wnikać w nią samą, tak utwór, który wykonywała, miał też bryłowatość stworzoną przez nierówną widzialność rozmaitych fraz, zależnie od stopnia, w jakim mi się udało je rozjaśnić i połączyć między sobą linie konstrukcji, która mi się zrazu wydała całkowicie niemal utopiona we mgle.

Zdałem sobie dobrze sprawę, że absurdem jest być zazdrosnym o pannę Vinteuil i o jej przyjaciółkę wobec tego, że Albertyna od czasu swego wyznania wcale nie starała się ich widzieć i z wszystkich naszych projektów wilegiatury<sup>423</sup> dobrowolnie wyłączyła Combray, tak bliskie Montjouvain. Toteż często prosiłem Albertynę, żeby mi grała utwory Vinteuila, i nie czułem przy tym bólu. Jeden jedyny raz muzyka Vinteuila stała się dla mnie pośrednio powodem zazdrości. W istocie Albertyna, wiedząc, że słyszał utwór Vinteuila w wykonaniu Morela u pani Verdurin, wyraziła pewnego wieczora chęć usłyszenia i poznania Morela. Było to rychło po tym, jak się dowiedziałem o istnieniu listu Lei, mimo woli przejętego przez pana de Charlus. Zastanawiałem się, czy Lea nie opowiadała Albertynie o Morelu. Słowa „świnko, perwersiaczko” przypominały mi się ze zgrozą. Ale właśnie dlatego, że w ten sposób utwór Vinteuila kojarzył się boleśnie już nie z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, ale z Leą, odkąd spowodowany przez Leę

<sup>421</sup> podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa — nawiązanie do wizerunku uskrzydłonej greckiej bogini zwycięstwa, który ukazuje hellenistyczna rzeźba *Nike z Samotraki*, od 1884 eksponowana w pałacu Luwrze. [przypis edytorski]

<sup>422</sup> Velásquez, *Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Panny dworskie* z 1656 przedstawia pięcioletnią wówczas infantkę (córkę królewską) Małgorzatę Teresę w otoczeniu dworzan. [przypis edytorski]

<sup>423</sup> wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

ból się uśmierzył, mogłem słuchać spokojnie tej muzyki; jedna choroba wyleczyła mnie z możliwości innych. I pewne frazy Vinteuila, frazy niespostrzeżone u pani Verdurin, wówczas będące niby ciemne i niewyraźne poczwarki, stawały się olśniewającą architekturą; niektóre z nich stawały mi się bliskie, i to takie, które ledwie rozróżniłem zrazu, które w najlepszym razie wydały mi się brzydkie. Nie przyszłoby mi na myśl, że są jak owi ludzie antypatyczni z pierwszego wejrzenia, a których dopiero z czasem poznaje się naprawdę takimi, jak są. Między tymi stanami zachodziło istotne przeobrażenie. Z drugiej strony, frazy, które za pierwszym razem u pani Verdurin rozróżniłem, ale ich nie rozpoznałem, utożsamiały mi się teraz z frazami z innych dzieł, na przykład z *Wariacji* na organy. Fraza ta u pani Verdurin przeszła niepostrzeżona przeze mnie w septyecie, gdzie jednak, niby święta, która zstąpiła ze stopni sanktuarium, znalazła się wmieszana między domowe wróżki muzyka. Z drugiej strony, inna fraza, która mi się niegdyś wydała zbyt mało melodyjna, zbyt mechaniczna w rozkołysanym rytmie radości południowych dzwonów, stała mi się teraz najmiłszą, czy że się przyzwyczaiłem do jej brzydoty, czy że odkryłem jej piękno. Tę reakcję po zawodzie, jaki zrazu sprawiają arcydzieła, można przypisać osłabnięciu pierwotnego wrażenia lub wysiłkowi potrzebnemu do wydobycia prawdy. Dwie hipotezy, wciąż się nastęrczające dla wszystkich ważnych zagadnień: rzeczywistości Sztuki, Wieczności duszy; trzeba wybrać między nimi; w muzyce Vinteuila wybór ten nastęrczał się co chwila w wielu postaciach. Ta muzyka zdawała mi się na przykład czymś prawdziwszym niż wszystkie znane mi książki. Chwilami myślałem, że to pochodzi stąd, iż skoro to, co odczuwamy jako życie, nie objawia się nam w postaci idei, wykład literacki, to znaczy intelektualny, tych odczuć, zdając z nich sprawę, tłumaczy je, analizuje, ale nie oddaje ich jak muzyka, w której dźwięki przybierają akcent jakiejś istoty, odtwarzają niejako owo wewnętrzne i szczytowe ostrze wrażeń, cząstkę dającą nam swoiste i odnajdywane chwilami upojenie. Ale powiadając na przykład: „Co za pogoda! Co za piękne słońce!”, nie udzielamy zgoła naszych odczuć komuś drugiemu, w którym to samo słońce i ta sama pogoda rodzą odmienne wibracje. W muzyce Vinteuila były właśnie owe wizje, niepodobne do wyrażenia i prawie niemożliwe do stwierdzenia; kiedy w momencie zasypiania muskają nas pieścizotą swego nierealnego czaru, w chwili kiedy świadomość nas już opuściła, oczy zamykają się i zanim mieliśmy czas poznać nie tylko Niewymowne, ale Niewidzialne, zasypiamy. Zdawało mi się nawet (kiedy się poddawałem hipotezie, wedle której sztuka byłaby czymś realnym), że muzyka może wyrazić nawet więcej niż czysto nerwową radość z powodu pogody lub nocy spędzonej w palarni opium; upojenie realniejsze, płodniejsze, przynajmniej wedle moich przeczuć. Niepodobna, aby jakaś rzeźba, muzyka rodząca wzruszenie, które odczuwamy jako coś wyższego, czystsze, prawdziwszego, nie odpowiadała jakiejś duchowej rzeczywistości. Musi ją symbolizować, skoro daje owo wrażenie głębi i prawdy. Fraza Vinteuila najbliższa była owej swoistej rozkoszy, jaką odczułem niekiedy, na przykład wobec wież w Martinville, wobec kilku drzew przy drodze w Balbec lub w prostszej formie na początku tego dzieła, pijąc pewnego dnia herbatę.

Nie przeciągając tego porównania, czułem, że jasne dźwięki, hałaśliwe kolory, które nam Vinteuil przesyłał ze świata, w którym tworzył, przesunęły przed moją wyobraźnię — uporczywie, ale zbyt szybko, aby to mogła pochwycić — coś, co mógłbym porównać z nasyconym wonią jedwabiem geranii. We wspomnieniu mglistość tę można jeżeli nie zgłębić, to bodaj określić dzięki schwytceniu okoliczności tłumaczących, czemu pewien smak mógł nam przypomnieć wrażenia świetlne. Ale ponieważ mgliste poczucia obudzone przez Vinteuila pochodziły nie ze wspomnienia, lecz z wrażenia (jak wrażenie wież w Martinville), trzeba by znaleźć dla zapachu geranii w jego muzyce nie wytłumaczenie fizyczne, ale głęboki równoważnik; trzeba by odkryć nieznaną i barwną biesiadę (której dzieła Vinteuila zdawały się oderwanymi fragmentami, odpryskami o szkarłatnym łomie), sposób, w jaki on „słyszał” i rzutował z siebie wszechświat. Owa nieznaną jakość jedyne go świata, którego żaden inny muzyk nigdy nam nie pokazał, może to jest — mówiłem do Albertyny — najautentyczniejszy dowód geniuszu, o wiele bardziej niż zawartość samego dzieła.

— Nawet w literaturze? — pytała Albertyna.

— Nawet w literaturze.



I wracając myślą do monotonii dzieł Vinteuila, tłumaczyłem Albertynie, że wielcy pisarze zawsze stworzyli tylko jedno dzieło lub raczej zawsze odbijali poprzez różne środowiska tę samą piękność, którą przynoszą na świat.

— Gdyby nie było tak późno, maleńka — mówiłem — wykazałbym ci tę samą identyczność u wszystkich pisarzy, których czytasz, podczas gdy ja śpię. Owym typowym frazom, które zaczynasz poznawać równie dobrze jak ja, Albertynko, tym samym w sonacie, septycie, w innych dziełach, odpowiadałyby może na przykład, u Barbeya d'Aureville<sup>424</sup> ukryta rzeczywistość zdradzona jakimś materialnym śladem, fizjologiczny rumieniec Urzeczony, panny Aimee de Spens, Clotte, ręka ze *Szkarłatnej zasłony*, stare zwyczaje i obyczaje, stare porzekadła, stare i osobliwe rzemiosła, za którymi kryje się Przeszłość, ustna historia tworzona przez miejscowych pasterzy, szlachetne normandzkie miasta pachnące Anglią, a ładne jak szkockie sioło, źródło złych uroków, na które nie ma sposobu, Vellini, pasterz, to samo uczucie lęku w jakimś szczególe, czy to będzie żona szukająca męża w *Starej kochance* lub w *Urzeczony* mąż przebiegający step i sama Urzeczona wychodząca z kościoła. A owa geometria kamieniarza obrabiającego ciosy w powieściach Tomasza Hardy<sup>425</sup>, to są również swoiste frazy Vinteuila.

Frazy Vinteuila przywiodły mi na myśl frazę z *Sonaty*; wspomniałem Albertynie, że to był niby narodowy hymn miłości Swanna i Odety, „rodziców Gilberty, którą znasz”.

— Mówiłaś raz, że Gilberta nie ma „podejrzanych manier”. Ale czyż nie próbowała nawiązać stosunków z tobą? Wspominała mi o tobie.

— Owszem, rodzice posyłali po nią powóz na lekcje, kiedy była słota, więc zdaje mi się, że mnie odwiozła raz do domu i pocałowała mnie — rzekła Albertyna po chwili, śmiejąc się, tak jakby to było coś zabawnego. — Spytała nagle, czy lubię kobiety. — Ale jeżeli Albertynie tylko się zdawało, iż sobie przypomina, że ją Gilberta odwiozła, jak mogła zacytować z taką ścisłością dziwne pytanie Gilberty? — Nawet nie wiem — ciągnęła Albertyna — co mnie napadło, żeby ją zmystyfikować; odpowiedziałam, że tak. — Można by rzec, że Albertyna bała się, czy mi Gilberta tego nie opowiedziała, i nie chciała, żebym mógł stwierdzić kłamstwo. — Ale nie robiłyśmy nic a nic. — To dziwne, żeby nic nie robiły, wymieniwszy te zwierzenia, zwłaszcza że już przedtem całowały się w powozie, jak wspomniała Albertyna. — Odwiozła mnie w ten sposób cztery czy pięć razy, może trochę więcej, to wszystko.

Bardzo mi trudno przyszło nie zadać żadnego pytania, ale opanowując się, aby udać, że nie przywiązuję do tego żadnej wagi, wróciłem do Tomasza Hardy.

— Przypominasz sobie kamieniarzy w *Judzie nieznanym*, w *Ukochanej* bloki kamieni, które ojciec dobywa z wyspy, zwożone statkami, gromadzące się w pracowni syna, gdzie zmieniają się w posągi; w *Błękitnych oczach* paralelizm grobów, a także równoległą linię statku i przylegające wagony, gdzie znajduje się dwoje kochanków i zmarła; paralelizm między *Ukochaną*, gdzie mężczyzna kocha trzy kobiety, a *Błękitnymi oczami*, gdzie kobieta kocha trzech mężczyzn itd.; słowem, wszystkie te powieści dające się ułożyć na sobie niby prostopadłe domy wznoszące się na skalistej wyspie. Nie mogę ci tak w ciągu minuty pokazać tego u największych, ale ujrysz w Stendhalu<sup>426</sup> pewne poczucie wysokości wiążące się z życiem duchowym: wyniosłe miejsce, gdzie Julian Sorel jest więźniem; wieża, na której szczycie zamknięto Fabrycego, dzwonnica, gdzie ksiądz Blanés zajmuje się astrologią i skąd Fabrycy widzi tak daleko. Mówiłaś, żeś widziała parę obrazów Vermeera; zdajesz sobie sprawę, że to są fragmenty jednego świata, że to jest zawsze — przy całym

<sup>424</sup>Barbey d'Aureville, Jules (1808–1889) — francuski pisarz, poeta, publicysta, wpływowi krytyk literacki; prekursor dekadentyzmu; autor utworów o mrocznej tematyce, nawiązującej do fantastyki i literatury grozy, m.in. powieści: *Dawna kochanka* (1851, wyd. pol. 1928), której bohaterką jest tajemnicza Vellini, *L'Ensorcelée* (1852, wyd. pol. 1997 pt. *Oczarowana*), w której występuje Clotilde Mauduit, zwana Clotte, *Le chevalier Destouches* (1864), której bohaterką jest Aimee de Spens, oraz zbioru opowiadań *Les Diaboliques* (1874), w skład którego wchodzi *Le Rideau cramoisi* (Szkarłatna zasłona). [przypis edytorski]

<sup>425</sup>Hardy, Thomas (1840–1928) — angielski powieściopisarz, przedstawiciel naturalizmu; autor m.in. powieści *A Pair of Blue Eyes* (1873; wyd. pol. *Szafirowe oczy*, 1929), *Juda nieznanym* (1895, wyd. pol. 1963), *The Well-Beloved* (Ukochana, 1892). [przypis edytorski]

<sup>426</sup>Stendhal, właśc. Marie-Henri Beyle (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najsłynniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830), której bohaterem jest ubogi chłopiec Julian Sorel, w 1864 umieszczona na indeksie ksiąg zakazanych, oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

talencie malarza — ten sam stół, ten sam dywan, ta sama kobieta, ta sama nowa i jedyna piękność, zagadka w owej epoce, w której nic nie jest do niej podobne ani jej nie tłumaczy, jeżeli nie będziemy szukali powinowactw w tematach, ale zechcemy wydobyć swoiste wrażenie koloru. I ot, to nowe piękno pozostaje identyczne we wszystkich dziełach Dostojewskiego: kobieta Dostojewskiego (równie odrębna jak kobieta Rembrandta<sup>427</sup>) ze swoją tajemniczą twarzą, której ujmujący czar zmienia się nagle tak jakby wprzód grała komedię dobroci, w straszliwe zuchwałstwo (mimo iż w gruncie zdaje się, że jest raczej dobra), czyż to nie jest zawsze ta sama osoba, czy nią będzie Nastasia Filipowna, pisząca listy miłosne do Aglae i wyznająca, że jej nienawidzi, lub w wizycie zupełnie identycznej — identycznej z tą również, w czasie której Nastazja Filipowna znieważa rodziców Wani — Gruszeńka, tak miła u Katarzyny Iwanowny (która spodziewała się, że ona jest straszna), potem nagle odsłaniająca swoją złość, znieważając Katarzynę Iwanownę (mimo że Gruszeńka w gruncie jest dobra); Gruszeńka, Nastasia, postaci równie oryginalne, równie tajemnicze nie tylko jak kurtyzany Carpaccia, ale jak Betszeba Rembrandta. Jak Vermeer tworzy pewną duszę, pewien kolor materii i miejsc, tak Dostojewski tworzy nie tylko ludzi, ale mieszkania. Tragiczny dom w *Zbrodni i karze* z jego dwornikiem, czyż nie jest prawie równie cudowny jak arcydzieło tragicznego domu u Dostojewskiego, ten ciemny i tak długi, i tak wysoki i, taki obszerny dom Rogożyna, gdzie Rogożyn zabija Nastazję Filipownę? To nowe i straszliwe piękno domu, to nowe i złożone piękno twarzy kobiecej, oto co Dostojewski przyniósł jedyne światu, a zestawienia, jakie niektórzy czynią między nim a Gogolem<sup>428</sup> lub Paul de Kockiem<sup>429</sup> są całkiem czcze, jako obce tej tajemnej piękności. Mówiłem, że w różnych powieściach powtarza się ta sama scena; ale także w jednej powieści powtarzają się te same sceny, te same figury, jeżeli powieść jest bardzo długa. Mógłbym ci łatwo dowieść, że w *Wojnie i pokoju*<sup>430</sup> jest pewna scena w powozie...

— Nie chciałam ci przerywać, ale skoro widzę, że porzucasz Dostojewskiego, boję się, że bym zapomniała. Kochanie, coś ty chciał powiedzieć kiedyś, mówiąc: „To jest tak, jak ów posmak Dostojewskiego u pani de Sévigné”. Przyznam się, że nie zrozumiałam. Te rzeczy wydają mi się tak różne.

— Chodź, dziewczuszko, niech cię uściskam, aby ci podziękować, że tak dobrze pamiętasz to, co mówię; potem wrócisz do pianoli. I przyznaję, że to, com wtedy mówił, było dość głupie. Ale powiedziałem to z dwóch przyczyn. Pierwsza — szczególna. Faktem jest, że pani de Sévigné, jak Elstir, jak Dostojewski, zamiast pokazywać rzeczy w porządku logicznym, czyli zaczynając od ich przyczyny, pokazuje najpierw skutek, złudę, która nas uderza. W ten właśnie sposób Dostojewski pokazuje osoby. Ich postęпки wydają nam się równie zwodne jak owe efekty Elstira, gdzie morze robi wrażenie nieba. Ze zdumieniem dowiadujemy się, że jakiś skryty mruk jest w gruncie przeznaczonym człowiekiem lub odwrotnie.

— Tak, ale daj mi przykład z pani de Sévigné.

— Wyznaję — odparłem, śmiejąc się — że to jest bardzo naciągane; ale ostatecznie mógłbym znaleźć przykłady.

— Ale czy Dostojewski zamordował kiedyś kogoś? Wszystkie jego powieści, które znam, mogłyby mieć tytuł *Historia pewnej zbrodni*. To u niego istna obsesja; to nie jest naturalne, że on wciąż o tym mówi.

— Nie sądzę, Albertynko; nie znam na tyle jego życia. Pewne jest, że jak wszyscy, i on poznał grzech, w tej czy w innej formie, a prawdopodobnie w formie wzbronionej przez prawo. W tym sensie musiał być trochę zbrodniarzem, jak jego bohaterowie, którzy nie

<sup>427</sup> Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia; autor m.in. obrazu *Batszeba w kąpielu* (1654), ukazującego nagą kobietę w kąpielu, postać z biblijnej opowieści o uwiedzeniu zamężnej Batszeby przez króla Dawida (2 Sam 11, 2–17). [przypis edytorski]

<sup>428</sup> Gogol, *Nikolaj* (1809–1952) — rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; jego najwybitniejsze dzieła to komedia *Rewizor* (1836) i powieść *Martwe dusze* (1842). [przypis edytorski]

<sup>429</sup> Kock, *Paul de* (1794–1871) — francuski pisarz, autor wielu rubasznych, swobodnych obyczajowo powieści o życiu paryskim. [przypis edytorski]

<sup>430</sup> *Wojna i pokój* — powieść historyczna rosyjskiego pisarza Lwa Tołstoja, pisana w latach 1863–1869, często uznawana za rosyjską epopeję narodową. [przypis edytorski]

są zresztą całkowicie zbrodniarzami, mają prawo do okoliczności łagodzących. A nawet nie było może konieczne, aby on był zbrodniarzem. Nie jestem powieściopisarzem; może jest, iż twórców pociągają pewne formy życia, których nie doświadczyli osobiście. Jeśli z tobą pojedę do Wersalu, jakieś się umówili, pokażę ci portret najzacniejszego człowieka, najlepszego męża, Choderlos de Laclos<sup>431</sup>, który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę<sup>432</sup>; a na wprost niego portret pani de Genlis<sup>433</sup>, która pisała opowiadania moralne, a nie tylko zdradzała księżnę Orleańską, ale zdręczyła ją, odciągając od niej dzieci. Uznaję jednak, że u Dostojewskiego ta obsesja morderstwa ma coś szczególnego i czyni mi go kimś bardzo obcym. Już to mnie zdumiewa, kiedy słyszę w ustach Baudelaire'a<sup>434</sup>:

*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie  
N'ont pas encor brodé de leurs plaisants dessins  
Le canevas banal de nos piteux destins,  
C'est que notre âme, hélas! n'est pas assez hardie.* <sup>435</sup>

Ale mogę bodaj przypuszczać, że Baudelaire nie jest szczery. Podczas gdy Dostojewski... Wszystko to wydaje mi się niesłychanie odległe ode mnie, chyba że posiadam w sobie strefy, których nie znam, człowiek bowiem realizuje się jedynie stopniowo. U Dostojewskiego znajduję studnie straszliwie głębokie, ale poniekąd odosobnione od duszy ludzkiej. Ale to jest wielki twórca. Zresztą świat, który on maluje, robi naprawdę wrażenie, że jest stworzony przez niego. Wszystkie te powtarzające się wciąż błazny, wszystkie te Lebedewy, Karamazowy, Iwołginy, Segriewy, cała ta nieprawdopodobna zgraja to ludzkość fantastyczniejsza od tej, która zaludnia *Straż nocną*<sup>436</sup> Rembrandta. I może jest ona fantastyczna w ten sam sposób, przez oświetlenie i kostium, a w gruncie jest zwyczajna. W każdym razie jest zarazem pełna głębokich i jedynek prawd, właściwych tylko Dostojewskiemu. Te błazny niemal robią wrażenie typu, który już nie istnieje, jak pewne typy dawnej komedii, a jednak jak one odsłaniają prawdziwe strony duszy! Drażni mnie uroczyستی sposób, w jaki się mówi i pisze o Dostojewskim. Czy zauważyłaś rolę, jaką miłość własna, duma grają u jego figur? Można by rzec, że dla niego miłość i najzacieklejsza nienawiść, dobroć i zdrada, nieśmiałość i bezczelność, to jedynie dwa stany jednej i tej samej natury, ile że miłość własna, duma nie pozwala Aglae, Nastazji, kapitanowi, którego Mitia ciągnie za brodę, Krasotkinowi, wrogowi, a zarazem przyjacielowi Alioszy, pokazać się takimi, jakimi są w istocie. Ale są tam jeszcze inne skarby. Bardzo mało znam jego książek. Ale czyż to nie jest iście rzeźbiarski i prosty motyw, godny najstarożytniejszej sztuki, nieprzerwany i powtarzający się fryz przedstawiający zemstę i ekspiację — ta zbrodnia starego Karamazowa wpędzającego w ciężą biedną wariatkę, tajemniczy, zwierzęcy, niewytłumaczony odruch, pod wpływem którego matka, stając się bezwiednym narzędziem losu, posłuszna również bezwiednie instynktowi macierzyńskiemu, może mieszaninie urazy i fizycznej wdzięczności wobec gwałciciela, idzie rodzic

<sup>431</sup>Laclos, Pierre Choderlos de (1741–1803) — francuski polityk i wojskowy, autor powieści w listach *Niebezpieczne związki*, której od początku towarzyszyła aura skandalu obyczajowego i opinia książki niemoralnej, gdyż ukazywała parę narcystycznych byłych kochanków, markizę de Merteuil i wicehrabiego de Valmont, którzy używają uwodzenia do kontrolowania i wykorzystywania innych, ciesząc się swoimi okrutnymi gramami i przechwalając się talentem manipulacji. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>Choderlos de Laclos, który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę — *Niebezpieczne związki*. [przypis tłumacza]

<sup>433</sup>pani de Genlis, właśc. Stéphanie Félicité, du Crest de Saint-Aubin, hrabina de Genlis (1746–1830) — wiolelnia guwernantka dzieci księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, autorka pism traktujących o edukacji dzieci i młodzieży, a także krótkich komedii pisanych z myślą o młodym odbiorcy, pamiętników oraz powieści sentymentalnych. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>Baudelaire, Charles (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytutka, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie...* (fr.) — Jeśli gwałt, trucizna, sztylet i pożar nie zahafowały dotąd swoim uciśnionym wzorem banalnej kanwy naszego mizernego istnienia, to dlatego, że dusza nasza nie jest, niestety, dość śmiała [Baudelaire, *Kwiaty zła: Do czytelnika*; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>436</sup>*Straż nocna* — obraz holenderskiego malarza Rembrandta Harmenszoon van Rijn, namalowany w 1642, przedstawiający kompanię straży obywatelskiej z Amsterdamu. [przypis edytorski]

u starego Karamazowa? Oto pierwszy epizod, tajemniczy, wielki, dostojny jak stworzenie Kobiety w rzeźbach w Orvieto<sup>437</sup>. A jako odpowiednik — drugi epizod, o dwadzieścia lat późniejszy: zamordowanie starego Karamazowa, hańba spadająca na ród Karamazowych przez tego syna wariacki, Smerdiakowa; a rychło potem ten sam akt tajemniczo monumentalny i niewytłumaczony, o równie ciemnym i naturalnym pięknie jak urodzenie w ogrodzie starego Karamazowa — to Smerdiakow, wieszający się po spełnieniu zbrodni. Co się tyczy Dostojewskiego, nie porzuciłem go tak bardzo, jak ci się zdawało, kiedy wspominał o Tolstoju, który go mocno naśladował. U Dostojewskiego jest w stanie posępnego zgęszczenia wiele z tego, co się rozwinie u Tolstoja. Jest u Dostojewskiego ta pierwotna chmurność prymitywów, którą uczniowie rozjaśniają.

— Kochanie, jak to źle, że ty jesteś taki leniwy. Pomyśl, o ileż ty patrzysz na literaturę bardziej interesująco, niż nas jej uczą w szkole; przypominam sobie wypracowania, jakie nam kazano robić o *Esterze*: „Monsieur”, pamiętasz — rzekła, śmiejąc się, nie tylko, aby sobie zażartować z nauczycieli i z siebie, ile dla przyjemności odnalezienia w swojej pamięci, w naszej wspólnej pamięci, dość już dawnego wspomnienia.

Ale podczas gdy Albertyna mówiła do mnie, a ja myślałem o Vinteuilu, z kolei nastroczała mi się inna hipoteza, hipoteza materialistyczna, hipoteza nicości. Zaczynałem wątpić; powiadałem sobie, iż ostatecznie to by było możliwe... jeżeli niektóre frazy Vinteuila zdają się wyrazem pewnych stanów duszy, analogicznych do stanu, w jaki mnie wprawił smak magdalenki zmaczanej w herbacie, nic nie dowodzi, aby mglistość takich stanów była znamieniem ich głębi; może być wyrazem tylko tego, że jeszcze nie umieliśmy ich zanalizować; tym samym nie byłoby w nich nic realniejszego niż w innych. A jednak owo szczęście, owo poczucie pewności w szczęściu, wówczas gdy piłem tę herbatę, kiedy na Polach Elizejskich<sup>438</sup> wdychałem woń stęchlizny, to nie było złudzenie. W każdym razie — powiadał mi duch wątpienia — nawet jeżeli te stany są w życiu głębsze od innych i jeżeli niepodobna ich zanalizować właśnie dla tej przyczyny, ponieważ mobilizują zbyt wiele sił, z których nie zdaliśmy sobie jeszcze sprawy, czar niektórych fraz Vinteuila każe myśleć o nich, bo jest również niepodobny do zanalizowania, ale to nie dowodzi, aby miał tę samą głębię; piękno czystej frazy muzycznej wydaje się łatwo obrazem lub bodaj spokrewnia się z intelektualnym wrażeniem, jakiegośmy doznali, ale po prostu dlatego, że jest aintelektualne. W takim razie dlaczego wydają się nam osobliwie głębokie owe tajemnicze frazy, nawiedzające niektóre dzieła i ten septet Vinteuila?

Nie tylko zresztą jego utwory grywała mi Albertyna; pianola była chwilami dla nas niby naukową (historyczną i geograficzną) latarnią magiczną; na ścianach tego paryskiego pokoju, zaopatrzonego — w porównaniu z pokojem w Combray — w wynalazki bardziej nowoczesne, wedle tego czy Albertyna grała Rameau<sup>439</sup> czy Borodina<sup>440</sup>, ukazywał się moim oczom to dywan z XVIII wieku, usiany amorkami na tle róż, to wschodni step, gdzie dźwięki giną w bezmiarach przestrzeni i w piłśni śniegu. Te ulotne dekoracje były zresztą jedyną ozdobą mego pokoju; o ile bowiem w chwili gdy wziął spadek po cici Leonii, przyrzekłem sobie kolekcjonować jak Swann obrazy i posągi, obecnie wszystkie pieniądze szły na konie, auto i toalety dla Albertyny. Ale czyż mój pokój nie zawierał dzieła sztuki cenniejszego od wszystkich tamtych? Była nim sama Albertyna.

Patrzyłem na nią. Dziwne mi było myśleć, że to ona, ona, którą tak długo uważałem za niemożliwą do poznania, która dziś, obłaskawione dzikie zwierzę, krzak róż, któremu dałem podpórę, ramę, szpaler jej życia, siedzi tak co dnia u siebie, blisko mnie, koło pianoli, plecami niemal wsparta o szafę z książkami. Ramiona jej, niegdyś pochylone i chytne, kiedy odnosiła kije golfowe, opierały się o moje książki. Jej piękne nogi,

<sup>437</sup> *Orvieto* — miasto we Włoszech, w regionie Umbria, w połowie drogi między Florencją a Rzymem; znane m.in. z XIV-wiecznej katedry, której fasada jest jednym z największych arcydzieł późnego średniowiecza: zdobiją ją płaskorzeźby przedstawiające historie biblijne ze Starego i Nowego Testamentu, m.in. ilustrujące opowieść o biblijnym ogrodzie Eden. [przypis edytorski]

<sup>438</sup> *Pola Elizejskie* — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

<sup>439</sup> *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1768) — francuski kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych; najwybitniejszy muzyk francuski XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>440</sup> *Borodin, Aleksandr Porfirjewicz* (1833–1887) — rosyjski kompozytor romantyczny i chemik; autor symfonii, kwartetów smyczkowych, poematu symfonicznego *W stepach Azji Środkowej* i opery *Kniaź Igor*. [przypis edytorski]

o których pierwszego dnia myślałem trafnie, że przez całą jej młodość poruszały pedały roweru, teraz podnosiły się i opadały kolejno na pedałach pianoli, na których Albertyna — nabrawszy elegancji, która mi ją czyniła bardziej moją, ponieważ zawdzięczała ją mnie — stawiała trzewiczki ze złotej lamy<sup>441</sup>. Palce jej, niegdyś nawykłe do kierownicy, kładły się teraz na klawiszach jak palce świętej Cecylii<sup>442</sup>. Jej szyja, której krąg widziany z łóżka był pełny i tęgi, na tę odległość i pod światłem lampy zdawała się różowsza, mniej różowa jednak niż nachylona profilem twarz, której spojrzenia moje, wychodząc z samych głębin mnie, nabrzmiały wspomnieniami i żądzą, przydawały tyle blasku, takie nasilenie życia, że jej zarys zdawał się unosić i wirować z taką samą magiczną niemal siłą, co owego dnia w hotelu w Balbec, kiedy mój wzrok mącił się od nadmiernej żądzy ucałowania jej; przedłużałem każdą płaszczyznę poza to, com mógł z niej widzieć, i pod tym, co mi ją skrywało, a co mi dawało lepiej jeszcze czuć plany tych płaszczyzn — powieki, na wpół zamykające jej oczy, włosy, skrywające część policzków. Oczy jej błyszcząły, jak w rudzie, w której tkwi jeszcze opał, błyszczą jedyne dwie gładkie płytki, bardziej lśniące od metalu, będące pośród ślepej materii niby skrzydła motyla włożonego za szkło, skrzydła z jedwabiu lila. Jej czarne kędzierzawe włosy, układające się rozmaicie, w miarę jak się odwracała, aby spytać, co ma grać — to jakieś wspaniałe skrzydło z ostrym szpicem, szerokie u podstawy, czarne, pierzaste i trójkątne, to plotące rzeźbę swoich pukłów w gruby i nierówny łańcuch, pełen wzgórz, bruzd, przepaści — w swoim bogatym i kapryśnym zwichrzeniu zdawały się przewyższać różnorodność natury i odpowiadać raczej marzeniu rzeźbiarza, który piętrzy trudności, aby uwydatnić gibkość, rozmach, miękkość, życie wykonania. Włosy te tym bardziej podkreślały ożywiony zarys i jakby obrotowy ruch gładkiej i różowej twarzy, lśniącej i matowej jak malowane drzewo. I przez kontrast z tym nadmiarem plastyki, a także przez harmonię łączącą z nią te meble, dostrajającą jej pozę do ich kształtu i celu, pianola na wpół zasłaniająca Albertynę niby organy, szafy biblioteczne i cały ten kąt pokoju, zdawały się już tylko oświetlonym sanktuarium, żłobkiem tego anioła muzyki, dzieła sztuki, które za chwilę mocą słodkiej magii miało się wyrwać z niszy i wydać moim pocałunkom swoją szacowną i różową substancję.

Ale nie, Albertyna nie była wcale dla mnie dziełem sztuki. Wiedziałem, co to jest podziwiać kobietę artystycznie, znałem Swanna. Sam z siebie zresztą — bez względu na to, o jaką kobietę chodziło — byłem do tego niezdolny, nie posiadając w żadnej mierze zmysłu zewnętrznej obserwacji, nie wiedząc nigdy, czym jest to, co widziałem. Z zachwytem patrzyłem, kiedy niegdyś Swan wznosił dla mnie do godności artystycznej kobietę, która mnie się zdawała nijaka, porównując ją, jak lubił dwornie czynić przy niej samej, do jakiegoś portretu Luiniego<sup>443</sup>, odnajdując w jej toalecie suknię lub klejnoty z obrazu Giorgione<sup>444</sup>. Nic podobnego u mnie. Rozkosz i przykreść czerpane z Albertyny nie siliły się dosięgnąć mnie okrężną drogą smaku i inteligencji. A nawet, aby rzec prawdę, kiedym zaczynał patrzeć na Albertynę jak na cudownie patynowanego anioła muzyki, z którego posiadania byłem dumny, niebawem stawała mi się obojętna, rychło nudziłem się przy niej. Ale te chwile trwały krótko; kochamy tylko to, w czym ścigamy coś niedostępnego; kochamy jedynie to, czego nie posiadamy, a ja wnet zaczynałem sobie znów zdawać sprawę, że nie posiadam Albertyny. Widziałem migoczącą w jej oczach to nadzieję, to wspomnienie, może żal, rozkosze, których nie zgadywałem, których w tym wypadku Albertyna wołała się raczej wyrzec niż mi je wyznać. Chwytając jedynie pewne ich błyski w źrenicach Albertyny, spostrzegałem nie więcej niż widz, którego nie wpuszczono do sali i który rozplaszczając twarz o szybkę w drzwiach, nie może dojrzeć nic z tego, co się dzieje na scenie. Nie wiem, czy tak było u Albertyny, ale to jest szczególna rzecz, ta wytrwałość w kłamstwie, jaką mają wszyscy, co nas oszukują — tak jak oznaki wiary w dobro u największych niedowiarków. Próżno byśmy powtarzali, że ich kłamstwo sprawia więcej przykreści niż wyznanie; próżno by sobie zdawali z tego spr-

<sup>441</sup>*lama* — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>*Cecylia* — święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca w III w. w Rzymie; patronka muzyków. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*Luini, Bernardino* (1490–1532) — włoski malarz renesansowy, tworzący pod wpływem twórczości Leonarda da Vinci. [przypis edytorski]

<sup>444</sup>*Giorgione*, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą; niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

wę, i tak skłamałoby znów za chwilę, aby być w zgodzie z tym, czym rzekomo jesteśmy dla nich. Podobnie ateusz, choćby przywiązany do życia, da się zabić, aby nie zniweczyć pojęcia świata o jego odwadze.

W ciągu tych godzin widziałem czasami bujające nad Albertyną — w jej spojrzeniach, w jej mince, w jej uśmiechu — odbicie owych wewnętrznych widowisk, których kontemplacja czyniła ją w owe wieczory jakby odmienną, odległą ode mnie niemającego do nich prawa. „O czym myślisz, kochanie?” — „Ależ o niczym”. Czasami, aby odpowiedzieć na mój wyrzut, że mi nic nie mówi, to mówiła rzeczy, o których wiedziała, że je znam równie dobrze jak wszyscy (niby ci wielcy politycy, którzy by wam nie zwierzyli najdrobniejszej nowiny, ale którzy w zamian podają wam wiadomość figurującą we wczorajszych dziennikach), to znów opowiadała mglisto, w tonie fałszywych zwierzeń, swoje spacerunki na rowerze w Balbec na rok przed naszym poznaniem się. I jak gdybym trafnie odgadł niegdyś, wnosząc, że ona musiała być dziewczyną bardzo swobodną, robiącą bardzo długie wycieczki, wspomnienie tych wycieczek kładło na wargi Albertyny ten sam tajemniczy uśmiech, który mnie urzekł w pierwsze dni na promenadzie w Balbec.

Mówiła mi także o spacerach za miasto z przyjaciółkami gdzieś w Holandii, o powrotach wieczorem do Amsterdamu, późną godziną, kiedy zbity i radosny tłum ludzi, przeważnie jej znanych, napelniał ulice, wybrzeża kanałów, których niezliczone migotliwe ognie odbijały się dla mnie w błyszczących oczach Albertyny, niby w mglistych szymbach rączego pojazdu. Nasza rzekoma ciekawość estetyczna zasługiwałaby raczej na nazwę obojętności wobec bolesnej, niestrudzonej dręczącej mnie ciekawości miejsc, w których Albertyna żyła, tego, co mogła robić jakiegos wieczora, jej uśmiechów, spojrzeń, słów, pocałunków. Nie, nigdy moja zazdrość pewnego dnia o Roberta, nawet gdyby trwała, nie dałaby mi tego olbrzymiego niepokoju. Ta miłość między kobietami była czymś zbyt nieznanym, czego rozkoszy i istoty niepodobna było sobie ściśle i pewnie wyobrazić. Ileż ludzi, ileż miejscowości (nawet niezwiązanych z nią wprost, nieokreślonych miejsc rozkoszy, gdzie mogła ich kosztować), ileż środowisk (gdzie jest dużo ludzi, gdzie ludzie ocierają się o siebie) Albertyna wprowadziła do mego serca z progu mojej wyobraźni lub pamięci, gdzie nie troszczyłem się o nie; niby osoba, która wprowadza z sobą do teatru swoją świętę, całe swoje towarzystwo. Obecnie znałem to wszystko wewnętrznym, bezpośrednim, spazmatycznym, bolesnym poznaniem. Miłość to przestrzeń i czas odczute sercem.

Miłość, Czas, Przestrzeń,  
Serce

Może wreszcie, gdybym sam był całkiem wierny, nie cierpiałbym na myśl o jej niewiernościach, nie będąc zdolny ich sobie wyobrazić; ale dręczyłem się, wyobrażając sobie u Albertyny własną ciągłą żądzę podobań się nowym kobietom, pragnienia nowych miłostek; odgadywałem w niej to samo spojrzenie, jakim kiedyś, nawet przy niej, mimo woli obrzucałem młode cyklistki, siedzące przy stolikach w Lasku Bulońskim. Jak poznanie, zazdrość istnieje tylko przez nas samych. Obserwacja mało tu znaczy. Jedynie z przyjemności odczutej przez siebie samych możemy czerpać wiedzę i cierpienie.

Chwilami w oczach Albertyny, w nagłym jej rumieńcu odczułem niby gorący błysk przechodzący ukradkiem w regiony niedostępniejsze dla mnie od samego nieba; w regiony, gdzie poruszały się nieznanne mi wspomnienia Albertyny. Wówczas owa piękność, jaką myśląc o kolejnych latach, kiedy znałem Albertynę czy to na plaży w Balbec, czy w Paryżu, znajdowałem w niej od niedawna, nabierała dla mnie czegoś rozdzierającego. Owa jej piękność polegała na tym, że Albertyna rozwijała się na tyłu płaszczyznach i zawierała dla mnie tyle ubiegłych dni. Wówczas czułem, że pod tą różowującą twarzą otwiera się otchłań niewyczerpanej przestrzeni wieczorów, w których nie znałem Albertyny. Mogłem niewątpliwie wziąć ją na kolana, trzymać jej głowę w dłoniach; mogłem ją pieścić, wodzić po niej rękami, ale czułem, że dotykam jedynie zamkniętej powłoki istoty, która wnętrzem swoim należy do nieskończoności, tak jakbym ujmował kamień zawierający słoność niepamiętnych oceanów lub promień gwiazdy. Jakże cierpiałem od tej sytuacji, zrodzonej z zapomnienia natury, która rozdziałając ciała, nie pomyślała o tym, aby umożliwić przenikanie dusz. O ile ciało Albertyny było we władzy mojego, myśl jej wymykała się dotknięciu mojej myśli. I zdawałem sobie sprawę, że Albertyna nie jest nawet dla mnie cudowną branką, którą chciałem wzbogacić mieszkanie, kryjąc w nim jej obecność (nawet przed tymi, którzy mnie odwiedzali i którzy nie podejrzewali jej na końcu korytarza, w sąsiednim pokoju) równie doskonale jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy

trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską<sup>445</sup>. Skłaniając mnie w naglącej, okrutnej i pozbawionej wyjścia formie do zgłębiania przeszłości, Albertyna była raczej wielką boginią Czasu. A jeżeli trzeba było, abym stracił dla niej lata, majątek, nie mam czego żałować, bylebym sobie mógł powiedzieć (co, niestety, nie jest pewne!), że ona na tym nie straciła. Bez wątpienia, samotność byłaby więcej warta — płodniejsza, mniej bolesna. Ale gdybym prowadził życie kolekcjonera, które mi doradzał Swann (i pan de Charlus wyrzucał mi, że nie znam tych rozkoszy, kiedy barwiąc swoje słowa żartem, impertynencją i dobrym smakiem, powiadał: „Jak u pana brzydko!”), jakież posągi, jakie obrazy, długo ścigane, wreszcie posiadane lub nawet — przyjmując najlepszą ewentualność — oglądane bezinteresownie, byłyby mi — niby mała ranka, która się zbliżniała dość szybko, ale którą bezwiedna niezręczność Albertyny, obojętnych osób lub moich własnych myśli otwierała niebawem — pozwoliły wyjść poza siebie tą drogą prywatną, ale wiodącą na gościniec, kędy przechodzi to, co znamy dopiero od dnia, w którym cierpieliśmy przez nie — życie drugich?

Czasem księżyc świecił tak pięknie, że w godzinę po rozstaniu się z Albertyną szedłem namówić ją, żeby popatrzyła w okno. Jestem pewien, że po to szedł do jej pokoju, a nie aby się upewnić, że tam jest. Cóż za pomysł, żeby ona mogła i chciała uciec! Trzeba by nieprawdopodobnej zmywy z Franciszką. W ciemnym pokoju widziałem na białej poduszce tylko wąski diadem czarnych włosów. Ale słyszałem oddech Albertyny. Spała tak głęboko, że wzdragałem się czasem podejść do łóżka. Potem siadałem na krawędzi. Sen płynął dalej z tym samym szmerem. Ale niepodobna opisać, jaka była wesoła po przebudzeniu. Ścisnąłem ją, potrząsałem nią. Natychmiast przestawała spać, ale tuż potem wybuchala śmiechem, oplatając mi ramiona dokoła szyi i mówiąc: „Właśnie myślałam, czy przyjdiesz” — i śmiała się czule w najlepsze. Można by rzec, że w czasie gdy spała, uroczą jej główka była pełna samej wesołości, samej czułości i śmiechu. I budząc ją tak, wyciskałem jedynie, niby z otwartego owocu, sok, który tryska i gasi pragnienie.

Tymczasem kończyła się zima; wróciły piękne dni; często kiedy Albertyna ledwie dopiero co powiedziała mi dobranoc, a pokój, firanki, ściana nad firankami były jeszcze czarne, w ogrodzie sąsiedniego klasztoru słyszałem bogaty i cenny w tej ciszy, niby organy kościelne, tryl nieznanego ptaka, który w lidyjskiej<sup>446</sup> tonacji śpiewał już jutrznię i wnosił w moje mroki sutą i lśniącą nutę słońca, które ów ptak oglądał. Raz nawet usłyszeliśmy nagle regularną kadencję żalosego wołania. To gołębie zaczynały gruchać. „To znaczy, że już dzień” — rzekła Albertyna; i ze zmarszczonymi niemal brwiami, tak jakby mieszkając u mnie, była pozbawiona rozkoszy pięknych dni, dodała: „Już widać wiosna, skoro gołębie wróciły”. Podobieństwo między ich gruchaniem a pianiem koguta było tak głębokie i tajemnicze, jak w septeście Vinteuila podobieństwo między tematem adagia a ostatnią częścią zbudowaną na tym samym zasadniczym temacie, ale tak przeobrażonym przez różnicę tonacji, iż nieświadoma publiczność, kiedy otworzy jakieś dzieło o Vinteuila, dziwi się, że wszystkie trzy części zbudowane są na tych samych czterech nutach — czterech nutach, które można zresztą wygrać na fortepianie jednym palcem, nie odnajdując żadnego z trzech ustępów. Podobnie ten melancholijny kawałek wykonany przez gołębie był rodzajem piania koguta w *mol*, które nie wznosiło się ku niebu, nie wstępowało pionowo, ale regularne jak ryk osła, spowite słodyczą, szło od jednego gołębia do drugiego po tej samej poziomej linii i nigdy się nie przeżyło, nie zmieniało swojej postronnej skargi w ów radosny apel, który wydały tyle razy allegro z introdukcji i finału.

Niebawem noce stały się jeszcze krótsze; przed dawnymi godzinami poranka widziałem już nad portierą przybywającą co dzień białość dnia. Jeżeli się godziłem jeszcze z tym, aby skazywać Albertynę na życie, w którym mimo jej zaprzeczeń — czułem to — miała wrażenie, że jest w więzieniu, to jedynie dlatego, że każdego dnia byłem pewny, iż nazajutrz potrafię zabrać się do pracy, zacząć wstawać, wychodzić, wybierać się do jakiejś posiadłości, którą byśmy kupili i gdzie by Albertyna mogła swobodnie i bez mego

<sup>445</sup>jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stłukła. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>lidyjska skala (muz.) — jedna z trzech bazowych siedmiostopniowych skal muzycznych używanych w starożytnej Grecji; jej nazwa pochodzi od Lidii, krainy w Azji Mniejszej; zbudowana w kierunku opadającym, zaczynająca się od dźwięku C. [przypis edytorski]

niepokoję wieść życie wiejskie lub nadmorskie, pływać, polować — żyć jak by się jej podobało. Tylko że nazajutrz zdarzało się, iż jedna z godzin składających ową przeszłość, którą na przemian kochałem i nienawidziłem w Albertynie (ile że kiedy jest terazniejszością, każdy, z interesu, przez grzeczność lub przez litość, stara się uprząć między nią a nami tkaninę kłamstw, branych przez nas za rzeczywistość), a nawet tych godzin, które w swoim przeświadczeniu znałem, ukazywała mi nagle kształt, którego nie próbowano mi już przesłonić, kształt wówczas całkiem różny od tego, w jakim mi się niegdyś objawiła. Poza jakimś spojrzeniem, w miejsce pocziwej myśli czytanej w nim niegdyś, odsłaniało się niepodejrzewane dotąd pragnienie, odbierające mi nową cząstkę tego serca Albertyny, które uważałem za zrośnięte ze swoim. Na przykład kiedy Anna opuściła wówczas w lipcu Balbec, Albertyna nie mówiła mi nigdy, że ma ją rychło zobaczyć; sądziłem nawet, że ją ujrzała wcześniej, niż się spodziewała, skoro z racji wielkiego smutku, który mnie nawiedził w Balbec owej nocy 14 września, zgodziła się przez poświęcenie dla mnie nie siedzieć dłużej i wrócić zaraz do Paryża. Kiedy przybyła piętnastego, prosiłem ją, żeby odwiedziła Annę i rzekłem: „Czy rada była z twojego widoku?”. Otóż, pewnego dnia przyszła pani Bontemps, żeby coś przynieść Albertynie; widziałem się z nią chwilę i powiedziałem, że Albertyna wyszła z Anną:

— Pojechały trochę na wieś.

— Tak — odrzekła pani Bontemps — Albertyna nie jest wybredna na punkcie wsi. Na przykład przed trzema laty uparła się co dzień jeździć do Buttes-Chaumont.

Na tę nazwę „Buttes-Chaumont” (gdzie Albertyna, wedle jej własnych słów, nigdy nie była) oddech zamarł mi na chwilę. Rzeczywistość jest najzręczniejszym z wrogów. Kieruje ataki na te punkty naszego serca, gdzieśmy się ich nie spodziewali i gdzie nie przygotowaliśmy obrony. Czy Albertyna kłamała wówczas, mówiąc ciotce, że co dzień bywa w Buttes-Chaumont, czy później mnie, kiedy mówiła, że nie zna tego miejsca?

— Szczęście — dodała pani Bontemps — że ta biedna Anna jedzie niebawem na wieś bardziej ożywczą, na prawdziwą wieś; bardzo tego potrzebuje, tak źle wygląda. Prawda, że tego lata nie miała tyle powietrza, ile jej potrzeba. Niech pan pomyśli, opuściła Balbec z końcem lipca, myśląc, że wróci we wrześniu; i ot, brat jej zwichnął nogę i nie mogła wrócić.

Więc Albertyna oczekiwała Anny w Balbec i zataiła mi to! Prawda, że w tych okolicznościach tym miłsze było, że mi zaproponowała powrót. Chyba że...

— Tak, przypominam sobie, Albertyna wspominała mi o tym. — To nie była prawda. — Kiedyż się zdarzył ten wypadek? Wszystko to poplątało mi się trochę w głowie.

— Ależ... o ile wiem, zdarzył się w samą porę, bo nazajutrz przypadał termin najmu i babka Anny musiałyby zbytecznie opłacać nowy miesiąc za willę. Złamał nogę 14 września, Anna miała czas zatelegrafować do Albertyny piętnastego rano, że nie przyjedzie, a Albertyna dać znać do biura. Jeden dzień później, a kontrakt przedłużyłby się automatycznie do 15 października.

Tak więc z pewnością, kiedy Albertyna, zmieniając zamiar, rzekła: „Jedźmy dziś wieczór”, widziała w myśli mieszkanie, mieszkanie babki Anny, gdzie od naszego powrotu mogła widywać przyjaciółkę, z którą (bez mojej wiedzy) miała się spotkać niedługo w Balbec. Tę tak pocziwą zgodę na powrót ze mną, tak sprzeczną z jej poprzednią upartą odmową, starałem się przypisać jej dobremu sercu. Była po prostu odbiciem zmiany zaszłej w sytuacji nieznaney nam, stanowiącej cały sekret wahań w postępowaniu kobiety, która nas nie kocha. Odmawia nam uparcie schadzki na jutro, bo jest zmęczona, bo musi być u dziadka na obiedzie.

— Przyjdź choć później — nalegamy.

— Dziadek przetrzymuje mnie zawsze bardzo długo. Może mnie zechce odprowadzić.

Po prostu ma schadzki z kimś, na kogo leci. Nagle ten ktoś nie jest wolny, ona zaś przychodzi wyrazić swój żal, że nam sprawiła przykrość i że puści kantem dziadka i zostanie najchętniej z nami. Powiniennem był poznać te zwroty w ówczesnych słowach Albertyny, w dniu wyjazdu z Balbec; ale aby zinterpretować te słowa, musiałbym pamiętać wówczas o dwóch swoistych rysach jej charakteru, które mi wracały teraz na myśl, jeden na moją pociechę, drugi ku mojej rozpacz. Znajdujemy wszystko w naszej pamięci; jest to rodzaj apteki, chemiczne laboratorium, gdzie popada nam przypadkiem w rękę to kojące lekarstwo, to groźna trucizna. Pierwszym rysem, pocieszającym, był zwyczaj



Albertyny, żeby jeden postępek zużyć dla zadowolenia wielu osób, znamienne dla niej wielorakie wyzyskanie tego, co robiła. Fakt, że Anna nie wracała, mógł Albertynę zniechęcić do pozostania w Balbec, co nie znaczy, że nie mogła się obejść bez Anny. I to było bardzo w jej stylu, aby za powrotem do Paryża znaleźć w tej jednej podróży sposobność do ujęcia sobie dwóch osób, które kochała szczerze; mnie, każąc mi wierzyć, że wraca dlatego, żeby mnie nie zostawiać samego, żebym nie cierpiał, przez poświęcenie dla mnie; Annę, przekonywując ją, że z chwilą kiedy Anna nie przyjeżdża do Balbec, ona nie chce zostać tam ani chwili dłużej; że przedłużyła pobyt jedynie po to, aby ją widzieć, i spieszy do niej w tejsze chwili. Otóż wyjazd Albertyny ze mną następował w istocie tak bezpośrednio, z jednej strony po moim zmartwieniu i po mojej chęci wrócenia do Paryża, z drugiej strony po depeszy Anny, że było całkiem naturalne, iż oboje z Anną — nie znając nawzajem, Anna mojego zmartwienia, a ja jej depeszy — mogliśmy przypuszczać, że wyjazd Albertyny był skutkiem jedynej, każdemu z nas wiadomej przyczyny, po której wyjazd ów nastąpił w istocie tak szybko i nieoczekiwanie. I w tym wypadku mogłem jeszcze sądzić, że chęć towarzyszenia mi była istotną pobudką Albertyny, która jednakże nie chciała zaniedbać sposobności do zaskarżenia sobie z tego tytułu wdzięczności Anny. Ale na nieszczęście przypomniałem sobie prawie równocześnie inny rys Albertyny, a mianowicie żywość, z jaką ulegała nieodpartej pokusie przyjemności. Otóż przypomniałem sobie, kiedy się zdecydowała jechać, jak niecierpliwie czekała chwili odjazdu, jak potrąciła dyrektora hotelu, który starając się nas zatrzymać, omal nie przyprowadził nas o spóźnienie się; przypomniałem sobie jej porozumiewawcze wzruszenie ramion (które mnie tak rozczuliło), kiedy w kolejce pan de Cambremer spytał, czy nie moglibyśmy odłożyć wyjazdu o tydzień. Tak, tym, co Albertyna widziała w owej chwili, co udzielało jej gorączki wyjazdu, co jej było tak pilno odnaleźć, był niezamieszkały apartament (który widziałem raz), apartament babki Anny zostawiony pod opieką starego lokaja; mieszkanie zbytkowne, położone od południa, ale tak puste i ciche, że słońce jak gdyby nakładało pokrowce na kapy, na fotele w pokoju, gdzie Albertyna i Anna poproszą pełnego uszanowania, może naiwnego, może świadomego odźwiernego, żeby im pozwolił odpocząć. Widziałem teraz przez cały czas ten pusty pokój z łóżkiem lub kanapą, gdzie Albertyna za każdym razem, kiedy miała spiesząc się i poważną minę, biegła spotkać się ze swoją przyjaciółką, z pewnością przybyłą wcześniej, bo była swobodniejsza. Nigdy dotąd nie myślałem o tym mieszkaniu, które teraz nabierało dla mnie okropnej piękności. Tajemnica istot ludzkich jest jak tajemnica natury, którą każde naukowe odkrycie jedynie odsuwa, ale nie usuwa: zazdrośnik przywodzi do rozpaczki kobietę, którą kocha, pozbawiając ją tysiąca błahych przyjemności; ale przyjemności będące istotą jej życia kobieta chowa tam, gdzie nie przychodzi mu na myśl ich szukać, nawet w chwilach, gdy jego inteligencja najwięcej w jego własnym przeświadczeniu okazuje bystrości i kiedy osoby postronne najlepiej go informują.

Prawda, Anna miała wyjechać. Ale nie chciałem, żeby Albertyna mogła mną gardzić, jak kimś, kto się dał oszukać jej i Annie. Dziś czy jutro powiem jej to. W ten sposób zmusiłbym ją może do mówienia ze mną szczerzej, pokazałbym, że i tak jestem poinformowany o tym, co mi skrywała. Ale nie chciałem jej mówić o tym jeszcze; najpierw dlatego, że tak rychło po wizycie ciotki odgadłaby źródło moich informacji i zatamowała by je. Następnie dlatego, że przed uzyskaniem absolutnej pewności, iż zatrzymam Albertynę tak długo, jak długo zechcę, wołałem zbytnio nie ryzykować jej gniewu, który mógłby wzbudzić w niej chęć opuszczenia mnie. Prawda, że kiedy rozumowałem, szukałem prawdy, wróżyłem o przyszłości wedle słów Albertyny, które przytwierdzały zawsze wszystkie moje projekty, głosząc, jak bardzo ona lubi to życie, jak mało ceni to, czego jej to zamknięcie pozbawia, wówczas nie wątpiłem, iż ona zawsze pozostanie ze mną. Drażniło mnie to nawet bardzo, miałem uczucie, że mi się wymyka życie, wszechświat, których nigdy nie zakosztowałem, wymienione na kobietę niezdolną mi już dać nic nowego. Nie mogłem nawet wybrać się do Wenecji, gdzie podczas gdy leżałbym w łóżku, zbyt dręczyłaby mnie obawa zalotów, jakich Albertyna stała by się przedmiotem ze strony gondolierów, mieszkańców hotelu, weneccjanek. Ale kiedy znów rozumowałem w myśl drugiej hipotezy, wspierającej się nie na słowach Albertyny, lecz na milczeniach, spojrzeń, rumieńcach, dąsach, a nawet gniewach, których bezzasadność łatwo byłoby mi jej wykazać, ale których wołałem nie dostrzegać, wówczas powiadałem sobie, że życie

Albertyny jest dla niej czymś nie do zniesienia, że przez cały czas pozbawiona jest tego, co lubi, i że nieodzwrotnie któregoś dnia mnie rzuci. Pragnąłem tylko — o ile by to zrobiła — abym mógł wybrać chwilę, kiedy mi to nie będzie zbyt bolesne, a także porę roku, kiedy Albertyna nie mogłaby pospieszyć do żadnej z miejscowości, gdzie sobie wyobrażałem jej rozkosze, ani do Amsterdamu, ani do Anny (którą odnalazłaby co prawda w kilka miesięcy później). Ale do tej pory uspokoiłbym się, stałoby mi się to obojętne. W każdym razie na to, aby o tym myśleć, trzeba by czekać uleczenia małej recydywy spowodowanej odkryciem przyczyn, dla których Albertyna, na przestrzeni kilku godzin, nie chciała opuścić, a potem natychmiast opuściła Balbec. Trzeba było przecze-kać objawy, które musiałyby z konieczności słabnąć, o ile bym się nie dowiedział czegoś nowego, ale były jeszcze zbyt ostre, aby nie uczynić boleśniejszą i trudniejszą operacji zerwania. Operację tę uważałem obecnie za nieuniknioną, ale bynajmniej nie pilną; lepiej było dokonać jej „na zimno”. Wybór chwili zależał ode mnie, bo o ile by Albertyna chciała odejść przed moją decyzją, wówczas, gdyby mi oznajmiła, że ma dość tego życia, zawsze byłby czas na to, aby próbować zwalczyć jej racje, zostawić jej więcej swobody, przyrzec jakąś bliską przyjemność, na którą chciałaby sama poczekać, a nawet — gdybym nie znalazł odsieczy gdzie indziej niż w jej sercu — wyznać jej swoją zgrzyotę. Byłem tedy bardzo spokojny z tego punktu widzenia, nie będąc w tym zresztą zbyt logiczny. Bo w hipotezach, w których nie liczyłem się właśnie z rzeczami, które Albertyna mówiła i zapowiadała, przypuszczałem, że zamierzając odejść, podałyby mi z góry swoje racje, dałyby mi możliwość zwalczania i zwyciężenia ich. Czulem, że życie z Albertyną było dla mnie, o ile nie byłem zazdrosny, samą nudą, a znowuż kiedyś byłem zazdrosny, samym cierpieniem. Jeżeli było w nim coś szczęścia, nie mogło ono trwać. Byłem w tym samym rozsądnym nastroju co w Balbec, kiedy, owego szczęśliwego wieczora po wizycie pani de Cambremer, chciałem opuścić Albertynę, bo wiedziałem, że nic nie zyskałem na zwłocę. Tylko teraz jeszcze wyobrażałem sobie, iż wspomnienie po niej byłoby rodzajem przedłużonej pedałem wibracji ostatniej minuty naszego rozstania. Toteż pragnąłem wybrać jakąś słodką chwilę, aby ta chwila dalej drgała we mnie. Nie trzeba było być zbyt wybrednym, czekać zbyt długo, należało być rozsądnym. Mimo to, wyczekawszy tyle, szaleństwem byłoby nie odczekać jeszcze kilku dni, aż się zjawi taka pożądana minuta, raczej niż ryzykować, że przyjmę odejście Albertyny z tym samym buntem, jaki mną wstrząsał niegdyś, kiedy mama odchodziła od mego łóżka, nie powiedziawszy mi dobranoc, lub kiedy mnie żegnała na dworcu. Na wszelki wypadek mnożyłem swoje galanterie. Co do sukien Fortuny’ego, zdecydowaliśmy się wreszcie na niebiesko-złotą z różową podszewką — właśnie ją ukończono. Zamówiłem mimo to pięć innych, których Albertyna, wybierając tę jedną, wyrzekła się z żalem. Jednakże z nadejściem wiosny, w dwa miesiące po tym, co mi mówiła jej ciotka, uniosłem się pewnego wieczora. Było to właśnie w ów wieczór, kiedy Albertyna pierwszy raz włożyła błękitno-złoty szlafroczek Fortuny’ego, który wskrzeszając obraz Wenecji, bardziej jeszcze dał mi uczuć, com poświęcił dla niej, i to bez żadnej wdzięczności z jej strony. Choć nigdy nie widziałem Wenecji, marzyłem o niej bez przerwy od czasu owych świąt wielkanocnych, które dzieckiem<sup>447</sup> miałem tam spędzić, i dawniej jeszcze, od sztychów Tycjana i fotografii Giotta<sup>448</sup>, które niegdyś Swann dał mi w Combray. Suknia Fortuny’ego, którą miała tego wieczora Albertyna, zdawała mi się niby kuszący cień owej niedosiężnej Wenecji. Pokrywały ją arabeski, ornamenty, podobne do tych, które zdobią pałace Wenecji, ukryte niby sułtanki za ażurową zasłoną z kamienia, niby oprawy z Biblioteki Ambrożyńskiej<sup>449</sup>, niby kolumny, gdzie wschodnie ptaki, oznaczające na przemian śmierć i życie, powtarzały się w migotaniu materii o ciemnobłękitnym kolorze, który w miarę jak weń wnikałem wzrokiem, zmieniał się w gibkie złoto, siłą tego przeobrażenia, jakie przed posuwającymi się gondolami zmieniają lazur Canal Grande w płomienny metal. A rękawy były podszyte materia wiśniowego koloru, który jest tak osobliwie wenecki i który zowie się czerwienią Tiepolo.

<sup>447</sup> dzieckiem (daw.) — tu: dzieckiem będąc, w dzieciństwie. [przypis edytorski]

<sup>448</sup> Giotto di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>449</sup> Biblioteka Ambrożyńska (wl. Biblioteca Ambrosiana) — biblioteka w Mediolanie, we Włoszech, zawierająca wiele wartościowych dzieł literackich kultury światowej, zał. w 1609; w 1618 do biblioteki dołączono zbiory obrazów i rzeźb, które utworzyły galerię sztuki znaną jako Pinakoteka Ambrożyńska. [przypis edytorski]

W ciągu dnia Franciszka mruknęła przy mnie, że Albertyna nie jest z niczego zadowolona; kiedy jej kazalem powiedziec, ze wyjde z nia albo ze nie wyjde, ze auto zajedzie po nia lub nie zajedzie, niemal wzruszala ramionami i odpowiadala prawie niegrzecznie. Owego wieczora, kiedy czulem, ze Albertyna jest w zlym humorze, kiedy sam bylem zdenierwowany upalem, nie moglem powstrzymac gniewu i wymowilem jej niewdziecznośc.

— Tak, mozesz spytac, kogo chcesz — krzycalem ze wszystkich sil, nieprzytomny — mozesz spytac Franciszki, wszyscy to powtarzaja!

Ale natychmiast przypomnialem sobie, ze Albertyna powiedziala mi raz, jaki sie robie straszny, kiedy sie gniewam, i zastosowala do mnie te wiersze Estery:

Osadz, jak bardzo gniew ten i to czolo grozne  
W dusze ma wniesc musialo luku tchnienie mrozne;  
Ach, z tego luku serce omal nie wyskoczy,  
Od blyskawic, jakimi strzelaja te oczy...

Zawstydzilem sie swojej gwałtowności. I aby to odrobić, ale tak, aby nie wygladalo na klęskę, aby mój pokój był pokojem groźnym i zbrojnym, a równocześnie czując, iż byloby dobrze pokazac znów, ze nie balbym sie zerwania (dlatego aby ona nie pomyslala o nim), rzeklem:

— Przepraszam cie, Albertynko, wstyd mi mojej porywczosci, jestem w rozpacz. Jezeli nie mozemy sie juz porozumiec, jezeli mamy sie rozstac, nie robmyz tego w ten sposob, to by nie bylo godne nas. Rozstaniemy sie, jezeli trzeba, ale przede wszystkim pragne cie bardzo pokornie i z calogo serca prosic o przebaczenie.

Pomyslalem, ze aby to naprawic i upewnic sie co do jej zamiarow pozostania u mnie na najblizszy czas (przynajmniej do tej pory, kiedy Anna wyjedzie, co mialo nastapic za trzy tygodnie), byloby dobrze obmyslic od jutra jakas przyjemnosc wieksza od tych, ktore Albertyna miala dotad, i obmyslic na dosyc dluga mete; a skoro chcialem zatrzec przykrośc, jaka jej sprawilem, dobrze byloby skorzystac z chwili, aby okazac, ze znam jej zycie lepiej, niz przypuszcza. Zly humor, w jaki by to ja wprawilo, zatarlbym jutro jakimis nowymi dowodami uczuc, ale przestroga zostalaby jej w pamieci.

— Tak, Albertyno, przebacz mi, jezeli bylem zbyt gwałtowny. Nie jestem znowuz tak bardzo winien, jak przypuszczasz. Sa zli ludzie, ktorzy staraja sie nas poroznic; nigdy nie chcialem mowic o tym, aby cie nie dręczył. Ale czasami pewne denuncjacje<sup>450</sup> przywodza mnie do szalenstwa. I tak — rzeklem — teraz mnie wciaz dręcza, przesladuja mnie opowiadaniem o twoich stosunkach, ale z Anna.

— Z Anna? — wykrzyknęła z irytacją, która oblala jej twarz rumieńcem. I zdumienie lub chęć okazania zdumienia rozszerzyły jej oczy. — To śliczne! Czy można wiedziec, kto ci opowiedzial te piękne rzeczy? Czy moglbym pomowic z tymi osobami, uslyszec, na czym opieraja swoje bezecnostwa?

— Albertynko, ja nie wiem, to sa anonimy, od osob, ktore zreszta odgadlabyz latwo — aby okazac, iz nie wierze, ze ona chce ich szukac — bo musza cie znac dobrze. Ostatni list, przyznam ci sie (cytuje wlasnie ten, bo chodzi w nim o drobiazg i nie ma w nim dla ciebie nic przykrego), zdenierwowal mnie jednak bardzo. Anonim powiada, ze jezeli w dniu, kiedyśmy opuścili Balbec, chcialas zrazu zostac, a potem wyjechać, to dlatego, ze wśród tego dostalasz list od Anny donoszący, ze nie przyjedzie.

— Świetnie wiem, iż Anna napisala, ze nie przyjedzie, nawet zadepesowala, nie moge ci pokazac depesy, bo nie schowalam, ale to nie bylo tego dnia. Cóz ty chcesz, aby to mialo dla mnie za znaczenie, czy Anna przyjezdza do Balbec czy nie?

„Co ty chcesz, aby to mialo dla mnie za znaczenie” bylo dowodem gniewu oraz tego, ze „to” mialo dla niej znaczenie, ale niekoniecznie bylo dowodem, ze Albertyna wrócila jedynie z chęci ujżenia Anny. Za kazdym razem kiedy Albertyna widziala, ze jeden z rzeczywistych lub podanych przez nia motywów jej postępku doszedł do wiadomosci tego, komu ona podala inny motyw, wpadala w zlosc, chocby nawet ową osoba byl ten, dla kogo ona w istocie to zrobila. Czy sądzila, ze to nie anonimy udzielaly mi mimo mojej woli tych informacji, ale ze ja sam pragnalem ich chciwie, tego nie można by zgola

<sup>450</sup>denuncjacja — tajemne doniesienie władzom o popelnieniu przez kogos wykroczenia. [przypis edytorski]

wywnioskować z późniejszych słów Albertyny, kiedy niby to przyjęła moją wersję anonimów; można by natomiast wywnioskować z jej miny pełnej gniewu, gniewu robiącego wrażenie, że jest tylko wybuchem jej dawniejszych złych humorów, tak samo jak moje przespiewki, w które wedle tej hipotezy uwierzyła, byłyby jedynie rezultatem kontroli wszystkich jej czynów, o której nie wątpiła już od dawna. Gniew jej rozszerzył się nawet na Annę; powiadając sobie z pewnością, że teraz nie zaznam już spokoju, nawet kiedy będzie wychodziła z Anną, dodała:

— Zresztą, Anna denerwuje mnie szalenie. Jest straszliwie męcząca. Nie chcę już z nią jeździć na spacer. Możesz to oznajmić tym, co ci powiedzieli, że wróciła do Paryża dla niej. A ja mówię, że po tylu latach znajomości z Anną nie umiałabym powiedzieć, jak ona wygląda, tak mało się jej przyglądałam!

Otóż w Balbec w pierwszym roku powiedziała mi: „Anna jest czarująca”. Prawda, że to nie dowodziło stosunków miłosnych między nimi; wówczas Albertyna wyrażała się z największym oburzeniem o tego rodzaju stosunkach. Ale czy nie mogła się zmienić, nawet nie zdając sobie sprawy z tej zmiany, nie sądząc, aby jej zabawy z przyjaciółką były tym samym co niemoralne stosunki — dość mgliste w jej pojęciu — które piętnowała u innych? Czy nie była możliwa ta sama i tak samo nieświadoma zmiana, jaka zaszła w jej stosunkach ze mną? Toż odepchnęła z takim oburzeniem w Balbec moje pocałunki, którymi później sama miała mnie darzyć codziennie, których (tak spodziewałem się przynajmniej) miała mi użyczyć jeszcze długo, których miała mi użyczyć za chwilę?

— Ależ, kochanie, jakże mam im oznajmić, skoro ich nie znam?

Odpowiedź była tak nieodparta, że powinna była rozproszyć zarzuty i wątpliwości krystalizujące się w żrenicach Albertyny. Ale pozostały nietknięte. Zamilkłem; mimo to ona wciąż patrzyła na mnie z tą wytrwałą uwagą, jakiej użycza się komuś, kto nie skończył mówić. Znowu poprosiłem ją o przebaczenie. Odpowiedziała, że nie ma mi czego przebaczać. Zrobiła się bardzo łagodna. Ale poza jej smutną i zmęczoną twarzą gromadziła się tajemnica. Wiedziałem, że nie może odejść bez uprzedzenia mnie; zresztą nie mogła ani tego pragnąć (za tydzień miała przymierzać suknie Fortuny'ego), ani uczynić tego bez uchybienia przyzwoitości, gdyż matka moja wracała z końcem tygodnia, a ciotka Albertyny również. Skoro niemożliwe było, aby odeszła, czemu powtórzyłem jej kilkakrotnie, że pójdziemy jutro razem obejrzeć szkła weneckie (które chciałem jej ofiarować), i z ulgą usłyszałem z jej ust potwierdzenie tego projektu? Kiedy mogła mi powiedzieć dobranoc i kiedy ją ucałowałem, nie zrobiła jak zawsze, odwróciła się — było to ledwo w kilka chwil po momencie, kiedy pomyślałem o tej słodyczy, że ona mi użycza co wieczór tego, czego mi odmówiła w Balbec — nie oddała mi pocałunku. Można by rzec, że pokłócona ze mną, nie chce mi okazać czułości, która mogłaby mi się wydać później fałszem przeczącym tej zwadzie. Można by rzec, że ona zestrąja swoje postęпки z tą zwadą, ale zachowując miarę, bądź aby jej nie stwierdzać, bądź że zrywając stosunki fizyczne, chciała mimo to zostać ze mną w przyjaźni. Pocałowałem ją wówczas jeszcze raz, przyciskając do serca mieniący się i złocisty lazur Canal Grande oraz sparzone ptaki, symbol śmierci i zmartwychwstania. Ale po raz drugi Albertyna cofnęła się; zamiast mi oddać pocałunek usunęła się z jakimś instynktownym i wróżebnym uporem zwierząt czujących śmierć. To przecucie, które zdawała się wyrażać, udzieliło się mi samemu i napełniło mnie takim lękiem, że kiedy Albertyna oddaliła się ku drzwiom, nie miałem siły dać jej odejść, odwołałem ją.

— Albertyno — rzekłem — mnie się wcale nie chce spać. O ile nie jesteś śpiąca, mogłabyś zostać jeszcze trochę, jeżeli chcesz, ale nie zależy mi na tym, a zwłaszcza nie chciałbym cię męczyć.

Miałem uczucie, że gdybym ją mógł rozebrać i mieć ją w białej nocnej koszuli, w której zdawała się różowsza, cieplejsza, w której bardziej drażniła moje zmysły, pojednanie byłoby pełniejsze. Ale wahałem się chwilę, bo błękitny obrąbek sukni stroił jej twarz pięknoscią, blaskiem, niebem, bez których wydałaby mi się twardsza. Wróciła wolno i rzekła z wielką słodyczą i wciąż z tą samą przybitą i smutną twarzą:

— Mogę zostać ile zechcesz, nie chce mi się spać.

Odpowiedź jej uspokoiła mnie, bo dopóki była ze mną, czułem, że mogę liczyć na przyszłość; kryła również przyjaźń, posłuszeństwo, ale jedynie pewnego typu, ograniczone niejako tym sekretem, którego szukałem poza jej smutnym spojrzeniem, poza zachowaniem się zmienionym na wpół mimo woli, na wpół zapewne po to, aby je z góry

zharmonizować z czymś, czego nie wiedziałem. Zdawało mi się, że jednak wystarczyłoby ujrzeć ją przed sobą całkiem na białym, z nagą szyją, tak jak ją widziałem w Balbec w łóżku, co by mi dało dosyć odwagi, aby ona musiała ulec.

— Skoro jesteś tak poczciwa, że godzisz się zostać trochę, aby mnie pocieszyć, powinnaś być zdjąć suknię; to za gorące, za sztywne, nie śmiem zbliżyć się do ciebie, aby nie zmiać tej pięknej materii, przy tym są między nami te symboliczne ptaki... Rozbierz się, kochanie.

— Nie, to by było nieporęcznie zdejmować tutaj tę suknię. Rozbiorę się u siebie za chwilę.

— Zatem nie chcesz nawet usiąść na moim łóżku?

— Ależ owszem.

Usiadła jednak na pewną odległość, w nogach łóżka. Zaczęliśmy rozmawiać. Wiem, że wymówiłem wówczas słowo „śmierć”, tak jakby Albertyna miała umrzeć. Zdaje się, że wypadki są szersze niż chwila, w której zachodzą, i że nie mogą się w niej zmieścić całe. Niewątpliwie sięgają w przyszłość przez pamięć, którą zachowujemy o nich, ale żądają także miejsca w czasie, który je poprzedza. To pewne, że nie widzimy ich wówczas takimi, jak będą, ale czyż we wspomnieniu nie są również przekształcone?

Kiedym ujrzał, że Albertyna sama z siebie nie całuje mnie, rozumiejąc, że to wszystko będzie stracony czas, że dopiero od pocałunku zaczną się kojące i prawdziwe minuty, powiedziałem: „Dobranoc, późno już jest” w nadziei, że mnie wówczas ucałuje i że potem będziemy to robili dalej. Ale powiedziawszy: „Dobranoc, staraj się zasnąć”, ściśle tak jak dwa poprzednie razy, poprzestała na pocałunku w twarz. Tym razem nie śmiałem jej odwołać, ale serce biło mi tak silnie, że nie mogłem się położyć z powrotem. Niby ptak, który lata z jednego końca klatki w drugi, wciąż przechodziłem od niepokoju, że Albertyna mogłaby opuścić dom, do względnego spokoju. Spokój ten zrodził się z rozumowania, które rozpoczynałem kilka razy na minutę: „W każdym razie nie może odejść bez uprzedzenia mnie, nie mówiła nic, że odejdzie”, i czułem się prawie spokojny. Ale natychmiast powiadałem sobie: „A jednak gdybym miał jej jutro nie zastać? Sam ten mój niepokój musi mieć jakąś przyczynę; czemu mnie ona nie pocałowała?”. Wówczas ścisnęło mi się serce. Potem uspokajało się trochę od rozpoczętego na nowo rozumowania, ale w końcu zaczynała mnie boleć głowa, tak bardzo ten rytm mojej myśli był nieustanny i jednostajny. Istnieją pewne stany duszy, a zwłaszcza lęki, które następczają tylko dwie możliwości, mają coś równie okrutnie ograniczonego jak proste cierpienie fizyczne. Odtwarzałem ustawicznie rozumowanie, które przyznawało rację mojemu niepokojowi, oraz to, które mu przeczyło i które mnie uspokajało, na przestrzeni równie szczupłej jak u chorego, który wewnętrznym ruchem obmacuje bez ustanku bolesny organ, oddala się na chwilę od wrażliwego punktu, aby doń wrócić w chwilę potem.

Naraz w ciszy nocnej uderzył mnie hałas na pozór nieznaczący, ale który mnie przejął grozą, łoskot okna, które się otworzyło nagle w pokoju Albertyny. Kiedy już nic nie było słychać, zastanawiałem się, czemu mnie ten łoskot tak przestraszył. Sam w sobie miał nic tak niezwykłego, ale ja mu dawałem prawdopodobnie dwa znaczenia, które mnie na równi przerażały. Najpierw było regułą w naszym domowym życiu, ponieważ bałem się przeciągów, aby nigdy nie otwierano okna w nocy. Wpojono to Albertynie, kiedy zamieszkała u nas; i mimo iż była przeświadczona, że to jest z mojej strony mania, i to niezdrowa, przyrzekła nigdy nie naruszać tego zakazu. A była tak nieśmiała w tym, co dotyczyło moich życzeń, choćby je potępiała, że wiedziałem, iż raczej spałaby w pokoju pełnym dymu, niżby miała otworzyć okno, tak samo jak dla najważniejszej sprawy nie kazałaby mnie obudzić rano. Była to jedna tylko z drobnych konwencji naszego życia, ale z chwilą gdy Albertyna gwałciła tę konwencję, nie wspomniawszy mi o tym, czyż nie znaczyło to, że nie ma już czego oszczędzać, że pogwałciłaby równie dobrze wszystkie. Następnie ten łoskot był gwałtowny, prawie impertynencki, tak jakby otwarła okno czerwona z gniewu, mówiąc: „Duszę się tu, wszystko mi jedno, chcę powietrza!”. Nie mówiłem sobie ściśle tego, ale nadal myślałem — niby o przepowiedni bardziej tajemniczej i złowrogiej niż krzyk puszczyka — o tym łoskocie, z jakim otwarła okno Albertyna. Pełen wzruszenia, jakiego może nie zaznałem od wieczoru w Combray, kiedy Swann był u nas na obiedzie, chodziłem długo po korytarzu, mając nadzieję, że hałasem ściągnę uwagę Albertyny, że

zlituje się nade mną i zawoła mnie; ale nie słyszałem żadnego szmeru. Pomału uczułem, że jest za późno. Musiała od dawna spać. Wróciłem, aby się położyć.

Nazajutrz, skoro się tylko obudziłem, ponieważ nigdy, co bądź by się stało, nie wchodzono do mnie bez wezwania, zadzwoniłem na Franciszkę. I równocześnie myślałem: „Pomówię z Albertyną o jachcie, który chcę dla niej zamówić”. Biorąc listy, rzekłem do Franciszki, nie patrząc na nią:

— Za chwilę będę chciał widzieć pannę Albertynę, czy już wstała?

— Tak, wstała wcześniej.

Uczułem, że się we mnie zrywa, niby od uderzenia wichru, tysiąc niepokojów, których nie umiałem utrzymać w piersi. Huragan był taki, że dech mi zapierało w piersiach jak w czasie burzy.

— A! Ale gdzie jest teraz?

— Musi być u siebie.

— A, dobrze, dobrze, poproszę ją za chwilę.

Odetchnąłem, była tuż, wzruszenie moje opadło, Albertyna jest w domu, było mi niemal obojętne, że jest. Zresztą, czyż nie byłoby niedorzeczne przypuszczać, że mogłoby jej nie być? Zasnąłem, ale mimo pewności, że ona mnie nie opuści, sen mój był lekki, i to lekki tylko w stosunku do niej. Bo hałasy sprawiane robotami w dziedzińcu, mimo że je słyszałem mętnie przez sen, nie naruszały mego spokoju, podczas gdy najłżejszy szelest z pokoju Albertyny, kiedy wychodziła lub wracała po cichu, przyciskając tak lekko kławkę, wstrząsał mnie dreszczem, przebiegał mnie całego, przyprawiał mnie o bicie serca, mimo że go słyszałem w głębokim uspieniu, tak samo jak babka w ostatnich dniach przed śmiercią, pogrążona w bezwładzie, którego nic nie mąciło i który lekarze nazywali *coma*, zaczynała, jak mi powiedziano, drżeć przez chwilę jak liść, kiedy słyszała trzy dzwonki, którymi zwykle był wzywać Franciszkę i których nawet kiedy się starałem dzwonić najłżej, aby nie mącić ciszy śmiertelnego pokoju, nikt (zapewniała mnie Franciszka) nie mógł pomylić z innymi z powodu sposobu, w jaki, nie wiedząc o tym, naciskałem dzwonek. Czyż to ja sam byłem już w agonii, czy to była bliskość śmierci?

Tego dnia i nazajutrz wyszliśmy z Albertyną razem wobec tego, że nie chciała już wychodzić z Anną. Nie wspominałem jej nawet o jachcie. Te spacerki uspokoiły mnie zupełnie. Ale ona nadal całowała mnie wieczorem w ten nowy sposób, tak że byłem wściekły. Mogłem w tym już tylko widzieć chęć okazania, że się dąsa na mnie, co mi się wydawało zbyt niedorzeczne po wszystkim, com wciąż robił dla niej. Toteż nie mając z niej już nawet satysfakcji fizycznych, na których mi zależało, znajdując ją brzydką, kiedy była w złym humorze, tym żywiej odczułem wyrzeczenie się wszystkich kobiet oraz podróży, których żądę obudziły we mnie pierwsze piękne dni. Z pewnością dzięki dorywczym wspomnieniom zapomnianych schadzek jeszcze z uczniowskich czasów, pod gęstą już zielonością, ta wiosna, w której podróż naszej wędrowniej siedziby poprzez pory roku zatrzymała się od trzech dni pod łaskawym niebem i której wszystkie drogi uciekały ku śniadaniom na wsi, wiosłowaniu, wycieczkom i zabawom, zdawała mi się krainą kobiet, jak była krainą drzew, i krainą, gdzie zewsząd wabiąca rozkosz stawała się dozwolona moim wracającym siłom. Rezygnacja na lenistwo, rezygnacja na czystość, na to, aby znać rozkosz jedynie z kobietą, której nie kochałem, rezygnacja na to, żeby siedzieć w pokoju, nie podróżować, wszystko to było możebne w starym świecie, gdzie byliśmy jeszcze wczoraj, w pustym świecie zimy, ale już nie w tym świecie nowym, zieleniącym się liśćmi, gdzie obudziłem się niby młody Adam, dla którego nastęcza się pierwszy raz problem istnienia, szczęścia i nad którym nie ciąży spiętrzenie dawniejszych negatywnych rozwiązań.

Obecność Albertyny ciążyła mi; patrzyłem na nią markotnie, odczuwając jako nie-szczęście to, żeśmy nie zerwali z sobą. Chciałem jechać do Wenecji, chciałem tymczasem iść do Luwru oglądać obrazy weneckie i do Luksemburgu<sup>451</sup> oglądać dwa obrazy Elstira, które, jak właśnie mówiono, księżna Gilbertowa sprzedała temu muzeum; te, które tak podziwiałem, *Rozkosze tańca* i *Portret rodziny X*. Ale bałem się, żeby na pierwszym z nich pewne lubieżne pozy nie obudziły w Albertynie tęsknoty do uciech ludowych, podsuwając jej myśl, że może pewne życie, którego nie zaznała, rozkosze ogni sztucznych

<sup>451</sup>Luksemburg — tu: Muzeum Luksemburskie, znajdujące się niewielkim renesansowym budynku w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu; otwarte w 1750, stanowiło pierwszą publiczną placówkę muzealną we Francji, w 1818 stało się pierwszym muzeum sztuki współczesnej. [przypis edytorski]

i podmiejskich gospód mają swoje powaby. Już z góry bałem się, aby w dniu 14 lipca<sup>452</sup> nie oświadczyła, że chce iść na bal ludowy i marzyłem o czymś niemożliwym, co by udaremniło tę fetę. A także były również w tych Elstirach nagości kobiece, na tle bujnych krajobrazów Południa, zdolne obudzić w Albertynie myśl o pewnych rozkoszach, mimo iż Elstir sam (ale czy Albertyna nie ściągnęłaby dzieła w dół?) widział w tym tylko piękność posągową, aby rzec lepiej, piękność białych posągów, jakiej nabierają ciała kobiet siedzących wśród zieleni. Toteż pogodziłem się z tym wyrzeczeniem się i zdecydowałem jechać do Wersalu.

Albertyna została w swoim pokoju, w szlafroczku Fortuny'ego, aby czytać. To było w niej uroczę, że zawsze była gotowa na wszystko, może stąd, że nawykła niegdyś spędzać pół życia u obcych. Tak samo jak się w dwie minuty zdecydowała jechać do Paryża, tak i teraz rzekła: „Mogę jechać jak jestem, nie będziemy wysiadali”. Zawahała się sekundę między dwoma płaszczami, aby ukryć swój szlafroczek — tak jakby się zawahała między towarzystwem dwóch przyjaciół — wzięła wspaniałą ciemnoniebieski płaszcz, przypięła kapelusz. Zanim zdążyłem wziąć palto, w minutę była gotowa i pojechaliliśmy do Wersalu. Sama ta szybkość, absolutna uległość uspokoiły mnie tak, jak gdybym — mimo iż nie mając żadnego ścisłego powodu do niepokoju — w istocie potrzebował tego. „Bądź co bądź, nie mam się czego obawiać; robi wszystko, o co poproszę, mimo łoskotu okna tamtej nocy. Z chwilą gdy zaproponowałem spacer, narzuciła płaszcz na peniuar i była gotowa; tego by nie zrobiła kobieta zbuntowana, osoba, która by mnie już nie chciała” — powiadałem sobie w drodze do Wersalu. Zostaliśmy tam długo. Niebo było całe z owego promiennego, nieco bladego błękitu, jaki przechadzając się i leżąc w polu, widzimy czasem nad głową; jest wówczas tak gładkie, tak głębokie, że czujemy, iż błękitu, z którego je sporządzono, użyto bez żadnej domieszki, tak niewyczerpanie bogato, że można by zgłębiać coraz to więcej jego substancję, nie spotykając ani atomu czegoś innego niż ten właśnie błękit. Myślałem o babce, która w sztuce ludzkiej, w naturze kochała wielkość i lubiła w tym samym błękitcie oglądać wieżę Św. Hilarego. Nagle uczułem na nowo nostalgię straconej wolności, słysząc hałas, którego nie poznałem zrazu, a który babka byłaby również tak lubiła. Było to niby brzęczenie osy.

— O, rzekła Albertyna — samolot, jest bardzo, bardzo wysoko”.

Popatrzyłem dokoła, ale widziałem jedynie nietkniętą bladość błękitu bez domieszki, bez żadnej czarnej plamy. Słyszałem mimo to wciąż brzęczenie skrzydeł, które nagle weszły w pole mojego widzenia. Wysoko, maleńkie, ciemne i błyszczące skrzydła marszczyły gładki błękit nieskażonego nieba. Mogłem wreszcie związać brzęczenie z jego przyczyną, z małym owadem, który drgał tam w górze, z pewnością na dobre dwa tysiące metrów; widziałem, jak huczy. Może niegdyś, kiedy szybkość nie skróciła jeszcze odległości na ziemi jak dzisiaj, gwizd pociągu przechodzącego o dwa kilometry posiadał tę piękność, która teraz, na jakiś czas jeszcze, wzrusza nas w warczeniu samolotu o dwa tysiące metrów przez myśl, że odległości przebiegane w tej pionowej podróży są te same co na ziemi i że w tym innym kierunku, gdzie miary wydają się nam inne, ponieważ dostęp do nich wydawał się nam nieosiągalny, samolot o dwa tysiące metrów jest nie dalej niż pociąg o dwa kilometry, jest nawet bliżej, gdyż identyczna droga odbywa się w środowisku czystszy, bez zapór między podróżnym a jego punktem wyjścia, tak jak na morzu lub na równinie, w spokojny czas, smuga dalekiego już okrętu lub powiew wiatru żłobią bruzdę w oceanie wód lub zboża.

— W gruncie nie chce się nam jeść, można by wstąpić do Verdurinów — rzekła Albertyna — to ich godzina i ich dzień.

— Ale skoro ty się gniewasz na nich?

— Och, narobili strasznie dużo plotek, ale w gruncie rzeczy nie są tacy źli. Pani Verdurin była zawsze bardzo miła dla mnie. A przy tym nie można się wiecznie gniewać ze wszystkimi. Mają wady, ale któż ich nie ma.

— Nie jesteś ubrana, trzeba by wracać się przebrać, byłoby późno.

Dodałem, że mam ochotę wstąpić gdzieś na podwieczorek.

<sup>452</sup>14 lipca — dzień najważniejszego święta narodowego w Republice Francuskiej, upamiętniający zdobycie Bastylii przez ludność Paryża (14 lipca 1789), co uznaje się za symboliczny początek Wielkiej Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

— Tak, masz rację, zjedźmy po prostu podwieczorek — odparła Albertyna z tą cudowną uległością, która mnie zawsze zdumiewała. Zatrzymaliśmy się przed wielką cukiernią, położoną prawie za miastem i zażywającą w tej chwili pewniej renomy. Dama jakaś wychodziła i poprosiła kelnerkę o swoje rzeczy. I skoro ta dama wyszła, Albertyna popatrzyła kilkakrotnie na kelnerkę, tak jakby chciała ściągnąć jej uwagę, podczas gdy ta porządkowała filiżanki, talerzyki, ptifury, bo już było późno. Podchodziła jedynie wtedy, kiedy żądałem czegoś. I zdarzało się wówczas, że — kiedy kelnerka, zresztą bardzo wysoka, stała gotowa do obsłużenia nas, a Albertyna siedziała koło mnie — za każdym razem Albertyna, aby ściągnąć jej uwagę, zwracała ku niej pionowo jasne spojrzenie, zmuszona podnosić wysoko żrenice, ponieważ z powodu bliskości, w jakiej stała młoda kobieta, niepodobna jej było zmniejszyć kąta spojrzenia. Musiała, nie zadzierając zbyt głowę, sięgać wzrokiem na tę nadmierną wysokość, na której znajdowały się oczy dziewczyny. Przez uprzejmość dla mnie Albertyna szybko spuszczała oczy, że zaś kelnerka nie zwróciła na nią uwagi, zaczynała na nowo. Tworzyło to istną serię daremnych błagalnych wzlotów ku niedostępnemu bóstwu. Potem kelnerce pozostał już tylko do sprzątnięcia sąsiedni stolik. Tam spojrzenie Albertyny mogło jej dosięgnąć swobodnie. Ale ani razu wzrok kelnerki nie spoczął na mojej przyjaciółce. To mnie nie dziwiło, bo wiedziałem, że ta kobieta, którą znałem troszkę, miała kochanków, mimo iż zamężna, ale ukrywała doskonale swoje miłostki, co mnie dziwiło niepomiarnie z powodu jej zdumiewającej głupoty. Patrząc na tę kobietę, gdyśmy kończyli podwieczorek. Zajęta porządkowaniem, była prawie niegrzeczna dla Albertyny, nie znajdując dla niej ani jednego spojrzenia, mimo iż w zachowaniu się Albertyny nie było zresztą nic niestosownego. Tamta porządkowała, porządkowała bez końca, bez jednej dystrakcji<sup>453</sup>. Gdyby ułożenie łyżeczek i nożyków do owoców powierzono nie dużej pięknej kobiecie, ale (przez oszczędność pracy ludzkiej) prostej maszynie, i wówczas obojętność na zachowanie się Albertyny nie byłaby większa; a mimo to piękna kelnerka nie spuszczała oczu, nie zamyślała się, pozwalała błyszczeć swoim oczom, swoim wdziękom, pochłonięta jedynie pracą. Prawda, iż gdyby ta kelnerka nie była osobą szczególnie głupią (nie tylko miała tę reputację, ale wiedziałem o tym z doświadczenia), obojętność ta byłaby może szczytem zręczności. I wiem, że najgłupsza nawet istota, jeżeli jej pragnienie lub interes są w grze, może, w tym jednym wypadku, wśród nicości swego głupiego życia dostosować się natychmiast do kółek najbardziej złożonego mechanizmu; mimo wszystko byłoby to jednak domniemanie zbyt subtelne dla kobiety równie głupiej jak ta kelnerka. Ta głupota przybierała nawet nieprawdopodobny charakter impertynencji! Ani razu nie spojrziała na Albertynę, której nie mogła przecież nie widzieć. Było to niezbyt uprzejme dla mojej towarzyszki, ale w gruncie byłem uszczęśliwiony, że Albertyna dostała tę małą lekcję i przekonała się, iż często kobiety nie zwracają na nią uwagi.

Opuściliśmy cukiernię, wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy do domu, kiedy naraz zacząłem żałować, że nie wziąłem na bok kelnerki i nie poprosiłem na wszelki wypadek, aby nie mówiła damie, która wyszła w chwili naszego przybycia, mego nazwiska i adresu, które kelnerka z powodu moich częstych zamówień musiała znać doskonale. Było w istocie zbyteczne, aby owa dama mogła w ten sposób uzyskać pośrednio adres Albertyny. Ale wydało mi się zbyt kłopotliwe wracać z drogi dla takiej drobnostki; pomyślałem, że to by znaczyło nadawać temu za wiele wagi w oczach głupiej i kłamliwej kelnerki. Pomyślałem tylko, że trzeba będzie wstąpić tam na podwieczorek za jakiś tydzień, żeby jej to powiedzieć; jakie to nudne, kiedy się ma zwyczaj zapominać połowy tego, co się ma do załatwienia, musieć najprostsze rzeczy robić na kilka razy!

Kiedy się nad tym zastanawiam, trudno mi wprost opowiedzieć przy tej sposobności, jak dalece życie Albertyny było pokryte tajonymi, ulotnymi, sprzecznymi często pragnieniami. Bez wątpienia kłamstwo komplikowało jeszcze to życie. Kiedy nie przypominając już sobie dobrze naszych poprzednich rozmów, Albertyna powiedziała: „Och, to ładna dziewczyna, dobrze grała w golfa”, a ja spytałem o nazwisko owej dziewczyny, odpowiedziała owym obojętnym, ogólnikowym tonem wyższości, który zapewne zawsze jest do dyspozycji, bo każdy kłamca tego typu znajduje go na chwilę, ilekroć nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie: „Och, nie wiem — z żalem, że mnie nie może objaśnić —

<sup>453</sup>dystrakcja (daw.) — roztargnienie, rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]



nigdy nie znalazłam jej nazwiska, widywałam ją na golfie, ale nie wiedziałam, jak się nazywa”. I kiedy znów w miesiąc później rzekłam: „Albertyno, wiesz, ta ładna dziewczyna, o której mówiłaś, co grała tak dobrze w golfa...” — „A, tak — odpowiadała bez zastanowienia — Emilia Daltier, nie wiem, co się z nią stało”. I kłamstwo, niby fortyfikacja polowa, z obrony zdobytego obecnie nazwiska przeniosło się na możliwości odnalezienia tej osoby. „Ach, nie wiem, nie znalazłam nigdy jej adresu. Nie mam pojęcia, kto by cię mógł objaśnić. Och, nie, Anna jej nie znała. Ona nie należała do naszej bandy, dziś tak rozproszona”. Innym razem kłamstwo było niby brzydkie wyznanie: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy franków renty...”. Przygryzła wargi. „Co byś zrobiła?” — „Poprosiłabym cię — rzekła, ściskając mnie — o pozwolenie zostania tutaj. Gdzie mogłabym być szczęśliwsza?”. Ale nawet biorąc w rachubę kłamstwa, niewiarygodne było, do jakiego stopnia życie Albertyny było zmienne i jak ulotne były jej najżywsze pragnienia. Szalała za jakąś osobą, a za trzy dni nie zechciałaby jej widzieć. Nie mogła wyczekać ani godziny, żebym jej kupił płótna i farby, chciała się zabrać z powrotem do malarstwa. Dwa dni niecierpliwiła się, płakała prawie szybko osychającymi łzami dziecka, któremu zabrano mamkę. I ta niestałość uczuć w stosunku do osób, rzeczy, zajęć, sztuk, krajów, była w niej tak powszechna, że jeżeli kochała pieniądze (czego nie przypuszczam) nie mogła ich kochać dłużej niż innych rzeczy. Kiedy mówiła: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy renty!”, nawet jeżeli wyrażała myśl złą, ale nietrwałą, nie mogłaby jej zachować dłużej niż chęci wybrania się do Rochers, których widok ujrzała w wydaniu pani de Sévigné po babce, niż chęci odszukania przyjaciółki z golfa, podróży samolotem, spędzenia świąt Bożego Narodzenia u ciotki lub wzięcia się na nowo do malarstwa.

Wróciliśmy późno w ciemności, w której tu i ówdzie na skraju drogi czerwone spodnie obok spódnicy zdradzały zakochaną parę. Powóz nasz minął Porte Maillot. Miejsce gmachów paryskich zastąpił czysty, linearny, pozbawiony konsystencji rysunek gmachów paryskich, tak jakby ktoś odtwarzał obraz zniszczonego miasta. Ale na skraju tego obrazu wznosiła się z taką słodczą blado niebieska listewka, od której obraz się odcinał, że spragnione oczy wszędzie szukały jeszcze trochę tego rozkosznego odcienia, który im odmierzono zbyt skąpo. Był księżyc, Albertyna zachwycała się nim. Nie śmiałem jej powiedzieć, że lepiej bym się nim cieszył, gdybym był sam albo w pogoni za jakąś nieznaną. Recytowałem wiersze lub ustępy prozą o blasku księżyca, zwracając uwagę Albertyny, jak ze srebrnego, jakim był niegdyś, stał się niebieski u Chateaubrianda, u Wiktora Hugo z *Eviradnusa* i z *Fête chez Thérèse*<sup>454</sup>, aby się stać znowuż żółtym i metalicznym z Baudelaire’em i Leconte de Lisle’em<sup>455</sup>. Potem, przypominając jej obraz, jaki tworzy sierp księżyca pod koniec *Śpiącego Booz*<sup>456</sup>, wyrecytowałem cały utwór.

Wróciliśmy. Tej nocy piękny czas uczynił skok naprzód, jak termometr podnosi się od gorąca. W ciągu wczesnych ranków wiosennych, które nadeszły, słyszałem tramwaje wędrujące poprzez zapachy — w powietrzu, które nasycalo się coraz to więcej gorącem, aż to powietrze nabrało zwartości i gęstości południa. Kiedy tłuste powietrze skończyło werniksować i wyodrębnić zapach *lavabo*<sup>457</sup>, zapach szafy, zapach kanapy, wówczas po samej wyrazistości, z jaką prostopadle stojące przedmioty grupowały się w równoległych i odrębnych transzach, w perłowym półcieniu przydającym łagodniejszego głansu refleksowi firanek i niebieskich atlasowych foteli, widziałem się — nie przez prosty kaprys wyobraźni, ale dlatego, że to było istotnie możliwe — idącym, w jakiejś nowej dzielnicy podmiejskiej, podobnej do tej, w której Bloch mieszkał w Balbec, ulicami zalanymi słońcem, odnajdując tam nie mdłe sklepy rzeźnickie i biały kamień ciosowy, ale wiejską jadalnię, gdzie bym mógł wejść zaraz, i zapachy, jakie bym zastał, wchodząc, zapach klosza z wiśniami i brzoskwiniami, cydru, sera *gruyère*, zawieszzone niejako w świetlnej galarecie cienia, który prądkowały delikatnie niby wnętrza agatu, podczas

<sup>454</sup>*Eviradnus, Fête chez Thérèse* — wiersze Wiktora Hugo: *Eviradnus*, wchodzący w skład drugiej części poematu *La Légende des siècles* (Legenda wieków); *Fête chez Thérèse*: ze zbioru *Les Contemplations* (Zamyślenia, 1855). [przypis edytorski]

<sup>455</sup>*Leconte de Lisle, Charles* (1818–1894) — francuski poeta i filozof, przedstawiciel parnasizmu. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>*Śpiący Booz* — fr. *Booz endormi*, poemat Wiktora Hugo z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków), oparty na historii biblijnej z *Księgi Rut*. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>*lavabo* (łac., fr.) — umywalka; umywalnia. [przypis edytorski]

gdy szklane podpórki na noże iryzują tęcze lub rzucają pawie oczka na stół pokryty ceratą. Niby wiatr wzbierający coraz to silniej, z radością słyszałem pod oknami samochod. Czulem zapach benzyny. Ten zapach może być przykry dla ludzi delikatnych (zawsze materialistów), którym psuje on wieś, i dla pewnych myślicieli (również materialistów na swój sposób), którzy uznając wagę faktu, wyobrażają sobie, że człowiek byłby szczęśliwszy i dostępny wyższej poezji, gdyby jego oczy zdolne były widzieć więcej kolorów, nozdrza znać więcej zapachów; filozoficzna maskarada naiwnych pojęć u tych, co myślą, że życie było piękniejsze, kiedy zamiast czarnego fraka nosiło się bogate stroje. Ale dla mnie (tak samo jak przykry może sam w sobie zapach naftaliny i bagna unosiłby mnie, wracając mi błękitną czystość morza z pierwszego dnia w Balbec) ten zapach benzyny, który wraz z dymem wydobywającym się z samochodu tyle razy zamierał w bladym lazurze w owe palące dni, kiedy jechałem z Saint-Jean de la Haise do Gourville, tak jak mi towarzyszył na spacerach w ciągu owych letnich popołudni, kiedy Albertyna malowała, rozwijał teraz dokoła mnie, mimo że siedziałem w ciemnym pokoju, bławatki, maki, szkarłatną koniczynę, upajał mnie wonią wsi, nie zapach określony i stały, jak ten, który skupia się koło głogów i który uwięziony przez swoje tłuste i gęste składniki, wisi dokoła żywopłotu, ale zapach, przed którym uciekały drogi, zmieniał się charakter gruntu, nadbiegały zamki, bladło niebo, zdziesięciokrotniały się siły, zapach będący niby symbolem skoku i mocy, odnawiający moje dawne pragnienie z Balbec, żeby wsiąść w klatkę z kryształu i stali, ale tym razem nie po to, aby składać wizyty w znajomych domach z kobietą, którą znałem zbyt dobrze, ale aby się kochać w nowych miejscach z kobietą nieznaną. Zapach, któremu towarzyszyły co chwila trąbki przejeżdżających automobilów, pod które podkładałem słowa niby pod pobudkę wojskową: „Paryżanie, wstawajcie, chodźcie śniadać na trawie, pływać łodzią po rzece, w cieniu pod drzewami, z piękną dziewczyną; wstawaj, wstawaj”. I wszystkie te marzenia były mi tak miłe, że winszowałem sobie „surowego prawa”, które sprawiało, iż dopóki nie zadzwonię, żaden „trwożny śmiertelnik”, nawet Franciszka, nawet Albertyna, nie ośmieliłby się niepokoić mnie „w głębi tego pałacu”, gdzie straszliwy majestat czyni mnie niewidzialnym oczom poddanych. Naraz dekoracja zmieniła się: wspomnienie nie już dawnych wrażeń, ale dawnego pragnienia, całkiem świeżo jeszcze obudzonego błękitno-złotą suknią Fortuny’ego, rozpostarło przede mną inną wiosnę, wiosnę już wcale nie spowitą w liście, ale przeciwnie, odartą nagle z drzew i kwiatów przez nazwę, którą szepnąłem: „Wenecja”; wiosna wyklarowana, sprowadzona do swojej esencji, stopniowe wydłużenie, rozgrzanie, rozkwit swoich dni tłumacząca postępującą fermentacją już nie nieczystej ziemi, ale dziewiczej i modrej wody; wiosna, choć bez kwiatów i mogąca odpowiadać majowi jedynie przez refleksy, kształtowana przez niego, zestrojona z nim ściśle w promiennej i stałej nagości ciemnego szafiru. To też jak pory roku nie zmieniają niekwitnących ramion morza, tak współczesne lata nie przynoszą zmian gotyckiemu miastu; wiedziałem o tym, nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale oto co chciałem oglądać z tą samą namiętnością, która niegdyś, kiedym był dzieckiem, w gorączce wyjazdu, skruszyła we mnie siłę jechania; chciałem się znaleźć twarzą w twarz ze swymi weneckimi rojeniami, widzieć jak to rozszczerzone morze obejmuje swymi zakrętami, niby skręty rzeki Oceanu, miejską i wyrafinowaną cywilizację, która odcięła ich lazurową przepaskę, rozwinęła się odrębnie, miała swoje osobne szkoły malarstwa i architektury; chciałem podziwiać ten bajeczny ogród owoców i ptaków z kolorowego kamienia, kwitnący pośród morza, które skrapiało go swoją falą, które uderzało nią o słupy kolumn i na potężnych rzeźbach kapitelów, niby ciemne lazurowe oko czuwające w cieniu, kładło plamami wiekuiście drgające światło. Tak, trzeba było jechać, to był moment. Od czasu jak Albertyna nie robiła już wrażenia pogniewanej, posiadanie jej nie wydawało się już skarbem, w zamian za który gotowi jesteśmy oddać wszystko inne. Bo zrobilibyśmy to jedynie po to, żeby się pozbyć zgryzoty, lęku — obecnie uśmierzonych. Udało się nam przeskoczyć płócienną obęcz, o której myśleliśmy przez chwilę, że jej nigdy nie zdołamy przebyć. Zażegnaliśmy burzę, sprowadziliśmy pogodę uśmiechu. Niepokojąca tajemnica nienawiści bez znanej przyczyny i może bez końca rozproszyła się. Z tą chwilą odnajdujemy się twarzą w twarz z chwilowo odsuniętym problemem szczęścia, o którym wiemy, że jest niemożliwe. Teraz, kiedy życie z Albertyną stało się znów możliwe, czulem, że mógłbym w nim znaleźć jedynie same nieszczęścia, skoro mnie ona nie kocha; lepiej było opuścić ją w słodczy jej zgody, którą przedłużyłbym wspomnie-

niem. Tak, to był moment; trzeba się było dobrze poinformować, kiedy Anna ma opuścić Paryż, wpłynąć energicznie na panią Bon Temps, tak aby być całkiem pewnym, że w tej chwili Albertyna nie mogłaby się udać ani do Holandii, ani do Montjouvain. Gdybyśmy lepiej umieli analizować swoje uczucia, okazałoby się, że często kobiety podobają nam się jedynie przez mężczyzn, którym musimy je wydzierać, choćbyśmy śmiertelnie cierpieli od tego, że musimy o nie walczyć; z chwilą zniknięcia przeciwwagi, urok kobiety pierzcha. Mamy tego bolesny i ostrzegawczy przykład w predylekcji<sup>458</sup> mężczyzn do kobiet, które zanim ich poznały, wiodły swobodne życie; do kobiet, dokoła których czują atmosferę niebezpieczeństwa, które trzeba im wciąż zdobywać na nowo; przykład przeciwnie *ex post* — i zgoła niedramatyczny — w człowieku, który czując, że słabnie jego skłonność do kochanej kobiety, samorzutnie stosuje odkryte przez siebie prawidła i aby być pewnym, że nie przestanie jej kochać, rzuca kobietę w niebezpieczne środowisko, gdzie trzeba mu jej bronić co dzień. (Przeciwieństwo mężczyzn żądających, aby kobieta wyrzekła się teatru, mimo iż dlatego właśnie ją pokochali, że była w teatrze).

Kiedy w ten sposób rozstanie się z Albertyną nie groziłoby już niczym, trzeba by wybrać piękny, pogodny dzień jak dzisiejszy — miało być takich wiele — w którym byłaby mi obojętna, kiedy by mnie kusilo tysiąc pragnień; trzeba by jej pozwolić wyjść bez widzenia się z nią, potem wstawszy i zebrawszy się szybko, zostawić jej słówko i nie zobaczywszy się z nią, jechać do Wenecji, korzystając z tego, że ponieważ Albertyna nie może w tym czasie udać się do żadnego z miejsc, które mnie niepokoiły, zdołałbym w czasie podróży nie wyobrażać sobie jej możebnych wybryków, które mi się zdawały w tej chwili zresztą bardzo obojętne.

Zadzwońnię na Franciszkę, żeby mi kupiła przewodnik i rozkład jazdy, tak jak robiłem dzieckiem, kiedy już obmyślałem podróż do Wenecji — realizację pragnienia równie gwałtownego jak to, którego doświadczałem w tej chwili; zapomniałem, że od tego czasu było inne, którym osiągnął i to bez żadnej przyjemności: pragnienie Balbec; i że Wenecja, będąc również zjawiskiem widzialnym, nie mogłaby prawdopodobnie, tak samo jak Balbec, spełnić niewysłowionego marzenia, marzenia o czasach gotyckich, zaktualizowanych wiosennym morzem; marzenia, które na chwilę musnęło mój intelekt zaczarowanym, piśczętliwym, nieuchwytnym, tajemniczym i mętnym obrazem. Usłyszawszy dzwonek, Franciszka weszła, dość niespokojna o to, jak przyjmę jej słowa i jej postąpienie.

— Bardzo się trapiła — rzekła — że panicz tak późno dzwoni dzisiaj. Nie wiedziałam, co robić. Dziś rano o ósmej panna Albertyna kazała sobie przynieść kufry, nie śmiałam się sprzeciwić, bałam się, że mnie panicz zeklnie, gdybym go obudziła. Darmo jej mówiłam, że chyba nie ma sumienia, żeby zaczekała choć godzinę, bo wciąż myślałam, że panicz zadzwoni; nie chciała, zostawiła ten list dla panicza i o dziewiątej pojechała.

Jak dalece człowiek nie może wiedzieć, co w sobie kryje! Dopiero co byłem przeświadczony o swojej obojętności dla Albertyny! I w tej chwili straciłem oddech, przytrzymałem serce obiema rękami zwilgłymi nagle od osobliwego potu, którego nie znałem od czasu zwierzeń uczynionych mi przez Albertynę w kolejce, a tyjących przyjaciółki panny Vinteuil. Ale nie mogłem powiedzieć nic więcej jak tylko:

— A! Wybornie, oczywiście, dobrze Franciszka zrobiła, że mnie nie budziła; niech mnie Franciszka teraz zostawi trochę, zadzwonię za chwilę.

<sup>458</sup>predylekcja — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/uwieziona>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, *Uwięziona*, tom pierwszy, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0715-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).